

Francesca Haig



OGNISTE
OCZYSZCZENIE



Francesca Haig

OGNISTE OCZYSZCZENIE

Przekład
Marcin Sieduszewski



Tytuł oryginału: *The Fire Sermon*

Copyright © 2015 by De Tores Ltd.

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Marcin Sieduszewski, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

Dedykacja

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci

Podziękowania

Powieść tę dedykuję, jako wyraz miłości i podziwu, mojemu bratu Peterowi oraz mojej siostrze Clarze. Osoby, które wiedzą, jak ważna jest dla mnie ta dwójka, nie będą zaskoczone, że bohaterami mojej pierwszej książki uczyniłam właśnie rodzeństwo.

Rozdział pierwszy

Zawsze sądziłam, że przyjadą po mnie w nocy, ale sześciu mężczyzn pojawiło się na równinie w najgorętszym momencie dnia. Trwały żniwa; wszyscy mieszkańcy osady wstali wczesnym rankiem i mieli pracować aż do wieczora. Wyniszczona ziemia, z której wolno było korzystać Omegom, nigdy nie gwarantowała przyzwoitych zbiorów. W zeszłym sezonie ulewne deszcze wydobyły spod jej powierzchni głęboko zagrzebany pył radioaktywny. Warzywa korzeniowe okazały się skarłowaciałe albo w ogóle się nie wyłoniły. Wszystkie ziemniaki na polu urosły w niewłaściwą stronę – odkryliśmy je, pokurczone i ślepe, skryte półtora metra pod powierzchnią błota. Pewien chłopiec utonął podczas ich odkopywania. Dziura miała zaledwie kilka metrów głębokości, ale obsunęła się gliniana ściana i nie zdołał się wydostać. Rozmyślałam o przeniesieniu się gdzieś dalej, lecz doliny były zalane deszczem, a w trakcie pory głodowej żadna osada nie witała obcych z otwartymi rękami.

Zostałam więc na cały ten ponury rok. Ludzie opowiadali sobie historie o czasach suszy, która trzy lata z rzędu odbierała im plony. Byłam wtedy tylko dzieckiem, lecz nawet ja pamiętałam widok zagłodzonego bydła dryfującego po pylastych równinach na tratwach z własnych kości. Ale to było ponad dziesięć lat temu. „Teraz nie będzie tak źle jak za czasów suszy” – mówiliśmy jeden do drugiego, jakby powtarzanie tych słów miało sprawić, że się ziszczą. Kolejnej wiosny przyglądaliśmy się w napięciu łądygom pojawiającym się na polach pszenicy. Wczesne plony okazały się silne, a długie, nabrzmiące korpusy marchewek, które tamtego roku wykopaliśmy, wywołały wiele chichotu u młodszych nastolatków. Ze swojej działki zebrałam pełen worek czosnku, który następnie zaniiosłam na targ, tuląc go w ramionach niczym dziecko. Przez całą wiosnę patrzyłam, jak pszenica na wspólnych polach robi się krzepka i strzelista. W klombie lawendy rosnącym za moją chatą roiło się od pszczoł, a półki w domu obładowane były jedzeniem.

Pojawili się w samym środku żniw. Najpierw to poczułam. Szczerze mówiąc, przewidywałam to od miesięcy. Ale teraz poczułam to wyraźnie, ogarnęła mnie czujność, której nie byłabym w stanie wyjaśnić komuś, kto nie jest wizjonerem. Miałam wrażenie, że coś ulega zmianie: jak wtedy gdy chmura zasłania słońce albo wiatr zaczyna wiać w innym kierunku. Wyprostowałam się z kosą w rękę i spojrzałam na południe. Kiedy dotarły do mnie krzyki z odległego krańca osady, już biegłam. Nasiliły się, w zasięgu wzroku pojawiło się sześciu galopujących jeźdźców i pozostali ludzie także zaczęli biec – Alfom nierzadko zdarzało się najeżdżać osady należące do Omeg i rabować wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Jednak ja wiedziałam, na czym tak naprawdę im zależy. Zdawałam sobie również sprawę, że ucieczka nie ma zbytniego sensu. Że o sześć

miesiący za późno wzięłam sobie do serca przestrożę otrzymaną od matki. Skryłam się za płotem, a następnie popędziłam ku gładom znaczącym początek osady, ale i tak wiedziałam, że mnie dopadną.

Nawet za bardzo nie zwolnili, żeby mnie schwytać. Jeden z nich po prostu złapał mnie, gdy biegłam, i jednym ruchem oderwał od ziemi. Wytrącił mi kosę z ręki uderzeniem w nadgarstek, po czym rzucił mnie na przednią część siodła twarzą do dołu. Zaczęłam wierzgać, ale to wydawało się tylko motywować konia do szybszej jazdy. Obijanie się żebrami i brzuchem o siodło okazało się o wiele boleśniejsze niż wcześniejszy cios. Na moich plecach spoczywała silna dłoń, a ja czułam, jak ciało mężczyzny pochyla się nade mną, gdy jeździec poganiał konia. Otworzyłam oczy, ale chwilę później szybko je zamknęłam, kiedy powitał mnie wywrócony do góry nogami widok przesuwającej się pode mną ubitej kopytami ziemi.

Gdy zaczęliśmy zwalniać i odważyłam się ponownie uchylić powieki, poczułam czubek ostrza wciskający mi się w plecy.

– Rozkazano nam cię nie zabijać – poinformował mężczyzna. – Twój bliźniak zabronił nam nawet pozbawiać cię przytomności. Jeśli jednak zaczniesz sprawiać problemy, nie zawahamy się podjąć innych kroków. Zacznę od odcięcia ci palca i możesz wierzyć, że nawet się nie zatrzymam, żeby to zrobić. Zrozumiano, Cassandro?

Próbowałam powiedzieć „tak”, ale udało mi się wydobyć z siebie tylko pozbawione tchu stęknienie.

Jechaliśmy dalej. Przez niekończące się podskoki i zwisanie do góry nogami dwa razy zwymiotowałam – za drugim razem na skórzany but mojego porywacza, co dało mi niejaką satysfakcję. Mężczyzna przeklął i zatrzymał konia, po czym usadził mnie pionowo i oplótł liną, unieruchamiając mi ręce. Gdy już usiadłam przed nim, ciśnienie w mojej głowie zelżało, bo krew zaczęła spływać do reszty ciała. Lina wrzynała mi się w ramiona, ale przynajmniej pomagała utrzymać się w miejscu dzięki mocnemu uchwytowi siedzącego za mną mężczyzny. Resztę dnia spędziliśmy na podróży w taki właśnie sposób. O zmierzchu, gdy zmrok zaczął się zsuwać na horyzont niczym stryczek na szyję skazańca, zatrzymaliśmy się, żeby zjeść coś na szybko. Inny jeździec zaoferował mi kawałek chleba, ale byłam tylko w stanie upić kilka łyżek ciepłej stęchłej wody z manierki. Następnie znowu zostałam wciągnięta na konia, tym razem przez innego mężczyznę, którego czarna broda kłuła mnie w kark. Nałożył mi na głowę worek, lecz w ciemnościach nie sprawiło mi to prawie żadnej różnicy.

Wyczułam w oddali miasto, na długo zanim stukot kopyt oznajmił, że wjechaliśmy na brukowaną drogę. Przez worek zakrywający mi twarz zaczęły się prześlizgiwać promyki światła. Wokół siebie wyczuwałam obecność ludzi – było ich więcej niż w dzień targowy w Haven. Zgadywałam, że pewnie tysiące. Droga

stała się bardziej stroma, więc jechaliśmy wolniej, a kopyta koni stukały donośnie o kocie łby. Zatrzymaliśmy się, a mnie podano – prawie że rzucono – innemu człowiekowi, który przez kilka minut gdzieś mnie włókł, często przystając, by otworzyć drzwi. Za każdym razem, gdy ruszaliśmy dalej, słyszałam dźwięk ryglowanych drzwi. Każdy zgrzyt zasuwki wracającej na miejsce był niczym cios.

W końcu popchnięto mnie na jakąś miękką powierzchnię. Zza pleców dobiegł mnie szczeł metalu, czyjś nóż wysunął się z pochwy. Zanim zdążyłam krzyknąć, lina krępująca mi ciało została rozcięta i opadła na podłogę. Przy mojej szyi zaczęły gmerać czyjeś dłonie, które chwilę potem zerwały mi worek z głowy w taki sposób, że jego szorstka juta podrapała mi nos. Znajdowałam się na niewielkim łóżku w małym pomieszczeniu. W celi. Nie było tu okna. Człowiek, który mnie rozwiązał, zamykał właśnie za sobą metalowe drzwi.

Gdy tak siedziałam zgarbiona na pryczy, czując w ustach smak błota i wymiocin, pozwoliłam sobie wreszcie na łzy. Po części opłakiwałam swój los, po części mojego brata bliźniaka; a raczej to, co się z nim stało.

Rozdział drugi

Następnego ranka zbudziłam się, jak zwykle ze snu o ogniu.

Wraz z upływem miesiący chwile następujące po przebudzeniu były jedynymi, w których z wdzięcznością witałam widok celi. Szarość tego pomieszczenia oraz znajomy widok jego nieustępliwych ścian stanowiły absolutne przeciwieństwo ogromu i dzikości eksplozji, która śniła mi się co noc.

Nie istniały żadne przekazy pisemne ani ilustracje dotyczące Wybuchu. Jaki byłby sens pisania o nim czy rysowania go, skoro jego ślady zostały wyrte w każdej dostępnej powierzchni? Nawet dziś, ponad czterysta lat po tym, jak ogień pochłonął wszystko, nadal widać jego efekty w postaci powalonych klifów, wypalonych równin czy wypełnionych popiołem koryt rzecznych. Można je dostrzec na każdej twarzy. Świat nie potrafi już snuć żadnej innej opowieści, a kto inny miałby się tym zająć? Historia zapisana kośćmi w popiele. Mówi się, że przed Wybuchem głoszone kazania na temat ognia, kazania o końcu świata. Ostateczne kazanie wygłosił jednak sam ogień; potem już ich nie było.

Większość niedobitków oślepla i ogłuchła. Wielu innych zostało kompletnie samych i jeśli opowiadali swe historie, to chyba tylko wiatrowi. Zresztą nawet jeśli mieli towarzyszy, to żaden z nich nie potrafił wiernie oddać chwili, gdy doszło do Wybuchu: zmiany koloru nieba, ryku, który położył kres wszystkiemu. Próbując to wszystko opisać, osoby ocalałe zdawały sobie sprawę, że – podobnie jak ja – utknęły w miejscu, gdzie kończą się słowa, a zaczyna sam dźwięk.

Wybuch rozplątał czas. W jednej chwili podzielił go nieodwołalnie na Przed i Po. A teraz, setki lat później – w Po – nie ma już żadnych niedobitków ani pozostawionych przez nich sprawozdań. Jedynie wizjonerzy tacy jak ja są w stanie ujrzeć Wybuch na chwilę przed przebudzeniem albo wtedy, kiedy zastawia na nas trwającą pół sekundy zasadzkę między przymknięciem a rozwarciem powiek: błysk, a potem horyzont stający w płomieniach, jakby był z papieru.

Jedynie legendy o Wybuchu śpiewane są przez bardów. Gdy byłam mała, bard, który każdej jesieni zatrzymywał się przejazdem w naszej wiosce, opowiadał o zamorskich narodach, które spuściły na nas z nieba płomienie, oraz o promieniowaniu i Długiej Zimie, która później nastąpiła. Musiałam mieć jakieś osiem, dziewięć lat, gdy wraz z Zachem słyszeliśmy na targu w Haven, jak starsza poetka o włosach bielutkich niczym szron nuci tę samą melodię, tyle że z innymi słowami. Refren dotyczący Długiej Zimy się nie zmienił, ale kobieta nie wspomniała ani słowem o innych narodach. W każdym wersie opisywała za to ogień i to, jak strawił absolutnie wszystko.

Kiedy pociągnęłam ojca za rękę i spytałam o to, tylko wzruszył ramionami. Stwierdził, że istnieje wiele wersji tej piosenki. Zresztą co za różnica? Nawet jeśli kiedyś za morzem leżały jakieś inne ziemie, już ich tam nie ma, przynajmniej tak

twierdzili żeglarze. Pojawiające się od czasu do czasu pogłoski o istnieniu Zamorza były zwykłym bajaniem i nie zasługiwały na wiarę większą niż plotki dotyczące Wyspy, na której Omegi żyją nieprześladowane przez Alfę. Karą za wygłaszanie temu podobnych domysłów była publiczna chłosta albo zakucie w dyby. Widzieliśmy kiedyś, jak język uwięzionego w jadowitych promieniach słońca Omegi powoli zmieniał się w pokrytą łuskami błękitną jaszczurkę zwisającą mu z ust, a dwaj znudzeni żołnierze Rady, którzy go pilnowali, od czasu do czasu wymierzali mu kopniaka, żeby upewnić się, że mężczyzna jeszcze żyje.

Nasz ojciec twierdził, że lepiej nie pytać o to, jak było przedtem, o Zamorze czy o mityczną Wyspę. Ludzie żyjący przed Wybuchem zadawali zbyt wiele pytań, prowadzili zbyt wiele badań i wiadomo, jak skończyli. Teraz świat wygląda właśnie tak i wiemy na jego temat tylko tyle, że od północy, zachodu i południa otoczony jest morzem, a na wschodzie graniczy z Pustkowiami. Nieistotne, skąd wziął się Wybuch. Ważne jest tylko to, że był. Tak dawno temu, że na jego temat da się powiedzieć równie niewiele jak na temat epoki, której położył kres i po której pozostawił jedynie domysły i zgłiszczą.

W ciągu kilku pierwszych miesięcy spędzonych w celi sporadycznie pozwalano mi się cieszyć widokiem nieba. Co kilka tygodni wyprowadzano mnie wraz z innymi uwięzionymi Omegami na mury obronne, byśmy zażyli trochę ruchu i świeżego powietrza. Dzielono nas na trójki, którym towarzyszyła nie mniejsza liczba strażników. Bacznie nas obserwując, pilnowali, byśmy nie tylko trzymali się z dala od siebie, lecz także nie zbliżali się do blanków, z których roztaczał się widok na rozciągające się poniżej miasto. Już podczas pierwszego wyjścia nauczyłam się, że lepiej nie podchodzić do pozostałych więźniów, nie wspominając o odzywaniu się do nich. Po tym jak strażnicy wyprowadzili nas z cel, jeden z nich zaczął narzekać na zbyt wolne tempo jasnowłosej więźniarki podskakującej na jednej nodze.

– Poruszałabym się zwinnie, gdybyście nie odebrali mi laski – zauważyła kobieta.

Strażnicy nie odezwali się ani słowem, na co ona zerknęła na mnie i przewróciła oczami.

Nawet się nie uśmiechnęła, ale i tak była to pierwsza oznaka serdeczności, z jaką miałam do czynienia od momentu, gdy wtrącono mnie do Przechowalni. Po dotarciu na wały spróbowałam się do niej zbliżyć na tyle, żeby móc coś szepnąć. Kiedy dzieliły mnie od niej jakieś trzy metry, strażnicy cisnęli mną o ścianę z taką siłą, że stłukłam łopatki. Powlekli mnie z powrotem do celi, a jeden z nich splunął na mnie, a następnie warknął:

– Nie rozmawiaj z innymi, nawet na nich nie patrz, jasne?

Ręce wykręcili mi za plecami, więc nie mogłam zetrzeć plwociny z policzka. W ciepłe śliny było coś obrzydliwie intymnego. Nigdy więcej nie widziałam już tamtej kobiety.

Jakiś miesiąc później odbyło się moje trzecie wyjście na mury obronne, które okazało się dla nas wszystkich ostatnim. Stałam przy drzwiach, pozwalając oczom przywyknąć do blasku słońca odbijanego przez wypolerowany kamień. Dwóch strażników po mojej prawej stronie gawędziło półgłosem. Kolejny strażnik opierał się o ścianę kilka metrów ode mnie, po lewej, przyglądając się pewnemu Omedze. Domyśliłam się, że mężczyzna spędził w Przechowalni więcej czasu ode mnie. Jego cera musiała być kiedyś śniada, ale obecnie miała szaroburą barwę. Jednak o wiele bardziej wymowne były nerwowe podrygi jego dłoni oraz to, jak nieustannie poruszał wargami, jakby nie był w stanie zakryć nimi dziąseł. Przez cały czas, który spędziliśmy na wałach, mężczyzna włókł się w tę i we w tę po tych samych kamiennych płytach, ciągnąc za sobą powykrzywianą prawą nogę. Mimo zakazu komunikowania się z innymi więźniami od czasu do czasu słyszałam, jak mamrocze: „Dwieście czterdzieści siedem. Dwieście czterdzieści osiem”.

Wszyscy wiedzieli, że wielu wizjonerów z czasem traci zmysły, że z upływem lat wizje wypalają nam mózgi. Byliśmy knotami dla ukazujących się nam w umysłach płomieni.

Ten konkretny mężczyzna nie był wizjonerem, ale nie dziwiło mnie, że ktoś, kto spędził wystarczająco dużo czasu w Przechowalni, oszalał. Jaki zatem los czekał mnie, skoro musiałam stawiać czoła nie tylko niewzruszoności ścian celi, lecz także nawiedzającym mnie wizjom? Rok czy dwa później to ja mogłam liczyć swoje kroki, jakby numeryczny porządek był w stanie zaprowadzić ład w uszkodzonym umyśle.

Pomiędzy mną a drepczącym to w jedną, to w drugą stronę mężczyzną znajdowała się jeszcze inna więźniarka – kilka lat ode mnie starsza jednoręka kobieta o ciemnych włosach i pogodnej twarzy. Już po raz drugi wychodziłyśmy razem na mury. Podeszłam na tyle blisko krawędzi, na ile pozwalali nam strażnicy, i sięgnęłam wzrokiem ponad blankami z piaskowca, próbując wymyślić, w jaki sposób mogłabym się z nią porozumieć albo dać jej znak. Nie było mi wolno zbliżyć się do krawędzi na tyle, by porządnie przyjrzeć się miastu leżącemu w cieniu górskiej fortecy. Mury zasłaniały horyzont, a pod nimi widziałam jedynie wzgórza, którym odległość nadawała szarawą barwę.

Uświadomiłam sobie, że odliczanie ustało. Zanim zdążyłam się obrócić, żeby sprawdzić, co się zmieniło, starszy Omega rzucił się na kobietę i chwycił ją oburącz za szyję. Brak jednej ręki uniemożliwił jej skuteczną obronę, nie zdążyła też na czas zawołać o pomoc. Strażnicy doskoczyli do nich i po kilku chwilach ściągnęli z niej mężczyznę, lecz było już za późno.

Zamknęłam oczy, żeby zamazać widok jej ciała, twarzy spoczywającej na

kamiennej płycie, głowy wygiętej pod niemożliwym kątem. Ale zamknięte powieki nie są w stanie zapewnić wizjonerowi schronienia. W roztrzęsionym umyśle widziałam, że w chwili śmierci kobiety sto metrów nad nami, wewnątrz fortu, upuszczony został kielich z winem, którego szkarłat rozlał się po marmurowej posadzce. Człowiek w aksamitnym żakiecie poleciał do tyłu, przez chwilę próbował się podnieść na kolana, wyciągnął dłonie ku szyi i skonał.

Po tamtym dniu skończyły się wycieczki na mury obronne. Czasami wydawało mi się, że słyszę, jak szalony Omega wrzeszczy i obija się o ściany, ale dźwięk ten stanowił zaledwie stłumiony łomot, puls nocnej ciszy. Nie byłam pewna, czy naprawdę go słyszę, czy tylko go przeczuwam.

W mojej celi prawie nigdy nie panował mrok. Szklana kula zawieszona pod sufitem dawała mdłe światło. Palila się bez ustanku, bzycząc cicho tonem tak niskim, że czasami zastanawiałam się, czy po prostu nie brzęczy mi w uszach. Przez kilka pierwszych dni obserwowałam lampę z niepokojem, czekając, aż się wypali i pozostawi mnie samą w ciemności. Jednak nie była to świeca ani lampa olejna. Jej światło było inne: chłodniejsze, stabilne. Sterylny blask zawodził co kilka tygodni, kiedy to migał przez kilka sekund, a potem gasł, pozostawiając mnie w pozbawionym kształtów świetle czerni. Jednak nigdy nie trwało to dłużej niż minutę czy dwie. Za każdym razem światło powracało, migając kilkakrotnie niczym ktoś budzący się ze snu, po czym na nowo podejmowało czuwanie. Zaczęłam wyczekiwać tych nieregularnych awarii. Tylko one były w stanie zakłócić nieubłagany blask lampy.

Podejrzywałam, że chodziło o Elektrykę. Słyszałam historie opisujące ją jako rodzaj magii, klucz do większości osiągnięć technologicznych z Przed. Bez względu na to, czym była, miała już przecież nie istnieć. Maszyny, których nie zniszczył Wybuch, zostały zlikwidowane podczas czystek, które po nim nastąpiły, kiedy to niedobitki pozbywały się wszelkich śladów technologii odpowiedzialnej za przemianę świata w popiół. Wszystkie pozostałości z Przed stanowiły tabu, zwłaszcza maszyny. Kary za naruszenie tabu były brutalne, ale do egzekwowania niepisanego zakazu wystarczył zwykły ludzki strach. Ryzyko wyczytywaliśmy z powierzchni naszego spopielonego świata oraz z poskręcanych ciał Omeg. Niepotrzebne nam były dodatkowe przypomnienia.

Niemniej jednak z sufitu mojej celi zwisała maszyna napędzana Elektryką. Nie było to nic przerażającego czy przepotężnego, jak mogło wynikać z trwoźnych szeptów ludzi. Nie była to broń, bomba czy nawet powóz poruszający się bez konia. Zaledwie szklana kula wielkości mojej pięści, promieniująca oślepiającym blaskiem z górnej części pomieszczenia. Nie mogłam przestać się w nią wpatrywać – w samym środku znajdował się węzeł złożony z niezwykle intensywnego światła, jadowicie biały, zupełnie jakby utknęła w nim iskra z Wybuchu. Wpatrywałam się w niego tak długo, że gdy zamknęłam oczy, jego jasny kształt pozostał wyryty

w mroku pod moimi powiekami. Przez pierwszych kilka dni byłam jednocześnie zafascynowana i przestraszona i krzywiłam się w świetle lampy, jakby ta miała lada chwila eksplodować.

Gdy przyglądałam się światłu, przerażała mnie nie tylko możliwość naruszenia tabu, lecz także konsekwencje bycia świadkiem tego aktu. Jeśli rozeszłyby się wieści o tym, że Rada łamie niepisany zakaz, doszłoby do kolejnych czystek. Strach przed Wybuchem oraz maszynami, które go wywołały, był nadal zbyt realny, zbyt instynktowny, aby ludzie potrafili go znieść. Wiedziałam, że światło oznacza dla mnie wyrok dożywocia: widziałam je, więc już nigdy nie odzyskam wolności.

Najbardziej ze wszystkich rzeczy brakowało mi widoku nieba. Wąski szyb znajdujący się tuż pod sufitem doprowadzał skądś świeże powietrze, ale nie dało się w nim dojrzeć światła słonecznego. Odmierzałam upływ czasu odstępami, w jakich dwa razy dziennie w szparze w dolnej części drzwi pojawiała się taca z jedzeniem. Wraz z upływem miesięcy dzielących mnie od ostatniego wyjścia na mury uzmysłowiłam sobie, że choć w teorii pamiętam jeszcze niebo, to nie potrafię sobie wyobrazić, jak dokładnie wygląda. Przypomniały mi się opowieści o Długiej Zimie, która przyszła po Wybuchu, kiedy to powietrze było tak gęste od popiołu, że uniemożliwiała dojrzenie nieba. Podobno dzieciom, które się wtedy rodziły, nigdy nie dane było go zobaczyć. Zastanawiałam się, czy potrafiły uwierzyć w jego istnienie, czy wyobrażanie sobie nieba stało się dla nich kwestią wiary, tak jak teraz dla mnie.

Rachowanie dni było jedynym sposobem na utrzymanie poczucia czasu, ale wraz z powiększaniem się ich liczby czynność ta stała się torturą samą w sobie. Nie zbliżała mnie ona przecież do uwolnienia: rosnąca liczba dni wzmagała poczucie zawieszenia, lewitowania w pozbawionym czytelnym granic świecie mroku i izolacji. Gdy wycieczki na mury obronne dobiegły końca, jedynym punktem odniesienia stały się wizyty składane mi co dwa tygodnie przez Spowiedniczkę, która wypytywała o moje wizje. Poinformowała mnie, że inne Omegi nikogo nie widziały. Kiedy myślałam o Spowiedniczce, nie byłam pewna, czy im zazdrościć, czy współczuć.

Podobno bliźnięta zaczęły się pojawiać w drugim i trzecim pokoleniu urodzonych po Wybuchu. W okresie Długiej Zimy nie było bliźniąt – w ogóle niewiele dzieci przychodziło wówczas na świat, a niektóre rodziły się już nieżywe. Były to lata stopionych ciał oraz martwych, niemożliwych do zidentyfikowania noworodków. Nieliczne osoby utrzymały się przy życiu, a tylko część z nich była zdolna do prokreacji, więc szanse na przetrwanie gatunku ludzkiego wydawały się znikome.

Z początku, w obliczu trudności związanych z przywracaniem dawnej liczby ludności, pojawienie się bliźniąt musiało wywoływać radość. Podwójna liczba dzieci, a przy tym dużej ich części nic nie dolegało. Za każdym razem rodzili się chłopiec i dziewczynka i jedno z nich cieszyło się idealnym zdrowiem. Jego ciało nie tylko miało idealne kształty, lecz także było silne i krzepkie. Jednak wkrótce potem wyszła na jaw fatalna natura owej symetrii; ceną, jaką należało zapłacić za każde perfekcyjne dziecko, była kondycja jego bliźniaka. Rodziły się one w różnym stanie: niektórym brakowało kończyn (albo były one w zaniku), inni mieli ich więcej, niż powinni. Dzieciom tym doskwierał brak oczu lub ich nadmiar, czasem zaś ich powieki były szczelnie zrosnięte. Takie dysfunkcje towarzyszyły życiu Omeg, nieodłącznym towarzyszom Alf. Alfy nazywały ich mutantami, twierdziły, że Omegi uosabiają truciznę, którą już w łonie matki udało im się od siebie odepchnąć. Są skazą pozostawioną przez Wybuch, która – choć nieusuwalna – dotknęła jedynie gorszego bliźnięcia. Ciężar mutacji spoczął na barkach Omeg, dzięki czemu Alfy nie zostały nim obciążone.

Ale nie do końca. Różnice między bliźniętami widać było gołym okiem, jednak łączącej ich więzi nie dało się tak łatwo dostrzec. Niemniej jednak jej wpływ przypominał o sobie w sposób, który za każdym razem wymykał się logice. To, że nikt nie rozumiał, jak to działa, nie miało żadnego znaczenia. Początkowo uważano tę zależność za zbieg okoliczności, lecz stopniowo niedowierzanie musiało ustąpić w obliczu faktów oraz dowodów w postaci zwłok. Bliźnięta rodziły się razem i razem umierały. Bez względu na to, gdzie się znajdowały i jak duża dzieliła je odległość, gdy jedno z nich konało, drugie szło w jego ślady.

Oboje doświadczali też silnego bólu czy poważnych chorób. Wysoka gorączka u jednego z bliźniąt niedługo potem przenosiła się na drugie; gdy jedno z nich mdlało, drugie także traciło przytomność, bez względu na swoje położenie. Drobnе rany i lekkie schorzenia nie były w stanie pokonać dzielącej bliźnięta otchłani, ale dotkliwe cierpienie sprawiało, że drugie bliźnię budziło się z krzykiem wywołanym raną zadaną jego bratu lub siostrze.

Kiedy wyszło na jaw, że Omegi są bezpłodne, zakładano, iż wkrótce wymrą. Że stanowią jedynie chwilową plagę, strategię natury mającą na celu przystosowanie się do życia po Wybuchu. Jednak każde kolejne pokolenie wyglądało tak samo: rodziły się same bliźnięta, z których jedno było Alfą, a drugie Omegą. Tylko Alfy były zdolne do płodzenia dzieci, ale ich potomstwo i tak zawsze miało towarzysza w postaci bliźniaczego osobnika, Omegi.

Gdy urodziliśmy się z Zachem, podobni do siebie jak dwie krople wody, nasi rodzice raz za razem liczyli nasze kończyny i palce. Wszystko było na swoim miejscu. Z pewnością nie zmniejszyło to jednak ich sceptycyzmu; nikomu nie udawało się przecież wymknąć podziałowi na Alfę i Omegę. Nikomu. Zdarzały się przypadki, kiedy deformacje Omegi wychodziły na jaw jakiś czas po urodzeniu:

któraś z nóg rosła wolniej od drugiej, ujawniała się głuchota, której udało się przejść niezauważenie w wieku niemowlęcym, albo któraś z rąk okazywała się skarlłowaciała czy słabsza. Jednak krążyły też plotki o różnicach, które nie objawiały się w sposób namacalny: pewien chłopiec sprawiał wrażenie normalnego, do momentu gdy wybiegł z wrzaskiem z chaty, której dach niespodziewanie zawalił się kilka minut później; pewna dziewczynka opłakiwała swego owczarka na tydzień przed tym, jak psa potracił wóz jadący z sąsiedniej wioski. Takie osoby należały do grupy Omeg, których mutacje pozostawały niewidoczne: do wizjonerów. Nie było ich wiele – co najwyżej jedna osoba na kilka tysięcy. Wszyscy znali wizjonera, który co miesiąc pojawiał się na targu w Haven, dużym mieście położonym w dole rzeki. Chociaż obecność Omeg na targowiskach dla Alf była wzbroniona, mężczyznę tolerowano tam od lat, pozwalano mu się szwendać za straganami, między skrzyniami pełnymi towarów i stertami zgniłych warzyw. Gdy po raz pierwszy wybrałam się na targ, był już stary, ale nadał parał się przepowiadaniem farmerom pogody na kolejny sezon w zamian za monetę z brązu albo zdradzał córkom kupców, za kogo wyjdą za mąż. Był jednak dziwakiem: bez ustanku mamrotał coś pod nosem, jakby wypowiadał niekończące się zaklęcie. Pewnego razu, kiedy mijałam go w towarzystwie Zacha i taty, wizjoner krzyknął: „Ogień, ogień po wsze czasy!”. Właściciele pobliskich straganów nawet nie drgnęli – najwidoczniej tego typu wybuchy z jego strony były na porządku dziennym.

Taki właśnie los czekał większość wizjonerów: Wybuch wypalał im umysł, gdyż musieli raz za razem przeżywać go od nowa.

Nie jestem pewna, kiedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z własnej odmienności, ale byłam wystarczająco duża, aby rozumieć, że muszę ją ukrywać. W początkowych latach życia tkwiłam w nieświadomości, podobnie jak moi rodzice. Które dziecko nie budzi się od czasu do czasu z krzykiem wywołanym koszmarem? Sporo czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że w moich snach było coś dziwnego. Regularność, z jaką śnił mi się Wybuch. To, że potrafiła przyśnić mi się burza, która rozpętywała się dopiero kolejnego wieczoru.

Ukazane w snach szczegóły i sceny daleko wykraczały poza moje doświadczenie, ograniczone do wioski złożonej z czterdziestu kilku domów stłoczonych wokół zielonego placzyku z kamienną studnią. Nie znałam niczego poza tą płytką doliną, tymi chatami i oborami z drewna stojącymi kilkadziesiąt metrów od rzeki, wystarczająco wysoko, by uniknąć powodzi, każdej zimy zalewającej pola ożywczym mułem. Ale moje sny roily się od nieznanymi mi krajobrazów i obcych twarzy. Pojawiały się w nich fortece dziesięć razy wyższe od naszego domku o piaskowanej podłodze i niskim suficie podtrzymywanym belkami stropowymi. Miasta o ulicach szerszych od koryta naszej rzeki, wypełnione tłumami ludzi.

Gdy urosłam na tyle, by zacząć się nad tym zastanawiać, zrozumiałam, że Zach przez całą noc cieszy się niezmaconym niczym snem. Nauczyłam się leżeć w ciszy w naszej wspólnej kołysce i stopniowo uspokajać rozszalały oddech. Gdy wizje pojawiały się za dnia, zwłaszcza w postaci ryczącego błysku Wybuchu, tłumiałam krzyk. Kiedy tato po raz pierwszy zabrał nas do Haven, rozpoznałam zatłoczony plac targowy ze snów, ale zobaczywszy Zacha, który oniemiały z wrażenia przystanął i chwycił tatę za rękę, zrobiłam dokładnie to samo.

A nasi rodzice czekali. Jak większość rodziców zbudowali dla nas tylko jedną kołyskę, bo spodziewali się, że jedno z nas odeśłą, gdy tylko się nas rozdzielą i odstawi od piersi. Jednak kiedy w wieku trzech lat nadal byliśmy nierozłączni, ojciec zbudował dla nas dwa większe łóżka. Chociaż nasz sąsiad Mick znany był w całej dolinie ze swych stolarskich umiejętności, tym razem tato nie poprosił go o pomoc. Budował łóżka w pojedynkę, niemalże po kryjomu, na niewielkim placu, na który wychodziło kuchenne okno. W ciągu kolejnych lat, za każdym razem gdy skrzypiało pode mną moje koślawe, kiepsko wykonane łóżko, przypominałam sobie wyraz twarzy taty, który wtaszczał łóżka do pokoju i ustawiał je tak daleko od siebie, na ile pozwalały rozmiary ciasnego pomieszczenia.

Mama z tatą prawie przestali się do nas odzywać. Były to czasy suszy, kiedy wszystko racjonowano, i miałam wrażenie, że nawet słowa stały się towarem reglamentowanym. W naszej dolinie, gdzie nisko położone pola były wcześniej zalewane niemal każdej zimy, nurt rzeki zmienił się w żalostną strużkę, a jej obnażone koryto popękało z obu stron niczym stary gliniany garnek. Nawet w naszej dostatniej wiosce ludziom się nie przelewało. Przez pierwsze dwa lata plony były kiepskie, a trzeciego pozbawionego deszczu roku nie było nawet co zbierać i musieliśmy się utrzymywać z zaoszczędzonych na czarną godzinę monet. Wysuszone pola pokryte były pyłem. Część bydła padła – nie było paszy do kupienia, nawet za te nasze monety. Krążyły pogłoski o ludziach głodujących na wschodzie. Rada wysyłała patrole do wiosek, aby chronić je przed atakami ze strony Omeg. Tamtego lata Haven i większość pokaźniejszych miast zamieszkałych przez Alfę otoczono murami. Ale jedyne Omegi, które w owych latach widywałam, miały tylko naszą wioskę w drodze do przytułków i były zbyt wychudzone i wymęczone, by stanowić dla kogokolwiek zagrożenie.

Patrole wysyłane przez Radę nie ustały, chociaż susza dobiegła końca. Nie zmieniła się też nieufność, z jaką traktowali nas rodzice. Najdrobniejsze różnice między mną a Zachem były momentalnie dostrzegane i skrupulatnie analizowane. Gdy oboje dostaliśmy zapalenia płuc, podsłuchałam, jak rodzice dyskutują o tym, które z nas zachorowało pierwsze. Miałam wtedy jakieś sześć czy siedem lat. Przez podłogę sypialni słyszałam, jak w znajdującej się poniżej kuchni ojciec upiera się, że wyglądałam na rozpaloną już zeszłego wieczoru, czyli dobre dziesięć godzin

przed tym, kiedy wraz z Zachem obudziliśmy się z idealnie zsynchronizowaną gorączką.

Wtedy właśnie uzmysłowiłam sobie, że rezerwa okazywana nam przez ojca jest wyrazem podejrzliwości, a nie typowej dla niego mrukliwości; nieustanna czujność, z jaką przygląda się nam matka, wcale nie świadczyła o rodzicielskim oddaniu. Za młodu Zach przez cały dzień towarzyszył tacie na każdym kroku, chodząc za nim do studni, na pole, do obory. Gdy jednak zaczęliśmy dorastać, ojciec stał się wobec nas opryskliwy i podejrzliwy i zaczął odganiać od siebie Zacha, krzycząc, by wracał do domu. Mimo wszystko mój brat potrafił znaleźć wymówkę, aby towarzyszyć mu przy pierwszej lepszej okazji. Kiedy na przykład ojciec gromadził gałęzie, które spadły z drzew w położonym w górze rzeki zagajniku, Zach zabierał mnie tam na poszukiwania grzybów. A gdy tato zbierał kukurydzę na polu, Zachowi nagle przychodziła ochota, żeby zająć się naprawą zepsutej bramy prowadzącej na pobliskie pastwisko. Trzymał się od ojca na dystans, ale i tak podążał za nim niczym zagubiony cień.

Nocami, gdy rodzice rozmawiali na nasz temat, z całych sił zaciskałam powieki, jakby mogło to powstrzymać ich głosy przed przesączeniem się między deskami podłogi. Słyszałam, jak leżący na łóżku pod przeciwległą ścianą Zach przewraca się na drugi bok, oddychając w niespiesznym tempie. Nie wiedziałam, czy śpi, czy tylko udaje.

– Widziałaś coś nowego.

Wbiłam oczy w szary sufit celi, żeby uniknąć wzroku Spowiedniczki. Każde jej pytanie brzmiało niczym stanowcze stwierdzenie, jakby i tak sama już wszystko wiedziała. Oczywiście nie mogłam mieć pewności, że tak właśnie nie było. Dobrze rozumiałam, jak to jest, gdy człowiek potrafi przechwytywać strzępki cudzych myśli lub budzi się w reakcji na cudze wspomnienia. Ale Spowiedniczka była kimś więcej niż zwykłą wizjonerką, bo korzystała ze swej mocy w sposób świadomy. Za każdym razem, gdy pojawiała się w celi, czułam, jak jej umysł zatacza kręgi wokół mojego. Nigdy nie zgadzałam się na rozmowę, ale nie mogłam być pewna, ile rzeczy tak naprawdę udawało mi się zataić.

– Tylko Wybuch. To co zwykle.

Kobieta splotła, a następnie rozplotła dłonie.

– To może opowiesz mi coś, czego bym już nie słyszała od ciebie jakies dwadzieścia razy – poprosiła. – Niczego nie widziałam. Tylko Wybuch.

Przyjrzałam się jej twarzy, ale nie wyczytałam z niej, ile mogła wiedzieć. Doszłam do wniosku, że wyszłam z wprawy. Zbyt dużo czasu spędziłam odcięta od ludzi, a mina Spowiedniczki była nieprzenikniona. Starłam się skupić. Cera kobiety bladością dorównywała mojej, tyle że ja spędziłam kilka miesięcy w celi.

Widoczne na jej twarzy piętno w jakiś sposób rzucało się w oczy bardziej niż u innych, może dlatego, iż jej wyraz był tak niewzruszony. Gładka niczym oszlifowany nurtem rzeki kamyk skóra Spowiedniczki wybrzuszała się pośrodku czoła, w miejscu gdzie widniało nabrzmiałe czerwone piętno.

Ciężko było określić wiek Spowiedniczki. Na pierwszy rzut oka miała tyle lat co Zach i ja. Mnie jednak wydawała się kilkadziesiąt lat starsza: chodziło o przenikliwość jej spojrzenia i widoczną w nim moc, którą nie do końca udawało jej się ukryć.

– Zach chce, żebyś mi pomogła – oznajmiła.

– W takim razie przekaz mu, żeby sam tu przyszedł. Niech mnie odwiedzi.

Spowiedniczka parsknęła śmiechem.

– Strażnicy mówili mi, że przez pierwszych kilka tygodni wołałaś jego imię. Nawet teraz, po spędzeniu trzech miesięcy w celi, myślisz, że się tu pojawi?

– Przyjdzie – odparłam. – W końcu.

– Wydajesz się tego pewna – zauważyła Spowiedniczka, po czym lekko przechyliła głowę w bok. – Ale czy na pewno chcesz, żeby cię odwiedził?

Nigdy nie udałoby mi się jej wytłumaczyć, że to nie jest kwestia chęci. Równie dobrze można by stwierdzić, że rzeka „chce” płynąć do morza. Jak miałabym jej wyjaśnić, że to on mnie potrzebuje, chociaż to ja siedzę zamknięta w celi?

Próbowałam zmienić temat.

– Nie wiem nawet, czego tak naprawdę chcesz – powiedziałam. – Właściwie do czego twoim zdaniem jestem zdolna?

Przewróciła oczami.

– Jesteś taka jak ja, Cass. A dzięki temu wiem, co potrafisz, nawet jeśli nie chcesz się do tego przyznać.

Postanowiłam pójść na strategicznie zamierzone ustępstwo.

– Robią się coraz częstsze. Mam na myśli wizje Wybuchu – oznajmiłam.

– Mimo to wątpię, żebyś była w stanie dostarczyć nam jakichkolwiek wartościowych informacji na temat czegoś, co wydarzyło się czterysta lat temu.

Czułam, jak jej umysł bada krawędzie mojego. Przypominało to uczucie cudzych rąk obmacujących moje ciało. Próbowałam naśladować jej nieprzeniknioną pozę i zamknąć umysł.

Spowiedniczka rozsiadła się wygodnie, a następnie poprosiła:

– Opowiedz mi o Wyspie.

Powiedziała to spokojnym głosem, ale ledwo ukryłam szok wywołany świadomością, że tak łatwo przyszło jej przejrzeć mnie na wskroś. Wyspa zaczęła mi się ukazywać dopiero parę tygodni wcześniej, po ostatnim wyjściu na mury obronne. Z początku, gdy o niej śniłam, byłam pełna wątpliwości i zastanawiałam się, czy te wycinki morza i nieba nie są przypadkiem zwykłym marzeniem, a nie

wizją. Snem na jawie o otwartej przestrzeni, który miałby działać jako przeciwwaga dla świata ograniczonego do czterech szarych ścian, wąskiej pryczy i pojedynczego krzesła. Jednakże wizje zaczęły się pojawiać w regularnych odstępach, cechowały je konsekwencja i bogactwo szczegółów. Zrozumiałam, że to, co w nich widzę, istnieje naprawdę oraz że nie wolno mi o tym nikomu opowiadać. W ciszy, która zapadła obecnie w celi, nawet mój oddech wydawał się hałaśliwy.

– Wiesz, ja też ją widziałam – przyznała kobieta. – Opowiedz mi o niej.

Gdy jej umysł mnie sondował, czułam się wyeksponowana. Przypomniało mi się, jak tato obdzierał króliki ze skóry: moment, w którym ściągał futro, obnażając to, co kryło się pod spodem.

Starłam się zapieczętować te części umysłu, w których spoczywały wizerunki Wyspy: miasto ukryte w kalderze, domy zawieszane jeden nad drugim na stromym zboczu. Rozciągająca się we wszystkie strony bezlitosna szara toń wody, poznaczona wystającymi gdzieś ostrymi skałami. Widziałam to teraz równie wyraźnie jak w swoich licznych snach. Próbowałam wyobrazić sobie, że skrywam ów sekret w zaciśniętych ustach, tak jak Wyspa kryła we wnętrzu krateru tajemnicze miasto.

Wstałam i oznajmiłam:

– Nie ma żadnej Wyspy.

Spowiedniczka również podniosła się z krzesła.

– Módl się, żeby to była prawda – odparła.

Zaczęliśmy dorastać, a Zach przyglądał mi się z uwagą równie wytężoną co rodzice. W jego oczach każdy dzień, w którym nas nie rozdzielano, napiętnował go podejrzeniem o bycie Omegą, odwlekał zajęcie przez niego miejsca przynależnego mu w społeczności Alfa. Tak więc, nierozdzieleni, snuliśmy się po marginesie wioskowego życia. Inne dzieci szły do szkoły, a my uczyliśmy się wspólnie przy stole w kuchni. Grupki naszych rówieśników bawiły się nad rzeką, a my zdani byliśmy wyłącznie na siebie; spędzaliśmy czas tylko w swoim towarzystwie, niekiedy z pewnej odległości naśladowaliśmy ich harce. Trzymając się od nich na dystans wystarczająco duży, by nie mogły do nas krzyczeć albo obrzucać nas kamieniami, byliśmy w stanie podsłuchać jedynie strzępki śpiewanych przez nie wyliczanek. A potem w domu próbowaliśmy je odtworzyć, wypełniając luki wymyślonymi przez siebie słowami i wersami. Tkwiliśmy zawieszeni na naszej małej orbicie podejrzeń. Dla reszty wioski stanowiliśmy obiekt ciekawości, która jakiś czas później przekształciła się w nieskrywaną wrogość. Szepty sąsiadów stosunkowo szybko zmieniły się w okrzyki: „Trucizna! Dziwadło! Oszust!”. Nie wiedzieli, które z nas stanowi zagrożenie, więc traktowali nas oboje z równie

wielką pogardą. Z każdym kolejnym przyjściem na świat bliźniąt w wiosce, a także ich nieuchronnym rozdzieleniem nasza własna nierozdzielność coraz bardziej rzucała się w oczy. Syn naszych sąsiadów imieniem Oscar, którego lewa noga kończyła się na wysokości kolana, w wieku dziewięciu miesięcy został odesłany pod opiekę Omeg spokrewnionych z rodziną. Często widzieliśmy, jak jego siostra bliźniaczka, mała Meg, bawi się samotnie na ogrodzonym płocie podwórku przed domem.

– Na pewno tęskni za bratem – zauważyłam, gdy przechodziliśmy tamtędy z Zachem, patrząc, jak dziecko apatycznie żuje łąb drewnianego konika.

– O, tak – odparł. – Założę się, że jest zrozpaczona, bo nie musi już dzielić życia z tym dziwadłem.

– Jemu też na pewno brakuje rodziny.

– Omegi nie mają rodzin – odparł Zach, powtarzając slogan znany z propagandowych plakatów Rady. – Zresztą sama wiesz, jaki los spotyka rodziców, którzy próbują zatrzymać przy sobie małe Omegi.

Słyszałam te historie. Rada nie okazywała żadnej litości matkom i ojcom, którzy nie zgadzali się na rozdzielenie bliźniąt i nie chcieli rozstać się z jednym z nich. To samo tyczyło się rzadkich przypadków Alf, które nawiązywały romanse z Omegami. Krążyły plotki o karze publicznej chłosty albo i poważniejszych konsekwencjach. Jednak wielu rodziców odczekało, aż pozbędą się zdeformowanego potomstwa. Zgodnie z naukami Rady dłuższe przebywanie w towarzystwie Omeg stanowiło zagrożenie. W słowie „trucizna” syczanym przez naszych sąsiadów wyrażała się zarówno pogarda, jak i strach. Omegi należało przepędzić ze społeczności Alf na wzór trucizny wydalanej z ciała bliźniaka Alfa jeszcze w łonie matki. Zastanawiałam się, czy to nie jest przypadkiem jedyna przykrość, której nie dane nam było zaznać. Skoro nie możemy mieć dzieci, to przynajmniej nigdy nie będziemy musieli doświadczyć uczucia związanego z koniecznością oddania ich.

Zdawałam sobie sprawę, że moment odesłania mnie nadchodzi wielkimi krokami, a moja skrytość pomaga tylko odwlec to, co nieuniknione. Zaczęłam wręcz rozmyślać, czy moja obecna egzystencja – bycie obiektem nieustannej inwigilacji ze strony rodziców i reszty wioski – naprawdę jest lepsza niż wygnanie, które najprawdopodobniej miało się stać moim udziałem. Jedyną oprócz mnie osobą, która wiedziała, jak dziwacznie jest żyć na pograniczu dwóch światów, był Zach. Ale ja przez cały czas czułam na sobie jego mroczne, niewzruszone spojrzenie.

Powodowana chęcią znalezienia sobie towarzystwa odznaczającego się mniejszą nieufnością złapałam trzy czerwone żuki, których chmara zawsze fruwała nieopodal studni. Trzymałam je w słoju na parapecie i lubiłam patrzeć, jak się po nim gramolą, oraz słuchać stłumionego stukotu ich skrzydełek o szkło. Tydzień

później natknęłam się na jednego z nich, gdy przyszpilony do drewnianego parapetu i pozbawiony skrzydełka bez końca obracał się wokół własnej osi.

– Chodziło o eksperyment – wyjaśnił Zach. – Chciałem zobaczyć, jak długo będzie w stanie tak pożyć.

Opowiedziałam o wszystkim rodzicom.

– Jest po prostu znudzony – odparła mama. – Odbija mu, bo nie chodziecie do szkoły, tak jak powinniście.

Nad naszymi głowami, niczym żuk nabity na szpilkę, wirowała niewypowiedziana prawda: tylko jednemu z nas dane będzie pójść w końcu do szkoły.

Rozgniotłam żuka obcasem buta, żeby położyć kres jego mękom. Wieczorem zaniósłam słój z dwoma pozostałymi owadami pod studnię. Zdjęłam wieczko i przychyliłam naczynie, ale żuki wcale nie rzuciły się do wyjścia. Wyciągnęłam je przy użyciu żdźbła trawy, a następnie ostrożnie przeniosłam na kamienną krawędź, na której sama siedziałam. Jeden z nich wykonał krótki lot i wylądował na mojej gołej nodze. Pozwoliłam mu tam przez chwilę posiedzieć, a potem dmuchnięciem zmusiłam go do wzbicia się w powietrze.

Zach widział pusty słój, który ustawiłam tamtego wieczoru obok łóżka, ale żadne z nas nie odezwało się ani słowem.

Jakiś rok później, gdy w spokojne popołudnie zbierałam nad rzeką drewno na opał, popełniłam błąd. Szłam za Zachem, kiedy nagle coś wyczułam: coś na kształt wizji, która wdarła się między realny świat a mój wzrok. Skoczyłam przed siebie i zepchnęłam Zacha na bok, zanim gałąź zaczęła spadać. Była to instynktowna reakcja, jedna z tych, które nauczyłam się tłumić. Później zastanawiałam się, czy to lęk o jego bezpieczeństwo sprawił, że na chwilę się zapomniałam, czy też wyczerpanie ciągłą obserwacją. Tak czy inaczej, gdy okazał się konar zaskrzypiał, a potem spadł na ziemię w miejscu, gdzie wcześniej stał mój brat, łamiąc po drodze inne gałęzie, Zach leżał bezpieczny pode mną.

Gdy nasze oczy się spotkały, zdumiał mnie ogrom ulgi, jaką ujrzałam w jego spojrzeniu.

– Nic poważnego by ci się nie stało – powiedziałam.

– Wiem – odparł.

Pomógł mi wstać, po czym otrzepał moją sukienkę z liści.

– Widziałam ją – zaczęłam wyjaśniać odrobinę zbyt gorączkowo. – To znaczy zobaczyłam, jak spada.

– Nie musisz się tłumaczyć – oznajmił. – Ale ja powinienem ci podziękować za zepchnięcie mnie z drogi.

Po raz pierwszy od wielu lat Zach obdarzył mnie pozbawionym

samokontroli uśmiechem od ucha do ucha, który pamiętałam z wczesnego dzieciństwa. Znałam go jednak zbyt dobrze, aby się z tego cieszyć.

Upaął się, że dorzuci zebrane przeze mnie drewno do swojej sterty i sam zaniesie cały ładunek do wioski.

– Jestem ci to winien – stwierdził.

W ciągu następnych tygodni nadal spędzaliśmy większość czasu razem, ale podczas naszych zabaw Zach stał się mniej szorstki. Pozwalał mi się dogonić w drodze do studni. A gdy poszliśmy skrótem przez pole, ostrzegł mnie przed kępą pokrzyw, na które natknął się pierwszy. Nie ciągnął mnie już za włosy ani nie ruszał moich rzeczy.

Zdobyta przez mojego brata wiedza pozwoliła mi zaznać odrobiny wytchnienia od codziennej dawki okrucieństwa z jego strony, ale nie stanowiła wystarczającej podstawy, by nas rozdzielić. Potrzebny był mu dowód – nauczyły go tego lata spędzone na żarliwym, acz bezskutecznym dochodzeniu swoich praw. Zach czekał, aż znowu się zapomnę, ale przez prawie rok udawało mi się utrzymywać mój sekret w tajemnicy. Wizje przybrały na wyrazistości, lecz uczyłam się na nie nie reagować, powstrzymywać się od krzyku na widok płomieni trawiących moje noce oraz odległych miejsc wkradających się do moich myśli na jawie. Zaczęłam spędzać więcej czasu w samotności, wypuszczałam się w górę rzeki do punktów tak odległych jak głęboki wąwóz ciągnący się od jej brzegu do opuszczonych silosów. Zach nie podążał już za mną, gdy ruszałam gdzieś w pojedynkę.

Rzecz jasna, nigdy nie weszłam do wnętrza silosów. Szczątki tego typu stanowiły tabu. Nasz zniszczony świat usiany był ruinami, ale prawo zabraniało się do nich zbliżać – na tej samej zasadzie nie wolno było posiadać żadnych relikwów. Słyszałam pogłoski o zdesperowanych Omegach, które przeczesały gruzy w poszukiwaniu użytecznych przedmiotów. Ale co tam mogło być do ocalenia po tylu wiekach? Wybuch zrównał większość miast z ziemią. Zresztą nawet gdyby zakazane miasta kryły w sobie jeszcze coś użytecznego, kto ośmieliłby się po to sięgnąć, wiedząc, jaka kara grozi za podobny występki?

Ale jeszcze bardziej przerażające od konsekwencji prawnych były plotki o tym, co mogły skrywać szczątki. W ruinach niczym wściekłe owady w gnieździe os gromadziło się podobno groźne promieniowanie. Zanieczyszczenie teraźniejszości przeszłością. Jeśli już w ogóle wspomniano o okresie sprzed Wybuchu, to przyciszonym głosem, w którym pobrzmiwały jednocześnie podziw i odraza.

Swego czasu prowokowaliśmy się z Zachem nawzajem, by podejść do silosów. Zawsze był ode mnie odważniejszy, więc pewnego razu podbiegł do najbliższego z nich i położył dłoń na zaokrąglonej betonowej ścianie, a następnie wrócił do mnie oszołomiony dumą i strachem. Ale potem już zawsze chadzałam

tam sama i godzinami przesiadywałam pod drzewem, spod którego mogłam obserwować silosy. Trzy olbrzymie cylindryczne budynki zachowały się w stanie o wiele lepszym niż większość ruin – osłonił je wąwóz, w którym stały, oraz czwarty silos, który najmocniej odczuł siłę Wybuchu. Została po nim tylko okrągła podstawa, reszta budowli runęła. Z ziemi wystawały pokręcone metalowe dźwigary przypominające zakrzywione palce pogrzebanego żywcem świata. Mimo brzydoty silosów byłam im wdzięczna za ich obecność – gwarantowały, że nikt inny nawet nie zbliży się do tego miejsca, mogłam więc przynajmniej liczyć na samotność. Co więcej, w przeciwieństwie do murów Haven czy większych wiosek znajdujących się w okolicy, na wietrze nie trzepotały tu plakaty rozwieszane przez Radę, głoszące: „Bądź czujny wobec zagrożeń ze strony Omeg. Siła Alf w jedno: Wspieraj wyższą dziesięcinę dla Omeg”. Od czasów suszy jedyne, czego nie brakowało, to właśnie plakatów Rady.

Zastanawiałam się chwilami, czy do ruin nie ciągnie mnie dlatego, że dostrzegam w nich samą siebie. My, Omegi, osobniki uszkodzone, przypominaliśmy te zakazane szczątki pod jednym względem: byliśmy niebezpieczni. Stanowiliśmy zanieczyszczenie. Pamiątkę po skutkach Wybuchu.

Chociaż Zach nie towarzyszył mi już podczas wypadów do silosów ani w innych wędrownkach, wiedziałam, że nadal mnie obserwuje, i to z jeszcze większą uwagą niż wcześniej. Kiedy wracałam spod silosów zmęczona długim spacerem, posyłał mi pełen czujności uśmiech i uprzejmie pytał, jak minął mi dzień. Zdawał sobie sprawę z tego, gdzie byłam, ale nigdy nie pisał ani słowa rodzicom, choć bez wątpienia wpadliby w szal, gdyby się dowiedzieli. Lecz Zach zostawiał mnie w spokoju. Przypominał węża, który cofa się, by zaatakować.

Za pierwszym razem, gdy próbował mnie wydać, zabrał mi moją ulubioną lalkę, Scarlett, ubraną w uszytą przez mamę czerwoną sukienkę. Kiedy dostaliśmy z Zachem osobne łóżka, każdej nocy tuliłam się do niej, aby podnieść się na duchu. Nawet w wieku dwunastu lat spałam ze Scarlett pod pachą, czując, jak szorstka, spleciona w warkocze wełna, z której zrobione były jej włosy, w pokrzepiający sposób ociera się o moją skórę. Aż któregoś ranka moja lalka zniknęła.

Gdy spytałam o nią przy śniadaniu, Zach prawie pękł z poczucia triumfu.

– Ukryłem ją poza wioską. Zabrałem ją, gdy Cass spała – oznajmił rodzicom.
– Jeśli znajdzie miejsce, gdzie ją zakopałem, będzie to oznaczało, że jest wizjonerką. Będziemy mieli dowód.

Mama go zbeształa, a mnie położyła dłoń na ramieniu, ale przez cały dzień widziałam, że rodzice obserwują mnie jeszcze uważniej niż zwykle.

Zgodnie z planem zalałam się łzami. Widok pełnej nadziei czujności okazywanej przez rodziców tylko mi to ułatwił. Jakże chętnie rozwiązałyby wreszcie zagadkę, którą stanowiliśmy z Zachem, nawet jeśli oznaczałoby to pozbycie się mnie. Wieczorem wyjęłam z niewielkiego pudełka na zabawki lalkę

o niezdarnie obciętych krótkich włosach, ubraną w prostą białą sukienkę. Scarlett mogła już wrócić z wygnania, do którego zmusiłam ją tydzień wcześniej, kiedy to ubrałam w jej sukienkę inną, niezbyt lubianą lalkę, a następnie skróciłam jej długie pukle.

Od tamtej pory Scarlett stanowiła sekret leżący otwarcie na moim łóżku. Nigdy natomiast nie wybrałam się pod osmaloną uderzeniem pioruna wierzbę, by odkopać schowaną przez Zacha lalkę w czerwonej sukience.

Rozdział trzeci

Rodzice znowu kłócili się na dole, a ich podniesione głosy przeciskały się między deskami podłogi niczym trujący dym.

– Z każdym dniem stają się coraz większym problemem – stwierdził tato.

Głos mamy był mniej donośny.

– One nie są problemem, tylko naszymi dziećmi.

– Tylko jedno z nich – odparł na to ojciec.

Rozległ się głośny stukot stawianego na stole garnka.

– Drugie jest zagrożeniem. Trucizną. Tyle że nie wiemy które.

Zach nie znosił, gdy widziałam, jak płacze, ale ogarek świecy rzucał wystarczająco dużo światła, żebym mogła dostrzec lekkie drżenie jego pleców pod kocem. Wyszłam spod kołdry. Podłoga zaskrzypiała nieznacznie, kiedy wykonałam dwa kroki dzielące mnie od jego łóżka.

– On wcale tak nie myśli – szepnęłam, kładąc mu dłoń na plecach. – Nawet gdy mówi tego typu rzeczy, nie chodzi mu o to, żeby cię zranić.

Zach usiadł, strząsając z siebie moją rękę. Zaskoczyło mnie, że nawet nie próbował otrzeć łez.

– Nie rani mnie to, co mówi – oświadczył. – Zresztą ma całkowitą rację. Chcesz mnie poklepać po plecach, pocieszyć, udawać, że się przejmujesz? Oni mnie nie krzywdzą. Ani nawet dzieciaki, które rzucają w nas kamieniami. Widzisz to wszystko? – Zatoczył ręką łuk, którym objął dźwięki dobiegające z kuchni oraz własną zapłakaną twarz. – To twoja wina. Problemem jesteś ty, a nie oni. To przez ciebie tkwimy w stanie zawieszenia.

Nagle zdałam sobie sprawę z chłodu desek pod stopami i nocnego powietrza na obnażonych ramionach.

– Chcesz pokazać, że naprawdę się o mnie troszczysz? – spytał. – Powiedz im prawdę. Mogłabyś to wszystko skończyć w mgnieniu oka.

– Naprawdę chciałbyś, żeby mnie wygnali? Przecież chodzi o mnie. Nie o jakąś dziwną istotę. Zapomnij na chwilę o tym, co Rada opowiada o skażeniach. Pomyśl o mnie. Przecież mnie znasz.

– Bez przerwy to powtarzasz. Skąd mam wiedzieć, czy cię znam? Nigdy nie byłaś ze mną szczerą. Nigdy nie wyjawiałaś mi prawdy. Sam musiałem się wszystkiego domyślić.

– Nie mogłam ci powiedzieć – odparłam. Nawet wyznanie wygłoszone w zaciszu naszego pokoju było ryzykowne.

– Bo mi nie ufasz. Udajesz, że jesteśmy sobie tacy bliscy, ale to ty przez cały czas kłamałaś. Nigdy nie ufałaś mi na tyle, żeby wyznać prawdę. Przez wszystkie te lata musiałem się jej domyślać. Żyć w strachu, że to ja mogę być dziwadłem. A teraz oczekujesz, że ci zaufam?

Wróciłam do łóżka. Zach ciągle się we mnie wpatrywał. Czy nasze losy mogłyby potoczyć się inaczej, gdybym wyznała mu wówczas prawdę? Czy znaleźlibyśmy sposób na wspólne pielęgnowanie sekretu, życie w zgodzie? Czyżbym to ja zaraziła go podejrzliwością? Może to ona była trucizną, którą miałam w sobie nosić – zamiast przenoszonego przez Omegi skażenia Wybuchem zostałam obarczona tajemnicą.

Na górnej wardze Zacha usadowiła się łza. W świetle świecy lśniła złotym blaskiem.

Nie chciałam, żeby dostrzegł bliźniaczą łzę na mojej twarzy. Wyciągnęłam dłoń w kierunku stołu i zdusiłam płomień.

– To się musi wreszcie skończyć – wyszeptał mój brat w mroku, po części prosząc, po części grożąc.

Niecierpliwość, z jaką Zach czekał na szansę wydania mnie, wzrosła wraz z pojawieniem się choroby u ojca. Tato zaniemógł, gdy mieliśmy po trzynaście lat. Podobnie jak rok wcześniej nikt nawet nie wspomniął o naszych urodzinach – wiek stawał się naznaczonym coraz większym wstydem przypomnieniem o naszej nierozdzielności. Tamtej nocy w sypialni Zach spytał cicho:

– Wiesz, jaki dzisiaj dzień?

– Oczywiście – odparłam.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział.

Szeptał, ciężko więc było stwierdzić, czy mówi to sarkastycznie.

Dwa dni później tato zasłabł. A przecież zawsze wydawał się równie krzepki i twardy co dębowa belka biegnąca pod sufitem na całej długości kuchni. Wyciągał ze studni wiadra z wodą szybciej niż ktokolwiek inny w wiosce, a gdy byliśmy z Zachem mali, nosił nas oboje na rękach. Nadal mógłby to robić, z tym że obecnie rzadko nas dotykał. No i pewnego upalnego dnia zatoczył się i padł na kolana na środku pola. Łuskałam akurat groch na kamiennym murku przed domem, gdy dobiegły mnie krzyki mężczyzn, którzy z nim pracowali.

Wieczorem, po tym jak sąsiedzi przynieśli go do naszej chaty, matka posłała po bliźniaczkę taty, Alice, mieszkającą w osadzie Omeg w dalszej części równiny. Zach pojechał po nią z Mickiem wozem zaprzężonym w woły i gdy nazajutrz wrócili, ciotka leżała z tyłu na sianie. Nigdy wcześniej jej nie widzieliśmy i jedyne podobieństwo, jakie potrafiłam dostrzec między nią a tatą, stanowiła gorączka oblewająca ich ciała lśniącym potem. Kobieta była chuda i miała długie włosy, ciemniejsze niż tato. Szorstką brązową tkaninę, z której uszyto jej sukienkę, wielokrotnie naprawiano, a teraz oblepiona była jeszcze sianem. Spod przyklejonych do spoconego czoła straków wyłaniało się piętno Omegi.

Zajęliśmy się nią tak dobrze, jak tylko potrafiliśmy, ale nie ulegało

wątpliwości, że nie zostało jej dużo czasu. Oczywiście nie mogliśmy wpuścić jej do domu, ale nawet obecność ciotki w szopie wystarczyła, aby rozsierdzić Zacha. Drugiego dnia jego wściekłość osiągnęła swój szczyt.

– To odrażające! – zawołał. – Ona jest odrażająca! Jak to możliwe, że leży sobie tutaj, a my uwijamy się wokół niej niczym służba? To ona go zabija. A przebywanie w jej towarzystwie jest dla nas groźne.

Mama nie próbowała go uspokoić, zauważyła tylko cichym głosem:

– Zabijałaby go o wiele szybciej, gdybyśmy zostawili ją samą w brudnej chacie.

To uciszyło Zacha. Chciał się pozbyć Alice, ale nie kosztem przyznania się przed mamą do tego, co wyznał mi, gdy leżeliśmy poprzedniej nocy w łóżkach; do widoku, jaki ujrzał, kiedy pojechał odebrać ciotkę z osady. Należąca do niej chata była przytulna i zadbana, miała wybielone wapnem ściany, a nad paleniskiem wisiały wiązanki suszonych ziół, tak jak u nas w domu.

Mama tłumaczyła dalej:

– Ratując ją, ocalimy i jego.

Dopiero gdy zapadła noc, świeca została zgaszona, a z pokoju taty i mamy nie dobiegały już żadne dźwięki, Zach opowiedział mi, co widział w osadzie. Mówił, że inne Omegi próbowały go powstrzymać przed zabraniem Alice – chcieli się nią zająć na miejscu. Jednak żadna Omega nie odważyłaby się spierać z Alfą, a Mick wymachiwał biczem tak długo, aż tłum się cofnął.

– Ale czy to nie okrucieństwo odbierać ją rodzinie? – spytałam szeptem.

– Omegi nie mają rodzin – wyrecytował Zach.

– Nie mówię przecież o dzieciach, tylko o ludziach, których ona kocha. Przyjaciołach, może nawet mężu.

– Mężu? – Pozwolił temu słowu zawisnąć w powietrzu.

Oficjalnie Omegom nie wolno się było pobierać, ale wszyscy wiedzieli, że i tak to robią, mimo że Rada nie uznałaby związków tego typu.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nikt z nią nie mieszka – odparł. – Tylko kilka pokrak z jej wioski uparło się, że wiedzą, co jest dla niej najlepsze.

Wcześniej rzadko mieliśmy okazję przyglądać się Omegom, nie mówiąc o spędzaniu z nimi czasu w jednym pomieszczeniu. Małego Oscara z domu po sąsiedzku odesłano, gdy tylko został odstawiony od piersi i oznaczony. Nieliczne Omegi, które przechodziły przez nasz teren, rzadko zatrzymywały się na dłużej niż jedną noc, a obóz rozbijały nad rzeką poza wioską. Byli to włóczędzy, którzy chcieli spróbować szczęścia w jednej z większych osad dla Omeg położonych na południu. A w latach gdy plony były kiepskie, Omegi, które zarzucały uprawę na wpół jałowej ziemi wyznaczonej im na potrzeby osadnictwa, kierowały się do jednego z przytułków położonych w okolicach Wyndham. Miejsca te stanowiły

ustępstwo Rady wobec zabójczej więzi łączącej bliźnięta. Nie można było pozwolić Omegom zginąć z głodu, gdyż to pociągnęłoby za sobą śmierć ich braci i siostr, w pobliżu większych miast stworzono więc przytułki, w których przyjmowano Omegi, by zapewnić im dach nad głową i karmić je na koszt Rady. Jednakże nieliczne Omegi udawały się tam chętnie – była to raczej ostatnia deska ratunku dla głodujących lub chorych. Przytułki funkcjonowały jednocześnie jako domy pracy, w których osoby poszukujące pomocy musiały odpłacać Radzie za okazaną szczodrość harówką na farmach wchodzących w skład rozległego kompleksu, dopóki dług nie został uznany za spłacony. Niewiele Omeg gotowych było zrzec się wolności w zamian za trzy posiłki dziennie.

Pewnego razu poszłam z mamą zaoferować jakieś resztki grupie Omeg zmierzających do przytułku pod Wyndham. Było już ciemno, a mężczyzna, który odszedł od ogniska, aby przyjąć pakunek od mamy, nie odezwał się ani słowem, gestem dłoni zakomunikował tylko, że jest niemową. Starłam się nie gapić na piętno na jego czole. Był tak chudy, że kłykcie stanowiły najgrubsze partie każdego z palców, a kolana były szersze od nóg. Jego zabiedzona skóra wydawała się z trudem opinać kości. Przyszło mi do głowy, że mogłybyśmy na kilka minut usiąść przy ogniu wraz z wędrowcami, ale nieufność widoczna w oczach mamy dorównywała tej, z jaką patrzył na nas mężczyzna. Za jego plecami widziałam grupę zebraną wokół buzujących płomieni. Ciężko było odróżnić dziwaczne cienie rzucane przez blask ogniska od zdeformowanych ciał Omeg. Dostrzegłam człowieka, który pochylił się do przodu i grzebał w palenisku patykiem trzymanym między dwoma kikutami zastępującymi mu ramiona.

Gdy patrzyło się na kulących się wokół ognia zahukanych ludzi o wychudłych ciałach, niełatwo było dać wiarę pojawiającym się od czasu do czasu pogłoskom o stworzonym przez Omegi ruchu oporu oraz Wyspie, gdzie rzekomo miał się on zrodzić. Jak mogliby śnić, że uda im się stawić czoła Radzie i tysiącom jej żołnierzy? Omegi, które dane mi było zobaczyć, okazywały się zabiedzone, ułomne. I jak my wszyscy musiały znać historię tego, co wydarzyło się wiek lub ponad wiek temu, kiedy to na wschodzie wybuchło powstanie. Rzecz jasna, Rada nie mogła zabić rebeliantów ze względu na to, co stałoby się wtedy z ich bliźniakami, ale podobno spotkała ich o wiele gorsza kara. Tortury tak straszne, że ich bracia i siostry padali na ziemię z wrzaskiem, nawet jeśli dzieliły ich setki kilometrów. Nikt nigdy nie widział już zbuntowanych Omeg, ale ich rodzeństwo jeszcze przez wiele lat musiało znosić trudny do wyjaśnienia ból.

Po stłumieniu powstania Rada nakazała puścić z dymem cały wschód. Wszystkie osady zostały doszczętnie spalone, nawet te, które nie brały udziału w zrywie. Żołnierze obrócili w popiół i plony, i domy, mimo że wschód już wcześniej stanowił złowieszczy rejon na skraju Pustkowi, gdzie żadna Alfa nie chciałaby się osiedlić. Niczego nie oszczędzano, aż w końcu można było odnieść

wrażenie, że to Pustkowiec rozszerzyły swój zasięg na zachód.

Przypomniały mi się te opowieści, gdy patrzyłam na grupkę Omeg pochyłających swe dziwaczne ciała nad resztkami podarowanymi im przez mamę. Wzięła mnie za rękę i szybko poprowadziła z powrotem do wioski, a ja ze wstydem zdałam sobie sprawę, że odczuwam ulgę. Widok niemego Omegi, który przyjmował jedzenie, nie patrząc nam w oczy, prześladował mnie przez kilka kolejnych tygodni.

Ale siostra bliźniaczka mojego ojca nie była niemową. Alice przez trzy dni jęczała, krzyczała i przeklinała. Słodkawy, mleczny odór jej oddechu najpierw wypełnił szopę, a potem – wraz z rozwojem choroby taty – również dom. Żadnemu z ziół, które mama dorzucała do ognia, nie udało się go stłumić. Podczas gdy ona zajmowała się ojcem, Zach i ja mieliśmy za zadanie na zmianę siedzieć przy ciotce. Jednak w ramach niepisanej umowy większość czasu spędzaliśmy tam wspólnie.

Pewnego ranka, gdy przekleństwa wykrzykiwane przez Alice zmieniły się w kaszel, Zach spytał ją ścisłym głosem:

– Co ci właściwie dolega?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Gorączka, ta sama, którą ma wasz ojciec.

Mój brat popatrzył na nią wilkiem.

– Ale co dolegało ci przedtem? – spytał.

Alice parsknęła śmiechem, zaniosła się kaszlem, a potem znowu zaczęła się śmiać. Gestem dłoni poleciła nam się zbliżyć, po czym ściągnęła z siebie przepoconą pościel. Jej koszula nocna kończyła się tuż nad kolanami. Spojrzeliśmy na jej nogi z ciekawością dorównującą odrazie. Z początku nie widzieliśmy między nimi różnicy: były chude, ale silne. Stopy też nie rzucały się w oczy. Słyszałam kiedyś historię o Omedze, którego całe ciało porastały przypominające łuski paznokcie, ale paznokcie ciotki znajdowały się na swoim miejscu, a w dodatku były czyste i schludnie przycięte.

Zach zaczął się niecierpliwić.

– No i? O co chodzi?

– Nie uczą was liczyć w szkole? – spytała drwiąco Alice.

Powiedziałam na głos to, co Zachowi nie przeszłoby przez usta:

– Nie ходzimy do szkoły. Nie wolno nam, bo nie zostaliśmy rozdzieleni.

– Ale liczyć potrafimy – wtrącił szybko. – W domu uczymy się rachunków, pisanie i różnych innych rzeczy.

Wzrok Zacha, podobnie jak mój, ponownie podążył ku stopom ciotki: pięć palców u lewej stopy, siedem u prawej.

– Na tym właśnie polega mój problem, skarbie – oznajmiła kobieta. – Dolega mi nadmiar palców. – Spojrzała na zgaszoną twarz Zacha i przestała się uśmiechać.

– Ale to nie wszystko – dodała tonem ocierającym się o życzliwość. – Widziałeś,

jak słańiałam się na nogach, gdy szłam do wozu i gdy z niego zeszałam, ale zawsze kulałam, bo moja prawa noga jest krótsza i słańsza od drugiej. No i nie mogę mieć dzieci: jestem „ślepy m zaułkiem”, jak lubią określać nas Alf. Jednak palce u nóg stanowią główny problem: nigdy nie miałam okrągłej sumki. – Znowu zaczęła się śmiać, a potem spojrziała na Zacha, unosząc brew. – Gdybyśmy naprawdę tak drastycznie różnili się od Alf, mój drogi, to po co by mieli nas piętnować? – Nie odpowiedział, więc kontynuowała: – A skoro Omegi są takie bezradne, to dlaczego, twoim zdaniem, Rada tak bardzo boi się Wyspy?

Zach zerknął przez ramię, a potem uciszył ją tak gwałtownie, że poczułam jego ślinę na ramieniu.

– Wyspa nie istnieje, wszyscy to wiedzą! To tylko plotka, kłamstwo!

– To dlaczego masz taką przerażoną minę? – spytała Alice.

Tym razem to ja odpowiedziałam:

– Ostatnim razem gdy szliśmy drogą do Haven, widzieliśmy spaloną chatę.

Tato mówił, że należała do pary Omeg, które roznosiły plotki na temat Wyspy.

– Powiedział, że żołnierze Rady zabrali ich w środku nocy – dodał Zach, ponownie oglądając się na drzwi.

– Ludzie gadają też, że w Wyndham jest plac, na którym chłoszcze się Omegi, które opowiadały o Wyspie – oznajmiłam. – Batożą ich w miejscu publicznym, żeby wszyscy widzieli.

Alice wzruszyła ramionami.

– Wygląda mi na to, że Rada wkłada w to wszystko zbyt dużo wysiłku jak na zwykłą plotkę czy kłamstwo.

– To jest kłamstwo – syknął Zach. – A ty jesteś szalona i musisz zamilknąć, bo wpędzisz nas wszystkich w kłopoty. Tego typu miejsce nie mogłoby powstać, Omegi nigdy by sobie nie poradziły z utrzymaniem go. Zresztą Rada by je znalazła.

– Na razie nie znalazła.

– Bo nie istnieje – odparł. – To tylko wymysł.

– Może to wystarczy – rzekła ciotka z uśmiechem, który nie zniknął z jej warg nawet kilka minut później, gdy gorączka ponownie pozbawiła ją przytomności.

Zach wstał.

– Idę zobaczyć, co z tatą – powiedział.

Skinęłam głową i przyłożyłam nasączoną chłodną wodą flanelę do głowy chorej.

– Tato będzie w takim samym stanie, czyli nieprzytomny – stwierdziłam, ale Zach i tak wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

Kiedy ścierka spoczęła na piętnie znajdującym się pośrodku czoła Alice, zaczęłam dostrzegać pewne podobieństwo rysów jej i taty. Pomyślałam o ojcu leżącym dziesięć metrów dalej w chacie. Za każdym razem gdy przykładałam

tkaninę do czoła ciotki, krzywiąc się w reakcji na cuchnący chorobą oddech, wyobrażałam sobie, że to jego pielęgnuję. Po upływie minuty położyłam swoją niewielką dłoń na dłoni Alice gestem, na jaki ojciec nie zgadzał się już od lat. Zastanawiałam się, czy to coś złego, że doświadczam bliskości obcej osoby, która obdarzyła nasz dom niechcianym podarunkiem w postaci choroby taty.

Alice zasnęła, a oddech gulgotał jej lekko w gardle. Gdy wyszłam z szopy, Zach siedział na ziemi po turecku w promieniach popołudniowego słońca.

Usiadłam obok niego. Mierzył szczyrby między zębami przy użyciu źdźbła suchej trawy.

Po chwili powiedział:

– Wiesz, widziałem, jak upada.

Powinłam się była tego domyślić, wiedząc, że Zach śledzi tatę, gdy tylko to możliwe.

– Szukałem ptasich jaj na drzewach rosnących na końcu pola. Wszystko widziałem. W jednej chwili stał, a potem upadł, tak po prostu. – Wypluł z ust kawałek siana. – Wstał i trochę się zataczał, jakby za dużo wypił, próbował wesprzeć się na widłach. A potem znowu upadł, tym razem na twarz, więc zboże mi go przysłoniło.

– Przykro mi. To musiało być straszne.

– Przykro ci? To jej powinno być przykro.

Zach wskazał na znajdującą się za nami szopę, z której wnętrza dobiegały nas dźwięki pełnych płynu płuc Alice walczących o kolejny oddech.

– On umrze, prawda? – spytał.

Nie było sensu go okłamywać, więc po prostu skinęłam głową.

– Nie możesz nic zrobić? – Złapał mnie za rękę.

Spośród wszystkich rzeczy, które wydarzyły się na przestrzeni ostatnich kilku dni, takich jak omdlenie taty i przybycie Alice, najdziwniejszą okazało się sięgnięcie Zacha po moją dłoń, gdyż ostatni raz zrobił to, kiedy byliśmy bardzo mali.

Kiedys Zach znalazł w rzece skamielinę: mały czarny kamyk, w którego powierzchni odcisnięta była skrzyta skorupa prehistorycznego ślimaka. Ślimak i kamień połączyły się w jedno, a ja potem często uświadamiałam sobie, że to tak jak Zach i ja. Byliśmy w sobie nawzajem osadzeni. Po pierwsze, z racji bliźniactwa, a po drugie, ze względu na wszystkie te lata spędzone razem. Nie była to kwestia wyboru, podobnie jak ślimak i kamień nie mieliśmy nic do gadania.

Uścisnęłam jego dłoń.

– Co miałabym zrobić? – spytałam.

– Cokolwiek. Nie wiem. Coś. To niesprawiedliwe, że ona go zabija.

– To nie tak – zaprzeczyłam. – Ona tego nie robi, żeby się na nim odgryźć. Gdyby to on pierwszy zachorował, sytuacja byłaby identyczna.

– To niesprawiedliwe – powtórzył Zach.

– Choroby nie są sprawiedliwe, bez względu na to, kto choruje. Po prostu się przytrafiają.

– Wcale nie. Nie w przypadku Alf. My prawie nigdy nie chorujemy. Zawsze chodzi o Omegi. To one są słabe, chorowite. Przez truciznę, którą w sobie noszą, tę z Wybuchu. Ona z nich dwojga jest słabsza, skażona. Pociągnie tatę ze sobą do grobu.

Nie mogłam się z nim nie zgodzić w kwestii chorób – nie ulegało wątpliwości, że Omegi były na nie o wiele bardziej podatne.

– Przecież to nie jej wina – zasugerowałam. – Zresztą gdyby ojciec wpadł do studni albo ubódł go byk, ona umarłaby razem z nim.

Zach puścił moją dłoń.

– Nie troszczysz się o niego, bo nie jesteś jedną z nas – stwierdził.

– Oczywiście, że się o niego troszczę.

– No to zrób coś – powiedział i ze złością otarł łzę, która pojawiła się w kąciku jego oka.

– Nic nie mogę zrobić – odparłam.

Słyszałam, że wizjonerzy posiadają rzekomo różne umiejętności, takie jak zdolność przewidywania pogody, wyszukiwania źródeł wody na dotkniętej suszą ziemi lub wykrycia, czy dana osoba mówi prawdę. Jednak nigdy nie doszły mnie słuchy o ich talentach uzdrowicielskich. Nie potrafiliśmy zmieniać świata, tylko w pokrętny sposób przewidywać jego następny krok.

– Nikt by się nie dowiedział – szepnął Zach. – Gdybyś mogła mu pomóc, nie pisnąłbym ani słowa. Nikomu.

To, czy mu wierzyłam, nie grało żadnej roli.

– Nic nie mogę zrobić – powtórzyłam.

– To jaki jest sens tego, że jesteś wybrykiem natury, skoro nie potrafisz nawet zrobić niczego użytecznego?

Sięgnęłam po jego dłoń.

– On jest także moim tatą.

– Omegi nie mają rodzin – powiedział Zach, wrywając rękę.

Ciotka i tato przeżyli jeszcze dwa dni. Było już po północy, oboje z Zachem spaliśmy w szopie, a rżący oddech Alice ocierał się ze zgrzytem o nasze sny. Nagle się obudziłam. Potrząsnęłam Zachem i nie próbując nawet zachować swej wizji dla siebie, powiedziałam:

– Idź do taty. Szybko.

Zanim zdążył mnie o cokolwiek oskarżyć, pędził już po wysypanej żwiru ścieżce prowadzącej do chaty. Podniosłam się, żeby pójść w jego ślady: w końcu konał mój ojciec. Ale Alice otworzyła oczy, najpierw na chwilę, a potem na dłużej. Nie chciałam zostawiać jej samej w mroku obcej jej szopy. No więc zostałam.

Nazajutrz pogrzebano ich razem, chociaż na nagrobku widniało tylko jego imię. Mama spaliła koszulę nocną Alice wraz z pościelą przemoczoną potem obojga chorych. Jedynym namacalnym dowodem na istnienie ciotki był duży mosiężny klucz, który odtąd nosiłam na szyi zawieszony na sznurku pod sukienką. Przed śmiercią Alice ocknęła się na chwilę i widząc, że jesteśmy same, zdjęła go z szyi i przekazała mi.

– Za moją chatą, pod krzewem lawendy, zakopana jest skrzynia. Zawiera rzeczy, które będą ci przydatne, gdy już się tam znajdziesz.

Dostała kolejnego ataku kaszlu.

Oddałam jej klucz, bojąc się przyjąć od tej kobiety kolejny niechciany podarunek.

– Skąd możesz wiedzieć, że to będę ja?

Ponownie zanosła się kaszlem.

– Nie wiem, Cass. Mam tylko taką nadzieję.

– Ale dlaczego? – spytałam.

Przecież zajmowałam się nią, tą cuchnącą nieznajomą, z troską o wiele większą niż Zach. Czemu zatem życzyła mi tak podłego losu?

Jeszcze raz wcisnęła mi klucz w niechętną dłoń.

– Bo twój brat jest sparaliżowany strachem. Nigdy by sobie tam nie poradził.

– On niczego się nie boi i jest silny. – Nie wiedziałam właściwie, czy bronię jego, czy siebie. – Tyle że jest wściekły.

Alice parsknęła rżącym śmiechem, który niewiele różnił się od jej kaszlu.

– Zgadza się, jest wściekły, ale to jedno i to samo.

Gdy znów chciałam zwrócić jej klucz, ze zniecierpliwieniem machnęła dłonią.

W końcu przyjąłam podarunek. Trzymałam go w ukryciu, ale i tak miałam wrażenie, że stanowi z mojej strony przyznanie się do winy, nawet jeśli wyłącznie przed samą sobą. Kiedy spoglądałam na twarz Zacha na cmentarzu, mrużąc oczy w bezlitosnych promieniach słońca, wiedziałam, że już niedługo. Miałam wrażenie, że po śmierci taty w umyśle mojego brata nastąpiła przemiana równie stanowcza i satysfakcjonująca co pęknięcie starego, zardzewiałego zamka.

Gdy odszedł tato, nasz dom wypełniło oczekiwanie. Piętno zagościło w moich snach. Pierwszej nocy śniłam o tym, że kładę dłoń na czole Alice, a jej znamię wypala mi wnętrze dłoni.

Zaledwie miesiąc po pogrzebie zastałam w domu lokalnego radnego. Był koniec lata, świeże ostre rżysko kłuło mnie w stopy, gdy szłam przez pola. Ze ścieżki biegnącej od strony rzeki dostrzegłam falujące powietrze nad naszą chatą i zdziwiłam się, że w tak gorący dzień napalono w kominku.

Czekali na mnie w środku. Kiedy tylko zobaczyłam czarną rączkę wystającego z ognia żelaza do wypalania piętna, przypomniałam sobie dźwięk skwierczącej skóry, który rozbrzmiewał w moich niedawnych snach, i chciałam rzucić się do ucieczki. To matka złapała mnie mocno za rękę.

– Cass, znasz radnego, który mieszka w dole rzeki?

Zamiast się szarpać, wbiłam oczy w tkwiące w ogniu żelazo. Gorejąca pośród rozżarzonych węgli końcówka była mniejsza niż w moich snach. Dotarło do mnie, że stworzono ją przecież dla niemowląt.

– Trzyście lat czekaliśmy na rozdzielenie ciebie i twojego brata, Cassandro – oznajmił radny. Przypominał mi ojca, miał równie duże dłonie. – To stanowczo zbyt długo. Jedno z was znajduje się nie tam, gdzie powinno, a drugie omija szkoła. Nie możemy pozwolić, aby obecność Omegi skaziła tę wioskę. To groźne, zwłaszcza dla drugiego z bliźniąt. Musicie się znaleźć we właściwych miejscach.

– Nasze miejsce jest tutaj: w domu! – krzyknęłam, ale mama szybko mnie powstrzymała.

– Zach nam powiedział, Cass – wyjawiała, a radny dodał:

– Twój brat przyszedł się ze mną zobaczyć.

Zach stał za mężczyzną z lekko pochyloną głową. Teraz podniósł na mnie oczy. Nie wiem, co spodziewałam się w nich dojrzeć – pewnie triumf. Może skruchę. Jednak on jak zwykle nosił na twarzy wyraz czujności, ostrożności. A nawet lęku, ale mój własny strach znowu kazał mi spojrzeć na rozżarzone żelazo. Przesunęłam wzrokiem od długiej czarnej rączki po znajdujący się na końcu zawijas zatopiony w węglach.

– Skąd pan wie, że on nie kłamie? – spytałam radnego.

Zaśmiał się.

– Dlaczego miałby kłamać? Zach wykazał się dużą odwagą.

Mężczyzna podszedł do kominka i wyjął z niego żelazo. Starannie ostukał je o żelazną kratę paleniska, żeby pozbyć się popiołu, który do niego przylgnął.

– Odwagą? – powtórzyłam, wrywając się matce.

Radny odstąpił od ognia z wysoko uniesionym żelazem. Ku mojemu zaskoczeniu mama ani nie chwyciła mnie za rękę, ani nie próbowała mnie zatrzymać, gdy zaczęłam się cofać. Za to radny wykazał się zwinnością, o jaką nie podejrzewałabym kogoś jego postury. Złapał Zacha za kark i przycisnął do ściany sąsiadującej z kominkiem. Drugą ręką uniósł dymiące nieznacznie żelazo nad jego twarzą.

Potrząsnęłam głową, jakbym chciała w ten sposób przywrócić rzeczywistości

choć odrobinę sensu. Oczy moje i Zacha się spotkały. Tym razem, nawet mimo rozpalonego żelaza rzucającego na nie cień, byłam w stanie dostrzec w nich błysk triumfu. I tak jak zawsze mój dzielny mądry brat bliźniak wzbudził we mnie podziw. Jednak udało mu się mnie zaskoczyć. Ale czy potrafiłam odwzajemnić mu się tym samym? Nie dać się złapać na jego blef i pozwolić, by go napiętnowano i wygnano?

Prawie udało mi się do tego zmusić, jednak pod bijącą od niego satysfakcją dostrzegłam także strach, równie natarczywy jak gorące żelazo. Skrzywiłam się, czując na własnej twarzy żar zbliżający się do jego skóry.

– Skłamał. To ja jestem wizjonerką. – Zmusiłam się, by uspokoić głos. – Wiedział, że powiem panu prawdę.

Radny odsunął żelazo, ale nie puścił Zacha.

– Dlaczego nic nam nie powiedziałaś, skoro wiedziałaś, że to ona? – spytał.

– Próbowałam, przez wiele lat. Ale nikt mi nie wierzył – odparł Zach głosem zdławionym przez dłoń ściskającą mu gardło. – Nie miałem dowodu. Nie byłem w stanie jej na niczym przyłapać.

– A skąd mamy wiedzieć, że teraz możemy jej wierzyć?

Okazało się, że wyznanie wszystkiego przyniosło mi ulgę. Opowiedziałam o wizjach, które z początku nawiedzały mnie w nocy, a potem nawet za dnia. O Wybuchu, którego świetlisty ryk rozrywał mój sen na strzępki. O tym, jak czasami wiedziałam, że coś się wydarzy, zanim to się stało, jak to miało miejsce w przypadku gałęzi, lalki i samego piętnowania. Matka i radny słuchali mnie z uwagą. Tylko Zach, który już to wszystko wiedział, okazywał zniecierpliwienie.

– Nieźle nas wszystkich skołowałaś, dziewczyno – odezwał się w końcu radny. – Gdyby nie twój brat, mogłabyś zwodzić nas dalej.

Mężczyzna na nowo wbił żelazo pomiędzy węgle, i to z taką siłą, że aż iskry poszły z żeliwnej kraty.

– Wydawało cię się, że jesteś inna niż cała reszta plugawych Omeg? – spytał, nie zdejmując dłoni z rączki. – Że jesteś od nich lepsza tylko dlatego, że jesteś wizjonerką? – Wyciągnął żelazo z ognia. – Widzisz to? – Chwyił mnie za gardło. Oddalone kilka centymetrów od mojej twarzy żelazo przypaliło kilka pasemek moich włosów. Zapach oraz żar zmusiły mnie do zamknięcia oczu. – Widzisz? – powtórzył pytanie, wymachując czarną rączką przed moimi zaciśniętymi powiekami. – Tym właśnie jesteś.

Nie krzyknęłam, gdy przycisnął je do mojego czoła, chociaż słyszałam, jak Zach stęka z bólu. W dłoni trzymałam wiszący na mojej piersi klucz. Ścisnęłam go tak mocno, że później, na gorze, zobaczyłam, iż został mi po nim odcisk na skórze.

Rozdział czwarty

Pozwolili mi zostać jeszcze cztery dni, aż oparzenie zacznie się goić. Zach nacierał mi czoło balsamem. Krzywił się, gdy to robił, ale nie wiedziałam, czy z bólu, czy z odrazy.

– Nie ruszaj się.

Kiedy podszedł, żeby z bliska przyjrzeć się ranie, z kącika jego ust wynurzył się czubek języka. Zawsze tak robił, gdy się na czymś skupiał. Obecnie stałam się szczególnie wyczulona na tego typu drobiazgi, bo wiedziałam, że już niedługo nie będę ich oglądać.

Raz jeszcze zaczął nakładać maść. Był bardzo delikatny, ale i tak wzdrygnęłam się, kiedy dotknął rany.

– Wybacz – powiedział.

Jednak przeproszał mnie tylko z powodu pokrytej pęcherzami skóry, a nie dlatego, że mnie wydał.

– Za kilka tygodni się zagoi. Ale mnie już tu wtedy nie będzie. Z tego powodu nie jest ci przykro.

Zach odłożył ścierkę i wyjrzał przez okno.

– Coś musiało się zmienić. Nie mogliśmy żyć dłużej we dwójkę. To nie w porządku – powiedział.

– Zdajesz sobie sprawę, że zostaniesz całkiem sam?

Pokręcił głową.

– To przez ciebie byłem skazany na samotność. Teraz mogę iść do szkoły. Będę miał towarzystwo.

– Towarzystwo dzieciaków, które rzucają w nas kamieniami, gdy mijamy szkołę? To ja oczyściłam ci ranę po tym, jak Nick trafił cię nad okiem. Kto będzie zmywał z ciebie krew, kiedy już mnie odeślą?

– Ty naprawdę nie rozumiesz, co? – Uśmiechnął się do mnie. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni sprawiał wrażenie równie spokojnego. – Rzucali w nas kamieniami tylko z twojego powodu. Bo przez ciebie oboje wychodziliśmy na dziwadła. Nikt już nie będzie we mnie niczym rzucał. Nigdy więcej.

To, że mogliśmy otwarcie rozmawiać o wszystkich wykorzystanych przez siebie podstępach, było w jakiś sposób odświeżające. Od wielu już lat nie czuliśmy się ze sobą tak dobrze jak w ciągu tych kilku dni poprzedzających mój wyjazd.

– Naprawdę się tego nie spodziewałaś? – spytał Zach ostatniej nocy, zdmuchnąwszy świecę stojącą na stoliku między naszymi łózkami.

– Widziałam żelazo. Czułam jego żar.

– Ale nie wiedziałas, jak to zrobię, prawda? Że ogłoszę, iż jestem Omega?

– Najwyraźniej zobaczyłam tylko wycinek tego, co stanie się na końcu. Że to

będę ja.

– Przecież to mogłem być ja. Gdybyś nic nie powiedziała.

– Może. – Po raz któryś zmieniałam pozycję ciała. Byłam w stanie leżeć jedynie na plecach, tak żeby oparzenie nie stykało się z poduszką. – W moich snach to zawsze ja byłam piętnowana.

Czy to oznaczało, że nie mogłam się nie odezwać? Czy Zach był aż tak pewny tego, że coś powiem? A gdybym tego nie zrobiła?

Wyjechałam o świcie. Mój brat ledwo był w stanie ukryć radość, co mnie nie zaskoczyło, za to ze smutkiem zauważyłam, że mama przyspiesza pożegnanie. Od momentu pojawienia się piętna na mojej twarzy starała się na mnie nie patrzeć. Sama widziałam je tylko raz, gdy wślizgnęłam się do jej pokoju, żeby przyjrzeć się swojej nowej twarzy w lustrze. Oparzenie było nadal nabrzmiałe i pokryte bąblami, ale znak był widoczny nawet mimo rozjątrzonej skóry, która go otaczała. Przypomniały mi się słowa Radnego i powtórzyłam je w myślach: „Tym właśnie jestem”. Palcem uniesionym nad przypaloną skórą obrysowałam kształt znamienia: niedomknięty okrąg przypominający odwróconą podkowę, od której ramion odchodziły na końcu krótkie poziome linie.

– Tym właśnie jestem – powtórzyłam ponownie, tym razem na głos.

Zaskoczyła mnie ulga, jaką odczułam wraz z wyjazdem. Chociaż piętno w dalszym ciągu sprawiało mi ostry ból, a mama wepchnęła mi w dłonie paczkę z jedzeniem, gdy chciałam ją objąć, pozostawienie za sobą wszystkich tych lat życia spędzonych w ukryciu dało mi poczucie wolności. A gdy Zach powiedział: „Uważaj na siebie”, prawie parsknęłam śmiechem.

– Chodzi ci chyba o to, że mam uważać na *ciebie*.

Spojrzał mi prosto w oczy, w przeciwieństwie do naszej matki nie odwracając wzroku od piętna, i powiedział:

– Tak.

Przyszło mi do głowy, że może po raz pierwszy od lat jesteśmy ze sobą szczerzy.

Oczywiście, że płakałam. Miałam trzynaście lat i nigdy wcześniej nie musiałam się rozstawać z rodziną. Najdłuższy okres, jaki spędziłam z dala od Zacha, miał miejsce, gdy pojechał po Alice. Zastanawiałam się, czy byłoby mi łatwiej, gdybym została opiętnowana jako niemowlę. Wychowałabym się w osadzie Omeg i nie wiedziałabym nawet, jak to jest mieć rodzinę oraz brata. Może nawet miałabym przyjaciół, choć z racji tego, że nigdy nie doświadczyłam bliskości z nikim oprócz Zacha, nie wiedziałam za bardzo, co to może oznaczać. Wydawało mi się, że przynajmniej nie muszę już ukrywać tego, kim naprawdę jestem.

Myliłam się jednak. Gdy tylko wyjechałam z wioski, natknęłam się na grupkę dzieci w moim wieku. Chociaż Zachowi i mnie nie wolno było uczęszczać

do szkoły, znaleźliśmy wszystkie miejscowe dzieciaki, a we wczesnych latach życia, zanim nasza nierozdzielność zyskała rangę problemu społecznego, nawet bawiliśmy się razem z nimi. Zach zawsze zachowywał się z dużą pewnością siebie i chciał bić każdego, kto stwierdził, że nie jest Alfą. Jednak z upływem czasu rodzice zaczęli zabraniać dzieciom zabaw z nierozdzielonymi bliźniakami, musieliśmy więc zapewniać sobie nawzajem towarzystwo, nawet gdy frustracja Zacha spowodowana naszą izolacją wzrosła. W ostatnich latach dzieci nie tylko nas unikały, lecz także otwarcie z nas drwiły oraz obrzucały kamieniami i wyzwiskami za każdym razem, kiedy naszych rodziców nie było w zasięgu wzroku.

Czwórka dzieciaków, trzech chłopców i dziewczyna, jeździła na dwóch osłach, urządając sobie na zmianę wyścigi na komicznie niezdarnych wierzchowcach. Usłyszałam je z pewnej odległości, a zobaczyłam niedługo potem. Spuściłam głowę i zesłam na pobocze. Niestety, wieści o naszym rozdzieleniu rozeszły się szybko i gdy zbliżyłam się do dzieci na tyle, by mogły dostrzec moje piętno, wypełniła je ekscytacja związana z tym, że plotki się potwierdziły.

Otoczyli mnie. Nick, najwyższy z chłopców, odezwał się pierwszy, podczas gdy reszta przyglądała się mojemu znamieniu z nieskrywaną odrazą.

– Wygląda na to, że Zach może w końcu zacząć chodzić do szkoły.

Wypowiedzi Nicka pod naszym adresem od wielu lat ograniczały się do wykrzykiwania obelg, ale najwyraźniej napiętnowanie mnie momentalnie przywróciło Zacha do jego łask.

Inny chłopiec oznajmił:

– Nie ma tu miejsca dla takich jak ty.

– Właśnie odchodzę – odparłam, próbując ich wyminąć, ale Nick zastąpił mi drogę i popchnął w ramiona pozostałych, którzy odepchnęli mnie z powrotem. Wypuściłam z rąk paczkę i odruchowo zasłoniłam ranę na głowie, zataczając się to w jedną, to w drugą stronę pod wpływem kuksańców. Każdemu pchnięciu towarzyszyło jakieś wyzwisko: „dziwadło”, „ślepy zaułek”, „trucizna”.

Nie odsuwając dłoni od twarzy, zwróciłam się do Ruth, ciemnowłosej dziewczyny mieszkającej kilka domów od nas.

– Powstrzymaj ich. Proszę – wyszeptałam.

Ruth wyciągnęła dłoń i przez chwilę myślałam, że złapie mnie za rękę. Zamiast tego dziewczyna schyliła się, wzięła moją menażkę i powolnym ruchem wylała całą wodę na piaszczystą ziemię, skąd bezskutecznie próbował ją zlizać jeden z osłów.

– To nasza woda – powiedziała Ruth. – Ze studni dla Alf. Wystarczająco długo ją zanieczyszczałaś, pokrako.

Zostawili mnie samą, nawet się nie oglądając. Odczekałam, aż znajdą się poza zasięgiem wzroku, a potem pozbierałam swoje rzeczy i ruszyłam ku rzece. Opróżnienie menażki nie przyniosło mi żadnej krzywdy: woda z rzeki, choć

słonawa i ciepła, nadawała się do picia. Niemniej jednak przykucając nad brzegiem rzeki, by napełnić pojemnik, doskonale rozumiałam wymowę gestu Ruth. Dla Alf, a może i dla mojej własnej matki, moje dotychczasowe życie było kłamstwem, gdyż miejsce w wiosce udawało mi się utrzymać dzięki oszustwu.

Przez resztę dnia unikałam drogi i zamiast nią wlokłam się brzegiem rzeki. Obwiązałam głowę chustką i skrzywiłam się, gdy dotknęła oparzenia. W którymś momencie mijałam farmerkę, Alfę prowadzącą kozy do wodopoju nad rzeką, ale potruchtalam obok niej, spuściwszy głowę w milczeniu. Nie zatrzymałam się nawet, gdy dotarłam do wąwozu prowadzącego do położonych na zachodzie silosów. Kontynuowałam wędrówkę na południe, dalej, niż kiedykolwiek udało mi się zajść.

Na dotarcie do osady Omeg wozem, by odebrać Alice, Zach potrzebował pół dnia. Mnie – na piechotę, z unikaniem dróg, z pulsowaniem w głowie, za którym moje kroki nie były w stanie nadążyć – zajęło to prawie trzy dni. Kilka razy dziennie zatrzymywałam się, żeby przepłukać czoło w rzece oraz urwać sobie kawałek chleba z bochenka znajdującego się w paczce wręzonej mi przez mamę. Spałam na brzegu, ciesząc się z letniego ciepła. Drugiego ranka wróciłam na trakt w miejscu, gdzie odbijał od rzeki, i zaczęłam się wspinać. Chociaż nadal obawiałam się spotkań z ludźmi, teraz wywołane to było czym innym. Znajdowałam się na terytorium należącym do Omeg.

Krajobraz się zmienił. Alfy zawsze zagarniały dla siebie najlepsze ziemie. Dolina, w której się wychowałam, była idealna pod uprawę, gdyż jej glebę spulchniał muł rzeczny. Tymczasem na tej wysokości nic nie osłaniało ziemi przed ostrym słońcem odbijanym przez kamienistą glebę. Rosnąca gdzieś trawa była krucha i blada, a pobocze drogi porastały jeżyny. Ich kłujące liście pokryte były lśniąco-pajęcznymi przypominającymi gęstą mgiełkę, która nawet nie myśli rozpląnąć się w powietrzu. Miałam też poczucie innego rodzaju dziwności, której charakter zrozumiałam dopiero wtedy, gdy chciałam napełnić menażkę i zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu nie słyszę rzeki. Jej dźwięk stanowił akompaniament dla całego mojego dotychczasowego życia, znałam każdy jej wymiar: dudnienie wody wzbierającej w sezonie powodziowym, ociążałe bzyczenie owadów nad nieruchomymi kałużami, które tworzyły się latem. Rzeka od zawsze stanowiła dla mnie centralny punkt mentalnej mapy naszego regionu: na południe szło się na przekór jej nurtowi, mijało wąwóz i silosy, gdzie podpuszczaliśmy się nawzajem z Zachem. Jeszcze dalej leżało Wyndham, główne miasto i siedziba Rady. Nigdy nie byłam aż tak daleko, ale słyszałam opowieści o jego wielkości i bogactwie. Mama twierdziła, że nawet przytułek położony pod Wyndham przewyższa rozmiarem jakiegokolwiek miasto, jakie widziałam. Rzeka płynęła na północ przez pola i większe wioski. Na dotarcie do Haven, miasta targowego, do którego zabierał nas tato, gdy byliśmy mali, trzeba było poświęcić

dzień wędrówki. Natomiast za Haven znajdowały się progi rzeczne wyznaczające granice mojej wiedzy o rzece.

Byłam przekonana, że nawet teraz, na terytorium należącym do Omeg, jestem w stanie odnaleźć drogę – zazwyczaj potrafiłam przeczuć rzeźbę terenu tak jak emocje czy wydarzenia. Tyle że nieobecność rzeki sprawiała, że brakowało mi punktu odniesienia na tej obcej mi równinie. Była tu tylko jedna droga, którą podążałam zgodnie z radą matki. Zeszłam z niej tylko raz, aby dać się poprowadzić ptakom do źródelka bijącego ze skalnej szczeliny. Szybko ugasiłam pragnienie, po czym raz jeszcze wdrapałam się na wysuszony szlak.

Gdy ujrzałam osadę, nad równiną zapadał już zmrok, a w oknach zapalały się pierwsze lampy. Skupisko domów nie dorównywało rozmiarem mojej wiosce, ale było wystarczająco duże, żeby nie pozostawiać wątpliwości. Grupkę niskich budynków otaczały pola, na których zebrane niedawno plony pozostawiły po sobie łyse placki przetykane sporych rozmiarów głazami. Ściągnęłam z głowy chustkę i odgoniłam muchy przyciągane przez jątrzącą się jeszcze ranę. „Tym właśnie jestem” – przypomniałam sobie, kładąc dłoń na wiszącym na mojej szyi kluczu. Jednak gdy zaczęłam się zbliżać do osady – maleńka figurka na szerokiej, popękanej drodze – pożałowałam, że nie ma ze mną Zacha. Zbeształam się za tę głupią myśl. Mimo wszystko jednak, podobnie jak dźwięk rzeki, towarzyszył mi przecież od urodzenia.

Rozdział piąty

Przez kilka kolejnych lat cieszyłam się, że przynajmniej mam chatę po Alice oraz zapas brązowych monet, które znalazłam w skrzyni zakopanej pod krzewem lawendy. Po sześciu latach spędzonych w osadzie została ich tylko garstka, ale pieniądze pozwoliły mi przetrwać najgorsze miesiące nieurodzaju, spłacić wysyłanych przez Radę poborców dziesięciny (którzy pojawiali się bez względu na to, czy zbiory były pomyślne, czy nie) oraz pomóc osobom, które w przeciwnym wypadku doświadczyłyby głodu. Małego Oscara z mojej rodzinnej wioski wychowywali krewni mieszkający w sąsiedniej chacie. Odesłano go w zbyt młodym wieku, żeby mógł mnie pamiętać, ale za każdym razem, gdy go widziałam, odnosiłam wrażenie, że stanowi więź łączącą mnie z domem i osobami, które tam zostawiłam. Mimo że mieszkańcy osady nadal określali moją chatę jako „dom Alice”, stopniowo zaczynałam się tam czuć jak u siebie.

Pozostałe Omegi również nawykły do mojej obecności, chociaż wciąż trzymały się na dystans. Rozumiałam ich podejrzliwość: przybyłam tam świeżo napiętnowana w wieku trzynastu lat, co oznaczało, że nigdy nie będę postrzegana jako jedna z nich. Co gorsza, byłam wizjonerką. Raz czy dwa razy posłyszałam czyjeś mamrotania na temat tego, że brak u mnie widocznych mutacji. „Ta to ma życie usłane różami – stwierdziła moja sąsiadka Claire w rozmowie ze swoją żoną Nessą, po tym jak zaoferowałam im pomoc przy kryciu dachu strzechą. – Nie musiała się zmagać z takimi trudnościami jak reszta z nas”. Przy innej okazji, gdy pracowałam w swoim ogródku, usłyszałam Nessę, która przestrzegała Claire przed zbliżaniem się do mnie. „Nie chcę, żeby przesiadywała w naszej kuchni. Mamy dość problemów bez sąsiadki, która potrafi czytać w myślach”. Nie było sensu tłumaczyć, że to wcale tak nie działa; że bycie wizjonerem przypomina zbiór niepowiązanych wrażeń, a nie schludną opowieść, i że już prędzej udałoby mi się zobaczyć wycinek miasta położonego kilkanaście kilometrów na wschód – albo Wybuch – niż uzyskać wgląd w myśli Nessy. Nie odezwałam się, tylko dalej wybierałam ślimaki spomiędzy łodyg bobu, udając, że niczego nie słyszałam. Dotąd zdążyłam się już nauczyć, że wizjonerów postrzegano jako istoty dwa razy groźniejsze niż zwykłe Omegi. Zdałam sobie sprawę, że tutaj spędzam jeszcze więcej czasu w samotności, niż gdy mieszkałam w wiosce, gdzie przynajmniej mogłam liczyć na niechętnie towarzystwo Zacha.

Z zaskoczeniem odkryłam w chacie Alice książki. Omegom nie wolno było uczęszczać do szkół, toteż większość z nich nie potrafiła czytać. Mimo to w zakopanej skrzyni znajdowały się dwa notesy wypełnione odręcznie zanotowanymi przepisami oraz jeden zawierający teksty piosenek, których część śpiewali bardowie pojawiający się w naszej wiosce. Z powodu zakazu wstępu do szkoły związanego z naszą nierozdzielnością czytaliśmy z Zachem po kryjomu,

przez co czynność ta w jakimś sensie nabierała intymnego charakteru. Pod przewodnictwem matki, a jeszcze częściej sami, rysowaliśmy kształty liter w gliniastych brzegach rzeki albo na podwórku za domem. Potem pojawiły się nieliczne książki. Elementarz z obrazkami, który ojciec zachował z czasów dzieciństwa. Przechowywana w ratuszu *Księga wioski* zawierająca mozolnie spisana historię regionu, sylwetki lokalnych radnych oraz opisy ustaw, które wprowadzili oni w życie. Jednak nawet w naszej względnie zamożnej wiosce książki stanowiły rzadkość: czytanie przydawało się do odszyfrowywania instrukcji zamieszczonych na opakowaniach kupionych na targu nasion lub odszukiwania w *Księdze wioski* imion dwóch wędrownych Omeg, które ukarano grzywną i wychłostano za kradzież owcy. Natomiast w osadzie, w której nieliczni umieli czytać, a jeszcze mniejsza ich liczba gotowa była się do tego przyznać, książki stanowiły słabostkę, na którą nie mogliśmy sobie pozwolić.

Nikomu nie powiedziałam o książkach ciotki, ale sama przeczytałam je tak wiele razy, że kartki zaczęły się odrywać od grzbietów, gdy je przewracałam, zupełnie jakby książki utknęły w niekończącej się jesieni. Wieczorami, po skończeniu pracy w polu i powrocie do chaty, spędzałam liczne godziny w kuchni Alice, studiując uwiecznione przez nią zbitym, niezbyt starannym pismem wskazówki dotyczące dodawania rozmarynu do bochenka pieczonego chleba czy obierania czosnku. Kiedy po raz pierwszy zastosowałam się do jej rad i nauczyłam się przyciskać ząbki czosnku ułożonym płasko ostrzem noża, tak aby wyslizgiwały się z wysuszonej skórki równie łatwo jak cukierek z pozłotka, poczułam, że Alice jest mi bliższa niż jakikolwiek inny mieszkaniec osady.

W te spokojne wieczory często rozmyślałam o matce i Zachu. Początkowo mama pisała do mnie kilka razy w roku, a jej listy dostarczały Alfę trudniące się kupiectwem, wyrzucając je bez zsiadania z konia z przytroczonych do siodeł sakw. Dwa lata po moim przybyciu do osady poinformowała mnie, że Zacha przyjęto na praktyki w siedzibie Rady w Wyndham. Przez kolejny rok docierało do mnie więcej wieści. Mój brat dobrze się wywiązywał z obowiązków. Zdobywał coraz większą władzę. A potem, po pięciu latach spędzonych przeze mnie w osadzie, mama napisała, że mentor Zacha zmarł, a on objął stanowisko po nim. Mieliśmy wówczas zaledwie osiemnaście lat, ale większość radnych zaczynała służbę w młodym wieku. Młodo też umierali – na temat rywalizacji między frakcjami Rady krążyły legendy. Sędzia, który sprawował rządy, od kiedy potrafiłam sięgnąć pamięcią, był w wieku moich rodziców, co stanowiło ewenement. Większość z nich była bowiem młoda. Nawet do osady docierały historie wzlotów i upadków rozmaitych radnych. Wyglądało na to, że w brutalnej rzeczywistości forticy Rady w Wyndham bezwzględna ambicja liczyła się bardziej niż doświadczenie. Nie zaskoczyło mnie, że Zacha pociąga ów świat i że świetnie sobie w nim radzi. Próbowałam go sobie wyobrazić w pełnych przepychu komnatach. Przypomni mi

się jego triumfalny uśmiech, kiedy udało mu się mnie zdekonspirować, oraz to, co później powiedział: „Nikt już nie będzie we mnie niczym rzucał. Nigdy więcej”. Bałam się o niego, ale nie zazdrościłam mu, nawet gdy nastał rok bez plonów i wszyscy w osadzie chodzili głodni.

Od tamtego momentu jednak listy od mamy zaczęły się pojawiać sporadycznie – raz na rok albo i rzadziej – więc w kwestiach dotyczących wiedzy o świecie musiałam polegać na plotkach posłyszanych na zachodnim targu dla Omeg lub opowiadanych przez wędrowców przechodzących przez osadę. Wraz z niewielkimi tobołkami zawierającymi cały ich dobytek nieśli ze sobą historie. Ci zmierzający na zachód poszukiwali lepszych ziem uprawnych, bo marne wschodnie gleby nie dawały plonów, które wystarczyłyby choćby do zapłacenia Radzie dziesięciny, nie mówiąc już o utrzymaniu się. Natomiast ci, którzy przybywali właśnie z zachodu, opowiadali o represjach ze strony Rady: Omegi zmuszano do opuszczania zajmowanych przez nie od dawna osad, gdyż uznano, że tamtejsze ziemie są dla nich zbyt żyzne; do tego najeźdźcy kradli i niszczyli ich zbiory. Coraz większa liczba osób zmuszona była szukać schronienia w przytułkach. Pogłoski o pogarszającym się traktowaniu Omeg pojawiały się regularnie. Nawet w naszej osadzie, której ziemie w porównaniu z innymi były całkiem przyzwoite, odczuwaliśmy ciężar coraz wyższej dziesięciny żądanej przez poborców Rady. Dwa razy i nas najechały Alf. Za pierwszym razem pobili Bena, najstarszego mieszkańca, którego chata znajdowała się na skraju osady. Zabrali mu wszystko, co byli w stanie unieść, włącznie z monetami, które odłożył na opłacenie dziesięciny w przyszłym miesiącu. Następnym razem pojawili się po nieudanych plonach; nie znaleźli niczego, co mogliby ukraść, więc zadowolili się podpaleniem stodoły. Gdy zaproponowałam sąsiadom, by zawiadomić o tym Radę, przewrócili tylko oczami.

– Żeby przysłali tu żołnierzy, którzy puszczą z dymem resztę osady? – spytała Claire.

– Za długo mieszkałaś w wiosce Alf, Cass – dodała Nessa. – Jeszcze niczego nie rozumiesz.

Ale wyciągałam naukę z każdej docierającej do osady brutalnej opowieści. Krążyły też pogłoski innego typu, choć pojawiały się rzadko i przekazywano je ukradkiem: szept o ruchu oporu Omeg oraz o Wyspie. Jednak gdy widziałam rezygnację, z jaką sąsiedzi odbudowują stodołę, wydawały mi się one naciągane. Rada sprawowała władzę od setek lat, a sugerowanie, że istnieje miejsce nieobjęte jej kontrolą, uznać można było jedynie za pobożne życzenie.

Zresztą po co ktoś miałby się bawić w organizowanie ruchu oporu? Śmiertelna więź łącząca bliźnięta była naszą gwarancją bezpieczeństwa. Mimo że od czasów suszy zwiększyła się liczba narzucanych Omegom restrykcji i biadoliliśmy z powodu spychania osad na coraz gorsze ziemie, wiedzieliśmy, że

Rada i tak zmuszona jest nas chronić. Po to właśnie stworzono przytułki – po nieudanych zbiorach coraz więcej Omeg rozważało udanie się do nich. Tamtej zimy kości zaczęły sterczeć mi ze skóry. Wszyscy niemiłosiernie wychudliśmy i w końcu jedna z par zamieszkujących osadę wyjechała do położonego pod Wyndham przytułku. Nie potrafiliśmy namówić ich, aby zostali, licząc na wiosenne plony. Mieli dość. Cała osada patrzyła o brzasku, jak przekręcają klucz w drzwiach chaty, po czym ruszają usianą kamieniami drogą.

– Nie wiem, po co ją zamykają – odezwała się Nessa. – I tak już tu nie wrócę.

– Przynajmniej będą ich karmić – odparła Claire. – W zamian za pracę zresztą.

– Przez jakiś czas to może być całkiem niezłe. Ale obecnie mówi się, że jeśli już tam trafisz, to na dobre.

Nessa wzruszyła ramionami.

– Mają prawo odejść.

Spojrzałam raz jeszcze na oddalające się sylwetki. Niewielkie tobołki sprawiały wrażenie większych niż w rzeczywistości przez kontrast z ich wycieńczonymi ciałami. Czy mieli tak naprawdę jakiś wybór?

– W każdym razie – mówiła dalej Nessa – nie wmówisz mi, że lepiej by było, gdyby przytułki nie istniały. Przynajmniej wiemy, że Rada nie chce, abyśmy pozdychali z głodu.

– Właśnie że chce – wtrącił Ben. – Tyle że nie może, bo nie uszłoby to jej na sucho. To duża różnica.

Wiosną, gdy pojawiły się świeże plony i głód zelżał, wozem zaprzężonym w woły przyjechała mama. Kiedy Ben przyprowadził ją do mojej chaty, nie wiedziałam, jak ją powitać. Wyglądała tak jak kiedyś, co tylko uświadomiło mi zmiany w moim własnym wyglądzie. Nieuchronnym było, że przez sześć lat urosłam, lecz ponadto przez cały ten czas pędziłam żywot Omegi. To odmieniło mnie o wiele bardziej niż głód. Od przybycia do osady miałam okazję natknąć się na kilka Alf – poborców dziesięciny albo szemranych kupców, którzy przyjeżdżali czasami na targowisko dla Omeg. Nawet wśród Alf zdarzały się wyrzutki i nędzarze zatrzymujący się w osadach Omeg w poszukiwaniu poprawy losu. Jednak wszyscy oni patrzyli na nas z pogardą, o ile w ogóle spoglądali nam w oczy. Znów usłyszałam wyzwiska, jakimi lubili nas obrzucać: „dziwadła”, „ślepe zaułki”. Lecz ich zachowanie było o wiele bardziej przykre niż słowa – drobne gesty wyrażające wstręt oraz lęk przed skażeniem. Nawet najbardziej obdarte Alfy zniżające się do handlu z Omegami krzywiły się, gdy musnęła je dłoń Omegi podająca monetę.

Chociaż wypalono mi piętno Omegi, nim opuściłam wioskę, tak naprawdę nie miałam pojęcia, co ono oznacza. Pamiętałam, jak bardzo zraniło mnie to, że mama nie przytuliła mnie na pożegnanie. Ale teraz, gdy stanęła w mojej ciasnej kuchni, wiedziałam, że nie powinnam jej dotykać.

Usiadłyśmy naprzeciwko siebie przy stole.

– Przyjechałam, żeby ci to przywieźć – oznajmiła, wręczając mi złotą monetę.

Powiedziała, że Zach przysłał jej ich sześć, a wartość każdej z nich dorównywała połowie rocznych plonów.

Zaczęłam obracać monetę w dłoni i szybko się ogrzała.

– Ale po co mi ją dajesz?

– Przyda ci się.

Wskazałam na wnętrze chaty oraz widoczne przez niewielkie okienko gałęzie figowca uginające się od owoców.

– Nie potrzebuję jej. Dobrze sobie radzę. A ty nigdy wcześniej się o mnie nie martwiłaś.

Mama pochyliła się do przodu i powiedziała cichym głosem:

– Nie możesz tu zostać.

Upuściłam monetę na stół. Przez kilka sekund wirowała z terkotem, aż w końcu ciężko opadła na porysowane drewno.

– Co masz na myśli? – spytałam. – Nie wystarczy ci, że wypędziłaś mnie z wioski?

Pokręciła głową.

– Wcale nie chcę tego robić. Może nawet nie powinnam. Ale musisz wziąć ten pieniądz i wyjechać. Wkrótce. Chodzi o Zacha.

Westchnęłam.

– Zawsze chodzi o Zacha.

– Stał się potężny. A to oznacza, że ma wrogów. Ludzie mówią o nim i o tym, co zrobił dla Rady.

– A cóż takiego zrobił? Oboje mamy po dziewiętnaście lat. Jest w Radzie dopiero od roku.

– Słyszałaś o Pani General?

– Wszyscy o niej słyszeli.

A zwłaszcza Omegi. Za każdym razem gdy pojawiały się plotki o wprowadzeniu nowej polityki wymierzonej w Omegi, to właśnie jej pseudonim powtarzał szeptem cały targ. Od dwóch lat poborcy dziesięciny żądali od nas wyższej stawki w wyniku „reformy” Pani General.

– Jest co najwyżej rok starsza od ciebie i Zacha. Ludzie zasiadający w Radzie przysparzają sobie wrogów, Cass. Większość radnych nie żyje długo.

Co tyczyło się także ich bliźniaków, ale nie musiała tego mówić na głos.

– Znasz Zacha. Jest pełen determinacji. Ambitny. Obecnie znany jest pod przydomkiem Reformator. Ma zwolenników, współpracuje z ważnymi osobami. Nie trzeba będzie długo czekać, aż ktoś spróbuje cię skrzywdzić.

– Nie. – Przesunęłam monetę w jej kierunku. – Nigdzie nie wyjadę. Nawet jeśli ma wrogów, nie pozwoli im mnie zranić. Będzie mnie ochraniał.

Matka wyciągnęła rękę ponad stołem, jakby chciała mnie ująć za dłoń, ale się powstrzymała. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni ktoś dotknął mnie z czułością.

– Tego się właśnie obawiam – wyznała.

Spojrzałam na nią tępym wzrokiem.

– Co masz na myśli? – spytałam.

– Z pewnością słyszałaś o Przechowalni.

Była to jedna z opowieści, które przetaczały się przez osadę niczym kuliste krzewy toczone wiatrem przez równinę. Powtarzana trwożnym szeptem plotka głosiła, że gdzieś pod siedzibą Rady w Wyndham znajduje się tajne więzienie, gdzie radni trzymają swe bliźnięta. Miało ono nosić nazwę Przechowalni; w podziemnym kompleksie zamykano Omegi na nieokreślony czas, by uniemożliwić ataki na ich mocarne rodzeństwo.

– Przecież to tylko plotka. A nawet jeśli nie, Zach nigdy by się tego nie dopuścił. Nie mógłby. Ja go znam najlepiej.

– Nie. Ty jesteś z nim najmocniej związana, a to dwie różne sprawy. On po ciebie przyjdzie, Cass. Uwięzi cię, żeby chronić siebie.

Pokręciłam głową.

– Nie robi tego.

Czy usiłowałam przekonać ją, czy siebie samą? Tak czy owak, mama nie próbowała się ze mną spierać. Obie wiedziałyśmy, że nie opuszczę osady.

Przed odjazdem mama wyciągnęła rękę i raz jeszcze wcisnęła mi w dłoń monetę. Czułam ją, gdy wóz zaczął znikać w oddali. Nie wydałam jej; ani na ucieczkę, ani na jedzenie. Zatrzymałam ją przy sobie tak jak klucz ciotki Alice i za każdym razem, kiedy jej dotykałam, myślałam o Zachu.

To on nauczył mnie tłumić swoje wizje, gdy byliśmy jeszcze mali. Jego potrzeba wydania mnie sprawiła, że zaczęłam uważać, by nie wyjawiać tego, co wiem. A teraz znowu to robiłam, ponownie ze względu na niego. Nie pozwalałam sobie tolerować scen, które ukazywały mi się na chwilę przed przebudzeniem lub wtedy, gdy przystawałam na polu, żeby ochlapać sobie twarz wodą z menażki. Wolałam ufać jemu niż wizjom. Powtarzałam sobie, że nie jest do tego zdolny. Myślałam o tym, jak delikatnie obmywał moją ranę po napiętnowaniu. Wspominałam wszystkie te dni, miesiące i lata, które spędzaliśmy wspólnie śledzeni przez podejrzliwe spojrzenia reszty wioski. I choć pamiętałam także jego wrogość i liczne przejawy okrucieństwa, wiedziałam, że był ode mnie zależny

w stopniu równie wielkim jak ja od niego.

Zaczęłam więc pracować jeszcze ciężiej niż zwykle. Gdy nadeszły żniwa, najintensywniejszy okres roku, na moich dłoniach pojawiły się odciski od kosy, a paznokcie krwawiły mi od siewki pszenicznej, która pod nimi więzła. Starłam się skupiać na dźwiękach otoczenia: zgrzytaniu kosy, łomocie rzucanych na ziemię snopów zboża, pokrzykiwaniu pozostałych rolników. Każdego dnia pracowałam, dopóki z ociąganiem nie nadeszła noc, i wracałam do chaty po ciemku.

Zadziało. Prawie przekonałam siebie samą, że po mnie nie przyjadą, aż w końcu się pojawili, a ja uzmysłowiłam sobie, że uzbrojeni jeźdźcy stanowią widok równie znajomy co kosa w mojej dłoni albo prowadząca do mojej chaty ścieżka między polami.

Gdy jeździec pociągnął mnie do góry, dostrzegłam pod sobą błysk złota. Moneta wypadła mi z kieszeni i wkrótce potem zginęła w ubijanym kopytami błocie.

Rozdział szósty

Do momentu gdy w mojej celi pojawił się Zach, zdążyłam naliczyć sto osiemnaście dni. Dwieście trzydzieści sześć posiłków na tacy. Osiem wizyt Spowiedniczki.

Dźwięk jego kroków, podobnie jak brzmienie jego głosu czy rytm oddechu podczas snu, rozpoznałabym wszędzie. W ciągu kilku chwil, które zajęło mu otworzenie zamka, miałam wrażenie, że wszystkie te lata spędzone bez niego przelatują mi przed oczami. Zerwałam się na równe nogi, ale zanim uchyliły się drzwi, zmusiłam się do powrotu na łóżko.

Na chwilę zatrzymał się na progu. Gdy na niego spojrzałam, dostrzegłam dwie osoby: stojącego przede mną mężczyznę oraz chłopca, którego wspomnienie wywołał. Zrobił się wysoki i nosił dłuższe włosy, zaczesane za uszy. Jego twarz stała się pełniejsza, a ostre krawędzie kości policzkowych i podbródka zmiękły. Pamiętałam, że latem twarz Zacha pokrywała się piegami rozsyanymi w poprzek nosa niczym pierwsza garść ziemi ciśniętej na trumnę. Obecnie nie było po nich śladu, a jego cera okazała się bledsza nawet od mojej wyblakłej przez pobyt w celi skóry.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi, a klucz wsunął do kieszeni.

– Nic nie powiesz? – spytał.

Bałam się odezwać, bo nie chciałam, by mój głos zdradził, jak bardzo go nienawidzę, a jednocześnie jak bardzo za nim tęsknię.

– Nie chcesz, żebym wyjaśnił, dlaczego musiałem to zrobić? – pytał dalej Zach.

– Wiem, dlaczego to zrobiłeś.

Zaśmiał się półgębkiem.

– Już prawie zapomniałem, jak ciężko się z tobą rozmawia – powiedział.

– Moim zadaniem nie jest ułatwianie ci czegokolwiek.

Zaczął się przechadzać w tę i w tę. Mówił spokojnym głosem, w rytmie własnych kroków.

– Odbierzesz mi nawet to, prawda? Nie dasz sobie nic wytłumaczyć. Wiedziałem, co chcę ci powiedzieć. Miałem to przeciwiczone. Ale tobie jak zwykle wydaje się, że pozjadałaś wszystkie rozumy.

– Odbiorę ci nawet to? – powtórzyłam. – Dostałeś wszystko, co możliwe. Zostałeś w domu. Miałeś mamę.

Gdy o niej wspomniałam, głos zaczął mi się łamać.

– Za późno – oznajmił, przystając. – Alice zdążyła już wtedy uśmiercić tatę. A ty zatrulaś wszystko inne. Miałem wrażenie, że mnie zanieczyszczałaś przez wszystkie te lata, kiedy byliśmy nierozdzieleni. Nigdy nie zostałem do końca zaakceptowany. To miało być życie, na jakim mi zależało. – Wyciągnął przed

siebie puste dłonie, rozczapierzając palce. – Ale ty wszystko zepsułaś.

– Nie miałam nic – odparłam. – Bywały dni, gdy cała osada chodziła głodna. Ale ty nawet na to nie chciałaś mi pozwolić. Nie dość, że kazałaś mnie tutaj wtrącić, to jeszcze wydaje ci się, że to ty jesteś pokrzywdzony?

– Nie mam wyboru, Cass.

– Dlaczego właściwie próbujesz mnie o tym przekonać? Mam cię rozgrzeszyć? Zapewnić, że rozumiem?

– Mówiłaś przecież, że rozumiesz.

– Powiedziałam, że wiem, dlaczego to zrobiłaś. Wiem, jaką kierowałaś się logiką. Narobiłaś sobie wrogów, bo jesteś szyczą w Radzie. Wiesz, że mogliby mnie wykorzystać, żeby się na tobie odegrać. Ale to nie usprawiedliwia uwięzienia mnie.

– A ty co byś zrobiła? – spytał.

– Od kiedy przejmujesz się tym, co myślę albo na co mam ochotę?

To wprawiło go w gniew.

– Wszystko zawsze zależało od ciebie. Moje życie nie mogło się zacząć, dopóki nie odeszłaś.

– Właśnie, że się zaczęło. Wiedliśmy je razem. – Pomyślałam, co często mi się zdarzało, o latach, które spędziliśmy razem na marginesie wioskowej społeczności. – Tyle że tobie zależało na czymś innym.

– Nie. Chciałem mieć swoje życie. Własne. A ty to uniemożliwiłaś. Jestem na dobrej drodze, by osiągnąć coś wielkiego. Nie pozwolę, abyś weszła mi w paradę.

– Czyli chcesz zrujnować moje życie, żeby chronić swoje – podsumowałam.

– Nie rozumiesz, że oboje mamy tylko jedno życie. Zawsze zachowywałaś się, jakby każde z nas mogło robić to, na czym mu zależy. Ale ten świat wcale tak nie działa.

– Więc go zmień. Stwierdziłaś, że chcesz być potężną, ważną osobą, więc odmień świat. Nie przyszło ci do głowy, że każdego dnia, który spędziliśmy nierozdzieleni, zmienialiśmy świat?

Zamilkł. Po kilku minutach usiadł obok mnie i z westchnieniem przesunął się do tyłu. Gdy przyciągnął kolana do piersi, okazało się, że górują nad moimi. Włoski na jego ramionach były grubsze i ciemniejsze, niż zapamiętałam, nie rozjaśniały ich już promienie słońca. Nasze ciała bardzo się zmieniły od czasu, gdy go ostatnio widziałam, ale ich nowe wersje automatycznie powróciły do starej symetrii: siedzieliśmy oparci plecami o ścianę, tak jak siadaliśmy swego czasu na moim łóżku w wiosce.

Szepnęłam do niego, tak jak wówczas, gdy rodzice kłócili się na dole:

– Wcale nie musisz być tego typu osobą, Zach.

Wstał i wyjął z kieszeni pęk kluczy.

– Nie musiałbym, gdyby nie ty – oznajmił. – Gdybyś od początku wszystkiego tak strasznie nie utrudniała.

Podczas miesięcy spędzonych na czekaniu, aż pojawi się w celi, rozmyślałam o tym, co mu powiem, i obiecałam sobie, że nie stracę spokoju ducha. Ale gdy Zach ruszył do drzwi, moje plany legły w gruzach. Majaczyła przede mną wizja samotnego pobytu w celi i poczułam, jak krew w moim ciele zaczyna pulsować, aż cała stałam się jednym wielkim rozpedzonym tętnem. Podbiegłam do niego i spróbowałam wyrwać mu klucze.

Był ode mnie o pół głowy wyższy, a do tego silniejszy – w końcu spędziłam sześć chudych lat w osadzie, a od kilku miesięcy tkwiłam w celi. Bez większego problemu powstrzymał mnie przed zbliżeniem się do siebie, łapiąc mnie za gardło wyciągniętą dłonią. Drapałam i kopałam, chociaż wiedziałam, że to nic nie da. Nawet gdyby udało mi się pozbawić go przytomności czy złamać mu rękę, odczułabym to na własnej skórze. Jednak mnie wydawało się, że walczę nie z nim, tylko ze ścianami celi, z betonową podłogą oraz obojętnością godzin, które przepływały przez nią, podczas gdy ja gniłam w tym pomieszczeniu. Naparłam na niego całym ciężarem ciała, aż kości dłoni Zacha zatrzęszczały na mojej szczęce. Nie ustąpił jednak, nawet gdy poczułam, że moje paznokcie drą skórę na jego przedramieniu.

Pochylił się do przodu, żeby jego szept przedarł się przez dźwięk mojego rozszalałego oddechu.

– Może i powinienem być ci wdzięczny. Pozostali członkowie Rady opowiadają o zagrożeniu, jakie stanowią Omegi. O ryzyku skażenia. Ale oni nie przeżyli tego co ja. Nie zdają sobie sprawy, jak bardzo jesteście niebezpieczni.

Miałam świadomość, że się trzęsę, ale dopiero gdy Zach opuścił rękę, zobaczyłam, że on również drży. Przez chwilę staliśmy w bezruchu. Dzieląca nas przestrzeń dygotała od naszych zasapanych oddechów, hałaśliwych niczym noc poprzedzająca letnią burzę, kiedy to powietrze gotuje się, cykady syczą, a cały świat zaczyna grzechotać w oczekiwaniu.

– Proszę. Nie rób tego, Zach.

Błagając, przypomniałam sobie, jak tamtej pamiętnej nocy, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, prosił mnie, bym ujawniła się jako Omega. Czy czuł się wtedy tak jak ja teraz?

Zach odwrócił się, nie odezawszy się ani słowem. Gdy wyszedł i zamknął za sobą drzwi, spojrzałam na swoje rozdygotane pięści i dostrzegłam jego krew wyciekającą spod paznokci mojej prawej dłoni.

Spowiedniczka zaczęła przychodzić z mapą. Bez zbędnych ceregieli zamykała za sobą drzwi, a następnie rozkładała ją na mojej pryczy i patrzyła mi

prosto w oczy.

– Pokaż, gdzie jest Wyspa – rozkazywała.

Czasami zakreślała okręgi wokół pewnych miejsc.

– Wiemy, że leży gdzieś nieopodal zachodniego albo południowo-zachodniego wybrzeża. Jesteśmy coraz bliżej, znajdziemy ją – oznajmiła pewnego razu.

– To po co wam jestem potrzebna? – spytałam.

– Bo twój brat nie słynie z cierpliwości.

Próbowałam się roześmiać.

– I co zrobicie? Będziecie mnie torturować? Grozić mi śmiercią? Zadanie mi silnego bólu będzie oznaczało torturowanie Zacha.

Spowiedniczka pochyliła się do przodu.

– Myślisz, że nie mamy w zanadrzu niczego gorszego niż to, co do tej pory cię spotkało? Nie rozumiesz, jakie masz szczęście. Ale możesz je utrzymać, tylko jeśli będziesz dla nas użyteczna.

Po raz kolejny rozłożyła mapę. Intensywność jej spojrzenia miała wymiar niemalże fizyczny. Parzyło niczym żelazo przytknięte do mojego czoła wiele lat temu.

– Tak jak użyteczna jest twoja praca dla nich? Odstawianie tresowanego dziwadła na rozkaz wszechmocnych Alf?

Pochyliła się do przodu, powoli, aż jej twarz znalazła się tak blisko mojej, że byłam w stanie dostrzec malutkie włoski na jej policzkach, blade niczym wąsy kukurydzy. Jej nozdrza rozszerzały się lekko, gdy robiła jeden głęboki wdech po drugim.

– Skąd pewność, że sprawują nade mną władzę? – spytała szeptem.

Sięgnęła głębiej do wnętrza mojego umysłu. Kiedy byliśmy mali, podważyliśmy z Zachem duży płaski głaz. Pod spodem wiły się robaki i larwy, wyciągnięte z mroku na światło dzienne, nagie, białe i mięsiste. Spojrzenie Spowiedniczki sprowadzało mnie do ich poziomu. Nie istniało nic, czego nie była w stanie dostrzec czy odebrać.

Po wstępnym szoku nauczyłam się zaciskać umysł niczym powiekę. Niczym pięść. Blokować ją, żeby zachować to, co moje. Wiedziałam, że muszę chronić przed nią Wyspę. Jednak z czysto egoistycznych pobudek martwiłam się równie mocno o garstkę cennych osobistych wspomnień.

Jesienne popołudnie, gdy ćwiczyliśmy z Zachem pisanie za domem. Wokół nas gdały kury, a my rysowaliśmy na ziemi niezgrabne litery. Napisał moje imię, a ja jego.

Długie dni spędzane nad rzeką, podczas gdy inne dzieci były w szkole. Przekazywaliśmy sobie z Zachem skarby znalezione podczas bezcelowych wędrówek. Pokazał mi kamyk z odcisniętym kształtem ślimaka. Ja przyniosłam mu

otwartą skorupkę ostrygi rzecznej, której wewnątrz przypominało pokryte mleczną mgiełką oko Omegi-żebraka widzianego przeze mnie na drodze do Haven.

No i wspomnienie tych wszystkich nocy, kiedy szeptem przekazywaliśmy sobie między łózkami historie na wzór rzecznych skarbów wymienianych za dnia. Leżeliśmy w ciemności, słuchając stłumionego dźwięku deszczu rozpryskującego się o strzechę, a Zach opowiedział mi, jak zaszarżowały na niego byki sąsiada, gdy szedł na skróty do studni, i jak musiał się ratować przed stratowaniem ucieczką na drzewo. Ja z kolei opowiedziałam o nowej huśtawce zawieszanej przez dzieci na szkolnym podwórku, kiedy zerkałam ponad murem, którego nie wolno nam było przekraczać.

– Mamy własną huśtawkę – powiedział na to Zach.

Była to prawda, chociaż nie do końca. Znaleźliśmy miejsce w górze rzeki, gdzie wierzba pochylała się tak nisko, że można się było chwycić jej gałęzi i bujać nad powierzchnią wody. W upalne dni rywalizowaliśmy o to, kto rozhuśta się najwyżej, a następnie triumfalnie wskoczy do rzeki.

Miałam też kilka niedawnych wspomnień z osady. Wieczory, podczas których siedziałam przed niewielkim kominkiem, czytając przepisy albo śpiewnik Alice, i wyobrażałam sobie, jak wiele lat wcześniej siedziała dokładnie w tym samym miejscu i je spisywała.

A później ciepło dłoni mamy uwięzione w monecie, którą mi przekazała w ramach ostrzeżenia przed Zachem. Nie było to nic wielkiego, nawet nie dotyk, tylko wtórne ciepło monety, którą trzymała wcześniej w ręce. Ale tylko tyle mi po niej zostało z ostatnich kilku lat i nie miałam zamiaru rozstawać się z owym wspomnieniem.

Niewzruszony wzrok Spowiedniczki obnażał wszystkie te okruchy pamięci. Dla niej były to tylko szpargały w mentalnej szufladzie, którą przetrząsała w poszukiwaniu czegoś cenniejszego. Za każdym razem gdy przesuwała się dalej, musiałam porządkować rozgardiasz pozostawiony przez nią w mojej głowie.

Spowiedniczka w końcu wstała i wyszła, zabrawszy ze sobą mapę, i wiedziałam, że powinnam się cieszyć, iż udało mi się nie dopuścić jej do wizji o Wyspie. Jednak skupiając się na ich zatajeniu, zmuszona byłam odsłonić wspomnienia dotyczące wielu innych rzeczy. A ona podnosiła strzępki mojego życia sprzed pobytu w celi, obracała to w jedną, to w drugą stronę, a potem odrzucała na bok. Dla niej pozbawione były one znaczenia, ale na wszystkim, czego tknęła, pozostawiała skazę. Po każdej jej wizycie miałam wrażenie, że zostaje mi coraz mniej wspomnień.

Nazajutrz przyszedł Zach. Jego wizyty stały się rzadsze, a gdy już się pojawiał, zazwyczaj nie patrzył mi w oczy, tylko bawił się kluczami. Prawie nic nie

mówił, większość moich pytań zbywał wzruszeniem ramion. Niemniej jednak co kilka tygodni słyszałam dźwięk klucza wsuwanego do zamka, drzwi zgrzytały o podłogę i do środka wchodził on – mój brat bliźniak i jednocześnie strażnik więzienny – po czym siadał na skraju pryczy. Nie miałam pojęcia, po co przychodzi, tak jak nie wiedziałam, dlaczego za każdym razem z radością witam odgłos jego kroków w korytarzu.

– Musisz z nią porozmawiać – oznajmił. – Po prostu powiedz jej, co widzisz. Albo wpuść ją do środka.

– Do swojej głowy?

Wzruszył ramionami.

– Nie bądź taka zszokowana. W końcu niczym się od niej nie różnisz.

Pokręciłam głową.

– Nie zajmuję się tym co ona. Nie wtykam nosa w umysły innych ludzi. A ona niech się lepiej nie zbliża do mojego, bo to jedyna rzecz, jaka mi pozostała.

Nie wiedziałam, jak mu opisać wrażenia towarzyszące sondowaniu umysłu przez Spowiedniczkę. Poczucie zbrukania i braku bezpieczeństwa nawet we wnętrzu własnej głowy.

Zach wydał z siebie westchnienie, które przeszło w śmiech.

– Gdybym nie wiedział, jaka jesteś uparta, pewnie byłbym pod wrażeniem tego, że udało ci się tak długo ją zwodzić.

– W takim razie zdajesz sobie sprawę, że nic się w tym zakresie nie zmieni. Nie pomogę ci – oświadczyłam.

– Musisz, Cass.

Nachylił się ku mnie. Przez chwilę myślałam, że weźmie mnie za rękę, jak zrobił to wiele lat temu, prosząc o pomoc, kiedy umierał ojciec. Jego źrenice rozszerzały się i kurczyły w nierównym rytmie. Zbliżył się do mnie na tyle, że byłam w stanie dostrzec zakrwawione strzępki skóry na jego górnej wardze. Przypomniało mi się, że przygryzał ją, gdy rodzice się kłócili albo gdy dokuczały nam inne dzieci w wiosce.

– Czego ty się właściwie boisz? – spytałam szeptem. – Spowiedniczki?

Wstał.

– Moglibyśmy zrobić z tobą coś gorszego niż tylko zamknąć cię w celi – zagroził. – Plasnął otwartą dłonią o ścianę. Na przykurzonym betonie odcisnął się jej ślad. – Niektóre Omegi, które tu trzymamy, nie mają aż tak dobrze. Żyjesz w takich warunkach tylko dlatego, że jesteś wizjonerką. – Wygiął szyję do tyłu, przesunął dłońmi po twarzy, a następnie zrobił parę głębokich wdechów z zamkniętymi oczami. – Obiecałem jej, że się przydasz – powiedział w końcu.

– I co, mam być ci wdzięczna? Za coś takiego?

Zatoczyłam ręką łuk po celi. Jej mury stały się imadłem redukującym moją przestrzeń życiową do kilku metrów kwadratowych szarości. Mój umysł zaczął

przypominać celę: stał się osaczony i ponury. Ale i tak najgorsza ze wszystkiego była okrutna obojętność, z jaką mijał czas, podczas gdy ja musiałam znosić namiastkę życia złożonego z niekończących się tac z jedzeniem i niegasnącego światła.

– Nie wiesz nawet, jak bardzo się o ciebie troszczę. Wszystko, co jesz – Zach wskazał na leżącą na podłodze tacę – każę najpierw spróbować komuś innemu. Każdy dzbanek z wodą. Wszystko.

– Jestem wzruszona twoją troską – odparłam. – Ale z tego, co pamiętam, gdy jeszcze wiodłam swoje własne życie w osadzie, nie musiałam się martwić, że ktoś zechce mnie otruć.

– Twoje własne życie? Niezbyt ci zależało na „twoim własnym życiu” przez wszystkie te lata, gdy próbowałaś odebrać mi moje.

– Nie próbowałam ci niczego odebrać. Po prostu nie chciałam, by mnie wygnano, zresztą podobnie jak ty.

Zapadła cisza.

– Może mógłbyś pozwolić mi czasami wyjść na mury, tak jak na początku – poprosiłam. – Albo pogadać z innymi więźniami. Zamienić słowo z kimś innym.

Pokręcił głową.

– Wiesz, że nie mogę. Sama widziałaś, co się wtedy stało. To ciebie mógł zaatakować ten szaleniec. – Zach spojrzał na mnie z czymś na kształt czułości w oczach. – Jedynym celem przetrzymywania cię tutaj jest zapewnienie ci bezpieczeństwa.

– Gdyby wolno nam było ze sobą rozmawiać, nie doszłoby do tego. Nie oszalałby. Dlaczego pozostałe Omegi miałyby chcieć mnie skrzywdzić? Są w tej samej sytuacji co ja. Dlaczego zatem odmawiasz mi ich towarzystwa?

– Ze względu na to, kim są ich bliźniacy.

– Ich bliźniacy to twoi przyjaciele, kolesie z Rady – zauważyłam.

– Jakaś ty naiwna, Cass. Pracuję z tymi ludźmi albo dla nich, ale to nie są moi przyjaciele. Myślisz, że żaden z nich nie chciałby zmusić swego bliźniaka do skrzywdzenia cię, żeby tylko mi zaszkodzić?

– W takim razie gdzie to się wszystko kończy? Bo zgodnie z twoją logiką zarówno Alf, jak i Omegi powinny spędzać całe życie w obitych gąbką celach.

– Nie chodzi tylko o mnie – wyjaśnił Zach. – Zawsze tak było: wykorzystywano osoby bliskie innym ludziom, żeby nimi manipulować. Nawet przed Wybuchem. Gdy chciało się zyskać nad kimś kontrolę, porywało się małżonka, dziecko lub kochankę tej osoby. Jedyną różnicą jest to, że po Wybuchu przybrało to bardziej bezpośrednią formę. Przedtem trzeba było uważać tylko na siebie. Teraz trzeba uważać i na siebie, i na kogoś jeszcze. Proste.

– To proste tylko wtedy, gdy postrzega się posiadanie bliźniaka jako ciężar. Cierpisz na paranoję.

– A ty jesteś uparcie naiwna.
– Właśnie dlatego tu przychodzisz? – spytałam, gdy Zach wstał i otworzył drzwi. – Bo nie możesz zaufać nikomu w Radzie?
– To by znaczyło, że tobie dla odmiany mogę ufać – powiedział, zamykając za sobą drzwi.
Usłyszałam, jak przekręca klucz w zamku.

Obliczyłam, że musiał upłynąć co najmniej rok od momentu, kiedy po raz ostatni widziałam niebo. W sztucznie oświetlonym świetle Przechowalni nawet moje sny uległy zmianie; podobnie jak moje dzienne wizje. Gdy po raz pierwszy ukazała mi się Wyspa, zachodziłam w głowę, czy przypadkiem nie jest to zwykła fantazja, którą chciałam złagodzić grozę mego położenia. A kiedy zaczęły mnie nawiedzać nowe, mroczniejsze wizje, przez długi czas sądziłam, że stanowią one tylko ponure wytwory wyobraźni, które przenikają do moich snów w wyniku przeciągającej się izolacji. Wraz ze wzrostem liczby dni spędzonych przeze mnie w Przechowalni coraz mniej ufałam własnemu umysłowi. Jednakże to, co widziałam, było zbyt obce i spójne, abym mogła uwierzyć, że sama to wymyśliłam. Szczegóły również cechowała tak wielka wyrazistość, że nie mogłam być ich autorką: szklane zbiorniki, tak realistyczne, że na gumowych plombach u ich podstaw widać było kurz; umieszczone nad zbiornikami przewody i błyskające małymi czerwonymi lub zielonymi światełkami panele; gumowe rurki cielistej barwy wychodzące z górnej części każdego zbiornika.

Jakim cudem mogłabym wymyślić coś takiego, skoro nawet nie potrafiłam rozszyfrować jego znaczenia? Wiedziałam tylko, że stanowi tabu równie wielkie jak szklana świetlista kula w mojej celi. Rurki i przewody otaczające zbiorniki pasowały do opowieści o alchemii elektrycznej z czasów poprzedzających Wybuch. Światełka również żarzyły się nienaturalnym blaskiem, tak jak światło w mojej celi. Każde z nich stanowiło pozbawioną ciepła, nieruchomą plamkę czystego koloru. Była to jakaś maszyna, tylko do czego służyła? Urządzenie okazało się jednocześnie bardziej niechlujne i niesamowite, niż można się było spodziewać na podstawie plotek dotyczących świata sprzed Wybuchu. Splątane rurki i przewody sprawiały wrażenie chaotycznej improwizacji. W każdym razie, gdy miało się na uwadze ogrom i poziom złożoności rozedrganej masy połączeń, świateł i zbiorników, ciężko było nie uznać jej za imponującą, nawet mimo ciarek, które przebiegały mi po plecach na sam jej widok.

Z początku wizje ograniczały się do samych zbiorników. Potem jednak w ich wnętrzu dostrzegłam ciała zawieszane w gęstym płynie, który spowalniał wszystko do tego stopnia, że nawet falowanie włosów wydawało się apatyczne. Z każdego rozwartych ust wystawała rurka. Ale i tak to oczy wyglądały najgorzej. Większość

ciał miała zamknięte powieki, lecz w otwartych oczach nielicznych z nich dostrzegałam kompletną pustkę. Były to ludzkie wraki. Przypomniały mi się słowa, którymi Zach uciął moje skargi dotyczące niewoli: „Moglibyśmy zrobić z tobą coś gorszego niż tylko zamknąć cię w celi”.

Kiedy przychodził Zach, wyczuwałam zbiorniki o wiele wyraźniej, chociaż obecnie rzadko mnie odwiedzał. Pomieszczenie ze zbiornikami było niczym bijący od niego zapach. Już w momencie gdy w zamku zgrzytał klucz, zaczęły ukazywać mi się twarze. A po wyjściu Zacha na wiele godzin osaczały mnie zamknięte oczy i rozdziawione usta. Każde ciało należało do Omegi zamkniętej na wieczność w szklanym słoju. Wraz z upływem miesięcy, mimo że wizyty Zacha stały się rzadsze, moja świadomość istnienia pomieszczenia ze zbiornikami utrzymywała się na w miarę stałym poziomie. Nie była to bynajmniej świadomość abstrakcyjna, toteż miałam wrażenie, że miejsce to jest nie tylko prawdziwe, lecz także znajduje się gdzieś w pobliżu. Jego obecność do tego stopnia przybrała fizyczny charakter, że zaczęłam wykorzystywać je jako punkt odniesienia: zdecydowana siła, z jaką przyciągała mnie owa sala, znajdująca się być może zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, służyła mi za swoisty kompas. Podobnie jak rzeka stanowiła swego czasu rdzeń mentalnej mapy doliny, w której dorastałam, wyobrażona przeze mnie mapa fortecy zorientowana była na dwie lokalizacje: celę i pomieszczenie ze zbiornikami. A gdzieś pod spodem nieustannie płynęła rzeka. Czułam jej nurt głęboko pod stopami, nieustanny ruch drwiący z mojej stagnacji.

Pewnego dnia Spowiedniczka otworzyła drzwi mojej celi, ale nie weszła do środka.

– Wstawaj – rozkazała, trzymając drzwi otwarte.

Od ponad roku nie wychodziłam na zewnątrz. Przyszło mi do głowy, że może się ze mną drażni. W ciągu ostatnich miesięcy zaczęłam się bać szaleństwa. Wyrzałam przez otwarte drzwi i z nieufnością zerknęłam na wycinek korytarza, który byłam w stanie objąć wzrokiem. W moich odzwyczajonych od przestrzeni oczach betonowy tunel jawił się w sposób równie nierealny co zalana słońcem górską przełęcz.

– Pospiesz się. Chcę ci coś pokazać. Mamy mało czasu.

Nawet towarzystwo trzech uzbrojonych żołnierzy oraz przypatrującej mi się niecierpliwym wzrokiem Spowiedniczki nie potrafiło obniżyć mego nieskrywanego entuzjazmu, gdy przechodziłam przez próg.

Kobieta nie chciała zdradzić, dokąd mnie zabiera, ani odpowiedzieć na żadne z moich pytań. Szła przede mną energicznym krokiem, a strażnicy deptali mi po piętach. Okazało się, że droga nie była daleka; po dotarciu do końca korytarza przeszliśmy przez następne zamknięte drzwi, a potem schodami w dół, gdzie czekał

na nas kolejny rząd drzwi.

– Nie wchodzimy do środka? – spytałam, spoglądając na drzwi takie same jak te prowadzące do mojej celi: szara stal; wąska szpara u podstawy służąca do wsuwania tac z jedzeniem; umieszczona na wysokości oczu wizjerka, którą można było otworzyć tylko z zewnątrz.

– Nie jesteśmy na wycieczce – odparła Spowiedniczka. – Chcę, żebyś coś zobaczyła.

Podeszła do trzecich z kolei drzwi i odsłoniła wizjerkę. Podobnie jak w mojej celi najwyraźniej od dawna jej nie otwierano, bo zardzewiały metal przesuwiał się ociężale, przeraźliwie skrzypiąc.

Spowiedniczka odsunęła się od wejścia.

– No chodź – powiedziała, wskazując na wizjerkę.

Podeszłam i przysunęłam twarz do otworu. W tej celi było ciemniej, pojedyncza elektryczna lampa nie stanowiła żadnej konkurencji dla całego ich rzędu płonącego w korytarzu. Ale gdy moje oczy zaczęły się przyzwyczajać do różnicy oświetlenia, dostrzegłam, że celi nie różni się od mojej. Taka sama wąska pryzma, takie same szare ściany.

– Przyjrzyj się uważnie – poradziła Spowiedniczka, a ja poczułam ciepło jej oddechu na tylnej części ucha.

Dostrzegłam mężczyznę. Stał pod ścianą w najciemniejszym kącie pomieszczenia, z rezerwą przypatrując się drzwiom.

– Kto tam? – spytał, po czym zrobił krok do przodu i zmrużył oczy, żeby lepiej mnie widzieć. Nieużywany od dawna głos zazgrzytał niczym klapka przysłaniająca wizjerkę w drzwiach celi.

– Nie rozmawiaj z nim – powiedziała Spowiedniczka. – Tylko patrz.

– Kto tam? – spytał raz jeszcze, tym razem głośniej.

Był ode mnie jakieś dziesięć lat starszy. Nigdy nie widywałam go podczas wyjść na mury, ale jego długa broda i blada cera wskazywały na to, że swoje już w Przechowalni odsiedział.

– Mam na imię Cass – powiedziałam.

– Nie ma sensu do niego mówić – oznajmiła Spowiedniczka głosem pobrzmiwającym znużeniem. – Po prostu patrz. Już niedługo. Od kilku dni to czuję.

Mężczyzna zbliżył się jeszcze; od drzwi dzieliły go już tylko krok czy dwa. Mogłabym go dotknąć, gdybym wsunęła dłoń w niewielki otwór. Brakowało mu jednej ręki, a spod skołtunionych włosów wyzierało piętno.

– Jest z tobą ktoś jeszcze? – spytał. – Od miesięcy nie widziałem człowieka na oczy. Od kiedy mnie przywieźli.

Podszedł jeszcze bliżej i uniósł rękę.

A potem kolana się pod nim ugięły. Osunął się na ziemię niczym piaszczysty

wał zalany ulewnym deszczem. Złapał się za brzuch, a jego ciało przebiegł dwukrotny spazm. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku; z jego ust wydobył się tylko strumyczek krwi, czarnej w panującym w celi półmroku. Mężczyzna przestał się poruszać.

Nie zdążyłam wykrztusić z siebie ani słowa, odskoczyłam tylko od wizjerki, gdy mężczyzna upadł. Zanim udało mi się znowu zajrzeć do środka, Spowiedniczka chwyciła mnie za ramię i obróciła do siebie.

– Widzisz? Wydaje ci się, że jesteś tu bezpieczna? – Popchnęła mnie na drzwi, a ja poczułam chłód stali na gołych ramionach. – Bliźniacze tego mężczyzny wydawało się, że nic jej nie grozi, skoro zamknęła tu brata. Ale narobiła sobie w Radzie tylu wrogów, że nawet Przechowalnia nie pomogła jej ochronić. Nie byli w stanie dorwać jego, więc postanowili zająć się nią bezpośrednio. I dopięli swego.

Ale ja sama już to wiedziałam. Przerazająca śmierć mężczyzny miała dla mnie podwójny wymiar. W momencie gdy upadł, ujrzałam kobietę leżącą na brzuchu w łóżku; kobietę z włosami starannie zaplecionymi w warkocz oraz nożem wbitym w plecy.

– Zach to zrobił? – spytałam.

Pokręciła lekceważąco głową.

– Nie tym razem. Zresztą to nieistotne. Musisz po prostu zrozumieć, że nawet on nie potrafi cię zawsze chronić. Obecnie cieszy się popularnością, to prawda, ale ma ambitne plany. Jeśli Rada zwróci się przeciwko niemu, znajdą sposób, żeby uśmiercić któreś z was.

Jej twarz znajdowała się tak blisko mojej, że mogłam dostrzec poszczególne rzęsy oraz żyłę pulsującą na czole Spowiedniczki na lewo od piętna. Zamknęłam oczy, lecz ciemność wypełniła się obrazem mężczyzny leżącego na podłodze za mną, z którego ust wystawał sztuczny jęzor uformowany z krwi. Nie mogłam oddychać.

– Musisz zacząć pomagać Zachowi i mnie – zaczęła tłumaczyć powolnym głosem. – Jeżeli mu się nie powiedzie i pozostali Radni zwrócą się przeciw niemu, jednemu z was stanie się krzywda.

– Nie pomogę wam – oznajmiłam.

Przypomniało mi się pomieszczenie ze zbiornikami, los, jaki Zach zgotował unoszącym się w nich ludziom. Jednakże w porównaniu z krwawiącym ciałem na podłodze za moimi plecami oraz nieubłaganą twarzą Spowiedniczki tuż przede mną okropności te wydawały się czymś odległym.

– Nie potrafię – dodałam. – Nie mam nic do powiedzenia.

Zastanawiałam się, jak długo uda mi się jeszcze powstrzymywać łzy, ale kobieta nagle się odwróciła.

– Wsadźcie ją z powrotem do celi – zawołała przez ramię do strażników,

odchodząc.

Mój cały świat został zredukowany do ścian, sufitu i podłogi celi. Oraz bezlitosnych drzwi. Próbowałam wyobrazić sobie to, co było na zewnątrz: promienie porannego słońca padające pod ostrym kątem na świeżo ścięte zboże; nocne niebo rozciągające się w nieskończoność ponad rzeką. Z aspektów rzeczywistości przemieniły się one w idee. Obecnie były mi równie obce co zapach deszczu, dotyk piasku pod stopami i śpiew ptaków zwiastujący nadejście świtu. Wszystkie te rzeczy stały się mniej realne niż wizje pomieszczenia ze zbiornikami oraz rozmiękłych ciał unoszących się w ciszy pośród splątanych rurek. Wizje wyspy również stały się rzadkie. Skrawki morza nie były w stanie przecisnąć się przez mury więzienia. Liczba dni spędzonych przeze mnie w Przechowalni ciągle rosła, aż w którymś momencie odniosłam wrażenie, że cela jest nimi wypchana. Zupełnie jakby wypełniała się wodą. Ciężar następujących po sobie tygodni, miesięcy, a w końcu i lat sprawiał, że z trudem mogłam oddychać. Zastanawiałam się, czy w ten właśnie sposób zaczyna się szaleństwo, które tak często dopada wizjonerów. Jeśli i tak miałam zwariować, to lata niewoli tylko przyspieszą ów proces. Słyszałam kiedyś, jak ojciec stwierdził, że wizjoner na targu w Haven postradał zmysły. Wyrażenie to wydawało się teraz dokładnym odzwierciedleniem tego, jak się czułam. Sondowanie mnie przez Spowiedniczkę oraz wizje zbiorników były do tego stopnia absorbujące, że nie potrafiłam już myśleć o niczym innym, a już z pewnością nie o sobie samej.

Zach rzadko mnie odwiedzał – bywało, że między wizytami mijały miesiące. A gdy się już pojawiał, z trudem byłam w stanie z nim rozmawiać. Zauważyłam za to, jak bardzo zmieniła się jego twarz przez lata, które spędziłam w Przechowalni. Wychudł, więc wargi stanowiły obecnie jedyną jej miękką część. Zastanawiałam się, czy ja także się zmieniłam i czy on by to w ogóle zauważył.

– Zdajesz sobie pewnie sprawę, że to nie może tak dłużej wyglądać – stwierdził.

Skinęłam głową, ale miałam wrażenie, jakbym znajdowała się pod wodą – jego słowa wydawały się stłumione i odległe. Ciasne ściany oraz niski sufit celi tworzyły echo potęgujące każdy dźwięk i nadające mu lekko niestabilny charakter. A teraz echo wydawało się częścią jakiegoś większego procesu zacierania znaczeń – wszystko traciło na ostrości.

– Gdyby to zależało ode mnie – mówił dalej Zach – nadal bym cię tu trzymał. Ale muszę skończyć to, co zacząłem. Myślałem, że może zdołam ci tego oszczędzić, jeśli okażesz się przydatna. Ale ty nie chcesz jej niczego zdradzić.

Nie musiał precyzować, kim była „ona”.

– Ona nie ma zamiaru tego dłużej znosić. – Mówił tak cicho, że ledwo go

słyszałam, jakby z trudem był w stanie przyznać się do własnych lęków. Pochylił się do przodu tak, że nasze twarze znalazły się blisko siebie. – Gdyby to ode mnie zależało, nadal trzymałbym cię tutaj – powtórzył, tym razem głośniej.

Nie pojmowałam, dlaczego tak bardzo mu zależy, aby mnie o tym przekonać.

Odwrociłam się twarzą do ściany.

Z początku nie rozumiałam, czemu aż tak bardzo przerażają mnie sny o pustym zbiorniku. Przecież od trzech lat zbiorniki pojawiały się w moich wizjach. Zawsze napawały mnie odrazą, ale stały się również czymś znajomym – nie wzdrygałam się już z zaskoczenia, gdy widziałam je we śnie. Przywykłam do nich tak jak do piętna na twarzy. Dlaczego zatem ze snów o tym pustym budziłam się zaplątana w przepoconą pościel? Przecież nikogo w nim nie było, a to powinno czynić go mniej strasznym od tych zajętych, których widok zazwyczaj przesładował mnie nocami. Po prostu stał i czekał, aż jego szklane trzewia zostaną wypełnione.

Czwartą noc z rzędu śnił mi się ten sam zalany mdłym światłem zbiornik. Nad nim jak zwykle widniały splątane przewody i rurki. Krzywizna szkła też się nie zmieniła, ale coś było stanowczo nie tak. Tym razem szkło zakrzywiało się nie przede mną, tylko wokół mnie. W ustach czułam smak wciśniętej w tchawicę gumowej rurki oraz ból w kącie warg, gdzie ocierała się o skórę. Nie mogłam zamknąć ust, żeby powstrzymać wdzieranie się do nich wypełniającego zbiornik mdląco-słodkawego płynu. Nie byłam również w stanie zamknąć oczu. Gęsta ciecz rozmazywała mi wzrok, wszystko naokoło miękko falowało, jakbym spoglądała przez gorące powietrze unoszące się latem nad polami należącymi do osady.

Obudziłam się z krzykiem, który trwał, dopóki nie zdarłam sobie gardła, a mój głos nie potrafił się zawiesić na żadnej konkretnej nucie, tylko szarpał się gdzieś między nimi. Wołałam Zacha tak długo, aż pojedyncza sylaba jego imienia zaczęła przybierać dziwaczne, nierozpoznawalne kształty. Już podczas pierwszych tygodni w Przechowalni zrozumiałam, że krzykiem niczego się nie osiągnie – nikt nie pojawi się pod drzwiami celi – mimo to krzyczałam.

Przez sześć kolejnych nocy czułam, jak otaczający mnie zbiornik wypełnia się płynem, który mnie unieruchamia i w końcu zakrywa wraz z głową, opływając rurki znikające w moich ustach i nadgarstkach. Każdej nocy, do momentu gdy budziłam się z wrzaskiem, tkwiłam zawieszona na rurce prowadzącej do mojego gardła niczym ryba złowiona na wędkę.

Nie byłam w stanie jeść. Każda próba przełknięcia pożywienia przypominała o rurce tkwiącej mi w gardle, co z kolei wywoływało odruch wymiotny. Robiłam, co w mojej mocy, żeby nie spać, bo wizje pojawiały się najczęściej podczas snu.

Nocą przemierzałam celę to w jedną, to w drugą stronę, licząc kroki, aż ich liczba zaczynała mi się mieszać. Szczypałam się w ramiona i wrywałam włosy z głowy jeden po drugim nie tylko po to, żeby ocucił mnie ból, lecz także abym była w stanie odnaleźć się we własnym ciele i odciąć się od swojego alter ego zamkniętego w zbiorniku ze snów. Nic jednak nie skutkowało. Moje ciało i umysł odklejały się od siebie. Czas się destabilizował i ulegał fragmentacji. W niektóre dni prześlizgiwałam się przez godziny, jakbym zjeżdżała na łąb na szyję z piargowego usypiska. Innym razem mogłabym przysiąc, że czas się zatrzymał, a każdy oddech trwał przynajmniej rok. Rozmyślałam o obłąkanym wizjonerze z targu w Haven oraz szalonym Omedze na murach. Zrozumiałam, że tak to się właśnie odbywa. W taki właśnie sposób człowiek traci rozum.

W końcu wyskrobałam wiadomość na tacy z jedzeniem tępych czubkiem łyżki. „Zach: pilne – istotna wizja. Opowiem ci (tylko tobie) w zamian za dziesięć minut na murach”.

Przysłał Spowiedniczkę, tak jak się spodziewałam.

Jak zwykle usiadła na krześle plecami do drzwi. Ostatnie kilka dni musiało nadać mi złachany wygląd, ale nie wspomniała o tym ani słowem. Zastanawiałam się, czy w ogóle to zauważyła, czy też z powodu swego niezwykle bystrego umysłu nie potrzebowała już obserwować świata zewnętrznego.

– Zazwyczaj nie jesteś zbyt chętna, żeby dzielić się wizjami. Wręcz przeciwnie. Rozumiesz więc, że wzbudziłaś naszą ciekawość – powiedziała.

– Jeśli Zach jest aż tak ciekawy, przyślij go tutaj. Tobie niczego nie powiem.

Wiedziałam, że ten etap okaże się najtrudniejszy. Czułam, jak Spowiedniczka zaczyna sondować mój umysł. Przypominało to otwieranie ostrzeganych przez naszą matkę, szukanie ostrzem noża słabego punktu, w którym dałoby się podważyć skorupę.

– Wiesz, że zamknięcie oczu mnie nie powstrzyma, prawda?

Zanim Spowiedniczka się odezwała, nawet nie zauważyłam, że zamknęłam powieki. Szczęki też mocno zacisnęłam. Zmusiłam się do spojrzenia jej prosto w oczy.

– Niczego nie znajdziesz – oznajmiłam.

– Możliwe. Być może robisz się coraz lepsza. A może po prostu nie miałaś żadnej wyjątkowo przydatnej wizji.

– Czyli to pułapka? I co teraz zrobić? Spuszczę się z murów na linie ze splecionych prześcieradeł? Dajże spokój.

Zamilkłam. Niełatwo było jednocześnie mówić i chronić umysł przed wtargnięciem Spowiedniczki.

– Chcę po prostu popatrzeć na niebo. Jeśli mam wyjawić wam to, co wiem, czemu nie w zamian za coś takiego?

– Tyle że nie dojdzie do żadnej wymiany, o ile nie masz nam czegoś do

zaoferowania – poinformowała kobieta.

– Chodzi o Wyspę – oznajmiłam zniechęta.

Miałam nadzieję, że nie będę musiała zdradzać aż tyle, ale lęk przed zbiornikiem pozbawił mnie rozwagi.

– Rozumiem. Wyspę, której istnieniu zaprzeczasz od czterech lat.

Skinęłam głową bez słowa. Choć wyraz twarzy Spowiedniczki nie uległ zmianie, czułam, że jej umysł zaczął obłapiać mnie o wiele bardziej ochotczo, niczym dłonie niechcianego zalotnika. Skoncentrowałam się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, starając się otworzyć umysł, a jednocześnie ograniczyć dostęp do niego. Chciałam wydać jej tylko strzępek, ułamek wizji, wystarczający do potwierdzenia wartości tego widzenia, ale jednocześnie niepozwalający na zdradzenie szczegółów, których ujawnienie mogłoby się okazać katastrofalne w skutkach i dla Wyspy, i dla mnie. Skupiłam się na wspomnieniu promieni słonecznych wpadających przez zasłony mojej kuchni w osadzie i oświetlających fragment przeciwległej ściany. Miasteczko na Wyspie, jedna z jego przeludnionych stromych uliczek. Zbliżenie, brak charakterystycznych cech krajobrazu. Tylko miasteczko, plac targowy, domy stłoczone na pochyłym terenie. Tylko to miasteczko.

Słyszałam, jak Spowiedniczka bierze głębszy oddech.

– Wystarczy – powiedziałam. – Przekaż Zachowi, co ma zrobić, a ja o wszystkim mu opowiem.

Kobiecie to jednak nie wystarczyło. Sondowanie trwało nadal, przybierając niemalże gorączkowy charakter. Pewnego ranka, po przebudzeniu się w osadzie, zobaczyłam, że przez szparę w strzesze przedarł się kruk. Tłukł się po ciasnej sypialni, skrzecząc i sypiąc piórami, aż znalazł otwarte okno. Obecność Spowiedniczki w mojej głowie nacechowana była podobną mieszkanką desperacji i agresji.

Nie odzywałam się. Zamiast tego po raz pierwszy spróbowałam odpłacić Spowiednicze pięknym za nadobne. Wyobraziłam sobie dłonie mojej matki zawieszane nad miską z ostrygami. Nadałam umysłowi kształt noża. Wcześniej unikałam czegoś podobnego: wizje były raczej czymś, co musiałam znosić, a nie wykorzystywać. Poczucie gwałtu, jakie towarzyszyło sesjom z udziałem Spowiedniczki, dodatkowo odstręczało mnie od wykorzystywania umysłu w taki właśnie sposób. Zaskoczyło mnie zatem, jakie to łatwe: niczym odsuwanie zasłony. Ujrzałam fragmenty, podobne do tych z moich snów, ale to wystarczyło. Zobaczyłam miejsce, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Wielką okrągłą komnatę. Nie było w niej zbiorników, tylko przewody przypominające te z wizji o pomieszczeniu ze zbiornikami, z tym że było ich nieskończenie więcej. Pięły się po zakrzywionych ścianach zastawionych metalowymi pudłami.

Poczułam, jak Spowiedniczka się wzdryga. Wstała tak gwałtownie, że jej

krzesło poleciało do tyłu, a następnie pochyliła się nade mną.

– Nie próbuj używać przeciwko mnie moich własnych sztuczek – ostrzegła.

Spojrzałam jej prosto w oczy, starając się ukryć drżenie dłoni.

– Przyślij tu mojego bliźniaka – rozkazałam.

Przyszedł w końcu nazajutrz po południu i spojrzał na mnie zszokowanym wzrokiem.

– Jesteś chora? Ktoś ci coś zrobił? – spytał, po czym złapał mnie za łokieć i poprowadził do krzesła. – Jak im się to udało? Nikt oprócz Spowiedniczki nie ma tu prawa wstępu.

– Nikogo tu nie było. To przez to miejsce – odparłam, wskazując na celę. – Nie możesz oczekiwać, że będę tryskać zdrowiem i radością. Zresztą sam też kiepsko wyglądasz.

Jeszcze nie przywykłam do tego nowego Zacha o pociągłej twarzy z ciemnymi workami pod oczami.

– Może dlatego, że spędziłem większą część nocy, próbując się domyślić, w co pogrywasz.

– Czy to naprawdę musi być takie skomplikowane? Muszę wyjść na dwór, Zach. Chociaż na chwilę. Oszaleję tu.

Mimo że nie mogłam mu zdradzić prawdziwego powodu swego strachu, mówiłam szczerze. Naprawdę byłam na skraju wytrzymałości, co potwierdzał mój zabiedzony wygląd.

– To zbyt niebezpieczne. Przecież wiesz. Nie trzymam cię tu dla zabawy – odparł.

Pokręciłam głową.

– Pomyśl w takim razie, jak groźne okazać się może moje szaleństwo. Byłabym zdolna do wszystkiego.

Zaśmiał się.

– Zaufaj mi, nie jesteś w najlepszej pozycji, żeby mi grozić.

– Wcale ci nie grożę. Oferuję coś, co mogłoby ci bardzo pomóc.

– A od kiedy właściwie jesteś zainteresowana pomaganiem mi? – spytał.

– Od kiedy zaczęłam tracić rozum. Potrzebuję tego. Dziesięć minut na słońcu. Widok nieba. Nie proszę wcale o zbyt wiele, biorąc pod uwagę to, co chcę ci przekazać.

Zach pokręcił głową.

– Może i bym ci uwierzył, gdybyś kiedykolwiek wcześniej wyjawiała nam coś przydatnego. Ale Spowiedniczka twierdzi, że każde przesłuchanie potrafisz przesiedzieć jak woskowa lalka. Nigdy wcześniej nie byłaś nawet skłonna przyznać, że Wyspa naprawdę istnieje, a teraz nagle masz na jej temat coś

ciekawego do powiedzenia. Czemu więc miałbym ci wierzyć?

Westchnęłam.

– No dobra. Okłamałam ją w kwestii Wyspy.

Zach wstał i ruszył do drzwi.

– Wiedziałam, że tylko to cię tu ściągnie – mówiłam dalej do jego pleców. – Naprawdę mam ci coś przydatnego do powiedzenia. Ale jej nie mogłam tego zdradzić.

– Niby dlaczego? Jej praca polega na zbieraniu informacji.

– Bo to dotyczy właśnie jej.

Przystanął z jedną dłonią opartą o drzwi, w drugiej natomiast dzierżył pokaźny pęk kluczy, który zawsze nosił przy sobie.

– Musiałam powiedzieć to tobie, bo chodzi o jej plany wobec ciebie – oznajmiłam.

– Nie mam zamiaru wierzyć w te brednie – warknął Zach. – To jedyna osoba, której mogę tutaj ufać. A już na pewno bardziej niż tobie.

Wzruszyłam ramionami.

– Wcale nie musisz mi wierzyć. Mówię tylko, co wiem, a ty możesz mi wierzyć lub nie.

Przez kilka chwil wpatrywał się we mnie. Następnie obrócił się, włożył klucz do zamka i otworzył drzwi. W końcu wyszedł na zewnątrz, ale zostawił je otwarte.

– Dziesięć minut – zawołał, oddalając się korytarzem. – Potem wracamy tutaj i wszystko mi opowiesz.

Rozdział siódmy

Gdy próbowałam sobie później przypomnieć moment wyjścia z celi, nie byłam w stanie. Rzuciłam się po prostu za Zachem, zamroczona podążyłam za nim długim korytarzem, a potem przez drzwi, które otworzył kluczem, i po schodach na górę. Dopiero na ich szczycie, w miejscu, gdzie trzy wysokie okna wpuszczały do środka światło, poczułam ogrom rozciągającej się za nimi przestrzeni. Osłaniając zmrużone oczy dłonią, gapiłam się na okna w nienasyceniu. Mgła zbierająca mi się w głowie przez ostatnie tygodnie zaczynała się rozrzedzać; mój umysł od miesięcy nie był równie trzeźwy. Zupełnie jakby znajdująca się nad celami forteca przygniatała mnie wcześniej swą masą, a wychodząc z jej trzewi, zrzuciłam z siebie ów ciężar.

Nie zwracając na mnie uwagi, Zach powiódł mnie kolejnym długim korytarzem, otworzył okazałych rozmiarów drzwi, po czym przystanął.

– Ciężko mi stwierdzić, czy jesteś wystarczająco głupia, żeby czegoś próbować, ale lepiej się nie wysilaj – poradził.

Starłam się ignorować światło i świeże powietrze wnikające przez uchylone drzwi i skupić się na jego słowach.

– Wiesz dobrze, że walka ze mną nie ma sensu. A pozostałe wejścia prowadzące na mury są zamknięte. Trzymaj się blisko mnie.

Popchnął drzwi. Mimo bólu oślepionych oczu czułam się upojona świeżym powietrzem. Wyszłam na zewnątrz, oddychając spazmatycznie.

Długi wąski mur obronny nie zmienił się od czasów mojej ostatniej wizyty, która odbyła się cztery lata temu, podczas pierwszych miesięcy niewoli. Taras mierzył jakieś dwadzieścia metrów długości i wystawał z muru dokładnie w połowie. Poniżej, między znajdującymi się przed nami zębiskami blanków, rozciągało się miasto, a za plecami mieliśmy pionową ścianę fortecy wzniesionej na zboczu góry. Słyszałam, jak Zach zamyka na klucz znajdujące się pośrodku ściany drzwi, przez które chwilę wcześniej przeszliśmy. Na obu końcach tarasu znajdowały się identyczne drewniane drzwi, wzmocnione krzyżującymi się metalowymi sztabami.

Przez kilka chwil stałam w bezruchu, z lekko odchyłoną do tyłu głową, rozkoszując się słońcem ogrzewającym moją twarz. Gdy ruszyłam w kierunku blanków, Zach zastąpił mi drogę.

Parsknęłam śmiechem.

– Spokojnie. Chciałam tylko zerknąć. Przez ostatnie cztery lata nie miałam okazji podziwiać widoków – wyjaśniłam.

Kiwnął głową, ale nie odstał ode mnie nawet na krok, kiedy zbliżyłam się do krawędzi i zerknęłam ponad sięgającym pasa murem na leżące u naszych stóp miasto.

– Nigdy wcześniej nie miałam okazji dobrze mu się przyjrzeć – wyznałam. – Przywieźli mnie nocą i miałam zakrytą głowę. A gdy nas tu wypuszczali, nie wolno nam było zbliżać się do krawędzi.

Z tej wysokości Wyndham przypominało gmatwaninę budynków rozrzuconych po powierzchni zbocza. Ich układ był zbyt chaotyczny, by nazwać go pięknym, ale rozmiar metropolii niewątpliwie robił wrażenie. Miasto wspinało się aż do podstawy fortecy, ale rozciągało się też na równinie do punktów, w których drogi zaczynały się zlewać z linią wzgórz i z rozmytym horyzontem. Z południa wylaniała się rzeka, która następnie wiła się wokół fundamentów miasta i znikła w czeluściach góry. Nawet z tak wysoka można było dostrzec ruch: jadące drogą wozy, łopoczące w oknach pranie. Przez wszystkie te niedające się odróżnić dni i noce znajdowałam się niezwykle blisko innych ludzi, a jednocześnie byłam tak strasznie samotna.

Mój brat obrócił się plecami do miasta. Poszłam w jego ślady i oparłam się o niski mur. Zębiska blanków wznosiły się po obu naszych stronach na wysokość głowy.

– Wspomniałeś wcześniej, że nie ufasz tu nikomu z wyjątkiem Spowiedniczki – przypomniałam.

Nie odpowiedział, spuścił tylko wzrok na dłoń.

– Dlaczego zatem postanowiłeś żyć w ten sposób? – spytałam. – Ja jestem tu wbrew mojej woli, ale ty mógłbyś stąd po prostu wyjść.

– Czy umawialiśmy się na rozmowę od serca? Bo nie przypominam sobie, żebym wyraził zgodę na coś takiego. – Z powrotem obrócił się twarzą do Wyndham. – Zresztą to wcale nie jest takie proste. Mam tu sporo rzeczy do zrobienia. – W jasnym świetle było dobrze widać, jak wyraźne stały się jego kości policzkowe. Zach westchnął. – Zaczęłam parę rzeczy. Własne projekty. Muszę doprowadzić je do końca. Sytuacja jest skomplikowana.

– Wcale nie musi tak być – stwierdziłam.

– Zawsze byłaś idealistką. Dla ciebie wszystko jest proste. – Jego głos był równie zmęczony co oczy.

– Dla ciebie to też może być proste. Wystarczy, że wyjedziesz, wrócisz do wioski i zajmiesz się uprawą ziemi razem z mamą.

Jeszcze zanim się odwrócił, wiedziałam, że powiedziałam nie to, co trzeba.

– Uprawą ziemi? – syknął. – Masz pojęcie, kim ja teraz jestem? Co udało mi się osiągnąć? A wioska jest ostatnim miejscem, do którego chciałbym się udać. Nawet po rozdzieleniu nas nigdy nie traktowano mnie tam jak prawowitego Alfy. Sądziłem, że to się z czasem zmieni, ale tak się nie stało. – Zach wycelował we mnie palcem. – To twoja wina, bo przez tyle lat unikałaś rozdzielenia. Nigdy już tam nie wrócę – oznajmił, po czym odsunął się ode mnie i stanął w pół drogi do drzwi.

Podparłszy się rękoma o znajdującą się za mną ścianę, podskoczyłam i usiadłam na kamiennym gzymsie, po czym gwałtownie wstałam. Zrobiłam to tak szybko, że musiałam się złapać blanków po obu stronach, żeby nie polecieć do tyłu.

Zach rzucił się w moim kierunku, ale zatrzymał się, gdy zobaczył, jak blisko krawędzi stoję. Uniósł obie dłonie, bezradny niczym marionetka.

– To szaleństwo. Złaż natychmiast. To szaleństwo. – Jego głos stał się piskliwy i ostry.

Pokręciłam głową.

– Jeszcze jedno słowo i skoczę. Zawołasz strażnika, a skoczę.

Zrobił głęboki wdech i przyłożył palec do warg. Nie byłam pewna, czy ucisza mnie, czy siebie.

– Już dobrze – mruknął. – Już dobrze.

Nadal nie wiedziałam, które z nas próbuje uspokoić.

– Nie zrobiłabyś tego przecież. Nie przeżyłabyś.

– Wiem – odparłam. – I nie udawaj, że to o mnie się martwisz.

– Dobrze. W porządku. Ale nie zrobiłabyś mi tego. Nie mogłabyś.

– Już raz blefowałeś, kiedy nas rozdzielano. Wtedy cię obroniłam, ale drugi raz tego nie zrobię.

Zrobił krok do przodu, a ja cofnęłam się o krok. Na murze znajdowały się już tylko przednie części moich stóp – pięty dygotały nad przepaścią.

– Zrobię to – zapewniłam. – Nie widzę sensu w dalszym życiu w celi.

– Wypuściłem cię przecież, teraz jesteś tutaj, zgadza się?

Odważyłam się zerknąć przez ramię, a potem szybko odwróciłam wzrok, mając nadzieję, że moje oczy nie zdradziły przepelniającego mnie przerażenia.

– Powiem ci, jak to załatwimy. – Powierzchnia kamienia pod moimi dłońmi była ciepła i szorstka. Zastanawiałam się, czy to ostatnia rzecz, jakiej dane mi będzie dotykać. – Cofnij się pod drzwi.

Skinął głową i powoli zaczął się cofać, nie opuszczając rąk.

Jedną dłonią nadal trzymałam się blanku po prawej stronie, a drugą uniosłam koszulę i sweter, pod którymi oplotłam się o świcie sporządzoną naprędce liną. Z uśmiechem przypominałam sobie uwagę wygłoszoną dzień wcześniej pod adresem Spowiedniczki. Przez cały dzień wrzynały mi się w brzuch zasupłane kawałki prześcieradła, ale nie śmiałam ich poluzować, żeby nie odznaczały się pod ubraniem.

Rozwinięcie liny okazało się niełatwym zadaniem. Z początku jedną ręką przytrzymywałam się muru, ale rozpuszczone zwoje prześcieradła spadały mi pod nogi, co groziło potknięciem. W końcu więc zaczęłam używać obu rąk. Przesunęłam się trochę do przodu, jednak moje pięty nadal znajdowały się zaledwie dwa czy trzy centymetry od krawędzi. Nie spuszczałam wzroku z Zacha.

Wolno rozwijająca się biała lina opuszczała się coraz niżej po murze za moimi plecami.

Nie jestem pewna, czy zobaczyłam, jak spina się w sobie, czy raczej wyczułam jego zamiary, ale zanim zdążył zrobić choć jeden krok, powstrzymałam go, unosząc dłoń.

– Jeśli się na mnie rzucisz, skoczę. Albo oboje stoczymy się na dół. Na jedno wyjdzie.

Zamarł. Jego oddech był głośny, ciężki.

– Naprawdę jesteś gotowa to zrobić.

Tym razem było to stwierdzenie, a nie pytanie. Przynajmniej nie musiałam udzielać odpowiedzi, której sama nie znałam. Wbiłam w niego wzrok, a on wycofał się pod ścianę.

Rozwijanie liny dobiegło końca. U podstawy blanki były o wiele za szerokie, żeby opleść wokół nich prześcieradło, ale za to u góry zwężyły się do grubości pojedynczego kamienia. Musiałam się obrócić bokiem i przycisnąć twarz do muru, żeby móc obserwować Zacha, gdy będę sięgała do góry. Aby przełożyć linę z jednej dłoni do drugiej, niezgrabnie przytuliłam się do blanku. Kiedy było po wszystkim, niechętnie odkleiłam się od muru.

– Kompletnie ci odbiło! – zawołał Zach. – Ta lina cię nie utrzyma. Spadniesz i oboje umrzemy. A nawet jeśli dotrzesz na dół w jednym kawałku, natkniesz się na strażników rozstawionych na całej długości muru. Co za bezsens.

Spojrzałam na linę. Brat miał rację: żeby uzyskać stosowną długość, musiałam podrzeć prześcieradło na kawałki, które miejscami były szerokie zaledwie na dwa palce. A węzły nawet mnie wydały się byle jakie. Wiedziałam, że ostatnio wychudłam, ale mimo wszystko lina nie budziła zaufania. Co więcej, Zach nie był w stanie dostrzec, że lina nie sięga aż do ziemi; jej postrzępiony koniec zwisał co najmniej kilka metrów nad kamiennym tarasem.

– Posłuchaj mnie uważnie – rozkazałam. – Wyjdiesz teraz tymi samymi drzwiami, którymi weszliśmy, i zamkniesz je za sobą na klucz. Jeśli usłyszę, że wołasz strażę, skoczę. Jeśli usłyszę, że otwierasz drzwi, skoczę. Nawet jeśli będę już w połowie drogi i zobaczę, że patrzysz na mnie z góry, skoczę. Będziesz stał za drzwiami i liczył do stu, zanim nawet pomyślisz o ich otwarciu czy wydaniu z siebie dźwięku. Jasne?

Pokręcił głową.

– Zmieniłaś się – stwierdził cichym głosem.

– To efekt czterech lat spędzonych w celi – oznajmiłam, zastanawiając się, czy widzę go po raz ostatni. – Ty też możesz się zmienić.

– Nie – odparł.

– Masz wybór. Pamiętaj o tym. A teraz zamykaj drzwi.

Zaczął obmacywać ścianę w poszukiwaniu klamki, nie spuszczając ze mnie

wzroku. Żeby otworzyć zamek, musiał się obrócić do mnie plecami, ale zaraz potem szybko okręcił się na pięcie. Wpatrywał się we mnie aż do chwili, gdy wsunął się w cień i zamknął za sobą drzwi. Dobięgl mnie dźwięk buszującego w zamku klucza, a potem zgrzyt ciężkiej zasuwy.

Też odliczałam, wyobrażając sobie, jak przyciśnięty do drzwi szepcze kolejne liczby wraz ze mną. Czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt. Zdałam sobie sprawę, że płaczę, nie wiedziałam jednak, czy powodem był strach, czy smutek. Siedemdziesiąt sześć, siedemdziesiąt siedem. Wrodzona niecierpliwość musiała sprawić, że przyspieszy, lecz zaraz potem zwolni, nie chcąc wypaść z za drzwi zbyt wcześnie i sprowokować mnie. Wiedziałam też, że już rozmyśla, gdzie rozstawić strażników i jak zamknąć miasto. Rzuci się w pościg za mną, tak jak się tego spodziewałam.

Dziewięćdziesiąt dziewięć. Rygiel zaczął się ostrożnie przesuwac, ale zdradził go pisk wywołany rdzą i sędziwym wiekiem.

Oczywiście Spowiedniczka przejrzałaby mój plan w okamgnieniu. Jednak Zach popędził prosto do miejsca, z którego zwisała lina. Gdy wychylił się ponad krawędzią muru aż po pas, żeby zerknąć w dół, wymknęłam się z za drzwi, wbiegłam do środka i przekręciłam klucz w zamku.

Rozdział ósmy

Ogarnął mnie dziwaczny spokój. Zza ciężkich drzwi dobiegały krzyki Zacha. Kopał w nie, ale drzwi zostały solidnie osadzone w futrynie i rezultatem był tylko stłumiony łomot.

Początkowo biegłam, cofając się po trasie, którą wcześniej prowadził mnie mój brat. Potem jednak, w momencie którego nie potrafię sobie przypomnieć, zaczął sterować mną inny typ pamięci. Moje ciało stało się lojalną igłą kompasu szukającą pomieszczenia ze zbiornikami, którego obecność wyczuwałam o wiele wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. Uosabiało ono zarówno mój największy lęk, jak i przeznaczenie. Musiałam zobaczyć je na własne oczy, jeśli miałam pomóc uwięzionym w zbiornikach ludziom czy choćby zacząć szerzyć wieści o nich. Było to także ostatnie miejsce, w którym by mnie szukano. Pomieszczenie znajdowało się w samych trzewiach fortecy, z dala od wyjść, których przypuszczalnie poszukiwałby zbieg. Zresztą gdyby Zach podejrzewał, że wiem o istnieniu zbiorników, jego najściślej strzeżonego sekretu, już dawno zamknięto by mnie w jednym z nich.

Należący do Zacha pęk ciężkich kluczy, który wyjęłam z zamka, brzęczał, gdy biegłam. Stając przed każdymi zaryglowanymi drzwiami, zamykałam oczy i pozwalałam, by instykt wskazał mi właściwy klucz. Po zamknięciu każdych kolejnych drzwi schodziłam coraz niżej, ale było to inne skrzydło budynku niż to, w którym mieściła się Przechowalnia. Niemniej jednak nie podobało mi się wrażenie, że forteca po raz kolejny zamyka się nad moją głową, a dystans między mną a niebem rozświetlonym słońcem rośnie.

Korytarz był długi i węższy niż te na górze. Ponadto miejsce zabierała sieć rur biegnących po obu stronach. Z niskiego sufitu zwisały szklane kule dające ten sam sterylny blask co lampa w mojej celi. Na końcu korytarza, po pokonaniu kilku schodków, natknęłam się na ostatnie drzwi. Mój umysł tak bardzo dostroił się do tego miejsca, że bez wahania wybrałam odpowiedni klucz.

W moich wizjach w pomieszczeniu ze zbiornikami panowała cisza. Kiedy jednak weszłam do środka, zaskoczył mnie hałas: nieustanny warkot maszynierii oraz dźwięki płynącej po ciemku wody. A pod moimi stopami mrucała rzeka. Podczas lat spędzonych w celi wyczuwałam jej obecność, ale tutaj jej dźwięk był wyraźnie słyszalny, uporczywy.

Bez względu na to, jak upiorne było to miejsce, jego znajomy charakter w dziwny sposób mnie uspokajał: z wyjątkiem hałasu wszystko wyglądało tak jak w moich wizjach. Pod ścianą komnaty stały zbiorniki. Z każdego wychodziły rurki ciągnące się do paneli kontrolnych zamontowanych powyżej. Gdy przyłożyłam dłoń do szkła jednego ze zbiorników, zaskoczyło mnie jego ciepło. W półmroku starałam się dostrzec kształt zawieszony w kleistej cieczy. Wewnątrz coś poruszało

się w rytm tętna maszynerii. Wiedziałam, co to, ale i tak wytrzymałam wzrok w nadziei, że się mylę.

Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do braku światła, w zbiornikach stojących najbliżej mnie zaczęły się wyłaniać kształty. Młoda kobieta pływała plecami do mnie, a każde z jej trzech ramion było uniesione, jakby chciała sięgnąć ku powierzchni cieczy. W pobliżu dna innego zbiornika mężczyzna w pozycji embrionalnej obejmował kolana pozbawionymi dłońmi rękami. Starsza kobieta unosiła się w płynie pod dziwnym kątem, a tuż pod piętnem można było dostrzec jej pojedyncze zamknięte oko. Ciała nagich ludzi pulsowały w ledwo dostrzegalny sposób w rytmie pracujących wokół nich urządzeń. Sala była tak długa, że ledwo dało się dostrzec znajdujące się na jej końcu drzwi. Rzędy zbiorników ciągnęły się niemal bez końca, a każdy z nich ukazywał tę samą makabrę.

Nie rozumiałam, gdzie kończy się działanie maszyny, a zaczyna Elektryka, czy może stanowią one jedno, wiedziałam jednak, że roztaczający się przede mną nieludzki widok stanowi technologiczne tabu. Cóż za złowieszcza magia umożliwiła zatopienie tych osób w podwodnym śnie? Tabu było definiowane przez prawo, ale by je rozpoznać, wystarczyło zdać się na instynkt: gdy spoglądałam na skłębioną sieć przewodów i metalowych elementów, mój żołądek aż skręcał się ze wstrętu. Maszyny doprowadziły do końca świata. Jako wizjonerka widziałam Wybuch wyraźniej niż ktokolwiek inny: fala czystego rozżarzonego światła zwiastująca absolutne zniszczenie. Nawet cztery lata spędzone w świetle elektrycznej lampy w celi nie pomogły mi się wyzbyć odruchowego lęku wywołanego widokiem przewodów, rurek i paneli. Zdałam sobie sprawę, że cała oblałam się potem i trzęsą mi się nogi. Pomrukująca maszyna złożona z setek elementów przypominała drzemiącą bestię.

Dłonie również mi drżały. Wydawało mi się, że obraz zbiorników ukazany w wizjach był niezwykle realistyczny, ale oglądane na własne oczy stanowiły o wiele gorszy widok. Zamocowane w górnej części zbiorników rurki wdierały się w ciała, wystawały z ust i nadgarstków. Ludzie zwisali na nich niczym marionetki na sznurkach. Gdyby udało mi się stąd wydostać i opowiedzieć o tym, z pewnością nawet większość Alf zareagowałaby przerażeniem. A jeśli rzeczywiście mogłam polegać na wizjach, to gdzieś tam leżała Wyspa, której mieszkańcy mogli się okazać skorzy, aby mi uwierzyć, a może nawet pomóc.

Grozę sytuacji dodatkowo wzmacniał niesamowity ład panujący w tym miejscu: starannie rozmieszczone rzędy zbiorników; piersi zgodnie wznoszące się i opadające do niekończącej się kołysanki mrużanej przez maszyny. Chociaż wewnątrz zbiorników można było dostrzec różne rodzaje deformacji, śpiączka w upiorny sposób upodabniała wszystkie ciała do siebie. Zaczęłam iść wzdłuż rzędu gigantycznych słoików, lecz po chwili przystanęłam, przyłożyłam twarz do szkła i zamknęłam powieki, pozwalając, by ukoilo mnie pulsowanie półmroku.

Nagle przez szkło przebiegł dreszcz. Wystraszona otworzyłam oczy i ujrzałam twarz przyciśniętą do wnętrza zbiornika. Skóra chłopaka była przeraźliwie blada, poznaczona żyłami. Jego jasnobrązowe włosy unosiły się nad głową, a z częściowo otwartych ust wystawała rurka. Jediną rzeczą, która zakłócała obraz prawie całkowitego bezruchu, były jego oczy: szeroko rozwarte i w pełni świadome.

Odskoczyłam do tyłu, wydając z siebie cichy okrzyk, który zagłuszył rytmiczny pomruk przesyconego wilgocią pomieszczenia. Opuściłam wzrok, ale gdy dostrzegłam, że chłopak – tak jak oni wszyscy – był nagi, ponownie spojrzałam mu w oczy. Jego szczupła twarz przypominała mi Zacha, mimo widocznego na czole piętna. Później zastanawiałam się, czy to dlatego chłopak wydał mi się znajomy.

Próbowałam wmówić sobie, że w jego otwartych oczach widać pustkę, że nie jest możliwe, aby były one oznaką świadomości. Część pozostałych ciał w zbiornikach też miała otwarte oczy, ale bez względu na to ich właściciele pozostawali nieprzytomni. Zrobiłam krok w bok. Gdyby wzrok chłopaka nie podążył za mną, poszłabym pewnie aż do drzwi znajdujących się na końcu pomieszczenia, a potem przez nie przeszła. Jakaś część mnie doznała zawodu, gdy zobaczyłam, że mnie obserwuje. Jednocześnie zdałam sobie sprawę, że fakt, iż byłam świadkiem ruchu jego gałek ocznych, stanowił obietnicę, której nie wolno mi było złamać.

Wyglądało na to, że do wnętrza zbiornika można się było dostać jedynie za pośrednictwem pokrywy znajdującej się co najmniej metr nad moją głową. Na owej wysokości wzdłuż ściany biegła platforma, na którą wchodziło się po drabinie umieszczonej w odległym krańcu pomieszczenia. Zrobiłam kilka kroków w tamtym kierunku, po czym obejrzałam się, żeby rozgorączkowanym wzrokiem zapewnić młodzieńca, że wcale nie odchodzę. Na to było już jednak za późno, bo półmrok sprawił, że chłopak stał się zaledwie rozmazanym kształtem wewnątrz słoja. Puściłam się biegiem, odliczając po drodze zbiorniki i starając się nie myśleć o zamieszkujących je ludziach – ani o pustym zbiorniku, na który natknęłam się na końcu rzędu. Gdy zaczęłam się wspinać po drabinie, skrzywiłam się w reakcji na szcęk moich stóp o metalowe szczeble. Po wejściu na platformę zaczęłam ponownie liczyć słoje. Gdy dotarłam do dwunastego, pociągnęłam za metalową rączkę, a pokrywa bez oporu przesunęła się na bok.

Z góry ledwo byłam w stanie dostrzec falujące włosy chłopaka znajdującego się pół metra niżej. Gdy pochyliłam się nad zbiornikiem, w nozdrza uderzył mnie odpychająco słodki zapach wypełniającego go płynu. Wykręcając twarz do góry, z dala od mdlącej woni, wsadziłam rękę w ciepłą ciecz i zaczęłam gmerać w niej po omacku, aż w końcu znalazłam i ostrożnie pociągnęłam do siebie coś twardego. Przedmiot przez chwilę stawiał opór, a potem został mi w dłoni. Przez chwilę

wyobrażałam sobie, że to rozmiękle od płynu ciało chłopaka rozpadło mi się w rękach, ale kiedy opuściłam wzrok, z ulgą i przerażeniem dostrzegłam w dłoni elastyczną gumową rurkę. Gdy wypatrzyłam twarz chłopca, zobaczyłam, że rurka nie tkwi już w jego ustach.

Ponownie zanurzyłam rękę w płynie i wzdrygnęłam się, kiedy zacisnęła się na niej mocno jego dłoń. Drugą ręką chwyciłam się barierki, przygotowując się do wyciągnięcia go. Z początku wydawał się lekki, bo podtrzymywał go płyn, ale gdy na powierzchnię wynurzyły się jego głowa i barki, chłopak zrobił się zbyt ciężki, abym mogła go wyciągnąć. Z nadgarstka dłoni, którą trzymałam, wystawała kolejna rurka. Sięgnęłam po jego drugą rękę, kiedy jednak pojawił się tors, dostrzegłam, że jej tam nie ma. Bez dzielącego nas zakrzywionego szkła zbiornika wyglądał na starszego: może i dorównywał mi wiekiem, chociaż w jego stanie ciężko to było stwierdzić.

Przez chwilę trwaliśmy w tej pozycji, trzymając się za ręce. Następnie chłopak obrócił głowę i rozchylił szczęki, a mnie przyszło do głowy, że chce mnie ugryźć. Lecz zanim zdołałam wyrwać mu dłoń, chwycił zębami wystającą z nadgarstka rurkę i wyrwał ją stamtąd jednym szarpnięciem.

Pociekło trochę krwi, która zmieszała się z gęstym płynem oblepiającym mu ramię. Spojrzał na mnie i pociągnęliśmy jednocześnie. Byłam wychudzona, ale i tak miałam więcej siły od niego. Śluzowata ciecz pokryła nasze zaciśnięte dłonie śliską warstewką. Przez jakieś dwadzieścia sekund chłopak wisiał do połowy wynurzony z cieczy, jednak nasze dłonie zaczęły się ślizgać i wpadł z powrotem do zbiornika. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wydobył się z nich tylko różowy od krwi bąbel powietrza. Ponownie sięgnął po moją rękę, lecz gdy uniósł wzrok, by spojrzeć mi w oczy, puściłam ją, po czym obróciłam się i uciekłam. Zanim zerknęłam za siebie, zdążył się osunąć pod powierzchnię.

Bieg do miejsca, gdzie widziałam leżący u stóp drabiny klucz do nakrętek, zabrał mi zaledwie kilka sekund. Następnie znów zaczęłam odliczać zbiorniki, aż znalazłam ten, w którym znajdował się chłopak. Przestał się ruszać. Z otwartych ust oraz nadgarstka, w którym tkwiła rurka, krew buchała miarowo. Wyrwane rurki wiły się wokół jego ciała niczym splątane macki, a on sam miał zamknięte oczy.

Wyrznięciu kluczem w szkło nie towarzyszył żaden dźwięk. Przez chwilę nic się nie działo. Następnie, zupełnie jakby zbiornik wstrzymał oddech, szykując się do ryku, szyba rozprysła się, ścinając mnie z nóg.

Chłopak wylądował na mnie dokładnie w momencie, gdy wyrznęłam plecami o podłogę, a siła uderzenia wgniotła mnie w szklane odłamki. Ślizgaliśmy się po podłodze splątani kończynami, dopóki nie wpadliśmy na przeciwległą ścianę.

Hałas trwał o wiele dłużej, niż wydawało mi się to możliwe, aż wreszcie od zbiornika odpadły ostatnie kawałki szkła, a rozlany płyn rozniósł je ze zgrzytem po

podłodze. Ulga wywołana ciszą nie trwała jednak długo – prawie natychmiast rozległo się wycie syreny i w pomieszczeniu zapaliły się światła. Zainstalowane w suficie panele dawały ten sam rodzaj białego blasku co lampa w mojej celi, ale ich oślepiające światło było o wiele mocniejsze.

Obecność leżącego na mnie chłopaka oraz dźwięk syreny i światło zmusiły mnie do podniesienia się na nogi. On także wstał, cały rozdygotany, po czym osunął się na ścianę. Złapałam go za rękę i podciągnęłam do pionu. Z odległego krańca komnaty dobiegł mnie odgłos zbliżających się kroków, a ja zauważyłam, jak dziwnym uczuciem było dotykanie ciała innej osoby po latach spędzonych w Przechowalni.

Stałam twarzą do wejścia, przez które się tu dostałam, ale kroki zbliżały się z drugiego końca pomieszczenia, zza potężnych drzwi. W przerwach między wyciem syreny słyszałam zarówno te kroki, jak i czyjeś podniesione głosy. Obróciłam się do chłopaka, który opadł na czworaki i na zmianę kaszlał i dławił się powietrzem. Nie mogłam się skupić – panował tu zbyt duży harmider: zawroźnienie syreny, szum maszynarii, dźwięki nadchodzących ludzi. A gdzieś pod spodem płynęła rzeka. Próbowałam się skoncentrować na jej nurcie. Wciągnął mnie tak, jak prąd wciągał moje ciało, gdy pływałam w niej jako dziecko. Przyjrzałam się sieci rur ciągnących się wzdłuż sali, ponad rzędami zbiorników. Ten, który rozbiłam, tkwił między nimi niczym brakujący ząb. Na samym końcu rzędu znajdowało się kilka pustych słoików. Nie tylko nie było w nich ciał, ale też brakowało płynu. Musiał więc istnieć jakiś sposób na usuwanie go. Po części zaprowadziłam, a po części zawlokłam chłopaka do szczerbatej korony ze szkła otaczającej podstawę rozbitego zbiornika, gdzie dostrzegłam, że dużą część jego dna stanowi zatyczka: biegnąca pod podłogą zaślepiona rura o średnicy niemal tak dużej jak sam słoik.

Zrobiłam krok nad pionowymi odłamkami szkła i stanęłam w płytkiej kałuży złożonej z resztek płynu. Chłopak zaczął się wzbraniać, gdy pociągnęłam go za sobą, ale ignorując jego opór, szarpnęłam go mocno za rękę i oboje przykucnęliśmy pośród odłamków zbiornika. Z przodu urządzenia zamontowano dwie dźwignie; kiedy wyciągnęłam rękę nad ostrym szkłem, byłam w stanie dosięgnąć jednej z nich. Kiedy ją pociągnęłam, z zawieszanej nad nami rury prosto na nasze skulone ciała zaczęła lać się kleista ciecz. Szczelnie zakryłam dłonią usta i próbowałam osłonić oczy. Chłopak znów opadł na czworaki, gdy powódź zwała go z nóg. Wyciągnęłam dłoń ku drugiej dźwigni i poczułam, jak szkło ociera mi się o skórę. Przez glazurę gęstego płynu dostrzegłam, że otwierają się drzwi na końcu pomieszczenia. Dźwignia przez chwilę stawiała opór, a potem nagle ustąpiła, podłoga uciekła nam spod stóp i zostaliśmy wessani w mrok.

Rozdział dziewiąty

Rozmyślałam później o tym, co mogło pójść nie tak. Co, jeśli na końcu zamontowana byłaby krata, system odpływowy wcale nie prowadziłby do rzeki, pozbawiona powietrza rura ciągnęłaby się dłużej, niż miało to miejsce, albo upadek do wody nastąpiłby z większej wysokości? Ciężko było odróżnić szczęście od intuicji, nie potrafiłam więc stwierdzić, czy wyczułam drogę do wyjścia, czy natknęłam się na nią przypadkiem.

Podczas podróży rurą mierzyłam upływ czasu koniecznością zaczerpnięcia oddechu. Przez kilka pierwszych chwil byłam zachwycona prędkością, z jaką zjeżdżaliśmy na fali spływającego bez wahania płynu. Potem jednak brak powietrza przysłonił wszystko inne, nawet lęk przed zamkniętą przestrzenią czy wystające krawędzie spojeń rury, o które obijałam się na każdym zakręcie. Nagle mrok zelżał i zaczęliśmy spadać w powietrzu. Wylot gwałtownie kończącej się rury musiało dzielić od powierzchni głębokiego jeziora, w którym wylądowaliśmy, ponad sześć metrów, ale nawet gdy upadałam, radość z obecności tlenu przewyciężyła mój strach. Upadek do wody wywołał i ból, i ulgę związaną z faktem, że wpadłam na chłopaka. Po wypłynięciu dostrzegłam nieopodal zarys jego głowy. Jego całe ciało podskakiwało, gdy gorączkowo młócił wodę ramieniem, mimo to potrafił się utrzymać na powierzchni.

Było wystarczająco jasno, żeby coś dojrzeć. Dostrzegłam otaczające nas wewnątrz przepastnej pieczary, oświetlane przez sporych rozmiarów otwór w kopulastym stropie. Wysoko, po jednej stronie, ze skalnej ściany wystawało kilka dużych rur, w tym ta, z której wylecieliśmy. Niektóre z nich pluły hałaśliwym strumieniem – z innych woda kapiała z nieregularną częstotliwością – do głębokiego jeziora, na którego powierzchni unosiłam się w towarzystwie chłopaka. W górę swego biegu rzeka szybko znikwała w tężejącym mroku, ale po drugiej stronie, w odległości kilkunastu metrów, jaskinia otwierała się, a rzeka wypływała na światło dzienne.

– Będą nas ścigać? – odezwał się młodzieniec po raz pierwszy.

Chociaż miał zadyszkę, zaskoczyło mnie normalne brzmienie jego głosu. W jakiś sposób nie pasowało do ciała, które jeszcze nie tak dawno pływało w wielkim słoju z rurką w gardle.

– Odważą się zjechać za nami, jeśli nas widzieli? – dociekał dalej.

Skinęłam głową, po czym zdałam sobie sprawę, że pewnie ledwo mnie widzi.

– Będą wiedzieli, że przeżyliśmy, a przynajmniej, że ja przeżyłam. Dzięki mojemu bliźniakowi – poinformowałam.

– Jego też złapali?

– Coś w tym rodzaju. – Uniosłam wzrok ku śliniącym się wylotom rur. –

Podążą za nami, jeżeli nie za pośrednictwem rur, to jakąś inną trasą. Znają to miejsce; w końcu to oni je zbudowali.

Chłopak zaczął niezgrabnie płynąć w kierunku jaśniejącego blaskiem słonecznym wyjścia z jaskini.

– Poczekaj – powiedziałam. – Będą się spieszyć i pójdą nas szukać w dole rzeki.

– No to oddalimy się od rzeki. No chodź.

– Nie. Jest ich zbyt wielu i poruszają się zbyt szybko. Dotrą tam za kilka minut.

Chłopak dotarł już na płyciznę. Wstał, gdy woda sięgała mu do pasa, i obejrzał się na mnie. Jego szczupły tors lśnił w półmroku jaskini nikłym blaskiem.

– Nie wracam – oznajmił. – Nie zostanę z tobą tylko po to, żeby mnie złapali.

– Wiem. Ale istnieje inna droga.

Zawahał się.

– Znasz to miejsce? – spytał.

– Tak.

Nie potrafiłam mu wyjaśnić, skąd to wiem; że kształt rzeki był obecny w mojej głowie i że wyraźnie czułam siłę prądów w każdym z jej dopływów. Zastanawiałam się jednak, czy w jaskini, w której nasze głosy odbijały się dziwnie zniekształconym echem, moje wizjonerskie zdolności działają tak jak zwykle: poprzez wysyłanie milczących impulsów w otaczającą mnie przestrzeń, aby śledzić ścieżki ich podróży.

– Będą oczekiwać, że wyjdziemy z jaskini i ruszymy z nurtem rzeki – powiedziałam. – Ale możemy się udać w przeciwnym kierunku i przejść na drugą stronę góry.

Z powątpiewaniem spojrział na położony z dala od światła punkt, w którym rzeka wypływała nagle z popękanej czarnej skały.

– Jesteś pewna? – spytał.

Powoli nabrałam powietrza w płuca, przymknęłam powieki i zaczęłam się zastanawiać, jak przekonać go do czegoś, o czym nawet ja sama miałam mgliste wyobrażenie. Szybko otworzyłam oczy, gdy nagle wystraszył mnie jakiś chlupot, ale zobaczyłam, że to tylko chłopak wraca do mnie z płycizny.

– W końcu to dzięki tobie tu trafiłem – stwierdził.

Pływałam w miejscu, czekając, aż do mnie dotrze, i obserwując szczelinę w stropie oraz wąski snop światła, który wpadał przez nią do środka i oświetlał znajdującą się przede mną wodę. Wtedy właśnie w rozświetlonym wycinku mętnej wody dostrzegłam kości. Na dnie jeziora spoczywała istna kolekcja szkieletów. Jedna z czaszek spoglądała na mnie ulokowanym pośrodku czoła oczodołem; koścista dłoń wyciągała się ku nam niczym ręka zabiedzonego żebraka. Inna,

pozbawiona zuchwy czaszka leżała sklepieniem do dołu, przypominając wiaderko częściowo wypełnione piaskiem. Była maleńka, o połowę mniejsza niż ta druga. Czaszka niemowlęcia.

Chłopak usłyszał mój stłumiony okrzyk i podążył oczami za moim wzrokiem. Przez chwilę wydawało mi się, że zwymiotuje.

– Niech mnie diabli – powiedział. – Nie jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy zjechali tymi rurami.

– Nie – zgodziłam się. – Ale pierwszymi, którzy przeżyli.

Ciężko było pływać w miejscu, gdy człowiek starał się podciągać kolana tak wysoko, jak to tylko możliwe, żeby nie zetknąć się z tym, co się pod nami kryło. Kiedy tylko chłopak zrównał się ze mną, ruszyliśmy w górę rzeki; niemal udawało mu się dotrzymać mi tempa, mimo że płynięcie przy użyciu jednej tylko ręki pozbawiało go tchu i równowagi. Na końcu jaskini powierzchnia wody była spieniona, gdyż rzeka wypływała tam z dużą siłą z jakiejś podwodnej szczeliny. Mrok w tej części pieczary nie był aż tak absolutny, jak się z początku zdawało, i byliśmy w stanie dostrzec gdzieś pod powierzchnią wody stłumione światło. Spojrzałam na swego towarzysza.

– Umiesz pływać wystarczająco dobrze? – spytałam.

Obejrzał się na głębokie jeziorko, do którego wcześniej wpadliśmy.

– Dopiero teraz mnie o to pytasz?

Nurt był tutaj silniejszy, więc musieliśmy się chwycić wystających fragmentów skały, żeby utrzymać się w miejscu. Oprócz szumu wody zaczęły nas dobiegać inne dźwięki: dudnienie w znajdujących się nad nami rurach oraz chrzęst kopyt o usiany łupkami brzeg rzeki. Nie podobala mi się myśl, że muszę zanurkować i zbliżyć do spoczywających na dnie kości. Niemniej jednak, gdy tylko w zalonym słońcem wejściu do jaskini pojawiły się sylwetki jeźdźców na koniach, zaczerpnęliśmy głębokie oddechy i raz jeszcze zdaliśmy się na łaskę wody.

Gdy zjeżdżaliśmy rurą, sprzyjał nam pęd spływającej cieczy, teraz jednak musieliśmy walczyć z rwącym nurtem rzeki. Wyrwa, przez którą woda wpływała do jaskini, znajdowała się jakieś półtora metra pod powierzchnią, ale kiedy po raz pierwszy stawiałam czoła sile prądu, odrzuciło mnie do tyłu. Wpłynięcie do wąskiego tunelu prowadzącego ku światłu wymagało histerycznego trzepotania rękami i nogami. Przeciwny prąd przyparł mnie do stropu tunelu, o którego nierówną powierzchnię niemiłosiernie obtarłam sobie plecy. Musiałam się zmuszać do niezamykania oczu biczowanych potokami wody. Aż w końcu skalny sufit ustąpił i wpłynęłam do basenu pełnego światła, a kilka uderzeń nogami wystarczyło, by wynieść mnie na powierzchnię.

Chłopaka tam jednak nie było. Spojrzałam pod siebie, lecz nie mogłam niczego dostrzec w mroku, z którego się właśnie wynurzyłam. Zaczęłam sobie ubliżać, obracając się to w jedną, to w drugą stronę, żeby obejrzeć niewielką

jaskinię. Jak mogłam oczekiwać, że uda mu się dopłynąć tu w jego stanie, skoro z trudem potrafił się utrzymać na wodzie? Tak mocno wyteżyłam swoje nieuchwytnie zmysły, tak mocno skupiłam się na instynkcie, który prowadził mnie do drugiej jaskini, że zignorowałam to, co widać było na pierwszy rzut oka. Nie wzięłam pod uwagę tego, jak kruchy i osłabiony wynurzył się ze zbiornika, a w dodatku dysponował zaledwie jednym wychudłym ramieniem. Czekałam, pływając w miejscu. Grota przypominała wcześniejszą pieczarę, ale w odróżnieniu od tamtej nie miała wejścia łączącego ją ze światem zewnętrznym. Jedyne źródło światła znajdowało się jakieś dwadzieścia metrów nade mną. Ciszę przerywał dźwięk ciężkich kropli wody spadających ze stalaktytów do jeziora. Kapanie pomagało odmierzać kolejne sekundy oczekiwania. Raczej nie mógłby do tej pory wstrzymać oddechu. W jego zapadłej piersi nie zmieściłoby się wystarczająco dużo powietrza, żeby starczyło na tak długo.

Wystraszyłam się, kiedy wynurzył się zniecała niecały metr ode mnie. Gdy zachłysnął się powietrzem, dostrzegłam w jego twarzy tę samą desperację, którą widziałam wcześniej przez szklaną ścianę zbiornika. Chłopak kaszlał i przeklinał jeszcze długo po tym, jak wdrapaliśmy się na skalną półkę biegnącą wzdłuż ściany jaskini. Wszędzie leżały ostre kamyczki, ale z wdzięcznością przyjęliśmy możliwość opuszczenia nieustępliwego nurtu. Dopiero gdy wyszłam z wody, zdałam sobie sprawę, jaka była zimna. Chłopak zdołał się sam wgramolić na półkę i kiedy klapnęliśmy obok siebie, zauważyłam, że jego zdyszane ciało, podobnie jak moje, nosi liczne ślady podwodnej przeprawy. Przyłapał mnie na przyglądaniu się otarciom i skaleczeniom na jego plecach i barkach. Przypomniałam sobie o nagości mego towarzysza i szybko odwróciłam wzrok.

Leżeliśmy wpatrzeni w promienie słońca wpadające przez strop groty, a ja stałam się dotkliwie świadoma nie tyle obecności jego ciała, ile mojego. Cztery lata spędzone w Przechowalni sprawiły, że przestałam postrzegać je tak, jak na ogół inni postrzegają ciało. Gdy mnie schwytano, miałam dziewiętnaście lat. Czy od tamtego czasu moje piersi nie uległy zmianie? Albo moja twarz, której tak dawno nie widziałam na oczy? Swoją bladą skórę zaczęłam nagle traktować jak dziwaczny kostium. Choć to chłopak był goły, to ja czułam się nieprzyjemnie obnażona.

Nie było jednak czasu na tego typu rozmyślenia. Zamknął oczy, ale potrzęsłam lekko jego ramieniem.

– Nie wiedzą o istnieniu tego miejsca – powiedziałam – i najpierw będą szukać w dole rzeki. Ale mogą je znaleźć. Musimy ruszać w drogę.

Zdjęłam buty i wylałam z nich wodę, po czym włożyłam je z powrotem.

– Czy z twoją trasą ucieczki wiążą się kolejne karkołomne wyczyny? – spytał.

Pokręciłam głową z uśmiechem.

– Koniec z pływaniem. Przynajmniej na razie. – Wstałam. – Mam jednak

nadzieję, że lubisz jaskinie.

Tak naprawdę to on nas prowadził. Choć ruchy miał chwiejne, lepiej widział w ciemnościach. Wcześniej jednak odkryłam przejście do kolejnej groty, przesuając się po zwężającej się półce do momentu, gdy ledwo mogłam zmieścić na niej stopy, a następnie wdrapując się na wystający kawałek skały. Zanim weszłam do środka, zamknęłam powieki, oparłam czoło o wilgotny kamień i zaczęłam przeglądać trasę w głowie.

– Chyba nigdy wcześniej tu nie byłaś, co? – spytał chłopak.

Otworzyłam oczy, spojrzałam na niego i pokręciłam głową.

– A jednak wiesz, dokąd iść.

Nie było to pytanie, ale i tak skinęłam głową.

– Tak myślałem, że jesteś wizjonerką. Bo wyglądasz idealnie. – Zamilkł na chwilę. – To znaczy nosisz piętno, ale nie widzę, żeby ci czegoś brakowało.

Szybko zanurzyłam się w mroku jaskini, żeby oszczędzić nam obojgu tej niezręcznej sytuacji. Mimo że tunel prowadził mnie w jakimś w miarę konkretnym kierunku, kompletna ciemność sprawiała, że musiałam szukać drogi po omacku, pełznąć przed siebie i nierzadko obijając się głową o wystające skały. Po tym jak po raz kolejny przekłęłam w następstwie tego typu kolizji, chłopak wysunął się naprzód i zaczęliśmy się poruszać z większą prędkością, a on mnie ostrzegał, gdy strop się obniżał. Mrok chwilami rzedł – w kilku miejscach od tunelu odchodziły w górę wąskie szyby przypominające przedpokoje prowadzące do głównej części domu, przez które wpadało światło. Po jakiejś godzinie zatrzymaliśmy się pod jednym z takich szybów i usiedliśmy oparci plecami o ścianę tunelu. W bladym świetle dostrzegaliśmy ślady narzędzi, którymi poznaczone były ściany.

– Być może jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy kiedykolwiek tędy przechodzili. To znaczy od Wybuchu – stwierdziłam, przesuając dłonią po dziobatej ścianie.

– Te ślady pochodzą sprzed Wybuchu? – spytał.

Pokręciłam głową.

– Są jeszcze starsze.

– Co masz na myśli?

– Są starsze niż to, co było przed Wybuchem – wyjaśniłam.

W przeciwieństwie do panującego w tunelu mroku milczenie, które zapadło, było całkowite. Brak dźwięku był tu o wiele bardziej dotkliwy niż jakakolwiek cisza, jaką pamiętałam.

– Powinienem był powiedzieć to wcześniej, ale dziękuję – odezwał się w końcu chłopak. – Nie musiałaś mnie uwalniać ze zbiornika.

– Właśnie że musiałam.

– Cieszę się, że tak myślisz – odparł. – Nie każdy życzyłby sobie, żeby jego ucieczkę spowalniał nagi nieznajomy.

Rozbroiła mnie ta uwaga i parsknęłam śmiechem.

– Musimy coś na to poradzić – stwierdziłam.

Zdjęłam z siebie przemoczony sweter i podałam go chłopakowi, niepotrzebnie odwracając wzrok, gdy go nakładał. Zanim ponownie na niego spojrzałam, udało mu się wsunąć biodra w szeroki otwór w górnej części swetra i zrobić z niego coś w rodzaju spódnicy z luźno zwisającymi rękawami.

– Musimy ruszać dalej – powiedziałam, wstając.

Przyłgnęłam do ściany, żeby chłopak mógł się obok mnie przecisnąć i iść pierwszy.

– Nie wiem nawet, jak masz na imię – zawołałam za nim.

– Ja też nie.

– Cass.

– Nie, nie, chodziło mi o mnie. Też nie wiem, jak mnie zwać.

Znajdował się parę metrów przede mną. Podążałam za nim, odnosząc wrażenie, że otulający nas mrok w jakiś sposób ułatwia rozmowę.

– Poważnie? – spytałam.

– Nie jestem aż tak skryty. Gdybym znał swoje imię, wyjawilibym ci je. Zresztą ukrywanie czegokolwiek przed wizjonerką nie miałoby wielkiego sensu.

– To wcale tak nie działa – zaprzeczyłam. – Nie potrafię czytać w myślach. Po prostu... czasami wyczuwam pewne rzeczy dotyczące miejsc czy ludzi. Ale nigdy w sposób bezpośredni.

– Szkoda – odparł.

– Większość ludzi nie życzyłaby sobie, żebym wyczuwała cokolwiek, co ich dotyczy – zauważałam.

– Przyszło mi do głowy, że może byłabyś w stanie opowiedzieć mi o rzeczach, które wypadły mi z pamięci.

– Naprawdę niczego nie pamiętasz?

– Niczego do momentu, gdy wyszedłem ze zbiornika.

Przystanęłam.

– Nawet tego, kto jest twoim bliźniakiem? – spytałam.

– Niczego.

Rozdział dziesiąty

W tunelach całkowicie straciliśmy poczucie czasu. Wiedziałam tylko tyle, że dużo go upłynęło, od kiedy po raz ostatni minęliśmy wpuszczający promienie słońca szyb, a jeszcze więcej od chwili, gdy coś jadłam albo piłam. Staralam się ignorować głód oraz pragnienie i skupiać się na wyczuwaniu drogi oraz unikaniu kontaktu z niskim stropem i ze ścianami wąskiego korytarza, które regularnie ocierały mi plecy i ramiona. Po latach spędzonych w celi nawet chodzenie mnie męczyło. Mój oddech był płytki, a pierś miałam ciasną niczym wewnątrz tunelu. Chłopak był jednak jeszcze bardziej wyczerpany i często się potykał. Na szczęście trasa okazała się w dużej mierze nieskomplikowana i za każdym razem kiedy trafialiśmy na rozstaje, tylko przez chwilę musiałam się zastanawiać, którą ścieżkę wybrać. Wydawało mi się, że już od wielu godzin wchodzimy po lekkiej pochyłości, i gdy podłoże stało się w końcu płaskie, zasugerowałam, byśmy się zatrzymali.

– Przydałaby mi się drzemka – przyznał chłopak.
– Byle nie za długa.
– Nie sądzę, żeby udało nam się tu smacznie przespać przez wiele godzin – odparł, usuwając spod siebie kamyki. – Zimno ci?

– Niezbyt – skłamałam. Temperatura spadała stopniowo, im głębiej zapuszczaliśmy się w tunel.

Położyliśmy się blisko siebie, ale nasze ciała się nie stykały.

– Boisz się?

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Tak. Boję się, że nas złapią albo że się tu zgubimy i nie będziemy umieli wyjść. Ale to i tak nie byłoby gorsze od tego, co działo się z nami wcześniej.

– Nie siedziałś w jednym z nich, prawda? Nie zamknęli cię w zbiorniku? – spytał.

– Nie. W celi.

Raz jeszcze przypomniałam sobie zbiorniki. Lata spędzone przeze mnie w zamknięciu i towarzyszące im poczucie zbliżającego się szaleństwa, klaustrofobii, braku nadziei nie wydawały się czymś wielkim w porównaniu z tym, przez co przeszedł ten chłopak.

Na chwilę zapadła cisza.

– A ty? – spytałam. – Boisz się?

– Nie mogę powiedzieć, żebym z przyjemnością szwendał się po tych jaskiniach, ale nie jestem tak wystraszony, jak powinienem. Chyba dlatego, że to takie nowe uczucie. Wolność.

– Tylko co zrobimy potem? Gdy stąd wyjdziemy?

– Nie mam pojęcia, ale to też mi nie przeszkadza. Jest w tym jakaś symetria,

przynajmniej z mojego punktu widzenia: nie wiem, co działo się wcześniej, i nie wiem, co wydarzy się później.

– Nie przestaną nas szukać – zauważyłam.

Chłopak westchnął i przekręcił się na bok.

– Na pewno ich zainteresowanie mną nie przewyższa mojego własnego.

Spaliśmy przez jakąś godzinę. Potem zbudziłam go, oznajmiając, że ruszamy w dalszą drogę, ale ślaniał się na nogach ze zmęczenia. Nie mogłam sobie nawet wyobrazić, jak musi się czuć po spędzeniu w zbiorniku długiego czasu zakończonego tak gwałtownym oswobodzeniem. Jego ciało odzwyczało się od samego siebie, z początku zataczał się jak pijak. Słowa „zdrzemnijmy się” stały się dla niego powtarzaną co kilka godzin mantrą, a wędrówka tunelami bez poczucia czasu zaczynała sprawiać wrażenie snu albo delirium: pobudka, marsz, drzemka, pobudka, marsz, drzemka. Gdy wreszcie zobaczyłam w oddali światło, dopiero ból oczu przekonał mnie, że nie śnię. Wąskie wyjście z tunelu osłaniały gęste krzewy, ale mimo to do środka wpadało wystarczająco dużo słońca, żebyśmy mogli stwierdzić, że jest dzień – choć nie mieliśmy pojęcia jaki.

Wynurzyliśmy się na zewnątrz, krzywiąc twarze w słońcu, i wyszliśmy na stromą skarpe, pod którą szerokim korytem płynęła rwąca rzeka. Obrzuciłam obelgami pokryty cierniami krzak, przez który musieliśmy się przedrzeć, żeby wyjść z jaskini, ale chwilę później udobruchał mnie widok nieprzyzwoicie tłustych jagód zwisających z jego gałązek. Ignorując kolce, zaczęłam zrywać je tak łapczywie, że nie byłam w stanie odróżnić krwi ciekącej mi między palcami od soku owoców. Chłopak też zjadł kilka jagód, lecz potem odwrócił się gwałtownie, oparł dłoń o skałę i z wymiotował.

– Za szybko? – spytałam.

Wytał usta.

– Przepraszam. Trochę czasu minęło. To znaczy wiem, że ty też od dawna nic nie jadłaś, ale ja miałem tę rurkę...

Pokiwałam głową.

– Nie wiesz, jak dużo czasu tam spędziłeś? – spytałam.

Spojrzał na własne ciało. Był chudy, ale nie zagłodzony – widywałam gorsze przypadki wśród Omeg z osady w roku, w którym nie pojawiły się plony. Jego jasnobrązowe włosy sięgały ramion, a w jaskrawych promieniach słońca skóra miała kolor kości. Byłam w stanie dostrzec strukturę szkieletu pod siecią ścięgien i zanikłych mięśni.

– Wystarczająco dużo, aby stracić opaleniznę – odparł. – O ile kiedykolwiek ją miałem.

Zatrzymaliśmy się przy wejściu do jaskini na tyle długo, żeby miał czas raz jeszcze pojeść sobie jagód – tym razem wolniej – i choć część z nich utrzymać w żołądku. Potem naszą uwagę zdominowało pragnienie, więc ostrożnie zeszedliśmy

ze skarpy, uważając na ciernie czepiające się skóry i ubrania. Przynajmniej było tu ciepłej, a na słońcu – wręcz gorąco.

Gdy dotarliśmy na brzeg, chłopak zaczął powoli pić wodę z dłoni ułożonej w miseczkę, a ja opadłam na ziemię i zaczęłam chłeptać prosto z rzeki.

– Czyżbyśmy znajdowali się jednak w dole rzeki w stosunku do miejsca, gdzie zaczął się tunel? Nie będą nas tu szukać? – spytał mój towarzysz.

Pokręciłam głową.

– To już inna rzeka. Odchodzi od jeszcze innej, płynącej powyżej Wyndham, i opływa górę z drugiej strony. A my przeszliśmy mniej więcej na drugą stronę góry.

– Czyli to na tym właśnie polega bycie wizjonerem? Nie żebym nie był ci wdzięczny. Po prostu się zdziwiłem. Sądziłem, że będziesz potrafiła czytać w moich myślach, ale wygląda na to, że o wiele lepiej radzisz sobie z geografią.

Obdarzyłam go szerokim uśmiechem, lecz równocześnie pokręciłam głową.

– Przykro mi, że poczułeś się rozczarowany. Lecz nie chodzi wyłącznie o miejsca. Miejsca są najłatwiejsze, ale zazwyczaj wyczuwam emocje oraz rzeczy, które się dopiero wydarzą. Tak naprawdę nie ma dla mnie różnicy – wyczuwam to, co istnieje. Wiedziałam, że jeśli ruszymy w górę rzeki, natkniemy się na jaskinię, a potem na grotę. Istniały, więc byłam w stanie je wyczuć.

– Przecież sytuacje, które jeszcze się nie wydarzyły, na razie nie istnieją. To nie to samo co rzeka, która od zawsze tędy płynie – zauważył chłopak.

– Wiem. W przypadku wydarzeń, które jeszcze nie zaistniały, wyczuwam je, bo w końcu będą miały miejsce. Nie są to wizje. Raczej... wspomnienia. Jakbym wyrwała się z okowów czasu. Pamiętam rzeczy, które dopiero się wydarzą. Ale nie działa to w sposób konsekwentny. Czasami udaje mi się przewidzieć jakieś drobiazgi, a jednocześnie przegapić rzeczy naprawdę ważne. Innym razem odwrotnie.

– A pamiętasz, co się teraz z nami stanie? – spytał, rozsiadając się wygodnie i wkładając nogi do rzeki.

– Niezupełnie. To nie zawsze jest możliwe. Czasami nie potrafię stwierdzić, czy w grę wchodzi logiczne rozumowanie, czy po prostu dobry pomysł, a nie wizje. Tak jak teraz: wydaje mi się, że powinniśmy popłynąć z prądem rzeki. Ma to dla mnie sens, bo ciężko byłoby się przez coś takiego przedzierać. – Wskazałam dłonią na gęste wysokie krzaki porastające oba brzegi. – Poza tym w ten sposób się nie zgubimy, a oni nie zdołają nas wytropić za pomocą psów.

Chłopak westchnął.

– Gdy wydostałaś mnie ze zbiornika, sądziłem, że na jakiś czas będę mógł zapomnieć o unoszeniu się w jakiegokolwiek cieczy.

– Przykro mi.

– Pewnie nie mamy też czasu na drzemkę?

Zaśmiałam się i wstałam.

– Nasz sąsiad z wioski miał starego owczarka, który przez cały dzień spał na progu chaty. Wabił się Kima. Tak właśnie będę cię nazywać. I nie, nie możemy ryzykować, kładąc się do snu. I tak za długo tu zabawiliśmy.

W przeciwieństwie do rzeki płynącej pod Wyndham woda tu była pełna torfu i miała intensywny czerwono-brunatny kolor. Weszliśmy do niej jednocześnie. Przy brzegu była płytka i ciepła, ale gdy zaczęliśmy się przesuwac w kierunku głównej części nurtu, jej chłód wywołał u nas ciarki na plecach.

– I co myślisz? – spytałam.

Chłopak uniósł brew.

– Mogłaby być odrobinę cieplejsza.

– Nie, o imieniu.

Uśmiechnął się do mnie szeroko, a następnie ustawił plecami do biegu rzeki i wolno ułożył się na plecach. Gdy zaczął płynąć z nurtem, zawołał:

– Wyciągnęłaś mnie ze zbiornika, więc możesz mnie nazywać, jak ci się tylko podoba!

Wyobrażałam sobie, że woda poniesie nas łagodnie z prądem, ale rzeka nie była dla nas aż tak łaskawa. W niektórych miejscach stawała się tak płytka, że musieliśmy przechodzić obolałymi stopami przez usiane śliskimi łupkami bystrza. Gdzieś tam było tak głęboko, a prąd okazywał się tak silny, że konieczne stawało się wdrapywanie na stromy brzeg i podążanie nim do momentu, gdy nurt się uspokoi. Kima dwa razy spadł – zsunął się ze skarpy i tylko dzięki temu nie wpadł w szpony rzeki, że za pierwszym razem chwycił się korzenia, a za drugim – skały. Czasami gdy brzeg stawał się płaski i porośnięty trawą, wychodziliśmy z wody i szliśmy wzdłuż rzeki, ale pilnowałam, byśmy wędrowali to po jednej, to po drugiej jej stronie, aby nigdzie nie zostawiać wyraźnych śladów. W niektórych miejscach rosły kolczaste krzewy z jagodami, a Kima wypatrzył kilka grzybów pod kłodą wiszącą nad wodą. Byliśmy już tak głodni, że nie odstraszył nas nawet ich podły smak.

Późnym popołudniem zaproponowałam odpoczynek.

– Jeśli teraz wyjdziemy z wody, przynajmniej ubrania zdążą nam wyschnąć, póki świeci słońce – dodałam.

Spojrzałam na twarz Kimy, który zaciskał zęby, żeby powstrzymać je przed szczękaniem.

– Dobry pomysł – przytaknął.

Przebywając w rzece, powoli zaczynałam się czuć wystawiona na przypadkowe spojrzenia, gdyż krajobraz wokół nas stał się bardziej oszczędny: gęste krzaki ustąpiły miejsca trawie, pośród której sporadycznie pojawiała się jakieś drzewo.

Poprowadziłam nas na skarpe. Kilka razy musiałam się podciągać, chwytając

korzenie drzew, które rosły na niemal pionowym zboczu. Słyszałam, jak Kima, przeklinając, gramoli się za mną, ale dotrzymywał kroku. To on dostrzegł słabo wydeptaną, lecz widoczną ścieżkę, która biegła wzdłuż szczytu skarpy. W milczeniu opuściliśmy się na znajdującą się pod nami półkę skalną, osłoniętą korzeniami drzew i niewidoczną ze ścieżki. W takim stanie zwrócilibyśmy na siebie uwagę nie tylko naszych prześladowców, lecz także każdej innej napotkanej osoby.

Zerknęłam na Kimę i zauważyłam, że poznaczone siatką zadrapań i skaleczeń plecy zdążyły mu się zaczerwienić od słońca.

Spostrzegł, że gapię się na jego poranione ramiona.

– Ty też nieźle oberwałaś – stwierdził, wskazując na moje posiniaczone, podrapane oraz spieczone barki. – W tej chwili żadne z nas nie wygląda zbyt atrakcyjnie.

– Powinieneś unikać słońca – poradziłam.

– Na razie stan cery jest najmniejszym z moich problemów. Wizja pojmania, niewoli, tortur: jak najbardziej. Poparzenia od słońca: niekoniecznie.

– Brzmi to dosyć radośnie jak na osobę, która ma na głowie tego typu zmartwienia. Nie boisz się?

Kima odpowiedział uśmiechem.

– Powrotu? Nie. – Nadal się uśmiechał, zerkając na ciągnący się pod nami wąwóz, przez który wiła się rzeka. – Bo już tam nie wrócę. Jeśli nas znajdą, już prędzej skoczę.

Siedzieliśmy ściśnięci na krawędzi wąskiej półki, a zapadający mrok przyniósł poczucie anonimowości, które ułatwiło nam rozmowę. Zaczęłam opowiadać Kimie o moim wieloletnim pobycie w Przechowalni oraz okresie, który go poprzedzał: sześciu latach w osadzie i dorastaniu w wiosce.

– Wybacz, chyba się rozgadałam – stwierdziłam.

Nasze barki się stykały, więc poczułam, jak wzrusza ramionami.

– Ja i tak nie mam zbyt wiele do opowiedzenia – odparł.

I rzeczywiście, pozbawiony własnej przeszłości Kima był głodny szczegółów z mojego życia, a szczególnie interesował się Zachem.

– To musi być dziwaczne uczucie – zauważyłam. – To znaczy brak wspomnień jest wystarczająco dziwny, ale jeszcze dziwniej jest nie wiedzieć, kim jest twoja siostra bliźniaczka.

– Zgadza się. Rzecz jasna, wszystko jest ważne. Ale wydaje mi się, że mam jakieś szczątkowe poczucie tego, kim jestem, a brak świadomości tego, gdzie mieszkałam i co robiłam, niewiele zmienia. Jednakże fakt, iż nie wiem, kim jest moja siostra, uniemożliwia mi poznanie samego siebie. A przynajmniej nie w pełni.

– Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. To jakby być połówką człowieka. Jakby straciło się kończynę. – Zamilkłam. – Wybacz. Rzecz jasna, nie chodziło mi o...

Zaśmiała się.

– Wiem, o co ci chodziło. Ale nie powinnaś się nade mną użalać, bo nie poszczęściło ci się z własnym bliźniakiem.

– Racja. Nie potrafię sobie jednak wyobrazić niczego innego. A gdyby on był inny, ja też nie byłabym sobą. Nie da się nic na to począć. Równie dobrze mógłbyś sobie życzyć, żeby nie brakowało ci rąk. Ja nie mogę sobie wyobrazić życia bez Zacha.

– Rozumiem. Jestem w stanie zapomnieć o mojej bliźniaczce, lecz moje ciało tego nie potrafi. Jeśli jutro potraci ją wóz, to, że nie wiem, kim jest i gdzie się znajduje, nie będzie miało żadnego znaczenia. Moje ciało szybko sobie przypomni o jej istnieniu.

Przez chwilę milczeliśmy.

– Myślisz, że przypomina twojego bliźniaka? – spytał Kima. – Myślisz, że to ona kazała wsadzić mnie do zbiornika?

Zapominając, że otacza nas ciemność, pokręciłam głową.

– Nie wiem – odparłam. – Mogło i tak być. Może jest kimś ważnym i chciała mieć cię na oku. Ale musieli najpierw przetestować te zbiorniki, prawda? Możliwe, że miałeś po prostu pecha i schwytali cię przez przypadek.

– Ty nie siedziałaś w zbiorniku. Może to oznacza, że twój bliźniak nie jest wcale taki ważny i potężny.

– Wolałbyś, żeby tak było? – spytałam.

– Nie wiem. To by pewnie znaczyło, że moja bliźniaczka nie zrobiła mi tego celowo. Że, tak jak przed chwilą założyłaś, po prostu miałem pecha.

– Wiem, co masz na myśli. Ale wydaje mi się, że nie siedziałam w zbiorniku tylko dlatego, że chcieli mnie wykorzystać, dowiedzieć się, co widzę.

– Uważasz więc, że gdybyś nie była wizjonerką, Zach kazałby cię zamknąć w zbiorniku?

– I tak miał zamiar to zrobić – odparłam, a na wspomnienie snów, które dręczyły mnie podczas ostatnich dni w celi, przebiegł mnie dreszcz. – Wkrótce. – Przez chwilę się zastanawiałam. – Ale gdybym nie była wizjonerką, wszystko wyglądałoby inaczej. Rozdzielono by nas już na samym początku i nie musiałby tak zażarcie ze mną walczyć, by dowieść, że jest Alfą. Sytuacja przybrałaby pożądaną przez niego obrót. Nie stałby się człowiekiem, którym teraz jest.

– A więc to twoja wina? Bo jesteś wizjonerką?

– Nie to miałam na myśli. To skomplikowane. – Obróciłam się do niego plecami. – Lepiej już śpijmy.

Przyśniła mi się Spowiedniczka i zerwałam się z krzykiem. Ciemność sprawiła, że dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, gdzie jestem. Leżący za mną Kima próbował mnie uciszyć. Jego kojące słowa odbijały się echem od płynącej rzeki.

– Przepraszam. Miałam zły sen – wyjaśniłam.

– W porządku. Już dobrze.

Skinęłam głową w ciemnościach, a mój oddech zaczął się uspokajać, Kima mówił jednak dalej:

– To znaczy uciekasz przed swoim bliźniakiem oraz armią jego popleczników, no i leżysz na skraju klifu w towarzystwie półnagiego nieznajomego cierpiącego na amnezję. Ale oprócz tego wszystko jest cacy.

Parsknęłam śmiechem.

– Dzięki za słowa otuchy – powiedziałam.

– Nie ma sprawy – odparł, po czym przewrócił się na plecy.

Także się położyłam. Nad nami widać było korzenie drzew imitujące dach, a jeszcze wyżej niebo, gdzie mrok przybierał jaśniejszy odcień, przeszywany blaskiem gwiazd. Czułam, jak unoszący się nad nimi wszystkimi umysł Spowiedniczki usilnie próbuje mnie namierzyć. Nocne niebo wydawało się przynosić mi ciężarem jej nieustępliwości.

– Od ucieczki śni mi się Spowiedniczka – wyznałam. – Podczas pobytu w celi często o niej myślałam i bałam się spotkań z nią, ale teraz bez przerwy czuję jej obecność.

– Myślisz, że cię szuka?

– Jestem tego pewna. Wyczuwam jej świadomość, wypatruje nas.

Kima podparł się na łokciu.

– Czego dokładnie jest świadoma? Wie, gdzie jesteśmy? – spytał.

– Nie sądzę. Przynajmniej jeszcze nie. Ale szuka. Jest... nieustannie obecna.

Przypomniała mi się komnata, którą ujrzałam, gdy podczas ostatniego przesłuchania użyłam przeciwko Spowiednicze jej własnej broni. Skrywała pełne przewodów pomieszczenie w ten sam sposób, w jaki ja schowałam w swoim umyśle wszelką wiedzę o Wyspie. Gniew, którym wybuchła, kiedy dostrzegłam w jej myślach komnatę, dowodził, jak ważne było to odkrycie. Ale czym była ta sala i dlaczego kobieta tak zażarcie starała się ją chronić?

Poczułam, że Kima obraca się do mnie.

– Nie zrozum mnie źle, jestem ci wdzięczny za twoje wizjonerskie zdolności, ale ci ich nie zazdrozczę.

Nikt nie zazdrościł wizjonerom. Alfy nami gardziły, a pozostałe Omegi nie były w stanie nas znieść. Jednak to wizje były w tym wszystkim najgorsze. Bez ustanku musiałam się borykać z gradem okrucich przeszłości i przyszłości, które

przemieniały moje noce i dni w sito, pozbawiając mnie zaufania do własnego miejsca w czasie. Kto miałby nam zazdrościć uszkodzonych umysłów? Przyszedł mi na myśl szalony wizjoner z targu w Haven i jego nieustanne mamrotanie.

– A tobie śniło się coś, gdy byłeś w zbiorniku? – spytałam.

– Przez cały czas, jaki w nim spędziłem, miałem nadzieję, że to, co pamiętam, to tylko sen i że zaraz się obudzę. Na zmianę traciłem i odzyskiwałem świadomość. Ale gdy zasypiałem, śnił mi się zbiornik, a kiedy się budziłem, tkwiłem w nim nadal. – Kima zamilkł na chwilę. – A gdy teraz śpię, jest mi cudownie, bo w moich snach nie pojawia się nic – dodał.

– Jak myślisz, dlaczego tylko ty byłeś przytomny? Spośród wszystkich ludzi w zbiornikach?

– Nie wiem. Zresztą, jak już wspomniałem, nie byłem przytomny przez cały czas. A nawet wtedy miałem wrażenie, że nie jestem do końca rozbudzony. Nie mogłem się poruszać albo sprawiało mi to trudność. Tak naprawdę niczego nie widziałem, bo przez większość czasu panowała tam ciemność. Czasami, gdy udało mi się przysunąć do szkła, dostrzegałem inne zbiorniki; a momentami nawet pływających w nich ludzi.

Gdzieś nieopodal zagruchał gołąb.

– Wystraszyłem się, kiedy obudziłaś się z krzykiem – powiedział po chwili. – Najwyraźniej na tym polega słaba strona bycia wizjonerem: nie da się wyłączyć wizji.

– Ty też mnie wystraszyłeś, kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy – wyznałam. – To znaczy cała sceneria była przerażająca, ale gdy otworzyłeś oczy, omal nie wrzasnęłam.

– Nic by się nie stało, gdybyś wrzasnęła. To byłoby nic w porównaniu z hurgotem, jakiego narobiłaś, rozbijając zbiornik.

Uśmiechnęłam się, a następnie przekręciłam na bok, by leżeć twarzą do niego. Sponad klifu po drugiej stronie wąwozu zaczął wyzierać brzask, krawędzie mroku bledły.

– Spróbuj zasnąć – powiedział Kima, wyciągając dłoń, żeby odgarnąć włosy, które opadły mi na oko, po czym obrócił się na drugi bok, plecami do mnie. Zamknęłam oczy. Po okresie izolacji miło było słyszeć oddech drugiej osoby, nie do końca zsynchronizowany ze swoim.

Rozdział jedenasty

Przez dwa kolejne dni trzymaliśmy się ścieżki prowadzącej w dół rzeki. Pierwszego dnia usłyszeliśmy zbliżających się ludzi, chociaż nie jestem pewna, co pojawiło się najpierw: ogarniający mnie niepokój czy tupot kopyt w oddali. Zeszliśmy ze ścieżki, a potem ze skarpy. Była urwista, a rzeka pod nami rwąca i usiana skałami, nie mieliśmy jednak czasu na ostrożność. Przyłgnęliśmy do klifu, kryjąc się pod obnażonymi korzeniami rosnącego nad nami drzewa. Łomoczące rytmicznie kopyta mijających nas koni zrzuciły na nas bryłki ziemi i liście. Pozostaliśmy w ukryciu jeszcze na długo po tym, jak ich dźwięk umilkł, a potem wynurzyliśmy się ostrożnie, otrzepując włosy ze ściółki.

Gdy nazajutrz ponownie usłyszeliśmy konie, w okolicy nie było klifu, który mógłby zapewnić nam schronienie. Strome urwiska ustąpiły miejsca porośniętym trawą brzegom łagodnie schodzącym do rzeki płynącej obecnie wolniej, choć korytem równie szerokim jak wcześniej. Krajobraz nie obfitował w kryjówki, ale za to cichszy szum rzeki pozwolił nam zawczasu posłyszeć zbliżające się kopyta. Jeźdźcy znajdowali się niedaleko, dzieliło ich od nas nie więcej niż sto metrów, a osłonięci byliśmy jedynie zakrętem w biegu rzeki. Nie było czasu na słowa – jednocześnie odwróciliśmy się plecami do wody i zaczęliśmy biec tak szybko, że długie, sztywne źdźbła piaskownicy siekły nas po łydkach. Jedyne schronienie w zasięgu wzroku była grupka krzaków, za które wskoczyliśmy w momencie, gdy zza zakrętu wyłonił się pierwszy rumak. Wyzieraliśmy zza krzewów do połowy zagrzebani w liściach i patrzyliśmy, jak trzech jeźdźców zwalnia, podjeżdżając do rzeki. Zaciskająca się na moim ramieniu dłoń Kimy zeszywniała; nasze przyciśnięte do siebie ciała lekko drżały. Mężczyźni znajdowali się tak blisko nas, że gdy jeden po drugim zeskakiwali z koni, czułam uderzenia ich stóp o ziemię. Byli to żołnierze Rady odziani w długie czerwone bluzy ozdobione insygniami Alf. Jeden z nich nosił przy pasie miecz tak długi, że jego czubek przy każdym kroku ocierał się o trawę. Pozostali dwaj mieli łuki przytroczone do pleców.

Patrzyliśmy, jak prowadzą rumaki do rzeki, by je napoić. Nawet mimo dudniącego mi w uszach tętna oraz drżenia całego ciała, które starałam się tłumić, byłam zafascynowana widokiem koni. Jedyne bliskie spotkanie z nimi doświadczyłam, kiedy zostałam uprowadzona z osady. Oczywiście już przedtem widywałam konie, na których jeździli podróżnicy oraz te na targu w Haven, ale nie zdarzało się to często. Gdy byłam dzieckiem, w wiosce hodowano jedynie owce, bydło i osły. A później, w osadzie, nie było już żadnych zwierząt – Omegom nie tylko zabraniano je posiadać, lecz także nawet kupować czy spożywać ich mięso. Jedyne konie, które pojawiały się w osadzie, należały do Alf: kupców, poborców dziesięciny lub najeźdźców. My, Omegi, opowiadaliśmy sobie pełne zazdrości historie dotyczące dekadentckiego stylu życia mieszkańców Wyndham, w którym

na każdego żołnierza przypadał jeden koń, psy trzymano w domach, zamiast szkolić je na wartowników, a mięso jedzono co tydzień.

Podobno przed Wybuchem było więcej zwierząt – żyły wszędzie, i to w większej liczbie gatunków, niż można było to sobie wyobrazić. Pewnego razu, gdy Zach wrócił z tatą z targu w Haven, buzia mu się nie zamykała na temat obrazka, który tam zobaczył. Wędrowny kupiec próbował sprzedać go po kryjomu w jednej z bocznych uliczek. Twierdził, że rysunek przedstawia czasy sprzed Wybuchu. Widać było na nim setki różnych typów ptaków. I to nie tylko te, które znaliśmy: blade kury, krępe szare gołębie czy nawet mewy przylatujące czasem na ląd znad położonego na zachodzie morza. Zach opowiadał, że na obrazku znajdowały się również ptaki mniejsze od kurzego jaja oraz takie, których rozpiętość skrzydeł dorównywała długością stołowi w naszej kuchni. Mógł mi je jednak opisywać wyłącznie szeptem, kiedy leżeliśmy w naszym pokoju przy zgaszonej świecy. Oznajmił bowiem, że i tak już podpadł tacie, który wyciągnął go za kołnierz z tłumku zebranego wokół straganu owego kupca. Relikty dotyczące czasów sprzed Wybuchu stanowiły tabu, a ojcu wyjątkowo brakowało cierpliwości do wszelkich spekulacji na temat przeszłości.

Bez względu na to, jakie zwierzęta istniały przed Wybuchem, niewiele z nich go przeżyło, a jeszcze mniej przetrwało naznaczone głodem dekady Długiej Zimy, która potem nastąpiła. Większość zwierząt wymarła, gdyż nie potrafiły się dostosować do nowych warunków na równi z ludźmi. Ponadto nawet u przedstawicieli gatunków, które przetrwały, często występowały deformacje – niczym niezwykłym nie był, na przykład, widok gołębia o trzech nogach czy całego stada pozbawionych oczu owiec podążających za dźwiękiem dzwonka zawieszzonego na lasce pasterza. Tego ranka minęliśmy z Kimą dwugłowego węża wyciągniętego na skale nad rzeką, który obserwował nas obiema parami oczu. Przypuszczałam, że deformacje zdarzają się również wśród koni, choć sama nigdy się z czymś takim nie spotkałam. Do tej pory nie wiedziałam nawet, że konie mogą być różnej maści, bo wszystkie, które widziałam, były brązowe. Trzy rumaki głośno pijące wodę jakieś dziesięć metrów od nas były szare, a ich grzywy i ogony miały barwę pożółkłej bieli. Ich rozmiary oraz dźwięki siorbania i rżenia wytrącały mnie z równowagi.

Jeźdźcy powiedli konie z powrotem w naszym kierunku. Mężczyzna z mieczem pochylił się, żeby poprawić strzemień, i przez chwilę jego głowa znajdowała się na naszym poziomie, w odległości niecałych trzech metrów. Kurczowo zacisnęłam powieki, jakbym dzięki temu mogła się lepiej ukryć. Jednak gdy je otworzyłam, dostrzegłam coś, co przeraziło mnie o wiele bardziej niż miecz żołnierza. Tuż obok jednego z przednich kopyt jego wierzchowca dojrzałam odcisnięty w ziemi kształt bosej ludzkiej stopy. Niecałej nawet – wgniecenie odpowiadało kształtem przedniej części stopy Kimy. Obecność odcisku zaczęła

razić mnie w oczy. Przygotowałam się do biegu, lecz jakie mieliśmy szanse w wyścigu z trzema uzbrojonymi jeźdźcami? Mój oddech przypominał rozszalałe trzepotanie skrzydełek ćmy. Mężczyzna wyprostował się i przez chwilę sądziłam, że przeoczył ślad. Potem jednak pochylił się raz jeszcze, tym razem niżej. Zamknęłam oczy i ścisnęłam ramię Kimy. To koniec. Czułam już, jak szklane ściany zbiornika zamykają się wokół mnie. Wokół nas obojga.

Gdy otworzyłam oczy, żołnierz nadal nisko się pochylał, uważnie przyglądając się kolejnym kopytom konia. Od jednego z nich oderwał kamyk, po czym wyprostował się i splunął na ziemię.

Odjechali równie nagle, jak się pojawili, wskoczywszy na siodła z niewymuszoną gracją.

Od tamtej pory stroniliśmy od ścieżki. Kima przez całe popołudnie był przygaszony. Choć od ucieczki wyczuwałam gorliwość, z jaką poszukiwała nas Spowiedniczka, dopiero widok żołnierzy sprawił, że pościg nabrał w oczach mego towarzysza realnych kształtów.

– Nie poddadzą się tak łatwo – stwierdził wieczorem, a ja nic nie odpowiedziałam, bo nie padło żadne pytanie. – Zresztą dokąd mielibyśmy uciec? Do tej pory myślałem tylko o tym, żeby jak najbardziej oddalić się od Wyndham. Ale to nie jest żaden konkretny cel.

– Nie uciekamy na ślepo – oznajmiłam. – Wybieramy się na Wyspę.

Uświadomiłam to sobie dopiero, gdy to powiedziałam. Wcześniej nie zdawałam sobie również sprawy z tego, że Kima będzie mi towarzyszył w podróży. Jednak gdy nie śniła mi się Spowiedniczka, w moich snach pojawiała się właśnie Wyspa, której jedyny szczyt wylaniał się z odmętów morza. Od opuszczenia Wyndham kierowaliśmy się mniej więcej na południowy zachód, ku odległemu wybrzeżu. Nie byłam pewna, czy w grę wchodził przypadek, czy też przez cały czas celowo nas tam prowadziłam.

Kima słyszał już kiedyś o Wyspie – okazało się, że jego wiedza ogólna jest wystarczająco solidna, mimo że pobyt w zbiorniku zostawił w jego pamięci frustrującą lukę w miejscu szczegółów dotyczących życia osobistego i tożsamości. Był więc na równi ze mną świadomy istnienia Wyspy, jeszcze zanim zaczęła się ona pojawiać w moich wizjach. Podobnie jak ja kiedyś zakładał, że to mit, zwykła plotka – przekazywana półgębkiem pogłoska o rajach dla Omeg, równie niekonkretna i mało prawdopodobna co opowieści o Zamorzu, czyli ziemiach, do których od czasu Wybuchu nie mieliśmy dostępu. Lecz gdy wyjawiałam Kimie, że Wyspa ukazuje mi się w wizjach, ze wzruszeniem stwierdziłam, że nie powątpiewa w jej istnienie.

– Rada naprawdę jej poszukuje? – spytał. – I to od dłuższego czasu?

Skinęłam głową, przypominając sobie przesłuchania prowadzone przez Spowiedniczkę. Szczęki zacisnęły mi się na wspomnienie wbitych we mnie oczu

oraz umysłu pętającego mój umysł niczym sidła szyję zająca.

– I uważasz, że w naszej sytuacji dobrym pomysłem jest udać się do miejsca, którego szukają?

Zmarszczyłam nos.

– Wiem, że to brzmi jak kuszenie losu. Ale nie szukaliby Wyspy, gdyby nie była ważna. Jeśli mamy zamiar się dowiedzieć, po co Radzie zbiorniki, albo spróbować odtworzyć twoje losy, ludzie, którzy mogą nam pomóc, znajdują się moim zdaniem właśnie tam.

Nocą Spowiedniczka wkroczyła w mój sen. Pojawiła się zniecka, równie realna co wykrot, pod którym kuliliśmy się z Kimą. Spoglądała na mnie ze szczytu porośniętego mchem urwiska z wyrazem absolutnej obojętności, który dobrze pamiętałam z Przechowalni. Jedyłą skazę na jej idealnej cerze stanowiło wypalone na czole piętno. Była tam, stała nad nami, a jej twarz oświetlał blask księżyca w pełni. Nie było sensu krzyczeć ani uciekać. Jej obecność miała charakter totalny, jakby kobieta towarzyszyła nam od samego początku, tylko byliśmy zbyt głupi, by ją zauważyć. Gdy nasze oczy się spotkały, miałam wrażenie, że moja krew staje się zbyt gęsta, zbrylona, zupełnie jakby zamarzała, i z trudem przesuwa się w żyłach.

Zbudził mnie ból dłoni, a nie potrząsająca mną ręka Kimy czy jego głos wołający mnie po imieniu. Ryłam w ziemi, drapałam przegniłą kłodę, przy której spaliśmy. Zanim się całkiem wybudziłam, zdążyłam wykopać głęboką na kilkanaście centymetrów dziurę, a pod paznokciami, które się nie złamały, zalegała gruba warstwa ziemi i kawałków drewna. W dodatku, wynurzając się na powierzchnię świadomości, uzmysłowiłam sobie ze zdziwieniem, że wyję niczym przerażone zwierzę.

Kima pochylał się nade mną, ściskając mnie za ramię. Przyciągnął mnie do siebie, po części, żeby mnie pocieszyć, po części, żeby uciszyć. Wolno wypuściłam powietrze z płuc, zmuszając ciało do bezruchu, i oparłam czoło o jego spuszczoną głowę, aby uśmierzyć drgawki. Czułam symetrię naszych piętn, bliźniaczo podobnych blizn znaczących nasze zetknięte czoła.

– Już dobrze, ciii, już dobrze – mruczał Kima.

– To ona. Była tutaj, w moim śnie. Tam stała.

– I chciałaś uciec przed nią podkodem?

Uśmiechnął się z przekąsem, a do mnie dotarł absurd całej sytuacji. Mimo że zdobyłam się na śmiech, moje ciało nie przestawało się trząść.

– To był tylko sen – powiedział Kima.

– To nigdy nie jest t y l k o sen – odparłam. – Nie w moim przypadku.

Rzeczywistość okazała się jednocześnie lepsza i gorsza od snu. Lepsza, gdyż górująca nad nami skarpa była pusta, nikt nie naruszył tam mchu ani liści. Gorsza, bo brak fizycznej obecności Spowiedniczki niewiele znaczył: bez względu na to, czy rzeczywiście się tu pojawiła, czy nie, nic nie umykało jej wyczulonym

zmysłom. Ani ucieczka, ani ukrywanie się – nie mówiąc o dziecinnym grzebaniu w ziemi – nie miały sensu. Szukała nas, a ja nie potrafiłam jej zgubić. Całe nocne niebo przemieniła w wypatrujące nas oko, którego wzrok przewiercał mnie na wskroś niczym szpilka, którą Zach przebił kiedyś mojego żuka.

Nazajutrz zaczęliśmy się przemieszczać z jeszcze większym pośpiechem. Świadomość obecności Spowiedniczki była doznaniem fizycznym przypominającym przewlekły ból. Nosiłam ją w sobie, każde miejsce, do którego docieraliśmy, stawało się nią zbrukane. Alfy nieustannie wmawiały nam, że Omega przypomina naczynia przenoszące skażenia pochodzące z Wybuchu. Ale ja miałam wrażenie, że to Spowiedniczka jest trucizną, którą w sobie noszę, zepsuciem wnikającym mi do krwi, a następnie przenikającym do krajobrazu przemierzanego wspólnie z Kimą.

Od czasu naszej rozmowy o Wyspie ogarnęło nas poczucie misji: wiedziałam, że dzielą nas od niej setki kilometrów, ale wypowiedzenie na głos celu podróży wydawało się zmniejszać ten dystans. Ruszyliśmy prosto na zachód i wkrótce potem oddaliliśmy się od ścieżki i rzeki. Przedtem łąpczywie piliśmy wodę, nie wiedząc, jak dużo czasu minie, zanim znowu się na nią natkniemy. Główny problem stanowił jednak głód. Najczęściej udawało nam się znaleźć jagody lub grzyby, choć na te ostatnie zaczęliśmy uważać, od kiedy poważnie zaszkodziła nam ich czarna odmiana znaleziona podczas drugiego dnia wędrówki. Pierwszego dnia po odejściu od rzeki Kima złapał kilka rybek w niewielkim stawie, wykorzystując mój sweter jako sieć. Drobne srebrne rybki były nie większe od paznokcia mojego małego palca. Zjedliśmy je na surowo – głód zwyciężył nad obrzydzeniem. Wiedziałam jednak, że długo tak nie pociągniemy.

Kima radził sobie lepiej, niż się spodziewałam. Przez kilka pierwszych dni po opuszczeniu zbiornika jego ciało cechowała pewna bezkształtność, rozmiękczenie wywołane bezruchem. Nawet jego skóra była luźna i opuchnięta od kontaktu z płynem. Teraz jednak, mimo że z każdym dniem rusztowanie złożone z kości stawało się coraz bardziej widoczne, nabierał kształtów, a pod ciemną od słońca i brudu skórą prężyły się żyłaste mięśnie. Początkowo jego cera była nadwrażliwa, łatwo doznawała ran, a bosa stopy pokrywały się siecią bąbli zmuszających nas do częstego postojów. Ruchy Kimy w dalszym ciągu były niezdarne, gdyż nadal odkrywał własne ciało po pobycie w zbiorniku. Poruszał się z wahaniem, które nie chciało zniknąć. Za to rzadziej się obecnie potykał, zaczął wybiegać do przodu i wspinać się na wyżej położone punkty terenu. Momentami miałam ochotę powiedzieć, żeby się uspokoił i oszczędzał siły, ale nie potrafiłam się zdobyć na to, aby pozbawiać go przyjemności, jaką sprawiała mu kontrola nad odzyskanym ciałem. Jednak wraz z nasilaniem się głodu nawet on zaczął tracić zapach. Moje własne ciało sprawiało wrażenie ociężałego, choć wiedziałam, że z każdym dniem traci na wadze. Nocami, gdy kryliśmy się w rowach lub

szczelinach pod powalonymi drzewami, myśli o jedzeniu oraz ostrość wbijających się w ziemię kości nie pozwalały mi zasnąć. Mimo wszystko nawet w najgorszych momentach głodu nie wspominałam z rozrzewnieniem tac z posiłkami, regularnie pojawiających się w mojej celi.

Na trzeci dzień po porzuceniu rzeki natknęliśmy się na pierwszą wioskę. Przypominała tę, w której dorastaliśmy z Zachem, tyle że była mniejsza. Wokół studni skupionych było nie więcej niż piętnaście domów otoczonych polami i sadami. Dostrzegliśmy kilka postaci pogrążonych w pracy przy okazałych rozmiarów stodole. Musiała już być druga połowa lata, gdyż z pól zebrano plony, ale sad zapewnił nam wystarczającą osłonę, byśmy mogli się zbliżyć niezauważeni. W trawie leżało kilka jabłek: pokurczonych, z pomarszczoną skórką, brązowych. Każde z nas zjadło w milczeniu po trzy, przerywając ciszę jedynie dźwiękiem wypluwanych pestek.

– Alfy czy Omegi? – spytał Kima, zerkając zza drzewa na wioskę.

Zatoczyłam ręką łuk, zagarniając otaczające nas pola i rzędy jabłoni.

– Ziemia jest tu dobra, więc zgaduję, że Alf.

– Spójrz na tyły tego dużego domu. – Wskazał na długą wąską stodołę podzieloną na kilka sekcji zakończonych drzwiami o dzielonych w poziomie skrzydłach.

– No i?

– To stajnia, dla koni.

– Jak to możliwe, że jesteś w stanie rozpoznać stajnię, a nie wiesz, jak masz na imię?

Poirytowany wzruszył ramionami.

– Na tej samej zasadzie, na jakiej jestem w stanie mówić albo pływać. Po prostu. Tylko osobiste wspomnienia jakimś cudem wyparowały mi z głowy. W każdym razie przynajmniej wiemy, że to terytorium Alf.

– Weźmy więc tyle jabłek, ile uniesiemy, i ruszajmy dalej.

Skinął głową, ale nadal stał w miejscu. Jedne z drzwi w wiosce uchyliły się i w popołudniowym powietrzu rozbrzmiał głos kobiety.

Pociągnęłam go za ramię.

– Kima? Musimy iść.

Obrócił się do mnie.

– Jeździłaś kiedyś konno? – spytał.

Przewróciłam oczami.

– Omegom nie wolno tego robić.

– A zanim rozdzielono was z Zachem?

– W naszej wiosce nie było koni. Było kilka osłów, lecz nie pozwalali nam na nich jeździć.

– Ale wiesz, jak to się robi. Widziałaś tych mężczyzn nad rzeką.

– Wiem, gdzie koń ma przód, a gdzie tył, jeśli o to pytasz. Byłam wieziona konno, gdy ludzie Zacha porwali mnie z osady, ale to się raczej nie liczy. Ty też nie potrafisz tego zrobić, co?

– Nie – odparł. – A przynajmniej tak mi się wydaje.

Kima obdarzył mnie uśmiechem.

– Ale chętnie bym spróbował.

Poczekaliśmy, aż zapadnie zmrok. Z gałęzi jabłoni rosnącej na samym końcu sadu obserwowaliśmy gromadkę około dziesięciorga dzieci, które wyszły ze szkoły i zaczęły się bawić wokół studni.

– Czy ten widok wywołuje u ciebie nostalgię? – spytał Kima.

Pokręciłam głową.

– Nasze życie tak nie wyglądało, od kiedy przestaliśmy być bardzo mali. Nie zostaliśmy rozdzieleni, więc nie wolno nam było iść do szkoły. Dzieci w większości trzymały się od nas z daleka. Dlatego byliśmy z Zachem zdani tylko na siebie.

– To ciekawe, że nie zdziwaczałaś. To jest, jeśli przymknie się oko na fakt, że jesteś zbiegłą wizjonerką – zauważył.

Skwitowałam tę uwagę uśmiechem.

– A ty? Odczuwasz nostalgię? – spytałam.

– Nie da się odczuwać nostalgii za czymś, czego się nie pamięta – odpowiedział. – Wygląda na to, że zaniki pamięci mają swoje plusy.

Dobiegały nas okrzyki i śmiech dzieci.

– Spójrz na nie: żadnemu nie brakuje kończyn, nie mają widocznych wad. Idealne małe Alfy i ich idealne życia.

– To nie ich wina. Są przecież tylko dziećmi – stwierdziłam.

– Wiem. Ale żyją w innym świecie niż my.

– Mówisz jak Zach – zauważyłam.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli ze sobą wiele wspólnego.

– Może i nie. Ale te uwagi na temat innego świata są bardzo w jego stylu.

Kwestie segregacji, o których bez przerwy gadają Alfy.

– Takie są fakty – powiedział Kima. – Popatrz raz jeszcze, widzisz jakiegokolwiek deformacje albo piętna? Każde z tych dzieci ma bliźniaka, którego rodzice skazali na wygnanie. Zresztą, o ile dobrze pamiętam, twoja rodzina również nie poświęcała ci zbyt dużo uwagi w swoim świecie.

– Jest tylko jeden świat – zauważyłam, odwracając wzrok.

Kima wskazał na wioskę.

– Jeśli chcesz tam pójść, żeby się przedstawić i wyjaśnić swoje położenie, to proszę bardzo.

Wraz z gęstnieniem mroku ludzie zaczęli wracać do domów. Kobieta i chłopiec rozwieszali uprane ubrania i pościel na sznurku rozciągniętym nieopodal studni. Potem prowadzącą na wschód drogą nadjechał wyładowany drewnem wóz ciągnięty przez dwa brunatne konie. Kima trącił mnie łokciem. Na miejscu woźnicy siedział mężczyzna, który zeskoczył z wozu, kiedy był już blisko wioski, i zaczął prowadzić konie za uzdę. Jakaś dziewczynka wybiegła, by go powitać, i razem je wyprzęgli. Z uwagą obserwowałam, jak spokojnie obchodzą się z potężnymi zwierzętami. Dziewczynka samotnie powiodła je do stajni, a mężczyzna na odchodne poklepał większego konia po zadzie.

Jakiś czas później dziewczynka wyszła ze stajni i zniknęła w pobliskim domu. Reszta dzieci też już się rozeszła, a odgłosy wioski zostały stłumione przez pozamykane drzwi. Odczuwałam lekkie wyrzuty sumienia wywołane myślą, że podglądam ich, gdy niczego nieświadomi wykonują codzienne czynności. Z któregoś komina zaczął się unosić dym, potem z kolejnego.

Kima się niecierpliwił, ale kazałam mu poczekać, aż będzie całkiem ciemno i zgasną lampy w oknach. Od dnia ucieczki pogoda nam sprzyjała, ale gdy w końcu wynurzyliśmy się pomiędzy drzew, pożałowałam, że nie osłania nas gęsta mgła albo ulewa.

Przechodząc obok studni, musieliśmy się pochylić pod wiszącym na sznurku praniem. Poczułam, że Kima ciągnie mnie za koszulę, a gdy się obróciłam, wskazał na ubrania.

– Chcesz je ukraść? – spytałam bezgłośnie.

– Zabieramy im konie. Nie sądzę, żeby para spodni sprawiła dużą różnicę. – Pośród uspionej wioski nawet jego szept wydał mi się głośny.

Skrzywiłam się.

– Konie są nam potrzebne – zauważyłam.

– To nie ty od dwóch tygodni chodzisz w przepasce na biodra. Dokądkolwiek pójdziemy, będę się rzucał w oczy.

– No dobrze. Tylko szybko – odparłam, po czym skinieniem głowy wskazałam stajnię. – Spotkamy się tam.

Kiedy weszłam do budynku, moje oczy potrzebowały paru chwil, aby przywyknąć do mroku, a gdy już to się stało, uderzyło mnie, jak wielkie były konie, których masywne czarne kształty wyłoniły się z ciemności. Zwierzęta stały w dwóch osobnych boksach i wydawały z siebie obce moim uszom dźwięki; parskały, poruszając się niespokojnie. Na ścianie wisały uzdy, a siodła leżały na niskiej belce przy drzwiach, jednak ich wiązania i klamerki sprawiały wrażenie skomplikowanych, więc zamiast nich wzięłam dwa kawałki zawieszonych na gwoździu liny. Najpierw podeszłam do mniejszego konia. Gdy stanęłam przy wejściu do boks, zaczął się cofać, a ja skrzywiłam się na dźwięk jego kroków. Potem jednak zwierzę ruszyło do przodu i musiałam się przesunąć na lewo, żeby

zrobić miejsce dla jego łba, którym zaczęło się o mnie obcierać ponad drzwiami boksu. Ledwo zdławiłam w sobie krzyk, kiedy zwierzę skubnęło mnie w biodro, ale gdy cofnęłam się i przyłożyłam dłoń do tego miejsca, wyczułam jabłko, którymi miałam wypchaną kieszeń. Wykonałam przeciągły wydech. Ponownie zbliżyłam się do konia, tym razem z pomarszczonym jabłkiem w wyciągniętej dłoni, a on delikatnie wziął je do pyska. Nie spodziewałam się, że jego wargi okażą się równie miękkie. Gdy stworzenie przeżuwało owoc, ostrożnie oplotłam jego szyję liną, a potem – przypomniawszy sobie mężczyznę jadącego wozem – poklepałam go po barku w nadziei, że zakomunikuję mu w ten sposób objęcie nad nim władzy, mimo że wcale się tak nie czułam.

Z drugim koniem poszło jeszcze łatwiej. Wyjęłam z kieszeni kolejne jabłko, a on przyjął je z radością i zaczął głośno przeżuwać, pozwalając mi głaskać się po szyi.

Kilka dobrych chwil zabrało mi otworzenie drzwi boksów bez wypuszczania prowizorycznych uzd z dłoni. Przyszło mi do głowy, że konie mogą się rzucić do ucieczki. Na szczęście ta możliwość nie wywołała entuzjazmu z ich strony i podążyły za mną dopiero, gdy parokrotnie pociągnęłam za linę, wabiąc je kolejnym jabłkiem trzymanym poza ich zasięgiem. Większy koń wydał z siebie westchnienie podobne do tego, z jakim Kima witał poranne pobudki.

Kiedy wyprowadzałam wierzchowce z boksów, przypomniał mi się chrzęst kopyt o łupki, którymi usiane było podłoże jaskini, jednak klepisko stajni było miękkie i usłane sianem, co skutecznie tłumilo dźwięki.

Gdy wyszłam ze zwierzętami na zewnątrz, wystraszyła mnie czekająca w mroku postać, ale chwilę później rozpoznałam Kimę w cudzym ubraniu. Spojrzał na podążające za mną posłusznie konie.

– To jeden z talentów wizjonera? – spytał. – Potrafisz się z nimi porozumiewać?

– Nie wygłupiaj się – prychnęłam. – Dałam im po jabłku.

Podaliśmy mu linę przywiązaną do karku większego konia.

– Nie powinniśmy mieć siodła i innych akcesoriów? – spytał.

Uniosłam brew.

– Niektórych ludzi nie sposób zadowolić. Chodźmy już.

– Trafiły mi się nawet buty – pochwalił się, unosząc nogę, bym mogłam podziwiać oblepione błotem obuwie. – Ktoś zostawił je na progu tego dużego domu. Nie do końca pasują, ale nie chciało mi się pukać, żeby sprawdzić, czy nie mają większego rozmiaru.

Znajdowaliśmy się na porośniętej trawą przestrzeni między stajnią a studnią. Po jednej stronie ciągnął się niski murek, na który weszłam, podprowadziwszy tam konia.

– Podobno wiesz, gdzie koń ma przód, a gdzie tył, zgadza się? – spytał

Kima, przyglądając mi się, podczas gdy jego własny rumak zaczął beztrąsko skubać trawę.

– Cicho – odparłam, wdrapując się na grzbiet zwierzęcia.

Objęłam rękami jego ciepłą szyję, a po kilku niezdarnych zamachach nogą udało mi się ją zarzucić ponad jego zadem. Koń zarżał niezadowolony. Drugie zwierzę uniosło łeb i wydało z siebie podobny dźwięk. Kima próbował podprowadzić je do murka, ale koń wyrwał mu linę z dłoni, stanął metr dalej i wrócił do konsumowania trawy.

Kima znajdował się teraz niżej ode mnie. Patrzyłam z góry, jak wolno podchodzi do rumaka, podnosi linę i tym razem pociąga za nią ostrożniej. Koń stęknął, uderzył kopytem o ziemię, ale nie posunął się ani o centymetr w kierunku murka. Kima próbował na niego wskoczyć, lecz brak podestu sprawił, że tylko przejechał palcami po jego grzbiecie i zjechał na dół. Zwierzę zaczęło się cofać i potraściło mojego rumaka, który z kolei rozpoczął własny oszalały taniec, głośno rżąc. W znajdującym się za nami domu ktoś krzyknął, zapaliło się światło. Z drzwi frontowych wyskoczył mężczyzna, a huśtająca się w jego ręku lampa rozcięła mrok płomiennym łukiem. Zaraz za nim pojawił się człowiek z zapaloną pochodnią.

Zachodziłam w głowę, jak skłonić konie do ruchu, ale pochodnia rozwiązała ten problem, bo mój wystraszony rumak popędził na ukos przez trawy. Musiałam nisko pochylić głowę i przycisnąć ciało do jego szyi, gdy przebiegał pod sznurem z praniem, szukając schronienia po drugiej stronie studni. Ale Kimę, który z liną w ręku stał obok swojego konia, już tylko kilka metrów dzieliło od mężczyzn znajdujących się po drugiej stronie murka. Jego koń także wystraszył się płomienia pochodni i Kima musiał po części biec, a po części być wleczonym, żeby dotrzymać mu tempa. Zasłoniło mi go duże białe prześcieradło wiszące na sznurze; oświetlone blaskiem lampy i pochodni przypominało teatrzyk cieni. Dostrzegłam dwóch mężczyzn deptających Kimie po piętach, słyszałam krzyki ludzi wybiegających z pozostałych chat.

– Złodzieje! – zawołała jakaś kobieta, by chwilę potem, gdy rozbłysło więcej pochodni i Kimę było widać jak na dłoni, dodać: – Omegi!

Chociaż moim oczom ukazywały się tylko ludzkie sylwetki, dostrzegłam, że rosnący z każdą chwilą tłum był uzbrojony: osoby bez pochodni miały w rękach tasaki albo sierpy. Ktoś niósł długą linę z pętlą na końcu i z determinacją zmierzał ku Kimie. Próbowałam zmusić swojego wierzchowca do powrotu, ale tylko przebierał nogami w miejscu. Mężczyzna z liną chciał zarzucić pętlę na szyję konia Kimy, lecz zwierzę cofnęło się gwałtownie i sznur chybił. Gdy koń zbliżył się do studni, Kima wskoczył na cembrowinę, a potem na grzbiet rumaka. Dobiegł mnie stukot kilku luźnych kamieni, który stoczyły się w głąb studni. Jednak Kima nie spadł i przez prześcieradło dojrzałam, że jakimś cudem udało mu się usiąść na koniu okrakiem. Chwilę później zerwane ze sznura prześcieradło oblepiło

pochylonego nad szyją pędzącego konia Kime.

Ale nie było dokąd uciekać. Wydawało się, że z każdego domu wybiegli ludzie, którzy otoczyli trawiastą przestrzeń świetlistym kordonem latarni i pochodni. Konie kręciły się w kółko, wpadały jeden na drugiego, a następnie rozbiegały się w panice. Kima próbował zrzucić z siebie prześcieradło, nie puszczając końskiej grzywy. Wokół nas zacieśniał się pierścień ognia. Podbiegł do mnie mężczyzna z pochodnią. Chwycił mnie za kostkę tak mocno, że nie byłam w stanie zrzucić z siebie jego ręki. Żar pochodni oparzył mi kolano.

W następnym momencie mężczyzna zaplątał się w prześcieradło ciśnięte przez Kime. Wymierzyłam mu kopniaka przez tkaninę, która już zaczęła się zajmować ogniem. Mój koń zinterpretował to jako sygnał do ucieczki i popędził przed siebie. Galopując w kierunku pochodni, widziałam czarne kontury trzymających je postaci, które rosły i rosły, aby w ostatniej chwili odskakiwać na boki pośród smug płomieni. Za sobą słyszałam galopowanie drugiego konia, dorównujące głośnością biciu mojego serca.

Nie odważyłam się obejrzeć, żeby sprawdzić, czy Kima nadal tkwi na grzbiecie wierzchowca, zawołałam go tylko po imieniu. A gdy odpowiedział, przekrzykując dudnienie kopyt, moje ciało wydało z siebie dźwięk stanowiący połączenie szloch i śmiechu.

Rozdział dwunasty

Przez kilka pierwszych minut szaleńczego galopu bałam się, że już nigdy się nie zatrzymamy. Wkrótce potem zdaliśmy sobie jednak sprawę, że nasze konie były z natury leniwe. Gdy początkowa panika zelżała i nie dało się już dostrzec świateł wioski za plecami, zwierzęta zwolniły i trzeba je było raz za razem dźgać piętami, żeby skłonić je do jazdy szybszej niż stęp. Przez większą część nocy poruszaliśmy się w ten właśnie sposób: po niechętnym galopie następowały dłuższe okresy utrzymane w spacerowym tempie. Nie wyobrażałam sobie nawet, jakie to może być męczące. Wydawało mi się, że jazda konna jest czynnością równie łatwą co zwykłe siedzenie, a jednak biodra i nogi bolały mnie od wysiłku. Niełatwo było utrzymać się na końskim grzbiecie, nie mówiąc już o nakłanianiu wierzchowca do dalszej podróży. Mój koń nieustannie próbował się zatrzymać na popas, od którego to zamiaru można go było odwieść jedynie silnymi pociągnięciami liny oplecionej wokół jego szyi. A gdy już udawało mi się go skłonić do szybszej jazdy, zaczynałam podskakiwać z taką siłą, że bałam się utraty zębów.

Wiedziałam – lub wyczuwałam – że w dalszym ciągu kierujemy się na południowy zachód, chociaż z drogi zjechaliśmy niedługo po opuszczeniu wioski. Kiedy zaczęło się rozwidniać, dostrzegliśmy, że znajdujemy się na rozległej równinie pokrytej jedynie wysoką trawą oraz niewielkimi bajorami. Konie zwolniły, ostrożnie obierając drogę między trzęsawiskami. Po raz pierwszy nie protestowałam, gdy mój wierzchowiec zaczął wyrywać kępki trawy z rozmokłej ziemi. Kima zatrzymał się obok mnie i przesunął wzrokiem po otaczającym nas płaskim terenie.

– Jeśli tutaj zsiądziemy, w życiu nie uda nam się wsiąść – zauważył.

– Mam wrażenie, że nieobecność rozwścieczonego tłumu może wiele ułatwić – odparłam. – W każdym razie ja już długo nie wytrzymam.

– Wiesz, jak się zsiada?

Wzruszyłam ramionami.

– To raczej proste. Przez całą noc robiłam wszystko, żeby nie spać. – Jakieś sto metrów dalej dojrzałam niewielki zagajnik. – Możemy tam przenocować.

– W tej chwili byłbym w stanie zasnąć gdziekolwiek.

Przerzuciłam jedną nogę nad końskim grzbieciem i ześlizgnęłam się na dół, lekko zataczając się przy lądowaniu. Kolana odmówiły mi posłuszeństwa, gdy próbowałam je wyprostować. Stojący obok mnie koń radośnie potrząsnął łbem. Kima też zeskoczył na ziemię. Wylądował zgrabnie, ale również skrzywił się w reakcji na ból mięśni.

Konie, co prawda, trzeba było przekonać do dalszego ruchu szarpaniem za uzdy, w końcu jednak, niechętnie, powlokły się do przodu i po chwili skryliśmy się

w cieniu grupki drzew. Zwierzęta zaczęły pić wodę z bagnistego stawu, a ja przywiązałam liny do gałęzi. Kima usadowił się na trawie w miejscu, gdzie teren wznosił się nieznacznie ponad poziom trzęsawisk. Wskazał na siebie z niesmakiem.

– W końcu udało mi się zdobyć cudownie czyste ubrania, a teraz cuchną koniem.

– Myślę, że sami niezbyt pięknie pachniemy po tylu dniach – odparłam.

Usiadłam obok niego, wyjęłam z kieszeni dwa ostatnie jabłka i podałam mu jedno.

– Jak daleko według ciebie dotarliśmy? – spytał.

– Daleko. Myślę, że dalej, niż bylibyśmy w stanie zejść w kilka dni na piechotę.

Wiedziałam, że nie uda nam się zatrzymać rumaków na całą podróż do wybrzeża – Omegi na koniach wzbudzałyby podejrzenia – jednak każdy dzień jazdy zbliżał nas do Wyspy.

Kima wypluł pestkę.

– Wystarczająco daleko, żeby Zach przestał nas szukać? – spytał.

Pokręciłam głową.

– Zresztą nie chodzi tylko o niego. – Przez całą noc, nawet podrzucana przez konia, czułam obecność Spowiedniczki, wymierzony prosto w nas strumień jej świadomości. – Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek przestał nas szukać, ale to ją głównie wyczuwam. Spowiedniczkę. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak bardzo zależy jej na ochronie Zacha.

Wyciągnął się na plecach.

– W końcu dla niego pracuje, tak?

– No tak – przyznałam. – Jest Omegą, a on jest w Radzie. Ale tak naprawdę ciężko sobie wyobrazić, żeby dla kogoś pracowała.

Przypomniały mi się wyniosłe łuki, w jakie wyginały się brwi Spowiedniczki.

Kima usiadł.

– Prawie zapomniałem: to twoje.

Zdjął z siebie nowy sweter, spod którego ściągnął ten, który pożyczyłam mu pierwszego dnia. Włożyłam go na koszulę. Był cały utyłany, a otwór na głowę stracił swój pierwotny kształt od opinania Kimy w pasie przez parę dobrych tygodni. Spojrzałam na siebie i parsknęłam śmiechem.

– Wybacz – powiedział, wkładając własny sweter. – Wygląda na to, że go zepsułem.

– Moja garderoba jest w tej chwili najmniejszym z naszych zmartwień, bez względu na to, jak komicznie wyglądam – odparłam.

– Wcale nie wyglądasz komicznie. Tylko pięknie – oznajmił rzeczowym

tonem.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ale on już przekręcał się na bok, szykując do snu.

– Jesteś potwornie brudna. I cuchniesz koniem. Ale i tak wyglądasz pięknie – powtórzył.

Posiadanie koni miało swoje plusy i minusy. Mogliśmy się przemieszczać szybciej niż wcześniej, lecz zarazem bardziej rzucaliśmy się w oczy. Dwójkę ludzi na koniach łatwiej było dostrzec i trudniej ukryć, a dwójka Omeg na koniach ściągała na siebie uwagę każdego, kto ją mijał, nie tylko żołnierzy Rady. Uzgodniliśmy, że zwierzęta zatrzymamy tylko na kilka dni, dopóki nie przebedziemy podmokłej równiny, a potem porzucimy je, gdy tylko natkniemy się na tereny mieszkalne.

Jazda stała się łatwiejsza. Zrozumiałam, że mój koń reaguje lepiej na uciskanie udami niż szarpanie za linę oplecioną wokół szyi. Wsiadanie nadal stanowiło problem dla Kimy, który dysponował tylko jedną ręką, ale samą jazdę szybko polubił. Niezborność w dalszym ciągu charakteryzująca jego ruchy zmniejszała się, gdy siedział na koniu, popisywał się więc, objeżdżając mnie naokoło lub płynnie zmieniając prędkość. Sprawnie posuwaliśmy się do przodu, motywowani przeświadczeniem, że z każdym dniem zbliżamy się do Wyspy. Moje wizje z jej udziałem stały się wyraźniejsze niż kiedykolwiek przedtem, zupełnie jakby nabierały ostrości wraz ze zmniejszającym się dystansem. Kiedy Wyspa pojawiała się w moich snach, widziałam czarne lśniące muszelki przyklepione do skał na skraju wody oraz czułam zapach soli i ptasich odchodów w powietrzu.

Nogi nadal bolały mnie od jazdy, ale polubiłam swego konia i wieczorami często stawałam oparta o jego szyję, z jedną dłonią na barku zwierzęcia, a drugą na miękkim punkcie pomiędzy wielkimi, rozszerzonymi nozdrzami. Mimo moich zaprzeczeń Kima nie przestał wierzyć, że potrafię telepatycznie komunikować się z końmi. Tak naprawdę spodobało mi się w nich coś dokładnie odwrotnego, co z początku mnie onieśmiało: niewzruszona fizyczna obecność tych stworzeń związana z ich rozmiarami, tak bardzo różniąca się od pulsującej świadomości przebywania w towarzystwie innych ludzi, do której przywykłam. Przyciskając twarz do końskiej szyi, mogłam zamknąć oczy i wyobrażać sobie, że tak właśnie czułaby się osoba niebędąca wizjonerem w towarzystwie drugiego człowieka. Zwykła obecność, ciepło ciała. Nocami, gdy leżałam obok Kimy, zastanawiałam się, czy jego brak wspomnień wyjaśniał, dlaczego czuję się przy nim tak swobodnie. Być może jego umysł nie ściągał na siebie mojej uwagi, bo nie był zaśmiecony okruciami przeszłości.

Kima rzadko mówił o tym, co go spotkało, ale z zaskoczeniem

obserwowałam, jak bardzo wydaje się szczęśliwy. Świat był dla niego nowością i – mimo głodu i zmęczenia – przez większość czasu tryskał radością. Próbował mi to wytłumaczyć pewnego wieczoru, gdy leżeliśmy blisko siebie na trawie, a konie stały przywiązane postronkiem do drzewa kawałek dalej.

– Rozbicie przez ciebie zbiornika przypominało Wybuch. Takie to było uczucie. Nie chodzi mi o to, że było to coś złego, tylko że w tamtej chwili wszystko podzieliło się na Przed i Po. Dokładnie w momencie, w którym roztrzaskałaś szkło. Dla mnie tak właśnie wyglądał Wybuch, włącznie z hałasem, który wdarł się do środka. Dźwiękiem rozpadu.

Skrzywiłam się na wspomnienie tego, jak zamachnęłam się kluczem, wywołałam eksplozję dźwięku pośród ciszy panującej w pomieszczeniu ze zbiornikami.

– Utraciłem wszystko, co wydarzyło się wcześniej – mówił dalej Kima. – Wiadomo, smuci mnie to. I żałuję, że niczego nie pamiętam. Ale wszystko, co stało się po rozbiciu zbiornika, jest częścią mojego Po. I nic nie mogę na to poradzić. Tylko tyle mi pozostało. Ciężko to wyjaśnić, lecz w jakimś sensie czuję się podekscytowany. Wszystko jest nowe i zaskakujące.

– Ja tam mam już dość zaskoczeń – odparłam z westchnieniem.

Wiedziałam jednak, co ma na myśli. Zdawałam sobie również sprawę, że jestem za niego odpowiedzialna. To ja rozbiłam zbiornik, to ja doprowadziłam do Wybuchu. Nie byłam pewna, czy wywołałam apokalipsę w jego starym świecie, czy też zwiastowałam nadejście nowego. Może i to, i to. W każdym razie rozumiałam, że zostaliśmy ze sobą związani w chwili, gdy zamachnęłam się kluczem na zbiornik. A może i wcześniej: gdy nasze spojrzenia zetknęły się przez szybę.

Na moczarach napotkaliśmy tylko jedną osadę. Z oddali dostrzegliśmy wynurzające się z bagien wzgórze, zarysy budynków na jego szczycie oraz nędzne uprawy porastające dolne części zbocza. Odizolowane położenie wskazywało na osadę należącą do Omeg, niemniej jednak ominęliśmy ją szerokim łukiem w świetle zachodzącego słońca. W zasięgu wzroku nie było żadnych zagajników, ale niecały kilometr na zachód od osady natknęliśmy się na miejsce, w którym szuwały górowały nad końmi. Wyglądało to na dobrą kryjówkę, zatrzymaliśmy się więc tam na noc.

Mieliśmy zamiar utrzymać dystans i wyruszyć w dalszą drogę przed świtem, ale zwabiła nas muzyka. Kiedy przywiązywaliśmy konie, znad trzęsawisk dobiegł nas dźwięk fletni. A gdy milkł wiatr, dało się również dosłyszeć brzdęk gitary. Muzykę ostatni raz słyszałam w osadzie, gdzie Sara, kowalka, grywała na fletni podczas spotkań wieńczących żniwa albo zimowych ognisk. Przez naszą osadę przejeżdżali też czasami bardowie Omegi, chociaż podczas ostatnich chudych lat niewiele się zatrzymywało, skoro brakowało monet, które można by im wręczyć,

i w najlepszym wypadku mogli liczyć na nocleg i skromny posiłek. Gdy tamtej nocy nasłuchiwalismy z Kimą dźwięków muzyki, docierające do nas tony wydawały się dobiegać nie tyle z mroku, ile z przeszłości. Melodie na poły słuchane, na poły odtwarzane z pamięci.

Księżyc był w nowiu, więc przedzieranie się w kierunku osady pośród trzęsawisk okazało się ciężką pracą i kilka razy jedno z nas – lub oboje – wpadało po kolana w wodę. Głód pomógł nam przezwyciężyć opory dotyczące okradania Omeg, ale gdy zbliżyliśmy się do rozpadających się budynków, otoczył nas odór rozmokłych pól sugerujący, że niewiele tam było do zrabowania. Mnie jednak zależało na muzyce. Podkradaliśmy się przez pokryte rzadkimi uprawami pola do miejsca, gdzie zaczynały się pojawiać budynki. Dźwięki dobiegały ze stodoły położonej na południowej stronie wzgórza. Jej wnętrze było oświetlone zawieszonymi pod sufitem lampami i przez otwarte drzwi widzieliśmy ludzi, których część siedziała na belach siana, a reszta tańczyła w takt muzyki.

Z racji tego, że osada należała do Omeg, wiedzieliśmy przynajmniej, że naszej obecności nie zdradzi ujadanie psów, gdy będziemy się podkradać do stodoły od tyłu. Muzyka rozbrzmiewała głośno, a szorstka drewniana ściana obfitowała w szpary, przez które można było zajrzeć do środka. Płomyki lamp wydawały się migać w rytm melodii. Pośrodku stodoły, na prowizorycznej scenie ułożonej z bel siana, dwóch mężczyzn grało na fletniach, a kobieta na gitarze. Wyglądali na wędrownych bardów, gdyż ich ubrania były jednocześnie bogato zdobione i znoszone. Ich wizyta stanowiła prawdopodobnie wymówkę, by urządzić to skromne przyjęcie. Wokół muzyków tłoczyli się mieszkańcy osady, wychudzeni, lecz uśmiechnięci – niektórzy już pijani – podrygujący rytmicznie.

– Cofnijmy się – szepnęła Kima, ciągnąc mnie za łokieć.

– Nie dojrzą nas, stodoła jest zbyt mocno oświetlona – odparłam, nie odrywając twarzy od szorstkiego drewna.

W środku jakiś mężczyzna trzymał za rękę młodą dziewczyną i okręcał ją wokół siebie, a ona zanosila się głośnym śmiechem, gdy jej stopy odrywały się od ziemi.

– Nie o to mi chodziło – powiedział Kima.

Obróciłam się. Kima cofnął się o krok, zrobił płytki ukłon i wyciągnął rękę.

– Zatańczysz? – spytał.

Absurdalność tej prośby sprawiła, że z trudem stłumiłam wybuch śmiechu. Kima odpowiedział mi uśmiechem.

– Udawajmy przez kilka minut, że nie jesteśmy uciekinierami, tylko dwójką ludzi na potańcówce – poprosił.

Równie dobrze jak ja musiał zdawać sobie sprawę z ryzyka. W każdej chwili ktoś mógł nas nakryć. Baliśmy się przecież pokazać nawet wśród ludzi takich jak my. Mogły tu dotrzeć wieści z Wyndham, nie mówiąc o wiosce, gdzie ukradliśmy

konie. Ścigali nas żołnierze i prawdopodobnie wyznaczono za nas nagrodę, której kościści nieszczęśnicy w stodole nie potrafiliby się oprzeć. Do tego tropiła nas Spowiedniczka, której ostry niczym brzytwa umysł rozorywał nocne niebo.

Ale w ciemnościach przesączonych dźwiękami muzyki oraz zapachem dymu i piwa łatwo przyszło mi wziąć Kimę za rękę. Światło ze stodoły malowało mi pasy na twarzy. Ujęłam jego dłoń, swoją drugą zaś położyłam mu na biodrze i zaczęliśmy się kiwać w rytm muzyki. Przez kilka chwil wydawało mi się, że zaglądam w jakieś inne życie: takie, w którym możemy tańczyć z przyjaciółmi w stodole, zamiast kryć się na zewnątrz w ciemności. Takie, w którym zmartwień dostarczają nam kiepskie plony czy przeciekający dach, a nie komnata pełna zbiorników na ludzi i ścigająca nas armia. Życie, w którym śni mi się przystojny chłopak widziany na targu zamiast Wybuchu.

Zostaliśmy na kilka piosenek. Muzycy zaczęli grać gigę, a my wywijaliśmy hołubce, wymyślając coraz to bardziej ekstrawaganckie kroki. Nie odważyliśmy się śmiać ani rozmawiać, ale coraz głośniejsze krzyki i chichoty tancerzy po drugiej stronie ściany rekompensowały nasze milczenie.

Zaczęło mżyć. Było wystarczająco ciepło, żeby nie musieć się przejmować deszczem – zresztą i tak byliśmy częściowo przemoknięci po przeprawie przez moczary – ale przypomnieliśmy sobie, że znajdujemy się po niewłaściwej stronie ściany. Że próbujemy żyć cudzym życiem. Może to właśnie robiłam przez te wszystkie lata spędzone w wiosce, gdy byliśmy z Zachem dziećmi.

Bez słowa zagłębiliśmy się w noc, odprowadzani dźwiękami muzyki, i raz jeszcze zaczęliśmy się przedzierać przez porośniętą trawą trzęsawisko.

Wraz z upływem dni zaczęliśmy zazdrościć koniom niekończącej się uczty złożonej z trawy. Sami nie byliśmy w stanie wiele znaleźć na moczarach. W mętnych bajorkach w najlepszym wypadku kryły się karłowate krewetki, w większej mierze składające się z pancerzyków niż z mięsa. Przynajmniej wody nie brakowało, a niegościnnie charakter podmokłych terenów sprawiał, że przez wiele dni nie natykaliśmy się na żadną osadę. Był to powód do ulgi, choć jednocześnie wiązało się to z brakiem jedzenia, które moglibyśmy ukraść. Kima rzadziej żartował. Wieczorami, gdy siedzieliśmy, obserwując jedzące konie, przyłapywałam się na tym, że nieświadomie imituję ruchy ich szczęk pustymi ustami.

- Zastanawiasz się czasem, dlaczego konie nie mają bliźniaków? – spytałam.
- Ani inne zwierzęta.
- Czasami mają – odparł Kima.
- Zdarzają im się cięższe mnogie, ale nigdy nie rodzą prawdziwych bliźniąt. Takich połączonych.

Wzruszył ramionami.

– Zwierzęta nie potrafią też mówić ani budować domów – zauważył. – Różnią się od nas. Wybuch i promieniowanie odcisnęły na ludziach swoje piętno. Zwierzętom też zaszkodziły, bez przerwy widzi się zdeformowane osobniki. Tyle że one przystosowały się w inny sposób.

Skinęłam głową. Tak brzmiało powszechnie przyjęte wyjaśnienie, chociaż ciężko było uważać bliźniactwo za metodę adaptacyjną, a nie odwieczny stan rzeczy. Świat pozbawiony bliźniąt wydawał się nienaturalny, niemożliwy. Być może Kimie udało się do niego zbliżyć na tyle, na ile pozwalały czasy, które nastąpiły po Wybuchu. Ale nawet to było złudzeniem. Choć nie pamiętał swojej bliźniaczki, ona gdzieś tam była. Przypominali dwugłowego węża, którego widzieliśmy tydzień wcześniej nad rzeką. Każdej z głów mogło się wydawać, że jest niezależna, lecz śmierć dotknęłaby ich oboje naraz.

Następnego dnia najpierw poczułam, że moczary zaczynają się kończyć, a potem pojawiły się namacalne oznaki: ziemia pod końskimi kopytami stwardniała i przyspieszyliśmy. Na zachodzie ciągnęły się góry. Natomiast pod wieczór przed nami pojawił się dym.

Gdy zdjęliśmy koniom liny z ich szyj, chwilę zajęło im uświadomienie sobie, że są wolne. Zaczęły pogryzać trawę w miejscu, gdzie stały.

Zaśmiałam się.

– Ale mielibyśmy szczęście, gdybyśmy nie mogli się teraz od nich uwolnić, co?

Przed odejściem pozwoliłam sobie raz jeszcze poklepać konia po karku.

– Myślisz, że nic im nie będzie? – spytał Kima.

Kiwnęłam głową.

– Pewnie w końcu ktoś znowu je złapie. A na razie mogą zrobić sobie wakacje.

Cofnęłam się. Zwierzę nadal nie ruszało się z miejsca, więc klepnęłam je mocno w zad. Koń na próbę przesunął się o kilka kroków. Wierzchowiec Kimy poszedł w jego ślady. Jednak parę metrów dalej znowu zaczęły się paść.

– Wyobrażałam sobie, że pogalopują w siną dal – wyznałam.

Kima wzruszył ramionami.

– Są na to zbyt leniwe. Od pierwszej pamiętnej nocy nie widziałem, żeby gdziekolwiek galopowały. – Uniósł oba kawałki postronka. – Potrzebne nam to?

– Nie sądzę – odparłam.

Kima rzucił linę na ziemię, a następnie spojrzał na mnie.

– Będiesz tęsknić za tymi końmi, prawda? – spytał.

– Chyba tak. Przynajmniej za niektórymi ich aspektami.

– Ja też. Lubilem na nich jeździć, lubilem ich towarzystwo. – Ruszył przed siebie. – Jeśli to cię pocieszy, pewnie jeszcze przez długi czas będziemy nimi

cuchnąć.

Siedzieliśmy na dużym głazie na skraju moczarów, obserwując sieć widocznych w oddali dróg prowadzących do jakiegoś miasta. Było duże, prawie tak duże jak Wyndham, i wydawało się spływać ze wzgórza – dystans między domami znajdującymi się na peryferiach był większy niż między ciasno ustawionymi budynkami na szczycie. Nieopodal południowych krańców gęsty las ciągnął się tak daleko, jak tylko byliśmy w stanie sięgnąć wzrokiem.

– Omegi – powiedziałam, mrużąc oczy w promieniach zachodzącego nad miastem słońca.

– Skąd wiesz? – spytał Kima.

– Spójrz tylko. – Wskazałam na postawione byle jak budynki otoczone podmokłą ziemią. Część domów na obrzeżach z trudem można było uznać za szopy.

– Na pewno są tam jakieś Alfy.

– Może kilka patroli. Jacyś kupcy czy podróżnicy. Szemrane typki.

– Myślisz, że będą nas tam szukać? – spytał.

Przygryzłam górną wargę.

– Nie wiem. Przebyliśmy długą drogę. Prawdopodobnie dłuższą, niż spodziewał się Zach.

– Szczerze mówiąc, sam się nie przypuszczałem, że dotrzemy aż tak daleko – wyznał Kima.

– Na pewno jednak rozesłał wieści. Tyle że nie mamy zbyt dużego wyboru. – Spuściłam wzrok na swoje wychudłe ramiona. Na dłonie, których kostki sterczały niczym pletwy. – Nie możemy wędrować w takim stanie. Nawet jeśli nas szukają, w mieście będziemy mieli najlepsze szanse na znalezienie jedzenia – stwierdziłam.

Przypomniało mi się, jak ukryłam swoją lalkę, Scarlett, pośród innych lalek, gdy Zach próbował mi ją odebrać.

– W mieście będziemy najbezpieczniejsi. Wtopimy się w wielotysięczny tłum.

Kima obrócił się do mnie.

– A oni będą szukać wizjonerki i jednorękiego chłopaka – dodał.

Rozdział trzynasty

Zgodnie z sugestią Kimy użyliśmy mojego swetra, by przywiązać mi lewą rękę do ciała. Po tygodniach głodowania rozciągnięty przez chłopaka sweter sprawiał, że złożone na brzuchu ramię było ledwo widoczne. Wygląd Kimy trudniej było zmienić. Próbowaliśmy wypchać jego pusty lewy rękaw trawą w nadziei, że mógłby on imitować kończynę, ale wyglądał niedorzecznie niczym ramię stracha na wróble.

– Nieważne – powiedział w końcu Kima. – W mieście będą setki jednorękich ludzi. To ty stanowisz problem.

– Dzięki – odparłam z przekąsem, choć wiedziałam, co ma na myśli.

Wizjonerzy nie pojawiali się często – Spowiedniczka i szaleniec z Haven byli jedynymi, których miałam okazję spotkać osobiście, mimo że słyszałam też o innych. W tym miejscu moje ciało będzie sprawiać wrażenie równie nietypowego co ciało Kimy w mieście Alf.

Żadne z nas nie wspomniało o oczywistym środku ostrożności, jaki powinniśmy byli podjąć, czyli o rozdzieleniu się. Myśl o samotnym poruszaniu się po mieście ze skrępowaną ręką, utrudniającą utrzymanie równowagi, była ponad moje siły. Gdy szliśmy w kierunku głównej drogi, kilka razy się potykałam, ale Kima pomagał mi nie upaść.

– Powinnaś także nie używać prawdziwego imienia – powiedział.

– Dobry pomysł. – Zastanawiałam się przez chwilę. – Zostanę Alice. A ty?

Uniósł brew.

– No tak. Oczywiście. – Zaśmiałam się.

Przez te kilka tygodni tak bardzo przyzwyczaiałam się do myślenia o nim jak o Kimie, że wypadło mi z pamięci, iż to ja go tak nazwałam.

Miasto zaczęło się do nas zbliżać. Na drodze znajdowali się też inni ludzie; większość z nich chciała zdążyć przed zapadnięciem zmroku. Jakiś mężczyzna ciągnął wózek pełen dyń. Jakaś kobieta niosła belę sukna przerzuconą przez ramię. Nikt jednak nie zwracał na nas uwagi – byliśmy częścią odpływu wracającego na noc do miasta.

Dotarliśmy do serca metropolii, gdzie budynki tłoczyły się na wąskich ulicach. Bałam się, że brud, którym obrosliśmy w ciągu ostatnich tygodni, będzie rzucał się w oczy, ale wielu mijających nas ludzi było prawie tak samo utyłanych jak my.

Pociągnęłam Kimę za sweter.

– Tędy – powiedziałam, wskazując na boczną uliczkę.

– Znowu odprawiasz te swoje geograficzne czary-mary? – spytał.

Zaśmiałam się.

– Nie, czuję zapach jedzenia.

Na placu, do którego prowadziła uliczka, istotnie znajdował się targ. O tej godzinie jednak pozostały tam już wyłącznie zapachy – wspomnienie po ciastkach i przejrzałych warzywach – oraz liście kapusty wdeptane w błoto. Ostatni straganiarze pakowali towary na wózki i odjeżdżali.

– No cóż, wygląda na to, że się spóźniliśmy – stwierdziłam. – Nie żebyśmy mieli na cokolwiek pieniądze.

– Trzeba było zjeść któregoś z koni – zauważył Kima półzartem.

– Poszukajmy pracy.

– Albo okazji do kradzieży – dodał, przyglądając się straganiarzowi odjeżdżającemu ze skrzynką pełną placków.

– No nie wiem. Tym razem nie uda nam się salwować ucieczką na koniach. A okradanie własnych ludzi nie stanowi zbyt kuszącej perspektywy.

– Gdzie podział się „tylko jeden świat”? – spytał drwiąco Kima. – Żartuję, wiem, co masz na myśli. Też wolałbym pracować. Tylko nie wiem, do czego moglibyśmy się nadać.

Przez plac szło w naszym kierunku dwóch mężczyzn. Jeden z nich, grubas wspierający się na lasce, przystanął przy nas i przysunął głowę tak blisko, że poczułam słodkawy zapach jego rozgrzanego oddechu.

– Dostaniesz monetę z brązu, chłopcze, jeśli pozwolisz mi przez godzinę zaopiekować się twoją uroczą koleżaneczką – zwrócił się do Kimy.

Zanim ten zdążył odpowiedzieć, zdzieliłam mężczyznę w twarz. Szczecina na jego podbródku była tak szorstka, że podrapałam sobie dłoń. Zaczęłam biec, oglądając się na Kimę, który kopniakiem wytrącił grubasowi łaskę z ręki i ruszył za mną. Jednak mężczyzna nawet nie próbował nas ścigać. Usłyszeliśmy jeszcze, jak głośno przeklina, a jego kolega przeciągle gwizdże i wybucha gromkim śmiechem. Bieganie z ramieniem przytroczonym do piersi niezbyt dobrze mi wychodziło, więc gdy tylko opuściliśmy plac targowy, Kima wciągnął mnie w jakąś bramę.

– Myślałem, że mamy się nie rzucać w oczy – syknął.

– Chciałeś, żebym z nim poszła czy co?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale mogliśmy po prostu stamtąd odejść. Nie musiałaś wszczynać bójk i zwracać na nas uwagi.

Kopnęłam w ziemię u swoich stóp.

– Był odrażający – powiedziałam.

– Pewnie, że tak. Ale to nie ostatnia podła osoba, na którą się natkniemy, a musimy przecież trzymać się z dala od kłopotów.

Nic nie odpowiedziałam.

– Przynajmniej następnym razem poczekaj, aż da mi pieniądze, a potem możemy uciekać – dodał Kima.

Musiałam przekręcić całe ciało, żeby pacnąć go w ramię wolną dłonią.

Podążyliśmy dalej ciągnącym się w górę zaułkiem. Zza okiennic wyzierało

światło kominków i lamp. W punkcie, w którym uliczka łączyła się z większą ulicą, ponownie otoczyli nas ludzie, ale po incydencie na targu obecność tłumu nie działała na mnie krzepiąco. Zdałam sobie sprawę, że tamten grubas był pierwszą osobą, która nawiązała z nami rozmowę od chwili ucieczki, jeśli nie liczyć krzyków wieśniaków, którym ukradliśmy konie. Wcześniej nie zastanawiałam się zbyt wiele nad tym, w jaki sposób moglibyśmy odzyskać swoje miejsca w społeczeństwie. Snuliśmy się po zatłoczonych ulicach miasta głodni i prześladowani. Zapachy jedzenia dochodzące z domów nie ułatwiały sprawy. Przynajmniej nigdzie nie dostrzegliśmy żołnierzy Rady, chociaż do niektórych ścian przybite były ich plakaty: „Żołnierze Rady: Obrońcy Twojej społeczności. Przytulki: Wyraz troski Rady o Ciebie. Unikanie dziesięciny: Karane więzieniem. Zgłaszaj nielegalne szkoły dla Omeg (Gwarantowana nagroda)”. Ostatni komunikat wywołał uśmiech na naszych twarzach – najwyraźniej Rada nie widziała niczego niekonsekwentnego w korzystaniu z ostrzeżeń pisemnych w mieście, którego mieszkańcy byli według niej analfabetami. Zauważyliśmy też, że część plakatów była wulgarnie zbezczeszczona, a po innych zostały tylko smętne strzępki papieru zwisające z gwoździ.

W dolnej części ulicy dominował okazały budynek z otwartymi na oścież okiennicami i dymem buchającym z komina. Na uchwycie zamocowanym nad drzwiami huśtała się lampa, a pod nią, na obróconym dnem do góry wiadrze, siedziała jakaś kobieta i paliła fajkę. Spojrzałam na Kime, który kiwnął głową i ruszył za mną w jej kierunku.

– Bardzo przepraszam – odezwałam się do kobiety, która odpowiedziała mi pyknięciem fajki. – Prowadzi pani tę gospodę? Może znalazłaby się dla nas praca w zamian za jedzenie i kwaterunek? Chociaż na jedną noc?

Kobieta ponownie wyraziła zgodę, wypuszczając z fajki potężny obłok dymu, a ja z całych sił starałam się nie zakasłać. Kobieta wstała, wyjęła fajkę z ust i usunęła się z drogi na niezgrabnych krzywych nogach, robiąc dla nas miejsce w drzwiach.

– To nie gospoda – odparła – ale faktycznie prowadzę ten przybytek i myślę, że moglibyście mi się przydać.

Podziękowaliśmy jej i weszliśmy do środka. Mimo krzywych nóg poruszała się sprawnie. Hol o nisko zawieszonym suficie oświetlony był blaskiem świec, ale kobieta popchnęła nogą drzwi do jednego z bocznych pomieszczeń i wprowadziła nas tam.

– No dalej. Zdejmować fatalaszki, jeden z drugą – oznajmiła.

Tym razem to Kima wyraził sprzeciw.

– Nie chodziło nam o taki rodzaj pracy – powiedział. – Przykro mi, ale źle się zrozumieliśmy.

Kobieta parsknęła śmiechem, gdy próbował ją wyminąć, ciągnąc mnie za

rękę.

– Nie wygłupiaj się, to nie jest żaden burdel. Ale jeśli wydaje wam się, że wpuszczę was do swojej kuchni w takim stanie, to rzeczywiście się nie dogadaliśmy. Poczekajcie tu, kucharka przyniesie wam trochę wody.

Kima spojrzał na mnie, gdy za gospodynią zamknęły się drzwi.

– Nie są zamknięte na klucz. Może powinniśmy się stąd wynosić? – spytał.

Pokręciłam głową.

– Ona wydaje się w porządku. To miejsce też – odparłam.

– Ale nie wiesz, co to właściwie jest?

Pokręciłam głową.

– Dopóki będą nas karmić, jest mi prawie wszystko jedno.

Usłyszeliśmy polecenie wykrzykiwane za drzwiami, a kilka minut później do pokoju weszła młoda kobieta w czerwonej chustce na głowie. Niosła wiadro z wodą, którą wlała do okrągłej drewnianej balii stojącej przy kominku. Zrobiła jeszcze trzy takie kursy, a gdy pojawiła się po raz ostatni, rzuciła Kimie kostkę mydła.

– Szefowa mówiła, że wam się przyda, i z tego, co widzę, miała rację – stwierdziła.

Wizja porządnej kąpieli była dla nas zbyt kusząca, by czekać, aż zagrzeje się woda. Kima podał mi mydło, po czym ostentacyjnie usiadł odwrócony plecami do balii, a ja rozebrałam się i weszłam do ledwo ciepłej wody. Było jej na tyle dużo, że gdy przycisnęłam kolana do piersi i położyłam się na plecach, byłam w stanie zanurzyć całą głowę. Po wynurzeniu przez kilka chwil leżałam w bezruchu, ale moje wystające kości boleśnie wciskały się w dno balii, więc zaczęłam się myć. Mydło niezbyt dobrze pieniało się w letniej wodzie, ale szorowałam skórę, dopóki nie zniknęły z niej wszystkie warstwy brudu, nadając jej obcy, dziwnie różowy wygląd. Myłam także włosy, do momentu gdy zaczęły pisać mi w dłoniach z czystości.

Drzwi otworzyły się ponownie, a ja wyrznęłam głową w brzeg balii, chcąc się w niej na gwałt ukryć, jednak tym razem dziewczyna nie weszła do środka, tylko cisnęła nam dwa ręczniki i kilka ubrań, a następnie trzasnęła za sobą drzwiami.

– Podasz mi ręcznik? – poprosiłam.

Parsknęłam stłumionym śmiechem, gdy Kima kurtuazyjnie podszedł do mnie bokiem, obrócony do mnie plecami rzucił mi ręcznik, a potem cofnął się w ten sam sposób.

– Dajże spokój. To nie przed tobą mam ukrywać swoje ciało – powiedziałam, wychodząc z balii i owijając się ręcznikiem. – Wiesz, że mam obie ręce. A cała reszta nie powinna stanowić dla ciebie zbyt wielkiego zaskoczenia.

– Wybacz – odparł, lecz nadal odwracał wzrok, podczas gdy ja zaczęłam

przeglądać czyste ubrania pozostawione nam przez dziewczynę.

Po nałożeniu koszuli i spodni musiałam poprosić go o pomoc przy unieruchamianiu ramienia, co udało nam się osiągnąć przy użyciu mojej starej koszuli i grubego swetra.

Kima wziął do ręki drugi ręcznik, a następnie podszedł do balii i spojrzał do jej wnętrza.

– Przepraszam, że zostawiłam ją w tak paskudnym stanie – powiedziałam zawstydzona. – Ale przynajmniej do tej pory woda trochę się zagrzała.

Mimo że wcześniej kpiłam z Kimy, poszłam w jego ślady i gdy rozbierał się i kąpał, siedziałam obrócona do niego plecami. Jednak nawet dźwięki miały niezwykle intymne brzmienie. Słyszałam każde pluśnięcie, każde echo uderzenia łokcia czy łopatki o balię. Potem dobiegło mnie szuranie ręcznika o skórę oraz ubrań wciąganych na ciało.

Kiedy wkładaliśmy buty, do pokoju weszła bez pukania kobieta z fajką. Przyjrzała się nam uważnie.

– Tak lepiej – oznajmiła. – A teraz chodźcie do kuchni. Brudne ubrania zostawcie tutaj. Upierzemy je wam. Lepiej pozbądźmy się końskiej sierści, zanim ktoś zacznie zadawać pytania.

Wymieniliśmy z Kimą zaskoczone spojrzenia, wychodząc za kobietą z pokoju, a potem podążyliśmy za nią długim korytarzem do pomieszczenia wypełnionego dźwiękami gotowanego jedzenia. Nad dużym paleniskiem wisiały dwa dymiące kotły. Nad innym, skrytym pod żeliwną kratą, stało kilka perkoczących garnków, a dziewczyna w czerwonej chustce siekała marchewki, wybijając nożem pospieszny rytm na desce do krojenia.

Kobieta bez skrępowania zmierzyła nas wzrokiem.

– We dwójkę może uda się wam przepracować porządnie cały dzień – stwierdziła. – Ale najpierw i tak musicie coś zjeść. O ile pamiętacie jeszcze, jak to się robi.

Wydawała się postrzegać naszą chudość jak zniewagę. Mówiąc do nas, złapała za ścierkę, uniosła pokrywkę jednego z większych garnków i nałożyła gulaszu do dwóch misek, a na końcu w każdą z nich wbiła łyżkę.

– A gdy już skończycie – powiedziała, wciskając nam miski w dłonie – możecie umyć ziemniaki. Chociaż żaden z nich nie jest tak brudny jak wy, gdy się tu pojawiliście.

To rzekłszy, wyszła. Usiedliśmy na niskiej ławie pod ścianą i zaczęliśmy jeść tak szybko, jak tylko się dało, zważywszy na temperaturę parującej potrawy. Chociaż mój żołądek odpowiedział bólem na niespodziewaną lawinę jedzenia, nie powstrzymało mnie to od pochłonięcia gulaszu i wyskrobania miski do czysta. Kima, siedzący obok mnie z miską wciśniętą między uda, poszedł w moje ślady.

Młoda kobieta wzięła od nas naczynia. Pod czerwoną chustką widniało

pojedyncze oko, ulokowane dokładnie pośrodku jej czoła. Miała śniadą cerę i była pulchniejsza od starszej kobiety. Powiedziała, że ma na imię Nina. Kima także się jej przedstawił, a ja podałam się za Alice. Wcale nie przyszło mi to tak nienaturalnie, jak się obawiałam. Przez pierwsze dwa miesiące w osadzie przywykłam do bycia określaną jako „bratanica Alice”, a nawet pod koniec mojego pobytu tam wszyscy w dalszym ciągu mówili na mój dom „chata Alice”.

Nina pokazała nam miejsce, w którym pod ścianą leżały dwa worki ziemniaków, każdy o połowę mniejszy ode mnie. Gdy uklęknęłam nad wiadrzem z wodą, okazało się, że lewe ramię przyciśnięte do brzucha sprawia, że jestem frustrująco niezdarna. Jedną ręką nie byłam w stanie myć ziemniaków, więc w końcu zaczęliśmy robić to razem z Kimą: ja trzymałam ziemniaki, obracając je w dłoni, a on szorował je niewielką szczotką i płukał w wiadrze. Pracowaliśmy w miarowym tempie, sterta czystych białych kartofli cały czas rosła. Usypiało mnie jedzenie w żołądku i ciepło bijące od ognia, ale prostota powierzonych nam zajęć sprawiała mi przyjemność, podobnie jak świadomość tandemu, jaki tworzyłam z Kimą, zupełnie jakbyśmy stanowili dwie połówki tego samego ciała.

Nina w milczeniu zajęła się pracą, więc nie usłyszeliśmy od niej pytań, których się obawialiśmy. Odgłosy kuchni sprawiały, że cisza między nami nie wydawała się niezręczna.

W końcu Kima spytał, co to właściwie za miejsce.

Nina uniosła brew.

– Jak to? Nie wiecie? – zdziwiła się.

Pokręciliśmy głowami.

– Nie sądziliście chyba, że to całe jedzenie jest dla mnie i dla szefowej? – zaśmiała się Nina.

Kima ponownie pokręcił głową.

– Ale nikogo więcej tu nie ma. To chyba nie jest gospoda – stwierdził.

– Nie taka, za jaką się płaci. – Dziewczyna wytarła ręce w fartuch. – Lepiej chodźcie spojrzeć.

Wyszliśmy za nią z kuchni na podwórko za domem. Gdy przez nie przechodziliśmy, z góry dobiegły nas odgłosy pogrążonego w nocy miasta. Dotarwszy do znajdującej się na końcu ściany, Nina obróciła się do nas i przyłożyła palec do warg, po czym otworzyła drzwi. Pomieszczenie było przynajmniej trzy razy większe od kuchni i ciągnęło się na całej długości podwórka. Większość świec ustawionych w kinkietach zgasła, ale dwie dawały jeszcze nikłe światło. Pod jedną ze ścian stały schludnie ustawione łóżeczka i kołyski. Ruszyliśmy z Kimą wzdłuż ich rzędu. Spały w nich dzieci, z których najstarsze miało jakieś dwanaście lat, najmłodsze zaś nie wyrosły jeszcze z wieku niemowlęcego, a każdemu z nich sen nadawał całkowicie bezbronny wygląd. Niektóre spały na plecach z otwartymi ustami niczym małe ptaszki. W łóżeczku stojącym najbliżej mnie leżała

dziewczynka, która skopała z siebie kołdrę i leżała teraz zwinięta w kłębek na boku, z kciukiem w buzi. Na każdej twarzyczce dostrzegałam piętno.

Rozdział czternasty

Drzwi na końcu dormitorium otworzyły się i weszła przez nie starsza z kobiet ze śpiącym dzieckiem na rękach. Ułożyła maleństwo w stojącej przy drzwiach kołysce i starannie otuliła je kocem. Następnie ruszyła wraz z Niną ku drugim drzwiom, ruchem głowy nakazując nam iść za sobą. Na podwórku szeptem przekazała dziewczynie jakieś polecenia, a ta wróciła do dormitorium; kobieta o pałakowatych nogach powiodła nas tymczasem do kuchni.

– Czyli to sierociniec? – spytał Kima, gdy kobieta zajęła się mieszaniem w stojących na ogniu kotłach. Jednak to ja udzieliłam mu odpowiedzi.

– One nie są sierotami – oznajmiłam.

Kobieta pokiwała głową.

– Zgadza się. To Omegi, dla których rodzice nie mogli znaleźć lepszego miejsca. Prowadzimy tu dom zastępczy.

– A w jaki sposób się tu pojawiają? – spytał Kima.

– Kiedyś małe Omegi zabierano do osad. Po prostu przekazywano je do miejsc położonych najbliżej wioski. Alfy nierzadko utrzymywały kontakt ze swoimi bliźniakami, a gdy nadszedł czas, posyłali do nich swoje dzieci. Małe Omegi wychowywały się więc pod okiem wujów lub ciotek. Obecnie jednak coraz więcej Alf unika osad jak ognia i nie chce się przyznawać do swoich bliźniaków, nie mówiąc już o utrzymywaniu z nimi kontaktów. Do tego osady spychane są na coraz gorsze ziemie. To oraz wzrost dziesięciny sprawia, że Omegi z trudem są w stanie same się wyżywić, nie mogą więc przyjąć pod swój dach dziecka. A żadna rodzina Alf nie zgodzi się czekać do momentu, aż ich dziecko będzie potrafiło samo się o siebie zatroszczyć, tak jak to się kiedyś zdarzało. – Kobieta omiotła wzrokiem półki zastawione stosami misek. – Tak więc przywożą je tutaj – dodała.

– Alfy tak po prostu je podrzucają? – spytał z niedowierzaniem Kima.

– Sytuacja nie jest tak zła, jak może się wydawać, chłopcze – odparła kobieta. – Nie mogą ryzykować, że dzieciom przytrafi się coś złego, więc zazwyczaj zostawiają im wystarczająco dużo pieniędzy, żebyśmy mogli się nimi zająć. Chodzi o to, że sieć kontaktów, na których ludzie mogli kiedyś polegać w kwestii opieki nad małymi Omegami, sieć, którą tworzyli krewni, sąsiedzi, a nawet znajomi, ulega rozluźnieniu. Punktem zwrotnym okazały się lata suszy. Zawsze powtarzałam, że co jak co, ale głód potrafi obrócić ludzi przeciwko sobie. A wszystko to, o czym opowiada obecnie Rada, całe to skażenie i segregacja, sprawia, że Alfy nie potrafią się zmusić do rozmowy z Omegami, więc gdy nadchodzi czas, by odesłać małe Omegi, stanowimy jedyne wyjście.

– A więc małe Omegi zostają tu już na zawsze? – spytałam.

– Nie. Tylko nieliczne, które spotkacie jutro. Dzieci, których nikt inny nie chce. Ale dla większości, prawie dla wszystkich, znajdujemy miejsce w rodzinach

Omeg. Zajmujemy się tym, czym swego czasu zajmowały się same Alfy. Gadanina o skażeniu trwa od dawna, tyle że nowi członkowie Rady postanowili poprzeć słowa czynami. – Spojrzała na nas badawczym wzrokiem. – Skoro to wszystko stanowi dla was nowość, musicie pochodzić ze wsi położonej gdzieś na wschodzie.

Nie chciałam zdradzać niczego na temat naszego pochodzenia, więc zamiast tego powiedziałam:

– Mam na imię Alice, a to jest Kima. – A gdy kobieta nic nie odpowiedziała, dodałam: – A pani? Nie przedstawiła się nam pani.

– Mam nadzieję, że macie choć tyle rozumu w głowach, żeby nie podawać mi prawdziwych imion. Jestem Elsa. Dobrze, zaprowadzę was do łóżek. Wczesnym rankiem będzie mi potrzebna wasza pomoc w kuchni.

Kobieta zapaliła ogarek i podała mi świecznik, po czym powiodła nas na podwórko, a potem do niewielkiego pokoiku na samym jego końcu, w którym pod ścianą stały cztery puste łóżka.

– Są małe, bo zrobiono je dla dzieci, ale zgaduję, że ostatnio sypialiście w gorszych warunkach – powiedziała.

Kima jej podziękował, a ja postawiłam świecznik na podłodze. Zamykając drzwi, Elsa rzuciła jeszcze półgłosem:

– Zaletą tego pokoju jest to, że z okna łatwo można zeskoczyć na dach wychodka, a stamtąd bez trudu czmychnąć bocznymi uliczkami. W przypadku pożaru albo wizyty ze strony naszych przyjaciół, Alf.

Drzwi zamknęły się, zanim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć.

Gdy poprosiłam Kimę, żeby pomógł mi uwolnić ramię, spytał:

– A co, jeśli ona przyjdzie tu w nocy?

– Nie przyjdzie – odparłam. – A nawet jeśli, to sądzę, że niewiele jest rzeczy, które mogłyby ją zaskoczyć. W każdym razie nie będę w stanie zasnąć związana, wystarczy, że muszę się męczyć za dnia.

Rękawy koszuli, którą owinięte było moje ciało, zacisnęły się w ciasne supły i rozplątanie ich zajęło nam dobrą minutę. Przeciągnęłam się, rozkoszując się swobodą ruchów, po czym dostrzegłam, że Kima patrzy na mnie z uwagą.

– O co chodzi? – spytałam, kładąc się na łóżku stojącym najbliżej drzwi i przykrywając się kocem.

– O nic. – Kima położył się na sąsiednim łóżku. – A właściwie o twoje ramię. Gdy dziś pracowaliśmy w kuchni, czułem się, jakbyśmy byli tacy sami. I wiesz, że nie życzyłbym ci podobnego losu. Ale widząc, jak uwalniasz rękę, przypomniałem sobie, że sam nie jestem w stanie tego zrobić.

W blasku świecy dostrzegłam, że Kima wpatruje się w sufit. Elsa nie myliła się co do rozmiaru łóżek – musiałam leżeć na ukos, a nawet wtedy moje stopy wciskały się w znajdujące się na końcu pręty. Stopy Kimy wystawały spomiędzy prętów jego łóżeczka. Niemniej jednak miękki materac oraz czysta pościel

stanowiły prawie już zapomniany luksus. Pośliniłam opuszki kciuka i palca wskazującego, a następnie wyciągnęłam rękę i zgasłam świecę stojącą między naszymi łózkami.

Domowe warunki nagle sprawiły, że fizyczna bliskość naszych ciał, która umykała nam w ciągu ostatnich tygodni, nagle stała się niezaprzeczalna. Przez ostatnie dwa tygodnie każdą noc spędzaliśmy przytuleni: w zaroślach, płytkich jaskiniach lub pod powalonymi drzewami. Tymczasem tu, w schludnym obcym pokoiku, ułożyliśmy się statecznie na osobnych łózkach.

– Mogę się z tobą położyć? – odezwałam się w końcu.

– Jakby moje łóżko nie było wystarczająco małe – odparł z westchnieniem, ale usłyszałam, że unosi koc. – No dobrze, chodź.

Położyłam się obok niego. Leżał na plecach, a ja na boku w miejscu, gdzie powinno się znajdować jego lewe ramię. Objęłam go ręką; nasze dłonie złączyły się i spoczęły na jego brzuchu. Oboje pachnieliśmy mydłem. Gdzieś na dworze ospale gruchał gołąb, a ja czułam na czole ciepło miarowego oddechu Kimy pogrążającego się we śnie.

Zbudziły nas gołębie na dachu. Szybko podwiązaliśmy mi rękę i poszliśmy przez podwórko do kuchni. Nina powitała nas rozkojarzonym skinieniem głowy, po czym wyznaczyła mi zadanie polegające na mieszaniu w garze pełnym owsianki, a Kimę skierowała do sterty miedzianych naczyń, które należało umyć.

Pojawieniu się dzieci na podwórku towarzyszyła istna eksplozja dźwięku. Dobiegł nas głos Elsy uciszającej je i wydającej komendy, a potem tupot stóp za drzwiami kuchni. Musiałyśmy we dwie z Niną zataszczyć wielki garnek z owsianką korytarzem prowadzącym do jadalni, w której na ławach ulokowanych przy dwóch długich stołach, zastawionych cynowymi miskami i łyżkami, tłoczyło się jakieś trzydzieścioro dzieci. Były dobrze odżywione i czyste, ale w świetle dziennym sprawiały wrażenie jeszcze młodszych. Nóżki większości z nich majtały się nad podłogą, a część starszych dzieci przytrzymała te młodsze. Kilkoro z nich wyglądało na nie do końca obudzone. Jedna z dziewczynek sennie ssła łyżkę, czekając na posiłek.

Elsa poszła z Kimą karmić niemowlęta czekające w dormitorium, więc to Ninie i mnie przypadło zadanie serwowania owsianki. Dzieci nie sprawiały wrażenia zaskoczonych moją obecnością – domyślałam się, że przywykły do widoku obcych przewijających się przez budynek. Ustawily się przede mną w kolejkę i gdy nakładałam chochlą gęstą owsiankę do uniesionych misek, Nina szła od dziecka do dziecka ze szczotką do włosów. Dostrzegłam, że każde z nich całowała w czoło lub klepała po ramieniu, a potem kilkakrotnie pociągała szczotką po jego włosach. Dzieci były dobrze wychowane: dziękowały mi zaspanymi

głosikami. Dwoje z nich wyglądało na niemowy, ale i tak otrzymanie posiłku skwitowały skinieniem głowy. Pozbawiona nóg dziewczynka siedziała na niewielkim wózku wyposażonym w kółka, popychanym przed jednego ze starszych chłopców, inna zaś niosła dwie miski, jedną dla siebie, a drugą dla chłopca bez rąk. Wysoka, pozbawiona oczu dziewczyna przemieszczała się z dużą pewnością siebie, dotykając ścian. Zastanawiałam się, których dzieci nikt nie chciał do siebie przyjąć.

Gar zrobił się znacznie lżejszy, toteż byłam w stanie sama odnieść go do kuchni. Zgodnie z poleceniem Niny napelniłam własną miskę i zaczęłam jeść obok pieca. Męczyła mnie ta nowa regularność spożywania posiłków. Zanim do kuchni wrócił Kima, zasnęłam na ławie, oparta głową i barkami o kamienną ścianę. Drgnęłam, gdy usiadł obok mnie; czułam ciepło jego ciała i słyszałam skrobanie łyżki o miskę, ale tak do końca zbudziłam się dopiero na dźwięk brzęku misek towarzyszącego pojawieniu się w kuchni Niny.

Przez cały ranek pracowaliśmy w kuchni, ale było tam ciepło i przyjemnie gawędziło nam się z Niną. Nie zadawała żadnych pytań; prawdopodobnie nasłuchiwała się wystarczająco wielu historii od pojawiających się i odchodzących dzieci. My z kolei byliśmy żądni wieści z różnych części świata. Te przekazywane przez Ninę związane były nieodłącznie z nowymi wychowankami i przyprowadzającymi ich rodzinami. Niemowlęta podrzucano jeszcze przed odstawieniem ich od piersi. Pewnej nocy ktoś zostawił pod drzwiami brzdąca, którego omal nie udusił worek pełen srebrnych monet przywiązany mu do szyi. Z każdym rokiem dzieci było coraz więcej.

– Kiedyś Elsa miała tu naraz z dziesięcioro, może piętnascioro dzieci – oznajmiła Nina. – Ale pracuję tu od trzech lat i ich liczba rzadko spada poniżej trzydziestki. A nie jesteśmy jedynym domem zastępczym w Nowym Hobarcie. Jest jeszcze jeden, na zachodnich obrzeżach miasta, chociaż nie tak duży jak nasz.

Opowieści, którymi się z nami dzieliła, od czasu do czasu dotyczyły też reszty świata. Stwierdziła na przykład, że rodziny Omeg nie mogą sobie obecnie pozwolić na przyjmowanie dzieci z powodu nieustannie rosnącej dziesięciny oraz ograniczeń dotyczących ziem uprawnych, handlu i podróży, które utrudniają Omegom utrzymanie się. Dekrety wydawane przez Radę coraz dotkliwiej ingerowały w życie osobiste Omeg. Niektóre postaci pamiętałam jeszcze sprzed niewoli, na przykład Sędziego, który najwyraźniej nadal kierował Radą, chociaż swe rządy rozpoczął, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Już wcześniej słyszałam również o Pani Generał, a Nina potwierdziła, że wciąż jest ona najzagorzalszą prześladowczynią Omeg spośród wszystkich członków Rady. To od niej wyszły bowiem pomysły ustaw nakazujących spychanie Omeg na coraz mniej płodne ziemie oraz delegalizację osad położonych nad rzekami oraz na wybrzeżu.

– Kiedyś wydawało nam się, że nikt nie mógłby okazać się gorszy od Pani Generał, ale w ciągu kilku ostatnich lat pojawiła się w Radzie świeża krew.

A młodzi są zawsze najgorsi – mówiła dalej Nina, zaciekle szorując garnek. – Ci nowi, Prowodyr i Reformator, dorównują podłością swoim poprzednikom.

Nina najwidoczniej nie zwróciła uwagi na to, że na dźwięk przydomka Zacha wypuściłam trzymane w rękach naczynie. Dlaczego nie przestał go używać, kiedy wtrącił mnie do Przechowalni? Chociaż w zasadzie nigdy nie słyszałam, by którykolwiek z radnych posługiwał się swoim prawdziwym imieniem. Chodziło nie tylko o ukrycie tożsamości, lecz także o osiągnięcie pewnej teatralności, a także sianie strachu.

– Ich dwóch razem z Panią Generał wyrządziło więcej zła, niż kiedykolwiek udało się to Sędziemu. I mam tu na myśli nie tylko wzrost liczby publicznych chłost. Przymus rejestracji obejmujący wszystkie Omegi, w ramach którego należy podawać imię, miejsce urodzenia i imię bliźniaka, jak również zawiadamiać Radę o podróży czy przeprowadzce. Za każdym razem, gdy uda nam się znaleźć dom dla kogoś dziecka, musimy załatwić to wszystko w biurze Rady. Chodzą też słuchy o planach wprowadzenia w niektórych regionach godziny policyjnej dla Omeg. A niektóre osady całkiem odcięto od świata: żołnierze Rady nikogo nie wpuszczają ani nie wypuszczają, po prostu przejmują kontrolę. – Nina zamilkła, zerknęła na drzwi, po czym zaczęła mówić dalej, ściszej głos: – Krążą też inne historie. O zaginionych ludziach, porywanych w środku nocy.

Nie ufałam swojemu głosowi, więc tylko pokiwałam głową, ale Kima podchwycił temat.

– Co się z nimi dzieje? – spytał.

Nina pokręciła głową.

– Nikt nie wie – odparła. – W każdym razie to tylko plotka. Pod żadnym pozorem nie wolno wam jej powtarzać. Tylko napędzicie dzieciakom stracha.

Jednak to ona sama sprawiała wrażenie wystraszonej i szybko zmieniła temat.

Obiad zjedliśmy razem z dziećmi, a zaraz potem Elsa zawołała nas do dormitorium, gdzie kończyła karmić butelką najmłodszych wychowanków. Ułożyła sobie zawodzące niemowlę na ramieniu i jedną ręką poklepywała je po plecach, mierząc nas wzrokiem.

– Zgaduję, że chcielibyście spędzić resztę popołudnia, odpoczywając w swoim pokoju – powiedziała.

Zaprotestowałam, mówiąc, że chętnie będziemy kontynuować pracę albo bawić się z dziećmi, ale Elsa weszła mi w słowo:

– Popołudniami otwieramy się dla odwiedzających, rodziny przyjeżdżają się dowiedzieć, czy przyjmujemy ich dzieci, Alfy pojawiają się tu, żeby je tu zostawić. Przyszło mi zatem do głowy, że wolelibyście odpocząć w swoim pokoju. I zamknąć okiennice od strony podwórza.

Odchrząknęłam.

– Dziękujemy. Nie chcemy sprawiać kłopotu naszą obecnością...

Elsa parsknęła głośnym śmiechem i odłożyła dziecko.

– Jestem wdową o nogach jak pałaki, z trzydziściorciem dzieci pod opieką, a każdego dnia pojawiają się kolejne. Myślicie, że nie nawykłam jeszcze do kłopotów? Zmykajcie już. Zawołam was, gdy zamkniemy drzwi za ostatnimi gośćmi. – Wyciągnęła z kieszeni sporych rozmiarów nożyce. – Weźcie je ze sobą i zróbcie porządek z włosami – dodała. – Nie mogę pozwolić, żebyście kręcili się po domu z takimi strzechami na głowach. To przecież istna pułapka na wszy. Ponadto ktoś mógłby was przez omyłkę wziąć za złodziei koni.

Po powrocie do naszego pokoju oswobodziłam rękę, a następnie kazałam Kimie usiąść, obwiązałam mu szyję ręcznikiem i stanęłam z tyłu. Jego włosy już w zbiorniku były długie, a obecnie sięgały mu poniżej barków. Uniosłam w palcach przypadkowy pukiel i ścięłam go tak blisko głowy, jak tylko się dało. Kima wzdygnął się w reakcji na szarpnięcie wywołane tępyimi ostrzami nożyc.

– Wiesz, jak to się robi? – spytał.

– Przez kilka ostatnich lat pobytu w wiosce ścinałam włosy Zachowi – odparłam.

– I zobacz, jak skończył.

Zaśmiałam się, ale w głowie nadal miałam wystraszony wyraz twarzy Niny, gdy ta opowiadała o plotkach dotyczących Reformatora. Niełatwo mi było pogodzić moje wspomnienia na temat Zacha – mojego czujnego, nieufnego brata bliźniaka – z jego straszliwą reputacją. Oraz ze świadomością, że ponosił odpowiedzialność nie tylko za wtrącenie Kimy do zbiornika, lecz także za wiele innych okropieństw, o których wspominała Nina. Najtrudniej jednak przyszło mi zaakceptować to, że odpowiedzialność za szkody, które wyrządził, po części spoczywała na mnie. Spojrzałam na nożyce i przyszło mi do głowy, że mogłabym go powstrzymać nawet w tej chwili. Wszyscy żołnierze z Wyndham nie byliby w stanie mu pomóc, gdybym wbiła sobie tępe ostrza w nadgarstek. Gdybym tylko zdobyła się na wystarczającą odwagę.

Kima obrócił się i zerknął na mnie.

– Ta przedłużająca się pauza nie działa na mnie pogrzejająco. Jesteś pewna, że nie zrujnujesz mojej młodości urody? – spytał.

Raz jeszcze parsknęłam śmiechem, po czym sięgnęłam po kolejne pasmo włosów. Były ciepłe od karku. Zanim zaczęłam, przez kilka sekund trzymałam je w dłoni.

Włosy Kimy były na tyle długie i zaniedbane, że obcięcie ich zajęło sporo czasu, w końcu jednak podłogę usłała masa brązowych pukli, a na jego głowie pozostały jedynie kępki szczeciny. Ich układ przypominał mi wioskowe pola kukurydzy tuż po żniwach.

Uparłam się, że sama się ostrzygę, mimo protestów ze strony Kimy,

pozwoiliam mu jednak zajać się tyłem głowy. Dopiero gdy skróciłam włosy do wysokości szczęki i potrzęsnałam głową, dziwiając się ich lekkości, zdałam sobie sprawę, że były już bardzo długie. Ścięte włosy zamietliśmy i wyrzuciliśmy przez okno, wytrzepaliśmy też ręcznik. Patrzyliśmy, jak nasze pukle sfruwają na znajdującą się poniżej ulicę.

Kim bez przerwy przesuwał dłonią po ostrzyżonej głowie.

– Potrzebowały lat, żeby urosnąć do takiej długości, prawda? – spytał.

Przytuliłam się do niego.

– W normalnych warunkach tak. Ale o wielu rzeczach nie mamy pojęcia.

Uniósł brew.

– W moim przypadku nawet o bardzo wielu – zauważył.

– Chodziło mi o zbiorniki. Nie wiemy, jak działają ani czy cokolwiek jest w stanie w nich rosnać. Nie znamy długości twoich włosów, gdy cię tam wkładali, nie wiemy też, czy ci je ścinali.

– No wiem. – Nie przestawał pocierać dłonią głowy. – To jedna wielka zgadywanka. I pewnie donikąd mnie nie zaprowadzi. Ale nie mogę się powstrzymać.

Mieliśmy zamiar zostać tylko na dzień lub dwa, żeby odzyskać siły, ale Elsa nie zadawała nam żadnych pytań, a wręcz wydawała się wdzięczna za dodatkową pomoc, więc czas mijał i zanim nastał trzeci tydzień, zdążyliśmy już popaść w kojącą rutynę. Pracowaliśmy każdego ranka i wieczoru, a popołudniami kryliśmy się w swoim pokoju, dzięki czemu mogłam na parę godzin uwolnić spętana rękę.

Kilka razy ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem i nie odwiązawszy jej, wypuściłam się z Kimą do miasta. Po wieloletniej izolacji w Przechowalni taka wielka liczba osób w dalszym ciągu mnie rozstrajała. Mój towarzysz jednak czuł się w tłumie jak ryba w wodzie. Choć nie mieliśmy grosza przy duszy, uwielbiał tłok panujący na targu, zapach pieczonych orzechów i grzanego wina oraz zgiełk różnorodnych głosów. Przez godzinę mogłam sobie wyobrażać, że jesteśmy normalnymi ludźmi, których nikt nie ściga. Jednak nawet w mieście Omeg od czasu do czasu pojawiały się Alfy: poborcy dziesięciny, żołnierze, wędrowni kupcy. Za każdym razem gdy w oczy rzucała nam się pozbawiona piętna twarz lub jaskrawoczerwone mundury Rady, robiliśmy obrót na pięcie i czmychaliśmy do najbliższego zaułka, a do domu wracaliśmy bocznymi uliczkami.

Kiedy pewnego ranka przyszliśmy na plac targowy, naszym oczom ukazał się tłum zebrany wokół głównej studni. Na specjalnie wzniesionej platformie stało dwóch żołnierzy Rady, więc trzymaliśmy się na uboczu, ale nawet zza pleców zgromadzonych osób, skryci za taczka pełną melonów, mogliśmy dostrzec, co tam

się działo. Mężczyzna jakieś dziesięć lat ode mnie starszy stał przywiązany do pala, a jeden z żołnierzy batożył jego nagie plecy. Po każdym uderzeniu bity człowiek wydawał z siebie okrzyk, ale dźwięk bicia był jeszcze gorszy: świst, z jakim przecinał powietrze; ostry trzask uderzenia o ciało. Drugi żołnierz stał kilka kroków dalej i czytał coś zebrany. Musiał podnosić głos, żeby przekrzyczeć odgłos bata oraz wrzaski więźnia:

– Za owo przestępstwo grozi kara dziesięciu cięgów batem. Po aresztowaniu więźnia w związku z nielegalnym usuwaniem plakatów informacyjnych Rady wyszło na jaw, że nie zgłosił on swej przeprowadzki. Za przestępstwo to skazany został na kolejne dziesięć razy oraz dodatkowe pięć za niepłacenie przez trzy miesiące dziesięciny w nowym miejscu zamieszkania.

Żołnierz skończył odczytywać proklamację, lecz biczowanie trwało nadal. Tłum milczał, ale z każdym ciosem ramiona tworzących go osób podskakiwały. Wcześniej na plecach więźnia można było dostrzec pojedyncze ślady po uderzeniach, niektóre podbiegłe krwią, teraz jednak pozostała tam tylko krwawa miazga. Spodnie mężczyzny były w pasie przesiąknięte posoką.

Odciągnęłam stamtąd Kime, ale nawet po tym, jak wycofaliśmy się do zaułka, dobiegały nas jeszcze ostatnie uderzenia bata.

– Ale co z jego Alfa? – zastanawiał się Kima, gdy pospiesznym krokiem wracaliśmy do domu. – Ona z pewnością to odczuje.

– Zgaduję, że Rada ma to gdzieś – odparłam. – Najwyraźniej to cena, którą gotowi są zapłacić. Jakaś kobieta mieszkająca wiele kilometrów dalej powydziera się przez kilka godzin, ale kara wymierzona jej bliźniakowi będzie stanowić naukę dla setek innych ludzi. A rozdzielanie bliźniąt przez Radę przebiega tak sprawnie, że kobieta prawdopodobnie nigdy nie dowie się, co sprawiło jej ból. I problem z głowy.

– Gdyby się jednak dowiedziała, czy Alfy przyjęłyby to ze spokojem? Nie wpadłyby w gniew na wieść, że ich Rada krzywdzi niewinnych ludzi?

Przystanąłam i spojrzałam mu w oczy.

– Naprawdę wydaje ci się, że tamten chłostany mężczyzna jest bardziej winny niż jego bliźniaczka? – spytałam. – Tylko dlatego, że zerwał plakat i nie był w stanie zapłacić dziesięciny?

– Oczywiście, że nie. Wiem równie dobrze jak ty, że to bzdury wysane z palca. Ale skoro biją ludzi tak mocno, że ich bliźniaki mogą to odczuć, czy nie stworzy to problemów w ich własnym obozie? Czy Alfy nie wpadną w złość?

– Owszem, lecz jej obiektem nie będzie Rada – odpowiedziałam. – Wydaje mi się, że gdyby się dowiedzieli, byłiby źli na Omegę, tego tak zwanego przestępcę. Skoro wierzą w kłamstwa Rady, uznają, że sam sobie nawarzył piwa. Tak jak wydaje im się, że Omegi głodują, bo jesteśmy zbyt głupi czy leniwi, żeby właściwie zająć się ziemią, a nie z powodu podatków i kiepskiej gleby.

Od tamtej pory zaczęliśmy rozważniej zachowywać się na ulicach, a z domu zastępczego wychodziliśmy za ledwie od czasu do czasu, zazwyczaj wczesnym rankiem w dzień targowy, kiedy to udawało nam się niepostrzeżenie wmieszać się w najgęstszy tłum. Łatwiej było jednak zostać w domu, na odciętym od świata podwórku Elsy, gdzie mogliśmy spędzać czas z dziećmi i starać się zapomnieć, że na zewnątrz znajduje się miasto, w którym biczuje się ludzi do krwi, a żołnierze Rady krążą po ulicach.

Zapoznaliśmy się ze wszystkimi wychowankami domu. Louisa, uroczą trzyletnią karlicą, zaczęła okazywać mi bezgraniczne oddanie, a trochę od niej starszy chłopiec imieniem Alex nie odstępował Kimy na krok. Elsa poinformowała nas, że Alex przebywa u nich od pięciu lat, od niemowlęctwa. Chłopcu brakowało obu rąk, podczas posiłków siadał więc na kolanach Kimy, który karmił go z własnej miski, na zmianę wkładając jedzenie to w usta chłopca, to we własne. Głowa Alexa mieściła się idealnie pod brodą Kimy i podskakiwała nieznacznie, gdy Kima przeżuwał jedzenie. Kiedy na nich patrzyłam, dostrzegałam, że twarz Kimy nie robi już wrażenia zagłodzonej, kości policzkowe nie sterczą tak bardzo jak wcześniej. Moje ciało również się zaokrągliło, a kości stały się mniej widoczne. Nabierałam też sił. Nawet z unieruchomioną ręką byłam w stanie bez pomocy stawiać na piecu największe garnki albo przez długi czas nosić na biodrze niemowlęta, które potrzebowały czułości.

Podobnie jak większość Omeg nigdy wcześniej nie myślałam o dzieciach. Bo i po co? W najlepszym wypadku można było żywić nadzieję, że pewnego dnia jakaś mała Omega będzie potrzebowała dachu nad głową. Kiedy zostałam napiętnowana, szybko przywykłam do obelg rzucanych przez nieliczne Alfę mijające osadę. Teraz jednak, gdy patrzyłam na Kimę i Alexa lub też Louise wyciągającą do mnie swe przykrótkie rączki, określenie „ślepy zaułek” raniło mnie mocniej niż jakikolwiek inny epitet. Nietrudno mi było się przekonać, że wcale nie jesteśmy dziwadłami ani potworami. Życzliwość okazywana przez Elsę i Ninę oraz pomysłowość dzieci zmagających się z własnymi ciałami były na to wystarczającym dowodem. Ale „ślepego zaułka” nie mogłam podważyć. Mimo różnorodności deformacji dotyczących Omegi łączyło nas jedno: bezpłodność. Koniec drogi.

A kolejnym ślepyim zaułkiem okazały się dociekania dotyczące Wyspy. Któregoś razu próbowałam wypytać nasze dobrodziejki o ruch oporu. Odpoczywałyśmy w kuchni otoczone umytymi garnkami, rozkoszując się krótką przerwą poprzedzającą przygotowywanie drugiego śniadania. Elsa stała przy oknie i patrzyła, jak Kima bawi się z dziećmi na podwórku, a ja siedziałam z Niną na ławie. Droczyłyśmy się z Niną, do której od kilku tygodni zalecał się na targu młody sprzedawca win. Dziewczyna zaprzeczała, ale faktem było, że ostatnio zgłaszała się na ochotnika do robienia porannych zakupów, po które chadzała

w swojej najlepszej sukience.

– A skąd jest ten twój kochaś? – spytałam.

– Nie jesteśmy kochankami! – zawołała, klepiąc mnie w udo. – Ale pochodzi z wybrzeża, z północy.

– To jak tu trafił?

Nina wzruszyła ramionami.

– Wiesz, jak to jest. Na wybrzeżu jest jeszcze ciężiej. Żołnierze robią najazdy na osady, odcinają je od świata.

Elsa odwróciła się od okna i odezwała się odrobinę zbyt gwałtownie:

– Bez względu na przyczyny jego pojawienie się tutaj to dobry znak dla nas wszystkich. Nina miewa teraz tak dobry humor, że dwa razy rzadziej narzeka na pracę.

– Te represje na wybrzeżu to z powodu Wyspy? – spytałam po chwili wahania.

Nina wcześniej była zarumieniona, ale teraz z jej policzków zniknął cały kolor. Wstała, strącając z ławy koszyk z cebulą, po czym pospiesznie wyszła z kuchni.

Elsa odezwała się tak cicho, że hałasy z podwórka prawie całkiem ją zagłuszały.

– Mamy tu dzieci. Uważaj, co mówisz.

Uklękałam, żeby pozbierać rozsypane cebule, unikając jej wzroku.

– Ale wiesz coś o niej, prawda? – spytałam. – Co takiego słyszałaś?

Pokręciła głową.

– Mój mąż też lubił zadawać trudne pytania, Alice – oznajmiła.

– Nigdy mi nie mówiłaś, jak umarł.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Proszę, powiedz mi, co wiesz na temat Wyspy – powtórzyłam.

– Wystarczająco dużo, żeby zdawać sobie sprawę, że stanowi ona zagrożenie. – Uklęka obok mnie i też zaczęła zbierać cebule. – Nawet jako temat rozmowy. Męża już straciłam. Nie mogę znowu ryzykować, mając pod opieką Ninę i dzieci.

Powkładaliśmy cebule do koszyka. Elsa nie wyglądała na wściekłą, ale już nigdy więcej nie poruszyła tego tematu, a Nina unikała mnie przez kolejne trzy dni.

Co wieczór debatowaliśmy z Kimą w naszym pokoju, kiedy powinniśmy wyjechać. Wiedziałam, że chętnie by został, i rozumiałam, co go pociągało: w domu zastępczym w Nowym Hobarcie natknęliśmy się na coś przypominającego normalne życie. Jednak w moich snach i wizjach nadal dominowały dwie rzeczy: Wyspa i Spowiedniczka. Choć i mnie kusiło, by pozostać w tym przepełnionym

radosnym harmidrem miejscu, miałam poczucie, że Wyspa w dalszym ciągu przyciąga mnie ku sobie, i to silniej niż poprzednio, gdyż od wybrzeża dzieliło nas już tylko kilka tygodni drogi. Ponadto nadal czułam, jak umysł Spowiedniczki rozdrapuje warstwy nocnego nieba w poszukiwaniu mnie. Gdy spałam, wyciągała do mnie rękę w snach, a moje sekrety sypały się w jej otwartą dłoń równie swobodnie co przejrzałe maliny. Po przebudzeniu słyszałam od Kimy, że przez całą noc zasłaniałam twarz dłońmi niczym dziecko szukające kryjówki.

Nie mogłam znieść myśli, że mogłabym doprowadzić Spowiedniczkę do tego miejsca. Do Elsy, Niny i dzieci.

– Nie możemy tu zostać – powtórzyłam, po raz setny spierając się z Kimą.

– Moglibyśmy wyjaśnić Elsie i Ninie, o co chodzi z twoją ręką. Zrozumiałyby. Nikt by się nie dowiedział.

– Ufam im. Ale chodzi o coś innego – odparłam.

Nie potrafiłam wyjaśnić mu tego uczucia. Było niczym bardzo wolno zaciskający się stryczek. Przypominało to, którego doznawałam w ciągu ostatnich miesięcy spędzonych w wiosce, kiedy czekałam, aż Zach mnie wyda; albo w tamtej przerażającej chwili, kiedy po kradzieży koni otoczył nas krąg ludzi wymachujących pochodniami. Coś zaczynało nas osaczać.

Kiedy próbowałam opisać Kimie swoje wrażenia, wzruszył tylko ramionami.

– Nie mogę się z tobą sprzeczać, gdy zaczynasz się odwoływać do wizjonerstwa. To twoja karta przetargowa. Pomogłoby mi jednak, gdybyś wyrażała się bardziej konkretnie – wyznał.

– Niestety, nie potrafię. To tylko niejasne przypuszczenia, że to, co teraz mamy, jest zbyt dobre, żeby trwało wiecznie – powiedziałam.

– A może właśnie zasłużyliśmy na to. Może nadszedł czas, byśmy dla odmiany doświadczyli czegoś miłego.

– Niby od kiedy ludzie dostają to, na co zasłużyli? – Zamilkłam, żałując, że odezwałam się tak gniewnym tonem. – Przepraszam. Nie mogę nic na to poradzić. Po prostu mam złe przeczucia.

– Cóż, ja z kolei mam dobre. A wiesz, co je wywołuje? Trzy posiłki dziennie i brak konieczności spania na gołej ziemi.

Rozumiałam, co ma na myśli. Ale to przede wszystkim ze względu na niego musieliśmy wyjechać. Nie znaleźlibyśmy tu odpowiedzi związanych z jego przeszłością. No i byli też inni – twarze pływające w zbiornikach, które nadal nawiedzały moje sny. Czy przypadkiem ich nie zdradziłam, rozpoczynając pełne wygod życie, podczas gdy oni czekali w milczeniu uwięzieni za szkłem?

Ponowiłam próbę.

– Sam słyszałeś, co Nina opowiadała o Reformatorze. A oboje wiemy o wiele więcej na temat działalności Zacha.

– A z czego właściwie bierze się ta twoja pewność, że zdołamy go

powstrzymać po dotarciu na Wyspę? – spytał Kima.

Rozumiałam jego punkt widzenia. Dla mnie Wyspa była czymś namacalnym. Widziałam ją co noc. Dokładnie znałam zarys jej kształtu na rozświetlonym brzaskiem niebie lub też wyzierający z mgły w deszczowe wieczory. Znałam fakturę czarnych skał, o które rozbijała się woda u podnóża klifów. A co więcej, wiedziałam, że Wyspa niesie ze sobą pewną alternatywę: ruch oporu stworzony przez Omegi. Była miejscem, w którym nie musielibyśmy już więcej uciekać ani się kryć. Tymczasem w oczach Kimy Wyspa mogła robić wrażenie czegoś abstrakcyjnego, niepewnego, zwłaszcza w porównaniu z konkretnością naszego codziennego życia w domu Elsy.

Nie umieliśmy doprowadzić naszego sporu do końca. I mimo że odczuwałam niepokój, z przyjemnością dawałam się przekonywać Kimie, żebyśmy jeszcze trochę zostali. Każdego wieczoru powtarzałam sobie, że to tylko na jeden dzień. A w nocy, gdy leżałam skulona obok niego w maleńkim łóżku, starałam się z całych sił ignorować wizje, które tłoczyły się na peryferiach moich snów. Przede wszystkim zaś próbowałam się wyzbyć poczucia, że szuka nas Spowiedniczka – poczucia równie przejmującego i nieodpartego co dzwonienie w uszach.

W końcu to Elsa rozwiązała nasz dylemat, wpadając pewnego popołudnia do naszego pokoju z workiem w dłoni. Siedziałam akurat na łóżku z nieskrępowanym ramieniem, więc szybko próbowałam się ukryć pod kocem, ale kobieta tylko machnęła na mnie ręką zniecierpliwionym gestem.

– Nie kłopotz się – oświadczyła. – Myślisz, że nie potrafię dostrzec, że chudzina taka jak ty nie powinna mieć tak wydatnej talii? Zresztą z jedną ręką jesteś niezdarna jak diabli. Nie żeby ten tu radził sobie dużo lepiej – dodała, wskazując na Kimę.

Pozwoliłam kocowi zsunąć się ze mnie.

– To czemu nic nie powiedziałaś? – spytałam.

– Bo to wcale nie był taki zły pomysł. Ze względu na dzieci: nie możemy pozwolić, żeby wypatrzyły tu wizjonerkę. Nie tylko dlatego, że zdarza się to rzadko; sama wiesz, jacy są ludzie, nawet Omegi, gdy chodzi o wizjonerów.

Skinęłam głową, przypominając sobie nieprzyjemne uwagi ze strony mieszkańców osady.

– Sztuczka z podwiązywaniem ręki powinna się sprawdzać równie dobrze na ulicy – dodała.

Zamknęłam oczy.

– Wybacz, że nie powiedzieliśmy ci prawdy – przeprosiłam ją.

Elsa skwitowała moje słowa powtórnym machnięciem ręki.

– Powinniście się przyzwyczaić do utrzymywania sekretów – poradziła. – Tutaj dobrze wam to szło. I miałam nadzieję, że będziecie mogli zostać dłużej. Ale musicie wyjechać dziś wieczorem.

Zacząła wpychać koc Kimy do worka, jeszcze zanim skończyła mówić.

Chłopak zerwał się na równe nogi.

– Co się stało? – spytał.

– Dziś na rynku pojawili się żołnierze Rady. To niby nic takiego, ale było ich więcej niż zwykle i chodzą słuchy, że mają zamiar rozstawić w mieście warty. Wznieść bramy. Burmistrzowi powiedzieli, że to dla naszego dobra. – Elsa parsknęła śmiechem. – Podobno nagle pojawił się problem z bandytami, a Alfy tak bardzo się o nas troszczą, że postanowiły osobiście nas chronić.

– Jak dużo czasu upłynie, zanim zamkną miasto? – spytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odparła. – Przy głównych drogach już stoją straże, ale palisady tak szybko nie postawią. Na razie będą się starali otoczyć miasto patrolami, a ich liczba zależy od tego, ilu wzięli ze sobą żołnierzy.

Wstałam.

– Przybędą ich tu setki. Będą chcieli odciąć Nowy Hobart od świata. Powinam się była domyślić.

Elsa skinęła głową.

– Tak właśnie mówił piekarz: część ludzi patroluje peryferie, a reszta buduje ogrodzenie. Ale to nie wszystko.

Wyjęła z kieszeni fartucha zmięty kawałek papieru i podała go mi. Kima zerkał mi przez ramię, gdy wyglądałam kartkę na łóżku, i po chwili ujrzeliśmy własne, nabierające kształtu twarze. Pod szkicem widniał napis: *POSZUKIWANI ZŁODZIEJE KONI. Dwójka bandytów (wizjonerka i bezręki mężczyzna) napadła pod osłoną nocy na bezbronną wioskę Alf. W razie rozpoznania należy niezwłocznie zawiadomić organy Rady. Gwarantowana sowita nagroda.*

Elsa prychnęła z pogardą.

– Niewiarygodne, jak precyzyjnie potrafili opisać tych złodziei koni wieśniacy, którym mignęli oni w mroku.

Spojrzałam na nią.

– Przepraszam, jeśli nasze pojawienie się wpędziło w kłopoty i ciebie, i cały Nowy Hobart.

Elsa chwyciła papier, zmięła go w kulkę i wcisnęła do kieszeni.

– Nie schlebajcie sobie. To dzieje się wszędzie: Alfy przejmują kontrolę nie tylko nad osadami, lecz także nad dużymi miastami takimi jak to. Zamieniają je w getta. I tak miało do tego dojść.

– Nie kusilo cię, żeby nas wydać? – spytał Kima.

Elsa znowu się zaśmiała.

– Szczerze mówiąc, niepotrzebna mi nagroda. Za co jak za co, ale za możliwość pozbycia się małych Omeg Alfy zawsze będą gotowe zapłacić. Nie martwcie się, nic nam nie będzie.

– A co do koni, to sytuacja wcale nie wygląda tak, jak może się wydawać – wyjaśniłam.

Elsa mnie uciszyła.

– Naprawdę myślisz, że przyjąłabym was pod swój dach, bo potrzebna mi była w kuchni dwójka zagłodzonych jednoręcznych pomocników? Posłuchajcie. Parę lat temu, jeszcze zanim zaczęła tu pracować Nina, straciliśmy kilkoro dzieci. W środku nocy pojawili się ludzie uzbrojeni w miecze. Nie mieli na sobie mundurów, ale mogłabym przysiąc, że byli to żołnierze Rady. Zabrali piątkę. Troje niemowląt i dwójkę nieco starszych. – Usłyszałam, że Kima bierze głęboki oddech, a Elsa mówiła dalej: – Jedyne wieści na ich temat dotarły do nas, gdy rodziny trójki z nich pojawiły się tu dwa tygodnie później z zamiarem przetrącenia mi karku, bo ich dzieci umarły z dnia na dzień.

Przypomniały mi się czaszki na dnie groty.

– Nie wiem, co im zrobili – kontynuowała Elsa – ani jaki los spotkał pozostałą dwójkę, ale zdaję sobie sprawę, że istnieje wiele powodów do ucieczki przed Alfami, i kradzież koni nie jest jednym z nich. – Podała worek Kimie. – W środku znajdziecie prowiant i wodę na kilka dni. Koc, nóż i inne przydatne rzeczy. Trzymajcie się bocznych dróg, których być może nie zdążyli jeszcze obstawić. Bylibyście bezpieczni w pojedynkę, ale wiem, że się nie rozdzielicie. Alice, powinnaś ukryć rękę.

Wsunęłam ramię pod sweter, ale gdy Kima chciał pomóc mi je przywiązać, powstrzymałam go ruchem dłoni.

– Nie – powiedziałam. – Jeśli mam uciekać albo walczyć, muszę być w stanie bez problemu ją uwolnić.

– Nie powinniśmy poczekać, aż się ściemni? – spytał.

Pokręciłam głową w tym samym momencie, w którym Elsa powiedziała:

– Nie, idźcie od razu, dopóki na ulicach są ludzie, a miasto nie zostało odcięte. Kierujcie się ku południowym obrzeżom, z dala od rynku. Pójdę tam teraz. Zbiera się tłum ludzi, którym nie podoba się to, co się dzieje. Nie dalibyśmy rady stawić czoła żołnierzom w walce, nie jesteśmy przecież głupi, ale o zachodzie słońca rozpoczniemy marsz, zrobimy zamieszanie. To powinno wystarczyć, żeby przyciągnąć do nas część żołnierzy. Pamiętajcie: o zachodzie słońca. Idźcie już.

Wskazała na okno, ale nie mogłam odejść, nie spytawszy raz jeszcze:

– Wiesz coś na temat Wyspy?

Pokręciła głową, lecz tym razem nie unikała mojego wzroku.

– Tylko plotki – odparła. – Prawdopodobnie te same, które słyszałaś i ty. Nie wiem, czy jest w nich jakaś prawda. Jednak, dla waszego dobra, mam nadzieję, że tak. Nie rozumiem tego, jak Rada może nas tak traktować. Nikt tego nie rozumie. Niedługo skończą się miejsca w przytułkach. To nie może tak dalej wyglądać.

Zanim się obróciłam, ucisnęłam jej dłoń. Była pokryta nagniotkami od

wieloletniego szorowania garnków, ściskania miotły oraz noszenia śpiących dzieci.

– Pożegnasz się w naszym imieniu z Niną i dziećmi? Zwłaszcza z Alexem? – poprosił Kima.

Elsa odpowiedziała skinieniem głowy.

Kima przez chwilę wahał się, stojąc przy oknie; ja już przykucnąłam na parapecie.

– No, śmiało – zachęciłam go. – Spytaj.

Obejrzał się na kobietę.

– Nie poznajesz mnie, prawda? Nie byłem jednym z tych pięciorga porwanych dzieci?

Elsa wyciągnęła dłoń i na chwilę położyła mu ją na policzku.

– Przykro mi.

Kima odwrócił się i wdrapał na parapet.

– Nie wiem, jak ci dziękować – powiedziałam do Elsy.

– To po co tu jeszcze siedzicie? – Zaśmiała się. – Jazda mi stąd.

Rozdział piętnasty

W świetle wieści przekazanych nam przez Elbę oraz pośpiechu, z jakim odchodziliśmy, ze zdziwieniem stwierdziliśmy, że w Nowym Hobarcie nie zaszły prawie żadne zmiany. Co prawda od strony rynku dobiegały nas głosy zbierającego się tłumu, przetykane od czasu do czasu krzykami – w tamtym kierunku zmierzało tak wielu ludzi, że wydawało nam się, iż idąc w drugą stronę, zwracamy na siebie uwagę – jednak pozostali zajmowali się codziennymi sprawami. W którymś momencie aż podskoczyłam na dźwięk donośnego trzasku, który rozległ się gdzieś nade mną, ale gdy uniosłam wzrok, zobaczyłam, że to jakiś mężczyzna strzepuje mokre prześcieradło na balkonie obwieszonym praniem.

Kima niósł worek i chociaż nie chcieliśmy się rozdzielać, uzgodniliśmy, że będę szła dwadzieścia kroków przed nim, aby na pierwszy rzut oka wyglądało, iż nie mamy z sobą nic wspólnego. Poruszaliśmy się zaułkami, stroniąc od głównych ulic i wypełniających je tłumów. Minęliśmy kilka plakatów przedstawiających nasze podobizny. Za każdym razem – upewniwszy się, że nikt nie patrzy – zdierałam je i wpychałam do worka. Dźwięki dobiegające z rynku stawały się coraz głośniejsze, mimo że oddalaliśmy się od niego. Skupiłam się, próbując oddzielić odgłosy kroków Kimy od zgiełku miasta.

Pierwsi żołnierze Rady, których zobaczyliśmy, siedzieli na koniach; w wąskich uliczkach wyraźnie rzucali się w oczy. Odgłosy kopyt uderzających o bruk zapowiedziały ich, na długo zanim pojawili się w zasięgu wzroku, więc gdy mijali koniec zaułka, staliśmy już ukryci w wejściu do czyjegoś domu. Od tamtej pory poruszaliśmy się ostrożniej, powoli schodząc ulicami, aż w końcu hałasy z położonego na drugim krańcu miasta targu przestały do nas docierać.

Gdy dotarliśmy na peryferie i zobaczyliśmy, jak wielu żołnierzy tam stacjonuje, opadła mnie ponura świadomość obcowania z czymś znajomym. Poczucie osaczenia, które nękało mnie od wielu tygodni, przybrało w końcu namacalną formę. Zza cisu rosnącego w bocznej uliczce widziałam czteroosobowe patrole przechodzące co kilka minut po obrzeżach miasta. Od czasu do czasu w zasięgu wzroku pojawiali się również żołnierze na koniach galopujących tak szybko po krętych ulicach, że mieszkańcy zmuszeni byli zeskakiwać im z drogi. Przy drodze prowadzącej na południe żołnierze zdążyli już postawić bramę; widać było przy niej zaczątki palisady. Budowę musieli rozpocząć o świcie albo jeszcze w nocy, sądząc po liczbie wbitych w ziemię pali. Pod nową bramę miejską podjeżdżały otwarte wozy wyładowane deskami. Omegom na razie wolno było przez nią przechodzić, chociaż uprzednio musiały się poddać skrupulatnej inspekcji dokonywanej przez strażę.

– Jest gorzej, niż wydawało się Elsie – stwierdził Kima, dogoniwszy mnie. – Odetchnął ciężko, spoglądając mi przez ramię, po czym spytał: – Nie znasz

przypadkiem jakichś ukrytych rzek czy tuneli w tych okolicach?

Przewróciłam oczami.

Przez ponad godzinę przesuwaliśmy się po peryferiach Nowego Hobartu, ale na końcu każdej uliczki ukazywał się ten sam widok: cyklicznie pojawiający się żołnierze oraz nieustające zamachy pobijakami towarzyszące stawianiu płotu.

Późnym popołudniem wróciliśmy do miejsca, z którego po raz pierwszy ujrzelśmy główną bramę.

– Rozdzielimy się i spróbujemy przejść za pomocą fortelu? – spytałam, mimo że oboje od razu rozumieliśmy, że pomysł nie ma sensu.

– Nie wydaje mi się, żeby zadali sobie tyle trudu tylko po to, żeby dać się nabrać na fałszywe imię i zmianę fryzury – odparł Kima.

– No wiem – przyznałam, przygryzając dolną wargę. – A gdyby tak puścić się biegiem?

Pokręcił głową.

– Nawet jeśli udałoby nam się przemknąć obok patroli, teren jest zbyt otwarty, a od lasu dzieli nas z półtora kilometra – stwierdził Kima, wskazując na ścianę drzew rosnących w dalszej części równiny. – Na pewno by nas zobaczyli. To co, wracamy do Elsy?

– Po co? Żeby czekać, aż skończą budować palisadę i zaczną przeszukiwać dom po domu?

Pod nami, w wysuniętym najdalej na południe punkcie rozrastającej się palisady, rozległ się łoskot ostatnich pali zrzuconych z wozu. Patrzyliśmy, jak ponownie zaprzęgany jest w cztery konie, które przeciągają go wolno przez bramę w kierunku lasu. Nawet z tej odległości dobiegało nas niekończące się stukanie siekier, przypominające nieprzerwaną salwę braw.

Kima trącił mnie łokciem.

– Spójrz na wóz – polecił.

– Nie rozważasz chyba kolejnej brawurowej kradzieży koni, co? Za pierwszym razem poszło nam wystarczająco kiepsko.

– Nie chodzi mi o konie, tylko o wozy – odparł. – No patrz.

Droga ciągnąca się między lasem a Nowym Hobartem usiana była konstelacją wozów – te zbliżające się do miasta wyładowane były drewnem, te, które z niego wracały, były puste. Na dyszlu każdego z nich siedział tylko jeden żołnierz.

Podkradliśmy się tak blisko do rosnącej palisady, na ile pozwoliła nam śmiałość – wystarczająco blisko, aby słyszeć brzęk mieczy uderzających o klamry przy butach, rozlegający się przy każdym kroku wartowników. Skryliśmy się między dwiema pustymi skrzyniami dużych rozmiarów, od których bił odór zgniłych warzyw. Gdy wyjrzelśmy spomiędzy listew, dostrzegliśmy nowo przybyły wóz, który właśnie rozładowywano. Po dziesięciu minutach był już

prawie pusty. Czterech żołnierzy zdejmowało z niego drewno i rzucało je z łoskotem na sterty, z których inni mężczyźni budowali ogrodzenie. W niektórych miejscach ściana miała postać cienkiej zasłony z przymocowanych do siebie gałęzi, podczas gdy inne jej części skonstruowane zostały w sposób bardziej solidny, z pali zatopionych głęboko w ziemi. Przez cały ten czas mijały nas patrole – czasem piesze, czasem konne – w odstępach zaledwie kilku minut.

Na zachód słońca nie trzeba było długo czekać, ale ucisk w moim żołądku wzrastał się z każdą minutą spędzoną na przyglądaniu się rosnącej palisadzie. Od czasu do czasu porozumiewaliśmy się szeptem. W którymś momencie Kima wyciągnął z plecaka jeden ze zmiętych plakatów i rozłożył go na chodniku.

– Złodzieje koni, serio?

Wzruszyłam ramionami.

– A co byś wołał? – spytałam.

– Nie wiem. Ale po tym wszystkim, czego dokonaliśmy, umieścili na plakacie coś takiego?

– A czego ty się spodziewałaś? Że napiszą: „Uciekinierzy z Przechowalni i utrzymywanych w ścisłej tajemnicy zbiorników na ludzi”?

Kima zaczął składać afisz, ale się zawahał.

– Chyba że wiedzą coś o mnie z czasów poprzedzających zamknięcie mnie w zbiorniku. – Siedzieliśmy obok siebie w kucki, a on złapał mnie za kolano. – Kim byłem wcześniej.

– Złodziejem koni? – spytałam.

Jego głos próbował nadażyć za pomysłami przemykającymi mu przez głowę.

– I dlatego właśnie wsadzili mnie do zbiornika.

– Nie wydaje ci się, że musiało chodzić o coś więcej? Złodziei koni łapią bez przerwy i raczej nie słyszy się, żeby wywożono ich do tajnych laboratoriów na eksperymenty.

– Poza tym to by tłumaczyło moje zdolności jeździeckie – dodał Kima.

Parsknęłam śmiechem.

– Nie szło ci aż tak dobrze.

Wsadził plakat do worka.

– Po prostu zauważam, że coś może być na rzeczy – powiedział.

Patrzyłam, jak zмага się z troczkiem.

– Posłuchaj. Nie winię cię za to, że starasz się czegoś dowiedzieć na temat swojej przeszłości. Tylko moim zdaniem nie jest to dobry trop. Zacznijmy od tego, że mnie także opisali jako złodziejkę koni.

Kima zgodził się skinieniem głowy, a następnie podał mi worek i pogрузzył się w rozmyślenia.

Niebo żółkło na zachodzie. Na południowym skraju lasu, który w dalszym ciągu dźwięczał uderzeniami siekier, pojawiły się iskierki pierwszych pochodni.

Potem wszystko rozegrało się bardzo szybko. Hałasy z rynku nie docierały do tej części miasta, ale nagle do bramy znajdującej się pod nami podjechali ze wschodu jeźdźcy w mundurach. Szybko naradzili się ze strażnikami i odjechali, a w ich ślady poszli pozostali żołnierze, którzy w pośpiechu zaczęli wskakiwać na konie. Na całej długości palisady rozlegały się podniesione głosy mężczyzn roznoszące rozkazy na wschód i zachód od południowej bramy. W kilka minut szeregi żołnierzy się przerzedziły. Patrole nadal krążyły po tej samej trasie, ale były teraz mniej liczne, a wielu mężczyzn zajętych wcześniej rozładowywaniem wozów i wznoszeniem ogrodzenia ruszyło główną ulicą do centrum. Wezbrała fala dźwięku i poruszenia. Trzymając się za ręce, podkradliśmy się z Kimą na sam koniec ulicy, do miejsca, w którym kończyła się palisada, a zaczynała sterta drewna. Czekał tam wóz zaprzężony w konie obrócone pyskami do bramy stojącej kilkaset metrów dalej, na lewo. Szybko zapadał zmrok. Wzdłuż palisady zapalono rozmieszczone w odstępach pochodnie. Z płytkiej wnęki drzwiowej któregoś z domów obserwowaliśmy stojącego po naszej lewej stronie woźnicę, który zaczął się oddalać w kierunku czterech koni zaprzężonych do wozu. Obrócił się do nas plecami. Wyciągnęłam rękę z ukrycia i wsunęłam ją w rękaw.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – spytał Kima.

– Jeśli zobaczą, że biegniemy do wozu, odsłonięte ramię nie zrobi żadnej różnicy. Ważniejsze jest, żebym mogła sprawnie się poruszać.

Już mieliśmy wyjść na otwartą przestrzeń i ruszyć drogą w kierunku pustego wozu, kiedy nagle pociągnęłam Kimę do siebie tak mocno, że prawie się na mnie przewrócił.

– No co? – spytał, wrywając mi się, żeby wyrzeć z wnęki, w której przykucnęliśmy.

– Poczekaj – szepnęłam.

Z lewej strony, czyli od głównej bramy, rozległy się odgłosy kroków. Patrol znajdował się jakieś dziesięć metrów od nas, lecz ja nie spuszczałam oczu z wozu. Nie ruszał się. Usłyszałam, jak woźnica przeklina, a potem rozległ się brzęk metalu, kiedy zaczął majstrować przy uprzęży. Koń wyraził swój sprzeciw parsknięciem. Woźnica cofnął się o krok i wspiął na wóz, pozdrawiając mijających go wartowników. Wóz zaczął się toczyć, ale żołnierze dopiero nas minęli. Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję powietrze w płucach, dopóki Kima nie wypuścił z ust drżącego oddechu. Od patrolu kierującego się na prawo dzieliło nas obecnie jakieś piętnaście kroków, a tymczasem wóz z każdą chwilą oddalał się w przeciwną stronę. Mój towarzysz obrócił się do mnie i pytająco uniósł brwi. Bez słowa skinęłam głową.

Nisko pochyleni przebiegliśmy drogę w pościgu za oddalającym się pojazdem. Poruszał się chybotliwie, ale szybko, toteż pokonał już kawał drogi. Coraz bardziej odsuwaliśmy się od kryjówki i widać nas było jak na dłoni, ale

miałam wrażenie, że wcale nie zbliżamy się do wozu. Byłam pewna, że patrol się obróci, zza rogu wyłoni się kolejny albo stojący przy bramie wartownicy dostrzegą ruch. Dystans się nie zmniejszał, a wóz cały czas znajdował się poza naszym zasięgiem.

Chciałam zerknąć za siebie, żeby sprawdzić, czy mamy czas na wycofanie się i czy dostrzegł nas patrol, ale gdy obróciłam głowę, potknęłam się. Zaryłam dłońmi i kolanem w ziemię i tylko czekałam na okrzyk wieszczący odkrycie naszej obecności.

Kima złapał mnie za rękę i pomógł mi się podnieść.

– Druga taka okazja nam się nie przytrafi – syknął, po czym ponownie rzucił się w pościg za wozem, nie puszczając mojej dłoni.

Nadal nie było słyhać krzyków straży. Nie byłam pewna, czy powóz nieznacznie zwolnił, zbliżając się do zakrętu przed bramą, czy też kontakt z dłonią Kimy pomógł mi nabrać rozpędu, ale tylna część pojazdu zaczęła się do nas stopniowo zbliżać. Mogłam dostrzec wykwitłe pod pachami woźnicy plamy potu, prawie stykające się pośrodku jego przygarbionych pleców. Widziałam splot szorstkich włókien worków jutowych leżących na podłodze, którymi chwilę później się przykryliśmy. Z worków ze stukotem wysypały się drobne kawałki drewna i po raz kolejny zamarłam, czekając na okrzyki świadczące o wykryciu nas. Jednak sam wóz poruszał się hałaśliwie: jego koła skrzypiały, kopyta końskie stukwały, a woźnica nieustannie się wiercił i beształ konie, mrużąc pod nosem. Przez włókna worków dostrzegłam rozmazane płomienie widoczne ponad niskimi bokami pojazdu, kiedy przetaczaliśmy się obok pochodni zamontowanych wzdłuż palisady.

Nie ulegało wątpliwości, że zwalniamy, dojeżdżając do bramy, zmusiłam więc swoje ciało do zastygnięcia w kompletnym bezruchu i przycisnęłam twarz do drewnianej podłogi. Słyszałam oddech Kimy; mój własny wydawał mi się nieprzyzwoicie głośny. Jednak wóz nie zatrzymał się ani na chwilę. Woźnica wymienił jedynie przelotne pozdrowienia z żołnierzami.

– Wynoszę się stąd, zanim wyrośnie mi druga głowa na tyłku – zawołał mężczyzna do wartowników.

Ktoś odpowiedział mu rechotem, a potem wibracje kół się zmieniły, gdyż zjechaliśmy z brukowanych ulic Nowego Hobartu na pełną kolein nieutwardzoną drogę prowadzącą do lasu.

Nawet sobie nie wyobrażałam, jak bolesna będzie ta podróż. Wóz podskakiwał na każdym wyboju, a ja obijałam sobie kości o twarde drewniane powierzchnie. Piekły mnie obtarte dłonie i kolano, ale najbardziej się bałam, że przy którymś szarpnięciu zsuną się z nas worki i dostrzeże nas albo woźnica, albo czujny wartownik przy bramie. Nie ośmieliłam się odsunąć od kilku połamanych gałęzi, które dźgały mnie przy każdym podskoku.

Po pięciu minutach ślamazarnej jazdy nasilił się hałas siekier, zwiastując tym samym, że zbliżamy się do lasu. Droga stała się jeszcze bardziej nierówna. Coraz bardziej mną rzucało, w dodatku mrok gęstniał. Wkrótce potem dało się słyszeć nie tylko uderzenia siekier, lecz także głosy, a ciemną noc rozjaśniły liczne pochodnie, których blask dostrzegłam przez worek. Kima też musiał je zauważyć, bo gdy wyciągnęłam do niego rękę, mocno ścisnął moją dłoń raz i drugi, a za trzecim razem jednocześnie podnieśliśmy się na kolana i stoczyliśmy z tylnej części wozu. Wysokość nie była duża, nawierzchnia za to wyboista, wylądowaliśmy więc niezdarnie na wąskiej drodze prowadzącej w głąb lasu. Zastygliśmy w bezruchu, ale pojazd nawet nie zwolnił, a plecy nieświadomego niczego woźnicy rysowały się na tle blasku, ku któremu zmierzał.

Scena wydała mi się znajoma i chwilę później zdałam sobie sprawę, że przypomina miniaturową wersję samego Wybuchu widzianego przeze mnie tak wiele razy. Płomienie, ryk, dźwięk walących się drzew. Tym razem jednak wszystko odbywało się wolniej i nieporównywalnie skromniej. Rozżarzoną ścianę ognia zastępował gąszcz pochodni. Trzymane przez setki żołnierzy siekiery wznosiły się i opadały w blasku płomieni niczym elementy przerażającej maszynierii.

Patrzyliśmy tylko przez chwilę, a potem rzuciliśmy się niemalże na czworakach w kierunku gęstych krzaków. Kima niósł worek, który upuściłam, spadając. Szliśmy nisko pochyleni, ale niezborna symfonia złożona z dźwięków siekier, upadających drzew oraz okrzyków sprawiała, że przynajmniej nie musieliśmy się starać być cicho, przedzieraliśmy się więc gorączkowo przez zarośla i zwalone gałęzie. Prowadziłam, ale kierowało mną jedynie pragnienie oddalenia się tak bardzo, jak to możliwe, od żołnierzy, łoskotu i ognia. Biegliśmy od jakichś dziesięciu minut, kiedy hałas i światło zaczęły słabnąć, zwolniłam więc, żeby się zorientować w naszym położeniu. Zmuszeni byliśmy się zatrzymać, gdyż zarówno las, jak i mrok zgęstniały, a z dala od piekielnej łuny pochodni zrobiło się ciemno, choć oko wykol.

Staliśmy ramie w ramie, bez słowa próbując wyłapać dźwięki ewentualnego pościgu zagłuszane przez nasze rozszalałe oddechy. W końcu Kima szepnął:

– Nic?

Kiwnęłam głową, a potem przypomniałam sobie, że swego czasu nie był w stanie dostrzec mnie w ciemności.

– Nic. Nie wyczuwam też, żeby ktoś nas gonił.

Kima zrobił ciężki, drżący wydech.

– Wiesz, w którą stronę powinniśmy iść? – spytał. – Wszystko mi jedno, bylebyśmy tylko odeszli stamtąd jak najdalej.

– Wydaje mi się, że powinniśmy zawrócić – wyznałam.

Zaśmiał się.

– Jasne. Bo nie ma lepszej gwarancji dobrej zabawy niż setki wrogów uzbrojonych w siekiery – zakpił Kima.

– Nie, poważnie.

Skwitował to parsknięciem.

– Czy mam raz jeszcze wyłożyć ci swój punkt widzenia na kwestię siekier? Oraz pochodni, z którymi już raz mieliśmy do czynienia, kiedy kradliśmy konie?

– Ale to właśnie o pochodnie mi chodzi – wyjaśniłam.

Westchnął. Usłyszałam, jak siada na kłodzie.

– Powiedz mi, proszę, że to rzetelna wizjonerska przepowiednia, a nie jakiś kiepski pomysł.

Po omacku odszukałam kłodę i usiadłam obok Kimy.

– Nie zawsze da się to stwierdzić – przyznałam. – Masz jeszcze nasz worek?

Usłyszałam, jak przesuwa go stopą w moim kierunku. Otworzyłam go i przez jakąś minutę nie odzywaliśmy się do siebie, bo byłam zajęta grzebaniem w środku. Wśród fałd koca wymacałam bochenek chleba, menażkę z wodą oraz ukryty w pochwie nóż. A na końcu odkryłam niewielkie pudełeczko owinięte w woskowany papier, które zagrzecotało, gdy nim potrząsnęłam.

– Kiedy ostatni raz padało? – spytałam. – Kilka tygodni temu, prawda?

– Chcesz teraz gadać o pogodzie?

– Posłuchaj – oznajmiłam spokojnym głosem – musimy wywołać pożar. Spalić cały las.

– Wcale nie. Musimy się stąd wynieść, jak najdalej się da, jak najszybciej to możliwe. Mamy szczęście, że udało nam się dotrzeć aż tak daleko. Jeśli zaczniemy cokolwiek podpalać, zorientują się, że ktoś tu jest. Zaczną nas ścigać.

– Dlatego właśnie musimy się cofnąć do miejsca, w którym pracują żołnierze. Jeśli wzniciemy tam ogień, obarczą winą własne pochodnie.

– Dopiero co wydostaliśmy się z miasta. Po co mamy ryzykować?

– Bo nie chodzi tylko o nas. Słyszałaś, co mówiła Elsa – chcą ich tam wszystkich uwięzić. Jeszcze bardziej stłamsić. Będą sprawdzać każdą rejestrację. To będzie więzienie, a nie miasto.

– Naprawdę uważasz, że opłaca nam się ryzykować życie, walcząc z obowiązkiem rejestracji? – spytał Kima. – To przecież tylko metoda śledzenia pojawiających się zmian.

– Nie bądź naiwny – odparłam. – Jak ci się wydaje, kogo w ten sposób śledzą? Osoby takie jak ja, rodzeństwo potężnych bliźniaków, które można zamknąć. Niechciane dzieciaki takie jak te zabrane Elsie, na których można przeprowadzać eksperymenty. Ludzi takich jak ty, których mogą powsadzać do zbiorników. Rozumiesz?

W gęstym mroku z trudem byłam w stanie dostrzec jego twarz. Czekałam, wsłuchując się we własny oddech, który jeszcze nie do końca uspokoił się po

biegu.

– Już prawie koniec lata – odezwał się w końcu Kima. – Było sucho, ale nie aż tak, żeby usprawiedliwić wybuch pożaru.

– Wiem. Może się nie udać. W najgorszym wypadku odwrócimy ich uwagę, spowolnimy ich. A w najlepszym zatrzymamy ich na dłużej i pozbędziemy się zapasów drewna wykorzystywanego do budowy palisady. Może dzięki temu innym ludziom również uda się uciec z miasta.

– W najgorszym wypadku, Cass, zostaniemy ujęci. Ja wrócę do zbiornika, a ty do celi. Tak brzmi najgorszy scenariusz – poprawił mnie Kima.

Wstałam.

– Wcale nie. Nie zrozum mnie źle: nie zależy mi na tym, żeby nas schwytano ani żeby cokolwiek ci się stało. Ale nie chodzi tylko o nas. Nie znamy jeszcze wszystkich planów Rady wobec Omeg, wiemy jednak, że nie będzie to nic miłego. A odcięcie Nowego Hobartu od świata jest kolejnym krokiem w tym kierunku.

Przez dłuższą chwilę jedynym dźwiękiem była odległa kakofonia siekier. Kima siedział nisko pochylony, z podbródkiem wspartym o dłoń. W końcu podniósł na mnie wzrok.

– Nie boisz się? – spytał.

– Pewnie, że się boję.

Zaczął grzebać stopą w kupce suchych liści i gałązek.

– I koniecznie musimy rozpalić ogień właśnie tam?

– Jeśli tego nie zrobimy – odparłam – domyślą się, że to nie był wypadek. A wiatr wieje obecnie od Nowego Hobartu, jeśli więc nie wrócimy na skraj lasu, pożar nie dotrze do drwali, nie spowolni ich i nie spali otaczających ich drzew.

– Z tym związane jest moje następne pytanie: czy istnieje ryzyko, że przez przypadek spalimy miasto? – spytał Kima.

Pokręciłam głową.

– Jeśli wiatr nie zmieni kierunku, to nie.

Kima wstał, zarzucił worek na ramię i ruszył z powrotem w stronę, z której przyszliśmy. Po kilku krokach odwrócił się do mnie i oznajmił:

– Teraz ty niesiesz worek.

Rozdział szesnasty

Droga powrotna zajęła dużo więcej czasu. Z powodu otaczającej nas ciemności szłam z wyciągniętą przed siebie ręką, żeby badać drogę i bronić się przed nisko zawieszonymi gałęziami. Momentami zmuszeni byliśmy się czołgać albo wspinać. Przynajmniej nawigacja nie sprawiała już problemu – wystarczyło kierować się w stronę dźwięku siekier, który stawał się coraz głośniejszy.

– Myślisz, że będą tak rąbać przez całą noc? – spytał szeptem Kima.

– Bez dwóch zdań. Pewnie będą pracować na zmianę, ale nie spoczną, dopóki nie postawią palisady.

Widoczna już była czerwona poświata, na której tle rysował się las podświetlony pochodniami. Gdy podkradliśmy się bliżej, między drzewami zaczęły się nam ukazywać sylwetki mężczyzn oraz niestrudzone siekiery w ich dłoniach. Pozostali żołnierze wspinali się na podcięte drzewa i oplatali je linami, a potem inne grupy obalały je, ciągnąc pospołu.

Od rosnącej z każdą chwilą poręby biegła w lewo droga prowadząca na skraj lasu. Dalej widoczny był Nowy Hobart, otoczony pierścieniem świateł, których część przemieszczała się wraz z patrolami. Ruszyliśmy w prawo, trzymając się kilkadziesiąt metrów od pochodni, i zaczęliśmy okrążyć karczowisko. Wydawało mi się, że zdążyłam już przywyknąć do hałasu, jednak im dłużej tam przebywaliśmy, tym brutalniejsze robił na mnie wrażenie. Raz na jakiś czas czyjś rozkazujący głos oznajmiał upadek kolejnego drzewa i mężczyźni usuwali się z drogi. Najpierw dawał się słyszeć rozdzierający jęk, a potem pień z łoskotem lądował na ziemi.

Kiedy jednak dotarliśmy na skraj poręby i zaczęliśmy podkradać się bliżej, zaczął mnie cieszyć ten huk. Las za naszymi plecami przerzedzał się i stopniowo przechodził w równinę prowadzącą do Nowego Hobartu. Tumult zdawał się nas osłaniać w równym stopniu co drzewa. Powietrze na porębie kotłowało się od dźwięku. A przed nami płonęły ustawione wkoło pochodnie. Powtarzałam sobie, że pierścień ognia nadaje Kimie i mnie wygląd cieni. Otworzyłam worek i sięgnęłam po zapalki.

Gdyby obserwował nas ktoś stojący na karczowisku, dostrzegłby w ciemności nikły błysk, a potem drugi, tuż przy ziemi. Chwilę później płomień się rozdzielił i obie jego części zaczęły się poruszać szybko i nisko, często przystając, po obwodzie poręby. W miejscach, w których się zatrzymywaliśmy, ogień zostawiał swój ślad i tłę się, rodził kolejne płomienie, czasem na poziomie gruntu, czasem pośród nisko zawieszonych gałęzi. Ogień rozniósł powtarzaną szeptem nowinę po północnej krawędzi wyrębu, a dwie podskakujące pochodnie ruszyły dalej, tam gdzie niskich zarośli nie trzeba było długo namawiać do przejścia płomieni, a ogień mógł radośnie ruszyć swoją drogą.

Zdałam sobie sprawę, że już nie jesteśmy tutaj potrzebni: długi na jakieś pięćset metrów ognisty szlak, który wyznaczyliśmy, utrwał się, a płomienie łączyły się ze sobą, tworząc ciągłą linię. Ta z kolei sięgała coraz wyżej, wspinając się po krzewach i listowiu drzew. Nie byliśmy w stanie biec szybciej niż sam ogień. Szept płomieni stał się ochoczo roznoszoną plotką. Ogień niesiony wiejącym na północ wiatrem podpełzł do pochodni stojących w schludnym kręgu na skraju karczowiska, po czym je pochłoniął.

Wcześniej wydawało mi się, że dźwięków karczowania nie da się zagłuszyć, ale gdy tylko ogień urósł w siłę, zaczął wytwarzać swój własny hałas: niski, gardłowy ryk, w którym zginął stukot siekier. Nadal rozlegały się okrzyki, lecz teraz były one bardziej ponagłujące i rozchodziły się po okolicy równie sprawnie co sam pożar.

Nie mogliśmy już dłużej zwlekać. Kiedy zaczęliśmy biec, miałam wrażenie, że znów tak jak wcześniej panicznie uciekamy przez las, tyle że tym razem pościg nie był wyimaginowany, a gorący wiatr przypominał nam o ogniu, który przemieszczał się wraz z nim. Las wypełniały teraz zarówno światło, jak i ciemność: noc zgęstniała od dymu, lecz jednocześnie rozżarzył ją blask posuwającego się naprzód ognia. Kilkakrotnie Kima zostawał w tyle, a ja obracałam się, żeby odszukać go wzrokiem i przypomnieć sobie, że to ja go do tego namówiłam. Za każdym razem jednak, gdy doganiał mnie na tyle, bym mogła dostrzec więcej niż tylko sylwetkę, widziałam, że na jego twarzy maluje się coś w rodzaju radości.

Miałam zamiar kierować się na południe, ale gdy drzewa zaczęły się przeredzać, stwierdziłam, że musieliśmy zboczyć na południowy zachód, w rezultacie czego znaleźliśmy się na zachodnim skraju lasu. Za nami, na wschodzie, rozciągała się ognista kraina, a przez odległość i słupy dymu nie mogliśmy już dostrzec Nowego Hobartu. Nie byłam pewna, czy do wschodniej granicy lasu doprowadził mnie instynkt wizjonerki, czy też ślepy traf. Wystarczyło jednak spojrzeć na horyzont, aby zrozumieć, że gdybyśmy zostali wśród drzew, nie byłibyśmy w stanie długo wyprzedzać płomieni. Natomiast na równinie, która gwałtownie przechodziła w trzęsawiska, ogień trzymał się na dystans. W rosnącej na skraju lasu długiej trawie co prawda pojawiały się pojedyncze płomyki, ale szybko gasły.

Zatrzymaliśmy się jakieś półtora kilometra od lasu. Weszliśmy po kolana do jakiegoś stawu, żeby napić się wody i ochłapać sobie twarze. Kima miał całą buzię umazaną sadzą, a gdy spuściłam wzrok, zobaczyłam, że z moich rąk spływa czarna woda. Gdy wyszliśmy z bajorka na trawiasty brzeg, okazało się, że mam na łydkach linię, powyżej której skóra była umazana popiołem. Nawet w tak dużej odległości od ognia dym wdzierał nam się do płuc. Obmyłam obtarte dłonie i kolano i usunęłam z nich kilka kawałków żwiru. Następnie wyjęłam z worka nóż

i wycięłam z worka dwa kawałki płótna. Namoczyłam je w wodzie, po czym jednym obwiązałam sobie twarz, a drugi umocowałam wokół głowy Kimy. Widziałam, że szeroko się uśmiecha, chociaż jego usta zasłaniała prowizoryczna maska.

– Skąd ten entuzjazm? – spytałam. – Wcześniej niezbyt podobał ci się pomysł z pożarem.

Mój głos był stłumiony, ale wilgotne płótno ułatwiało oddychanie.

– Wiem – odparł, zarzucając na ramię worek, gdy ruszyliśmy wzdłuż ściany dymiącego lasu. – Ale miło było w końcu się czymś zająć.

– Ostatnich kilku miesięcy nie spędziliśmy przecież na wczasach – zauważyłam.

– No wiem, ale to co innego: wcześniej tylko przed nimi uciekaliśmy, a tym razem zadaliśmy im poważny cios.

Parsknęłam śmiechem.

– Gdy nie tak dawno temu próbowałam cię do tego przekonać, mówiłeś co innego!

Kima też się zaśmiał.

– Musisz zrozumieć, że wtedy jeszcze nie byłem zatwardziałym sabotażystą – odparł.

Popchnęłam go figlarnie, sprawiając, że zsunął się z trawy do płytkiej wody. Zamachnął się nogą, żeby mnie ochlapać. Na tle ognia i dymu byliśmy niczym dwie maleńkie figurki snujące się pośród trzęsawisk.

Pożar widać było przez trzy dni: najpierw w postaci masy dławiącego dymu i czerwonej poświaty, a później jako czarny całun wiszący nad horyzontem niczym przedwcześnie zapadły zmrok. Trzeciej nocy ze wschodu nadeszła ulewa i gdy się obudziłam, po ogniu nie było już śladu, a horyzont został wytarty do czysta.

Od pożaru wyczuwałam Wyspę jeszcze wyraźniej niż przedtem. Przyciągała mnie do siebie. Była niczym drzazga uwięziona pod skórą, powoli wynurzająca się na światło dzienne. Jednak w dalszym ciągu towarzyszyła mi również świadomość, że Spowiedniczka wciąż mnie poszukuje, i świadomość ta sprawiała, że nawet niebo traktowałam nieufnie i wzdrygałam się, kiedy moją skórę musnął byle owad.

Gdy o świcie zbudziłam się z krzykiem, zaspany Kima spytał:

– Które z nich tym razem?

– Co takiego? – odpowiedziałam pytaniem, siadając.

– Ostatnio śnią ci się Wyspa, Spowiedniczka albo Wybuch. Po krzyku zgaduję, że chodziło o któreś z ostatnich dwójki.

– To znowu była ona – wyjaśniłam.

Kiedy teraz śniła mi się Spowiedniczka, była wściekła. Przecinała nocne

niebo niczym bicz ściskany przez żołnierza z Nowego Hobartu.

Gdy ponownie się ułożyłam, tym razem bliżej Kimy, ucieszyłam się, że pod plecami mam szorstką trawę, która drapie mnie i uwiera, powstrzymując przed przeniesieniem się w krainę snów.

– Mogłem się domyślić, że to o nią chodzi – powiedział Kima, przykrywając mnie kocem, który skopałam z siebie, rzucając się pod wpływem koszmaru. – Najgłośniejsz krzyczysz, kiedy śni ci się Spowiedniczka.

– Wybacz. Zdaję sobie sprawę, że to mało subtelne.

Wzruszył ramionami.

– Dzięki twoim wizjom dotarliśmy aż tutaj. To, że od czasu do czasu sobie pokrzyczysz, jest efektem ubocznym, który jestem gotów znosić. – Na chwilę zapadła cisza przerywana bzyczeniem komarów. – Trochę się jednak dziwię. Wiem, że ze Spowiedniczki jest kawał łajdaczki, ale jakim cudem wizje z jej udziałem przerażają cię bardziej niż te przedstawiające Wybuch? Nie może być przecież gorsza od końca świata.

Wiedziałam, że trudno to będzie wyjaśnić, nawet Kimie. Wybuch budził inny rodzaj grozy: wywołane przez niego zniszczenie było absolutne, bezsporne. Cały świat ogarnęła wówczas pożoga. Spowiedniczka nie była gorsza od Wybuchu – nic nie mogło być od niego gorsze. Jednak Wybuch wszystkich traktował jednakowo, podczas gdy nienawiść Spowiedniczki była ukierunkowana. Wybuch nie potrafił nienawidzić – stanowił ucieleśnienie czystej destrukcji. Obracał w płomienie zarówno wrogość, jak i wszystko inne. Z kolei nienawiść Spowiedniczki była pulsująca. Odczuwałam ją nieustannie, o wiele wyraźniej niż wtedy, gdy tkwiłam w celi. Wówczas okazywała mi tylko pogardę lub sporadyczną frustrację. Kiedy udało mi się przed nią obronić, odpowiadając jej tym samym i w rezultacie ujrzeć pełną przewodów komnatę kryjącą się w jej myślach, zareagowała złością, ale nawet ta nie dorównywała furii, którą obecnie przesycone było powietrze. Od ucieczki z Wyndham jej gniew towarzyszył mi nieodłącznie niczym bagienne insekty. Rozpoznawałam ją tak, jak rozpoznaje się starą kompankę: był to ten sam typ odrazy, jaki dostrzegałam kiedyś u Zacha.

Tamtego dnia z zachodu nadjechało sześciu konnych. Pośród mdłych połaci moczarów białe rumaki i czerwone bluzy jeźdźców widać było z daleka. Kima ich dostrzegł, po czym rzuciliśmy się na ziemię, a potem popęzliśmy schronić się w szuwarach rosnących na brzegu stawu.

– Nie dojrzą nas z takiej odległości, co? – spytał Kima.

– Jeśli nie będziemy się ruszać, to nie. I jeśli nam się poszczęści.

Staliśmy po pas w nieruchomej wodzie pokrytej zieloną warstwą.

– Nie wiem jak ty – odezwał się po chwili, marszcząc nos na widok nieapetycznego nalotu – ale ja w tej chwili nie czuję się zbyt wielkim szczęściarzem.

Jeźdźcy posuwali się wolno przez trzęsawiska, więc większą część poranka spędziliśmy w wodzie, obserwując majaczące na horyzoncie konie.

– Nie jadą w tę stronę – stwierdził w końcu Kima, czym w równej mierze wyraził nadzieję i podzielił się ze mną swoją obserwacją.

– Kierują się prosto na wybrzeże – zgodziłam się.

Nazajutrz odkryliśmy jednak, że żołnierze zatrzymywali się po drodze. Natknęliśmy się na osadę: w wilgotnej niecce nieopodal niewielkiego lasu garstka chat chyliła się ku sobie. Zachowując dystans, przekradliśmy się obok domków pod osłoną szuwarów, lecz nawet z oddali dostrzegliśmy szubienicę. Wyglądała na nową. Drewno, z którego została wzniesiona, wydawało się świeże, a poza tym była jedynym pionowym elementem w okolicy, który nie zdążył jeszcze się zagłębić w niepewną bagnistą glebę – starsze budowle pochylały się nad ziemią pod różnymi dziwnymi kątami. Z górnej belki, opatrzonej symbolem Alf, zwisała na łańcuchu klatka przypominająca groteskowo powiększoną klatkę dla ptaków. Ciało skulone między prętami, kontrastując z idealnie pionowymi płaszczyznami szubienicy, sprawiało wrażenie jeszcze bardziej uszkodzonego, niż było. Kobieta miała tylko jedną nogę i nawet z daleka mogliśmy dostrzec, że pod wpływem chłosty tył jej koszuli rozpadł się na strzępy, a plecy spłynęły krwią. Wiejący od bagien wiatr oraz sporadyczne ruchy więźniarki huśtały klatką, przez co nieszczęsna wyglądała, jakby przyglądała się horyzontowi zza zamkniętych powiek.

Przez resztę dnia to biegliśmy, to maszerowaliśmy, ale nawet gdy osada zniknęła nam z oczu, a trzęsawiska pozostawiliśmy daleko w tyle, wydawało mi się, że słyszę dźwięk kołyszącego się w powietrzu łańcucha.

– Musimy zacząć się przemieszczać w nocy, a w dzień na zmianę pełnić straż – oznajmiłam.

Do Wyspy ciągnęła mnie już nie tylko potrzeba uzyskania odpowiedzi na pytania, lecz także paniczny strach. W żadnym innym miejscu tego zdewastowanego świata nie mogliśmy się czuć bezpieczni. Ani w Nowym Hobarcie, ani nawet na odludnych moczarach.

– Co według ciebie zastaniemy na Wyspie? – spytał Kima. – Co, jeśli nie będzie to ruch oporu, na spotkaniu z którym nam zależy?

– Nie wiem, czy Wyspę zamieszkują rebelianci, pustelnicy, czy jakaś grupa pośrednia. W każdym razie jest to miejsce wyłączone spod kurateli Alf, przeznaczone jedynie dla Omeg. A to wystarcza, żeby Rada poczuła się zagrożona. Sam widziałeś, jak chłostę w Nowym Hobarcie obserwował cały tłum ludzi i nikt nie odważył się pisnąć ani słowa. Bo do tej pory nie było alternatywy: rządy Alf trwają od zawsze. Z tego właśnie względu Wyspa napawa Radę przerażeniem. Wystarcza sama idea, że świat mógłby wyglądać inaczej.

– Ale skoro Rada przez tyle czasu nie była jej w stanie znaleźć, skąd wiesz,

że nam się to uda? – spytał Kima.

Wzruszyłam ramionami.

– Jestem tego pewna tak samo, jak byłam pewna istnienia jaskini i tunelu pod Wyndham.

Kima przyjrzał mi się uważnie.

– To mi chyba wystarczy – powiedział.

– Nie bądź tego taki pewien – odparłam. – Może i wiem, dokąd chcemy dotrzeć, ale droga tam to całkiem inna sprawa. Jeśli rozpęta się sztorm, nasze szanse gwałtownie się zmniejszą. Wyspa leży daleko od lądu, a pogodę nawet mnie ciężko jest przewidzieć. Poza tym nigdy wcześniej nie siedziałam w łodzi.

– No cóż, miejmy nadzieję, że przed pobytem w zbiorniku byłam wyśmienitym żeglarzem – westchnął Kima.

Jednak tym razem w jego głosie nie pobrzmiewała wesołość, do której zdążyłam się już przyzwyczać. Ta bowiem została na bagnach i bujała się na szubienicy.

Podróż z Nowego Hobartu na wybrzeże zajęła nam prawie dwa tygodnie marszu – głównie nocą, a czasem i przez połowę dnia. Przynajmniej mieliśmy ekwipunek otrzymany od Elsy i szło nam się łatwiej po opuszczeniu moczarów i wkroczeniu na rzadko zalesioną równinę. Jedzenia starczyło na pięć dni, choć chleb sčerstwiał już po dwóch. Potem byliśmy zmuszeni szukać pożywienia na własną rękę. Jajami odkrytymi w gnieździe ulokowanym na nisko zawieszony gałęzi, upieczonymi na opornym ogniu, posilaliśmy się przez kolejne dwa dni. Im bardziej oddalaliśmy się od trzęsawisk, tym mniej było grzybów, ale te, które udało nam się znaleźć, okazywały się większe i mniej przesycone wilgocią. Krajobraz stawał się coraz bardziej surowy, w miarę jak zbliżaliśmy się do morza, jednak po rozmokłych, pełnych okrężnych ścieżek moczarach z radością powitałam suchość skalistych wzgórz. Za dnia kryliśmy się pod wielkimi białymi głazami, czuwając na zmianę. Niczego jednak nie dostrzegliśmy.

O świcie dziesiątego dnia, kiedy otarcia na moich dłoniach i kolanie zdążyły się już całkowicie zagoić, poczuliśmy zapach morza. Co prawda nie wiedzieliśmy, że to ono, domyślaliśmy się jednak, iż słonawa ostrość powietrza zwiastuje bliskość wybrzeża. A potem, wychodząc zza szczytu wzgórza, ujrzelśmy je po raz pierwszy – znajdowało się na tyle blisko, by dało się dojrzeć fale rozpryskujące się o niższe klify.

– Jak myślisz, widziałeś je już kiedyś? – spytałam, gdy usiedliśmy w wysokiej trawie, zapatrzeni w punkt, gdzie kończyły się klify, a zaczynał rozhuśtany błękit.

– Nie wiem – odparł Kima, mrużąc oczy.

Nawet jeśli już kiedyś miał okazję oglądać morze, niczego nie pamiętał, gdyż wpatrywał się w nie z równie wielkim zadziwieniem co ja. Była to kolejna rzecz, którą mu odebrano. Zbiornik mógł pochłonąć nawet morze.

Przytuliłam się do niego. Siedzieliśmy tak przez co najmniej godzinę, obserwując fale droczące się z brzegiem. Gdzieś tam, pośród bezmiaru wody, leżała Wyspa. A my, zmęczeni i wychudzeni, niemający absolutnie żadnej wiedzy żeglarskiej, mieliśmy zamiar ją odnaleźć, osiąść sekret morza.

Następnego dnia natknęliśmy się na wioskę rybacką. Pochłodniało, więc dym buchający z kominów zobaczyliśmy z odległości kilku kilometrów. Miejscowość była spora – na szczycie klifu zgromadziło się jakieś sześćdziesiąt domów. Stado czarno-białych krów pasących się nieopodal stanowiło wystarczający dowód na to, że wioska należy do Alf, mimo iż na drewnianym znaku wbitym z dumą obok głównej ścieżki nie widniał ich symbol. Na wschodzie, w miejscu gdzie klif opadał gwałtownie ku niewielkiej zatoczce, biegł szlak. Mieszkańcy wioski wczesnym rankiem schodzili tamtędy do łodzi, wracali po południu, a starcy i dzieci pomagali im rozładowywać sieci pełne ryb. Patrzenie na to było najgorsze – ze skalnej półki widzieliśmy łuski błyszczące w słońcu. Nie mieliśmy niczego w ustach od półtora dnia i nasz głód prawie już dorównywał wielkością lękowi przed pościgiem. Musieliśmy poczekać, aż zapadnie zmrok, żeby zejść na nabrzeże. Było wystarczająco jasno, aby poradzić sobie bez światła, chociaż wąską ścieżką poruszaliśmy się powoli, krzywiąc się za każdym razem, gdy poruszony stopą kamyczek z klekotem turlał się w dół.

Przy wejściu na molo stado mew kłębiło się przy wielkim trzciniowym koszu, w którym leżały ryby odrzucone po połowie. Gdy się zbliżyliśmy, ptaki zaczęły skrzeczeć tak przeraźliwie, że byłam pewna, iż postawią na nogi całą wioskę. Było mi już jednak prawie wszystko jedno, a mewy odleciały, odsłaniając stertę ryb i podrobów. Krzywiąc się, sięgnęliśmy pod górne warstwy, na których żerowały ptaki, i udało nam się znaleźć nietknięte ryby. Były maleńkie – niektóre miały rozmiar mojego małego palca – ale jędrne i niezepsute. Nieśliśmy zdobycz usianym kamyczkami brzegiem, aż nabrzeże zniknęło nam z oczu; dopiero wówczas odważyliśmy się rozpalić niewielkie ognisko, żeby upiec ryby. Delektowałam się każdym kęsem. Przyjemność sprawiało mi nawet wyciąganie ości spomiędzy zębów i oblizywanie zatłuszczonych palców. Policzek Kimy został namaszczone srebrem w miejscu, gdzie przykleiło się do niego kilka łusek. Odbijał się w nich blask ognia, gdy siedzieliśmy po obu stronach kopczyka z rybich resztek i wpatrywaliśmy się w morze.

– Wiesz, moglibyśmy tu zostać – stwierdził Kima. – Nie byłoby nam tu źle.

Przesunęłam językiem po zębach, szukając ości.

– Spać pod klifem i każdej nocy zakradać się na nabrzeże, żeby stoczyć walkę z mewami o odpadki wyrzucone przez Alfy? – spytałam.

– To wcale nie musiałyby tak wyglądać. Moglibyśmy pójść dalej wzdłuż wybrzeża. Sami łapalibyśmy ryby. Zbudowalibyśmy sobie chatkę.

Pokręciłam głową.

– Naprawdę myślisz, że w końcu by po nas nie przyszli?

Pomyślałam o czujnym wzroku Spowiedniczki – świadomość jej obecności nie opuszczała mnie ani na chwilę. A potem o ubranych na czerwono jeźdźcach przemierzających moczary oraz wychłostanej kobiecie uwięzionej w klatce. Jechali po nas.

– A nawet gdyby nas nie ścigano, wydaje ci się, że ktoś pozwoliłby Omegom mieszkać w takim miejscu? Na samiutkim wybrzeżu, gdzie roi się od ryb? Nawet gdyby nie przyszli po nas ludzie Zacha, z pewnością zostalibyśmy stąd przepędzeni.

Kima cisnął kamyk do wody.

– Może i masz rację – przyznał. – Myślałem, że pamiętam, jak działa ten świat, nawet jeśli nie mogę sobie przypomnieć, jakie zajmowałem w nim miejsce. Zapomniałem jednak, że życie jest aż tak ciężkie.

Wzruszyłam ramionami.

– To nie twoja wina – zauważyłam. – Z każdym rokiem jest coraz gorzej. Nie wiemy, jak dużo czasu spędziłeś w zbiorniku. Dziesięcina zaczęła rosnać dopiero, kiedy nastąpiła susza. A zakaz budowy osad nad rzekami i morzem pojawił się jeszcze później. Nina mówiła, że wtedy, gdy w Radzie zasiadała Pani Generał. Co do obowiązku rejestracji i odcinania miast, jest to dla mnie równie wielkie zaskoczenie co dla ciebie.

Kima obracał w palcach kamyk, jakby próbował określić jego masę.

– A jak jest gdzie indziej? – spytał.

– Obecnie wszędzie jest tak samo, podobno nawet na wschodzie.

– Chodziło mi o Zamorze. To z opowieści. Całkiem inny ład położony za wielką wodą. Myślisz, że może istnieć naprawdę? Miejsce, w którym życie wygląda inaczej?

Spoglądając na ciągnące się w nieskończoność morze, trudno było sobie wyobrazić, żeby na jego krańcu kryło się coś jeszcze.

Wzruszyłam ramionami.

– Może i kiedyś istniało – odparłam. – Na razie sama Wyspa wydaje się wystarczająco odległa. Musimy się na nią dostać i odszukać ruch oporu Omeg, opowiedzieć im o tym, co wiemy.

– A co właściwie wiemy? – spytał Kima. – Bo czasami mam wrażenie, że od opuszczenia Wyndham nie dowiedzieliśmy się nic więcej oprócz tego, które grzyby nie nadają się do jedzenia. Nadal nie wiemy niczego ani o mnie, ani o zbiornikach.

Rozumiałam jego frustrację, ale pokręciłam głową.

– Uważam, że wiemy więcej, niż zdajemy sobie z tego sprawę. Mam na myśli Zacha i plany, o których wspomniał w dniu mojej ucieczki: represje wymierzone w Omegi, obowiązek rejestracji, próby inwigilacji.

– Pewnie, wiemy o tym wszystkim, tyle że to nie ma sensu – odparł Kima. – Zach może i jest szalony, ale nie jest głupi. Po co miałyby nas doprowadzać do skrajnego głodu? Nawet przytułki nie pozwolą utrzymać sytuacji w ryzach. – Potarł wiecznie zmęczone oczy grzbietem dłoni. – Odbierają nam wszystko, kawałek po kawałku. Zaczynają torturować i chłostać ludzi tylko po to, żeby wysłać dobitny komunikat.

Kima nie musiał mówić na głos tego, czego oboje się obawialiśmy. Czego ciężar spoczywał na naszych barkach od momentu, gdy zobaczyliśmy klatkę wiszącą na szubienicy: to my byliśmy adresatami owego komunikatu.

Cisnął kamykiem w morze.

– Nie potrafię już zrozumieć tego świata – stwierdził.

Poszłam w jego ślady i również wrzuciłam kamyk do wody, po czym spytałam, nie patrząc na Kime:

– Obwiniasz mnie o to, czego dopuszcza się Zach?

Tym razem to on wzruszył ramionami.

– Wsadził mnie do zbiornika, a ty mnie z niego wyciągnęłaś. Wasz wspólny bilans dokonań wychodzi więc na zero.

– Pytam poważnie – oznajmiłam.

Obrócił się do mnie.

– Obwiniam Zacha. Wiem, że twoim zdaniem to jedno i to samo, ale wcale tak nie jest. Jego plany są jego planami. Ty i twój brat jesteście dwiema różnymi osobami.

– Bez wątpienia zgodziłby się z tobą w tej kwestii – stwierdziłam.

Morze oddychało, obryzgując nam stopy pianą.

Często rozmyślałam o Zachu: zastanawiałam się, co porabia, gdzie się znajduje. Jeszcze częściej myślałam jednak o Spowiedniczce. Nawet w świetle księżyca, który dopiero co wyszedł z pełni, byłam świadoma jej obecności pośród nocnego nieba, jej nieustających poszukiwań.

Jeszcze tej samej nocy wsiedliśmy do łodzi. Obawiałam się żeglować w ciemności, ale blask księżyca stawał się coraz jaśniejszy. Przyglądaliśmy się większym kutrom, na których pokładach kłębiły się kołowrotki i zwoje sieci, ale w końcu ukradliśmy maleńką łódź. Wydawało mi się, że większa zapewniłaby nam lepsze bezpieczeństwo na otwartym morzu, lecz Kima zauważył, że zaledwie trzy ręce, jakimi dysponowaliśmy, nie pozwolą nam poradzić sobie z mnogością lin oraz krążków linowych.

– I co, nie przypominają ci się żadne elementy wiedzy żeglarskiej? –

spytałam półzartem, a gdy Kima wyznał, że widok lin i knag wpędza go w równie wielką konsternację co mnie, zadowoliliśmy się najmniejszą łajbą: czerwoną łódeczką ze schludnie ułożoną na dnie parą długich wiosł, wiadrem stojącym obok rumpla oraz małym białym żaglem owiniętym wokół masztu.

– Domyślam się, że nie uznasz tego za wystarczającą wymówkę, żebym nie musiał wiosłować? – spytał Kima, wskazując wzrokiem na swój pusty lewy rękaw, gdy schodził po drabince do łodzi.

– Dobrze się domyślasz – odparłam, łapiąc się mola, żeby unieruchomić żaglówkę, by ułatwić Kimie wgramolenie się do środka. Następnie wzięłam od niego linę, którą odwiązałam od pomostu. – Tak naprawdę to powinnam kazać ci wiosłować w pojedynkę, skoro mam się zająć nawigacją. Chyba jednak będę musiała ci pomóc, o ile nie chcemy pływać w kółko. – Rzuciłam linę na dno łodzi, u stóp Kimy. – W każdym razie, jeśli zerwie się wiatr, możemy się nauczyć, jak używać żagla – dodałam.

– Lepiej uważaj z takimi życzeniami – odparł Kima. – Moim zdaniem, dopóki siedzimy w tej łupinie, im mniej wiatru, tym lepiej.

– Zobaczmy, co powiesz po godzinie wiosłowania.

Zawsze kochałam wodę, bo wychowałam się nad rzeką, jednak to było co innego: nawet w spokojną noc, taką jak ta, wzbierające pod nami morze stanowiło o wiele bardziej natarczywy i gwałtowny żywioł.

Odnosiłam wrażenie, że okropnie hałasujemy, wykonując manewry, a ocieranie się naszej żaglówki o inne łodzie wydawało mi się strasznie hałaśliwe, ale na szczęście na biegnącej z góry ścieżce nie pojawiły się żadne światła. Po kilku minutach wiosłowania znaleźliśmy się już u ujścia zatoczki, gdzie fale były wyższe. Raz jeszcze przypomniał mi się Zach. Swego czasu często bawiliśmy się w rzucanie z mostu pustych strąków grochu, żeby zobaczyć, który szybciej spłynie z nurtem rzeki. Miałam wrażenie, jakbyśmy siedzieli teraz z Kimą w jednym z takich strąków pośród ogromu wody.

Rozdział siedemnasty

Dobrze, że zawierzyłam impulsowi, który kazał mi wypłynąć tamtej nocy: pogoda okazała się wyśmienita, a światło księżyca było tak jasne, że jeszcze kilka godzin po odbiciu od mola widzieliśmy za sobą łąd. Później, gdy brzeg zniknął nam z oczu, fale zaczęły sięgać do pasa, ale ich ruch był jednostajny i rytmiczny. Odkryliśmy, że jeśli łódź ustawimy dziobem do nich i nie pozwolimy jej się obrócić, fale nie sprawią zbyt dużego problemu. Po krótkich zmaganiach udało nam się postawić żagiel oraz nauczyć się prowadzić żaglówkę pod wiatr zygzakowatym kursem. Kima raz na jakiś czas zerkał w punkt, gdzie wcześniej widać było wybrzeże, ale pewność, z jaką odgrywałam rolę przewodniczki, wydawała się go uspokajać. W pewnym momencie, jakąś godzinę przed świtem, poradziłam mu, aby zwolnił.

– Niedaleko przed nami, pod powierzchnią wody, znajduje się skała; lepiej, żebyśmy na niej nie utknęli – ostrzegłam.

Czułam jej obecność niczym rzęsę w oku albo kawałek żwiru w bucie: była niezbyt wielka, lecz nie dało się jej zignorować.

Nawet w ciągłym blasku księżyca nie potrafiliśmy dostrzec niczego w ciemnej toni, wyciągaliśmy więc szyje we wszystkie strony, starając się utrzymać łódź dziobem do fal. Nagle zawołałam do Kimy, żeby mocno szarpnął rumplem w lewo, a sama wbiłam swoje wiosło w wodę. Gdy łajba ostro skręciła w prawo, niecały metr od lewej burty ujrzeliśmy inny odcień czerni. Pochłonęła ją następna fala, ale już chwilę później dostrzegliśmy raz jeszcze zarys zębatego grzbietu skały.

Od tamtej pory Kima nie zadawał już pytań na temat odległości do celu, tylko pozwalał mi w skupieniu mrużyć oczy. Przetrwaliśmy dzień, wydzielając sobie wodę skromnymi łyżkami. Potem nadeszła noc, która przyniosła trochę wytchnienia, chociaż wyglądało na to, że wzbierająca ciemność rozszerza ogrom morza. W końcu w wodzie nie dało się już niczego dostrzec, ale przynajmniej księżyc przyświecał na tyle jasno, żeby widzieć cokolwiek. Kiedy zaczęło świtać i fale zmały, postanowiliśmy się na zmianę zdrzemnąć. Położyłam się spać pierwsza, nie byłam jednak w stanie wykorzystać wyznaczonego mi czasu. Miałam nadzieję, że sen pozwoli mi zapomnieć o pragnieniu, ale gdy zamykałam oczy, suchość w ustach stawała się jeszcze bardziej dotkliwa, a język wydawał się w nich nie mieścić.

Kiedy przyszła kolej na Kime, on również przewracał się niezgrabnie z boku na bok, próbując w miarę wygodnie ułożyć się na dnie łodzi.

– Nawet na najgorszych moczarach i skałach, na których spaliśmy po ucieczce, tak nie bujało – stwierdził. – Ledwo jestem w stanie utrzymać otwarte powieki, ale za cholerę nie mogę zasnąć. Posuń się.

Kima wrócił na miejsce obok mnie i płynęliśmy dalej, podczas gdy za nami wstawało słońce.

Późnym popołudniem drugiego dnia, kiedy od słonego powietrza zdążyły już popękać mi wargi, natknęliśmy się na rafę. Oczekiwałam jej dzięki wizjom, ale nie spodziewałam się, że będzie ona stanowić aż tak zniechęcający widok. Z rozległej połaci morza wystawały bezlitosne skały: jedne sięgały nawet na wysokość dwóch metrów, inne kryły się tuż pod powierzchnią wody, a ich ostrość ukazywała się jedynie w zagłębieniach pomiędzy falami. Rafa ciągnęła się tak daleko, jak byłam w stanie sięgnąć wzrokiem, i przypominała usianą głazami równinę otaczającą osadę, w której stała chata Alice.

Wiatr zelżał, ale precyzyjne sterowanie łodzią nadal było trudne, a przy postawionym żaglu wręcz niemożliwe, opuściliśmy go zatem i zaczęliśmy niepewnie wiosłować pośród nadziewanych skałami grzywaczy. Przestrzenie między fragmentami rafy miejscami były tak wąskie, że musieliśmy wciągać wiosła do wnętrza łodzi. Jeśli choć na chwilę zdarzyło mi się stracić koncentrację, skały natychmiast zaczynały się ocierać o dno żagłówki. Po dwóch godzinach naszym oczom ukazała się Wyspa: usiana była skałami równie ostrymi co rafa, z tym że miała kształt stożka i górowała nad otoczeniem. Pod pewnym względem widok Wyspy sprawił, że podróż stała się jeszcze bardziej frustrująca, gdyż nie mogliśmy popłynąć prosto w jej kierunku. Zmuszeni byliśmy podążać ścieżkami wyznaczonymi przez rafę, zawiłym szlakiem, który równie często wydawał się prowadzić nas ku Wyspie co odsuwać od niej.

Po kilku godzinach zabłądziłam. W dalszym ciągu wyczuwałam skały zgromadzone pod łodzią, ale straciłam niewidzialną nić, której się do tej pory trzymałam. Leżałam na dziobie z dłonią przytkniętą do wody i przeglądałam w głowie kształty, które się w niej pojawiały. Przez prawie godzinę po prostu dryfowaliśmy, a Kima nerwowo badał wiosłem wodę i odpychał ostre skały czające się pod jej powierzchnią. Skrobanie rafy o dno łodzi przypominało niekończące się zgrzytanie zębów. Te kilkanaście centymetrów drewna było zaledwie cienką błonką oddzielającą nas od świata wypełnionego skałami i mroczną wodą. Starłam się skupić, ale rozpraszały mnie potrzeby fizjologiczne. Słońce prażyło bez litości, a mnie pękała głowa, pulsując w zgodnym rytmie z ruchem fal. Wargi wyschły mi tak bardzo, że pękały przy każdym grymasie, ociekając krwią, która nie była w stanie zaspokoić mojego pragnienia.

Nagle większa fala zarzuciła łodzią w bok i dziób utknął na ledwo widocznej skale. Gdy przód żagłówki się uniósł, rafa się osunęła. Kima zerwał się na równe nogi, ale i tak stał już po łydki w wodzie, a każda fala tylko podnosiła jej poziom. Łódź stęknęła, kiedy zaczął się gramolić na dziób. We dwoje wbiliśmy wiosła w rafę, żeby zepchnąć łajbę ze skały. Udało nam się, jednak łódź do połowy była wypełniona wodą, która mocno ją obciążała. A każda kolejna fala spychała ją na

zarłoczne skały.

Spróbowałam oczyścić umysł, ignorując wodę zbierającą się wokół kostek u moich nóg oraz zgrzyt kadłuba o kamień. Przypomniałam sobie, jak udało mi się zapanować nad własnymi myślami w Przechowalni, podczas przesłuchania prowadzonego przez Spowiedniczkę, i ponownie wyobraziłam sobie nóż do otwierania ostryg widziany w dłoni mamy wiele lat wcześniej. Przemieniłam swój umysł w ostrze.

I oto po raz kolejny ukazał mi się szlak wijący się pośród kawałków rafy. Wzięłam do ręki wiosło, żeby na nowo nas poprowadzić, i usłyszałam pełne ulgi westchnienie, jakie wydał z siebie Kima, po czym chwycił za wiadro i zaczął wylewać wodę z łodzi.

Jednak nawet po dotarciu do serca rafy, z którego wyłaniała się Wyspa, nie wiedzieliśmy, w jaki sposób dobić do jej brzegu. Wyspa wyrastała z morza znienacka, a jej czarne klify były strome i gładkie. Nie wyglądała na zamieszkaną i nie wiadomo było, jak się do niej zbliżyć, nie mówiąc już o przedostaniu się na brzeg. Przez ponad godzinę wytężałam wyczerpany umysł, żeby doprowadzić nas na wschodni kraniec Wyspy – kiedy się do niego zbliżyliśmy, dojrzelśmy szczelinę w klifie ledwo widoczną nawet z odległości kilku metrów. Jednak gdy przepłynęliśmy na drugą stronę pod stworzonym przez naturę sklepieniem przejściem, zanurzysz się w cieniu rzucanym przez strome brzegi, naszym oczom ukazała się niewielka przystań. Na wodzie kiwała się gromada statków, z których każdy był w innym kolorze. Wokół zatoczki ciągnęła się kamienista plaża, a na niej stała toporna wieża. Dwójka dzieci bawiła się na molo w świetle późnopołudniowego słońca.

Kima obrócił się do mnie. Jego skóra pokryta była brązowo-białymi cętkami od słońca i soli morskiej, a wargi popękane. Wyglądał niemal jak ktoś inny, dopóki nie wyszczerzył zębów w szerokim uśmiechu.

– To wszystko prawda – powiedział.

Podróż okazała się dla mnie piekielną przeprawą, ale przez cały czas wiedziałam, że na końcu czeka na nas Wyspa. Zdałam sobie jednak sprawę, że dla Kimy był to tylko przejaw wiary. Wiary w Wyspę, wiary we mnie. Gdy otoczyło nas nabrzeże, uniosłam wzrok na szczyt, który wyzywająco mierzył w niebo. Odpowiedziałam Kimie uśmiechem, który chwilę później przerodził się w śmiech, a on przyłączył się do mnie. Nasz rechot był ochryply, głosy mieliśmy przeżarte solą, ale nic ich już nie krępowało. Po raz pierwszy od momentu ucieczki z Wyndham było nam obojętne, że ktoś może nas usłyszeć. Mewy zerwały się z masztów zacumowanych statków, a dzieci wbiły w nas wzrok.

Gdy wiosłowaliśmy w kierunku pomostu, z którego dwójka dzieci obserwowała nas w milczeniu, zdałam sobie sprawę, że coś z nimi jest nie tak. Nie chodziło o deformacje, które wyraźnie rzucały się w oczy, ale nie stanowiły

rzadkości: chłopczyk był karłem o kończynach nieproporcjonalnie krótkich w stosunku do krępego korpusu, podczas gdy dziewczynka miała między palcami u rąk i u nóg błony pławne. Wiele razy widziałam tego typu rzeczy. Co w takim razie zwróciło moją uwagę? Dopiero gdy przywiązaliśmy linę do mola i wspięliśmy się po metalowej drabince, a dziewczynka uniosła dłoń, żeby odgonić muchę, uzmysłowiłam sobie, że żadne z nich nie zostało napiętnowane. Widok nieskazitelnej cery na ich czołach przepełnił mnie tak wielką przyjemnością, że zapomniałam o pragnieniu. Spojrzałam na Kimę i dostrzegłam, że on też musiał to zauważyć, gdyż wpatrzony w dzieci nieświadomie przesuwając palcami po swym własnym piętnie.

– Jesteście obcy? – spytał chłopiec.

Mój towarzysz przyklęknął obok niego, wskazał na mnie ruchem głowy i konspiracyjnym głosem oznajmił:

– Zgadza się, ja mam na imię Ob, a ona Cy.

Dziewczynka parsknęła śmiechem, ale chłopiec zachował poważny wyraz twarzy.

– Jeśli jesteście obcy, to musimy zawiadomić Owena – oznajmił.

– Dobry pomysł – zgodziłam się. – Może nas do niego zaprowadzicie?

Dzieci powiodły nas ścieżką wijącą się stromo w górę, ale nie zdążyliśmy przejść więcej niż kilka metrów, gdy z wieży wypadło trzech mężczyzn w niebieskich strojach i zaczęło biec w naszym kierunku. Kima uniosł dłoń w powitalnym geście, lecz mężczyźni nie zwolnili, a ja z niepokojem dostrzegłam, że trzymają w dłoniach miecze. Kima obrócił się do mnie.

– Nie mamy dokąd uciekać – stwierdziłam.

Byłam zbyt wycieńczona, żeby płakać. Czekaliśmy więc, aż wzniesiona dłoń Kimy z powitalnego zmieniła się w gest kapitulacji.

Rozdział osiemnasty

Dopadli nas niedługo potem. Mimo że chwilę wcześniej podniosłam rękę, podobnie jak Kimę powalono mnie na ziemię, a jeden z mężczyzn przycisnął mi plecy kolanem. Najroślejszy z nich przekręcił mi głowę na bok i szybko przesunął palcem po piętnie na moim czole, kiedy próbowałam wykaszeleć piasek z ust. Leżącemu obok mnie Kimie darowano podobne badanie, gdyż jego pusty rękaw mówił sam za siebie. Cała operacja odbyła się w całkowitym milczeniu, które przerywało posapywanie napastników. Kolano jednego z nich nadal wbijało mi się w kręgosłup, a dłoń przyciskała moją twarz do piasku.

W końcu odezwał się najwyższy z mężczyzn, ale zamiast do nas zwrócił się do dzieci:

– Ile razy przestrzegano was przed obcymi, co? Macie wołać strażę za każdym razem, gdy widzicie nieznaną łódź albo osobę.

– Właśnie do was szliśmy – zaprotestował chłopiec. – Wiedziałem, że to obcy.

– On nazywa się Ob, a ona Cy – dodała dziewczynka, chcąc pomóc.

Wyglądało na to, że niefrasobliwe zachowanie dzieci uspokoiło mężczyznę.

– Widzieliśmy ich ze strażnicy – poinformował dziewczynkę, po czym w końcu odezwał się do nas: – To naszym zadaniem jest witanie obcych.

Ruchem podbródka nakazał Kimie wstać, w czym dopomogło mu jego dwóch towarzyszy, którzy pociągnęli chłopaka do góry.

– Przyplłynęliście tutaj z łądu tym? – spytał, mierząc wzrokiem naszą łódkę. – Jakim cudem udało się wam pokonać rafę?

Kima posłał mi pytające spojrzenie. Mój policzek w dalszym ciągu wgniatały był w piasek, ale udało mi się nieznacznie kiwnąć głową.

– Ona знаła drogę – wyjaśnił Kima.

– Kto ci ją wyjawiał? – spytał mężczyzna tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Od kogo dostałaś mapę?

– Od nikogo – odparłam.

Jeden ze strażników opróżnił worek, który spadł mi wcześniej z ramienia, po czym rozdzielił stopą jego zawartość: pustą menażkę, nóż, zapalki oraz przemoczony koc.

Wysoki mężczyzna pochylił się nade mną, a następnie jedną ręką postawił mnie na nogi i zaczął przyglądać mi się z ciekawością, gdy otrzępywałam twarz z piasku. Strażnicy byli Omegami, każdy z nich został napiętnowany. Jeden był karłem, podobnie jak chłopiec, a drugi, brunet, trzymał miecz w zdeformowanej dłoni, której palce zrosnięte były w jeden wielki palec. Stopa najwyższego była pokręcona, mimo to jednak poruszał się niezwykle sprawnie. Zauważyłam, że wypatruje moich deformacji.

- Jesteś wizjonerką – stwierdził w końcu, nie bawiąc się w zbędne pytania.
- Przyśniła mi się ta wyspa – wyznałam.
- Sny to jedno, ale przebycie rafy to całkiem inna sprawa. Chyba że śnią ci się mapy?

Nie potrafiłam mu tego wytłumaczyć. Pamiętałam, jak mama ostukiwała bieloną wapnem ścianę w kuchni, gdy chciała wbić w nią gwóźdź na kolejny garnek, nasłuchując echa, które by wskazywało na obecność drewnianej belki za warstwą gipsu. Mój umysł badał wodę i rafę w podobny sposób: wsłuchiwał się w nie. Jak jednak miałam to wyjaśnić obcym mężczyznom stojącym nad nami z obnażoną bronią, tym bardziej że umierałam z pragnienia i w dodatku cała się trzęsłam.

W końcu kres dalszemu przesłuchaniu położyło nasze rzucające się w oczy wycieńczenie. Ja nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa, a stojący obok mnie Kima był jak zamroczony. Ciemnowłosa trącił wypytującego nas strażnika i szepnął:

- Dziś wieczorem już nic z nich nie wyciągniemy.

Rosły mężczyzna przez chwilę się w nas wpatrywał, po czym szybko powiedział:

- No dobrze. Na razie ich zamkniemy i zawiadomimy fort, a ich zabierzemy tam rano. Ale dziś w nocy podwoimy strażę we wszystkich posterunkach.

Nie mieliśmy nawet siły się sprzeciwić, gdy zamykano nas w niskiej chacie stojącej u podnóża wieży. Zabrano nam worek, lecz przynajmniej zostawiono nam jedzenie i świeżą wodę, która dla naszych przeżartych solą języków miała słodki smak. Gdy zgasła świeca, a na dachu przestały się kotłować mewy, spoczęliśmy na słomianej macie pod jedynym kocem, rozkoszując się stabilnością świata, w którym nie kołysało nas już morze. Zacumowane na nabrzeżu łodzie prowadziły nocne rozmowy, poskrzypując kadłubami i szarpiąc za boje.

- Naprawdę wydawało mi się, że będziemy tutaj bezpieczni – wyszeptałam.
- Wybacz.

- Cieszę się, że przynajmniej zeszliśmy w końcu z tej przeklętej łajby – odparł Kima.

Uśmiechnęłam się. Być może z racji tego, że tak często śniła mi się Wyspa, nie sprawiała ona dla mnie obcego wrażenia. Chociaż drzwi i okna były zamknięte, nie miałam problemu z zapadnięciem w sen.

- Ale przyjemnie było zobaczyć nienapiętnowane dzieci, co? – spytałam jeszcze cichym głosem.

- Istna ziemia obiecana, gdyby nie to, że siedzimy w areszcie – zauważył Kima. – To rozczulające, że darzysz tak ciepłymi uczuciami miejsce, w którym powitali nas uzbrojeni ludzie i bez wahania nas uwięzili.

Zaśmiałam się.

- Zach zawsze mawiał, że jestem naiwna – przyznałam.
- Nie sposób nie zgodzić się z bratem szanownej pani.

Obojgu nam kręciło się w głowach nie tylko ze zmęczenia, lecz także z ulgi wymieszanej ze strachem. Udało nam się dotrzeć na Wyspę, która do tej pory funkcjonowała jedynie w plotkach, była jak marzenie senne. Ale po raz kolejny uwięziono nas i poddano przesłuchaniom. Zdawałam sobie sprawę, że mam suche, popękane usta, ale gdy Kima przewrócił się na bok twarzą do mnie, odgarnął mi włosy z twarzy i położył dłoń z tyłu głowy, poczułam się zbyt zmęczona, by odmówić sobie szansy na ukojenie. Jego wargi też były popękane, a dłoń szorstka od wiosła, lecz pocałunek pozwolił mi o tym zapomnieć. A raczej nie tyle zapomnieć, ile czerpać satysfakcję z rozkosznego bólu, który zrodził się, kiedy nasze spierzchnięte wargi się połączyły. Całowanie Kimy przypominało przybicie do brzegów Wyspy: towarzyszył mu ten sam lęk oraz świadomość znalezienia się w bezpiecznej przystani.

O Kobziarzu najpierw usłyszałam od dzieci. Zbudziły mnie dźwięki ich zabawy przed chatą oraz kłótni o to, które z nich wcieli się w rolę Kobziarza. Myślałam, że to po prostu jedna z zabaw takich jak chowany, z udziału w których byliśmy z Zachem wykluczani, gdy dorastaliśmy w wiosce. Ale mężczyźni, którzy jakiś czas później otworzyli drzwi chaty, oznajmili:

- Zabieramy was na spotkanie z Kobziarzem.
- Jakim znowu kobziarzem? – spytał Kima.
- Jest tylko jeden Kobziarz – odparł wysoki strażnik, którego zapamiętaliśmy z ubiegłego wieczoru. – To on zadecyduje, czy będzie wam wolno tu zostać, czy nie.

Mężczyzna oddał nam worek, ale zauważyłam, że zabrano z niego nóż. Pod eskortą jego oraz trzech innych strażników zaczęliśmy się oddalać od wieży. Mężczyźni co prawda mieli ze sobą miecze, zachowywali się jednak dosyć przyjaźnie. Poprowadzili nas wąską ścieżką w kierunku szczytu wznoszącego się pośrodku wyspy. Droga była stroma, zwłaszcza dla kogoś tak zmęczonego jak ja, ale pocieszał mnie widok Kimy, który wcale nie był zdyszany mimo intensywnego marszu. Przez te wszystkie miesiące, które upłynęły od naszej ucieczki, bardzo się zmienił, a jego cera nie tylko straciła wcześniejszą bladość, lecz także woskowaty połysk. Nadal był szczupły, ale stał się silniejszy. W dalszym ciągu cechowała go też niezdarność, gdy wykonywał zadania wymagające użycia obu rąk, lecz zakładałam, że i to minie, tak jak miałam nadzieję, że otrząśnie się z amnezji.

Rosły mężczyzna przedstawił się jako Owen. Nadal rozmawiał z nami zdawkowo, ale ciekawość brała nad nim górę.

- Jak wygląda sytuacja z Radą? – spytał. – Macie jakieś wieści z osad

położonych na wschodzie?

Uśmiechnęłam się do Kimy, który odpowiedział mi tym samym. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wiemy jednocześnie za mało i zbyt wiele.

– Wybacz, lecz nie jesteśmy najwłaściwszymi osobami, które mogłyby udzielić odpowiedzi na to pytanie – odparłam.

– Ukrywaliście się tak długo, że przestały docierać do was wiadomości? Czy po prostu mieszkaliście na odludziu?

Wzdrygnęłam się na myśl, jak absurdalnie zabrzmiałaby prawda.

– Byliśmy... w podziemiu. Bardzo długo. Ja przez kilka lat, a Kima pewnie jeszcze dłużej. Tak nam się wydaje.

Owen uniósł brwi.

– Lepiej uzgodnijcie szczegóły swojej historii przed spotkaniem z Kobziarzem – poradził. – On nie będzie się z wami certolił.

– Nie za bardzo mamy co uzgadniać – odparłam. – To znaczy jest pewna historia, ale nie do końca ją znamy.

– W moim przypadku więcej jest pytań niż odpowiedzi – dodał Kima.

Idący przed nami Owen zatrzymał się i uznałam, że ma zamiar dalej drażnić ten temat, jednak zamiast tego obrócił się do skalnej ściany wznoszącej się nad ścieżką i odgarnął sięgające ziemi pnącza wisterii. Zza rośliny wyłoniły się umocowane bezpośrednio w skale drzwi, których zardzewiały metal niewiele różnił się barwą od powierzchni piaskowca. Drugi mężczyzna podszedł z kluczem w dłoni, a potem we dwóch wepchnęli drzwi do środka. Wewnątrz biegł wąski tunel oraz strome schody prowadzące w mrok. Zacisnęłam szczęki na myśl o znalezieniu się w przestrzeni ograniczonej tak bardzo, że ramiona Owena, który wszedł do środka pierwszy, ocierały się o obie ściany. Kima poszedł w jego ślady, więc nie miałam czasu na rozmyślanie. Podążający za mną strażnicy zamknęli za sobą drzwi, zanim Owen skończył odpalać pochodnię wyjętą z uchwytu na ścianie. Szliśmy za jej światłem do góry i z początku liczyłam stopnie, ale straciłam rachubę, gdy Kima idący przede mną potknął się i zaklął głośno w ciasnym korytarzu. Tunel piął się ostro w górę i był wystarczająco długi, żebym musiała się skupić na uspokajaniu oddechu. W końcu cienie rzucane przez pochodnię zbladły, w korytarzu zrobiło się jaśniej i dobiegły mnie głosy witające Owena, którego sylwetka malowała się przed nami na tle światła dziennego. Przed wyjściem na zewnątrz obrócił się do nas i powiedział:

– On na was czeka. Zastanówcie się dobrze, a potem powiedzcie mu to, co będzie chciał wiedzieć. Kobziarz nie jest taki jak ty – Owen wskazał na mnie – ale i tak wie, gdy ktoś z nim igrza.

Przypomniała mi się Spowiedniczka. Wspomnienie przesłuchań w celi przerażało mnie o wiele bardziej niż uzbrojona eskorta. Czyżby naprawdę miało do tego dojść? Kolejne więzienie, kolejny przesłuchujący?

Wyszliśmy na zewnątrz i przez kilka sekund mrużyliśmy oczy w jaskrawych promieniach słońca. Znajdujące się za nami morze skryło się całkowicie za krawędzią krateru, który otaczał miasto. Schody, po których przed chwilą się wspinaliśmy, przecinały stworzone przez naturę mury obronne i kończyły się w połowie kaldery. Gdy postąpiłam do przodu, zobaczyłam je. A raczej zobaczyłam je ponownie: miasto skupione na stromym zboczu zagłębienia. Jego widok był mi tak dobrze znany, począwszy od jeziora na dnie krateru, a na domach zgromadzonych w jego odległym krańcu skończywszy. Był tam też bladoszary fort, który tyle razy widywałam w snach.

Owen i jego ludzie zniknęli już na schodach, a na ich miejscu pojawiło się trzech innych strażników – dwie kobiety i mężczyzna – odzianych w te same błękitne mundury. Otoczyli nas bez słowa i powiedli biegnącą do góry główną drogą, która wiała się przez miasto. Kima ciągle się rozglądał, a ja nieustannie sobie przypominałam, że on nigdy wcześniej nie widział tego miejsca. Kilka razy musiałam dać mu szturchańca, gdy przystanął i zagapił się na to, co nas otacza. Mężczyzna z trzecim okiem pośrodku czoła wywieszał nad nami pranie z okna; beznoga i bezręka kobieta siedziała przed drzwiami domu, zręcznie skręcając papierosa samymi wargami. Dorośli mieli piętna, ale duża część dzieci już nie. Tłum nie odwzajemniał ciekawskich spojrzeń Kimy, ale kilka osób zmierzyło mnie baczny wzrokiem, gdy wspinaliśmy się na wzgórze. Nasza eskorta najwyraźniej nie czuła się zagrożona, toteż trzymała miecze w pochwach. Strażnicy poruszali się po krętej drodze z tak dużą zwinnością, że prawie musieliśmy truchtać, aby dotrzymać im kroku, i cieszyły mnie te tłumy ludzi, które od czasu do czasu spowalniały nasz marsz.

Przeszliśmy przez kilka zewnętrznych murów fortu, po czym zatrzymaliśmy się przed właściwym, znajdującym się zaledwie kilkaset metrów poniżej wylotu krateru. Wejścia do wnętrza górującego nad nami fortu broniła obita żelazem brama. Znajdujący się wewnątrz ludzie, ubrani w te same mundury co nasza eskorta, otworzyli sąsiadujące z nią niewielkie drzwi i zostaliśmy wprowadzeni do środka. Odgłosy miasta były tu stłumione, ale nadal słyszalne: dźwięki dziecięcych zabaw, krzyki kupców zachwalających swe towary, głosy ludzi wołających do siebie z okien położonych po obu stronach wąskich uliczek. Dziedziniec, na którym staliśmy, otoczony był z trzech stron przez wysoki budynek, na poły fortecę, na poły pałac. Eskorta, złożona obecnie z szóstki milczących osób, poprowadziła nas do głównego wejścia, a następnie schodami do drzwi z ciemnego drewna.

– On na was czeka – poinformował jeden ze strażników.

Tego samego sformułowania użył wcześniej Owen. Zerknęłam na Kimę, który brał akurat głęboki oddech. Miałam ochotę wziąć go za rękę, ale stałam po jego lewej stronie, po której zwisał pusty rękaw, wyciągnęłam więc tylko dłoń i dotknęłam jego barku, czując, jak lekko unosi go w odpowiedzi.

Ktoś otworzył drzwi z drugiej strony. Nasza eskorta cofnęła się, a my z Kimą weszliśmy do środka, mijając dwóch wartowników. Pomieszczenie było dobrze oświetlone przez znajdujące się na samym końcu duże okno, przed którym stało na podwyższeniu krzesło z wysokim oparciem. Zbliżyliśmy się do niego razem, po czym zatrzymaliśmy się przy schodach prowadzących na podest. Zerknęłam pod światło, lecz po kilku sekundach zdałam sobie sprawę, że krzesło jest puste. Obróciłam się do drzwi, unosząc brew, i zwróciłam się do stojącego najbliżej nas wartownika:

– Przeprowadzono nas tu na spotkanie z Kobziarzem.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. Uświadomiłam sobie, że to zaledwie chłopak, w moim wieku albo niewiele starszy.

– Kobziarz ma wiele na głowie. Dlaczego miałyby się z wami spotkać? – spytał.

Był wysoki, wyższy nawet od Owena. Jego prawe ramię, spoczywające na rękojęści długiego sztyletu, wyglądało na silne, brakowało natomiast lewego. Rękaw jednak nie zwisał pusty jak u większości bezręcznych osób, tylko został obcięty i zaszyty przed barkiem, nie próbując tuszować nieobecności ręki. Młodzieniec poruszał się z tym samym atletycznym wigorem, który charakteryzował naszą wcześniejszą eskortę, co rzadko miałam okazję obserwować pośród Omeg na stałym łądzie.

– Mam mu coś do przekazania – odparłam. – Wydaje mi się, że to ważne. Poza tym chcielibyśmy się tu zatrzymać, przynajmniej na jakiś czas.

– Czemu miałyby wam na to pozwolić? Albo dać wiarę przynoszonym przez was wieściom?

Mężczyzna postąpił do przodu, ale z jego warg nie zniknął uśmiech. Kima także zrobił krok przed siebie, trzymając dłoń na biodrze, lecz bez bronii jego gest niewiele znaczył.

– Wszystko wyjaśnimy Kobziarzowi, a nie tobie – oznajmił. – To on rozkazał nas tu przyprowadzić.

Uśmiech na twarzy wartownika stał się jeszcze szerszy.

– Zaiste. Może się jednak okazać, że to jednak przede mną będziecie się tłumaczyć – oznajmił, zasiadając przy niskim stole przy drzwiach, na którym znajdowały się szachownica do warcabów oraz dwa kubki z piwem. – Siadajcie i mówcie, co macie do powiedzenia.

Skinieniem głowy dał znak drugiemu wartownikowi, który skłonił się lekko i wyszedł.

Staliśmy z Kimą jak wryci między podestem a drzwiami. Młodzieniec skierował wzrok na podwyższenie i stojące na nim puste krzesło.

– Patrzycie na ten tron? Obawiam się, że mój poprzednik lubował się w oznakach majestatu. Ponosi również odpowiedzialność za te szkaradne gobeliny.

To ja jestem Kobziarzem.

Spojrzałam na młodzieńca ubranego w taki sam prosty błękitny mundur co pozostali.

– A ten strój? – spytałam.

– Jestem wartownikiem, tak jak cała reszta. Jedyne różnice polega na tym, że mam większe kompetencje. Moim zadaniem jest dbanie o dobro nas wszystkich. Całej Wyspy.

Rozparł się wygodnie, a gdy podeszliśmy bliżej, stopą odsunął dla mnie od stołu drugie krzesło. Każdemu ruchowi z jego strony towarzyszył brzęk noży do rzucania zawieszonych w tylnej części pasa.

– Sądziłam, że będziesz starszy – wyznałam. – Na podstawie tego, co na twój temat mówiono.

Raz jeszcze mu się przyjrzałam. Był mi kompletnie obcy – jego szerokich ust i śniadej skóry nie widziałam w żadnym ze snów. Jego usposobienie cechowała pełna swobody pewność siebie, którą ciężko mi było pogodzić z piętnem widocznym na jego czole. Nie chodziło wyłącznie o to, że nie miał zapadniętych policzków, tak jak większość Omeg żyjących na stałym lądzie, wśród których zdarzali się biedacy do tego stopnia wychudzeni, że ich twarze wydawały się siłą naciągnięte na przyduże czaszki. Moją uwagę zwrócił także sposób, w jaki siedział: rozwalony na krześle, z szeroko rozstawionymi nogami i lekko odchyloną do tyłu głową. Na stałym lądzie Omegi szybko uczyły się nie zajmować zbyt wiele miejsca. Po szerokich drogach prowadzących do miast targowych poruszaliśmy się ze spuszczonej głowami wzdłuż przydrożnego rowu, schodząc z drogi podróżującym konno Alfom, by uniknąć obelg i kopniaków. Gdy w osadach pojawiali się poborcy dziesięciny w obstawie złożonej z żołnierzy Rady, pokornie ustawialiśmy się w kolejki, żeby oddać im to, czego od nas żądano. Unikaliśmy przy tym wzroku zbrojnych oraz ukąszeń bata, które mogły mu towarzyszyć.

Tutaj, w tej pełnej przepychu komnacie, Kobziarz siedział zrelaksowany, dominując nad otaczającą go przestrzenią. Mogłoby się wydawać, że to nic takiego, zaledwie postawa jednego człowieka, lecz w tamtej chwili stanowiła ona dla mnie przesłanie równie ważne co istnienie samej Wyspy. W świetle tego, jak zachowywał się ów dumny młodzieniec, któremu szeroki uśmiech wyrzył zmarszczki w kącikach oczu, zahukana egzystencja, którą wiedliśmy na stałym lądzie, napawała mnie wstydem. Nawet jego silne i dobrze odżywione ciało stanowiło śmiały komunikat. Na stałym lądzie bez przerwy wmawiano nam, że jesteśmy ułomni, zdeformowani, bezużyteczni.

Z prawdziwą radością obserwowałam więc urodę Kobziarza: gładką skórę na ramionach i barkach, pokrytych węzłami mięśni przypominającymi chałkę; szeroko rozstawione, skore do oceny jasne oczy widoczne na tle promiennej cery. Gracja, z jaką się poruszał, zwracałaby uwagę nawet u Alfy; u Omegi była wprost

szokująca. Co więcej, w przeciwieństwie do większości Omeg, które nosiły grzywki lub zapuszczały włosy, by ukryć swe piętna, grube ciemne włosy Kobziarza były przycięte przy samej skórze, bez wstydu obnażając bliznę na czole. Obnosił się z nią jak ze sztandarem. Przypomniało mi się, jak badałam swoje własne piętno, kiedy jeszcze było świeże, powtarzając sobie: „Tym właśnie jestem”. Te słowa były dla mnie dowodem rezygnacji. Natomiast Kobziarz nosił swoje znamię niczym rodzaj deklaracji związanej z określonym wyzwaniem.

– Nie wszystkich nowo przybyłych przyjmuję osobiście – oznajmił. – Nie byłbym w stanie, jest ich obecnie zbyt wielu. Tyle że oni są na Wyspę przywożeni. Wam jako pierwszym udało się tu trafić na własną rękę. A to napawa mnie niepokojem.

– Przywożeni? – spytałam. – Jak? To nie jest przecież łatwa podróż.

– Delikatnie mówiąc. Ale potrzebna nam świeża krew: w końcu wyspa pełna Omeg nie jest w stanie sama się wyżywić. Mamy siatkę kontaktów na stałym lądzie. Czasem ludziom udaje się do nas dotrzeć. Jeśli uznamy, że można im zaufać, transportujemy ich tutaj. Od czasu do czasu, gdy mamy sposobność dokonać tego w sposób bezpieczny, pojawiajemy się w miastach należących do Alf i zabieramy małe Omegi, które nie zostały jeszcze napiętnowane. Alfy określają to mianem najazdów, lecz ja nazywam te akcje misjami ratunkowymi.

– Odbieracie dzieci rodzicom? – spytałiśmy jednocześnie.

Kobziarz uniósł brew.

– Rodzicom, którzy pozwoliliby je napiętnować? Którzy zesłaliby je na wygnanie, by z trudem wiązały koniec z końcem, wiodąc żywot wyrzutków na ziemiach tak kiepskich, że żadnej Alfie nie chciałoby się ich uprawiać? O tych rodziców pytacie? – Pochylił się do przodu z poważną miną. – A jednak przyszło wam do głowy to pytanie, więc zgaduję, że wasze doświadczenia wyglądały zgoła inaczej.

Wymieniliśmy z Kimą spojrzenia.

– Wydaje ci się, że miałam życie usłane różami? – odezwałam się pierwsza.

– Odesłano mnie, co prawda trochę później niż resztę dzieci, ale i tak znalazłam się na wygnaniu. I byłam świadkiem najazdów. Może nie tych organizowanych przez was, mimo to wiem, jakie to uczucie, gdy ktoś pojawia się znikąd, żeby cię porwać.

– Nie zgadzasz się z naszymi metodami. Będziemy mieli okazję jeszcze o tym porozmawiać. Ale na razie muszę poznać twoją historię. I twoją też – dodał Kobziarz, zwracając się do Kimy. – Wyciągnął rękę ponad stołem i palcem wskazującym odsunął mi włosy z czoła, żeby odsłonić piętno. – Możesz twierdzić, że wiesz, na czym polegają doświadczenia Omeg, ale faktem jest, iż twoje przejścia były całkiem inne – powiedział. – Piętno jest przeznaczone dla niemowląt lub w najgorszym razie dla dzieci kilkuletnich. Jednak twoja blizna ani się nie rozciągnęła, ani nie wyblakła. Musiałaś więc być prawie dorosła, gdy cię

piętnowano.

Odsunęłam jego dłoń od swego czoła, lecz nadal patrzył mi prosto w oczy.

– Miałam trzynaście lat – odparłam. – Wtedy mnie odesłali.

Kobziarz znowu się uśmiechnął.

– Trzynaście? – powtórzył. – Zdarza się, że wizjonerom udaje się przez jakiś czas skrywać swą naturę, czasem nawet trwa to kilka lat, nigdy jednak nie słyszałem o kimkolwiek, komu udawałoby się to aż tak długo. Niezłe osiągnięcie: dziewczyna, której się poszczęściło wszystkich wyprowadzić w pole.

– Nie wszystkich – sprostowałam, myśląc o Zachu i jego czujności.

Kobziarz znieacka zwrócił się do Kimy:

– A tobie jak się to udało?

– Co? – spytał zaskoczony Kima.

Kobziarz raz jeszcze wyciągnął dłoń i tym razem dotknął jego piętna.

– Uniknąć napiętnowania przez tak długi czas. Nie jesteś wizjonerem. Podobnie jak mnie trudno byłoby ci się kamuflować. – Wzruszył lewym ramieniem, zerkając konspiracyjnie na pusty rękaw chłopaka. – Zastanawiam się więc, jak ktoś taki jak ty był w stanie przez pół życia unikać piętnowania.

Przesunęłam dłoń do mojej blizny, a siedzący obok mnie Kima wykonał dokładnie ten sam ruch. Obróciłam się do niego i wydałam z siebie dźwięk będący po części śmiechem, a po części stęknieniem.

– Przez cały ten czas próbowaliśmy dotrzeć do jakiegokolwiek wskazówki na temat twojej przeszłości; tyle nocy przegadaliśmy, a ona znajdowała się pośrodku twojego czoła. Ależ z nas idioci.

– Mów za siebie – odparł Kima. – To ty podobno jesteś wizjonerką.

Mimo żartobliwego tonu jego głosu ręka Kimy nie odsunęła się od czoła. Zastanawiałam się, czy przypomniał sobie ten sam moment co ja: noc zaraz po ucieczce z Wyndham, kiedy obudziłam się z krzykiem ze snu o Spowiednicze, a on objął mnie, zaczął uspokajać i przycisnął czoło do mojego czoła. Do tej pory czułam, jak idealnie pasowały do siebie nasze blizny. Były dokładnie tej samej wielkości.

– To niewiele – stwierdził Kima. – Ale tak być nie powinno, prawda? Powinno się dać coś ustalić. Może...

Kobziarz wszedł mu w słowo:

– Wygląda na to, że wiesz równie mało na temat swojej przeszłości co ja. A może nawet mniej.

Kima spojrzał mu prosto w oczy.

– Moja przeszłość rozpoczęła się kilka miesięcy temu, w chwili gdy ujrzałem Cass. – Kobziarz zaczął przewracać oczami, a Kima dokończył: – Nie silę się na sentymentalizm. Moje wspomnienia zaczynają się od tamtego właśnie momentu. Z wcześniejszego okresu pamiętam tylko zbiorniki.

Sporo czasu zajęło nam opowiedzenie Kobziarzowi o Przechowalni, komnacie ze zbiornikami i naszej włóczędze. Zależało mi, aby rozeszła się wieść o zbiornikach, ale nie byłam pewna, jak dużo szczegółów z własnej przeszłości powinnam wyjawić. Przerywaliśmy sobie z Kimą, a potem nagle milkliśmy, gdy temat rozmowy ocierał się o tożsamość mojego bliźniaka. W końcu nie wspomniałam ani słowem o Zachu, wyznałam za to wszystko inne. Kobziarz poprosił nas o narysowanie map i diagramów pomieszczenia ze zbiornikami, sprzętu, lampy w mojej celi oraz trasy naszej ucieczki. Obawiałam się, że Kima będzie się czuł nieswojo, słysząc opisy przewodów i zbiorników, ale on wydawał się podekscytowany możliwością opowiedzenia komuś swojej historii i kiwał głową, kiedy opisywałam rozmaite detale.

Powiedziałam Kobziarzowi o Spowiedniczce, ale nie ulegało wątpliwości, że już wcześniej o niej słyszał.

– Niezłe z niej ziółko, bez dwóch zdań. Szkoda, że nie udało nam się jej zwerbować, zanim zrobiła to Rada – stwierdził.

– Zaufaj mi – odparłam. – Nie chcielibyście jej mieć po swojej stronie.

– Być może. Problem polega jednak na tym, że nie chcę też, aby była po ich stronie.

Opowiedziałam mu także, jak zaczęłam się bronić i jak mi się udało zajrzeć w głąb jej umysłu, oraz o olbrzymiej komnacie pełnej kabli i wściekłej reakcji Spowiedniczki.

– A to nie była po prostu jakaś inna część pomieszczenia ze zbiornikami? – spytał.

– Nie. To było coś zupełnie innego.

Przypomniałam sobie przewody wijące się wokół metalowych pokryw i zwisające z zakrzywionych ścian. Nie chodziło tylko o to, że ta komnata nie przypominała niczego, co wcześniej widziałam, lecz także o zaciekłość i szybkość reakcji Spowiedniczki. Czymkolwiek było to pomieszczenie, musiało mieć dla niej wielkie znaczenie.

Gdy dotarliśmy do momentu naszej ucieczki z Nowego Hobartu, a potem opisaliśmy klatkę zawieszoną w osadzie na bagnach, Kobziarz tylko pokiwał głową.

– Nie jesteś zaskoczony? – zdziwił się Kima.

– Niestety nie. Jeden z naszych statków wrócił dwa dni temu, przynosząc te same wieści.

– Wasi ludzie dotarli do tej samej osady? – spytał Kima.

Brzmiało to jak mało prawdopodobny zbieg okoliczności, zważywszy na rozległość moczarów, gdzie jedyni ludzie, których udało nam się dostrzec, okazali się żołnierzami na koniach.

Kobziarz pokręcił jednak głową.

– Nie – odparł. – Nasi zwiadowcy zapuścili się na północ od Nowego Hobartu. – Zamilkł na chwilę, a ja poczułam, że ogarniają mnie mdłości. – Byli w dwóch osadach i jeszcze w jednej bliżej wybrzeża. Tamtędy również przejechali żołnierze. W każdej z nich wychłostano jedną osobę. Nie chciało im się nawet wygłosić zarzutów, jak to zazwyczaj robią, sprawdzili tylko karty rejestracyjne ofiar, by się upewnić, że ich bliźniaki nie są kimś ważnym. Potem ich wysmagali na oczach wszystkich mieszkańców.

Musiał dostrzec przerażenie, jakie odmalowało się na naszych twarzach.

– Być może chłosta była przeznaczona dla was – powiedział wprost. – Nie mam zamiaru na siłę was pocieszać. Jednak dotarły do nas również doniesienia o powstaniu w Nowym Hobarcie, które wybuchło po tym, jak Rada rozpoczęła blokadę miasta.

Pomyślałam o Elsie i Ninie.

– Niewiele z niego wynikało – mówił dalej Kobziarz. – Kilka rzuconych kamieni, ludzie zaczęli maszerować, trochę pokrzyczeli, jednak nawet to stanowi bezprecedensowe wydarzenie. Istnieje mnóstwo powodów, dla których Rada karze obecnie ludzi dla przykładu.

Przypomniałam sobie niewielką osadę, w której podkradliśmy się z Kimą do stodoły, żeby potańczyć do muzyki granej przez bardów. Czy obecnie i tam na szubienicy bujała się klatka? Czułam wyraźnie krew tętniącą mi w żyłach. Gęstą niczym żwir. Miałam ochotę złapać Kimę za rękę, ale nawet w ten sposób nie potrafiłam się pocieszyć. Na jego twarzy widniała groza, której nigdy wcześniej nie widziałam, nawet gdy uciekaliśmy przed szalejącym ogniem czy walczyliśmy z podtapiającą nas wodą na rafie.

Zaczelśmy mówić dalej, dopiero gdy Kobziarz nas popędził. Ledwo słyszałam własne słowa. Miałam wrażenie, że zagłusza je skrzywienie łańcucha zwisającego z szubienicy.

Kobziarz ze szczególną uwagą wysłuchał opowieści, jak dostaliśmy się na Wyspę. Kiedy powiedzieliśmy mu, że przeprawa zajęła nam dwa dni i dwie noce, pokiwał głową.

– Dłużej niż zazwyczaj o jakieś dwadzieścia godzin. Tyle że ja mówię o doświadczonych żeglarzach płynących przez rafę najbardziej bezpośrednim kursem. Poza tym nigdy nie udało nam się tu dopłynąć tak małą łodzią.

Poprosił mnie o narysowanie mapy, lecz po kilku bezowocnych próbach odsunęłam od siebie papier.

– Nie widzę tego w taki sposób, nie tak mi się to objawia – wyjaśniłam.

– Spróbuj raz jeszcze. Dopiero co odbyliście tę podróż, na pewno wciąż ją pamiętasz – odrzekł Kobziarz, przesuwając papier w moim kierunku.

Kima stanowczym ruchem położył dłoń na arkuszu.

– Dostyc tego, daj nam spokój. Na pewno macie swoje mapy.

– Naturalnie – odrzekł młodzieniec. – Mamy mapy i pilnie ich strzeżemy. Tyle że nikt wcześniej nie dotarł tu bez nich. Nawet wizjonerzy. Mieliśmy na wyspie dwójkę, lecz zostali na nią przywiezieni. Żadne z nich nie potrafiło samodzielnie odnaleźć drogi.

– Ale ze mnie szczęściara – powiedziałam. – Przebyłam całą tę trasę tylko po to, żeby znowu mnie przesłuchiowano.

Kobziarz nie skomentował złości pobrzmiewającej w moim głosie, wyciągnął jednak rękę i przysunął do siebie pusty arkusz.

– Musicie oboje zrozumieć, że nasze położenie to jedyne, co chroni tę Wyspę. Oni od dawna wiedzą, że zbudowaliśmy gdzieś twierdzę. Nasze misje ratunkowe koncentrują się na zachodzie, bo tam najłatwiej jest nam dotrzeć. Rada zdaje sobie zatem sprawę, że znajdujemy się nieopodal zachodniego wybrzeża. Oznacza to jednak prawie tysiąc kilometrów linii brzegowej. Cass, to, co opowiedział mi na temat Spowiedniczki, sugeruje, że zawężili obszar poszukiwań. Niemniej jednak odległość, rafa oraz krater w dalszym ciągu stanowią nasze główne środki obronne. Zanim tu przybyliście, na Wyspie nie powstała stopa nikogo, kto nie zostałby tu sprowadzony.

Kima podniósł się z miejsca.

– Uważasz zatem, że stanowimy zagrożenie? – spytał.

Kobziarz również wstał, po czym podszedł do lustra wiszącego na bocznej ścianie i wyjął ukryty za nim klucz.

– Wręcz przeciwnie – odparł. – Uważam was za dar niebios. Możecie stanowić najpotężniejszą broń, do jakiej mamy dostęp. – Spojrzał na mnie. – Muszę pomówić w tej sprawie ze Zgromadzeniem, powtórzyć jego członkom to, o czym mi opowiedzieliście. Wkrótce porozmawiamy ponownie. A na razie weźcie to. – Podał mi klucz. – Otwiera bramę fortu. Strażnicy wskażą wam kwatery.

Kobziarz obrócił się do Kimy i wyciągnął dłoń. Uścisnęli sobie ręce. Mimo że ich ciała się różniły, uderzyła mnie symetria ich ruchów.

Zanim wyszliśmy, przystanęłam przy drzwiach i zapytałam:

– Co się stało z twoim poprzednikiem? Tym jegomościem od tronu?

Kobziarz spojrział mi prosto w oczy.

– Zabiłem go – odparł. – Okazał się zdrajcą. Kazał uchodźcom płacić za schronienie na Wyspie. Zamierzał oddać ją w ręce Alf.

– A co z jego bliźniaczką? – chciałam wiedzieć.

Tym razem Kobziarz nie oderwał nawet wzroku od map rozłożonych przed nim na stole.

– No cóż, ją pewnie też zabiłem.

Rozdział dziewiętnasty

Nazajutrz rano, gdy kończyliśmy jeść chleb przyniesiony nam na śniadanie, przez otwarte drzwi do naszego pokoju zajrzała strażniczka.

– Kobziarz zaprasza na posiedzenie Zgromadzenia – oznajmiła.

Kiedy oboje z Kimą ruszyliśmy do drzwi, dodała:

– Tylko ją.

Potężnych rozmiarów sala, która jeszcze dzień wcześniej była prawie pusta, dziś tętniła życiem. Nie ulegało wątpliwości, że rozeszły się plotki o naszym przyjeździe; gdy przeciskałam się między grupkami ludzi, niektórzy z nich wskazywali na mnie palcami, a inni po prostu się gapili. Do moich uszu docierały strzępki rozmów prowadzonych nieściszonymi głosami: „...sama nas znalazła...”, „...wizjonerka...” „...bez mapy...”, „...tak przynajmniej twierdzi...”.

Kobziarza zastałam przy tym samym stole co poprzedniego dnia. Machnięciem ręki odgonił od siebie kobietę, z którą właśnie rozmawiał, i zaprosił mnie do zajęcia miejsca.

– Te zbiorniki – wypalił prosto z mostu. – Jakim cudem działają? W jaki sposób członkowie Rady mogą utrzymywać swych bliźniaków w stanie nieprzytomności, skoro sami funkcjonują bez problemu?

– Oni nie są nieprzytomni – zaprotestowałam. – A przynajmniej nie tak jak po uderzeniu w głowę. – Z trudem dobierałam słowa, by opisać to, czego byłam świadkiem w pomieszczeniu ze zbiornikami, a także stan graniczny ich mieszkańców. – Radzie udało się wykorzystać maszyny, żeby wprowadzić ich w stan zawieszenia. Coś między snem a śmiercią. To jest w tym miejscu najstraszniejsze. Przebywanie tam jest gorsze od śmierci, bo ci ludzie pozostają przy życiu. Są uwięzieni.

Nie potrafiłam tego dobrze wyjaśnić. Kilka razy podczas połowów małży z Zachem zdarzyło mi się zanurkować zbyt głęboko lub za długo mocować się z opornym mięczakiem przyklejonym do skały. Chwila, gdy płynęło się ku powierzchni, zdając sobie sprawę, że kończy się powietrze w płucach, a światło docierające z góry wydaje się nieznośnie odległe, przypominała stan narzucony ciałom w zbiornikach. Stan zawieszenia był tam rozciągnięty w nieskończoność. Pamiętałam też, co powiedział mi Zach pewnej nocy, gdy rodzice kłócili się na dole: „Problemem jesteś ty, a nie oni. To przez ciebie tkwimy w stanie zawieszenia”.

Gdy ponownie odezwał się Kobziarz, ucieszyłam się, że przerywa moje rozmyślenia o bracie. Bezpieczniej było wyrzucić go z umysłu, ukryć pamięć o nim w miejscu, które nie pozwoli na ujawnienie łączącej nas więzi. Wiedziałam, że gdyby Kobziarz dowiedział się, kim jest mój bliźniak, mógłby użyć tej informacji przeciwko mnie.

– I nie widziałaś, żeby ktokolwiek oprócz Kimy się poruszał? – spytał. – Nikt nie wykazywał oznak świadomości?

– Kilka osób miało otwarte oczy – odrzekłam. – Ale tylko w jego oczach dostrzegłam czujność. Poruszały się. Wyczuwałam jednak wszystkich pozostałych.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą...

– Jest.

Kobziarz rozparł się na krześle. Jego brązowe oczy świdrowały mnie w skupieniu, czego nie ukrywał.

– Tak – powiedział w końcu. – Wydaje mi się, że mówisz prawdę. Co z kolei potwierdza nasze najgorsze obawy dotyczące Rady oraz tego, do czego jest zdolna.

– Przykro mi – odparłam.

Uśmiechnął się, a zmarszczki w kącikach jego oczu się pogłębiły. Twarz Kobziarza pograżyła się w radości z łatwością równie wielką, z jaką ptak wodny ląduje na powierzchni jeziora. Jednak nawet wówczas nie zapominał o swoich celach.

– Przykro ci, bo przynosisz złe wieści? – spytał. – Czy dlatego, że dotyczą twojego bliźniaka?

Odwróciłam wzrok, ale on wpatrywał się we mnie bez zmrużenia oka. W końcu ponownie na niego spojrzałam.

– Do tej pory nie spytałeś mnie, jak się nazywa – zauważyłam.

Uniósł brew i spytał:

– A powiedziałaś mi?

– Nie.

– No właśnie. A ja nie lubię marnować czasu.

Nie groził mi, po prostu wypowiadał się rzeczowo. Pochylił się do przodu i ściszył głos.

– Wiemy, że to ktoś z Rady. Wiemy też, że boisz się powiedzieć kto. Ale i to ustalimy – rzekł.

Mogłam zareagować gniewem, ale czułam się wyczerpana. Nawet tu, na Wyspie, która od lat ukazywała mi się w snach, Zach był w stanie wszystko zepsuć.

– Przyjechaliśmy tutaj w poszukiwaniu schronienia – oświadczyłam. – Tak jak reszta Omeg, które tu przybyły. Czyż ta wyspa nie powinna być jedynym miejscem, gdzie mojego bliźniaka nie można wykorzystać przeciwko mnie?

– Chciałbym, żeby tak właśnie było – odparł Kobziarz, a ja uwierzyłam, patrząc mu w oczy. – Lecz zmieniłaś ją z chwilą swojego przyjazdu. Sposób, w jaki tu dotarłaś, oraz wieści, które przyniosłaś, mają wpływ na życie każdego mieszkańca Wyspy.

„Truczna” – pomyślałam. Tak właśnie określił mnie kiedyś Zach. „Jesteś trucizną – powiedział. – Wszystko, czego tkniesz, staje się skażone”.

– Zaczynam się czuć jak twoja pokojówka – powiedział Kima i podał mi pajdę chleba, po czym wrócił na parapet, na którym siedział, czekając na mnie.

– Jesteś zbyt wielkim niechlujem, żeby sprawdzić się w tej roli – zauważyłam, wskazując na jego rozbabrane łóżko, a następnie usiadłam naprzeciwko niego na szerokiej kamiennej płycie. Opieraliśmy się plecami o ściany okna, a nasze stopy ledwo się stykały.

– Wiesz, co mam na myśli. Przez cały dzień debatujesz z Kobziarzem i Zgromadzeniem, a ja muszę tu siedzieć jak jakiś przydupas. – Oparł głowę o szybę. – I jak poszło?

Od naszego wstępnego spotkania z Kobziarzem minęły już trzy dni i codziennie po mnie posyłano. Tyle że Kimy nie zaproszono ani razu. Ranki spędzaliśmy wspólnie, ale każdego popołudnia przychodzili po mnie strażnicy i kazali mi się udać na posiedzenie Zgromadzenia. „Tylko ona” – powtarzali niezmiennie. Trzeciego dnia Kima spróbował wejść ze mną do sali, ale wartownicy go nie wpuścili. Nie byli wobec niego srodzy, lecz okazywali mu lekceważenie.

– Nie zostałeś zaproszony – oznajmił starszy gwardzista, zastępując mu drogę.

– Chciałabym, żeby mi towarzyszył – poprosiłam.

– Kobziarz go nie zaprosił – powtórzył tylko mężczyzna bezbarwnym tonem, po czym zamknął Kimie drzwi przed nosem.

Kiedy zapytałam Kobziarza, czy Kimie wolno byłoby do nas dołączyć, ten uniósł brew i powiedział:

– On nawet nie wie, jak ma na imię. Cóż ciekawego mógłby mi powiedzieć?

Tak więc spotykałam się za zamkniętymi drzwiami z Kobziarzem i członkami Zgromadzenia, a Kima spędzał popołudnia na eksplorowaniu wyspy. Gdy wracałam wieczorem, opowiadał mi, co widział. O starej łodzi, którą rozebrano na części, a następnie przeniesiono i złożono w zachodniej części miasta, żeby dzieci mogły się bawić w żeglarzy. O wartowniach ukrytych na szczycie krateru, w których straż pełniono dzień i noc. O położonym na peryferiach domu, którego wiekowa mieszkanka pokazała Kimie sześć ustawionych na balkonie uli tętniących bzyczeniem owadów. Jednak mimo że każdego dnia miał mi coś do opowiedzenia, o wiele bardziej zależało mu, by usłyszeć, o czym rozmawiałam z Kobziarzem i ze Zgromadzeniem.

– Nie myśl, że się tobą nie interesują – powiedziałam. – Połowę czasu spędzają, pytając o ciebie.

– Czemu zatem nie pytają mnie wprost? Czuję się, jakbym zebrał o ochłapy; całymi dniami szwendam się bez celu, a potem coś tam usłyszę od ciebie. Jeśli chcą się dowiedzieć czegoś na mój temat, to dlaczego nie porozmawiają ze mną osobiście?

– A co mógłbyś im powiedzieć? – Skrzywiłam się na wspomnienie słów użytych wcześniej przez Kobziarza.

– A ty co możesz im powiedzieć? Jeśli odkryłaś jakieś rewelacje dotyczące mojej przeszłości, z chęcią się o nich dowiem.

Szturchnęłam go nogą.

– Nie bądź niemądry. Chcą po prostu zrozumieć, w jaki sposób dowiedziałam się o tobie i innych. Chcą usłyszeć o wizjach, o komnacie ze zbiornikami. O tym wszystkim, co tobie już opowiedziałam.

– Nie uważasz zatem, że on tylko szuka wymówek, aby móc spędzać z tobą czas?

Parsknęłam śmiechem.

– W kameralnym, przesyconym romantyzmem wnętrzu auli i w towarzystwie wszystkich członków Zgromadzenia? – spytałam.

– Jest to jakiś sposób na wywarcie wrażenia.

– Dajże spokój. – Zeskoczyłam z parapetu i czekałam, aż pójdzie w moje ślady. – Przejdźmy się – zaproponowałam. – Nie pokazałeś mi jeszcze zachodniej strony miasta. A Kobziarz mówił, że dziś wieczorem organizują tam targ.

– Wspomniałeś mi, że nie mamy żadnych pieniędzy?

– Nie musiałam – odrzekłam, wyciągając z kieszeni niewielką sakiewkę pełną monet. – To prezent od Kobziarza. Dla nas obojga.

– Teraz i ja jestem pod wrażeniem – odparł Kima.

Rzuciłam mu woreczek.

– Cena za twoją lojalność nie jest, jak widać, zbyt wysoka.

– Jeszcze kilka monet i byłbym gotów włożyć jeden z tych szykownych niebieskich mundurów – zażartował.

Naszą kwaterę na piętrze z widokiem na dziedziniec od targu dzielił zaledwie krótki spacer. Wartownicy już nas rozpoznawali, powitali nas więc skinieniem głowy i otworzyli dla nas bramę, którą wyszliśmy z fortu.

Gdy obserwowałam Kimę w miejskim środowisku, przypomniało mi się, jak dużą przyjemność sprawiał mu zgiełk; jak otwierał na oścież okiennice naszego pokoju w Nowym Hobarcie i rozkoszował się dźwiękami zatłoczonej ulicy. Przez kilka dni po tym, jak uwolniłam go ze zbiornika, często potrząsał przechyloną na bok głową i badał wnętrze uszu małym palcem, przekonany, że utknęły w nich resztki lepkiego płynu. Wyglądało na to, że ciszę utożsamiał z pobytem w zbiorniku oraz jeszcze większą ciszą zastępującą wspomnienia z przeszłości. Od kiedy przybyliśmy na Wyspę, narzekałam, że hałasy dobiegające z miasta nie dają mi spać w nocy. Tymczasem Kima się nimi delectował. Przesiadywał na parapecie z przymkniętymi oczami, chłonąc dźwięki wyspiarskiego życia: chrzęst kroków straży na wysypanym żwirze dziedzińcu oraz ich dźwięk na kamiennych płytach znajdującego się nad nami tarasu; gruchot gołębi zbitych w rozkrzyczane grupki na

parapecie; stukot oślich kopyt o bruk; wrzaski dzieci.

Widząc, jak szeroko uśmiecha się w drodze na targ, nie mogłam odmówić mu tej przyjemności. Podążyliśmy więc za hałasem: krzykami straganiarzy handlujących płótnem, kantalupami, cebulą i głosami dzieciaków ganiających się między nogami dorosłych. Radowały go nawet odgłosy żywego inwentarza: świń zamkniętych w kruchych zagrodach czy kurczaków w klatkach zawieszonych na kołkach wbitych w kamienne ściany.

Z uwagi na głębokość krateru świt nadchodził tutaj późno, a zmierzch wcześniej. Z wyjątkiem środkowej części dnia, kiedy słońce wisiało dokładnie nad miastem, ulice były osłonięte przed żarem jego promieni. A wczesnym wieczorem, tak jak teraz, ciemniejące niebo oświetlał ciepły blask pochodni oraz świec zapalonych w oknach. Koza uwiązana na powrozie między dwoma domami melancholijnie żuła trawę.

– Kobziarz twierdzi, że utrzymanie zwierząt to koszmar – poinformowałam Kimę. – Zwieszenie ich tu łodziami jest trudne, a dostarczają mniej jedzenia niż uprawy, zwłaszcza gdy brakuje miejsca. Ale ludziom bardzo zależy na ich obecności choćby dlatego, że na stałym lądzie nie wolno nam posiadać zwierząt.

– Nie jestem pewny, czy tajemna hodowla kóz stanowi skuteczny wyraz sprzeciwu wobec władz – zauważył.

– Kobziarz mówił, że kiedyś koza zerwała się z powroza w drodze na Wyspę i prawie wywrócili się do góry dnem, próbując ją ratować.

– Sądziłem, że te wasze tajemnicze zebrania poświęcone są opracowywaniu strategii najwyższej wagi, ale najwyraźniej to tylko okazja, żeby mógł zawrócić ci w głowie historyjkami o kozach.

– Aha, bo człowiekowi, który zarządza całą Wyspą i kieruje ruchem oporu Omeg, potrzebne są kozie opowieści, żeby zrobić na mnie wrażenie.

Kima przewrócił oczami i złapał mnie za rękę.

Na całej długości ulicy rozstawione były stragany. Kupiliśmy sobie po śliwce; skórki owoców były tak ciemnopurpurowe, że aż wpadały w czerń.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie jadłam – wyznałam, wgryzając się w jędrny miąższ.

Kima posłał mi szeroki uśmiech.

– Witaj w moim świecie – powiedział.

– Jak widzisz, nie wszystko jest dla ciebie kompletną nowością. Tak naprawdę większość rzeczy znasz. Rozpoznajesz przedmioty, umiesz czytać, wiesz, jak zawiązać buty. Nie przypominasz dziecka, które widzi wszystko po raz pierwszy.

Przystanął, żeby przyjrzeć się stołowi, na którym rozłożone były drewniane pudełeczka. Zdjął pokrywkę z jednego z nich, po czym odłożył ją na miejsce, podziwiając idealne dopasowanie obu elementów.

– No tak, lecz to nie ułatwia sprawy, tylko czyni ją jeszcze dziwniejszą. Potrafię sam się wysikać, ale nie wiem, jak mam na imię.

– Masz już imię – zauważyłam.

– Zgadza się – odparł. – I to całkiem niezłe. Ale wiesz przecież, o co mi chodzi.

Dotarliśmy do końca targu i usiedliśmy na kamiennej ławie, z której można było obserwować tętniący życiem plac.

– Gdy wspominam przeszłość, przypomina mi się głównie Zach – wyznałam. – Prawie jestem w stanie uwierzyć, że można zapomnieć o wszystkim prócz swojego bliźniaka. Bo ta osoba jest tak naprawdę częścią ciebie.

– Alfy w ten sposób nie myślą.

– Wydaje mi się, że myślą. Nie baliby się nas aż tak bardzo, gdyby nie wiedzieli, że w gruncie rzeczy niewiele się od nich różnimy.

– Nie b a l i b y się nas? – spytał z niedowierzaniem Kima. – Chyba żartujesz. Dlatego się tu chowamy? Wraz z tymi wszystkimi ludźmi? – Wskazał na tłum kłębiący się na targu. – Alfy muszą trząść się ze strachu, w końcu mają do dyspozycji tylko wielką armię, niezliczone fortece i potężną Radę!

– Nie próbowaliby równie desperacko odszukać Wyspy, gdyby się jej nie bali – wyjaśniłam.

Przypomniała mi się po raz kolejny nieustępliwość, z jaką Spowiedniczka wypytywała mnie o to miejsce, dźgając palcem mapę i sondując mój umysł.

Kima rozejrzał się dookoła.

– Ale czego właściwie się tu bać? – spytał. – Mimo tych jego póż i przystrojonych w mundury strażników Kobziarz nie stanowi dla Rady zbyt wielkiego zagrożenia. Co niby miałby zrobić? Pomaszerować na Wyndham ze zgrają jednorękich żołnierzy?

– Nie musi – odparłam. – Wystarczy, że Wyspa po prostu istnieje. Jestem przekonana, że Radę nurtują obawy natury praktycznej, takie jak brak możliwości pobrania dziesięciny lub zarejestrowania osób, które tu docierają. To jednak nigdy nie będzie stanowić serca problemu. Tak naprawdę martwi ich to, że Wyspa znajduje się poza ich kontrolą. – Przypomniało mi się, co powiedziała Alice niedługo przed śmiercią. – Wyspa to w równej mierze idea co miejsce fizyczne.

– Mnie, w każdym razie, wystarcza jej namacalna wersja – oznajmił Kima, rozpierszając się wygodnie na ławie z szerokim uśmiechem na ustach i spoglądając na wznoszącą się nad nami krawędź krateru podtrzymującą horyzont.

Także uniosłam wzrok i przechyliłam głowę jak Kima.

– Wiem. Mimo że tyle razy widywałam ją w wizjach, przebywanie tutaj naprawdę to całkiem inne doświadczenie. Można się poczuć częścią Wyspy.

– Czyli czujesz się jej częścią, tak?

– A ty nie?

– Chciałbym w to wierzyć. – Kima wypluł pestkę śliwki i patrzył, jak ląduje w szparze między kostkami bruku. – Że możemy tu zostać.

– Ale nie jesteś o tym przekonany?

– Ciężko mi jest być pewnym czegokolwiek. A to, jak Kobziarz mnie ignoruje, wcale mi nie pomaga. Zupełnie jakby im wszystkim wydawało się, że przez to, co mi się przytrafiło, jestem niczym. Że kompletnie się nie liczę.

Przyjrzałam się jego twarzy. Prostemu, wąskiemu nosowi o lekko zadartym czubku; wyraźnie zarysowanym kościom policzkowym i szczęce. Każdy fragment jego rysów był mi niezmiernie bliski. Łatwo przychodziło zapomnieć, jak obcą osobą musiał się wydawać samemu sobie, nie mając punktu zaczepienia w postaci przeszłości, a przede wszystkim nie mając siostry.

– Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jakie to musi być dla ciebie dziwne – powiedziałam. – Zwłaszcza brak bliźniaczki. Musisz się czuć okropnie samotny.

– Bardziej samotny niż ktoś, kto ma takiego bliźniaka jak ty? Który gotów jest cię wydać, zranić, wtrącić do celi? Bo mnie się wydaje, że to dosyć fartowny rodzaj samotności.

– Na pewno czasem o niej myślisz – drażylałam dalej. – Zastanawiasz się, kim ona jest?

– Brak wiedzy o mojej bliźniaczce jest prawdopodobnie najnormalniejszą rzeczą, jaką można powiedzieć na mój temat. To twoje doświadczenia są niezwykle. Obecnie dzieci rozdziela się w tak młodym wieku, że większość ludzi zna co najwyżej imię i miejsce urodzenia swojego bliźniaka. – Kima przez chwilę milczał, wpatrując się w zatłoczoną ulicę, gdzie każde mijające nas ciało naznaczone było indywidualnym rodzajem deformacji. Czekałam, aż odezwie się ponownie. – Ale czasami rzeczywiście o niej myślę – przyznał w końcu. – Głównie zadaję sobie oczywiste pytania, jak na przykład czy byłaby w stanie stoczyć się z klifu i pociągnąć mnie ze sobą. Mam nadzieję, że wiedzie bezpieczne, nudne życie, ma bezpieczną, nudną pracę i nie musi ani stać za pługiem, ani wdawać się w bójki.

– Zdrowo się odżywia, wcześniej chodzi spać – podchwyciłam.

– Hoduje kurczaki. Albo tka dywany.

– Tylko ręcznie. Żeby nie musiała się narażać, korzystając z krosna.

– Wreszcie mówisz do rzeczy – powiedział Kima, po czym złożył mi na czole pocałunek i zagłębiliśmy się w tłum.

Następnego ranka słońce świeciło tak intensywnie, że odechciało mi się brać udział w planowanej przez nas wycieczce na szczyt krateru. Kima wyruszył zaraz po śniadaniu, wyposażony w manierkę z wodą i kieszeń pełną świeżych fig, a ja udałam się na niewielki taras, który odkryliśmy dzień wcześniej, znajdujący się

w połowie wysokości baszty. Kamienne stopnie były wytarte i zaokrąglone na krawędziach niczym nadtopione kostki masła od stóp, które przemierzały je od dziesięcioleci.

Do południa zostało jeszcze parę godzin, ale taras zdążył się już nagrzać. Gdy położyłam się na słońcu, kamień oparzył mi skórę na plecach w miejscu, gdzie podwinęła się koszula. Pławiłam się w blasku. Od momentu wyjścia z Przechowalni słońce i niebo wciąż stanowiły dla mnie nowość – wystawianie skóry na słońce sprawiało mi nieustającą przyjemność i nawet piekielnej przeprawie łożnią nie udało się tego zepsuć. Rozkosznie było móc zapomnieć na chwilę o wszelkich knowaniach i komplikacjach i skoncentrować się na ciepłe promieni słonecznych i kontakcie skóry z kamieniem. Tkwiąc w Przechowalni, zmuszona byłam wykorzystywać ból, żeby powstrzymać umysł przed pograżeniem się w koszmarze wizji i związanych z nimi lęków. Obecnie wykorzystywałam do tego przyjemność.

To dzięki Wyspie korzystałam ze źródeł prostej radości. Nawet w Nowym Hobarcie, w którym roiło się od Omeg, wszechobecne były strach i poczucie wstydu. W każdej chwili na ulicy mogli się pojawić żołnierze Rady albo poborcy dziesięciny, aby przypomnieć nam, gdzie nasze miejsce.

Obserwując Kimę, zdałam sobie sprawę, jak bardzo zmieniło się nasze zachowanie od przybycia na Wyspę. Chłopak wyzbył się całkowicie tej niepewności, która cechowała nas podczas tylu miesięcy spędzonych na ucieczce. Moje myśli powędrowały ku Kobziarzowi, jego dumnie uniesionej głowie i szerokim barkom. Zaczynałam sobie uświadamiać, że radość, jaką mi dawało towarzystwo Kimy, związana była z tym, że Wyspa przyzwalała na obecność Omeg niespieszonych własnymi ciałami. Spośród wszystkich darów, jakie otrzymaliśmy od Wyspy, pewnie ten można było uznać za najbardziej zaskakujący: przyjemność płynącą z posiadania swego ciała.

Dzień wcześniej odkryłam na szyi siniak w miejscu, gdzie Kima ukąsił mnie figlarnie, pocałował, a potem znowu ugryzł. Kiedy obejrzelśmy go w świetle dziennym, Kima zaczął mnie przeproszać, mnie jednak ogarnęła niespodziewana radość. Dotąd moje ciało nosiło zbyt wiele niechcianych znaków. Piętno. Bładość, której nabawiłam się w Przechowalni. Obite kości, zadrapania i pęcherze powstałe podczas naszej długiej wędrówki. Ale ten ślad na szyi pojawił się w atmosferze szczęścia. Leżąc teraz na nagrzanym kamiennym płytach, przesunęłam po nim palcami z uśmiechem.

Nie byłam pewna, jak długo trwała moja drzemka, lecz gdy po moich zamkniętych powiekach przesunął się cień, gwałtownie usiadłam. Co prawda nie byłam rozebrana, ale w zajęciu, któremu się oddawałam, było coś intymnego.

Sylwetkę Kobziarza rozpoznałam bez trudu, mimo że od tyłu oświetlało ją oślepiające słońce.

– Wybacz – powiedział, wchodząc dalej na taras. – Nie chciałem cię wystraszyć.

– Nie wystraszyłeś – odparłam i zaczęłam się podnosić.

– Nie wstawaj. – Kobziarz przykucnął. – Doniesiono mi, że tu jesteś, ale nie wiedziałem, że śpisz.

– To nie był prawdziwy sen – zaprzeczyłam. – Zresztą tego również nie doświadczam zbyt często.

– Z powodu wizji?

Skinęłam głową.

Kobziarz usiadł obok mnie po turecku i wystawił twarz do słońca.

– Jeśli to cię pocieszy, od waszego przybycia też mniej sypiam. Całe Zgromadzenie jest głęboko poruszone – oznajmił.

– Nami? Przecież nie najechaliśmy na Wyspę. Jesteśmy tylko kolejną dwójką wygłodzonych Omeg. Jedyne różnica polega na tym, że trafiliśmy tutaj sami.

– Nie „my”, tylko „ty” – poprawił mnie Kobziarz. – Kima miał z tym niewiele wspólnego.

– Dokonałiśmy tego razem – zaprzeczyłam.

– Na to wygląda – powiedział, zerkając na siniak na mojej szyi. – Musisz zrozumieć, że wasze przybycie bez eskorty i zapowiedzi do miejsca, którego istnienie owiane jest tajemnicą, musiało napędzić ludziom stracha.

– To nie mnie i Kimy powinniście się obawiać, skoro szuka was Spowiedniczka – wyjaśniłam, czując, jak wspomnienie kobiety odbiera ciepło kamieniowi pode mną.

– Gdyby tylko istniał limit zmartwień, które mam na głowie... – Kobziarz westchnął. – Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo pogorszyła się sytuacja na stałym lądzie, podczas gdy ty siedziałas w więzieniu.

– Pobyt w Nowym Hobarcie częściowo mi to uświadomił – odrzekłam.

– To, co tam widziałas, pokrywa się z tym, co zaobserwowaliśmy w innych miejscach. Wzrasta liczba restrykcji wymierzonych w Omegi, podnoszona jest dziesięcina, osady odcinane są od świata. Wieści, które do nas docierają: o pobiciach, całych osadach pogrążonych w głodzie, są pozbawione sensu. Co prawda Rada buduje więcej przytułków, ale nawet to nie zmniejsza absurdu całej tej sytuacji. Po co zmuszają nas do tego, abyśmy byli od nich zależni? Gdyby zmniejszyli daninę i znieśli te niedorzeczne kontrole, przytułki nie byłyby potrzebne i nie musieliby ich budować. – Przez chwilę Kobziarz sprawiał wrażenie zmęczonego. – Rozumiesz więc, dlaczego Zgromadzenie jest zaniepokojone waszym przyjazdem – powiedział. – Ludzie podejrzliwie odnoszą się do wizjonerów, nawet w normalnych warunkach. A obecnie, jeszcze bardziej niż wcześniej, musimy mieć pewność, że Wyspie nic nie zagraża.

- Raczej nie stanowimy dla was zagrożenia.
- Już mówiłem, że nie uważam cię za takie – odparł.
- A co z Kimą? Nie ufasz mu?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem o nim niczego. A on nie wie niczego o sobie.
- To nie jest jego wina – zauważyłam.
- Wiem. Ale to oznacza, że Kima nie może mi się do niczego przydać.
- Naprawdę tylko tak postrzegasz ludzi? – spytałam. – Jako użytecznych lub

nie?

Nie zaprzeczył, jak zrobiłoby pewnie sporo osób.

- W taki sposób patrzę na świat – oznajmił. – Na tym polega moja praca.
- O czym zatem myślisz po godzinach?

Zaśmiał się.

– Kiedyś może i istniał moment, w którym kończyła się praca, a zaczynało moje życie. Teraz nie jestem już tego taki pewien.

- Przecież nikt cię nie zmuszał do ubiegania się o rolę przywódcy.

– Wiedziałem, że poradziłbym sobie z nią lepiej niż inni. I miałem rację – stwierdził. – Wsparł łokcie na kolanach i spuścił głowę, żeby słońce ogrzało mu kark. – Gdy zdałem sobie z tego sprawę, objęcie przywództwa przestało być kwestią wyboru.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Tak bardzo przywykłam do spędzania czasu tylko z Kimą, że wcześniej wydawało mi się, iż częste towarzystwo Kobziarza będzie dla mnie czymś nienaturalnym. Za każdym razem kiedy zostawaliśmy sami, czułam wyraźnie, jak wyrasta między nami wielka pustka symbolizująca imię mojego bliźniaka. Ziała w samym środku naszych rozmów niczym krater: wszystko inne musiało się znaleźć na jej obrzeżach. Dopóki jednak unikaliśmy niewygodnego tematu, przebywanie z nim sprawiało mi przyjemność. Miło było pławić się w blasku jego uśmiechu i czuć się bezpiecznie, gdy patrzył na mnie władczym wzrokiem. Kiedy tak siedzieliśmy w kojących promieniach słońca, przypomniiał mi się Zach, moja mroczna połowa. A potem martwy poprzednik Kobziarza. I lśniące noże przytroczone do pasa tego ostatniego.

Obrócił się do mnie.

– Ty z kolei jesteś wizjonerką. Czy istnieje punkt, w którym kończą się wizje, a zaczynasz się prawdziwa ty?

– To nie jest ani praca, ani wybór – odparłam. – Wizjonerem się nie bywa, tylko się jest. Bez przerwy.

– Może tak samo wygląda już moja sytuacja. Mam na myśli opiekę nad Wyspą.

- A gdybyś miał wybór, podjąłbyś się tego raz jeszcze? – spytałam.

- A ty zostałabyś wizjonerką?

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć.

W naszej kwaterze stały dwa łóżka, ale ja siedziałam w nogach łóżka Kimy, bo byliśmy pogrążeni w nocnej rozmowie.

– Znowu dziś pytał o wizje dotyczące Wyspy, które ukazywały mi się przed przyjazdem tutaj – zakomunikowałam mu. – O Zacha nie pytał, przynajmniej nie wprost.

– Co nie znaczy, że nie próbuje rozpracować, kim on jest. Sama zresztą wiesz. Kobziarz zdaje sobie sprawę, że nie powiedzieliśmy mu wszystkiego.

– Myślisz, że gdyby naprawdę nam nie ufał, dostalibyśmy od niego klucz do fortu, dzięki któremu możemy się szwendać po całej Wyspie? – spytałam.

– To może być idealny sposób, żeby mieć nas na oku – odparł Kima. – Przecież wszędzie się roi od strażników.

Przypomniały mi się słowa wypowiedziane przez Kobziarza na tarasie: „Doniesiono mi, że tu jesteś”.

Tymczasem Kima mówił dalej:

– Do tego mogę się założyć o własne życie, że gdybyśmy próbowali się zbliżyć do łodzi, okazałoby się, że nie wszędzie możemy łązić samopas. On lubi mieć cię na każde zawołanie, żeby móc przeprowadzać te swoje przesłuchania.

– Ciężko to tak określić. Po prostu rozmawiamy. Zresztą Kobziarz też opowiada mi różne rzeczy. Gdyby nam nie ufał, już dawno wtrąciliby nas do jakiegoś lochu.

– Przynajmniej nie byłoby to dla nas nic nowego – skomentował Kima. – Sięgnął po stojący na stole dzban z winem, a ja podstawiłam kubki. – O czym ci zatem opowiada? – spytał.

– O różnych rzeczach związanych z Wyspą. O sytuacji na stałym lądzie.

– Wspomina o czymkolwiek, czego nie dowiedziałaś się już wcześniej z wizji?

– Tak, jest tego sporo. Poza tym mówiłam ci już, że wizje nie działają w taki sposób. Są niejasne. Brakuje w nich spójności.

Upiłam łyk wina, po czym posażłam górną wargę, żeby usunąć z niej ciemnoczerwoną obwódkę.

– On w końcu dowie się o Zachu – zauważył Kima. – Na pewno już zdaje sobie sprawę, że twój bliźniak jest kimś ważnym. Kto inny mógłby mieć wstęp do Przechowalni?

– Wiem – odparłam. – Ale to zawęży wybór jedynie do setek, jeśli nie tysięcy, osób. On nawet nie wie dokładnie, kim jest Zach ani czym się zajmuje. – Zrobiłam pauzę, a następnie dodałam: – Nawet ja do końca tego nie wiem.

– Myślę, że możesz to sobie dosyć dobrze wyobrazić. Jak długo jednak

będziesz w stanie utrzymać to w sekrecie przed Kobziarzem? W końcu się domyśli. Członkowie Rady korzystają co prawda z różnych imion, ale on i tak dojdzie do tego, kto jest kto. Przecież nie jest głupi.

– To ciekawe, bo przez większość czasu próbujesz mnie przekonać, że Kobziarz jest tępym zbirzem – odrzekłam.

– Nie wygłupiaj się, Cass. To, że go nie lubię, nie oznacza, że brakuje mu sprytu. Wszystkiego się domyśli, o ile jeszcze tego nie zrobił. Prędzej czy później uświadomi sobie, że to twój bliźniak stoi za tym wszystkim, co przytrafiło się mnie i reszcie tamtych nieboraków zamkniętych w zbiornikach. A wtedy co?

– Chcesz, żebym poszła do Kobziarza i wyznała mu, że jestem bliźniaczką Zacha, aby mógł się pozbyć nas obojga? Czy to zrekompensuje ci los, jaki cię spotkał?

– Ja nawet nie wiem, co to był za los. – Kima zdał sobie sprawę, że podniósł głos, i szybko ściszył go do szeptu. – Po prostu nie chcę, żeby Kobziarz miał na ciebie takiego haka. Wykorzystają cię, żeby dorwać Zacha. Dobrze o tym wiesz.

– Żadne z nas tego nie wie – zaprzeczyłam.

– To dlaczego jeszcze mu nie powiedziałaś?

Oparłam się o ścianę i wbiłam wzrok we własne stopy zwisające z krawędzi łóżka. Kima przysunął się do mnie, ale nasze ciała się nie zetknęły. Przechyliłam głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Nie męczy cię ten brak zaufania do ludzi? – spytałam.

– To, czy ufam Kobziarzowi, czy nie, nie gra roli – odpowiedział. – Zach jest twoim bliźniakiem, więc to twoja decyzja. Po prostu martwię się o ciebie. Zawsze starasz się wierzyć w dobre intencje innych ludzi, ale przypomnij sobie, jak skończyło się ignorowanie ostrzeżeń twojej mamy.

– Gdybym nie zaufała Zachowi i nie wylądowała w Przechowalni, nigdy nie odkryłabym zbiorników. I nie wyostałabym cię stamtąd.

Kima parsknął śmiechem.

– Tylko ty umiałabyś przedstawić cztery lata spędzone w celi jako dowód na to, że łatwowierność popłaca – zauważył. – Wziął mnie za rękę, a ja uniosłam nasze złączone dłonie i wolno pocałowałam każdy z jego długich palców. – Co chcesz w takim razie zrobić? – spytał.

– Nie wiem. – Westchnęłam. – Mam wrażenie, że wybór wcale nie należy do mnie. Ale zgadzam się z tobą co do Kobziarza. Nie w kwestii tego, że nie możemy mu ufać, tylko że jest sprytny.

Rozdział dwudziesty

Następnego dnia Kobziarz wezwał nas oboje.

– Najwyższy czas – mruknął Kima, ale widziałam, że się cieszy, iż tym razem nie został pominięty.

Było wczesne popołudnie, a w auli roiło się od ludzi: wartownicy wchodzili i wychodzili, czasami składali sprawozdania członkom Zgromadzenia zebranych wokół podestu, na którym stał pusty tron. Jak to często miało miejsce, Kobziarz stał lekko na uboczu. Rozmawiał z Simonem, jednym z członków Zgromadzenia. Mężczyzna dwukrotnie przewyższał Kobziarza wiekiem, a jego skronie przyprószone były siwizną. Za jego prawym ramieniem zwisiała trzecia ręka, która rzekomo czyniła z niego budzącego strach wojownika. To, co łączyło go z Kobziarzem, to niespożyte pokłady energii. Wielokrotnie gdy wzywano mnie do auli, zastawałam ich pogrążonych w rozmowie, a Simon nie miał oporów przed wyrażaniem zdecydowanego sprzeciwu, jeśli miał odmienne zdanie. Domyślałam się, że to z tego właśnie względu Kobziarz wołał jego towarzystwo od obecności bardziej uległych członków Zgromadzenia. Raz czy dwa miałam okazję widzieć, jak zatopieni w burzliwej dyskusji mężczyźni gestykują gwałtownie i sobie przerywają, pochyleni nad mapami czy dokumentami, jednak zawsze rozstawali się w zgodzie: Simon zbierał papiery i wychodził, grzecznie mi się kłaniając.

Tym razem Simon odsunął się na bok, a Kobziarz poprowadził nas do stołu umieszczonego pod witrażem na samym końcu auli, gdzie nikt nie mógł nas podsłuchać. Nalał nam wina do dwóch niewielkich kieliszków i poprosił nas o zajęcie miejsc.

– Okazałaś dużo cierpliwości, tolerując te wszystkie wezwania i pytania – odezwał się do mnie – jednak ani Zgromadzenie, ani ja nie zawracalibyśmy ci głowy, gdyby to nie było ważne.

– Najwyraźniej niewystarczająco ważne, żeby i mnie zawracać głowę – wtrącił Kima.

– Nadchodzą zmiany – mówił dalej Kobziarz, nie zwracając na niego uwagi. – Informacje, których nam dostarczyłaś, są dla nas nowością, ale potwierdzają to, co sami zaobserwowaliśmy. W Radzie zmieniają się nastroje. Zaczęło się od wieloletniej suszy. Gdy ludzie są głodni i zdesperowani, łatwiej obrócić ich przeciwko sobie. Rada wykorzystała ów stan, a umożliwiła jej to niechęć Alf do Omeg. Od tamtej pory sytuacja stopniowo się pogarsza, ale w ciągu ostatnich kilku lat przybrała dramatyczny wręcz charakter. Wzrasta dziesięcina i pojawiają się inne reformy, za które odpowiedzialna jest Pani General: coraz więcej osad Omeg usuwa się z żyznych ziem albo terytoriów zajmowanych przez Alfę. Wioski położone na wschodzie, w których małym Omegom wolno było przebywać, dopóki nie skończą pięciu, sześciu albo i więcej lat, teraz zsyłają dzieci na wygnanie już

w wieku niemowlęcym. Osady są najeżdżane, plony rabowane lub palone. Wszystko to wygląda na zorganizowane akcje mające na celu wpędzenie Omeg do przytułków. Naturalnie już to wszystko opowiedziałem Cass.

- A ona wszystko mi powtórzyła – oznajmił Kima znaczącym tonem.
- Potem jednak dotarły do nas jeszcze inne wieści – kontynuował Kobziarz.
- O ludziach, których porywano, żeby ich bliźniacy lub wrogowie ich bliźniaków mogli ich strategicznie wykorzystać.
- Przechowalnia – mruknęłam.
- Tak. I mowa tu nie tylko o radnych. Kilka doniesień dotyczyło zamożnych Alf, niemających żadnych związków z Radą, którzy za opłatą mogli oddać swych bliźniaków „na przechowanie”.

Zaczęłam się zastanawiać, ile jeszcze osób tkwiło w celi takiej jak moja.

- Następnie sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót – powiedział Kobziarz. – Jakies pięć lat temu Rada zaczęła traktować poważnie obowiązek rejestracji, chcąc nieustannie śledzić każdy nasz krok.

– Obowiązek rejestracji jest surowo egzekwowany z konkretnego powodu – oznajmiłam, przypominając sobie męczyzną chłostanego w Nowym Hobarcie. – Chodzi o wykorzystanie więzi łączącej bliźnięta do manipulowania nami. Oni posługują się tymi informacjami, żeby ustalić, kogo można się pozbyć, a kto może okazać się przydatny. Nie mam pojęcia, w jaki sposób udaje im się w tym nie pogubić, ale duża część ich działalności ma to właśnie na celu.

Kobziarz skinął głową.

- Zgadza się – powiedział. – Ale obowiązek rejestracji to był dopiero początek. Zaczęły się pojawiać doniesienia z innych regionów głoszące, że Omegi, które udawały się do przytułków, nigdy już z nich nie wychodziły. Docierały też do nas plotki o zaginionych dzieciach. O eksperymentach. Wygląda na to, że Radzie nie wystarczają już osady i Przechowalnia.

Kima odsunął się od stołu, szurając krzesłem.

- Przecież ci o tym opowiadaliśmy, podaliśmy wszystkie szczegóły, a nie tylko powtarzaliśmy plotki – warknął.

Położyłam mu dłoń na ramieniu, a Kobziarz odpowiedział:

- Zgadza się. Szczegóły, które nam przekazaliście, okazały się niezwykle cenne. Do tego potwierdziły nasze podejrzenia dotyczące zmieniających się nastrojów w Radzie.

– Spodziewaliście się tego? – spytał zdziwiony Kima. – Dzięki za ostrzeżenie.

- Nie wiedzieliśmy, co dokładnie się dzieje – wyjaśnił Kobziarz. – Zdawaliśmy sobie jednak sprawę z pojawienia się w Radzie nowej potęgi, osoby równie wpływowej co Pani Generał. Chodzi o młodego Alfę, który szybko zaczął się piąć w hierarchii, a znany jest jako Reformator.

Moja dłoń gwałtownie zacisnęła się na ramieniu Kimy.

– Odkąd doszedł do władzy, forsuje radykalną politykę wymierzoną w Omegi – mówił dalej Kobziarz. – Nakłada coraz więcej restrykcji na naszych ludzi. Jego ustawy mają na celu wygnanie nas z osad do przytułków. A to dopiero początek.

– Czy to on kieruje obecnie Radą? – spytałam, dziwiąc się, jak spokojny ton udało mi się zachować.

Kobziarz pokręcił głową.

– Nie. Jest na to za młody i ma zbyt skrajne poglądy. – Wyciągnął spomiędzy map i dokumentów rozłożonych na stole duży arkusz papieru, który na pierwszy rzut oka przypominał drzewo genealogiczne. Zawierał listę ponad sześćdziesięciu imion, do każdego z nich dołączony był szkic, a wszystkie łączyła sieć strzałek. Kobziarz podniósł wzrok na Kimę. – Umiesz czytać? – spytał.

Kima zniecierpliwionym ruchem pokiwał głową.

– Sędzia – odczytałam, po czym przyjrzałam się rysunkowi: sędziwa twarz otoczona charakterystyczną szopą siwych włosów.

Kobziarz kiwnął głową.

– Rządzi od ponad dekady – poinformował. – Na samym początku był bardzo potężny. Od dawna jednak podejrzewamy, że stał się figurantem. Potrzebują go, bo cieszy się zaufaniem i względną sympatią, nawet pośród części naszych ludzi. Ale Sędzia zawsze miał zbyt umiarkowane poglądy. Na samym początku kariery występował przeciwko dziesięcinie i przyzwał na współzamieszkiwanie wschodnich rejonów przez Alfy i Omegi. Te ostatnie zmiany nie wyszły od niego.

– Czyli obecnie pozostali członkowie Rady mają nad nim przewagę liczebną? – spytał Kima.

– Albo przetrzymują jego bliźniaczkę – dodałam rzeczowym tonem.

Kobziarz przytaknął.

– Według nas to możliwe. Człowiek pokroju Sędziego raczej nie korzystałby z Przechowalni do ochrony swoich interesów. Wydaje nam się, że oni przetrzymują tam jego bliźniaczkę, dzięki czemu są w stanie nim manipulować.

– A kim właściwie są „oni”? – spytałam, chociaż znałam odpowiedź.

Palec Kobziarza przesunął się po wykresie w stronę grupy imion.

– Oto faktyczny fundament władzy, od kilku przynajmniej lat – oznajmił. – Pani Generał, Prowodyr, Reformator. Młodzi i radykalni.

Pochyliłam się, żeby spojrzeć na szkice widniejące obok każdego z imion.

Twąż Prowodyra miała osobliwie serdeczny wyraz. Spod skłębionej masy kręconych ciemnych włosów wzywały ciepłe oczy, a na ustach widniał uśmiech. Długie jasne włosy Pani Generał na rysunku po prawej były związane z tyłu, dzięki czemu odsłaniały szczupłą twarz. Jej rysy wydawały się przejaskrawione: wygięte w łuki brwi, ostre niczym brzytwa kości policzkowe. W oczach kobiety brakowało

życia widocznego w oczach Prowodyra. Jej pełna rezerwy mina wskazywała na to, że poddaje otoczenie nieustannej ocenie.

Kobziarz dostrzegł, jak uważnie przyglądam się podobnie, i spytał:

– Słyszałaś o niej?

Skinęłam głową.

– Tak jak wszyscy.

– Osobiście wolałbym nie wiedzieć o jej istnieniu – odparł. – Jest bezwzględna jak mało kto. W porównaniu z nią Prowodyra można by wziąć za obrońcę Omeg.

Potem dostrzegłam twarz Zacha. Reformator. Szkic był prosty, ale artyście udało się oddać wyraz jego oczu: skupienie i czujność.

– Rozpoznajecie którąś z tych twarzy? – spytał Kobziarz. – A może któreś z tych imion coś wam mówi?

Przesunął arkusz w moim kierunku. Przypomniały mi się sesje przesłuchań ze Spowiedniczką i jej mapa.

Uważnie przyjrzałam się wszystkim twarzom, ale mój umysł i oczy nieustannie wracały do Reformatora. Pomyślałam, że to musi być okropne: stworzyć sobie publiczny wizerunek, zza którego nawet na chwilę nie wolno człowiekowi wyjść.

– Słyszałam o tych dwóch – odparłam, starając się mówić pozbawionym emocji głosem. – O Prowodyrze i Reformatorze. Opowiedziano nam o nich w Nowym Hobarcie.

Wtedy dostrzegłam szkic, który nie był połączony z drzewem obrazującym hierarchię. Zarówno imię, jak i rysunek widniały po lewej stronie, otoczone przez niezapisane połączenie pergaminu. Oczy Kobziarza podążyły za moim wzrokiem ku portretowi przedstawiającemu spokojne oblicze o uśmiechniętych ustach.

– Zastanawiałem się, kiedy ją wypatrzysz – powiedział. – Spowiedniczka. Twoja stara znajoma.

– Niezupełnie – odrzekłam.

Nie byłam w stanie odwrócić wzroku od rysunku. Niewiarygodne, jak kilka zręcznie nakreślonych tuszem kresek mogło cofnąć mnie w czasie do przerażająco intymnych przesłuchań w Przechowalni. Do chwil, gdy sondowany był mój umysł.

– Pojawiła się na scenie politycznej jakieś sześć lat temu – mówił dalej Kobziarz. – Naszym zdaniem zwerbował ją Reformator.

– Czemu dla nich pracuje? – spytał Kima.

– Wiem, że służba osobom, które chciałyby całkowicie pozbyć się ludzi takich jak ona, takich jak my, może zakrawać na perwersję. Wydaje mi się jednak, że ona pracuje nie tyle dla nich, ile z nimi. Jest potężna, a oni o tym wiedzą i korzystają z jej usług w wiadomy sposób. Ona nie jest pionkiem.

Spojrzałam na palec Kobziarza, który zawisł nad twarzą Spowiedniczki,

i przypomniał mi się lęk w głosie Zacha, gdy o niej opowiadał.

– Jestem w stanie zrozumieć, że jej potrzebują – stwierdziłam. – Widziałam, do czego jest zdolna. Ale do czego oni są jej potrzebni? Tak jak Kima zastanawiam się, po co ona to robi.

Kobziarz parsknął śmiechem.

– Myślicie, że wszystkie Omegi są z natury dobre? Że działają dla dobra ludzkości? Że żadnej Omegi nie da się przekupić złotem albo obietnicami władzy czy bezpieczeństwa?

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Czy w takim razie wszystkie Alfy uważasz za osoby nikczemne? – spytałam.

Kobziarz przemilczał moje pytanie, a następnie ponownie spojrzał na wykres i dźgnął palcem podobiznę Zacha z taką siłą, że omal się nie skrzywiłam.

– Ze wszystkich źródeł docierają do nas te same informacje: kluczową rolę odgrywa Reformator. Pani Generał jest na swój sposób przerażająca, a Prowodyr zawsze występował przeciwko Omegom, ale to Reformator stanowi siłę napędową nowej polityki. Nie możemy mieć pewności, że przetrzymuje bliźniaczkę Sędziego, ale to on rozdaje karty.

Starłam się unikać wzrokiem szkicu przedstawiającego Zacha, ale dostrzegłam, że oczy Kimy raz za razem na nim spoczywają, mrużąc się z koncentracji. Kobziarz też to zauważył.

– To on, Kima – potwierdził. – Ponad pięć lat temu, gdy jego pozycja w Radzie się ugruntowała i rozpoczęła z nim współpracować Spowiedniczka, nasi ludzie zaczęli znikać. W dużych liczbach, i mówię nie tylko o bliźniakach radnych. Również o osobach takich jak ty.

Kima spojrzał na niego surowym wzrokiem.

– Masz na myśli ludzi pozbawionych znaczenia? – spytał.

– Mam na myśli ludzi niezwiązanych bezpośrednio z Radą. Rzecz jasna, istnieje możliwość, że twoja bliźniaczka ma z nią coś wspólnego. To jednak nie zawęziłoby wyboru tak bardzo, jak mogłoby ci się wydawać. Radnych jest kilkuset, z czego połowa to kobiety. Do tego należy dodać wszelkie inne kobiety, na których ochronie może zależeć radnym: żony, córki, doradczynie, przyjaciółki. Ostatecznie każda z nich mogłaby uznać za stosowne zamknięcie swego bliźniaka w zbiorniku. Najbardziej prawdopodobne jest jednak to, że nie masz żadnych związków z Radą. Że jesteś jedną z wielu osób, które porwano, by przeprowadzać na nich eksperymenty: Omegą pozbawioną wartości strategicznej.

– Omegą pozbawioną wartości strategicznej – powtórzył Kima.

– Z punktu widzenia Rady tak to właśnie wygląda – powiedział zniecierpliwionym tonem Kobziarz. – Mówimy o uczestnikach badań, zazwyczaj młodych, którzy w przypadku niepowodzenia nie będą stanowić zagrożenia dla

Rady.

– Chciałeś chyba powiedzieć: w przypadku śmierci – poprawiłam. – Nie musisz przez wzgląd na nas lukrować rzeczywistości. Widziałam zbiorniki, a Kima tkwił w jednym z nich. Widzieliśmy też kości zalegające w grocie pod tamtą komnatą.

Kobziarz skinął głową.

– Nie sposób nie stracić rachuby, zważywszy na to, że porwano tysiące osób, a udało nam się potwierdzić tylko setki zgonów – oznajmił. – Tak wiele Omeg uprowadzonych w celach badawczych zmarło, że nawet Alfy zaczęły zadawać pytania. – Spojrzał na Kimę i powiedział: – A tobie udało się przeżyć. Masz więcej szczęścia, niż zdajesz sobie z tego sprawę.

– Istotnie, niewdzięcznik ze mnie – odgryzł się Kima.

– Niemniej jednak żadna z tych informacji nie jest odpowiedzią na najważniejsze pytanie – zauważyłam. – Okrutne traktowanie, jakiemu poddaje nas Rada, w dalszym ciągu nie ma sensu. Co mogą zyskać, doprowadzając nas do śmierci głodowej? Ich życia zależą od nas. I to się nigdy nie zmieni.

– A to z kolei ma swoje dobre i złe strony – powiedział Kobziarz. – Więż z Alfami stanowi dla nas jedyną linię obrony, lecz jednocześnie sprawia, że Omegi tracą wolę walki. Dlatego właśnie tak trudno jest nam zwerbować nowych członków ruchu: ludzie sądzą, że Rada nie mogłaby nas dotkliwie skrzywdzić. Nawet gdy w ostatnich latach sytuacja drastycznie się pogorszyła, pocieszaliśmy się myślą, że Alfy są od nas zbyt zależne, aby pozwolić nam skonać z głodu. Przytulki miały być tego dowodem. Chociaż nikogo nie cieszy perspektywa zgłoszenia się tam i zrzeczenia kontroli nad własnym życiem, stanowią one swoistą gwarancję bezpieczeństwa, a niedawny wzrost ich liczby tylko umocnił ludzi w tym przekonaniu. Nikt nie jest na tyle głupi, by uwierzyć w rozgłaszane przez Radę bujdy, zgodnie z którymi przytulki mają oznaczać gest dobroczynny. Jednak mimo niewątpliwie egoistycznych pobudek, którymi kierują się Alfy, przytulki potwierdzają teorię, że podłe traktowanie nas przez Radę musi mieć swoje granice. *Nieprzekraczalne granice.*

– A mnie się wydaje, że Alfy przekraczają te granice nader wyraźnie – stwierdził Kima.

– Tylko dlaczego akurat teraz? – spytałam. – Co się zmieniło?

– Przez jakiś czas myśleliśmy, że Alfy próbują się pozbyć więzi łączącej bliźnięta – odparł Kobziarz. – Od kiedy sięgam pamięcią, chodzą słuchy o programach rozrodczych, eksperymentach oraz innych próbach wydania na świat dzieci, które nie byłyby ze sobą w żaden sposób związane. Nic z nich jednak nie wyszło. Przynajmniej z punktu widzenia radnych wsadzanie bliźnięt do zbiorników jest najlepszym rozwiązaniem.

Kiwnęłam głową, chociaż myślami byłam gdzie indziej.

– Wczoraj na tarasie wspomniałeś o budowie nowych przytułków – zauważyłam.

– Ich liczba nie wystarczy, żeby pomieścić wszystkich potrzebujących – odrzekł Kobziarz. – Czy nawet ich większość. Zobaczcie zresztą sami.

Zaczął grzebać w rozłożonych na stole papierach, aż w końcu rozpostarł na nich jakąś mapę. Jej skala była znacznie mniejsza niż ta użyta do stworzenia map wybrzeża, które wcześniej mi pokazywał. Widać było na niej skupisko budynków oraz pola otoczone podwójnym ogrodzeniem.

– To Przytułek Pierwszy położony na południe od Wyndham. – Dłoń Kobziarza zawisła nad prawą częścią mapy, gdzie garstka budynków otaczała dużą prostokątną budowlę, dorównującą rozmiarem połowie całego obozu. – Kompleks jest nowy, zaczęli go budować w zeszłym roku – poinformował. – Te same doniesienia nadeszły ze wszystkich innych przytułków, które monitorujemy. Ale nawet nowe budynki nie zmieszczą wszystkich osób, które się tam zgłaszają. Mowa tu o tysiącach. Nowe baraki są duże, ale takie rzesze ludzi nie będą w stanie w nich zamieszkać.

– W takim razie dlaczego chcieliby wziąć odpowiedzialność za tak wiele Omeg? – spytał Kima. – Byłoby o wiele łatwiej i prawdopodobnie taniej, gdyby Rada ułatwiła nam przeżycie poza przytułkami.

– Bez dwóch zdań – zgodził się Kobziarz. – Tyle że jeńców łatwiej jest kontrolować.

– Nie – weszłam mu w słowo. – To znaczy masz rację, ale chodzi o coś więcej.

Przypomniało mi się to, co powiedziała mama, kiedy przyjechała do osady, żeby ostrzec mnie przed Zachem: „Jest ambitny”. A potem usłyszałam w głowie słowa wygłoszone przez Zacha w mojej celi: „Muszę skończyć to, co zacząłem”. Przypomniało mi się także pytanie, które zadał mi wiele lat temu, gdy Alice i tato umierali: „Nie możesz nic zrobić?”. Zrozumiałam, że w jakiś perwersyjny sposób mój brat próbuje „coś zrobić” z zabójczą więzią łączącą bliźnięta. Ponownie spojrzałam na plan przytułku oraz wielki nowy budynek.

– Stwierdziłeś, że nowe budynki nie są wystarczająco duże, aby mogły w nich zamieszkać tysiące ludzi – powiedziałam. – Ale im nie zależy na tym, byśmy tam mieszkali. Chcą jedynie utrzymać nas przy życiu.

– Jest jakaś różnica? – spytał Kobziarz.

– Teraz już tak, dzięki zbiornikom.

Kiedy zamknęłam oczy, wszystko ujrzałam. Najpierw pojedynczy zbiornik, taki jak te, które widziałam już wcześniej. Ale potem moje spojrzenie zaczęło się cofać, a im bardziej oddalałam się od pojemnika, tym więcej dostrzegałam: niekończące się rzędy zbiorników, przyćmiewające rozmiarem pomieszczenie, w którym natknęłam się na Kimę. Każdy z nich był pusty. Wszystkie czekały na

lokatorów.

Zrobiłam głęboki wdech, zastanawiając się, czy moja teoria zabrzmiała niedorzecznie, gdy oblecze się ją w słowa.

– Chcą nas wszystkich zamknąć w zbiornikach. Każdą Omegę – oświadczyłam.

Swobodny uśmiech, który prawie nie zniknął z twarzy Kobziarza, zgasł. Mężczyzna wstał.

– Jesteś pewna? – spytał.

– Będą się starali pociągnąć to tak daleko, jak się da – odparłam. – Sam mówiłeś, że próbują się pozbyć więzi łączącej bliźnięta. Skoro nie są w stanie tego dokonać, to będzie dla nich druga najlepsza opcja. Pomyśl sam: świat wypełniony perfekcyjnymi pod względem fizycznym Alfami, prowadzącymi idealne życie do momentu, aż umrą ze starości na puchowym materacu.

– Nie mogliby przecież... – odezwał się Kima.

– Nie twierdzą, że byłoby to proste – przerwałam mu – ani że już są w stanie tego dokonać. Ale co, jeśli taki właśnie mają cel? Schludna klasyfikacja i dokumentacja społeczności Omeg, a w ostatecznej perspektywie: zamknięcie jej w zbiornikach.

– Zatem przytułki nie pełnią już nawet funkcji domów pracy, tylko punktów składowania zbiorników – powiedział Kobziarz.

Skinęłam głową.

– A jeśli jeszcze tak nie jest, wkrótce się to zmieni – dodałam.

– Wszystkie Omegi? – spytał z niedowierzaniem Kima. – Oni naprawdę mogą się nosić z takimi zamiarami?

Było mi wstyd za Zacha i nie potrafiłam przyznać tego sama przed sobą, nie mówiąc o wyrażeniu tego na głos. Wiedziałam jednak, że to prawda.

– To jedyne sensowne wyjaśnienie tego, jak nas traktują. Gdy tylko się urodzimy, będą nas wsadzać do zbiorników, o ile tylko zdołają. Wyobraźcie sobie, będą się nas pozbywać już na samym początku. Alfy stworzą swój własny świat.

Kima się skrzywił. Wiedziałam, że przypomniało nam się to samo: mała czaszka na dnie groty, wypolerowana przez wodę i czas. No i dzieci odebrane Elsie.

– To już się zaczęło – powiedziałam.

Kobziarz zrzucił papiery na podłogę.

– Jeżeli masz rację, to zmienia absolutnie wszystko. Od lat łudziliśmy się poczuciem bezpieczeństwa. Nawet wszystkie te iluzoryczne „reformy” nie pozbawiły nas przeświadczenia, że oni nigdy nie dopuściliby do tego, żeby coś nam się stało. Ale to, co właśnie powiedziałaś, znosi ideę współzależności. Wymazuje poczucie obopólnych zobowiązań. Zakres działań Rady nie ma już granic. Jeśli ich zamiarem jest zamknięcie nas wszystkich w zbiornikach, to nie

sądzę, aby przejmowali się tym, iż część z nas umiera pod rządami obecnego reżimu. Wcześniej postrzegano by to jako katastrofę, brak równowagi. Teraz jednak uznają to po prostu za krótkoterminowy efekt uboczny swego już wprowadzanego w życie planu: nawet jeśli skona kilka Omeg, z problemem trzeba będzie sobie radzić zaledwie przez chwilę.

Pokiwałam głową.

– Ale to, jak obecnie traktują Omegi, jest nie tylko efektem ubocznym – zauważyłam. – To właśnie część planu: im bardziej poczujemy się uciśnieni, głodni, osłabieni i zniechęceni, tym więcej osób zgłosi się do przytułków, a Alfom łatwiej przyjdzie pozamykanie nas w zbiornikach.

Nazajutrz ponownie zostałam wezwana przez Kobziarza, ale wartownik, który przyniósł wiadomość, zamiast do auli kazał mi udać się na basztę. Gdy dotarłam na szczyt krętych schodów, Kobziarz stał przy niskim krenelażu otaczającym rozległą kolistą przestrzeń z widokiem na znajdujące się poniżej miasto. Nie odwrócił się, musiał jednak usłyszeć moje kroki.

– Ładna panorama, ale z punktu widzenia obrony bezużyteczna – powiedział. – Widać stąd miasto, a nie morze. W momencie gdy do miasta wedrą się najeźdźcy, będzie po wszystkim. Ktokolwiek zbudował to miejsce, wiedział, że dyskrecja jest najlepszą formą obrony. Nawet z rafy nie da się dostrzec żadnych oznak życia, trzeba by wpłynąć do portu. Nie wiem, po co bawili się w stawianie baszty, i to opatrzonej blankami. Chyba tylko po to, żeby mogli się poczuć ważniejsi.

– Wygląda na to, że przebywanie tutaj i tak sprawia ci przyjemność – zauważyłam.

Wzruszył ramionami, nadal obrócony do mnie plecami.

– Panuje tu cisza. A ja lubię patrzeć na miasto, widzieć wszystko, co udało nam się osiągnąć.

Nie miałam zbytnej ochoty oddalać się od schodów, żeby do niego podejść – wspomnienia karkołomnych chwil spędzonych na murach obronnych w Wyndham były jeszcze zbyt świeże. Jednak Kobziarz w końcu się odwrócił i poprowadził mnie do przodu, więc stanęłam obok niego. Razem spojrzeliśmy na schodzące ostro w dół, wypełnione ruchem miasto. Jego szeroka dłoń o mocnych palcach wspierała się o mur nieopodal mojej dłoni. Od ucieczki z Przechowalni moja skóra zdążyła się opalić, ale i tak nie dorównywała śniadością karnacji Kobziarza.

– Po co mnie wezwałeś? – spytałam, przerywając ciszę. – Chodzi o to, co powiedziałam wczoraj?

Skinął głową.

– Po części – odparł. – Zgromadzenie debatowało prawie do rana. Niektórzy nadal w to nie wierzą; inni dali się przekonać.

– A ty?

– Wolałbym w to nie wierzyć – wyznał. – Ta sprawa jest tak poważna, że aż nieprawdopodobna. Jednak w to, jak traktuje się nas od lat, jeszcze trudniej było uwierzyć. Dopóki nie opowiedziałas nam o zbiornikach. Jeżeli tak ma wyglądać ich ostatni ruch, to wszystko zaczyna wreszcie nabierać sensu.

– Pod pewnym względem jest to plan doskonały – stwierdziłam. – Podnoszą dziesięć, przez co głodujemy i w końcu trafiamy do przytułków, ale w ten sposób finansowana jest także ich działalność. Zarówno nowe budynki w przytułkach, jak i produkcja zbiorników opłacane są z pobieranej od Omeg dziesięć, która w ostatecznej perspektywie popycha nas w kierunku zbiorników. Płacimy za nie, a potem sami dajemy się w nich zamknąć.

Byłam w stanie podziwiać ów plan tak samo, jak podziwiałam spryt Zacha, gdy mnie zdekonspirował. Cechowała je przerażająca prostota.

– Co ma zamiar zrobić wasze Zgromadzenie? – spytałam.

– Próbowaliśmy to ustalić zeszłej nocy – odrzekł Kobziarz. – Należy roznieść wieści, by za wszelką cenę unikano przytułków. Taki będzie pierwszy krok. Ale nawet to łatwiej powiedzieć niż zrobić. Ludzie nie udają się do nich z lekkim sercem. A kiedy ktoś jest już wystarczająco wygłodzony i zdesperowany, ciężko go odwieść od tego zamiaru, chyba że zaproponuje mu się jakąś alternatywę.

– Potraficie to zrobić? – spytałam.

– Możemy zaoferować im to. – Wskazał na rozciągającą się pod nami Wyspę. – Chociaż ledwo jesteśmy w stanie wyżywić obecną populację. Dopiero w ostatnich latach staliśmy się na tyle samowystarczalni, żeby nie musieć dowozić tu jedzenia. A teraz to miejsce jest zagrożone, skoro Spowiedniczka skupia na nas swą uwagę, tak jak utrzymujesz. Nie mogę przestać rozmyślać o niej oraz o tym, co oznaczałoby dla nas odszukanie przez nią Wyspy.

– W takim razie już wiesz, jak się zazwyczaj czuję – odparłam. – Od ucieczki nie mogę ani na chwilę przestać o niej myśleć. Wiem, że mnie szuka.

– Czujesz to?

Potwierdziłam skinieniem głowy. Nawet stojąc obok Kobziarza na rozświetlonej słońcem Wyspie, czułam, że ta kobieta na mnie poluje. Jej umysł wyciągał się ku mnie niczym niepożądane dłonie.

– Bez przerwy. To jeszcze gorsze niż bycie przez nią przesłuchiwaną.

– I nie wiesz, co ją motywuje? – spytał.

– Czy to nie oczywiste? Przecież im się wymknęłam.

Kobziarz z uśmiechem pokręcił głową, po czym obrócił się do mnie.

– Myślisz, że ona ściga cię tylko dlatego, że udało ci się uciec? Naprawdę

uważasz, że ucieczka kogokolwiek z Przechowalni to dla nich aż tak wielki problem? Najwyraźniej nie masz pojęcia, ile jesteś warta.

– Warta? – powtórzyłam. – Nie jestem towarem na sprzedaż. Skoro według ciebie jestem taka cenna, przestań traktować mnie z góry.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Naturalnie, masz rację – powiedział. – Chodzi o to, że za każdym razem lekko mnie zaskakuje, jak bardzo nie doceniasz własnych możliwości. Pomyśl o roli, jaką odgrywa dla Rady Spowiedniczka, oraz zagrożeniu, jakie dla nas stanowi. Polują na nas od momentu, gdy ponad wiek temu pierwsze Omegi odkryły Wyspę. Nie mogą jednak przeczesać całego morza. Tyle że teraz, mając ją do dyspozycji, nie muszą tego robić. Ona w końcu nas znajdzie, tak jak ty nas znalazłaś.

– Nie jestem taka jak ona – zaznaczyłam.

– Ciągłe to powtarzasz. I rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Jednak gdybyś przyznała się sama przed sobą do własnych zdolności, mogłabyś im naprawdę zagrozić. Pomyśl o wszystkim, co do tej pory osiągnęłaś.

– A co takiego osiągnęłam? Udało nam się tylko uniknąć schwymania.

Kobziarz spojrział mi prosto w oczy wzrokiem, który wprowadził mnie w zakłopotanie.

– Przez cztery lata opierałaś się przesłuchaniom prowadzonym przez Spowiedniczkę – zaczął wyliczać. – Uciekłaś z Przechowalni. Nie tylko dowiedziałaś się o istnieniu zbiorników, lecz także osobiście do nich dotarłaś i ocalałaś życie jednej z uwięzionych w nich osób. Przemknęłaś się przez blokadę Nowego Hobartu i opóźniłaś ją, spalając pół lasu. Odnalazłaś drogę do miejsca, którego istnienie okryte jest całkowitą tajemnicą, od stu lat chronionego niemożliwą do przebycia rafą, a następnie ostrzegłaś nas przed planem Rady dotyczącym powsadzania nas wszystkich do zbiorników. – Kobziarz uniósł brew. – Moim zdaniem zrobiłaś całkiem dużo, by nie dać im spocząć na laurach – podsumował.

– Ale to wszystko po prostu się wydarzyło – zaprotestowałam. – Nie planowałam żadnego ataku na Radę. Niczego nie robiłam z myślą o ruchu oporu. Dopóki tu nie trafiłam, nie byłam nawet pewna, czy coś takiego naprawdę istnieje.

– Teraz już wiesz – odrzekł. – Pytanie brzmi zatem: co możesz zrobić dla tego ruchu? Na początek możesz mi zdradzić, kim jest twój bliźniak.

Przez chwilę milczałam. Docierały do nas dźwięki miasta. Poniżej, w niecce u podnóża krateru, znajdowało się jezioro. Wokół niego oraz na zboczu krateru położonym po drugiej stronie miasta rozciągały się pola, z których zebrano już pszenicę i kukurydzę, a pozostawiono na nich bele siana. Natomiast w mieście dachy, parapety oraz maleńkie strome ogródki domów – nawet tych położonych przy najbardziej zatłoczonych ulicach – pełne były dyni, pomidorów i szpinaku.

– Czy obecnie przebywają tu jacyś inni wizjonerzy? – spytałam.

– Nie w tej chwili. Kiedyś mieliśmy dwójkę. Oboje byli na swój sposób użyteczni. Do chłopaka dotarliśmy, zanim go napiętnowano, co czyniło go niezwykle wartościowym tajnym agentem na stałym lądzie. Niektóre Omegi na pierwszy rzut oka uchodzą za Alfę, te z mniej widocznymi mutacjami, które da się ukryć pod ubraniem. Jednak żadna z nich nie jest równie przekonująca co wizjoner. Z kolei dziewczyna miała już piętno, więc nie mogła się wmieszać w tłum Alf. Wydaje mi się, że jej zdolności nie dorównywały twoim: nigdy nie byłaby w stanie dotrzeć tu na własną rękę. Przydawała się jednak przy planowaniu misji ratunkowych. Pomagała namierzyć noworodki lub osoby potrzebujące schronienia, ostrzegła nas też przed patrolami Rady pojawiającymi się na wybrzeżu. Jednak przez ostatni rok prawie całkiem oszalała.

Większość osób unikała przy mnie tego tematu lub korzystała z eufemizmów typu „nie do końca stabilny umysłowo” lub też „wiesz, jak to jest z niektórymi wizjonerami”. Ale Kobziarz nie miał w zwyczaju owijać niczego w bawełnę.

– Wizje ją przerosły – stwierdził. – W końcu nie wiedziała już, co dzieje się naprawdę, a co nie.

Pamiętałam swe ostatnie miesiące w Przechowalni, kiedy to dręczona przez wizje zbiorników oraz sondy Spowiedniczki miałam wrażenie, że odchodzę od zmysłów.

– Mówisz o niej w czasie przeszłym – zauważyłam. – Czyżby wpadła w ręce Rady?

Kobziarz pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Jej statek zatonął na wzburzonym morzu, w drodze powrotnej ze stałego lądu. Tamtego dnia straciliśmy dziesięcioro ludzi.

– Przykro mi.

– Zdarza się. To cena, jaką płacimy za takie położenie.

– Znowu wspominasz o cenie, wartości. Zupełnie jakby dało się wycenić ludzkie życie.

– A nie da się? – spytał. – Na tym właśnie polega moja praca. Mam robić wszystko, by zadbać o interesy naszych ludzi.

Odsunęłam się od krenelażu i od niego.

– Na tym właśnie polega twój problem: myślisz tylko o „naszych ludziach” – oznajmiłam. – Dlatego nie mogę ci zdradzić, kim jest mój bliźniak. Twoje myślenie jest równie ograniczone co rozumowanie Rady. – Kiedy dotarłam do schodów, odwróciłam się do niego i powiedziałam: – Gdy zatonął tamten statek, zginęło dwadzieścia osób, a nie dziesięć.

Zaczęłam schodzić, mając nadzieję, że podąży za mną albo mnie zawoła. Towarzyszył mi jednak tylko dźwięk moich własnych kroków.

W kolejnym tygodniu Kobziarz nadal wzywał mnie do siebie co dzień. Nie wspomniał ani słowem o naszej sprzeczce na baszcie, za to jego pytania stały się bardziej konkretne i szczegółowe: rozkład pomieszczeń Przechowalni, jaskinie i tunele pod Wyndham. Kazał mi narysować zbiorniki z uwzględnieniem każdego elementu, jaki zdołałam zapamiętać. Wypytywał mnie o kości, które widziałam na dnie grotty. Często towarzyszyli nam także członkowie Zgromadzenia zadający własne pytania. Jak szczegółowe były mapy pokazywane mi przez Spowiedniczkę i jakiego terytorium dotyczyły? Ilu żołnierzy widziałam w Nowym Hobarcie, jak byli uzbrojeni oraz jaka ich część poruszała się konno? Odpowiadałam na wszystko z wyjątkiem tego, o co Kobziarz pytał najczęściej, czyli: kim jest mój bliźniak?

Jakieś dziesięć dni po naszym pojawieniu się na Wyspie po raz drugi wezwał i Kime, i mnie.

– Dobre wieści – oznajmił, gdy wprowadzono nas do auli, w której znajdował się tylko on. – Pomyślałem, że oboje chcielibyście je usłyszeć. – Na stole przed Kobziarzem leżały rozłożone papiery. Zepchnął je na bok i lekko odsunął się z krzesłem, a my zajęliśmy miejsca. – Mamy możliwość zlikwidowania Reformatora. Od dłuższego czasu obserwuje go nasza wtyczka w siedzibie Rady.

– Jeden z nas? – spytałam.

– Ktoś taki jak ty – odparł Kobziarz, obracając się do mnie. – Wizjoner, o którym ci opowiadałem. Ten nienapiętnowany. Ma siedemnaście lat i od dwóch lat inwigiluje struktury Rady. Naturalnie, pomagają mu w tym zdolności wizjonerskie, choć czasami lęka się, że Spowiedniczka może go wyczuć.

– Jak głęboko udało mu się wnikać? – spytałam, z całych sił próbując zwalczyć drżenie głosu.

– Pracuje jako służący w domu Pani Generał. Ma jednak dostęp nie tylko do niej, lecz także do wielu innych członków Rady, a do tego obsługuje prywatne spotkania z udziałem Prowodyra, Sędziego i całej reszty. – Kobziarz spojrzał mi prosto w oczy. – Statek, który przyplłynął zeszłej nocy, przyniósł od niego wiadomość. Udało mu się zdobyć dostęp także do Reformatora. Kilka razy był z nim sam na sam. Ma możliwość dokonania zamachu. Wystarczy, że szepnę słowo, i pozbedziemy się Reformatora.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, Kobziarz potrząsnął dzwonkiem leżącym na skraju stołu. Do sali weszło dwóch wartowników. Kima również był ciekaw mojej reakcji, nie odezwała się jednak ani słowem. Nagle poczułam się skrajnie wyczerpana, opadło mnie zmęczenie, jakiego nie zaznałam od przybycia na Wyspę.

Typowym dla siebie, beztroskim ruchem głowy Kobziarz wskazał strażników stojących na baczność poza zasięgiem słuchu.

– I co powiesz? – spytał mnie. – Mam wydać rozkaz?

– Czemu właściwie nas o to pytasz? – zwrócił się do niego Kima. – I tak nie

obchodzi cię, co powiemy.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł Kobziarz, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Trzasnęłam drzwiami naszej kwatery, zanim Kima dobiegł do schodów prowadzących do niej. Gdy wbiegł na górę, zdążył jeszcze usłyszeć dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

– Musiałem to zrobić, Cass! – zawołał przez drzwi.

– To nie była twoja decyzja! – odkrzyknęłam.

Stał przed samym wejściem, więc na pewno słyszał brzęk rozbijanych butelki po winie, filiżanek i lustra. Cisnęłam lampą w drzwi; metalowa podstawa odbiła się od niej, a szklany klosz roztrzaskał się na kawałki.

– Co miałem zrobić? – spytał Kima.

W odpowiedzi kopnęłam stolik, który przewrócił się z łoskotem.

– Taki z ciebie bohater?! – wrzasnęłam. – Myślisz, że możesz tak sobie wypalić, że Zach jest moim bliźniakiem? To nie twoja decyzja!

– A ty jesteś bohaterką, bo siedziałabyś cicho, pozwalając mu zabić i Zacha, i siebie?

Zrobiłam krok nad rozbitym szkłem, po czym przekręciłam klucz i tak szybko pociągnęłam drzwi do siebie, że Kima prawie wpadł mi w ramiona.

– Niczego nie rozumiesz? – spytałam. – On nie ma żadnego wizjonera w Wyndham. Spowiedniczka by do tego nie dopuściła. A nawet gdyby udało im się ujść jej uwadze, wyczułabym niebezpieczeństwo grożące Zachowi i mnie samej. Wiedziałabym, że coś się kroi. On blefował. Myślisz, że dlaczego zaprosił tam także ciebie?

– Nie przyszło ci do głowy, że moje zdanie może jednak coś dla niego znaczyć? Że jako jedyna z obecnych tu osób brałam udział w eksperymentach naukowych twojego braciszka i mam prawo wiedzieć, co jest grane?

Uniosłam brew i czekałam, co powie dalej.

– A niech to. – Kima klapnął na łóżko. – Wiedział, że będę próbował cię powstrzymać. – Zamknął oczy. – Wcale nie miał możliwości zabicia Zacha, ale teraz...

Ochłonawszy trochę, usiadłam obok niego.

– Aha.

– I nie będzie do tego potrzebował szpiegów, wtyczek ani skrytobójców – mówił dalej.

– Nie. Wystarczy mu ja – przytaknęłam.

Kima oparł głowę o ścianę, a ja zrobiłam to samo.

– Widzę, że przeoczyłaś filiżankę stojącą na parapecie – zauważył. – Masz ochotę ją rozwalić?

– Może później. – Uśmiechnęłam się i przymknęłam oczy.

Długo czekał, aż coś powiem.

Jakiś czas później zamietliśmy odłamki szkła i porcelany i położyliśmy się bez słowa w osobnych łóżkach. Pod drzwiami widać było cierpliwy cień wartownika, który stanął tam zaraz po naszym powrocie z auli. Za oknem snuła się wstążka dymu z fajki innego strażnika, który zajął miejsce na murze obronnym poniżej.

Kima spojrzał na mnie.

– Nie chcę psuć nastroju... – zaczął, a ja skwitowałam to parsknięciem – ...ale dlaczego cię jeszcze nie zabili?

– Też się nad tym głowię – odparłam.

– Ale to dobrze, prawda?

Wybuchłam niepohamowanym śmiechem.

– No cóż, rzeczywiście cieszę się, że jeszcze żyję.

– Wiesz, co mam na myśli – powiedział. – To dobry znak, że z miejsca cię nie zabił.

Przekręciłam się na bok, żeby na niego spojrzeć.

– Od kiedy nagradzamy wdzięcznością tak drobne oznaki miłosierdzia, co? – Spojrzałam w pełne niepokoju, znużone oczy Kimy. – Ale wydaje mi się, że masz rację. Musiał dojść do wniosku, że jeszcze się przydamy.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie. To ty możesz mu się przydać. Ja nie jestem mu do niczego potrzebny. – Zrobił pauzę, a następnie dodał: – Ani tobie.

– Możesz przestać przeproszać – odparłam.

– Naprawdę? Bo skazanie kogoś na w miarę pewną śmierć znajduje się gdzieś na samym szczycie listy rzeczy, za które powinno się przeproszać.

Milczałam.

– Wybacz – powiedział Kima. – Nie powinienem był tego mówić.

Usiadłam na łóżku.

– Mogę do ciebie przyjść? – spytałam.

– Pewnie – odparł. – Chociaż nie wiem, czy zasłużyłem.

Przesunął się, żeby zrobić dla mnie miejsce. Położyłam się na plecach, a on także przyjął taką pozycję, leżeliśmy więc mocno ściśnięci.

– Lubię, gdy leżysz po tej stronie – powiedział. – Gdy czuję twoją rękę obok siebie, mam wrażenie, że to moja własna.

– Położyłam się po tej stronie, żebyś nie mógł mnie obłapiać – oznajmiłam i oboje parsknęliśmy śmiechem.

– Dlaczego nie jesteś na mnie bardziej wściekła? – spytał Kima po chwili.

– Bo on miał rację.

– Kto, Kobziarz? Bronisz go po tym, jak nas wykołował?

– Nie chodzi mi o to, że zawsze ma rację, ale co do ciebie się nie mylił – wyjaśniłam.

– Faktycznie, jestem idiotą.

– Nie. Zrobiłbyś wszystko, żeby mnie chronić.

Następnego dnia drzwi nadal były zamknięte na klucz. Stojący na zewnątrz wartownik ignorował wykrzykiwane przez nas żądania i groźby. Po południu zaś jeden ze strażników otworzył drzwi i stanął w gotowości, drugi zaś wszedł do środka. Kima zerwał się na równe nogi i zasłonił mnie własnym ciałem.

– Nie fatyguj się – powiedziałam. – Kobziarz nie wyręczyłby się kimś innym do odwalenia czarnej roboty.

Wartownik położył tacę na stole przy drzwiach, po czym wyszedł bez słowa.

– Sam się tym zajmie – dokończyłam.

– Skąd ta pewność? – spytał Kima, podnosząc tacę, a następnie przyniósł ją na moje łóżko.

– Bo nie jest tchórzem.

– Istotnie, zabicie nieuzbrojonego więźnia byłoby świadectwem wielkiej odwagi – skwitował cierpko.

Po dwóch kolejnych dniach spędzonych w zamknięciu zażądałam, aby wartownik przekazał Kobziarzowi naszą prośbę, by zezwolono nam wyjść na świeże powietrze. Nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi, ale późnym popołudniem pojawiło się czterech strażników, którzy poprowadzili nas na szczyt baszty, a sami zostali na schodach.

Stałam przy blankach i spojrzałam w dół. Miasto wyglądało identycznie jak kilka dni wcześniej, gdy patrzyłam na nie w towarzystwie Kobziarza. Teraz jednak z ostoi zmieniło się w więzienie.

– Może tak byłoby najlepiej – stwierdziłam. – Pozbywając się mnie, pozbyliby się Zacha. Z racjonalnego punktu widzenia ciężko z tym dyskutować.

– Nie mów głupot – odparł. – W chęci uniknięcia śmierci nie ma niczego nieracjonalnego czy samolubnego.

– To nie są żadne głupoty. Tak naprawdę wydaje się to oczywistym rozwiązaniem, skoro Zach odpowiada za to, co zrobili tobie i innym. Nie wiemy nawet, ilu było tych innych – setki, a może nawet tysiące. Jeśli więc zdać się na chłodną kalkulację, odpowiedź jest prosta: moje życie kontra ich istnienie.

– To nie jest zadanie arytmetyczne, Cass – zauważył Kima. – Nie ma w tym niczego prostego.

– Niedawno to samo powiedziałam Kobziarzowi. Co jednak, jeżeli chodzi właśnie o kalkulację? Może staram się skomplikować ów wybór, bo boję się o własną skórę?

Kima westchnął.

– Czasem aż trudno uwierzyć, że jesteś tą nieustraszoną wizjonerką.

– Co masz na myśli? – spytałam.

– To, że niby kiedy zaczęłaś się martwić o swoje bezpieczeństwo? Do tej pory się nim nie przejmowałaś. Rozbiłaś mój zbiornik, zamiast po prostu mnie stamtąd wyciągnąć, przez co mogłaś trafić z powrotem do Przechowalni. To samo dotyczy wszystkich sytuacji, kiedy cię spowalniałem.

– Ale gdy chodzi o główny problem, z jakim zмага się Wyspa, problem, który spowodował, że wsadzono cię do zbiornika, mogłabym rozwiązać go od ręki.

Wskazałam na znajdującą się przed nami otchłań. Trzydzieści metrów niżej miasto zajęte było własnymi sprawami.

– Nie zrobisz tego – powiedział Kima, ruszając w kierunku schodów. – Myślisz, że Kobziarz wpuściłby nas tutaj, gdyby sądził, że możesz skoczyć? W tym względzie się nie pomylił, chociaż jego rozumowanie jest błędne. Wydaje mu się, że to siebie chronisz. Że to dlatego starałaś się przemilczeć tożsamość Zacha.

– A ty się z nim nie zgadzasz? – spytałam.

– Oczywiście, że nie – odparł, nawet się do mnie nie odwracając. – Nie chronisz siebie, tylko Zacha.

– Czy to nie jest po prostu jedna z odmian egoizmu? Tchórzostwa? – zawołałam za nim.

Zerknął na mnie z pierwszego stopnia schodów.

– Zawsze marzył ci się świat, w którym bliźniaki nie są zmuszone pałać do siebie nienawiścią. Świat wolny od podziałów, w którym miejsce takie jak ta wyspa nie byłoby potrzebne. Może to wyraz tchórzostwa. A może odwagi.

Wizje od zawsze przenikały moje sny, ale tej nocy, za każdym razem, gdy za drzwiami poruszał się wartownik, stawały mi przed oczami noże przytroczone do pasa Kobziarza. Kima też nie mógł spać; czułam, jak cały tężeje na każdy dźwięk dobiegający zza drzwi czy okna. Naszym pocałunkom nie towarzyszyło już rozkoszne zamroczenie pierwszego razu ani czułe eksploracje, które miały miejsce podczas kolejnych tygodni, kiedy to przyzwyczajaliśmy się do nowego rodzaju intymności. Teraz pojawił się w nich pewien pośpiech: świadomość, że w każdej chwili może nastąpić koniec. Zgrzyt klucza w zamku, błysk ostrza. Myśl o śmierci wydawała mi się obecnie o wiele bardziej okrutna z racji tego, że dopiero odkryliśmy się z Kimą. Pewnych partii jego szyi jeszcze nie całowałam, a dotyk jego włosów między moimi palcami nadal był dla mnie czymś nowym. Pytałam sama siebie, jak mogę opłakiwać tego typu drobiazgi, a nie wszystkie te lata, które do tej pory przeżyłam, oraz te, które jeszcze mogłabym przeżyć. Jednak gdy leżeliśmy w łóżku, owe drobiazgi wcale nie wydawały mi się błahe, i kiedy zaczęłam ronić łzy, płakałam nie z powodu nieuchronności ciosu nożem, lecz utraty dotyku dłoni Kimy oraz delikatnego ocierania się jego zarostu o moje ramię.

Kobziarz wezwał mnie do siebie rankiem. Wartownik wyprowadził mnie

z pokoju bez słowa, zanim zdążyliśmy z Kimą wymienić coś więcej niż spojrzenia.

Wpuszczono mnie do auli, gdzie stała część członków Zgromadzenia. Był tam Simon, rozpoznałam też kilku innych mężczyzn oraz kilka kobiet. W ciągu minionych tygodni przesłuchiwali mnie szczegółowo, ale nie cechowała ich agresja czy brak współczucia. Teraz jednak zamilkli na mój widok. Nawet Simon stał w ciszy, skrzyżowawszy troje ramion na piersi. Kobziarz nie siedział przy stole koło drzwi, tak jak zwykle. Wartownik powiódł mnie do pomieszczenia znajdującego się na drugim końcu sali. Pokoik był malutki, rozmiarami przypominał raczej schowek, ale przypięte do ścian mapy oraz kontrolowany rozgardiasz dały mi do zrozumienia, że Kobziarz uczynił z niego swój gabinet. W kącie leżała zwinięta niezdarnie mata, a obok niej upchnięto koc.

– To tutaj sypiasz? – spytałam.

– Czasami – odparł, wstając pośpiesznie ze stołka, gdy tylko uchyliły się drzwi.

Machnięciem ręki wyprosił wartownika, przeszedł przez pomieszczenie i zamknął drzwi. Stanął tyłem do wyjścia i wskazał mi stołek. Jego pas nadal obwieszony był nożami.

– Kto jak kto, ale ty jesteś chyba w stanie pozwolić sobie na lepszą kwaterę? – spytałam, zerkając na leżącą w kącie matę. W jego pośpiesznej próbie uprzątnięcia jej było coś wzruszającego. – A przynajmniej na prawdziwe łóżko?

Wzruszył ramionami.

– Mam kwaterę na piętrze. Ale lubię przebywać tutaj, bliżej baraków, bliżej tego wszystkiego. – Wskazał na wszechobecne papiery. Niektóre mapy zamiast gwoździami przytwierdzone do ściany nożami do rzucania wbitymi w kosztowne arras, którymi obwieszona było pomieszczenie.

– W każdym razie – mówił dalej Kobziarz – w tej chwili to nieistotne.

– Dobrze – powiedziałam.

Oparł tył głowy o drzwi, a ja po raz pierwszy wyczułam u niego pewną nerwowość.

Uświadomiłam sobie, że nie wezwał mnie po to, by mnie zabić.

– Nie posłałeś po mnie, abyśmy mogli omówić warunki, w jakich sypiasz – zagałam.

– Nie – odparł i zamilkł.

– Możemy zatem porozmawiać o warunkach, w jakich sypiam ja. O tym, że trzyma się nas z Kimą pod kluczem, a za drzwiami tkwi strażnik.

– Za oknem też – dodał spokojnym głosem Kobziarz.

– Schlebia mi myśl, że według ciebie potrzeba ich na nas aż tylu.

Uniósł brew.

– Wydaje ci się, że dalibyście radę któremuś z tych ludzi? – spytał, parszcząc śmiechem. – Ty i Kima?

– Do tej pory nieźle sobie radziliśmy – zauważyłam.

Kobziarz ze zniecierpliwieniem wypuścił z płuc powietrze.

– Zadaniem strażników nie jest powstrzymywanie was przed wychodzeniem na zewnątrz – wyjaśnił.

Zrozumienie jego słów zajęło mi kilka sekund. Przed oczami stanęły mi spojrzenia rzucające przez stojących na zewnątrz członków Zgromadzenia. Wiedziałam już, co mi przypomniały: miny dzieci, na które się natknęłam, opuszczając rodzinną wioskę.

– Ile osób wie, kim jest mój bliźniak? – spytałam.

– Na razie tylko członkowie Zgromadzenia – poinformował Kobziarz. – Nie wiem jednak, jak długo taki stan się utrzyma.

– Chcą mojej śmierci.

– Musisz ich zrozumieć. – Stołek był tylko jeden, więc Kobziarz usiadł naprzeciw mnie na zwiniętym posłaniu, a następnie pochylił się do przodu. – Lewis, mój najstarszy doradca...

– Znam Lewisa – odparłam, pamiętając budzącego szacunek siwobrodego mężczyznę koło pięćdziesiątki, który wiele razy mnie przepytował.

– Jego siostrzenica, córka jego siostry bliźniaczki, którą Lewis opiekował się od urodzenia, jest jedną z uprowadzonych osób. Myślisz, że dlatego tak skrupulatnie wypytywał cię o szczegóły tego, co widziałaś w zbiornikach?

– Widziałam tylko garstkę ludzi – odparłam ze złością, gdy sobie uświadomiłam, jak nieoczekiwana i ciężka odpowiedzialność na mnie spoczęła. – Nie może przecież oczekiwać, że przyjrzałam się im wszystkim, było ich zbyt wielu.

– No właśnie – przytaknął Kobziarz. – Zbyt wielu. Napiętnowanych, porwanych, zabitych. Każdy kogoś stracił przez Reformatora. Każdy na Wyspie zdaje sobie sprawę, że on nas szuka. Słyszałaś o grze, w którą bawią się dzieci? „Pobawmy się, pobawmy się...”.

– „On przyjdzie i zabierze cię” – niewiele myśląc, dokończyłam rymowaną wykrzykiwaną przez harujące na ulicach dzieci, którą każdego ranka i wieczoru dało się słyszeć z naszego okna.

Kobziarz skinął głową.

– To w niego się bawią, w Reformatora – potwierdził. – Niektórzy radni również wcielają w życie agresywną politykę wymierzoną w Omegi, zwłaszcza Pani Generał. Żaden z nich jednak nie dorównuje pod tym względem Reformatorowi. Gdy mali mieszkańcy Wyspy budzą się w nocy z krzykiem, to właśnie on im się śni.

Prawie parsknęłam śmiechem, nie mogąc pogodzić mojego wyobrażenia o Zachu z ową piekielną postacią. Zach, który wybuchnął płaczem, kiedy oparzył palec o płytę do pieczenia. Zach, który skrył się za nogami taty, gdy na plac

targowy wprowadzono byka. Jednak śmiech nie wydobył mi się z gardła. Zdawałam sobie bowiem sprawę, że lęk paraliżujący mojego brata w dzieciństwie i lęk wyrażany w rymowance to jedno i to samo. Jeden wynikał z drugiego. Wszystko, co wiedziałam na temat Zacha – to, jak delikatnie oczyszczał moją ranę po napiętnowaniu albo jak szłochał roztrzęsiony, gdy umierał nasz ojciec – pogrzebałam głęboko w pamięci. Wierzyłam w te wspomnienia, podobnie jak wierzyłam w istnienie nieba podczas lat spędzonych w niewoli. Wiedziałam jednak, czego się dopuścił – widziałam to na własne oczy w postaci niewzruszonych zbiorników ze szkła i stali oraz w kościach zatopionych w jaskini. Nie spodziewałam się, że ktokolwiek inny potrafiłby zrozumieć delikatność i strach, które zrodziły Reformatora. Wiedziałam również, że nikt nie zaprzeczałby ich istnieniu z większą zapalczywością niż sam Zach. Reformator był jego tworem. Co pozostało z chłopca, który złapał mnie za rękę przed chatą, w której leżała umierająca Alice, i błagał o pomoc? Podczas pobytu w Przechowalni udało mi się zachować wiarę w niebo i kiedy wyszłam z celi, okazało się, że czeka na mnie niezmiennione. Ale czy wystraszony chłopiec, który był moim bratem, nadal krył się gdzieś we wnętrzu Reformatora? I czy mogłam wierzyć w jego obecność tam, nie zdradzając jednocześnie Kobziarza i Wyspy?

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Czyżbyś próbował mi wytłumaczyć, dlaczego chcesz mnie zabić? – spytałam.

Mężczyzna pochylił się do przodu i syknął pełnym napięcia szeptem:

– To ty musisz wytłumaczyć mi, dlaczego nie powinienem tego zrobić. Podaj mi powód, który będę mógł przekazać Zgromadzeniu: Simonowi, Lewisowi i całej reszcie, żeby wyjaśnić, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłem.

Ponownie przygniół mnie ciężar zmęczenia. Miałam wrażenie, że ulegam od środka erozji niczym sama Wyspa podmywana przez morze.

– Ta wyspa ma być miejscem, w którym nie musimy uzasadniać swojego prawa do życia – oświadczyłam.

– Nie rób mi wykładów na temat Wyspy – odparł. – To moim zadaniem jest ją chronić.

– Ale jeśli mnie zabijesz albo uwięzisz, ona stanie się kolejną Przechowalnią, tyle że z widokiem na morze. Zgromadzenie stanie się kolejną Radą, różniącą się od niej wyłącznie nazwą. A ty niczym nie będziesz się różnił od Zacha.

– Jestem odpowiedzialny za tych ludzi – powiedział, odwracając wzrok.

– Ale nie za mnie.

– Jesteś pojedynczą osobą. Jestem odpowiedzialny za nich wszystkich.

– To samo powiedziałam Kimie, ale on odparł, że to nie jest wcale takie proste: to nie kwestia arytmetyki.

– Oczywiście, że tak powiedział. Przecież nie znajduje się na moim miejscu.

Spojrzałam na mapy wiszące za nim na ścianie. Na każdej z nich gęsto było od czarnego tuszu, którym oznaczone zostały garnizony żołnierzy Rady oraz przytułki, jak również wioski, osady i kryjówki. Sieć powiązań, dzięki której ruch oporu był w stanie sprowadzać ludzi na Wyspę. Ludzi liczących na Kobziarza.

– Skoro na tym ma polegać twoja praca, to czemu mnie jeszcze nie zabiłeś?
– spytałam.

– Musisz zmienić dla mnie to równanie. Dać mi powód, żeby tego nie robić.

– Przekazałam ci wszystko, co wiem na temat Wyndham i Spowiedniczki – odrzekłam spokojnym głosem. – To ja ostrzegłam was przed planami Zacha dotyczącymi zamykania Omeg w zbiornikach.

– Musi istnieć coś jeszcze. Coś związanego z poszukiwaniami Wyspy.

Pokręciłam głową.

– Niczym cię nie zaskoczę. Wiesz, że was szukają i w końcu znajdą. To tylko kwestia czasu.

Złapał mnie za ramię.

– No to powiedz mi kiedy. Podaj jakieś szczegóły – zażądał.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia – odparłam, wyrywając rękę. – To tak nie działa, nie ukazują mi się daty czy mapy. Moich wizji nie da się powiesić na ścianie. Są niespójne, czasami potrafię powiedzieć, co się stanie, a czasami nie mam o tym pojęcia.

– Przecież nas znalazłaś, znalazłaś Wyspę. – Zrobił pauzę, a potem odezwał się ponownie, jeszcze bardziej ściszej głos: – A co z miejscami, które leżą jeszcze dalej?

Pokręciłam głową.

– Co masz na myśli? – spytałam. – Dalej nie ma już nic. Wszystko, co jest, leży na wschodzie.

– Wszystko, o czym wiemy – zaznaczył. – Ale nie zawsze tak było. A co, jeśli na zachodzie znajdują się inne lądy? Albo nawet na wschodzie, za Pustkowiami?

– Chodzi ci o Zamorze? To tylko stare legendy. Nikt nigdy tam nie dotarł, bo i nie ma dokąd docierać.

– Większość mieszkańców stałego lądu uważa tę wyspę za zwykłą bajeczkę, plotkę – zauważył Kobziarz z poważnym wyrazem twarzy.

– Czyżbyście wiedzieli coś na temat Zamorza? – spytałam. – Znaleźliście je?

– Nie. Miałem nadzieję, że ty nam w tym pomożesz.

Zdjął ze ściany mapę. Gdy rozłożył ją przede mną na podłodze, większa jej część wydała mi się znajoma. Linię brzegową rozpoznałam z map Spowiedniczki oraz planów, które pokazywano mi już na Wyspie. Rozpoznałam też samą Wyspę, pyłek dryfujący kilkanaście centymetrów od zachodniego wybrzeża. Ta mapa była jednak inna: nie obejmowała lądu, który kończył się tuż przed prawą krawędzią

papieru. Z wyjątkiem plamiastego kawałka wybrzeża na marginesie odwzorowane było na niej samo morze. Woda poznaczona była śladami ołówka, którym nakreślone zostały prądy, rafy oraz znaczki odchodzące od Wyspy na zachód.

Spojrzałam na Kobziarza.

– Wysyłacie tam statki, żeby odnaleźć Zamorze.

– To nie był mój pomysł – odparł. – A przynajmniej nie tylko mój. Ten projekt rozpoczął się, jeszcze zanim doszedłem do władzy. Ale tak, szukamy go. Od jakichś pięciu lat. W tej chwili są tam nasze dwa największe okręty. Podczas najbliższej pełni miną dwa miesiące, od kiedy wypłynęły.

– Naprawdę sądzisz, że jest czego szukać? – spytałam.

Ściszył głos, ale czułam, że jest wściekły.

– Niektóre statki nie wracają. Myślisz, że podejmowałbym ryzyko, gdybym nie wierzył, że coś tam jest?

Spuściłam wzrok na mapę, by uniknąć jego spojrzenia.

– Pomóż nam, Cass – poprosił. – Jeśli byłabyś w stanie cokolwiek wyczuć, to mogłoby wszystko zmienić.

Uświadomiłam sobie, że przyciskam dłoń do mapy, jakby miało mi to pomóc w przeczesaniu umysłem wszystkich tych mil morskich. Zamknęłam oczy i spróbowałam wybadać przestrzeń nieoznaczoną na mapie. Skupiłam się tak mocno, że aż poczułam, jak pulsuje krew w mojej lewej skroni, widziałam jednak tylko uparte morze, szary ogrom wody rozpościerającej się we wszystkie strony.

– Dystans jest zbyt duży – oznajmiłam, podnosząc dłoń i siadając ciężko.

– Przed Wybuchem tak nie było. Mieli wtedy większe, szybsze statki. – Kobziarz złapał mnie za rękę i mocno przycisnął ją do mapy. – Spróbuj jeszcze raz.

Spróbowałam. Zmusiłam umysł do pracy równie intensywnej co podczas przeprawy przez rafę. Wyobraziłam ją sobie, potem leżące za nią morze i sięgnęłam dalej, na zachód. Cała stężałam; gdy Kobziarz puścił w końcu moją dłoń, na mapie został jej lepki odcisk. Ale niczego nie zobaczyłam ani nie poczułam.

– Przykro mi – powiedziałam. – Nawet jeśli coś tam jest, to dla mnie za daleko. Jeszcze nigdy niczego tam nie wyczułam.

– Mnie też jest przykro – odrzekł Kobziarz. Chociaż jego dłoń jeszcze chwilę wcześniej leżała na mojej, teraz wydawał się dzielić nas dystans. – Gdybyś potrafiła pomóc, wiele by to ułatwiło. – Zerknął na drzwi, zza których dobiegały podniesione, opryskliwe głosy. – Oni chcą twojej śmierci – powiedział. – Zależy im na usunięciu Reformatora, a twoje życie jest ceną, którą z radością są gotowi zapłacić. Dla nich wybór jest prosty.

– A dla ciebie nie?

– Sądzę, że twoja śmierć byłaby zbyt wysoką ceną. Potrzebujemy cię. Ty i twoje wizje możecie diametralnie zmienić sytuację.

– Jednak nie zgodzisz się puścić nas wolno – powiedziałam, nie siląc się na pytanie.

– Nie mogę. Ale mogę was ochraniać.

– A ja mam być ci wdzięczna za to, że zrobisz ze mnie zakładnika, aby powstrzymać Zacha przed atakiem?

– Myślałem o tym – przyznał rzeczowym tonem. – Ale jeśli byśmy spróbowali go zaszachować, informując, że jesteś w naszych rękach, jego ludzie mogliby chcieć go sprzątnąć. W końcu to nie on kieruje Radą, przynajmniej na razie. Wystarczy jakakolwiek oznaka, że jest w naszej mocy, i sami go zabiją. Pozbylibyśmy się Zacha, lecz reszta Rady nadal by na nas polowała. No i ty byłabyś martwa.

– Co byłoby wielką szkodą.

Kobziarz spojrział na mnie i powiedział:

– Zgadza się.

Poprowadził mnie przez aulę, a członkowie Zgromadzenia obrócili się i w milczeniu śledzili nas wzrokiem. Wiodąc mnie między mężczyznami i kobietami, Kobziarz położył mi dłoń na ramieniu, ale wysunęłam się spod niej.

Jeden z mężczyzn pochylił się ku mnie. Był to Simon, najbardziej zaufany doradca Kobziarza.

– Na twoim miejscu nie odtrącałbym go w tak ostentacyjny sposób – poradził. – Wygląda na to, że tylko dzięki niemu wciąż żyjesz.

Ktoś inny skwitował to rechem. Obróciłam się ku korpulentnemu mężczyźnie z ciemną brodą, wspierającemu się o kulę.

– Tak jest – potwierdził. – Gdybym miał coś do gadania, już by było po tobie. I po twoim bliźniaku.

– Mój brat wtrącił mnie do Przechowalni, żeby nikt nie mógł mnie przeciwko niemu wykorzystać – odparłam cichym głosem. – Jeśli mnie zabijecie, potwierdzicie to, w co wierzą Alfy: że jesteśmy dla nich ciężarem, zagrożeniem. Że muszą nas pozamykać, żeby się bronić.

Nikt nie odpowiedział, ale wszyscy mnie obserwowali.

– Chcecie mnie zabić? – spytałam. – A może od razu wybijecie wszystkie Alfy? Co prawda, tym sposobem wszystkich nas wykończycie, ale będzie warto, co?!

Pod koniec zaczęłam wrzeszczeć, a Kobziarz siłą wyciągnął mnie z sali.

Rozdział dwudziesty drugi

Gdy Kobziarz przyszedł nazajutrz, wczesnym rankiem, do naszej kwatery, już właściwie nie spałam, ale jeszcze miałam zamknięte oczy. Coś – sen lub wizja – obudziło mnie kilka chwil wcześniej, więc zacisnąwszy powieki, starałam się skupić na przedłużeniu tego półsnu, aby ustalić, co dokładnie widziałam.

Usłyszałam, jak Kima zrywa się z łóżka, gdy tylko w zamku zazgrzytał klucz, po czym zajmuje pozycję między mną a drzwiami.

– Spokojnie – odezwał się Kobziarz. – Nie mam zamiaru jej skrzywdzić.

– Mów ciszej – szepnął Kima. – Rzadko udaje jej się zasnąć w nocy, więc poranki to jedyna pora, kiedy jest w stanie trochę pospać.

– A ty kiedy sypiasz, skoro przez całą noc jej pilnujesz? – spytał Kobziarz.

Ściszył głos, mogłam sobie jednak wyobrazić, jak unosi brew.

– Po prostu staraj się jej nie zbudzić – poprosił Kima.

– Tak naprawdę przyszedłem zobaczyć się z tobą.

– Na wszystko przychodzi pierwszy raz – mruknął ten pierwszy.

Słyszałam, że odsuwają się od mojego łóżka. Odważyłam się zerknąć spod półprzymkniętych powiek. Stanęli przy oknie, odwróceny do mnie plecami. Ściany otaczającego nas krateru zasłaniały wschodzące słońce, a jutrzienka nasączona była czerwienią.

Kima spojrzał na strażnika opartego o balustradę pod naszym oknem.

– On też się raczej nie wysypia – zauważył Kobziarz.

– Wolałbyś ryzykować życie?

– Sam już nie wiem – odparł Kima spokojnym głosem. – Szczerze mówiąc, średnio podoba mi się myśl, że twoi koledzy z góry mogliby nas dopaść. – Zerknął na rządy noży u pasa Kobziarza. – Przed przybyciem tu spędziliśmy z Cass wystarczająco dużo czasu w zamknięciu. Gdzie jak gdzie, ale tutaj spodziewaliśmy się trochę innego przyjęcia.

– Nie wiesz, jak długo tkwiłeś w zbiorniku – zauważył Kobziarz.

– To prawda. Wyobraź sobie, co by było, gdybym dowiedział się, że chodziło tylko o dwadzieścia minut. Ależ to by było żenujące, zważywszy na zamieszanie, jakie się potem rozpętało.

Kobziarz zaśmiał się przelotnie.

– Nie wydaje mi się, żeby Zgromadzenie, moi „koledzy z góry”, było tobą zainteresowane – stwierdził.

– Domyśliłem się tego podczas jednej z wielu okazji, gdy siedziałem tu sam jak palec, podczas gdy wy konsultowaliście się z Cass.

– Nie próbuję umniejszyć twojej wagi – powiedział Kobziarz. – Jesteś jedyną znaną nam osobą, która znajdowała się w zbiorniku. Wszyscy chcemy się dowiedzieć, co się tam dzieje. Pragnę cię jednak zapewnić, że moim zdaniem nic ci

nie grozi.

– Może nie ze strony twoich koleżków, ale domyślam się, że kilka Alf ze stałego ładu chętnie odnowiłoby ze mną znajomość.

– Wolisz więc zostać tu, pod strażą?

– Mówisz to tak, jakbym miał jakiś wybór.

– Masz wybór.

Kobziarz sięgnął do pasa. Już miałam wyskoczyć z łóżka, sądząc, że wyciągnie jeden z noży, ale zobaczyłam, że wręcza Kimie klucz. Zacisnęłam powieki, bo Kima obrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

– Nie – powiedział Kobziarz. – Wiesz, że jest dla mnie zbyt cenna, bym mógł puścić ją wolno. Nie ma jednak powodu, żeby i ciebie tu trzymać.

– I naturalnie chcesz mnie uwolnić z czysto altruistycznych pobudek, a nie dlatego, żeby się mnie pozbyć i mieć Cass tylko dla siebie?

– Gdybym chciał się ciebie pozbyć, już byłoby po sprawie.

– Więc to nie ma nic wspólnego z twoimi uczuciami do niej? – spytał Kima.

– Za godzinę odpływa łódź – powiedział Kobziarz obojętnym tonem. – Jest na niej miejsce dla ciebie. Bez względu na to, co według ciebie mną kieruje.

– Masz rację – zgodził się Kima. – To, co myślę, jest nieistotne. Ale naprawdę sądzisz, że wyjadę? A ona będzie ci wdzięczna za wypuszczenie mnie?

– Niezupełnie.

Raz jeszcze zerknęłam na nich jednym okiem. Kobziarz odwrócił się od Kimy i wyglądał teraz przez okno. Ponad krawędzią krateru jaśniejące niebo przemierzał klucz gęsi.

– Widziałeś kiedyś, jak wykluwa się ptak? – spytał Kobziarz, gdy gęganie umilkło.

– No pewnie. To jedyna rzecz, jaką pamiętam. – W głosie Kimy słyszałam pobrzmiwającą frustrację. – Zapomniałem, jak się nazywam i kim jest moja bliźniaczka, ale obserwacje ptaków pamiętam, jakby to było wczoraj.

– Jeśli przed wykluciem się jajka odbierze się je matce, pisklą przywiąże się do stworzenia, które zobaczy jako pierwsze. Będzie za nim chodziło jak za matką. Gdy byłem mały, moja bliźniaczka obserwowała wykluwające się kaczątko, które chodziło za nią potem dosłownie wszędzie.

– A więc w tej zgrabnej alegorii to ja mam być kaczątkiem, tak? Wyklułem się ze zbiornika i ślepo uczepiłem się Cass?

Kobziarz popatrzył Kimie prosto w oczy; jego spojrzenie było całkiem pozbawione skruchy.

– Myślę, że po części tak właśnie było – przyznał. – Nie potrafię jednak zdecydować, czy jest w tym coś złego.

– Na pewno nie dla ciebie – odrzekł Kima. – Wykorzystałeś mnie przecież, żeby zdobyć nad nią przewagę i dowiedzieć się, kim jest jej bliźniak.

– Racja. Podałem cię testowi, a ty zachowałeś się tak, jak się spodziewałem. Ale to wcale nie musi oznaczać, że oblałeś.

– A teraz znowu mnie testujesz. – Kima spuścił wzrok na klucz, który Kobziarz położył wcześniej na grubym kamiennym parapecie. – Zaskakują cię wyniki badań?

– Nie. – Mężczyzna schował klucz do kieszeni. – Nie sądziłem, że zgodzisz się wyjechać, chociaż miałem taką nadzieję. Wciąż nie potrafię ustalić, czy jesteś obciążeniem. Dla niej.

– Jasne – odparł Kima, wywracając oczami. – Twoje motywby były przecież w stu procentach bezinteresowne.

– Oczywiście, że nie. Nie bez powodu dostaliście osobne łóżka.

Kobziarz uśmiechnął się kwaśno, po czym spojrział na mnie. Miałam nadzieję, że nie dostrzegł ruchu zamykanej powieki.

– Zaczynam jednak uważać, że może powinienes z nią zostać – dodał.

– Czyli nie jestem już obciążeniem? – spytał Kima kpiącym tonem.

– Może i jesteś. Ale właśnie z tego względu musisz tu zostać.

– To niezwykle łaskawe z waszej strony, że postanowiliście decydować o tym, czego potrzebuję i co jest dla mnie najlepsze – odezwałam się, odrzucając koc, po czym opuściłam stopy na podłogę z głuchym tupnięciem. – Nie przyszło wam jednak do głowy, że może mam na ten temat własne zdanie?

Potarłam prawą stronę twarzy, pomarszczoną od poduszki.

– Mnie przyszło – odezwał się Kima.

– Mnie również – dodał pospiesznie Kobziarz.

– Nie odzywaj się do mnie – rzuciłam mu. – Zakradasz się tu i próbujesz nas ustawiać jak gwoździe przytrzymujące te twoje durnowate mapy.

– Tak samo mu powiedziałem – oznajmił Kima.

Obróciłam się do niego i powiedziałam:

– Ty też się do mnie nie odzywaj, bo wcale nie jesteś lepszy. Niby dlaczego nie zgodziłeś się wyjechać?

Kima niepewnym wzrokiem spojrział na Kobziarza, który uśmiechnął się szeroko.

– Skończysz z tymi uśmieszkami? – spytałam tego ostatniego. – Kaczątka? Serio? Wolne żarty. Oczywiście, że Kima powinien wyjechać, ale chyba zgłupiałeś, jeśli sądzisz, że się na to zgodzi.

– Chcesz więc, żebym wyjechał? – spytał ostrożnie Kima, próbując wybadać teren.

– Przez wzgląd na ciebie: bez dwóch zdań. Przez wzgląd na mnie: w ogóle. Najbardziej jednak zależy mi na tym, żebyście dali sobie spokój z tymi głupotami. Staram się, jak mogę, żeby nie stracić jasności umysłu, przetrwać, przewidzieć to, co nadchodzi, a wy zachowujecie się, jakbym była nagrodą do zdobycia na

jarmarku. Jak gdyby nic ode mnie nie zależało.

Tym razem Kobziarz odezwał się pierwszy.

– Przepraszam – powiedział. – Przede wszystkim za swoje głupie zachowanie. Dobrze wiedziałem, że Kima nie będzie chciał wyjechać.

– Och, przymknij się już – syknęłam.

– Mówię szczerze.

– Nie o to chodzi. Bądź cicho, bo muszę się skupić. Głędzisz na temat kaczątek, a tymczasem zanim tu przyszedłeś, prawie ukazało mi się coś ważnego.

– A to nie jest dla ciebie ważne? – spytał Kima.

– Wiesz, co mam na myśli – odparłam. – Miałam wizję, to było coś pilnego.

Ponownie zamknęłam oczy, starając się wyłuskać wizję z oparów snu.

– Jakiś mężczyzna płakał, chowając nóż w bucie. – Gwałtownie otworzyłam powieki. – Ktoś tu idzie.

Jeszcze zanim skończyłam mówić, Kobziarz rzucił się do okna i zatrzasnął okiennice, ale to drzwi zatrzęsły się, gdy uderzyło o nie coś ciężkiego. Klucz obrócił się w zamku, zasuwą się uniosła, a potem – z niemalże komiczną powolnością – drzwi otworzyły się pod naporem ciała martwego strażnika. Kima był w połowie drogi do nich, kiedy nad zwłokami przestąpił intruz, który rzucił się na mnie z zakrwawionym nożem w dłoni.

Doskoczył do mnie w tym samym momencie, w którym w jego gardle zatopił się nóż Kobziarza, i upadł, przygniatając mnie do podłogi. Poczulałam przebiegające go spazmy, a kolejny nóż wyrzucony przez Kobziarza utkwiał niedoszłemu zamachowcowi w plecach. Upadając, wyrznęłam tyłem głowy o kamienną posadzkę i na chwilę całe pomieszczenie rozmazało mi się przed oczami. Ściągnięcie ze mnie ciała i przewrócenie go na plecy zabrało Kobziarzowi i Kimie dobrych kilka sekund, podczas których wbijały się we mnie oczy mężczyzny. Odzyskawszy ostrość wzroku, rozpoznałam w nim Lewisa, doradcę Kobziarza. Niewielki nóż tkwiący w jego szyi drgał z każdym uderzeniem serca, ale Lewis zaczął na dobre krwawić dopiero wtedy, gdy Kobziarz schylił się i spokojnym ruchem wyjął nóż, wyzwalając miarowy potok krwi.

Rzuciłam się do przodu i przycisnęłam dłoń do rany mężczyzny, zerkając na Kobziarza rozbieranymi oczami.

– Przestań – powiedziałam. – Wiem, po co tu przyszedł.

– To raczej oczywiste – zachnął się Kima.

Pokręciłam głową.

– Nie, chodzi mi o powody, które nim kierowały. Chodzi o jego siostrzenicę, porwaną dziewczynkę.

– Pytał już o nią, gdy przesłuchiwało cię Zgromadzenie – zauważył Kobziarz, z odrazą patrząc, jak klęczę przy napastniku.

Krew tętniła mi między palcami i byłam zszokowana tym, jaka jest ciepła.

Oblepiła brodę Lewisa, która straciła swoją siwą barwę.

– Lewis, słyszysz mnie? – spytałam.

Pobladł. Niespiesznie mrugał zamglonymi oczami.

– Jeśli jeszcze żyje, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją odnaleźć.

Powstrzymam mojego bliźniaka. Obiecuję. Słyszysz mnie?

Głowa mężczyzny osunęła się na bok. Kobziarz wsunął pod nią czubek buta i delikatnie ją uniósł; kiedy wyjął spod niej stopę, głowa bezwładnie opadła.

– Nie żyje – oświadczył, odsuwając się.

Spojrzałam na swoje dłonie oraz ranę Lewisa, która przestała krwawić.

Zaczęłam płakać, a gdy ocierałam twarz, umazałam się krwią.

– On chciał cię zabić – przypomniał Kima.

– Zdradził i mnie, i Zgromadzenie – dodał Kobziarz.

– Wiem – odparłam, po czym oplotłam ramionami kolana i przyciągnęłam je do piersi.

– Nie jesteś ranna? – spytał Kima.

Spojrzałam na siebie, na moje dłonie pokryte krwią, czarną wokół paznokci.

– To jego – poinformowałam.

Rękaw białej koszuli nasiąkł mi krwią powyżej łokcia.

– Zamierzasz składać tego typu przysięgi każdej osobie, która będzie chciała cię zabić? – spytał Kima. – Pytam tylko dlatego, że może ich być całkiem sporo.

Kobziarz obrócił się od martwego strażnika, nad którym się pochylał.

– Przed chwilą zginęło dwóch ludzi, Kima. Członek Zgromadzenia i dobry wartownik. To nie pora na żarty.

– Czterech – poprawiłam.

Kima i Kobziarz popatrzyli na mnie z zaskoczeniem.

– Zginęły cztery osoby, a nie dwie – powtórzyłam.

Od tamtej pory pilnowano nas jeszcze skrupulatniej. Kiedy trzy dni później z krzykiem zbudziłam się ze snu, dwaj wartownicy wbiegli do pokoju, nim Kima zdążył podejść do mojego łóżka. Jeden z nich powalił go na ziemię i dopiero po zapaleniu kilku pochodni udało nam się namówić mężczyzn do wyjścia. Kima usiadł na moim łóżku, pocierając policzek, który został przyciśnięty do posadzki.

– Muszę się zobaczyć z Kobziarzem – powiedziałam do strażnika, który wychodził z pokoju ostatni. – Przyślijcie go tu od razu.

– A mnie nie możesz powiedzieć? – spytał Kima ściszoneg głosem.

Ze złością pokręciłam głową.

– Tu nie chodzi o to, żebym wybrała, który z was może mnie potrzymać za rękę – wyjaśniłam. – To nie był zwykły sen, tylko coś ważnego.

Nie mogłam usiedzieć w miejscu. Moje oczy przesuwwały się z lewa na

prawo, jakby próbowały się nauczyć na pamięć scenariusza owego snu.

– W takim razie pewnie nie powinienem się łudzić, że dla odmiany zobaczyłaś coś pozytywnego? – spytał, przysuwając się do mnie.

Z mojej koszuli nocnej unosił się lekki zapach potu, a do tego zaschło mi w ustach.

– Na przykład pyszne śniadanie – mówił dalej Kima. – Albo obfite zbiory moreli na ten rok. Czy coś w tym stylu.

Parsknęłam śmiechem, który przypominał raczej szybki wydech, ale to wystarczyło, by moje ciało trochę się rozluźniło. Przytuliłam się do Kimy, a on zaczął całować mi bark, lecz pokręciłam tylko głową.

– Muszę się skoncentrować – oznajmiłam.

Zamknęłam oczy, a moje wargi zaczęły poruszać się szybko i bez słowa.

– Naprawdę nie możesz mi powiedzieć? – spytał Kima.

– Muszę się skoncentrować – powtórzyłam.

Siedzieliśmy tak do momentu, gdy kilka minut później do środka wpadł Kobziarz.

Wstałam, zanim zdążył się odezwać.

– Alfy nadchodzą – oświadczyłam. – Wiem, kiedy i jak się tu dostaną.

Nie oglądając się, Kobziarz kopniakiem zamknął drzwi. Przyłożył palec wskazujący do warg.

– Twierdziłaś, że nie potrafisz odgadnąć dat ani szczegółów – powiedział szeptem.

Pokręciłam głową, a mój wzrok nadal był rozbiegany i pozbawiony ostrości.

– Widziałam księżyc, był w...

– Nic nie mów – przerwał mi. – Ani słowa.

– Nie rozumiesz. Wszystko widziałam.

Potarłam dłonią oczy. Ledwo byłam w stanie dostrzec Kobziarza i Kimę, jakbym wciąż spoglądała przez zasłonę dymu i krwi, którymi wypełniony był mój sen.

Tym razem to Kima mnie uciszył.

– Co ty wyprawiasz? – spytał.

– No właśnie – gorączkowo szepnął Kobziarz. – To twoja karta przetargowa. Nie pozbywaj się jej.

Kima spojrział na niego nieufnie, a potem popatrzył na mnie.

– On ma rację – przytaknął – musisz wykorzystać tę wiedzę. Powiedz Zgromadzeniu, że zdradzisz im, co widziałaś, jeśli puszczą cię wolno. Przyślesz im wiadomość po wydostaniu się z Wyspy.

Ściszyłam głos, lecz bardziej przypominał syk niż szept.

– Posłuchaj mnie – zwróciłam się do Kobziarza. – To zbyt ważne, żeby bawić się teraz w gierki. Musisz niezwłocznie zawiadomić Zgromadzenie. Musicie

zacząć planować ewakuację. Przybędą tu...

Kobziarz zatkał mi usta dłonią, a następnie spojrzał na Kimę błagalnym wzrokiem.

– Powstrzymaj ją – poprosił. – Jeśli wszystko mi opowie, będę musiał podjąć stosowne kroki.

– Spójrz na mnie – powiedział do mnie Kima.

Odsunął dłoń Kobziarza i położył mi swoją na policzku. Pochylił się i nasze twarze znalazły się bardzo blisko siebie.

– Nie pozwolą ci odejść.

Straciłam jego rękę z twarzy, odrzucając głowę do tyłu.

– To nieistotne – stwierdziłam głośno, ignorując środki ostrożności. – Kobziarzu, posłuchaj. Zabierz ludzi z Wyspy. Natychmiast. Przybędą, gdy księżyc będzie w pełni.

We troje obróciliśmy się do okna, za którym majaczył nabrzmiały księżyc.

– To za jakieś dwie noce. Może trzy – stwierdził Kobziarz.

– Dwie – sprecyzowałam.

– Mamy jakieś szanse na obronę? – spytał.

W roztargnieniu pokręciłam głową.

– Nie za bardzo. Krater osłania nas od strony wybrzeża, ale gdy już odnajdą Wyspę, stanie się on zwykłą pułapką. Od początku zdawaliście sobie z tego sprawę. Najpierw przybędą z północy, będzie ich wielu. Nie uda się wam ich zatrzymać. – Zamknęłam oczy, próbując przełożyć rozbite dźwięki i rozmazany obraz wizji na słowa. – Ulice wypełnią się ogniem, uwięzieni w domach ludzie będą skakać z okien. Bruk spłynie krwią.

– A więc przybywają z zamiarem mordy, a nie po to, by nas uwięzić? – spytał Kobziarz.

– To przecież nie ma sensu – stwierdził Kima. – Alfy zaczną padać jak muchy. Same stworzą ruch oporu.

Jeszcze mocniej zacisnęłam powieki, lecz obrazy ani nie chciały zwolnić, ani podporządkować się siłom logiki.

– Część ludzi zabiorą ze sobą łodziami – powiedziałam. – Resztę zabiją. – Spojrzałam na Kobziarza. – Kima ma rację, to szaleństwo. Chyba się tego nie spodziewałeś?

– Z przykrością muszę to stwierdzić, ale się spodziewałem – odparł. – Jeżeli nas znajdą, będą chcieli wysłać w świat komunikat. Położyć kres ruchowi oporu Omeg, nawet jeśli ceną będzie śmierć wielu Alf.

Kiwnęłam głową.

– Tak właśnie wygląda to w wizji – przyznałam. – Ci ludzie są strasznie wściekli. Wiedzą, że zabijają też Alfy, ale jest im wszystko jedno. A może raczej nie jest im wszystko jedno, lecz za wszystko obwiniają nas, jakby był to kolejny

ciężar, którym ich obarczyliśmy.

Kobziarz energicznym krokiem podszedł do okna.

– Uderzcie w dzwony – rozkazał. – Raz, dwa.

W Haven był duży dzwon, który obwieszczał otwarcie i zamknięcie bram miejskich. A gdy przebywałam na murach obronnych w Wyndham, kilka razy słyszałam dźwięk dzwonów dobiegający gdzieś z miasta. Jednak melodyjne tony z moich wspomnień diametralnie się różniły od kakofonii, która teraz się rozpętała. Najpierw rozbrzmiał duży dzwon wiszący na szczycie baszty. Nie tyle przerwał poranną ciszę, ile doszczętnie ją zmiażdżył. Dźwięk był tak głęboki, że moje płuca drżały w rytm basowego dudnienia. W odpowiedzi rozdzwięczały się inne dzwony rozmieszczone w różnych punktach fortu. Potem z położonego w dole miasta odezwały się głosy ludzi oraz brzęk uderzanych o siebie garnków i patelni. Metaliczny szczęk i stukot pozbawiony melodii, za to niezwykle natarczywy. Przypomniała mi się sytuacja z Nowego Hobartu, kiedy jedno z dzieci przebiegło przez kuchnię, przewracając po drodze stos rondli. Tyle że ten dźwięk ciągnął się przez wiele minut, dopóki cały krater nie wypełnił się hałasem.

– Ewakuacja rozpocznie się natychmiast – oznajmił Kobziarz, przekrzykując rumor. – Muszę iść, wyjaśnić wszystko Zgromadzeniu. No i uprzedzić strażników.

– Nie możemy z nimi walczyć – ostrzegłam.

Kobziarz skinął głową.

– Przybędą z dwukrotnie większą liczbą żołnierzy, niż udałoby nam się zmobilizować. Żołnierzy lepiej wyszkolonych, lepiej odżywionych. Pod każdym względem lepiej uzbrojonych. – Zerknął na swój lewy bark z przelotnym uśmiechem. – Ale nasi strażnicy znają teren. Przez jakiś czas będziemy w stanie odpierać atak.

– Nie o to mi chodziło – odparłam. – Nie możemy z nimi walczyć nie dlatego, że wygrają. Nie możemy z nimi walczyć, bo opcja wygranej nie istnieje. Zabicie każdego z nich będzie oznaczać, że ktoś z nas również padnie trupem.

– Ale to samo tyczy się ich – zauważył Kobziarz. – Na razie powinniśmy myśleć wyłącznie o dobru Wyspy. I o tym, co się wydarzy, gdy po nas przyplyną.

– W takim razie będziecie mieli tylko połowiczny obraz sytuacji – stwierdziłam.

Pokręcił głową.

– Jestem odpowiedzialny ze tę właśnie sytuację. Za tych ludzi. Jeśli rzeczywiście Rada nas odnalazła, nie możemy liczyć na to, że uda nam się obronić Wyspę. Już po wszystkim. Możemy jednak grać na zwłokę i wywieźć stąd tak wiele osób, jak tylko się da.

– Macie wystarczającą liczbę łodzi dla nich wszystkich? – spytał Kima.

– Skądże. Przybywali tu przez dziesiątki lat. Nasza flota jest niewielka, a do tego dwa największe statki popłynęły na zachód. Nawet jeśli załadujemy łodzie do

granic rozsądku, ewakuacja osób niezdolnych do walki i tak zajmie dwa kursy.

– Ile by to potrwało?

Kobziarz wyrzał przez okno, analizując wiatr targający koronami drzew, których sylwetki rysowały się na krawędzi krateru.

– Gdyby los nam sprzyjał, drugą grupę wywieźlibyśmy z Wyspy w ciągu dwóch dni. Ale ten sam wiatr, który popychałby nas w drodze powrotnej, wspomógłby również flotę Rady. Zresztą nawet po ewakuacji osób niezdolnych do walki zostałyby tu jeszcze setki ludzi.

Po raz kolejny ukazała mi się wizja ze snu. Krew. Oni płynęli po mnie, a Wyspa miała się zalać krwią.

Kobziarz ruszył do drzwi, nie odzywając się już do mnie ani słowem. Zanim wyszedł, obrócił się jeszcze do Kimy.

– Hej! – zawołał. – Pilnuj jej. Nie pozwól jej zrobić niczego głupiego.

Obserwowaliśmy mobilizację Wyspy z naszego zamkniętego na klucz pokoju. Do momentu gdy słońce całkowicie weszło, dzwonienie dzwonów zastąpił szcęk dobiegający ze zbrojowni i z kuźni, gdzie gromadzono, ostrzono i rozdawano miecze i topory. Odziani na niebiesko strażnicy nosili belki, którymi wzmacniano bramy, a poranne powietrze przeszywał dźwięk młotków towarzyszący zabijaniu gwoździami okiennic na dolnych piętrach. Jednocześnie miasto się wyludniało. Najpierw zniknęły dzieci, osoby starsze oraz te, których mutacje uniemożliwiały im udział w walce. Niektóre z nich niesiono, inne poruszały się o lasce czy kulach. Nie było ani czasu, ani miejsca na zabieranie dobytku, z wyjątkiem skleconych naprędce tobołków z wodą i jedzeniem. Nie było też czasu na łzy: nawet najmłodsze dzieci poruszały się sprawnie i bez słowa, pospieszane przez strażników, którzy kierowali tłumem. Ludzi zmuszonych czekać na drugi kurs poprowadzono do fortu, który miał im zapewnić schronienie, w razie gdyby flota Rady przybyła przed powrotem naszej.

Nie odgrywaliśmy z Kimą żadnej roli w tym złożonym układzie choreograficznym. Przez wiele godzin staliśmy, trzymając się za ręce, wpatrzeni w rozgrywający się za oknem exodus. Naszą bezradność wzmagало wspomnienie tego, co ujrzałam w wizji. Ciężko było sobie wyobrazić, że skrupulatne przygotowania mające miejsce poniżej mogłyby powstrzymać to, czego byłam już świadkiem i co ukazywało mi się za każdym razem, kiedy zamykałam powieki. Płomienie odbijające się w zalanej krwią podłodze. Gęstniejący dym wypełniający tunele i wąskie ulice.

Patrzyliśmy, jak trzech strażników stawia na szczycie krateru toporny maszt.

– To trochę kłóci się z ideą okrytego tajemnicą azylu – zauważył Kima.

– Nieważne – odparłam. – Oni już tu płyną. Wiedzą, jak nas znaleźć.

Pomyślałam o gobelinach wiszących w auli Zgromadzenia. Być może jakieś inne, wcześniejsze boje toczono pod bogato wyszywanymi proporcami

z kosztownych tkanin. W porównaniu z nimi prześcieradło, na którym symbol Omeg wymalowano smołą używaną przez żeglarzy do naprawy kadłubów łodzi, mogło sprawiać tandetne wrażenie. Dwa jego końce przytroczono do starego masztu okrętowego. Mężczyźni starali się ustawić go prosto, zmagając się z silnym wiatrem.

– Inwazja jest nieunikniona, a Kobziarz kazał im się zająć dekoracjami? – spytał Kima zdziwionym głosem.

– To wbrew pozorom nie jest strata czasu – wyjaśniłam. – Gdy flota Rady znajdzie się w zasięgu wzroku, flaga będzie pierwszą rzeczą, jaką zobaczą marynarze. To da im do myślenia.

– No cóż, ta metoda wydaje się skuteczniejsza niż wywracające łodzie kozy – stwierdził Kima.

Strażnicy wcisnęli maszt w szczelinę między skałami i zaczęli okładać jego dolną część kamieniami.

– Przy takim wietrze nie ustoi dłużej niż parę dni – zauważył Kima.

Z moich ust nie padła żadna odpowiedź, jedynym dźwiękiem był łopot prześcieradła za oknem. Żadne z nas nie musiało stwierdzać na głos tego, co oczywiste: za parę dni będzie już po wszystkim.

Rozdział dwudziesty trzeci

Na schodach rozległ się dźwięk kroków oraz głos Kobziarza rozmawiającego z wartownikiem, a chwilę później otworzyły się drzwi.

– Pierwsza partia uchodźców odpłynęła – oznajmił. – Najmłodsze dzieci i większość osób niepełnosprawnych. Do tego garstka dorosłych, którzy mają im pomagać na stałym ładzie.

– I co teraz? – spytałam.

– Czekamy.

Nigdy wcześniej nie nasłuchiwałam wiatru z równą uwagą co tamtej nocy. Przez wiele godzin wyobrażałam sobie, że każdy jego podmuch popycha flotę złożoną z łodzi we wszystkich możliwych rozmiarach w kierunku stałego lądu. Gdzieś tam znajdowała się również armada Rady przewożąca śmiercionośny ładunek. Bałam się zasnąć, ale z drugiej strony sen mógł wyjawić coś użytecznego. W końcu jednak wizja nawiedziła mnie w momencie, gdy zasypiałam objęta od tyłu przez Kimę. Flotylla z determinacją wyłoniła się zza horyzontu. Nigdy wcześniej nie widziałam równie wielkich okrętów – wielokrotnie przewyższyły rozmiarami największe statki znajdujące się na Wyspie. Na ich pokładach leżały dnem do góry mniejsze łodzie, przypominające jaja, z których lada chwila miało się coś wykluć. Jednak to nie rozmiar statków przeraził mnie najbardziej, lecz zawartość pierwszego z nich.

Krzyknęłam do wartownika, by przyprowadził Kobziarza. Mimo że do świtu było jeszcze daleko, zjawił się w ciągu kilku minut.

– Ich okręty są zbyt duże, żeby przedrzeć się przez rafę, ale na pokładzie mają też mniejsze łodzie – poinformowałam.

– Jednostki desantowe. – Kobziarz pokiwał głową. – To ich spowolni, przynajmniej na ostatnich kilometrach. A co do rafy, skąd będą znali drogę?

– Wcześniej myślałam, że może mają mapę zdobytą łapówką lub torturami. Okazuje się jednak, że nie będą jej potrzebować. – Zamknęłam oczy, przypominając sobie obecność, którą udało mi się wyczuć. – Jest z nimi Spowiedniczka. Płynie jednym ze statków, prowadzi ich.

– Odnajdzie nas bez mapy, tak jak ty? – spytał Kima.

Skinęłam głową, chociaż czułam się dziwnie, porównując naszą chaotyczną podróż łódką do zdecydowanego posuwania się naprzód floty Rady. Nie chodziło tylko o to, że Spowiedniczka doprowadzi okręty do Wyspy, lecz również o świadomość, że zjawi się tu osobiście. Myśl o tym, że postawi tutaj stopę, wywoływała u mnie skrajną odrazę. Kobziarz oznajmił mi swego czasu, że nasze pojawienie się na Wyspie zmieniło ją. Pojawienie się tu Spowiedniczki wieściło koniec tego miejsca.

– Ile zostało czasu do powrotu naszych statków? – spytałam drżącym

głosem.

– Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, najszybsze z nich pojawią się tu najwcześniej w południe – odrzekł Kobziarz. – To nie jest wyłącznie kwestia dotarcia na stały ląd i powrotu: muszą odnaleźć miejsce, w którym można bezpiecznie dobić do brzegu, a potem sprowadzić na niego ewakuantów. Mowa tu o setkach dzieci oraz ludziach najbardziej kalekich, najwolniejszych.

– A co z dwoma okrętami, które popłynęły na zachód szukać Zamorza? – spytałam. – Mówiłeś, że są najszybsze.

– Nie sądzisz, że gdybym mógł je tu wezwać, już dawno bym to zrobił? – Spuścił wzrok. Przez chwilę wyglądał tak, jak mógł się prezentować w samotności, w swoim małym prowizorycznym pokoiku, z dala od przepełnionych oczekiwaniem oczu: zrezygnowany i zmęczony. Kobziarz potarł czoło dłonią, a następnie odezwał się cichym głosem: – Wyplłynęły już miesiąc temu. Nie wiemy nawet, czy jeszcze gdzieś tam są.

Zamknęłam oczy i zaczęłam przeczesywać morze w poszukiwaniu powracającej floty wyspiarzy albo statków, które wyprawiły się na zachód. Pustka. Tylko świadomość nadciągających okrętów Rady. Owa perspektywa była przytłaczająca sama w sobie, ale obecność Spowiedniczki czyniła ją nieporównywalnie gorszą. Jeśli przybędzie tu przed powrotem naszej floty, Wyspa stanie się pułapką. Pozostałe tu dzieci oraz osoby niezdolne do walki nie będą miały żadnych szans. Zastanawiałam się, czy wystarczy zbiorników dla nich wszystkich.

W południe wiatr przyniósł mi wizję, ale statki, które ujrzałam, były jeszcze odległe, rozsiane po morzu. Próby przyjrzenia się im przypominały mrużenie oczu w słońcu – widziałam tylko ich zarysy na tle oślepiającego blasku. Do kogo mogły należeć? Dopiero po godzinie czy dwóch szczegóły stały się wyraźne. Na dnie jednej z łodzi leżała splątana sieć rybacka. Kadłub pomalowano w żółto-niebieskie pasy. Żagiel pokryty był tak dużą liczbą łat, że wyglądał jak kołdra patchworkowa.

– To nasza flota – powiedziałam do Kimy. – Są już blisko.

Kazaliśmy strażnikowi zawołać Kobziarza.

– Sprowadźcie ludzi do portu – poleciłam, zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi. – Nasze statki wracają. Pierwsi ewakuanci trafili na stały ląd. Już prawie tu są.

Pokręcił głową.

– Doniesienia z wartowni przychodzą co pół godziny. Na razie niczego nie dostrzeżono.

– Mogą nie znajdować się jeszcze w zasięgu wzroku – wtrącił się Kima – ale skoro Cass je wyczuła, to muszą być blisko.

– Mamy jeszcze trochę czasu – powiedziałam. – Jeśli zajmiecie się tym od razu, może się udać wywieźć z wyspy drugą partię ludzi. Sprowadźcie ich do portu,

żeby byli gotowi do wejścia na pokład, gdy tylko pojawią się statki.

Kobziarz ponownie pokręcił głową.

– Jeśli flota Rady przyplynie pierwsza, najbardziej bezbronne osoby znajdą się tam pozbawione ochrony. W porcie nie ma się gdzie ukryć – równie dobrze moglibyśmy przewiązać ich wstążką niczym podarunek dla żołnierzy twojego brata. Przypomnij sobie, o kim mówimy. Niektórzy z nich nie są w stanie chodzić, nie mówiąc już o szybkim przemieszczaniu się tunelami. W życiu nie udałoby im się wrócić do wnętrza krateru, a już na pewno nie do fortu.

– Właśnie dlatego musicie ich bezzwłocznie sprowadzić do portu i przygotować do rejsu – powtórzyłam. – To zajmie trochę czasu. Jeśli będziecie zwlekać do momentu, gdy nasze statki pojawią się w zasięgu wzroku, będzie za późno. Nie uda im się uciec.

– Przynajmniej będą mogli się schronić w forcie.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że fort jest pułapką. Cała Wyspa się nią stanie wraz z przybyciem floty Rady.

– Przynajmniej fortu możemy przez jakiś czas bronić – odparł Kobziarz. – Dopóki nie będę miał pewności, że nasza flota dotrze tu pierwsza, nie mogę ryzykować.

– Ale Cass jest pewna – odezwał się jeszcze Kima, lecz Kobziarz przestępował już przez próg.

– Poczekaj! – zawołałam za nim. – Czy wśród nich jest łódź w niebiesko-żółte pasy?

Zatrzymał się w pół kroku.

– „Julia” – powiedział, a na jego wargach pojawił się zaczątek uśmiechu. – Widziałaś ją w wizji? Była do tego stopnia szczegółowa?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Sprowadźcie ich do portu – powtórzyłam raz jeszcze.

Nic już nie powiedział, ale kilka minut po tym, jak zamknął drzwi, ujrzelśmy z okna pochód resztek cywilów wychodzących z fortu. Grupa składała się ze starszych dzieci oraz z pozostałych na wyspie osób niezdatnych do boju. Poruszali się z większym wahaniem niż pierwsi ewakuanci. Dzieci trzymały się za ręce, a dorośli szli ze spuszczoneymi głowami. W porcie nie czekała na nich jeszcze żadna łódź, tylko nadzieja na pojawienie się jednej floty oraz lęk przed drugą. Patrzyłam na tę procesję, zastanawiając się, czy przypadkiem nie posłałam tych ludzi na rzeź.

Jakąś godzinę później znów rozdzwoniły się dzwony. Przez chwilę serce dudniło mi w piersi równie głośno co one. Tym razem jednak dźwięki dobiegające z baszty były inne: zamiast rozbrzmiewającej dzień wcześniej kaskady uderzeń rozległ się kurant złożony z trzech wyraźnych, wysokich tonów. Z dziedzińca dobiegło nas wiwatowanie żołnierzy. Między posterunkami wartowników krążyły

informacje: „Zbliżają się do rafy. Wszystkie, na pełnym żaglu”. Nie przyłączyliśmy się z Kimą do ogólnej radości, ale oparłam głowę o jego ramię i zrobiłam wydech, który wstrząsnął całym moim ciałem.

Kobziarz wrócił po jakiejś godzinie czy po dwóch.

– Przenoszę was stąd – oznajmił bez zbędnych ceregieli. – Ten pokój znajduje się za blisko zewnętrznej krawędzi fortu.

– Czy drugiej partii uchodźców udało się odpłynąć? – spytałam.

– Ostatni statek powinien już wkrótce przepłynąć się przez rafę – poinformował Kobziarz.

W jego głosie słychać było ulgę, lecz z oczu wзираła wyłącznie powaga. Mogliśmy teraz liczyć tylko na siebie: o trzecim rejsie nie było mowy. Na późnopołudniowym niebie wschodził już księżyc w pełni. Jego poświata widoczna była ponad flagą Omeg zatkniętą na szczycie krateru.

– Zostały jeszcze jakieś łodzie? – spytałam.

– Za małe, żeby przepłynąć się na stały ląd – odrzekł Kobziarz. – Ukryliśmy je w jaskiniach położonych na wschód od portu, ale to tylko tratwy, łódki wiosłowe i małe żagłówki. Takie, w których dzieci uczą się żeglować.

Na Wyspie nie pozostało już ani jedno dziecko. Czy dziecięce głosy miały jeszcze kiedyś zadźwięczeć w tym ukrytym mieście?

– Spakujcie się – mówił dalej Kobziarz. – Jeśli wedrą się do fortu, chcę, żebyście byli w bezpiecznym miejscu.

Dał nam zaledwie minutę na wciśnięcie skromnego dobytku do plecaka, a potem rzucił nam parę opatrzonych kapturem peleryn, jakie nosili wartownicy.

– Nałóżcie je – polecił. – Po incydencie z udziałem Lewisa bezpieczniej będzie, jeżeli nie będziecie się rzucać w oczy.

Poprowadził nas osobiście, przystając tylko na moment, by szeptem naradzić się ze strażnikiem stojącym za drzwiami. Z kapturem naciągniętym na głowę moje pole widzenia ograniczało się do następujących po sobie wycinków rzeczywistości. Minął nas kowal niosący naręczę brzękających o siebie toporów. Korytarzami przebiegali strażnicy. Gdy młody wartownik przystanął, aby zsalutować Kobziarzowi, ten warknął:

– Nie ma czasu na tego typu bzdury, wracaj na posterunek!

Na dolnych poziomach fortu, gdzie okna zabito deskami, panował półmrok. Odrobina słońca wpadała tylko przez wąskie otwory strzelnicze. Obok jednego z nich, na obróconej dnem do góry skrzynce siedział beznogi łucznik, ostrząc groty strzał.

Kobziarz wprowadził nas w końcu do niewielkiego pomieszczenia – ciasnej komnaty w baszcie z wąskim oknem położonym wysoko na zakrzywionej kamiennej ścianie.

Zauważył, że badawczo przyglądam się grubym drzwiom.

– Wybij to sobie z głowy – powiedział. – Spójrz. – Wskazał na beczki ułożone pod jedną ze ścian. – Składujemy tutaj wino dla wartowników. W całym forcie nie ma solidniejszego zamka.

Jego słowa przywołały wspomnienie Lewisa. Nie byłam pewna, czy to zamknięte pomieszczenie powinno we mnie wzbudzić poczucie bezpieczeństwa, czy braku swobody.

– Jeśli fort upadnie, przyjdę po was – oznajmił. – Jeśli przy drzwiach będzie majstrował ktokolwiek inny, nawet członek Zgromadzenia, dacie mi sygnał przez okno, machając peleryną.

– Będziesz na dole, a nie w auli? – spytałam.

– Miałbym siedzieć na górze i wydawać rozkazy na ślepo? Nie ma mowy. Będę czekał przy bramie z resztą wartowników.

Stałam na palcach, żeby wyjrzeć przez okno na dziedziniec, główną bramę oraz ciągnące się za nią ulice. Strażnicy stali już na posterunkach. Część z nich kuciała na gzymsie otaczającym dziedziniec, kiwając się lekko na piętach. Inni przechadzali się to w jedną, to w drugą stronę przed wzmocnioną bramą. Jakaś kobieta bez wysiłku przerzucała miecz z ręki do ręki.

– Też możemy walczyć – oznajmił Kima. – Wypuść nas, pomożemy.

Kobziarz przechylił głowę na bok.

– Moi strażnicy są dobrze wyszkoleni. Mają wprawę. Wydaje ci się, że po raz pierwszy w życiu możesz złapać za miecz i od razu zostać bohaterem? Nie jesteśmy częścią historii opowiedanej przez barda. Tylko byście zawadzali. Zresztą nie pozwolę na narażanie Cass, którą mogą zaatakować nie tylko żołnierze Rady.

Po raz kolejny przed oczami stanął mi Lewis. Krew ściekająca z rękonoży noża drżącego w ciele zamachowca.

Kima otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale znowu odezwały się dzwony, wieszcząc ten sam stan zagrożenia co dwa dni wcześniej. Na tej wysokości baszty nawet kamienne ściany wydawały się drżeć od dźwięku. Miałam wrażenie, że zęby wysuwają mi się z dziąseł od wibracji.

– Przybyli – powiedział Kobziarz.

Chwilę później trzaskające drzwi dołożyły swoje trzy grosze do otaczającego nas hałasu. Po ich zamknięciu ciasne pomieszczenie zaczęło sprawiać wrażenie dusznego, przesyconego zapachem wina i biciem dzwonów.

Zawlekliśmy jedną z beczek pod okno, a następnie uklękliśmy, przyciskając do siebie głowy, żeby móc wspólnie wyglądać w ciemniejącą noc.

Całe dwa dni czekaliśmy na przybycie floty należącej do Rady, ale te kilka godzin dzielące bicie w dzwony od pojawienia się na szczycie krateru pierwszego żołnierza wydawało się trwać znacznie dłużej. W trakcie oczekiwań próbowałam sobie wyobrazić, co dzieje się na zewnątrz kaldery: flota nadciąga, na wodę spuszczone są łodzie desantowe, które zaczynają przedzierać się przez rafę.

Pierwsze spotkanie ze strażnikami Wyspy w porcie. Jednak podwójny mrok stworzony przez noc i odległość uniemożliwił mi otrzymanie wyraźnej wizji, a jedynie jej strzępki. Zwijanie czarnego żagla. Wiosła siekące wodę. Pochodnia trzymana przez kogoś na dziobie łodzi, płomień odbity w falach.

Pierwsze oznaki starć w porcie dotarły do nas w postaci rannych strażników wynurzających się z tunelu po drugiej stronie miasta. W świetle pochodni dostrzeżliśmy, że są zakrwawieni i kuleją, pomagano im wrócić do fortu. Wkrótce potem nastąpił zmasowany odwrót i z tunelu zaczęły się wylewać setki wartowników, którzy wracali na posterunki w mieście. Następnie, jakieś dwanaście godzin po tym jak dźwięk dzwonów obwieścił zbliżającą się zagładę Wyspy, dojrzelśmy z Kimą pierwszych żołnierzy Rady. Był wczesny poranek. Naszą uwagę przyciągnął ruch na południowym skraju krateru: kilku strażników starało się zatrzymać falangę złożoną z ubranych na czerwono wojaków. Jednocześnie obrona pierwszego tunelu musiała zostać przełamana i oddziały Rady wdarły się do wnętrza krateru.

Kobziarz stwierdził, że nie jesteśmy częścią historii opowiedanej przez barda, i to, co wydarzyło się tamtego dnia na Wyspie, pozbawiło nas wszelkich wątpliwości w tym względzie. Gdy bardowie śpiewali o bitwach, miało się wrażenie, że opowiadają o układzie tanecznym. Walkę miało cechować swoiste piękno; brzęk mieczy odpierających ciosy żołnierzy stanowił swego rodzaju akompaniament, a pojedynczy wojacy odznaczali się popisami odwagi i zręczności. Jednak w scenach, których stałam się świadkiem, nie było miejsca na tego typu rzeczy. Wszystko działo się zbyt szybko. W ruch poszły łokcie i kolana. Głowice mieczy gruchotały kości policzkowe. Zęby sypały się na kamienne posadzki niczym kości do gry. Zamiast zawołań wojennych czy sloganów słyszeć było stęknienia, przekleństwa i okrzyki bólu. Rękojeści noży stały się śliskie od krwi. Najgorsze jednak były strzały. Nie miały w sobie nic z lekkości i zwiewności – były grube i poruszały się z taką prędkością, że widziałam, jak jedna z nich przyszpiliła ramię żołnierza Rady do drewnianych drzwi. Każda strzała przelatowała nad murem otaczającym dziedziniec z rozdzierającym świstem nasuwającym na myśl rozpruwanie nieba. Znajdowaliśmy się kilkanaście metrów powyżej dziedzińca, ale odór krwi i tak docierał do naszego okna, wdzierając się w powietrze przesycone zapachem wina. Zastanawiałam się, czy będę jeszcze kiedyś w stanie unieść do ust kielich z tym szlachetnym trunkiem i nie poczuć smaku krwi.

Nasi strażnicy walczyli na śmierć i życie. Widziałam, jak pewna kobieta wbiła topór tak głęboko w szyję żołnierza Rady, że musiała się zaprzeć stopą o jego ciało i trzykrotnie szarpnąć za rękojeść, żeby oswobodzić ostrze. Karłowaty strażnik wyciągnął rękę i rozplatał brzuch żołnierza, który zaczął łapać w dłonie wylewające się wnętrzności. Strzały wbijały się w piersi, brzuchy, oczy. Dla mnie

każda z tych śmierci była podwójna. Za każdym razem, gdy ginął żołnierz Alfa, czułam, a czasem nawet widziałam, jak na stałym lądzie pada Omega. Widoczny w dole żołnierz otrzymał cios mieczem w lewą część twarzy, od którego roztrzaskała się niczym rozbity talerz. Zamknęłam oczy i zobaczyłam, jak jasnowłosa kobieta stojąca na wysypanej żwirem ścieżce wypuszcza z rąk wiadro z wodą. Żołnierce, która wspięła się na jeden z zewnętrznych murów broniących dostępu do fortu, strzała wbiła się prosto w pierś, a kiedy się wzdrygnęłam, odruchowo zamykając oczy, ujrzałam mężczyznę biorącego kąpiel bez słowa osuwającego się pod powierzchnię wody. Każda śmierć miała swoje echo, a ja widziałam je wszystkie i tylko dłoń Kimy ściskająca moją na parapecie powstrzymywała mnie przed wrzaskiem.

Mimo gotowości naszych strażników do stawiania czoła najeźdźcom żołnierze Rady mieli przewagę liczebną oraz siłową, która wynikała z braku upośledzeń fizycznych. Nasi jednoręcy strażnicy musieli wybierać między mieczem a tarczą, podczas gdy beznodzy czy kulawi łucznicy zabijali bezbłędnie z odległości. Kiedy jednak żołnierze Rady przesadzili mur i rzucili się na nich, ci nie byli w stanie salwować się ucieczką. Przyciśnięci do muru napastnicy również nie wahali się zabijać, lecz już na samym początku okazało się, że starają się brać tak wielu jeńców, jak to tylko możliwe. Już ponad dziesięciu rannych strażników zostało zawleczonych na pozycje zajmowane przez oddziały Rady. Po strażnicze zaciągniętej tam za nogi pozostał na drodze krwawy, postrzępiony ślad. Na szczycie krateru dostrześliśmy sylwetki łuczników wroga, którzy na razie powstrzymywali się od strzału, byli bowiem za daleko i chcieli uniknąć pomyłek. Wszystkie strzały wylatywały więc z fortu.

– Nie mogę na to patrzeć – powiedział Kima, odsuwając się od okna.

Zazdrościłam mu. Wiedziałam, że nawet jeśli się odwrócę, nie przestanę widzieć tego, co dzieje się na dole, a także scen z wcześniejszych wizji.

– Wypatrzyłaś ją? – spytał Kima.

– Spowiedniczkę? Nie ryzykowaliby wystawienia jej do walki; jest dla nich zbyt cenna. Ale gdzieś tam jest, może jeszcze na statku. Czuję ją.

Powietrze było przesyczone jej obecnością równie mocno co zapachem krwi i wina. Ale na razie trzymała się z tyłu, a jej złowróźbna aura przypominała sztorm, który lada chwila miał się rozpętać nad Wyspą.

– Czeka – dodałam.

Najgorszy był jednak spokój, który temu towarzyszył. Nie wyczuwałam z jej strony żadnej nerwowości, tylko zabójczą cierpliwość. Prawdopodobnie ujrzała już to samo, co ukazało się mnie. Czekała na upadek Wyspy, obserwując rozwój wydarzeń z obojętnością osoby przysłuchującej się nigdy wcześniej niesłyszanej historii opowiedanej przez barda.

W chaosie bitwy toczzonej na peryferiach miasta ciężko było dojrzeć

Kobziarza, ale od czasu do czasu widziałam, jak odrywa się od walki i wraca na dziedziniec, by skonsultować się ze zgromadzonymi tam starszymi strażnikami oraz z członkami Zgromadzenia. Słysząc było, jak przekrzykuje hałasy wojenne, wydając rozkazy: „Więcej łuczników na południowy kraniec, niech bronią wejścia do tunelu!”, „Woda pod zachodnią bramę, jazda!”. Jednak z upływem godzin coraz częściej zaczęła rozbrzmiewać komenda: „Odwrót!”. Słyszeliśmy ją raz za razem, a Kobziarz coraz bardziej ochrypłym głosem wołał: „Wycofujemy się z zachodniego tunelu!”, „Wycofujemy się z rynku!”, „Cofamy się pod trzeci mur!”.

Strome ściany krateru sprawiały, że zachód słońca w mieście zawsze przebiegał gwałtownie. Najpierw horyzont ponad zachodnią krawędzią poróżwiał, jakby krwi płynącej ulicami udało się zabarwić niebo. Następnie szybko zapadł mrok, a sceny walki oświetlane były jedynie przez ogień, który zapłonął w niektórych częściach miastach i piął się teraz do góry. Linia frontu przesunęła się aż w okolice fortu. Postacie w czerwonych strojach zajęły wschodnią część miasta, a większość naszych strażników zgromadziła się za pierwszym murem fortu, chociaż na ulicach trwały jeszcze sporadyczne walki.

W gęstniejącej ciemności widać było jedynie rysujące się na tle ognia sylwetki znajdujących się na dworze osób. Nie potrafiłam dostrzec Kobziarza i od dłuższego czasu nie dobiegał mnie jego głos. Już prawie uwierzyłam, że dostał się do niewoli, gdy nagle otworzył drzwi i szybko zamknął je za sobą.

Nie wyglądał na rannego, choć twarz miał splamioną krwią, której drobne kropelki przypominały mi piegi Zacha z dzieciństwa.

– Muszę przekazać was w ręce Zgromadzenia – oznajmił.

– To oni teraz wydają rozkazy? – spytał Kima. – Nie jesteś już u władzy?

– To tak nie działa – odezwaliśmy się jednocześnie z Kobziarzem, który przez chwilę mi się przyglądał, a potem ponownie zwrócił się do Kimy:

– Jestem przywódcą, ale pracuję dla Zgromadzenia. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym zablokować decyzji jego członków.

Kima ustawił się między mną a Kobziarzem.

– Przecież jest już za późno – powiedział. – Nawet jeśli Zgromadzenie ją zabije i pozbędzie się Zacha, to nie powstrzyma Rady ani tego, co się tutaj dzieje.

– Zgromadzenie nie ma zamiaru was zabić – zaprzeczył Kobziarz.

Dla każdej innej osoby owa deklaracja mogłaby stanowić źródło pocieszenia. Jednak my na własne oczy widzieliśmy zbiorniki i cele, więc poczuliśmy się tak, jakby słowa Kobziarza wysały z komnaty całe powietrze.

– Ale Kima ma rację – zauważyłam. – Przekazanie nas w ręce Zgromadzenia nie ocali Wyspy. Wiesz przecież, że szukali was od wielu lat. Zaczęli na długo przed naszym przybyciem.

– Po tym wszystkim, co zrobiła, nie możecie jej po prostu przekazać Radzie! – krzyknął Kima. – To Cass was ostrzegła! Bez niej nie udałoby się wam nikogo

wywieźć z Wyspy, a tak zrobiliście to aż dwa razy!

Słuchając jego słów, nie mogłam się powstrzymać od myśli dotyczących innych spraw, za które byłam odpowiedzialna. Czyżbym to ja ściągnęła tu Spowiedniczkę? Czy to ja zgotowałam Wyspie ten los? Żadne z nas nie powiedziało tego na głos, ale sama świadomość wypełniła pomieszczenie w sposób równie natarczywy co dźwięk dzwonów alarmowych.

– A gdybyś mógł wybierać? – spytałam Kobziarza. – I tak byś nas oddał?

Pod nami płonęło miasto, a on przyszedł tu prosto z pola walki, jednak dopiero teraz wyczułam u niego zdenerwowanie.

– Prosiłem już tych ludzi o zbyt wiele. Pozwolili odesłać stąd dzieci, starców i chorych, a teraz są świadkami końca wszystkiego, co budowaliśmy od dziesięcioleci. Możliwe, że jesteście naszą jedyną kartą przetargową. Jak mógłbym was nie oddać?

– Ta Wyspa ma stanowić schronienie dla Omeg – zauważyłam cichym głosem. – A więc także dla Kimy i mnie. Jeśli nas oddacie, dzisiejszy dzień będzie oznaczał nie tylko koniec Wyspy, lecz także koniec wszystkiego, co symbolizowała.

– Wyjrzyj przez okno, Cass – powiedział Kobziarz. – Chcesz mi powiedzieć, że powinienem ślepo trwać przy zasadach, gdy moi ludzie wykrwawiają się na śmierć?!

To nie jego podniesiony głos mnie wystraszył, lecz wyrażenie „moi ludzie”. Przypominało to sytuację, gdy ukradkiem obserwowaliśmy z Kimą tańce w stodole. Po raz kolejny znaleźliśmy się po niewłaściwej stronie ściany. Ścigani przez Alfę, odrzuceni przez Omegi.

Kobziarz powolnym ruchem wyciągnął z pochwy długi nóż zawieszony u pasa, trzykrotnie przewyższający rozmiarem zgrabne noże do rzucania, które zazwyczaj nosił za plecami. Ostrze rozbłysło w świetle pochodni, a ja wzdrygnęłam się na widok krwi zaschniętej u jego podstawy.

– Zgromadzenie na pewno zdaje sobie sprawę, że kazałeś nas przed nim strzec – powiedziałam. – Dlaczego mieliby ci zaufać, że nas do nich doprowadzisz?

Kobziarz ważył nóż w dłoni.

– Nie ufają. Wysłali sześciu ludzi, którzy mają was odebrać. – Uśmiech na jego ustach kontrastował z twarzą umazaną krwią. – Nie powiedziałem im jednak, że was przeniosłem. Posłali strażników do waszej poprzedniej kwatery.

Jednym ruchem dłoni obrócił nóż, wyciągając rękojeść w moim kierunku.

– W najlepszym wypadku zyskamy kilka minut – stwierdził. – Nie mogę sobie jednak pozwolić na przyznanie wam eskorty. A nawet gdybym mógł, w tej chwili nikomu nie ufam. Zdołacie niepostrzeżenie dotrzeć na wybrzeże?

– Tak mi się wydaje – odparłam, kiwając głową.

– Na pewno jej się uda – potwierdził Kima.

– Żołnierze Rady zajęli już dwa największe tunele, a brygada Simona z trudem odpiera ich ataki u wejścia do tunelu północnego. To złe wieści dla miasta, ale dla was dobre. Wróg wdziera się tunelami, zamiast wspinać się po zboczach. Najlepiej więc będzie, jeśli pokonacie krawędź krateru, dopóki jeszcze panuje mrok.

– A potem? – spytałam.

– Dziecięce łodzie ukryte są w jaskiniach położonych na wschód od portu. Nigdy nie przeprowaliśmy się na stały ląd czymś równie małym, lecz są niewiele gorsze od balii, którą tu przyплыnęliście. Jeśli pogoda się nie zmieni, macie spore szanse.

Bez słowa przyjąłam nóż oraz pochwę odpiętą przez niego od pasa. Wsuwając w nią ostrze, zauważyłam:

– Gdy dowiedzą się, że puściłeś mnie wolno, już nigdy nie pozwolą ci rządzić Wyspą.

– Jaką Wyspą? – zaśmiał się gorzko Kobziarz.

Podaliśmy nóż Kimie, a on wrzucił go do plecaka wraz z manierką na wodę, resztkami jedzenia i kocem, które zabraliśmy z poprzedniego pokoju.

Odwróciłam się do Kobziarza, stając przy drzwiach. Zaczęłam jednocześnie mówić i naciągać sweter na głowę:

– Tunel północny zostanie zdobyty wkrótce po północy. Nie polegajcie na nim. Uważajcie też na pożary, bo ogień szybko się rozniesie.

Kobziarz wyciągnął dłoń, żeby wygładzić mój pomarszczony rękaw, ale zatrzymał ją na nim na dłużej.

– Ich łucznicy niedługo zaczną strzelać w fort płonącymi strzałami – mówiłam dalej. – W ten właśnie sposób w końcu uda im się obalić główną bramę.

Ścisnął mnie za ramię.

– Wywiozę z Wyspy resztę ludzi – obiecał.

Pokręciłam głową.

– Nie musisz kłamać – odparłam cichym głosem. – Już wszystko zobaczyłam.

Spojrzał mi w oczy i pokiwał głową.

– Gdy już przeprowicie się przez rafę, nie płynicie na południowy wschód, tam skąd przyплыnęliście – poradził. – Udajcie się na północny wschód, żeby zejść na ląd w miejscu, w którym rzeka Miller wpada do morza. Potem ruszcie na wschód, w kierunku Gór Grzbietowych. Z brzegu nie będzie ich widać, ale wyczujesz je, prawda? W tamtym regionie nie ma większej rzeki, która wpada do morza.

Skinęłam głową.

– Mamy tam swoich ludzi – dodał. – Odnajdziemy cię. Jeżeli uda nam się wydostać z Wyspy i ruch oporu przetrwa, będziesz nam potrzebna.

Zdjął rękę z mojego ramienia, lecz zanim się odwrócił, jeszcze uściskał mi dłoń.

Ponownie nałożyliśmy peleryny, ale przejście przez fort okazało się dosyć proste. Górne kondygnacje były prawie całkiem puste, z wyjątkiem tkwiących przed wąskimi otworami strzelniczymi łuczników, którzy nawet się nie obracali, gdy przebiegaliśmy obok. Kiedy zeszliśmy na parter, korytarze zaludnili ranni oraz ich opiekunowie, lecz nikt nie zwracał uwagi na jeszcze dwie osoby w błękitnych pelerynach poruszające się w tłumie. Wynurzywszy się na dziedziniec, ujrzelśmy wystrzelone przez łuczników Rady płonące strzały, malujące ogniste smugi na nocnym niebie. Przyłgnęliśmy do ściany. Główny front walk dotarł już prawie pod główną bramę i broniono tylko zewnętrznych murów, a mimo to strzały spełniły swoje zadanie i w forcie wybuchło kilka pożarów. W ostatniej chwili opuściliśmy dziedziniec, podążając za brygadą, która spieszyła wspomóc obronę bocznej bramy. Dopiero gdy dotarliśmy do ostatniego posterunku, ktoś postanowił nas skontrolować, a i tak jedynie w formie pytania wykrzychanego przez jednego ze strażników pilnujących bramy.

– Idziecie do tunelu północnego? – spytał, pochylając się ku nam z pochodnią we wzniesionej dłoni.

Spuściliśmy głowy, a Kima odpowiedział:

– Tak. Mamy wesprzeć brygadę Simona.

– Tylko we dwoje? – spytał strażnik. – Potrzeba was będzie więcej. Podobno już prawie go zdobyli.

Mężczyzna splunął na ziemię plwociną czarną od dymu, po czym przesunął rygiel, uniósł sztabę i machnięciem ręki popędził nas na zewnątrz.

Gdy opuściliśmy fort, od prawej dobiegły nas odgłosy bitwy, gdyż właśnie tam, u wejścia do tunelu północnego, znajdowało się ognisko walk. Ruszyliśmy pod górę, po obwodzie fortu, trzymając się wąskich uliczek. W pewnym momencie musieliśmy się cofnąć, bo droga przed nami kończyła się ścianą płomieni; innym zaś razem wślizgnęliśmy się przez niezaryglowane drzwi i przez minutę wstrzymywaliśmy oddech, czekając, aż miną nas dwaj wycofujący się strażnicy ścigani przez trzech żołnierzy Rady. Przywarłszy do drzwi obcego domu, przysłuchiwalismy się brzękowi mieczy, których uderzenia rozdzielały mimowolne stęknięcia walczących. Uliczka była tak wąska, że ostrza mieczy zawadzały o drewniane ściany domów stojących po obu jej stronach. Kilka chwil później walczący z krzykiem zaczęli się przesuwac w dół wzgórza. Gdy uchyliliśmy drzwi, w świetle księżyca ukazało się nam świeże, głębokie na kilka centymetrów nacięcie w drewnie, a także krwawy odcisk dłoni na pomalowanej na biało framudze.

Musiało być już koło północy, kiedy dotarliśmy na skraj krateru i nocne niebo rozpostarło przed nami bezkresny morski horyzont. Na wschodzie wzeszedł księżyc w pełni, ale przysłaniała go zasłona dymu wznoszącego się nad miastem.

Od czasu do czasu docierały do nas odgłosy walki, a ja zastanawiałam się, czy wśród nich nie słyhać głosu Kobziarza. Poniżej nas, wciśnięty w zachodni kraniec wyspy, tkwił port, wypełniony obecnie lśniącymi ciemnymi łodziami desantowymi floty należącej do Rady. Zatoczka była tak gęsto nimi utkana, że miało się wrażenie, iż można by ją przemierzyć, przechodząc z łodzi do łodzi. Na wschodzie zaś, w odległości dwóch lub trzech kilometrów od miejsca, gdzie wzburzone morze opływało rafę, dostrzeżliśmy wielkie zakotwiczone statki ze zwiniętymi żaglami.

Gdyby nie pełnia, zejście z zewnętrznej strony krateru byłoby niemożliwe. W kierunku wybrzeża zbiegało zygzakami kilka ścieżek, ale mieszkańcy Wyspy woleli – nie bez powodu – polegać na tunelach, a nie na wąskich, krętych szlakach, których nie dało się dostrzec z wody. Również postanowiliśmy ich unikać, obawiając się przypadkowych spotkań z żołnierzami jednej czy drugiej strony i zamiast tego zaryzykowaliśmy zejście stromym, skalistym zboczem. Miejscami skały były tak ostre, że chwycenie ich dla równowagi przypominało złapanie się ostrza noża; w innych miejscach ptasie odchody oblepiały je tak szczelnie, że uchwycenie ich okazywało się niemożliwe. Bez względu na to, jak bardzo się skupiałam, nie potrafiłam przeprowadzić nas obok każdej rozpadliny ziejącej w śliskim kamieniu. Nie tyle szliśmy, ile powoli opuszczaliśmy się ze spadzistego zbocza, tak mocno przyciskając się do skały, że obdrapałam sobie policzek, a paski plecaka, który miałam na plecach, nieustannie zaczepiały o jej wystające fragmenty. Lecz nawet gdy udawało nam się przejść kawałek, droga była tak stroma, że dwukrotnie upadłam, ale w ostatniej chwili zdołałam złapać się czegoś, żeby nie stoczyć się na widniejące w dole bezlitosne skały. Byłoby coś komicznego w śmierci w wyniku czegoś tak przyziemnego jak upadek po tym, jak zdołało się uciec przed bitwą. Jednak ta perspektywa wydawała się zbyt realna, by rzeczywiście nas bawić, kiedy spełzaliśmy z pancerza Wyspy.

Zanim zeszliśmy na brzeg morza, zaczął wiać lekki wiatr, a panującej ciemności zagroził świt, który uniósł się na wschodzie. Bez kłopotu odnalazłam jaskinie położone kilometr na wschód od portu, choć nie tak łatwo przyszło nam do nich dotrzeć. Nie do końca były to jaskinie, raczej zbiór płytkich wyrw w kamieniu, łatwo dostrzegalnych z góry, lecz od morza osłoniętych kolumnami wystających popękanych skał. Otwory znajdowały się zaledwie dwadzieścia metrów nad poziomem wody, więc opryskująca je morska piana czyniła skały jeszcze bardziej zdradliwymi, a nadejście brzasku sprawiło, że poczuliśmy się odsłonięci, schodząc ku nim. Z każdą chwilą robiło się coraz jaśniej i przestaliśmy uważać na własne ciała – poruszaliśmy się tak szybko, jakbyśmy próbowali uciec przed samym światłem. Z tego miejsca nie mogliśmy dostrzec portu wypchanego łodziami Rady, ale jej potężne okręty nadal majaczyły za odległą rafą, a do tego świadomość obecności Spowiedniczki potęgowała wrażenie obnażenia.

Łodzie uznane za niezdatne do przeprawy zostały tu upchnięte w pośpiechu,

niektóre piętrowo, jedna na drugiej, inne wepchnięte bokiem w zwężające się szczeliny. Było wśród nich kilka maleńkich, rozpadających się żaglówek, ale większość stanowiły dziecięce tratwy, łódki oraz kajaki używane do połowów ryb na rafie. Zdecydowaliśmy się na najmniejszą łajbę z żaglem, jaką udało nam się znaleźć: żaglówkę o wąskim kadłubie pomalowanym łuszczącą się szarą farbą, z żaglem błotnistej barwy.

Jednym z mechanizmów obronnych Wyspy było uniemożliwienie łodziom przybicia do brzegu w miejscach innych niż ukryty port i wkrótce mieliśmy się przekonać, że odbicie od brzegu w każdym innym miejscu także nie jest łatwe. Nie było szans, aby udało nam się znieść łódź z wysokiego na dwadzieścia metrów, niemalże pionowego klifu. Próbowaliśmy opuścić ją przy użyciu liny przywiązanej do dzioba, ale żaglówka była zbyt ciężka i po kilku metrach, zgrzytając dnem o kamień, potoczyła się w dół z taką prędkością, że lina zaczęła rozdzierać nam dłonie. Kima zdołał ją utrzymać, dzięki czemu łódź nie wylądowała do góry dnem i nie nadziała się na jedną ze skał wystających spomiędzy fal. Obwiązaliśmy Kimę sznurem w pasie i ruszyliśmy w ślad za łajbą, przyciskając ciała do gładkich niczym szkło kamieni. Po kilku metrach zauważyliśmy, że skała jest skolonizowana przez małże. Ostre skorupki kaleczyły nam palce, ale przynajmniej było się czego złapać. Lina nie była dość długa, więc za każdym razem, gdy fale kołysały łodzią, Kimę szarpało do tyłu i do dołu, w kierunku czyhających w dole skał. W końcu udało mu się jednak zejść na tyle nisko, by móc wskoczyć do łajby. Za to ja prawie na sam koniec poślizgnęłam się i wpadłam do pulsującej wody.

Jeszcze zanim hałas ucichł, ciężki od przemoczonego koca i pełnej menażki plecak pociągnął mnie na dno, a gdy zaczęłam młócić nogami, żeby wynurzyć się na powierzchnię, drogę zastąpiły mi zębiska skał. Wokół krwawiących nóg owinęły mi się listownice, przypominając mi o przesłuchaniach prowadzonych przez Spowiedniczkę – jej umysł oplatał moje myśli niczym macki próbujące wciągnąć mnie w głębinę. To wspomnienie wraz z zamykającą się nade mną tonią wywołało u mnie panikę.

Dłoń Kimy odszukała mnie, a następnie wyciągnęła na powierzchnię za szelkę plecaka, gdzie pomogła mi się utrzymać, dopóki nie uspokoiłam się na tyle, by go z siebie zdjąć i przekazać Kimie. Łódź była tak malutka, że gdy wciągałam się do środka, mój towarzysz musiał się opierać o drugą burtę, by przeciwważyć masę mojego ciała.

Kima wsunął wiosła w dulki, a plecak wsadził pod siedzisko. Przez jakąś minutę stałam, balansując, a moje rany ociekały na różowo morską wodą zmieszaną z krwią. Wpatrywałam się w Wyspę, która z tej perspektywy wyglądała na wielką i pustą. Dym nadal jednak wydobywał się z krateru przypominającego złożone w miseczkę dłonie wypełnione ogniem i krwią.

Mój towarzysz podał mi rękę, pomagając cofnąć się i usiąść obok niego

pośrodku łodzi. Powiosłowaliśmy energicznie w kierunku przeciwnym do tego, gdzie znajdowała się flota Rady, prosto w bezwzględne objęcia rafy.

Rozdział dwudziesty czwarty

Nie próbowałam ukryć łez przed Kimą. Dotychczas był świadkiem tego, jak budziłam się z płaczem z koszmarnej wizji, krzywiłam się, jedząc surowe krewetki bagienne, czy krzyczałam wściekła podczas pobytu na Wyspie. Jednak spazmatyczny szloch, którym wybuchłam w trakcie wiosłowania, był czymś nowym. Kima nie odezwał się ani nie próbował mnie pocieszać. Po prostu wiosłował, stosując się do moich wskazówek, nawet wtedy gdy mój płacz sprawiał, że ciężko je było zrozumieć. Popłynęliśmy na północ poprzez ażurowy układ na wpół ukrytych w wodzie skał, oddalając się tak bardzo, jak to tylko możliwe, od floty stojącej na kotwicy na wschodzie. Nieprzebytej rafie łatwiej stawiało się czoła, kiedy morze było w miarę spokojne, jednak odnalezienie drogi wymagało ode mnie pełnego skupienia, co tym samym położyło kres mojemu łkaniu. Kiedy już udało się nam wypłynąć na otwarte morze, postawiliśmy niewielki żagiel, i to o wiele mniej niezdarnie niż podczas pierwszej przeprawy. Wiatr był łagodny, ale wystarczająco stały, by napiąć płótno. Usiadłam na dziobie i pozwoliłam bryzie nas prowadzić.

Przez kilka godzin nie byłam w stanie odezwać się ani słowem.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – spytałam w końcu. – Nie chodzi już nawet o ludzi, którzy zostali na Wyspie, chociaż, rzecz jasna, nie mogę przestać o nich myśleć i strasznie się o nich boję. O Kobziarza też. Ale płakałam z naszego powodu. Bo zdawało nam się, że w końcu odnaleźliśmy miejsce, w którym możemy być bezpieczni. Że możemy przestać uciekać.

– A tymczasem znowu wróciliśmy do punktu wyjścia – przytaknął Kima, ruchem głowy wskazując na otaczającą nas wodę. – No, wiem.

– Okazuje się też, że gdy przyjdzie co do czego, kiepska ze mnie wizjonerka. Powinnam była to przewidzieć.

– Przewidziałaś – odparł. – Gdyby nie ty, tamci ludzie nic by nie zrobili. Zostaliby zmieceni z powierzchni ziemi.

– Nie, chodzi mi o sam początek, kiedy płynęliśmy na Wyspę: powinnam była się zorientować, że nie będzie dla nas schronieniem. Że ściągnę na nią kłopoty. Że nie powinniśmy byli liczyć na happy end.

– Nie możesz liczyć na happy end, dopóki Zach rozdaje karty. Kiedy w końcu sobie uświadomisz, że to on jest źródłem problemu?

Spuściłam wzrok w szaroczną wodę rozciągającą się przed dziobem łodzi.

– A ty? – spytałam. – Masz szansę na happy end?

Kima wzruszył ramionami.

– Ja też nie – odparł. – Tak długo, jak Zach pociąga za sznurki.

– Bo nie chcesz mnie opuścić? Czy dlatego, że on i jego ludzie szukają i ciebie?

Ponownie wzruszył ramionami.

– Co za różnica, skoro ani jedno, ani drugie nie ulegnie zmianie?

Przez dłuższy czas milczeliśmy. Dzień upływał w monotonnym rytmie fal. Chociaż była już jesień, słońce nadal świeciło na tyle intensywnie, by w południe zmusić nas do skrycia się w cieniu koca. Przynajmniej dopisywał nam wiatr, który bez oporów popychał nas na północny wschód. Gdy zapadł zmrok, usiadłam na rufie obok Kimy i resztę nocy spędziliśmy przytuleni, to przysypiając, to się budząc.

Nazajutrz niewiele się do siebie odzywaliśmy, wpatrzeni w beznamiętny przestwór morza, które niewzruszone naszym milczeniem, bezlitośnie plaskało o dno łodzi za każdym razem, kiedy ta zsuwała się z fali. Żaglówka była na tyle mała, że nawet przy dobrej pogodzie większe fale wlewały się do środka i musieliśmy na zmianę usuwać wodę wiadrem. Po południu byliśmy poparzeni słońcem i spragnieni, zdążyliśmy już bowiem opróżnić manierkę. Nie mogliśmy jednak narzekać, wiedząc, jaki los czekał osoby, które pozostały na Wyspie.

– Największym obrzydzeniem nie napawają mnie walki, lecz świadomość obecności Spowiedniczki – wyznałam.

– Jest gorsza od widoku z naszego okna? – spytał Kima, krzywiąc się na samo wspomnienie. – Ciężko to sobie wyobrazić.

Rozumiałam, co ma na myśli. Ale gdybym miała wybór, wolałabym ryzykować życie w starciu z ogniem i ostrzami mieczy niż po raz kolejny czuć, jak Spowiedniczka ze stoickim spokojem rozkłada mój umysł na części pierwsze.

– O to właśnie chodziło Kobziarzowi – zauważył Kima, gdy próbowałam mu to wyjaśnić.

– O Spowiedniczkę?

– Nie – odparł, po czym zaczął napinać żagiel, przytrzymując linę w zębach między kolejnymi pociągnięciami. – O ciebie. O to, do czego jesteś zdolna.

Podał mi linę, a ja zaczęłam owijać ją wokół knagi.

– Zazwyczaj nie masz w zwyczaju cytowania Kobziarza – zauważyłam.

– Chodzi nie tyle o niego, ile o to. – Omiótł wzrokiem otaczające nas morze.

– Znowu uciekamy. I mamy wrażenie, że tak będzie już zawsze. Ty mogłabyś to zmienić. Nie tylko reagować na jego posunięcia, ale odpowiedzieć ciosem na cios, zmienić reguły gry. Masz przecież tę moc...

Przerwałam mu, parszkając śmiechem, po czym wskazałam na pokrytą łuszczącą się farbą łódź, w której tkwiliśmy z przekrwionymi oczami, spaleni od słońca.

– Rzeczywiście! Spójrz tylko na mnie. Bije ode mnie moc.

– Nie masz racji – odparł. – Spowiedniczka cię przeraża, ale sama mogłabyś się stać kimś takim dla Omeg, gdybyś tylko nie bała się stawić czoła Zachowi. Wydaje ci się, że jesteś taka skromna, lecz tak naprawdę po prostu go chronisz.

– Nigdy więcej nie mów, że mogę ją przypominać! – warknęłam, rzucając koniec liny na dno łodzi.

– Oczywiście, że nie. Nigdy nie postąpiłabyś tak jak ona. Ale mogłabyś coś zrobić. Jak ci się wydaje, dlaczego ona cię ściga? Nie chodzi wyłącznie o bezpieczeństwo Zacha. Prawdopodobnie nie udałoby mu się uzasadnić mobilizacji tak wielu ludzi. Chodzi więc o ciebie. Zdają sobie sprawę, jak wielkie zagrożenie może stanowić dla nich wizjonerka taka jak ty pozostająca na wolności.

Kima naparł na rumpel, a żagiel złapał wiatr.

– To, że ściga mnie cała Rada, a nie tylko Zach, wcale nie poprawia mi nastroju – stwierdziłam.

Kima musiał zmrużyć oczy w promieniach zachodzącego słońca, żeby odpowiedzieć wzrokiem na moje spojrzenie.

– Wcale nie próbuję cię pocieszyć – odrzekł. – Tylko pokazać ci, do czego jesteś zdolna.

– Znowu brzmisz jak Kobziarz.

– No i dobrze. Przynajmniej jego zawsze traktowałam poważnie.

– Czego ty ode mnie chcesz?! – Nie spodobał mi się dźwięk własnego głosu, gdy na niego wrzasnęłam, przekrzykując wiatr, ale nie mogłam się powstrzymać. – Wydawało mi się, że się przydaję, że próbuję powstrzymać Zacha. Zaciągnęłam nas na Wyspę, bo sądziłam, że mogę pomóc. Zamiast tego sprowadziłam tam Alfę. To moja wina.

Odwrociłam się, a wiatr zarzucił mi włosy na twarz, ukrywając moje łzy przed Kimą.

– Ty nadal nie rozumiesz, dlaczego stanowisz dla nich zagrożenie – powiedział. – Co sprawia, że mogłabyś wszystko zmienić. Rada, a nawet Kobziarz opacznie to rozumieją. Wydaje im się, że jesteś groźna z racji bycia wizjonerką oraz więzi z Zachem. Mylą się jednak. Są przecież inni wizjonerzy mający wpływowych bliźniaków, nie o to więc chodzi! – Kima krzyczał, zdzierając głos na wietrze. – Chodzi o to, jak patrzysz na świat! O to, że nie postrzegasz Alf i Omeg jako przeciwników! Próbowałem ci to wyjaśnić na Wyspie, w baszcie. To właśnie cię wyróżnia. Ścigają cię z niewłaściwego powodu, Kobziarz ochraniał cię z niewłaściwego powodu. Wszyscy oni uważają, że twoja troska o Zacha wynika ze słabości, bo nie wyznajesz zasady „albo my, albo oni”. W tym jednak tkwi twoja siła, to ona cię wyróżnia.

– Mam wystarczająco dużo powodów, żeby czuć się dziwna – odparłam, nawet na niego nie patrząc.

Druga noc spędzona w łodzi była gorsza niż pierwsza. Nawet w tak dużej odległości od Wyspy myśli o Spowiednicze oraz słowa Kimy zanieczyszczały

przesycone solą powietrze. Nie pozwalałam sobie na sen, bojąc się, że ponownie ukażą mi się wówczas wizje dotyczące ataku. Gdy światło zaczęło się zalecać do wschodniego krańca nieba, po dźwięku oddechu Kimy poznałam, że już nie śpi, ale nadal się do siebie nie odzywaliśmy. Resztę dnia też przemilczeliśmy, z wyjątkiem mamrotanych przeze mnie od czasu do czasu wskazówek: „Jeszcze trochę w tę stronę”, „Prosto przed siebie”. Około południa zaczęliśmy mijać pojedyncze skały wystające z wody, na każdej z nich siedziała zazwyczaj tylko jedna mewa. Kilka godzin później dostrzegliśmy łódź – nie strzelisty klif, od którego odbijaliśmy parę tygodni temu, lecz schodzący łagodniej ku morzu brzeg usiany zatoczkami.

Przez jakiś czas kierowałam Kimą wzdłuż wybrzeża, do momentu gdy ukazało się nam szerokie wejście do zatoki. Jej wydmy ze wszystkich stron były porośnięte gęstymi szuwarami. Zwinęliśmy żagiel i ostatnie kilkaset metrów przewiosłowaliśmy już w zatoce, do której wpływała szeroka rzeka. Zamiast wiosłować pod prąd, dobiliśmy do brzegu i brodząc w wodzie, wyciągnęliśmy łódź na piasek. Ukłękłam, żeby ochłapać sobie twarz. Woda miała słonawy posmak, ale była po części słodka, a po kilku dniach spędzonych na słońcu i przesyconym solą wietrze sprawiała wrażenie niesłychanie miękkiej.

– Myślisz, że jeszcze bronią fortu? – spytał Kima.

Pokiwałam głową, klęcząc nad brzegiem.

– Tak mi się wydaje – odparłam. – Ale długo nie wytrzymają.

– Poczujesz, kiedy padnie?

– Nie wiem – wyznałam, ale przekonaliśmy się o tym w nocy.

Wciągnęliśmy łódź na wydmnę, gdzie zasłaniała ją wysoka trawa pampasowa. Następnie ruszyliśmy w górę rzeki i po jakimś czasie wydmy ustąpiły miejsca lasowi, a woda w rzece zrobiła się pitna. Gdy tylko pojawiło się wystarczająco dużo drzew, żeby nas osłonić, poszukaliśmy miejsca do snu. Było jeszcze jasno, ale przez ostatnie kilka dni spędzonych na łodzi prawie nie zmrużyliśmy oka i oboje śłaniałyśmy się na nogach. Nie mieliśmy jak rozpalić ognia, zjedliśmy więc tylko trochę czerstwego chleba, popijając wodą z rzeki, a następnie ułożyliśmy się pod niewielkim krzewem.

Tuż po północy zbudziłam się z urywanym krzykiem. Kima tulił mnie do siebie, dopóki nie przestałam się trząść.

– Wyspa? – spytał.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć, lecz on i tak wiedział. Spróbował mnie pocałować, ale go odepchnęłam. Nie dlatego, że nie miałam na to ochoty. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnęłam zatopić się w jego uścisku i pozwolić, by bliskość naszych ciał pomogła mi zapomnieć o wizjach. Nie potrafiłam się jednak zdobyć na dotknięcie Kimy. Nie chciałam go skazić, gdyż sama byłam zatruta tym, co do tej pory ujrzałam. Oraz tym, co zrobiłam, doprowadzając Spowiedniczkę na Wyspę.

W każdej sekundzie tej rozbitej na pojedyncze chwile nocy widziałam, co się dzieje na Wyspie. Widziałam, jak potężna brama fortu poddaje się płomieniom. Widziałam otwierane kopniakami drzwi oraz języki ognia buchające z dziedzińca. Słyszałam metaliczny zgrzyt wyciąganych z pochew mieczy, a potem brzęk ich uderzeń. Widziałam plac targowy, na którym siedzieliśmy z Kimą, jedząc śliwki. Widziałam bruk śliski od krwi.

Rozdział dwudziesty piąty

Następnego ranka ledwo byłam w stanie mówić. Siedzieliśmy na brzegu rzeki, dzieląc się piętka chleba zabranego z Wyspy. Jego skórka zrobiła się tak twarda, że rozciąłam o nią dziąsło. Patrzyłam w dół rzeki, ku miejscu, gdzie wpływała do morza. Do jedzenia pozostało nam jedynie kilka kawałków suszonego mięsa, ale Kima przypomniał sobie o żyłce rybackiej widzianej w żaglówce, więc zanim ruszyliśmy w górę rzeki, cofnęliśmy się jeszcze na wydmy, żeby ją zabrać. Nie odeszliśmy daleko, więc niedługo potem Kima klęczał już w ostrej trawie obok łodzi i grzebał pod siedziskiem, żeby odzepić żyłkę, która o coś się zahaczyła. Ja tymczasem obserwowałam ujście rzeki i rozciągające się za nim morze. Ogiom spokojnej wody, pośród której Wyspa nie była nawet pyłkiem na horyzoncie, nie zdradzał żadnych śladów zejść, które ubiegłej nocy ujrzałam w wizji. Nie mogłam jednak się powstrzymać od przeczesywania tego ogromu wzrokiem.

Pewnie dlatego właśnie nie dostrzegłam nadchodzącego mężczyzny, chociaż wyczułam jego obecność tuż przed tym, jak usłyszałam piasek skrzypiący mu pod stopami. Obróciłam się w momencie, gdy rzucił się na Kimę, zbiegając z wydmy z taką prędkością, że ten nie zdążył zareagować na mój okrzyk. Napastnik nie tyle chwycił Kimę, ile zbił go z nóg i obaj potoczyli się na ziemię. Zanim do nich dotarłam, mężczyzna oplótł od tyłu szyję Kimy żyłką. Dostrzegłam, jak mocno wrzyna się w jego ciało, bo skóra chłopaka aż pobielała wokół niej.

Zatrzymałam się z uniesionymi rękami, ale mężczyzna i tak zaczął na mnie wrzeszczeć:

– Utnę mu łeb! Wiesz, że to zrobię!

Kima nie krzyczał. Nie wiedziałam, czy byłby w stanie, skoro szyja powyżej żyłki zaczęła mu puchnąć, nabiegłszy krwią. Po lewej stronie tętniła nabrzmiała żyła, trzepocząc się wściekle niczym ćma tłukąca o szybę.

– Przestań. Zrobimy, co nam każesz, tylko przestań – usłyszałam swój głos, zanim w ogóle zorientowałam się, że coś powiedziałam.

– Zgadza się, zrobicie, co każę – odparł mężczyzna.

Staął za Kimą, który nadal klęczał. Brodaty, mocnej budowy Alfa z szopą jasnych włosów, których kępkę wystawały też spod koszuli na piersi. Gdy poluzował pętlę, Kima zachłysnął się powietrzem niczym konające zwierzę. Żyłka wciąż oplatała mu szyję, ale na tyle luźno, że byłam w stanie dojrzeć ślad, który zostawiła na skórze.

Chłopak powoli podniósł się na nogi, trzymając się za gardło. Stał twarzą do mnie, więc nie widział noża, który mężczyzna wyciągnął i uniósł. Staralam się nie okazywać paniki, żeby Kima się nie zorientował. Nóż zawisł jednak w powietrzu, a jego właściciel oznajmił:

– Idziecie ze mną, a jeśli którekolwiek z was wykona choćby jeden ruch,

który nie przypadnie mi do gustu, rozplątam tego tu jak rybę.

Pospiesznie skinęłam głową. Mężczyzna machnięciem noża kazał mi iść przodem, drugą ręką trzymając żyłkę splątaną na karku Kimy.

– Idź tak, żebym cię widział. Tędy, po wydmach. A jak zobaczę, że uciekasz, to jego krew tryśnie na piasek, zanim zrobisz pięć kroków.

Ponownie kiwnęłam głową i przeszłam kilka kroków po wydmie, ale potknęłam się na śliskim piasku. Obróciłam się, lecz ledwie spojrzałam na Kimę, mężczyzna krzyknął:

– Przestań interesować się swoim kumplem, bo utnę mu drugie skrzydełko!

Znow się obróciłam i zaczęłam się wspinać po wydmie. Przypomniał mi się nóż ukryty w bocznej kieszeni plecaka, który niosłam na ramionach. Ale gdy spróbowałam po kryjomu przesunąć dłoń do tyłu, żeby go wydobyć, zdałam sobie sprawę, że to nie ma sensu. Mężczyzna nie był sam. Czułam, że spośród wysokiej trawy obserwuje nas ktoś jeszcze.

Młoda Alfa wyszła z ukrycia, kiedy dotarliśmy prawie na sam czubek wydmy. Skrzyżowała ręce na piersi, lecz w obu jej dłoniach w promieniach porannego słońca błyszcząły ostrza. Znajdowałam się jakieś trzy metry niżej i słyszałam, jak Kima i mężczyzna zatrzymują się kawałek dalej.

– Nie uda ci się doprowadzić ich żywych do miasta – powiedziała dziewczyna. – Na pewno nie w taki sposób.

Jej głos brzmiał beztrudnie, swobodnie. Dziewczyna była wysoka, pod jej ciemną skórą rysowały się mięśnie, a na ramionach miała plecak. Kręcone włosy nosiła ściągnięte do tyłu i związane w masywny, wysoki kok. Stała nieruchomo, ale w jakiś sposób sprawiała wrażenie zrelaksowanej, jakby scena rozgrywająca się przed jej oczami nie napawała jej niepokojem.

Mężczyzna chrząknął, a potem ruszył przed siebie i usłyszałam za sobą oddechy jego i Kimy. Skupiłam się na prawej dłoni, którą bardzo powoli przesunęłam w kierunku kieszeni plecaka. Wyczułam rękojeść noża i próbowałam chwycić ją samymi opuszkami, żeby zbyt widocznie nie wyginać ręki do tyłu.

– Nie mam zamiaru dzielić się nagrodą z nieznajomymi! – odkrzyknął mężczyzna dziewczynie. – Znajdź sobie swoje własne dziwadła. Żołnierze mówili, że może się pojawić cała ich chmara.

– Zgadza się. Ale samemu nie uda ci się ich doprowadzić do miasta – powtórzyła.

– Już mówiłem, że nie będę się dzielił nagrodą, a już na pewno nie z jakąś pyskącą dziewczuchą! Nie szukam guza. Ruszaj w swoją drogę.

Podczas gdy on rozmawiał z młodą kobietą, ja odważyłam się sięgnąć głębiej do kieszeni. Wyjęłam nóż i zacisnęłam drżącą dłoń na jego chłodnej rękojeści.

Dziewczyna odwróciła się do nas plecami.

– Zatem milej zabawy – powiedziała.

Ruszyła po grzbiecie wydmy, ale po kilku krokach zawołała przez ramię:

– Najwyraźniej nie przeszkadza ci, że ta przed tobą zdążyła wyciągnąć z torby nóż, którego jej nieopatrznie nie odebrałaś.

Poczułam szarpnięcie, jeszcze zanim zauważyłam, że dziewczyna się odwraca. Kiedy spojrzałam na dłoń, dostrzegłam swój nóż na piasku. Obok niego, wbity do połowy rękojeści, tkwił nóż rzucony przez dziewczynę. Widniało tam również kilka kropli mojej krwi, która trysnęła na piasek, gdy ostrze zostało mi wytrącone z ręki. Bez chwili wahania odwróciłam się do Kimy.

Mężczyzna znowu zacisnął na jego szyi pętlę z żyłki rybackiej. Czubek noża przyłożył mu do gardła, w miejscu gdzie szyja Kimy znów pęczniała wokół prowizorycznej garoty. Wrzasnęłam, ale Alfa nawet na mnie nie spojrzał, nie spuszczać wzroku z dziewczyny.

– Jeśli chcesz, możesz poderżnąć mu gardło – mówiła dalej nieporuszonym tonem – i pewnie udałoby ci się schwytać tę drugą, żeby przynajmniej za nią ci zapłacili. Żołnierze nie będą jednak zadowoleni, kiedy usłyszą, że jednego zabiłeś. Dobrze wiesz, że każą przyprowadzać ich żywych. Ale możemy wspólnie zabrać ich do miasta i zgarniesz całą nagrodę, a może i coś jeszcze, jeśli po przesłuchaniu wyjdą na jaw jakieś soczyste szczegóły.

Mężczyzna tylko mruknął, zauważyłam jednak, że nieznacznie odsunął nóż od szyi Kimy. Wpatrywałam się w jego ręce z tak dużą uwagą, że byłam w stanie dostrzec blade włoski porastające grzbiet jego dłoni oraz przybrudzoną skórę, którą owinięta była rękojeść noża.

– Domyślam się, że należy od tego odjąć twoją działkę? – spytał.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie prowadzę działalności dobroczynnej – odparła. – Gdybym się nie pojawiła, straciłbyś ich oboje. Wezmę połowę, ale ty możesz zatrzymać premię, jeśli takowa będzie. Nie mam zamiaru czekać na wyniki przesłuchania.

Mężczyzna puścił żyłkę, a następnie popchnął Kimę na piasek. Biedak upadł na kolana, dławiąc się, a ja podbiegłam do niego i pomogłam mu zdjąć z szyi splątaną żyłkę. Gdy się obróciłam, zobaczyłam, że mężczyzna podnosi z piasku oba noże i przygląda się temu do rzucania.

– Klawa sztuczka – przyznał w końcu, podchodząc do dziewczyny, żeby przekazać jej noże. – Odwrócił się do nas plecami, a my wstaliśmy. – Domyślam się, że przejdzie wam ochota na wykręcanie tego typu numerów, kiedy ona będzie nam towarzyszyć – rzucił przez ramię.

Młoda Alfa się nie odezwała. Stojąc w miejscu, stukała boczną stroną ostrza o kłykcie lewej dłoni.

– Rzuć mi ten plecak – odezwała się do mnie.

Zsunęłam go z pleców i upuściłam na ziemię tam, gdzie wcześniej leżały

noże. Widoczna na piasku krew przypomniła mi, żeby zbadać dłoń, ale krwawienie zdążyło już osłabnąć, a na kłykciu widniało tylko niewielkie nacięcie w miejscu, które trąciło ostrze dziewczyny, wysuwając mój nóż z niepewnego uchwytu.

Dziewczyna wywróciła plecak do góry dnem i wytrząsnęła jego zawartość: koc i manierkę napełnioną tego ranka wodą z rzeki. Skrzywiłam się, widząc, jak ostatni kawałek suszonego mięsa wypada na piasek, szybko jednak uświadomiłam sobie, że brak jedzenia nie jest w tej chwili naszym największym zmartwieniem. Dziewczyna omiotła wzrokiem nasz dobytek, po czym rzuciła mi pusty plecak.

– Spakuj to i weź torbę ze sobą – poleciła.

– Po co jej to oddajesz? – warknął mężczyzna.

– Nie mam zamiaru wyrzucać przydatnych rzeczy. Chcesz sam nieść ten plecak?

Mężczyzna odwrócił się i splunął na piasek, a dziewczyna ponagliła mnie skinieniem głowy. Gdy wstałam, popchnęła Kimę w moim kierunku.

– Będziecie szli z przodu, tak jak teraz – oznajmiła. – Nie zwalnijcie i nie odzywajcie się, chyba że macie ochotę dostać nożem w kark.

Zerknęłam na Kimę, starając się zbytnio nie obracać głowy. Wokół jego szyi ciągnął się krwawy ślad, a oczy były czerwone od pękniętych naczynek. Wzięłam go za rękę, a on ścisnął w odpowiedzi moją dłoń.

– Przeurocze – prychnął mężczyzna za naszymi plecami.

Gdy stanęliśmy na wydmie, ukazała nam się biegnąca w dole droga. Po lewej stronie ciągnęła się wzdłuż wydm, równoległe do linii brzegowej. Po prawej zaś prowadziła od morza ku lekko zalesionej wyżynie. W porównaniu ze wspinaczką schodzenie z wydm okazało się proste – do tego stopnia, że dziewczyna dwa razy kazała nam zwolnić – ale gdy zeszliśmy na drogę i mężczyzna krzyknął, żebyśmy skręcili w lewo, uznałam, że naszych porywaczy dzieli od nas dystans przynajmniej dziesięciu kroków.

– Coś z nią jest nie tak – szepnęłam do Kimy, patrząc prosto przed siebie.

– Nie trzeba być wizjonerem, żeby to stwierdzić – odparł. – Masz jakiś pomysł?

– Z nim mogłabym walczyć. Ale ona to co innego.

Kimę przytknęła dłoń do gardła.

– Szczerze mówiąc, on też nie przypadł mi do gustu – powiedział, a po krótkiej pauzie dodał: – Dokąd nas prowadzą?

– Niedaleko stąd jest duże miasto.

– Wyczuwasz je?

Świadoma dwóch par oczu wlepiających się w nasze plecy, musiałam się powstrzymać od pokręcenia głową.

– W jakimś sensie tak – szepnęłam. – Ale głównie chodzi o drogę. Spójrz

sam. Takich wielkich dróg nie buduje się na pustkowiu. W okolicy musi się znajdować pokaźnych rozmiarów miejscowość.

Kima, mrużąc oczy, popatrzył na ciągnący się przed nami trakt.

– Moglibyśmy pobiec za ten zakręt, tam jest więcej drzew – zaproponował.

– Widziałeś przecież, co ona potrafi zrobić z nożem. Leżelibyśmy martwi, zanim udałoby się nam zeskoczyć z drogi.

– Jeśli doprowadzą nas do miasta, będzie po sprawie – zauważył Kima. – Czeka nas los gorszy od śmierci i dobrze o tym wiesz.

– To nie wszystko. Coś jeszcze jest w niej dziwnego.

– Oprócz tego, że jest psychopatyczną łowczynią nagród?

– To ma coś wspólnego z Kobziarzem – oznajmiłam.

Kima puścił moją dłoń.

– Kobziarz nam nie pomoże – powiedział. – Ma własne problemy na głowie.

– Cicho, muszę pomyśleć.

Wyczuwałam obecność Kobziarza – byłam jej równie pewna co tego, że on nadal znajduje się na Wyspie. Droga była na tyle równa, że mogłam zamknąć oczy i skupić się na tym, co czułam. Gdy tylko to zrobiłam, zrozumiałam, co uderzyło mnie w tej dziewczynie.

Rozdział dwudziesty szósty

Obróciłam się do Kimy, żeby mu o tym powiedzieć, więc gdy rozległ się krzyk mężczyzny, przez chwilę myślałam, że to na mnie wrzeszczy. Jednak ów dźwięk szybko się urwał i zanim zdążyliśmy zerknąć za siebie, ciało Alfy leżało już na drodze, a pod jego karkiem kwitła ciemna plama.

Dziewczyna trzymała w dłoni nóż. Z odrazą spuściła wzrok, przyklęła i dwukrotnie otarła ostrze o koszulę zmarłego.

– Musiałś go zabić? – spytałam.

Zatknęła nóż za pas.

– Chciałabyś, żeby zaczął rozpowiadać, kogo widział? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie mogliśmy go po prostu związać?

– Ktoś by go znalazł. Albo umarłby powolną śmiercią z pragnienia. Zrobiłam tylko to, co sama miałś zamiar zrobić, kiedy wyciągnęłaś nóż na wydmach. Powinnaś mi być wdzięczna.

Kima patrzył to na mnie, to na dziewczynę.

– No tak, jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni – powiedział. – Tyle że zrobiłaś to tylko po to, żeby zgarnąć całą nagrodę.

– Nie – zaprzeczyłam, kładąc mu dłoń na ramieniu, po czym zwróciłam się do dziewczyny: – Jesteś bliźniaczką Kobziarza. – Zwróciłam się w stronę Kimy. – Pamiętasz nóż do rzucania? – spytałam go.

– Ten, którym cisnęła w ciebie jakieś pięć minut temu? Ciężko wymazać go z pamięci – odparł.

– Później będziecie mogli się pospierać – przerwała nam młoda Alfa. – A na razie musicie mi pomóc ukryć ciało.

Chwyciła trupa za stopę i zaczęła się cofać, wlokąc go na skraj drogi.

– Ale masz rację co do mojego brata – powiedziała do mnie, nie podnosząc wzroku.

Skinęłam głową i złapałam ciało za drugą nogę. Gdy dziewczyna obróciła się, żeby spojrzeć za siebie, dostrzegłam kilka niewielkich nożyków zwisających jej z pasa.

– Co ty wyrabiasz? – zawołał Kima. – Nieważne, czyją jest bliźniaczką. To Alfa. Czy przeprawy z Zachem niczego cię nie nauczyły?

Dziewczyna spojrzała na niego i poradziła:

– Jeśli chcesz zapewnić wam obojgu bezpieczeństwo, lepiej oducz się wspominania o bracie Cass.

– Tak, bo właśnie tobie najbardziej zależy na naszym bezpieczeństwie – warknął Kima w odpowiedzi. – Cass, przecież ona rzuciła w ciebie nożem!

– Wiem. – Puściłam stopę nieboszczyka i uniosłam rękę, pokazując mu

schludne nacięcie na kłykciu, które już zaczęło się goić. – Mogła przebić mi dłoń. Ale zamiast tego ledwie mnie drasnęła.

– To po co to całe przedstawienie, skoro jest po naszej stronie? – spytał Kima.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Słabo oceniałam szanse Cass w starciu z nim. – Zerknęła na zwłoki. – I nie chciałam się na niego rzucać, dopóki przyciskał ci nóż do szyi. Jeżeli skończyłeś już skamleć, to nam pomóż.

Kima spojrział na mnie, ale ja ponownie chwyciłam za nogę nieboszczyka i razem z dziewczyną zaczęliśmy ściągać go z drogi.

– Powiesz przynajmniej, jak masz na imię? – zawołał Kima.

– Zoe – odparła. – I wiem, kim jesteś. Zasyp te krwawe ślady. I tak je znajdą, jeśli pojawią się tu z psami, ale to da nam trochę czasu.

Nie wykopaliliśmy grobu, tylko znaleźliśmy zagłębienie pod zwalonym drzewem, stanowiące najlepszą kryjówkę w rzadko porośniętej roślinnością okolicy. Nim zakryła ciało gałęziami, Zoe sprawdziła kieszenie mężczyzny i jednym ruchem noża przecięła rzemień, na którym zwisała z jego szyi mała skórzana sakiewka.

– Nie wystarczy, że go zabiłaś? Musisz go jeszcze okradać? – spytał Kima.

– Gdybym go nie zabiła, wieczorem siedzielibyście już w celi. Zależy nam na tym, żeby osoby, które go znajdą, uznały to za napad.

– Myślisz, że tak będzie? To znaczy, że go znajdą? – spytałam.

Zoe opróżniła sakiewkę, schowała do kieszeni kilka znalezionych monet, a następnie rzuciła ją na ziemię obok zmarłego. Przykucnęła, żeby wyciągnąć mu z dłoni nóż.

– To prawdopodobne. Od miasta dzieli nas niecałe pół dnia drogi. Ale zważywszy na wszystko, co tu się obecnie dzieje, możliwe, że nie zaczną go szukać od razu.

Podążyła nóż Kimie, który krzywiąc się, wsadził go sobie za pas.

– A co takiego się tu dzieje? – spytał.

Zoe przesunęła stopą luźne gałązki krzewów w stronę ciała.

– Wczoraj przeszli tędy żołnierze Rady – oznajmiła. – Po całym wybrzeżu roznieśli wieści dotyczące możliwości pojawienia się Omeg, które przyplłyną łodziami. Zaoferowali nagrodę za ich schwytanie. Obecnie szuka was większość Alf mieszkających w promieniu stu kilometrów.

– Nas konkretnie?

Zoe pokręciła głową.

– Nie, nagrodę oferują za każdą Omegę przemieszczającą się w okolicach wybrzeża. Ten idiota – powiedziała, rzucając na zwłoki ostatnią gałąź – nie wiedział nawet, jak bardzo mu się poszczęściło. Ale Kobziarz opowiedział mi

o was, wiedziałam więc, kogo szukać. A potem, choć i tak byłam już wystarczająco pewna, rozpoznałam jeszcze jego nóż. – Wyjęła zza pasa ostrze, które wcześniej wytrąciła mi z ręki. – Od tej pory powinnaś go nosić przy pasie – poradziła, podając mi nóż. – Bo jak robi się gorąco, nie zdążysz wygrzebać go z plecaka. – Po raz ostatni przyjrzała się częściowo ukrytemu ciału. – Idziemy – zarządziła.

– Dlaczego Kobziarz nam o tobie nie powiedział? – spytałam, gdy ruszyliśmy za nią.

– A pytaliście?

– Nie. Właściwie nie wiem dlaczego – przyznałam.

– A ja wiem. Bo założyliście, że jako Alfa nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Ani z tym, o co walczy.

Zamiast zaprzeczyć, spytałam:

– Ale dlaczego mimo wszystko nie powiedział mi o tobie?

– Z tego, co słyszałam, też byłaś dość powściągliwa w kwestii twojego bliźniaka.

– Ryzyko było zbyt duże – zauważył Kima.

– No właśnie – przytaknęła Zoe. – Dlatego się nie afiszujemy. Mogę być przydatna dopóty, dopóki ludzie nie wiedzą, kim jestem i czym się zajmuję. Wydaje się wam, że Alfy zachowują się podle w stosunku do Omeg? Jeszcze mniej delikatnie potraktowałyby inną Alfę, którą przyłapałyby na współpracy z ruchem oporu. Nawet te kilka osób z Wyspy, które o wszystkim wiedzą, nie są tą sytuacją zachwycone.

Przez resztę dnia maszerowaliśmy, a nawet truchtaliśmy, gdy tylko pozwalał na to porośnięty krzakami teren. Wróciliśmy po własnych śladach nad rzekę, niedaleko miejsca, w którym przybiliśmy do brzegu, a następnie ruszyliśmy w kierunku przeciwnym do jej nurtu, gdzie las gwałtownie gęstniał. Kiedy słońce znalazło się w zenicie, zjedliśmy suszone mięso, wyczyściwszy je z piasku tak dobrze, jak tylko się dało. Mimo to jednak czułam, jak chrzęści mi między zębami. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy, z wyjątkiem moich pospiesznych konsultacji z Zoe dotyczących kierunku wędrówki. Zatrzymaliśmy się na odpoczynek dopiero wtedy, gdy zrobiło się już niemal całkiem ciemno i otoczył nas gęsty las.

Zoe zeszła z niewielkiej polanki, żeby napełnić menażki wodą z rzeki, którą słysząc było po prawej stronie. Klapnęliśmy z Kimą na piaszczysto-ilastą ziemię pokrytą liśćmi.

– Byłabyś zdolna do zabicia tamtego faceta? – spytał. – Gdyby udało ci się wyciągnąć nóż?

Wzruszyłam ramionami.

– Pewnie bym próbowała – odparłam. – Nie cieszyłabym się ze śmierci jego i jego bliźniaczki. I nie wiem, czy udałoby mi się doprowadzić sprawę do końca. Ale na pewno bym się starała.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w ciszy, a potem Kima odezwał się raz jeszcze:

– Skąd wiesz, że możemy jej zaufać?

– Choćby stąd, że gdybyście nie mogli, do tej pory bylibyście już martwi – wyjaśniła Zoe, wróciwszy na polanę. – Przyklęknęła przed nami i cisnęła nam pełną menażkę. – A skąd ja mam wiedzieć, że mogę zaufać wam? – spytała.

Kima przewrócił oczami.

– Bo to ty niewiarygodnie dobrze radzisz sobie z nożem? – zasugerował.

Nachyliłam się do niego.

– Nam też dała noże, Kima – zauważyłam.

– Może i tak – odrzekł – ale oboje wiemy, że przerobiłaby nas na filety, gdyby doszło między nami do walki.

– Spójrzcie na to z mojego punktu widzenia – poradziła Zoe. – Raz na tydzień dostaję wiadomości od Kobziarza przekazywane mi przez statek kurierski. Kilka tygodni temu powiadomił mnie, że na Wyspie zjawili się niespodziewani goście. – Oparła się plecami o drzewo i w zamyśleniu zaczęła przesuwając palcami po ostrzu jednego z noży zawieszonych u pasa. – To sama w sobie była nie lada nowina, bo nigdy wcześniej nikomu nie udało się tam dotrzeć bez mapy. – Ruchem jednocześnie szybkim i niedbałym cisnęła przed siebie nóż, który zatopił się w korze rosnącego za nami drzewa, jakieś trzydzieści centymetrów nad naszymi głowami. – A potem raz jeszcze dotarły do mnie wieści od niego, w których ekscytował się tym, że jedna z nowo przybyłych to potężna wizjonerka, a jej pojawienie się ma być najwspanialszą rzeczą, jaka kiedykolwiek przytrafiła się Omegom.

– Odniosłem wrażenie, że Kobziarz postrzega tak raczej własną rolę – prychnął Kima, ale Zoe go zignorowała.

– Następnie zawiadomił mnie, że udało mu się zidentyfikować twojego bliźniaka: naszego starego znajomego, Reformatora. Natomiast w tym tygodniu w umówionym miejscu nie pojawił się ani statek, ani żadna wiadomość. – W pień drzewa wbiło się z brzdękiem kolejne ostrze, tuż pod poprzednim. – A potem, kilka dni temu, zaczęli się pojawiać ewakuanci. Najpierw tutaj, a druga partia trochę dalej na południe – przywiozła ich cała cholerna flota, jeśli wierzyć plotkom. Na wybrzeżu zaroilo się od żołnierzy Rady oferujących nagrodę za schwytanie któregoś z uciekinierów. Interesuje mnie zatem odpowiedź na jedno pytanie.

Nad nami wbiło się trzecie rozedrgane ostrze, tak nisko, że poczułam, jak przyszpila do drzewa kilka zbłąkanych włosów z mojej głowy.

– Czy entuzjazm mojego brata wywołany twoim przyjazdem był słuszny? To, że Rada przypadkiem odnalazła Wyspę tuż po waszym pojawieniu się na niej, wydaje się zbyt wielkim zbiegiem okoliczności. No i jak to możliwe, że bezpiecznie dotarliście na stały ląd, skoro mój brat i reszta wyspiarzy zostali tam

pewnie zaszlachtowani?

– Jeśli jesteś osobą, za którą się podajesz, to wiesz, że Kobziarzowi nic nie jest – zauważył Kima.

– Żyje. Ale to nie znaczy, że nic mu nie jest. Kto jak kto, ale ty powinieneś zdawać sobie z tego sprawę. Kobziarz opowiedział mi o zbiorniku, w którym Cass cię znalazła.

Szarpnęłam głową w bok, krzywiąc się, gdy oderwało się od niej kilka przybitych do pnia włosów.

– Ostrzeżyliśmy ich – powiedziałam. – Wyczułam zbliżający się atak i kazałam im uciekać z Wyspy, ale Kobziarz nas stamtąd odesłał.

– Mógł cię wziąć za zakładniczkę – stwierdziła Zoe. – O ile jesteś osobą, za którą się podajesz.

– Mógł – przytaknęłam. – I wielu członków Zgromadzenia domagało się tego. I na sam koniec chcieli przekazać nas Radzie. Ale Kobziarz się na to nie zgodził. Więc tak naprawdę nie chodzi o to, czy możesz zaufać nam, tylko czy możesz zaufać jemu.

Zoe wbiła w nas świdrujące oczy, a następnie rzuciła się do przodu. Zanim Kima położył dłoń na rękojeści noża, zdążyła wyrwać trzy ostrza z pnia drzewa i wrócić na miejsce.

– Jeśli jesteś wizjonerką, znasz już odpowiedź na to pytanie – odrzekła, wsuwając noże za pas. – Pora spać.

Odwróciła się do nas plecami i wyciągnęła na ziemi.

Zbudziłam się wcześniej, ale Zoe już nie spała. Siedziała na kłodzie i jednym ze swych noży oczyszczała sporych rozmiarów grzyby z ziemi. Gdy się uniosłam, rzuciła mi dwa z nich.

– Upolowałam też królika, ale jesteśmy jeszcze za blisko wybrzeża, żeby ryzykować rozpalenie ognia – powiedziała. – Może wieczorem.

Tak bardzo przypominała Kobziarza, że ze wstydem zastanawiałam się, jak mogłam od razu jej nie rozpoznać. Nie chodziło wyłącznie o ciemną lśniąca karnację ani o gęste czarne włosy – te spotykało się przecież dość często. Raczej o sposób, w jaki oboje się nosili. O ich niepokornie wysunięte szczęki. O to, że każdy ich ruch był jakimś cudem jednocześnie stanowczy i leniwy. Łącząca ich więź nie ulegała wątpliwości, nawet gdy znajdowali się daleko od siebie. Obserwowanie jej pomogło mi zrozumieć, co sprawiało, że tak dobrze czułam się w towarzystwie jej brata, mimo że istniało wiele powodów, by się go bać. Nie wiedziałam, jak im się to udało, ale w jakiś sposób pozostali sobie z Zoe bliscy. Podobieństwa dostrzegalne w ich zachowaniu i ruchach wskazywały na wieloletnią zażyłość, więź, która w równej mierze była kwestią nawyku co wyboru.

Przypomniały mi się słowa, które Kobziarz wygłosił mimochodem do Kimy, gdy podsłuchałam ich rozmowę na Wyspie.

Jasne stały się również powody, dla których postanowił we mnie uwierzyć. Mimo jego praktycznego podejścia do życia oraz mimo funkcji, jaką sprawował na Wyspie, współpraca z Zoe przez tak długi czas musiała mu uświadomić, jak to jest, gdy postrzega się swojego bliźniaka jak kogoś więcej niż tylko rywala. A zdawało mi się, że jestem w tym osamotniona.

Kiedy patrzyłam na Zoe, wydawało mi się, że Kobziarz znajduje się jednocześnie bliżej i dalej, niż się znajdował w istocie. Jego obecność w każdym ruchu dziewczyny podkreślała tylko jego nieobecność. Widząc, jak Zoe obraca w rękach nóż, przypominałam sobie o jego dłoni, która spoczęła na moim barku, gdy go ostatni raz widziałam.

Kima ziewnął i przekręcił się na drugi bok. Zoe wbiła w niego wzrok.

– O nim Kobziarz też mi doniósł – oznajmiła.

– Za pośrednictwem statku kurierskiego? – spytałam.

Skinęła głową.

– Wyspa nie mogła funkcjonować bez jakiejś formy komunikacji: potrzebna była wiedza na temat planowanych misji ratunkowych czy ostrzeżeń dotyczących patroli straży brzegowej. W ciągu ostatnich kilku lat trzeba było transportować tam coraz więcej Omeg. Nie mówiąc o prowiancie, chociaż od roku czy dwóch lat mieszkańcy Wyspy stali się niemal samowystarczalni. Większość produktów hodują sami.

Czasownik w formie terażniejszej zawisł w powietrzu pośrodku polany. Pomyślałam o schłodzonej zaoranych polach otaczających jezioro położone poniżej miasta, ogrodach uprawianych na zboczach kaldery oraz kozach na placu targowym.

– Od momentu gdy zjawiliście się na Wyspie, wszystkie wieści dotyczyły wyłącznie was – poinformowała Zoe. – Tego, jak tam dotarliście bez korzystania z naszych kryjówek czy sieci kontaktów. I tego, co to oznacza dla bezpieczeństwa Wyspy.

– Wydaje mi się, że oni odnaleźli ją w taki sam sposób – oznajmiłam. – Mam na myśli Alfę. Mają ze sobą wizjonerkę, przypląnęła na jednym z okrętów.

– Spowiedniczkę – powiedziała Zoe, a ja kiwnęłam głową.

Kima zaczął się budzić. Usiadł i złapał grzyba rzuconego mu przez dziewczynę.

– Czy we wspomnianej przez ciebie sieci kontaktów na stałym lądzie... – spytał między kęsami – ...działają jeszcze jakieś Alfę?

– Czy to ważne? – spytała Zoe.

– Ważne dla wszystkich Alf, na które się do tej pory natknęliśmy.

– Nie jestem taka jak wszystkie Alfę, na które się do tej pory natknęliście –

odparła, ciskając mu kolejnego grzyba.

– No coś ty – powiedział Kima z przekąsem.

– W każdym razie praca Spowiedniczki dla Rady pokazuje, że nie zawsze obowiązuje podział na Alfę i Omegi – mówiła dalej Zoe.

– To nie tak wygląda – zaprzeczyłam.

Zoe wstała.

– Masz zamiar jej bronić? – spytała.

– Nie. Chodziło mi o to, że ona wcale nie p r a c u j e dla Rady. Jest na to zbyt potężna. To ona rozdaje karty. Może nie w sposób oczywisty, ale tak naprawdę jest odpowiedzialna za wiele spośród rzeczy, które się obecnie dzieją.

Zoe gestem nakazała nam wstać.

– Z tego, co słyszę, nie działa sama – powiedziała.

Podnieśliśmy się powoli, a ja zarzuciłam plecak na ramię.

– Nie sądzisz chyba, że zgadzam się z tym, co robi mój bliźniak? – spytałam.

– Zatem jest coś, co nas łączy – odparła Zoe. – Bo ja, w przeciwieństwie do Kobziarza, nie pozwoliłabym wam opuścić Wyspy. – Skinęła głową ku rzece. – Macie pięć minut na napełnienie menażek i mycie, a potem ruszamy – zarządziła.

Wieczorem Zoe uznała, że dostatecznie oddaliliśmy się od wybrzeża, żeby zaryzykować rozpalenie ognia. Tak bardzo nawykłam do tempa i rytmu podróży z Kimą, że prędkość marszu narzucana przez Zoe wydawała mi się bezlitosna. W rozchybotanym blasku płomieni dostrzegłam, że on również wygląda na zmordowanego, chociaż przez cały dzień żadne z nas nie poprosiło, abyśmy zatrzymali się czy choćby zwolnili. Po drugiej stronie ogniska Zoe odzierała królika ze skóry. Byłam jej wdzięczna za możliwość zjedzenia mięsa, ale odwracałam wzrok, gdy odrywała futro od ciała. Przypomniłam mi się martwy łowca nagród leżący z otwartymi oczami i dziurą w karku.

Jakiś czas później siedzieliśmy wpatrzeni w dogasający ogień z dłońmi tłustymi od króliczego mięsa. Zoe czyściła sobie paznokcie jednym z małych noży. Kima obserwował ją nieufnie.

– Obsługi noży uczyliście się pewnie razem z Kobziarzem, co? – spytał.

– To nie jest zbieg okoliczności, jeśli to masz na myśli – odparła Zoe, nie podnosząc oczu.

– Czyli nigdy was nie rozdzielono? – dociekał dalej Kima.

– Rozdzielono. Widziałeś przecież jego piętno.

Skinęliśmy z Kimą głowami. Wyobraziłam sobie twarz Kobziarza, tak jak wyglądała podczas naszej ostatniej nocy na Wyspie, z kroplami krwi przecinającymi piętno na czole.

– Przyszło mi do głowy, że może wychowywaliście się na wschodzie – zasugerował Kima. – Słyszałem, że kiedyś sytuacja tam była lepsza. Że nie zawsze skazywali małe Omegi na wygnanie. A przynajmniej nie w tak młodym wieku.

– Kiedyś rzeczywiście tak było – przyznała Zoe. – Ale to już przeszłość. Mamy tam kontakty, od czasu do czasu docierają do nas jakieś wieści. Wygląda na to, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia Rada wzięła wschód w cugle. Nawet najodleglejsze osady położone na samym skraju Pustkowi.

– Ale ty i Kobziarz...?

– No tak, pochodzimy z tamtych stron. Rozdzielono nas późno, tak jak stwierdziłeś. Miał dziesięć lat, gdy rodzice go odesłali.

Spojrzałam na nią.

– A tobie się poszczęściło – powiedziałam.

– Pewnie, nikt nie kazał mi się wynosić. – Zoe spojrzała na nas, szczerząc zęby w blasku gasnącego ogniska. – Ale dzień później sama odeszłam.

Kima odpowiedział jej równie szerokim uśmiechem.

– Dwoje dziesięciolatków... jakim cudem udało się wam przeżyć? – spytał.

Zoe wzruszyła ramionami.

– Szybko nauczyliśmy się polować, kraść. Czasami pomagali nam napotkani ludzie. – Przeciągnęła się, ziewając bezwstydnie, a potem spojrzała na mnie. – Nadal uważasz mnie za szczęściarę?

– Tak – odpowiedziałam, a potem zamilkłam na chwilę. – Miałaś szansę zostać ze swoim bliźniakiem.

Zoe parsknęła i położyła się na ziemi.

– Z tego, co słyszę, twój brat nie byłby zbyt dobrym kompanem – zauważyła.

– Możesz mi wierzyć, że już nieraz próbowałem jej to wytłumaczyć – wtrącił Kima.

Przewróciłam oczami.

– Doskonale to rozumiem – zapewniłam. – Naprawdę. Jednak gdyby sytuacja wyglądała inaczej, gdyby Zach nie dorastał w strachu przed rozdzieleniem, nie byłby taki, jaki jest. Stworzył go ten cały system. To przez niego Alfy obracają się przeciwko nam.

Kima odchrząknął.

– Nie wszystkie, jak widać – zauważył.

– Wstrzymaj się jeszcze z opinią – powiedziała Zoe, po raz kolejny błyskając zębami w szerokim uśmiechu, który tak bardzo przypominał mi Kobziarza.

Później tego samego wieczoru, gdy mrok stał się prawie zupełny, Kima spytał, dokąd uciekamy.

– Nie zrozum mnie źle – powiedział. – Nie chodzi o to, że szaleńcze przedzieranie się przez las dzień po dniu nie sprawia mi przyjemności. Zastanawiam się tylko, gdzie jest meta.

– Ten cały obszar roi się od żołnierzy, którzy chcą was zabić albo i gorzej – poinformowała Zoe. – Opowiedzieli o was Alfom mieszkającym w okolicy,

musimy więc oddalić się od wybrzeża. W promieniu stu kilometrów nie ma miejsca, w którym bylibyście bezpieczni.

– Odsuwamy się więc od morza, rozumiem. Ale co potem? – spytał Kima.

– To zależy. Mamy z Kobziarzem umówione miejsca spotkań. Zazwyczaj widzujemy się na wybrzeżu, ale gdy robi się niebezpiecznie, na odległym krańcu gór jest inny punkt, dokąd przychodzi albo przysyła wieści, o ile może. Potem decyzja będzie zależeć od was.

– Będziemy szli dalej – oświadczyłam. – Tak będzie bezpieczniej. Może spróbujemy udać się na wschód.

– Tylko tyle? – spytała Zoe. – Będziecie nadal uciekać?

– Próbowaliśmy się skryć na Wyspie, ale nie poszło nam zbyt dobrze – przypomniał Kima.

– Akurat wam poszło całkiem nieźle – zauważyła Zoe cichym głosem.

Przez jakiś czas jedynym dźwiękiem było leniwe strzelanie ognia.

– Nie mogliśmy ocalić Wyspy – odezwałam się pierwsza.

– Może tak, może nie. W każdym razie Kobziarz mógł was wykorzystać.

– Chcesz powiedzieć: zabić Cass, żeby pozbyć się Zacha? – spytał Kima.

– Niekoniecznie. Ale mógł przynajmniej tym zagrozić. Zmusić ich do zatrzymania się.

– Kobziarz pozwolił nam opuścić Wyspę – powiedziałam. – Jeśli teraz nas złapią, to będzie po wszystkim; jego decyzja zostanie odarta z sensu.

– A jaki widzisz sens w niekończącej się ucieczce? – spytała Zoe. – Pozwolił wam odejść, bo uznał cię za kogoś cennego, sądził, że możesz nam pomóc.

– Próbowалам pomóc, ale skończyło się na tym, że Zgromadzenie zamknęło mnie pod kluczem, a na Wyspie pojawiła się Spowiedniczka – wyjaśniłam drżącym głosem. – Nie rozumiem, co zdaniem wszystkich zainteresowanych powinnam teraz zrobić.

– Ja też nie – przytaknęła. – Jak na razie, to szczerze mówiąc, nie wiem, o co tyle szumu. Ale Kobziarz coś w tobie dostrzegł. A Alfom bez dwóch zdań udało się skutecznie wykorzystać wizjonerkę do własnych celów. Wygląda zatem na to, że ucieczka oznaczałaby zaprzepaszczenie ofiary Kobziarza. Oraz wszystkich ludzi, którzy stworzyli tę wyspę.

– Ostrzegła ich przecież – zauważył Kima. – Z dwudniowym wyprzedzeniem. Bez niej nie byliby niczego świadomi. Wszystkim tym ludziom, którzy uciekli, udało się to tylko dzięki Cass.

– To wszystko? Czyżby tylko na to było stać tajną broń, w którą Kobziarz wierzył na tyle mocno, żeby odrzucić ostatnią szansę na ocalenie Wyspy? – spytała Zoe.

Zamknęłam oczy.

– To nie był mój wybór – odparłam. – Wcale nie chciałam być niczyją tajną

bronią.

– Wiem – przytaknęła Zoe – ale może jednak powinnaś.

Znajdowaliśmy się tak blisko ogniska, że słyszałam szum popiołu układającego się w nowe konfiguracje. W oddechu leżącego obok mnie Kimy zaczęły pobrzmiwać lekkie, rytmiczne odgłosy snu. Ciało Zoe po drugiej stronie miało niewyraźny kształt, ale byłam w stanie stwierdzić, że dziewczyna jeszcze nie śpi. Szepnęłam do niej, starając się nie zbudzić Kimy:

– Wszyscy członkowie Zgromadzenia z wyjątkiem Kobziarza chcieli mojej śmierci. Jeśli miałabym ponownie zaangażować się w ruch oporu, to co się pod tym względem zmieni? Chwila, w której dowiedzą się, kim jestem, będziecie oznaczała mój koniec: największy pożytek będą ze mnie mieli, gdy umrę. Jedyna rzecz, którą mogłabym dla nich zrobić, czyli zabić siebie i Zacha, to to, czego zrobić nie potrafię. Nie mogłabym tego zrobić Zachowi. Ze wszystkich ludzi ty powinnaś rozumieć najlepiej, jak to jest troszczyć się o swego bliźniaka.

Zoe podparła się na łokciu i powiedziała:

– Obecnie jeszcze nie wiadomo, czy twojemu bliźniakowi nie uda się przypadkiem zabić mojego brata i mnie. Naprawdę liczysz na to, że uznam twojego bliźniaka za symbol pojednania?

– Przecież ty i Kobziarz trzymacie się razem. Nie może ci zależeć na istnieniu świata, w którym rodzeństwo się rozdziela.

Zoe zaśmiała się cicho.

– Skąd pomysł, że to, czego chcesz ty czy ja, ma coś wspólnego ze światem? – spytała. – Świat jest taki, jaki jest. Skoro Alfy chcą traktować Omegi tak, jak je traktują, tym drugim potrzebne jest jakieś własne miejsce. Tak jest bezpieczniej. Na tym polegał koncept stworzenia Wyspy.

– Będziemy więc teraz szukać kolejnej? A potem kolejnej, gdy tę najadą już Alfy?

– Na razie nie zaproponowałam lepszego rozwiązania – stwierdziła Zoe.

Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie słowa, które Kima wygłosił w baszcie: „Świat wolny od podziałów, w którym miejsce takie jak ta Wyspa nie byłoby potrzebne”.

– Nie mam żadnych rozwiązań – powiedziałam. – Wydaje mi się tylko, że kiedy skończą się wyspy, zdacie sobie sprawę, że problem wcale nie zniknął.

– Nie praw mi kazań – syknęła Zoe. – Możesz gadać, ile chcesz, o zbliżeniu się do siebie Alf i Omeg. Ale przez ostatnie kilka lat, gdy siedziałas bezpiecznie w celi, obserwowaliśmy z Kobziarzem, do czego zdolny jest twój bliźniak i jemu podobni. I z tym właśnie walczymy. Naprawdę wydaje ci się, że możesz zmienić zdanie ludzi, którzy na własne oczy widzieli, jak porywa się, więzi i uśmierca dzieci w ramach nieludzkich eksperymentów?

Zapadła cisza.

– Byłam świadkiem tych eksperymentów – powiedziałam w końcu. – To znaczy nie wszystkich. Wiesz przecież, że widziałam zbiorniki. – Kolejna dłuższa pauza. – Kima też rozumie. Nie zawsze się ze mną zgadza, ale wie, o co mi chodzi, mimo tego, co przeszedł.

Zoe wydała z siebie niezadowolone mruknięcie.

– A co on właściwie przeszedł? – spytała. – Problem z nim polega na tym, że nie pamięta nawet, co mu się stało. Kobziarz powiedział mi, że przypomina niezapisaną kartkę. Do wszystkiego można go przekonać.

Nie wiedziałam nawet, kiedy zerwałam się na równe nogi i przeskoczyłam ognisko. Rzuciłam się na Zoe, przygniotłam ją do ziemi i zaczęłam wściekle okładać pięściami.

Gdy tylko udało jej się wyplątać z koca, chwyciła mnie za nadgarstek i przewróciła na bok, ale to krzyk Kimy ostatecznie mnie powstrzymał.

– Co tu się dzieje, do diaska?! – zawołał, wstając i omiatając zaspanym wzrokiem nasze szamoczące się ciała.

Zoe odepchnęła mnie od siebie.

– Zaatakowała cię? – spytał, kiedy wróciłam na naszą stronę ogniska.

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Tak – odparła za mnie. – Uratowałam was tylko po to, żeby móc was zaatakować, gdy będziecie spali.

Podniosła koc leżący na krawędzi ognia, zdeptała tłący się róg i rzuciła go nam.

– Nie martw się. Ona tylko broniła twojej czci – powiedziała, po czym położyła się na boku, jakby nic się nie stało.

Kima patrzył to na mnie, to na nią. Strzepnęłam koc, marszcząc nos w reakcji na swąd spalonej wełny, i ułożyłam się na ziemi.

– To miło z twojej strony – powiedział Kima, kładąc się obok mnie – ale następnym razem wolałbym, żebyś dała mi pospać.

Rozdział dwudziesty siódmy

Rano znów zaczęło padać. Nie zapalaliśmy już ognia, tylko przycupnęliśmy pod drzewami rosnącymi na skraju polany, jedząc zimne resztki królika oblepione zastygłym białym tłuszczem. Kiedy ruszaliśmy w dalszą drogę, Kima zrobił krok w kierunku rzeki, ale Zoe pokręciła głową.

– W tym miejscu odejdziemy od rzeki – oznajmiła. – Niecały dzień drogi stąd znajduje się sporej wielkości miasto. Zbliżenie się do niego byłoby zbyt ryzykowne. Domyślam się, że dolinę też będą obserwować. Gdybym była sama, poszłabym właśnie tamtędy, ale skoro idziemy we trójkę, to niezbyt dobry pomysł.

Rozejrzałam się, sięgając wzrokiem ponad wierzchołkami drzew. Za naszymi plecami dolina rozszerzała się wokół rzeki wijącej się ku morzu, a przed nami zwężała, ogrodzona górami. Widoczne po obu stronach pasma górskie zaważały o niebo. Drzewa przestawały się pojawiać na ich zboczach już w połowie wysokości, odsłaniając gołe skalne ściany i osypiska.

Kima westchnął i spojrzał na mnie.

– Nie wyczuwasz przypadkiem jakichś ukrytych tuneli, które oszczędzą nam konieczności wspinaczki? – spytał.

Uśmiechnęłam się.

– Nie tym razem, wybacz. Ale Zoe ma rację: w górze rzeki leży duże miasto. A wokół niego kręci się mnóstwo osób.

Zoe skinęła głową.

– To miasto targowe – poinformowała. – Pod koniec tygodnia zjeżdżają się do niego ludzie z całej okolicy. Żeby przejść przez góry, najłatwiej byłoby się trzymać tej strony rzeki. – Wskazała na widoczną po naszej lewej stronie przełęcz. – Ale, rzecz jasna, będą ją obserwować, więc powinniśmy się przeprawić na drugą stronę i wspiąć na tamten szczyt.

Podążyłam wzrokiem za jej wysuniętym palcem w kierunku góry widocznej po prawej.

Pokręciłam głową.

– Tam też jest duże miasto, jeszcze większe niż to w dolinie – powiedziałam. – Oszalałaś?

– Jedna z nas na pewno – odparła Zoe, schodząc ku rzece.

– Nie wiesz, co mówisz! – zawołał za nią Kima. – Ona wyczuwa takie rzeczy!

– Wiem! – odkrzyknęła Zoe. – I jest w tym nawet lepsza, niż sądziłam, skoro wyczuła tamto miasto!

– Cass nigdy się nie myli – zapewnił Kima, ruszając za nią, żeby nie musieć krzyczeć.

– Nie powiedziałam, że się myli – odparła Zoe, obracając się do nas. – Tylko

ma kiepskie wyczucie czasu. Rzeczywiście było tam miasto, i to wielkie, większe nawet od Wyndham. Tyle że przed Wybuchem.

– Mogłabym przysiąc – zapewniłam, kręcąc głową. – Czuję je bardzo wyraźnie.

– Przez stulecia mieszkały tam tysiące ludzi, setki tysięcy. – Zoe wzruszyła ramionami. – Czyż nie pozostałby po nich jakiś ślad?

– Nieważne – wtrącił się Kima. – To tabu. Nie mam zamiaru zbliżyć się do miasta sprzed Wybuchu.

– Jeśli niepokoi cię wizja złamania prawa ustanowionego przez Radę, trochę na to za późno – zauważyła Zoe.

– To co innego – zachnął się Kima. – Dobrze wiesz, że nie chodzi mi o prawo, tylko o to, co było przed Wybuchem. Nie można zbliżyć się do tego typu rzeczy.

– Dlatego właśnie Zoe ma rację – przyznałam. – Nikt się tam nie pojawi. Jeśli miasto leży na tamtej przełęczy, są duże szanse na to, że przejdziemy przez góry i nie zostaniemy schwytani.

– Ludzie nie chadzają tam z określonego powodu – sprzeciwił się Kima. – To miejsce jest skażone. Zabójcze. Widziałas plakaty.

– Tak – przyznałam. – Ale widziałam też te, na których stwierdza się, że jesteśmy groźnymi złodziejami koni.

– Nie zapominaj o plakatach głoszących, że Omegi stanowią dla Alf pozbawione wartości, zagrażające życiu brzemię – dodała Zoe.

Kiwnęłam głową.

– Nawet tabu nie stanowi gorszej opcji od tych, jakie mamy do wyboru – zauważyłam.

Kima westchnął, po czym ruszył w stronę rzeki.

– Nie sprzeciwiałbym się tak bardzo, gdyby miasto nie leżało na samym czubku tej cholernej góry – mruknął.

Przez resztę dnia rzadko się do siebie odzywaliśmy. Zbocze było strome i często musieliśmy się przedzierać przez gęste, kłujące krzaki. Po drugim śniadaniu złożonym z garści włóknistych grzybów Zoe zostawiła nas samych prawie na godzinę, a następnie wróciła z królikiem oraz dwoma małymi ptakami przytroczonymi do pasa.

– Zazwyczaj udaje mi się upolować więcej, ale po dolinie chodzą ludzie – wyjaśniła. – Patrol żołnierzy Rady oraz spora liczba Alf żądnych oferowanej przez nich nagrody.

– Myślisz, że schwytano wielu uciekinierów z Wyspy? – spytałam, wstając, żeby rozprostować nogi.

– Niektórych pewnie tak – odparła Zoe, zarzucając plecak na ramiona. – Ewakuanci na pewno się rozdzielili i rozeszli na wszystkie strony, starając się dotrzeć do kryjówek. Ale na ich tropie jest wiele Alf. Dobrze chociaż, iż łowcy nagród są tak cholernie głodni, że nie mieli szans na schwytanie mnie, a do tego trzymają się raczej niższych zboczy, wznoszących się niewiele ponad poziom rzeki. Źle natomiast, że wystraszyli stąd połowę zwierzyny, a wyżej nie będzie już na co polować.

– Jak sądzisz, daleko jeszcze do przełęczy? – spytał Kima.

Zmarszczyła nos.

– Spowalnicie mnie, więc jakieś dwa, trzy dni – stwierdziła. – Może więcej, jeśli obława wespie się wyżej i będziemy musieli zachowywać się ostrożniej.

Popołudnie spędziliśmy, maszerując w milczeniu w stałym tempie, a na noc zatrzymaliśmy się tuż poniżej linii wyznaczonej przez ostatnie drzewa. Nie ryzykowaliśmy zapalenia ognia i chociaż zarzekaliśmy się z Kimą, że nie weźmiemy do ust surowego mięsa oferowanego nam przez Zoe, w końcu przełknęliśmy po kęsie. Większy problem stanowił jednak brak wody: menażki napełniliśmy jeszcze w rzece, ale od tamtej pory nie minęliśmy żadnego źródła, więc musieliśmy się ograniczyć do sporadycznych łyčzków. Usiadłam, dotykając plecami drzewa zbyt wąskiego, by zapewniło wygodne oparcie, i krzywiąc się, zaczęłam wyciągać maleńkie kolce z poznaczonych siateczką zadrapań nóg. Raz za razem przesuwałam językiem po zębach, lepkich z upału i pragnienia. Staralam się nie myśleć o mięsie – jego kleistej fakturze i nitkach surowego tłuszczu, które wchodziły mi między zęby.

– Myślisz, że już po wszystkim? – spytała znienacka siedząca naprzeciwko mnie Zoe.

– Walki na Wyspie? – Na chwilę zamknęłam oczy. – Ciężko powiedzieć. Nie czułam niczego od nocy, po której nas znalazłaś, gdy ukazała mi się wizja wyważanej bramy. Nie wiem, czy to już koniec, czy po prostu znajdujemy się za daleko, abym mogła coś wyczuć.

Zoe dłubała czubkiem noża pod paznokciami znajomym już mi ruchem.

– Za daleko? – powtórzyła. – Nie chcę być złośliwa, ale wasze ślimacze tempo sprawia, że wcale nie przesuwamy się zbyt szybko. W każdym razie nie spodziewałam się, że odległość jest dla ciebie aż tak ważna. Wyczułaś zbliżających się żołnierzy, jeszcze zanim odbili od brzegu. Tak przynajmniej twierdziłaś.

Spuściłam wzrok na dłonie.

– Zgadza się. Ale na zdolności wizjonerskie ma wpływ wiele czynników, a dystans jest tylko jednym z nich. Obok swego rodzaju... – zawahałam się – ...intensywności. Gdy szuka mnie Spowiedniczka, jej skupienie jest tak wielkie, że wyczuwam je przez cały czas, bez względu na to gdzie się znajduję.

Przez chwilę słychać było wyłącznie zniecierpliwione stukanie noża Zoe

o jej paznokcie.

– To nie wina Cass, że jej zdolności nie działają tak, jak byśmy chcieli – odezwał się w końcu Kima.

Spojrzała na niego.

– Mówisz tak dlatego, że nie udało jej się odnaleźć twojej bliźniaczki? – spytała.

– Nie jestem pewny, czy w ogóle chcę się czegoś na jej temat dowiedzieć – odparł. – Chodzi o to, że to całe wizjonerstwo to nie taka prosta sprawa. Widziałas, że Cass co noc budzi się z krzykiem. Niełatwo jest jej to znieść.

– Jej pobudki w środku nocy dla żadnego z nas nie są łatwe do zniesienia – stwierdziła Zoe, obracając się do mnie. – I jeśli dziś w nocy masz zamiar znowu się zerwać, to przynajmniej staraj się mniej krzyczeć. Jesteście poszukiwani.

Uśmiechnęłam się zakłopotana.

– Przepraszam. I przykro mi, że nie mogę powiedzieć ci niczego więcej o Wyspie czy Kobziarzu. Nie sądzę jednak, by dał się wziąć żywcem.

Zoe wzruszyła ramionami.

– Nie trzeba być wizjonerem, żeby to stwierdzić – powiedziała.

– Ale to dobre wieści, prawda? Wiemy, że żyje. A jeśli to również oznacza, że nie został schwytany, są szanse na to, że nic mu nie jest.

– Przekonamy się o tym za kilka dni – stwierdziła. – Jeśli istotnie nic mu nie jest, stawi się w umówionym miejscu.

Usadowiłam się obok Kimy i ciasno owinęłam nas oboje kocem.

– Nie wierzę, że nie zależy ci na dowiedzeniu się, kim jest twoja siostra – powiedziała cicho.

Wsparła mnie leżąc kilka kroków dalej Zoe.

– Nie mam w zwyczaju zgadzać się z Cass, ale też w to nie wierzę. Jak mógłbyś nie chcieć tego wiedzieć?

– To wcale nie jest tak dziwne, jak wam się wydaje – odparł Kima, a ja poczułam ciepło jego oddechu we włosach. – Przed Wybuchem ludzie przez tysiące lat żyli bez bliźniaków.

– I zobacz, jak to się dla nich skończyło – prychnęła Zoe.

W nocy padał lekki deszcz, a gdy pakowaliśmy się nad ranem i wyruszyliśmy w dalszą drogę, dolinę spowijała gęsta mgła.

– To dla nas dobre wieści – zauważyła Zoe, kiedy narzekałam na ciężar przemoczonego koca. – Do południa wyjdziemy spomiędzy drzew, ale mgła zapewni nam osłonę, o ile się utrzyma.

– Utrzyma – potwierdziłam.

Nie mogliśmy sięgnąć wzrokiem dalej niż na dwa, trzy metry przed siebie,

a wszelkie dźwięki były stłumione. Gdy poślizgnęłam się i chwyciłam się dla utrzymania równowagi wąskiego pnia drzewa, jego rozmiękła kora została mi w dłoni. Po jakiejś godzinie udało mi się doprowadzić nas do niewielkiego strumyka, a raczej pojedynczej strużki wody, której poziom podniosły nocne opady. Napełniliśmy menażki, wypiliśmy z nich wodę w szaleńczym tempie, a potem napełniliśmy je raz jeszcze i kontynuowaliśmy wspinaczkę między rzednącymi stopniowo drzewami. Po kilku godzinach drzewa całkiem zniknęły, a ich miejsce zajęły piargi i głazy. Zmuszeni byliśmy posuwać się ostrożniej, gdyż w zbczu pojawiały się rozpadliny i luźno osadzone skały. Dwa razy musieliśmy się cofać, żeby znaleźć możliwą do pokonania trasę, zanim Zoe niechętnie pozwoliła mi prowadzić. Najgorsze były usypiska: uciekały spod stóp, a czasem wręcz groziły poniesieniem nas w dół zbocza. Kilkakrotnie wzdrygaliśmy się, gdy przetaczała się obok nas drobna kaskada kamieni, której gruchot rozbrzmiewał donośnie nawet w tłumiącej dźwięki mgle. Staraliśmy się trzymać miejsc pełnych głazów, ale maszerowało nam się wolno i wspinaliśmy się równie często, jak szliśmy. Chociaż Kima ani razu się nie skarżył, brak jednego ramienia znacznie utrudniał mu wspinaczkę, i nawet Zoe pomagała mu od czasu do czasu, wyciągając rękę za siebie, żeby mógł się jej złapać.

Warunki były zdradliwe, musieliśmy więc się zatrzymać, kiedy tylko światło zaczęło blednąć. Już nie padało, ale mgła pozostawiła po sobie przenikliwą wilgoć. Zgodziliśmy się na rozpalenie ognia, choć niełatwo było znaleźć suche drewno, gdyż ponad linią drzew rosło tylko kilka rozrzuconych tu i ówdzie krzaczków. Zebranie podpalki zajęło nam jakieś pół godziny, a ognisko ledwie wytrzymało na tyle długo, by jako tako upiec królika nad strzelającymi, krnąbrnymi płomieniami, które dawały więcej dymu niż żaru. Moje ciało było do tego stopnia zmęczone, że znużenie dostarczało mi pewnej satysfakcji, gdy leżąc obok ognia, wyciągnęłam nogi i zaczęłam rozmasowywać liczne obolałe mięśnie. Było zimno i kiedy ułożyłam się obok Kimy, zapach mokrej wełny bijący od koca przypomniał mi stęchłą, organiczną woń końskiej sierści oraz wszystkie te dni, które spędziliśmy razem w drodze. Tak wiele tygodni wędrowałam już w towarzystwie Kimy: według mojej rachuby przynajmniej trzy miesiące. Poprzedzające je lata oraz wioska, osada i Przechowalnia wydawały się bardzo odległe.

Dla niego tymczasem te ostatnie miesiące były wszystkim, może oprócz mglistych i przerażających wspomnień z pobytu w zbiorniku. Kima nie tylko nie miał przeszłości, lecz także – co jeszcze dziwniejsze – dryfował po świecie pozbawiony więzi ze swoją bliźniaczką. Był niczym pytanie bez odpowiedzi. Podobnie jak Zoe nie rozumiałam tego braku chęci z jego strony, aby dowiedzieć się czegoś o siostrze. Zastanawiałam się też, czy w jakiś sposób tę lukę wypełnia dla niego nasz związek – symetria naszych spojrzeń po obu stronach zakrzywionego szkła zbiornika.

To jednak nie była symetria. Obróciłam się na bok i podciągnęłam koc pod brodę. Bo przecież nie byliśmy tylko we dwójkę. Jego bliźniaczka może i była kimś nieznanym, ale mój brat zawsze mi towarzyszył, a jego obecność była równie natarczywa i wyraźna co obecność leżącego obok mnie, pochrapującego rozkosznie Kimy.

Następnego dnia nadal było mokro, ale do południa udało nam się wyjść z mgły i spojrzeć na dolinę skrytą pod nadąsanymi szarymi chmurami. W dalszym ciągu było stromo, ale nawierzchnia stała się pewniejsza. Głazy i usypiska pozostawiliśmy w dole, czekały na nas więc tylko gołe skały.

Przywykłam do widoku świata ukształtowanego przez Wybuch: kraterów wystarczająco szerokich, by tworzyły swoje własne horyzonty; stert gruzu; klifów, a nawet całych gór skruszonych niczym babki z piasku. Istniały jednak miejsca, w których nadal można było zajrzeć do świata stworzonego przez inne, wcześniejsze siły. Jednym z nich była Wyspa: jej krater pochodził sprzed Wybuchu, byłam tego pewna. Lecz w górach również obserwowaliśmy warstwy kamienia uformowane przez stulecia i wyniesione na powierzchnię w sposób wskazujący na długoletni, nieunikniony proces.

Czułam się obnażona, gdy nasza trójka przesuwiała się po nagim skalistym zboczu, ale Zoe zauważyła, że dla każdej osoby znajdującej się poniżej linii chmur będziemy niewidoczni.

– Kiedyś biegła tędy droga – oznajmiła. – Przed Wybuchem wejście tu byłoby proste.

– O wielu rzeczach możemy sobie gdybać – mruknął Kima.

W ciągu godziny zbocze przeszło w płaskowyż i dostrzegliśmy pierwsze oznaki: trzy metalowe słupy pochylone niemalże równoległe do ziemi, pod identycznym kątem, których stopione podstawy zostały wyrwane przez Wybuch. Ledwie widoczne szczątki muru ciągnącego się po płaskowyżu. A potem samo miasto leżące na przełęczy niczym w hamaku.

Z tym że to wcale nie było miasto. Raczej przestrzeń negatywna. Obnażone metalowe pręty wystające z fundamentów budynków rozchyłały się na boki niczym żebra martwego bydła zalegającego na poboczach dróg w okresie suszy. Niektóre ściany i betonowe płyty były częściowo nienaruszone, dawały więc wyobrażenie o kształcie większych budowli, które już dawno przestały istnieć.

Wiele lat wcześniej, w osadzie, widziałam maszynę sprzed Wybuchu. Wiedziałam, że ryzykownie było wręczać brązową monetę wędrownym kuglarzom obiecującym widok prawdziwego artefaktu. Jednak gdy brudny wóz przywiózł ów eksponat, ustawiłam się w kolejce i uiściłam opłatę jak prawie cała reszta mieszkańców. Poranek był chłodny, żniwa już dawno się skończyły. Gdy dotarłam

na początek kolejki i syn konferansjera wprowadził mnie do namiotu, zobaczyłam, że na samym środku stoi postument z szorstkiego kamienia, a jego podstawa wyziera spod niesięgającego ziemi czerwonego płótna. Konferansjer oznajmił wcześniej, że maszyna została zabrana z zakazanego miasta na zachodzie. Z początku sądziłam, iż znajduje się ona wewnątrz poobijanej metalowej skrzynki stojącej na postumencie. Potem jednak mężczyzna uroczystym gestem uchylił wieko i zdałam sobie sprawę, że to skrzynka była ową maszyną. W środku, w górnej części, znajdowały się kawałki czegoś, co przypominało zmatowiałe szkło, w dolnej natomiast, rozłupanej widniała stopiona czarna masa. Ze skrzynką połączony był przewód, miejscami wytarty do grubości pojedynczego drucika, zwisający do połowy czerwonego płótna. „To na Elektrykę” – szepnął do mnie mężczyzna konfidencjonalnym tonem. O niej też słyszałam: gdy Wybuch zepsuł Elektrykę, powstałe przed nim rzeczy zostały unieruchomione. Domy, całe miasta pełne były porzuconych, bezużytecznych maszyn, a z każdej z nich zwisał smętnie jakiś kabel.

W górskim mieście nic nie zachowało się w stanie równie dobrym co tamta skrzynka. Najdziwniejszy w tym miejscu był rozdźwięk między opuszczoną przestrzenią a wypełniającym ją tłumem ludzkich śladów. Liczba istnień skupionych niegdyś w tym miejscu rozbrzmiewała w moich uszach niczym ryk, a nieobecność tamtych ludzi była równie wyraźna jak ich obecność. Nie przypominało to wizji, nawet tych dotyczących Wybuchu. Raczej swego rodzaju powidok. Echo dzwonu słyszalne jeszcze na długo po tym, jak dzwon umilkł.

Z zaskoczeniem dostrzegłam, że Zoe i Kima sprawiają wrażenie całkowicie nieporuszonych. Oboje człapali znużonym krokiem pośród gruzów, a Kima raz za razem oglądał się za siebie, lecz widać było, że żadne z nich nie słyszy bezdźwięcznej kakofonii, która mnie osaczyła. Kima dostrzegł jednak, jak odruchowo i nieskutecznie próbuję zakryć rękami uszy. Podszedł do mnie, przestępując nad skrzyconym metalowym dźwigarem.

– Skoro byłaś w stanie wyczuć to miasto już z doliny, pewnie tutaj czujesz je jeszcze mocniej, co? – spytał.

Skinęłam głową, ale nic nie powiedziałam.

– To było dawno temu – dodał, biorąc mnie za rękę.

Ponownie kiwnęłam głową.

– Wiem. Ale oni nie wiedzą. Zupełnie jakby... – zerknęłam na Zoe, żeby upewnić się, że mnie nie usłyszysz – ...nikt im nie powiedział, że nie żyją.

Kima spuścił wzrok i przewrócił stopą bryłkę betonu, patrząc, jak wzbija się, a potem osiada szary pył.

– Nie musimy tędy iść – powiedział. – Możemy się cofnąć i obejść to miejsce.

Pokręciłam głową.

– Nie trzeba. Po prostu nie spodziewałam się, że to uczucie będzie aż tak silne.

Trzymając się za ręce, dogoniliśmy Zoe i podążyliśmy za nią przez ruiny. Momentami wyraźnie dało się dostrzec, któredy biegły kiedyś drogi, dzięki czemu wędrówka stawała się łatwiejsza. Często jednak szlak znikał pod gruzem i musieliśmy się przez niego przedzierać. Część budynków zapadła się do wnętrza piwnic i zostawiła po sobie wypełnione szczątkami leje. Przechodziliśmy mniej więcej przez centrum. Oczekiwałam, że ruiny wkrótce się skończą, ale miasto wydawało się ciągnąć w nieskończoność, więc po jakiejś godzinie usiedliśmy na kilku kamieniach pozostałych po niskim murze, żeby się napić.

– Dziwnie jest sobie uświadomić, że istnieje więcej miejsc takich jak to – stwierdził Kima.

– O wiele więcej – dodała Zoe. – Byłam w kilku z nich.

– Są równie wielkie? – spytał.

– Jeszcze większe. Na południowym wybrzeżu leży miasto, które musi być z dziesięć razy większe niż to. Znaczna jego część znajduje się obecnie pod wodą, ale nadal można ją zobaczyć, jeśli wsiądzie się do łodzi. A w czasie odpływu wysokie budynki sterczą z morza.

Zoe podała mi manierkę, lecz woda była ciepła i mało odświeżająca.

– Myślisz, że jest jakaś prawda w całym tym tabu? – spytał Kima.

– Wszystkie ruiny wyglądają dokładnie tak jak te. – Zoe przesunęła ręką wokół siebie. – Są nie tyle przerażające, ile bezużyteczne. Niewiele da się z nich ocalić. Promieniowanie i inne niebezpieczeństwa, przed którymi ostrzegają się ludzie, mogły kiedyś mieć znaczenie, ale to już przeszłość. – Cisnęła kamieniem w kawałek blachy do połowy zagrzebany w pyłe. Metal odpowiedział ospałym brzękiem. – Zostały tylko sterty gruzu – oznajmiła. – Ale ludzie boją się tych miejsc, bo symbolizują one Wybuch i to, co było przed nim.

– A co z maszynami? – spytałam.

– Żadna z nich już nie działa. Nawet gdyby udało się złożyć którąś do kupy, potrzebna byłaby Elektryka.

– Oni ją mają – powiedziałam. – Alfy z Wyndham. Była nie tylko w pomieszczeniu ze zbiornikami, lecz także nawet w mojej celi. W innych też, i w części korytarzy.

Opowiedziałam jej o szklanej kuli zwisającej z sufitu mojej celi, o której mówiłam wcześniej Kobziarzowi. O jej niewzruszonym chłodnym blasku.

Zoe pokiwała głową.

– Nie zaskakuje mnie to – odparła. – Gdyby ludzie się dowiedzieli, byłiby oburzeni, ale jestem przekonana, że radni od lat eksperymentują z Elektryką. Dziwię się, że nie posunęli się dalej. Podobno przed Wybuchem istniały rozmaite pojazdy, fruwające maszyny oraz inne rzeczy, które niektórzy członkowie Rady

chętnie zbudowaliby ponownie, o ile lud wyraziłby zgodę. Ale lęk przed Wybuchem zakorzenił się zbyt głęboko. Rada nie zaryzykowałaby kolejnych czystek.

Obróciłyśmy się jednocześnie w reakcji na zdławiony pisk metalu, który rozległ się, gdy Kima szarpnął zdezelowane drzwi prowadzące do wnętrza betonowej budowli, w większej części pogrzebanej w ziemi. Dłoń Zoe powędrowała do noży, lecz nie doszedł nas żaden inny dźwięk, tylko chmura pyłu uniosła się, a następnie opadając, namaszczała włosy, brwi i barki Kimy kredowym osadem.

Zoe obróciła się do mnie z westchnieniem.

– Mógłby narobić większego rabanu, gdybym tylko wręczyła mu bęben i trąbę – stwierdziła.

Ja jednak nie spuszczałam wzroku z Kimy, bo widziałam, jak zastyga w bezruchu. Jego przyprószona pyłem dłoń nadal zaciskała się na drzwiach. Nie drgnął nawet, gdy do niego podeszłam. Jakiś czas zajęło mi dostrzeżenie, w co się tak intensywnie wpatruje, zwłaszcza że Zoe, która do nas dołączyła, rzuciła cień na wejście. Kiedy zobaczyłam to co Kima, przez chwilę nie rozumiałam jego reakcji. Na pierwszy rzut oka zamontowana na ścianie szafka, od której odpadła lub została oderwana obudowa, sprawiała niewinne wrażenie. Z jej wnętrza wylewała się w mrok pomieszczenia masa przewodów o wyblakłych, lecz wciąż widocznych kolorach: czerwone, niebieskie, żółte. Niektóre były splątane, inne zwisały luźno. Nie był to dramatyczny widok: ot, kolejny śmieć pozostały po nieznanym nam świecie sprzed Wybuchu.

Wtedy jednak uświadomiłam sobie, że kable nie są mi do końca obce. Przypomniały mi się przewody ciągnące się wzdłuż ścian ponad zbiornikami. Gdzieś spętane razem lub też rozbiegające się niczym niezgrabne pnącza bluszczu. Kable, przewody, rurki. No i blizna na nadgarstku Kimy, idealnie okrągła i w dalszym ciągu widoczna w miejscu, w którym jedna z rurek wnikała w jego ciało.

Kiedy próbowałam odciągnąć go od drzwi, poczułam, że całe jego ciało stężało. Musiałam opleść go ramionami i wyciągnąć na światło słoneczne, a Zoe usunęła się nam z drogi. Obróciłam Kimę do siebie, żeby spojrzeć mu w twarz, nie wypuszczając go z uścisku, ale nadal wbijał wzrok w wejście. Nie powiedział ani słowa, a jego twarz pozbawiona była wyrazu.

– Zamknij je. Zamknij te cholerne drzwi! – zawołałam.

Zoe zareagowała błyskawicznie. Zza pleców dobiegł mnie pisk, a potem łomot zamykanych drzwi. Nie poruszyłam się ani nie odwróciłam wzroku od twarzy Kimy. Przypomniał mi się pierwszy raz, gdy ją ujrzałam. Jego oczy wpatrzone we mnie przez szkło zbiornika były bardziej ożywione niż teraz, gdy patrzył tępo ponad moim ramieniem. Staliśmy tak przez kilka minut, a on ani się

nie odezwał, ani nie poruszył.

Zoe przerwała ciszę:

– Za długo już jesteście na widoku. Jeśli zbiera mu się na załamanie nerwowe, będzie musiał się wstrzymać, dopóki nie znajdziemy jakiejś kryjówki.

Byłam jej wdzięczna, że nie zadawała żadnych pytań. Wspólnie po części poprowadziłyśmy, po części powłokłyśmy Kimę przez gruzowisko i w końcu znalazłyśmy schronienie we wnęce pomiędzy dwiema betonowymi płytami. Wokół nas, podobnie jak w pozostałych częściach miasta, rosły drobne rośliny. Na takiej wysokości nie przyjęłyby się potężne drzewa, ale ze szpar w betonie wysuwały się różnego rodzaju pnącza.

– Zechcesz mi wyjaśnić, co to miało znaczyć?

Pytanie Zoe skierowane zostało do mnie, ale odpowiedzi udzielił Kima:

– Te kable i cała reszta wyglądały tak samo jak w pomieszczeniu ze zbiornikami. – Spojrzał na nią pełnym skruchy wzrokiem. – Chyba nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś zobaczę coś takiego.

Zoe uniosła brew.

– Były identyczne? – spytała.

– Niezupełnie – odparłam. – Nie było tam zbiorników ani niczego, co by je przypominało. Ale takie same kable rozpięto w pomieszczeniu, w którym znalazłam Kimę.

Dziewczyna zmarszczyła nos.

– Kobziarz widział kiedyś grupę żołnierzy Rady w zakazanym mieście na zachodzie. Przeczesywali gruzy i wywozili coś stamtąd taczkami – oznajmiła.

– Ale zbiornik, w którym mnie znalazłaś... – odezwał się Kima. – Nigdy nie słyszałem o istnieniu czegoś podobnego przed Wybuchem.

– Nie twierdzą, że mieli wtedy takie same urządzenia. Ale co do technologii, z której korzystają Alfy, wystarczy się rozejrzeć – powiedziała Zoe. – To wszystko pochodzi sprzed Wybuchu. Rzeczy, o których Cass opowiedziała Kobziarzowi, takie jak zbiorniki, rurki, maszyny: czy ty naprawdę sądzisz, że Reformator i jego koleżcy z Rady zbili je na kowadle przy użyciu wiązki słomy? Daj spokój. Może i boją się jawnie o tym mówić, ale doskonałą te wynalazki od lat, a każdy z nich pochodzi sprzed Wybuchu.

– Przecież to oni narzucają tabu – zauważył Kima. – Skoro Rada chce korzystać z rzeczy pochodzących sprzed Wybuchu, dlaczego po prostu nie zmieni prawa?

Pokręciłam głową.

– Przypomnij sobie, co sam wcześniej mówiłeś na temat powodów, dla których nie chcesz wchodzić do zakazanych miast. Nie chodzi o prawo. Ludzie nie znoszą rzeczy kojarzących się z czasami sprzed Wybuchu. Nigdy nie zaakceptują niczego, co ma z nim coś wspólnego. Rada nie może sobie pozwolić, aby ludzie

dowiedzieli się, że używa tych rzeczy.

– Albo chce się upewnić, że nikt inny nie będzie z nich korzystał – dodała Zoe.

– Pewnie chodzi i o jedno, i o drugie – stwierdziłam.

Kima nadal był blady, ale Zoe nalegała, żebyśmy zbyt długo nie zwlekali. Gdy szliśmy po obrzeżach pogrążonego w niebycie miasta, niebo zaczęło blednąć, a ruiny rzucały długie poszarpane cienie.

– Jak daleko jeszcze do umówionego miejsca? – spytał Kima.

– Dotrzemy tam wieczorem, jeśli księżyc będzie świecił wystarczająco mocno – odparła Zoe.

Skinął głową. Zdawałam sobie sprawę, że pragnie odpocząć, odgrodzić się powiekami od świata, który zaatakował go wspomnieniem sali ze zbiornikami. Równie oczywiste było dla mnie jednak, że Zoe się nie zatrzyma. Bez względu na księżyc wiedziałam, że będziemy szli, aż dotrzemy do wyznaczonego miejsca spotkań. Próbowałam wymacać umysłem wskazówkę, która podpowiedziałyby mi, czy pojawi się tam Kobziarz, ale moje myśli w dalszym ciągu były zmaczone kontaktem z hałaśliwymi duchami oraz świadomością ręki Kimy ściskającej moją dłoń.

To jednak nie wszystko: wspomnienie przewodów i kabli, które wytrąciły go z równowagi, także mi nie dawało spokoju. Obojgu nam przypomniały one o istnieniu sali ze zbiornikami. Mnie skojarzyły się dodatkowo z drugim pomieszczeniem; tym, które przez ułamek sekundy widziałam w umyśle Spowiedniczki podczas naszego ostatniego dnia w Przechowalni. Gdy Kima zamarł na widok kabli, ponownie ujrzałam tamten pokój, tylko tym razem go rozpoznałam. Nie przewody pnące się po ścianach, lecz same ściany: precyzyjny kąt ich krzywizny. Byłam przekonana, że nigdy przedtem tam nie byłam. Ale miałam również pewność, że znałam je z zewnątrz. Stary silos, do którego chadzaliśmy z Zachem, gdy byliśmy dziećmi.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wspinaczka na górę była wyczerpująca, ale zejście z niej również stanowiło nie lada wyzwanie. Księżyc starał się, jak mógł, lecz po dotarciu do linii drzew szliśmy w ciemności, często się potykając. Zoe była pewna obranej przez siebie trasy – lub niecierpliwość odebrała jej rozagę – gdyż szybko i zdecydowanie prowadziła nas w dół. Martwiłam się, że Kima nie będzie w stanie maszerować zbyt długo, ale wyglądało na to, że odpowiada mu szaleńcze tempo marszu; konieczność dotrzymania nam kroku oraz przedzierania się między drzewami i gałkami skutecznie odwracała jego uwagę od innych kwestii. Kilka razy usłyszałam, że potknął się lub poślizgnął, kamienie rozleciały się na boki, a on sapnął, ocierając się o ziemię, albo wysunął rękę, żeby się czegoś przytrzymać.

Zoe zastygła w bezruchu, lecz w mroku nie dało się stwierdzić, że się zatrzymała, dopóki omal na nią nie wpadliśmy. Nie musiała nas uciszać; nagła, kompletna nieruchomość jej ciała stanowiła wystarczające ostrzeżenie. Cisza, jaka potem nastąpiła, uświadomiła mi dobitnie, jak głośno zachowywaliśmy się wcześniej.

Co gorsza, zdałam sobie sprawę, że nie tylko my przyczailiśmy się w mroku. Po naszej lewej stronie, pośród głębokiej nocnej czerni, coś poruszyło się między drzewami, zamarło, a potem poruszyło raz jeszcze. Ów dzień przepełniony był tak różnorodnymi lękami, że nie potrafiłam już nawet stwierdzić, czego bałam się bardziej: ścigających nas Alf czy hałaśliwych zmarłych z zakazanego miasta, którzy jakimś cudem ożyli w ciemnościach. Stojący obok mnie Kima wstrzymał oddech. W równej mierze poczułam i zobaczyłam, że Zoe wolno unosi ramię i wskazuje kciukiem za siebie. Zrobiłam krok do tyłu, a Kima poszedł w moje ślady. Wpatrywałam się w dłoń dziewczyny. W świetle księżyca dostrzegłam zarys wzniesionego do rzutu noża.

– Poczekaj. – Mój głos zszokował mnie w równym stopniu co moich towarzyszy. Ta myśl pojawiła się tak gwałtownie, że nie zdążyłam się nad nią zastanowić. – To Kobziarz – oznajmiłam.

Postać, którą dzieliło od nas zaledwie kilka metrów, ruszyła przed siebie i zanim wyłoniła się z kompletnego mroku, rozpoznaliśmy jej głos.

– Zakładam, że sprawdziłaby, do kogo mierzy, przed wypuszczeniem noża z dłoni – powiedział Kobziarz.

– Nie liczyłabym na to – odparła Zoe. – Mogłeś zabić nas oboje, tak się skradając.

Ruszyła ku niemu. Nie objęli się ani nawet nie dotknęli, lecz nawet w prawie zupełnym mroku poczułam, że powinnam odwrócić wzrok.

Trwało to tylko kilka chwil. Stałam z twarzą odwróconą ku Kimie, trzymając go za rękę, aż usłyszałam, że Kobziarz idzie w naszym kierunku. Wyciągnął rękę

i przyłożył mi dłoń do policzka, a ja odwróciłam się do niego. Było zbyt ciemno, żeby wyraźnie widzieć jego twarz, ale czułam, że uważnie mi się przygląda. Przypatrywał mi się z uwagą kochanka. Albo kupca na targu badającego towar pod kątem ukrytych wad. Przesunął kciukiem po mojej kości policzkowej, mocno przyciskając go do skóry, jakby chciał się upewnić, że niczego mi nie brakuje. Gdy w końcu wypuścił powietrze z płuc, poczułam na policzku jego ciepły oddech.

Kobziarz nie odrywał wzroku od mojej twarzy.

– Dziękuję za opiekę nad nią – powiedział.

– Tak naprawdę nie musiałem nic robić – odparł Kima.

– Mówiłem do mojej siostry. – Kobziarz opuścił dłoń i obrócił się do Kimy.

– Ale widzę, że ty też wyszedłeś z tego cało.

– Nie spodziewałem się, że to ciebie uznam za bardziej czarującą połówkę waszej rodziny – powiedział Kima do Zoe, która do nas podeszła.

Dziewczyna zignorowała go i zwróciła się do brata:

– Opowiedz, co wydarzyło się na Wyspie.

Kobziarz pokręcił głową.

– Nie teraz. Musimy ruszać w dalszą drogę. Nie tylko mnie mogło się udać was znaleźć.

Zoe skinęła głową.

– I tak już prawie dotarliśmy do miejsca spotkań. Możemy zatrzymać się tam na noc.

Rodzeństwo jednocześnie ruszyło przed siebie, a Kima i ja podążyliśmy za nimi.

– Pierwszy raz widzę coś takiego – wyznał mi szeptem.

– Co?

– Bliźnięta, razem.

Wiedziałam, co ma na myśli. Mnie też hipnotyzował widok idącej przed nami pary: symetria ich ruchów, identyczne tempo. Mogliby nawzajem pełnić funkcję swoich cieni.

Po niecałej półgodzinie, gdy zbocze zrobiło się bardziej strome i skaliste, Zoe i Kobziarz skręcili ostro na południe i ruszyli po grani wznoszącej się po prawej stronie. Wejście do jaskini okazało się dobrze zakryte bluszczem i niskimi krzewami. Kiedy Zoe odsunęła pnącza i wcisnęliśmy się do środka, ona i jej brat musieli stać przygarbieni, ale miejsca wystarczyło, byśmy we czwórkę mogli się ułożyć na ziemi.

Ciemność, jaka tam panowała, wydawała się potęgować każdy dźwięk. Gdy przed ułożeniem się z Kimą na podłodze jaskini wymiataliśmy spod siebie kamyki i trzepaliśmy koc, słyszałam każdy ruch Zoe i Kobziarza, którzy robili dokładnie to samo. W zamkniętej przestrzeni wyraźnie czuć było smród wilgoci i przypalonej wełny bijący od naszego koca. Bałam się, że mój własny zapach może być równie

mocno wyczuwalny. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni porządnie się myłam. Nawet od pospiesznego przepłukania się w rzece minęło już kilka dni. Na twarzy Kimy w świetle dziennym widać było warstewkę brudu, ciemniejszą w zmarszczkach wokół oczu i na szyi.

Rodzeństwo szybko ułożyło się na ziemi, wyraźnie nawykłe do tego miejsca. Zrozumiałam, skąd wzięło się upodobanie Kobziarza do niewielkiego pokoiku na Wyspie oraz cienkiego zwijanego materaca.

– Opowiedz nam, jak się wszystko potoczyło – poprosiłam.

– Nie wolałabyś się zdrzemnąć, zamiast wysłuchiwać wszystkich tych szczegółów? – spytał cichym, wymęczonym głosem.

– Jeśli zasnę, i tak mi się przyśnią – odparłam.

– W takim razie lepiej nam wszystko opowiedz – stwierdziła Zoe z westchnieniem. – Jeżeli po raz kolejny ukaże jej się coś we śnie, żadne z nas nie zmruży oka.

– No dobrze. – Kobziarz zrobił dłuższą pauzę. – Cóż, pod pewnym względem poszło nam lepiej, niż przewidziałaś. Jeśli wziąć pod uwagę liczbę uratowanych, udało nam się bezpiecznie ewakuować drugą część ludności.

– A pod innymi względami? – spytałam.

– Gorzej, bez wątplenia. Ze względu na to, jaki los spotkał tych, których schwytano.

– Ale gdy byliśmy na Wyspie, z tego, co widzieliśmy, głównie brali jeńców. Kontrolowali się.

– Tak, wiem. – Kobziarz zmienił pozycję na kamiennej podłodze. – Starali się nie zabijać, przynajmniej na początku. Po zdobyciu zewnętrznych murów fortu zapędzili wszystkich jeńców na dziedziniec. Musieliśmy się wycofać na wyższe kondygnacje. Stałem na murach. Wszystko widziałem. Związali ich, nawet rannych. Jednego po drugim wyszukiwali na liście. Wypatrywali określonych cech. Niektórych przesuwali na bok, a potem zabierali na pokład statku. Innych mordowali na miejscu. Podrzynali im kolejno gardła, podczas gdy reszta czekała na swoją kolej, a obok przechodziła kobieta z listą i poddawała ich kontroli.

Ujrzałam to tak, jak opisywał. Pierwszej nocy po powrocie na stały ląd zobaczyłam pojedyncze sceny tuż przed tym, jak zbudziłam Kimę krzykiem. Ale, podobnie jak miało to miejsce w przypadku większości moich wizji, była to tylko seria niewyraźnych wrażeń. Teraz jednak słowa Kobziarza utrwaliły to, co wtedy widziałam, a bezbarwne, rozmyte sekwencje pojedynczych chwil nabrały kolorów.

– Skąd niby mieliby wiedzieć, kto jest kim? – spytała Zoe. – Albo kto jest czym bliźniakiem? Przecież na Wyspie nie prowadziliście rejestracji.

– Nie wolno ci nie doceniać posiadanych przez nich informacji – odparł Kobziarz. – Od dawna podejrzewaliśmy, że mogą pracować nad listą osób podejrzewanych o pobyt na Wyspie. W dzisiejszych czasach Omegi poddawane są

tak wnikliwemu nadzorowi, że coraz trudniej jest tak po prostu zniknąć. Ale to nie w ten sposób ustalali, kogo należy zabić. A przynajmniej nie tylko w ten sposób.

– Ta kobieta z listą – powiedziałam, obserwując scenę rozgrywającą się pod moimi powiekami. – To była ona.

– Z murów nie byłem w stanie dojrzeć jej piętna, ale to musiała być Spowiedniczka – przytaknął Kobziarz. – Dało się to poznać po tym, z jakim dystansem traktowali ją żołnierze. To nie była Alfa. Ale mimo wszystko wykonywali jej rozkazy. Odszukiwała imiona jeńców na liście, ale często pochyłała się ku nim albo kładła im dłoń na głowach i wystarczyło, że kiwnęła, a żołnierze podchodzili i podrzynali im gardła.

Wszystko widziałam. Te skinienia głową były w jakiś sposób jeszcze bardziej brutalne niż kontakt ostrza z ciałem. Robiła to z dużą nonszalancją – prawie niedostrzegalnie dawała znaki czekającym żołnierzom, a następnie podchodziła do kolejnych więźniów.

Zoe odezwała się pierwsza:

– Ile osób uciekło z Wyspy?

– Ponad dwie trzecie odpłynęło bez problemu. Wszystkie dzieci i prawie wszyscy cywile. Ale drugi kurs przebiegał w zbyt dużym pośpiechu, a łodzie były przeładowane. Jeden ze statków zatonął na rafie. Udało nam się ocalić trzy osoby przy użyciu dziecięcych żaglówek, które ukryliśmy później w jaskiniach. – Zaśmiała się gorzko. – Nie na wiele się to jednak zdało, bo cała trójka wróciła na Wyspę, którą tej samej nocy zaatakowały Alfy.

Zapadła cisza, a wspomnienia bitwy zaczęły się wyświetlać w mojej głowie z taką wyrazistością, że znowu poczułam zapach krwi i wina. Wiedziałam, że Kobziarz i Kima także wracają pamięcią do tamtych chwil.

– Widziałas początek bitwy – powiedział Kobziarz. – Po waszym odejściu wszystko potoczyło się mniej więcej tak, jak ostrzegałaś. Tunel północny straciliśmy tuż po wybiciu dwunastej, ale kawałek dalej ustawiliśmy barykady. Opanowali całą kalderę. Dużą część walk toczono na ulicach, na krótki dystans. Ale Alfy były niezwykle ostrożne. Nie zabijały jak popadnie. Często wykorzystywały ogień, żeby wypłoszyć ludzi z budynków.

– I jaki był koniec? – nieustępliwie dociekała Zoe.

– Pokonali nas. Po jakimś czasie stało się jasne, że nie ma już czego bronić. Spalili miasto, zablokowali tunele. Wdarli się do fortu przez główną bramę, my kontrolowaliśmy już tylko górne kondygnacje. Kiedy dokonali rzezi na większości jeńców zgromadzonych na dziedzińcu, zostało nas około dziewięćdziesięciu, żywych i wolnych, przeciwko sześciu setkom żołnierzy Rady. Nie udało by nam się ująć z fortu z życiem, gdyby nie zabijali tak ostrożnie. Nigdy nie sądziłem, że mógłbym być za cokolwiek wdzięczny Spowiedniczce. – Przydomek kobiety wypowiedział z odrazą. – Nie zabijali jednak nikogo, jeśli nie było to konieczne,

przynajmniej dopóki jeńcy nie zostali związani i poddani jej kontroli. Tak więc, gdy wyrwaliśmy się z fortu pod osłoną nocy, już się hamowali. Dym też przyszedł nam z pomocą, bo do tamtej pory zdążyli już spalić pół miasta. Ale wydawało im się, że mają nas w potrzasku. Nie wiedzieli o łodziach ukrytych w jaskiniach, więc po tym, jak wspięliśmy się na krawędź krateru, przegrupowali się, aby bronić portu. Gdy ruszyliśmy na wschodni kraniec Wyspy, sądzili pewnie, że zamierzamy uciekać wpław. – Ponownie zaśmiał się ponuro. – Żadni z nich żeglarze, to akurat rzecz pewna. Kiedy wpłynęliśmy tratwami i kajakami na rafę, ich wielkie okręty nie mogły się do nas zbliżyć, i spora liczba ich łodzi zatoneła, próbując nas ścigać. Nie mogli nas jednak schwytać, mimo że nasze łajby były wprost niedorzeczne. Nigdy nie widzieliście równie obdarłej floty, a nam nigdy nie udało się dotrzeć nią na stały ląd. Znamy jednak rafę jak własną kieszeń, a oni nie potrafili pokonać jej po ciemku. Zresztą ich zakotwiczona flotylla prawie kompletnie pozbawiona była załogi, z wyjątkiem statku z więźniami. Wdarliśmy się więc na pokład dwóch okrętów, zanim zorientowali się, co jest grane. Inne zaś nie miały wystarczająco dużo ludzi, by udać się za nami w pościg. Myślę jednak, że do tamtej pory już się zorientowali, iż nie znajdą tego, na czym im zależało.

– Skąd mogli wiedzieć? – spytał Kima.

– Od Spowiedniczki – wyjaśniłam. – Jestem pewna, że to wyczuła.

– Możliwe – odparł Kobziarz. – Ale nie była im do tego potrzebna.

Wystarczyło, że spytali.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteście w tak zażyłych relacjach – mruknął Kima, ale Kobziarz go zignorował.

– Po zapędzeniu jeńców na dziedziniec, zanim żołnierze zaczęli ich zabijać, krzyczeli do nas z dołu.

Zapadła cisza, a ja dokładnie wiedziałam, co za chwilę powie.

– Wołali, że ich oszczędzą, jeśli im was oddamy.

Poczułam na ramieniu przyspieszony oddech Kimy. Zamknęłam oczy, ale ciemność, którą ujrzałam, niczego nie zmieniła.

Zbudziłam się wcześniej, zaskoczona że w ogóle udało mi się zasnąć. Nie miałam ochoty rozmawiać z innymi, więc z ulgą przyjąłam ciszę panującą w jaskini, w której słychać było jedynie oddechy śpiących. Jednak po przecięciu się przez wilgotne od rosy pnąca zagrządzające wejście ujrzałam Kobziarza metodycznymi ruchami ostrzającego nóż o kamień, na którym siedział.

Od opuszczenia Wyspy nie patrzyłam na niego w świetle dziennym. Już prawie świtało, więc było wystarczająco jasno, żeby dostrzec jego rany: jedno z oczu półprzymknięte pod naporem potężnej opuchlizny oraz długie rozcięcie na ramieniu.

– Nie jest tak źle, jak mogłoby się wydawać. Zoe prawie nic nie czuła – powiedział. – A oko podbiłem przez przypadek: dostałem wiosłem w twarz, gdy wyciągaliśmy łódki z jaskiń.

– Nie musisz mnie okłamywać – odparłam.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się półgębkiem.

– Najwyraźniej nie ma to większego sensu. – Przytknął palce do krawędzi opuchlizny. – Oboje wiedzieliśmy, że pozwolenie wam na ucieczkę wiąże się z ryzykiem. Gdy opowiedziałem Zgromadzeniu o tym, co zrobiłem, kilku jego członków dało mi do zrozumienia, co o tym myślą. To Simonowi zawdzięczam to limo.

– Przykro mi – powiedziałam. – A zatem to koniec ruchu oporu?

Wzruszył ramionami.

– Koniec mojego przywództwa. Ale to bez znaczenia. Nadal będę działał, jeśli ostaną się jakiegokolwiek szczątki ruchu.

– Ale tego – stwierdziłam, wskazując na ranę na jego ramieniu – nie zrobił nikt ze Zgromadzenia.

Nachyliłam się bliżej. Rozcięcie zszyto, aczkolwiek niezdarnie.

– Nie, to prezent od żołnierza Rady. – Podążył oczami za moim wzrokiem. – Wiem, że nie wygląda zbyt pięknie. Na swoją obronę powiem, że szwy zakładała jednoreka kobieta w rozbujaney łodzi.

Parsknęłam śmiechem, a on zrobił dla mnie miejsce na płaskim kamieniu.

– Wybacz – powiedziałam. – Kto jak kto, ale ja nie powinnam się śmiać.

Kobziarz przyjrzał mi się uważnie. Speszyla mnie bliskość jego twarzy. Byłam w stanie dostrzec pojedyncze włoski jego zarostu. Gdy spuściłam wzrok, zauważyłam, jak skóra jego ramienia marszczy się wokół każdego szwu.

– Niewiele spałaś tej nocy, co? – spytał.

Pokręciłam głową.

– No ale nawet w najlepszych momentach niewiele śpiam. – Zrobiłam dłuższą pauzę. – Te inne osoby, które uciekły z tobą z Wyspy... co się z nimi stało?

– Rozdzieliliśmy się – odparł. – Oba statki dobiły do brzegu w innych punktach. Reszta załogi mojej łodzi udała się na wschód. Ale wraz z tymi, którzy wymknęli się wcześniej, nasza siatka będzie przeciążona. Jeśli udało im się bezpiecznie dopłynąć na stały ląd i zagłębić w nim, to kryjówki są przeładowane ludźmi. Jestem pewien, że nie byłem jedynym wyspiarzem, który zeszłej nocy spał w kiepskich warunkach.

– A ilu zostało...? – urwałam, bojąc się odpowiedzi.

– Zabitych? Jakies cztery setki na Wyspie: część w walkach, ale większość stracono na dziedzińcu. Garstkę, może z piętnaście osób, wzięto do niewoli. Co do reszty, wszystko zależy do tego, czy udało im się bezpiecznie dobić do brzegu.

Trzydziestu ludzi straciliśmy, kiedy łódź zatonięła na rafie, a o losie pozostałych dowiemy się dopiero za kilka tygodni.

Poczułam, że znów mi się przygląda.

– To była moja decyzja, a nie twoja, Cass – oznajmił. – Nie musiałem puszczać was wolno.

Skinęłam głową, lecz nie podniosłam wzroku.

– Uważasz, że źle zrobiłem? – spytał.

Nie byłam w stanie się odezwać. Mogłam co najwyżej oddychać. Zabrakło mi słów.

– Moim zdaniem podjąłem dobrą decyzję, choć może ze złych powodów. Naprawdę uważam, że jesteś nam potrzebna, że możesz się stać potężną bronią w rękach ruchu oporu. Ale nie o to mi chodziło, a raczej nie tylko o to. – Zamilkł. – Pamiętasz, jak stwierdziłem na tarasie, że nie wiem, gdzie kończy się rola, jaką odgrywam na Wyspie, a gdzie zaczyna prawdziwe życie? – spytał.

Skinęłam głową.

– Odpowiedź poznałem, gdy Zgromadzenie postanowiło przekazać cię w ręce Rady. Zrobiłem to, co należało, ale nie z myślą o Wyspie. A moja decyzja została okupiona życiem wielu ludzi.

Wiedziałam, że gdy to mówił, raz jeszcze miał przed oczami krew krzepnącą na bruku. Patrzył mi prosto w oczy bez skrępowania. Zdawał sobie sprawę, że widziałam to co on, że w wizjach ukazała mi się Spowiedniczka dyrygująca całą tą masakrą. To nas jednocześnie zbliżyło i oddaliło. Bez względu na to, co myślał lub na co liczył, podejmując tę decyzję, krwi przelanej na dziedzińcu nie dało się już wymazać z pamięci. Bez względu na targające nim emocje tamta krew nadawała im zbyt wiele powagi, a zarazem zbyt wiele trywialności.

– Już po wszystkim – stwierdził Kobziarz.

W koronach górujących nad nami drzew pierwsze ptaki zaczęły przyzywać słońce. Przypomniała mi się opowieść, którą słyszałam w osadzie: gdy wydarzył się Wybuch, wszystkie lecące akurat ptaki, które nie zginęły, straciły wzrok. Próbowałam to sobie zobrazować. Nie będąc w stanie wylądować, leciały tak długo, aż spadły. Wyobraziłam sobie ten ślepy, niepowstrzymany upadek.

– Zoe uważa, że uciekasz ze strachu – oznajmił Kobziarz.

– No tak – odparłam. – To znaczy, że się boję.

– Ale już nie uciekasz?

– Nie.

Ucieczka przestała mieć sens. Nawet największa odległość nie oddzieliłaby mnie bowiem od wiedzy o tym, co stało się na Wyspie. A o bezpieczeństwie mogłam już tylko pomarzyć.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Gdy z jaskini wynurzyła się pozostała dwójka, rozpaliliśmy niewielkie ognisko i zjedliśmy śniadanie.

– Co teraz? – spytała Zoe, a ja ze zdziwieniem stwierdziłam, że zwraca się do mnie, nie do Kobziarza.

– Musimy ruszyć w kierunku Wyndham – odparłam. – Pora odpowiedzieć ciosem na cios.

– Do tej pory niezbyt dobrze nam to wychodziło – westchnął Kima. – Ostatnie kilka miesięcy spędziliśmy, starając się jak najbardziej oddalić od tego miejsca. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś zobaczę zbiorniki.

– Nie zobaczysz – zapewniłam go pośpiesznie.

– Nigdzie beze mnie nie idziesz – stwierdził Kima, zerkając to na Kobziarza, to na mnie.

– Oczywiście, że nie. Może i powinnam się udać w heroiczną samotną misję, ale jakoś nie wpadłam na ten pomysł. W każdym razie nie pójdziemy do zbiorników.

– To na czym polega twój plan? – Kobziarz i Zoe wyglądali na równie zbitych z tropu co Kima.

– Sam pomysł – zwróciłam się do tego ostatniego. – Spośród wszystkich osób zamkniętych w zbiornikach tylko ty byłeś przytomny. Wydostaliśmy cię stamtąd, ale tylko łut szczęścia albo zdolności wizjonerskie pozwoliły mi cię znaleźć. Co do innych nie wiemy, w jakim są stanie. Zresztą z pewnością zwiększyli ochronę, jak tylko stamtąd uciekliśmy. Nie możemy tam wrócić.

– Chcesz zatem zostawić tam tych wszystkich ludzi? – spytał.

Pokręciłam głową.

– Opowiadałeś mi wcześniej, że w zbiorniku byłeś świadomy. Widziałeś innych uwięzionych i pojemniki stojące najbliżej. Przyglądałeś się im nie wiadomo od jak dawna, może od lat. Ale nigdy nie wspomniałeś o nikim, kto spojrzałby na ciebie.

Kima spuścił wzrok.

– Budziłem się i zasypiałem. Mogłem coś przegapić.

Zoe wydobyła z noża, którym grzebała pod paznokciami, zniecierpliwione brzdęknięcie. Zignorowałam ją.

– Złożyłaś przysięgę temu facetowi z Wyspy – przypomniał Kima. – Obiecałaś, że zrobisz, co w twojej mocy, żeby pomóc tamtym ludziom.

– Lewisowi. Tak, wiem. A ty stwierdziłeś wtedy, że to głupota. Posłuchaj, chcę ich stamtąd uwolnić, co do jednego. Ale nawet gdyby udało nam się wdrzeć do środka, nie wiemy, czy bylibyśmy w stanie wydostać ich żywych. Mogą się okazać słabsi od ciebie.

Kobziarz i Zoe jednocześnie prychnęli z pogardą.

– Mogliby zginąć i oni, i ich bliźniacy. A nawet jeśli przetrwaliby opuszczenie zbiorników, jak niby mielibyśmy wywieźć ich z samego serca Wyndham, gdzie aż roi się od uzbrojonych strażników? Nie potrafię odnajdywać ukrytej trasy ucieczki za każdym razem, gdy jej potrzebujemy, i naprawdę wątpię, by mi się to udało, zwłaszcza gdybyśmy wlekli ze sobą setki półżywych nieboraków cierpiących na zaniki pamięci.

– Wcale nie muszą mieć problemów z pamięcią – zaznaczył Kima.

– Właśnie – zgodziłam się. – Ich reakcja na pobyt w zbiornikach może się różnić od twojej. Próbuję ci to wytłumaczyć. Nie mogę ryzykować, skoro nie mam pewności, że da się wyciągnąć ich stamtąd żywych.

– I utrzymać przy życiu – dodał Kobziarz. – Wcześniej moglibyśmy skorzystać z siatki kryjówek, ukryć ich, a może nawet wywieźć na Wyspę. Teraz to jednak nie wchodzi w rachubę. Wyspa przepadła, a siatka ruchu oporu pogrążyła się w zamęcie.

Kima nie spuszczał oczu z mojej twarzy.

– A więc zostawimy ich tam? – spytał.

– Nie mamy wyboru. Przynajmniej na razie – odparłam.

– Na tym właśnie polega twój wielki plan? – zdziwiła się Zoe. – Na nieatakowaniu kompleksu ze zbiornikami?

– Gdyby to było takie proste... – westchnęłam. – Wydaje mi się, że istnieje inny cel, równie ważny, z którym wiąże się mniejsze ryzyko śmierci kolejnych osób.

– Skoro śmierć nie jest przeszkodą dla nich, nie może być i dla nas – wtrącił Kobziarz.

– Na tym właśnie polega problem – warknęłam. – Oni kontra my. Dlaczego nie potrafisz zrozumieć, że wszystko jedno, kto ginie, bo i tak umiera dwójka osób? Różnica polega na tym, że tylko w jedną z nich wbijasz swój nożyk.

– Nasze „nożyki” już nieraz ocaliły wam tyłki – zauważyła Zoe. – Nie obarczaj nas winą za coś, na co sama nie jesteś w stanie się zdobyć.

Kręcąc głową, podjęłam jeszcze jedną próbę:

– Istnieje cel, którego nikt nie pilnuje. Albo prawie nikt. Uświadomiły mi to kable w zakazanym mieście, na które natknął się Kima. Przypomniałam sobie o pomieszczeniu, które widziałam przez chwilę w głowie Spowiedniczki. Jest dla niej ważne do tego stopnia, że wpadła w panikę, gdy je zobaczyłam.

– To jakaś broń? Bomba? – spytała Zoe.

– W pewnym sensie to coś jeszcze gorszego. To tam przechowują wszystkie sparowane imiona.

– Dane z rejestracji? – spytał Kobziarz, unosząc głowę.

– No i co z tego? Ludzie i tak wiedzą, kim jest ich rodzeństwo. Nawet ci,

których rozdzielono w młodym wieku. On jest jedyną znaną mi osobą, która tego nie wie – powiedziała Zoe, wskazując na Kimę. – A nie do końca można go uznać za normalnego.

– Zgadza się, większość ludzi wie – odparłam. – Ale wielu nie ma pojęcia, co dzieje się z ich bliźniakami po rozdzieleniu. Wiedzą tylko, co widnieje w dokumentach rejestracyjnych: imię i miejsce urodzenia bliźniaka. Jednak nawet jeśli ludzie znalazłyby każdy szczegół dotyczący siostry lub brata, to nie to samo, co gdyby tę wiedzę posiadała Rada. – Obróciłam się do Kimy. – Widziałeś, co zrobili z mężczyzną z Nowego Hobartu tylko dlatego, że się nie zarejestrował. Jak myślisz, czemu to dla nich takie ważne?

– Od kilku lat dociera do nas coraz więcej doniesień na ten temat – przyznał Kobziarz. – Alfy są bezwzględne, jeśli chodzi o egzekwowanie przepisów dotyczących rejestracji. Traktują je z jeszcze większą surowością niż obowiązek płacenia dziesięciny.

– Nadal nie rozumiem, w jaki sposób kilka papierków może zagrozić nam bardziej niż zbiorniki – stwierdził Kima.

– Nie chodzi o kilka papierków, tylko o ich miliony, które stanowią także źródło innych informacji – odpowiedziałam. – Jak ci się wydaje, w jaki sposób wybierają osoby, które mają trafić do zbiorników? Albo jak namierzają osoby takie jak ja, mające wpływowych bliźniaków?

– No i lista, z której korzystała Spowiedniczka, gdy decydowała, kto zginie, a kto zostanie uprowadzony – dodał Kobziarz.

– Z tego, co słyszałam, wybór zależał raczej od Spowiedniczki, nie od listy – zauważyła Zoe.

– Jej rola jest niezwykle istotna – przyznałam. – Jakimś cudem udało jej się znaleźć w samym środku tego wszystkiego. Dlatego była tak bardzo zszokowana, gdy zobaczyłam tamtą komnatę. To miejsce jest jej bliskie. Zarówno ona, jak i obowiązek rejestracji, lista i pomieszczenie, które dojrzałam w jej umyśle, to części tej samej układanki. Alfy są w posiadaniu wszelkich możliwych informacji i wykorzystują je, by nami manipulować. Wiedzą o tobie wszystko: co zrobiłeś, kim jesteś, kim jest twoja bliźniaczka, i wykorzystają te dane w sposób, jaki uznają za stosowny.

– Ale w jaki sposób są w stanie z nich korzystać? – spytała Zoe. – Sama stwierdziłaś, że muszą ich być miliony. Jakim cudem się w tym wszystkim nie gubią?

– Dzięki maszynom – wyjaśniłam. – To właśnie je widziałam w tamtej komnacie: przewody, metalowe skrzynie. Używają maszyn do przetwarzania informacji. Mogliby to robić na papierze, przez wiele lat dawali sobie w ten sposób radę. Ale technologia pozwala im na osiągnięcie nieskończenie większej wydajności. Jeszcze więcej danych gromadzonych w jeszcze szybszym tempie. To

śmiertelne zagrożenie. Od dawna ludzie żyją w panicznym lęku przed użyciem maszyn sprzed Wybuchu, bo boją się kolejnej eksplozji. A okazuje się, że wystarczy korzystać tylko z informacji. Niczego więcej nie potrzeba.

– Nieprawda – sprzeciwił się Kima. – A co z technologią zastosowaną w pomieszczeniu ze zbiornikami? Z tymi wszystkimi urządzeniami? Uważasz je za nieistotne?

– Oczywiście, że nie – odparłam, biorąc go za rękę. – Ale jak myślisz, skąd biorą informacje o tym, kogo należy wsadzić do zbiornika, a kogo poddać eksperymentom? Dane stanowią fundament, na którym budowane jest wszystko inne. Nawet gdyby nie mieli do dyspozycji zbiorników, wsadziliby cię do jakiejś celi.

– To nie to samo.

– Zgadza się. Wiem. I pewnego dnia, jeżeli w porę ich nie powstrzymamy, pozamykają w zbiornikach wszystkich jak leci. Ale na razie daleko im do tego. I na chwilę obecną mogą polegać tylko na informacjach, które mają. To z nich korzystają za każdym razem, gdy podejmują decyzję o tym, kto umrze, a kto ujdzie z życiem. Kto może chodzić wolno, a kto zostanie wychłostany, uwięziony lub zamknięty w zbiorniku. – Przysunęłam się do jego twarzy na tyle blisko, że widziałam drobne ciemnobrązowe plamki na jego tęczówkach oraz pulsowanie rozszerzonych źrenic. – Gdyby nie znali sparowanych imion, nie wiedzieliby, kogo ścigać ani gdzie znaleźć daną osobę. To źródło wszelkiego zła.

– Wydawało mi się, że to twój bliźniak jest źródłem wszelkiego zła – mruknęła Zoe.

– To prawda. Nie przeczę temu. On i Spowiedniczka. I inni, na przykład Pani Generał. Ale to informacje pozwoliły im dopuścić się tych wszystkich rzeczy. I wiem, gdzie je znaleźć.

Powrót na peryferie Wyndham zajął nam dwa tygodnie intensywnej podróży. Gdy uciekliśmy stamtąd z Kimą, przez kilka tygodni poruszaliśmy się na południowy zachód, omijając dzielące region na pół Góry Grzbietowe, ciągnące się z północy na południe, a kończące trzęsawiskami sąsiadującymi z Nowym Hobartem. Jednak tym razem dobiliśmy do stałego lądu wysoko na zachodnim wybrzeżu i pokonaliśmy Góry Grzbietowe w towarzystwie Zoe, więc droga z jaskini do Wyndham prowadziła niemal prosto na wschód.

Podróżowaliśmy głównie w nocy, chociaż na równinach rozciągających się na wschód od gór odważyliśmy się też na wędrówkę za dnia, a spaliśmy tylko po kilka godzin na dobę, aż wreszcie natknęliśmy się na jakieś schronienie. Nawet wtedy jednak staliśmy na zmianę na czatach. Z trudem udawało nam się z Kimą utrzymać niezmordowane tempo, ale tym razem – w przeciwieństwie do czasu,

który spędziliśmy, podróżując we dwoje – nigdy nie doskwierał nam głód. Zoe i Kobziarz łapali ptaki, króliki, a pewnego ranka upolowali nawet węża, którego odważył się zjeść tylko Kobziarz, a później zarzekał się, że był pyszny. Ale nawet z pełnym żołądkiem marsz był wyczerpujący, a na spalonych słońcem równinach problemem okazało się pragnienie. Zoe i Kobziarz na zmianę wypuszczali się na rekonesans, a ja doprowadziłam nas do kilku źródełek, w których mogliśmy napełnić manierki. Niewiele do siebie mówiliśmy, nawet po ułożeniu się do snu. Przypominało to delirium towarzyszące pierwszym kilku dniom po ucieczce z Kimą: pobudka, marsz, sen, pobudka, marsz. Widziałam, jak bardzo jest zmęczony. W nocy, gdy leżeliśmy przyciśnięci do siebie plecami, jego kręgosłup wbijał się w mój. Żadne z nas nie chciało jednak, byśmy zwolnili. Nasza podróż nabrała impetu oraz sensu, których wcześniej nam brakowało. Przypomniało mi się, jak parę miesięcy temu Kima stwierdził, że „daleko stąd” to nie jest żaden konkretny cel. Teraz natomiast mieliśmy cel, choć nikt nie wiedział, co nas tam czeka.

Mimo to jednak Kima zachowywał się nerwowo. Mało się odzywał, nawet w nocy, gdy leżeliśmy z dala od Kobziarza i Zoe. Z początku sądziłam, że jego milczenie może być wynikiem przemęczenia. Ale już nieraz bywaliśmy wyczerpani – przebyliśmy przecież cały kraj, uciekając przed pościgiem – a on nigdy nie zachowywał się aż tak cicho.

Ta małomówność, którą Kima dźwigał na barkach niczym balast, towarzyszyła mu od pobytu w zakazanym mieście na czubku góry. Przewody, które tam ujrzał, przeniosły go w czasie do pobytu w zbiorniku i jeszcze się z tego nie otrząsnął. Być może, chociaż spędziliśmy już ze sobą kilka miesięcy, nie doceniałam wpływu, jaki wywarły na nim zbiorniki. Jego dowcipne odzywki i krzywy uśmiech sprawiały, że z łatwością zapomniałam, przez co przeszedł. Jego fizyczna rekonwalescencja przebiegła sprawnie. Ciało Kimy było obecnie szczupłe, acz silne, a ruchy w niewielkim tylko stopniu charakteryzowała uprzednia niezdarność. Jednak szczera panika, jaka ogarnęła go w ruinach na szczycie góry, przypomniła mi, że jakaś jego część nadal jest uszkodzona. I żadne spędzone razem dni i noce nie mogą jej naprawić.

Pewnego ranka spytał mnie szeptem tak cichym, że ledwo usłyszałam go w półśnie:

– A co, jeśli wszystko mi się przypomni i wcale mi się to nie spodoba?

Przetoczyłam się na bok i przytuliłam do niego. Serce Kimy tłukło się pod moją dłoń niczym schwytyany ptak.

– Co, jeśli wcale nie jestem dobrą osobą? – pytał dalej. – Co, jeśli przypomnę sobie, kim jestem, ale nie będę chciał być tym kimś?

– A przypomniało ci się coś?

Poczułam, że kręci głową.

– Nie. Lecz od początku zakładaliśmy, że odzyskanie wspomnień byłoby dla mnie czymś dobrym. Co, jeśli to nieprawda?

Powolnym ruchem poklepałam go po piersi, zachęcając tętno do utrzymania rytmu narzuconego przez moją dłoń. Tak wiele razy budziłam się z krzykiem, a on poklepywał mnie po plecach takim samym ruchem. Co otrzymał ode mnie w zamian? Czy dałam mu coś, czym mógłby wypełnić lukę w pamięci, oprócz ciężaru w postaci moich nocnych lęków oraz strachu przed pościgiem i walką?

– Sam decydujesz o tym, kim jesteś – powiedziałam.

– Naprawdę tak myślisz?

Kiwnęłam głową, ocierając się o jego bark.

– Znam cię, Kima – odparłam.

Wyschnięte równiny ustąpiły miejsca sieci rzecznej i dało się dostrzec ślady obecności ludzi. Z początku była to garstka osad założonych na ziemiach suchych, acz ornych. Te ubogie bastiony Omeg składały się w niektórych przypadkach z zaledwie kilku chałup, ale i tak okrążyliśmy je szerokim łukiem, a nocą nie rozpalaliśmy ognia. Potem zaś, gdy gleba stała się żyzniejsza, pojawiły się oznaki obecności Alf: wypielęgnowane pola oraz sady otaczające okazałe budynki. Widzieliśmy ludzi pracujących w polu lub jeżdżących po drogach konno. Jednak teren był na tyle otwarty, byśmy mogli się przemieszczać niezauważeni po zmroku, unikając najbardziej ruchliwych szlaków.

Kobziarz i Zoe twierdzili, że dwa dni drogi od Wyndham znajduje się kryjówka. Pojedynczy dom stojący w podmokłej dolinie, należący do pary Alf sympatyzujących z ruchem oporu. Moglibyśmy spędzić tam noc pod dachem, umyć się i zejść z oczu. Przez całą noc wyobrażałam sobie, że leżę w miękkim łóżku i nie muszę się przejmować pogodą. Jednak gdy tuż przed świtem wspięliśmy się na wzgórze, powitały nas widok zwęglonych belek, z których gdzieniegdzie jeszcze unosił się dym, oraz czarna od popiołu kałuża.

– Komuś zabrakło rozwagi – stwierdził Kobziarz, gdy przycupnęliśmy tuż poniżej grzbietu wzgórza. – Obawiałem się tego po najeździe na Wyspę: zbyt wielu zdesperowanych uchodźców szuka teraz schronienia. Alfy musiały coś zauważyć i zostali zdemaskowani.

– Albo ktoś ich wydał – zasugerowała Zoe. – Może jeńcy, których zabrano z Wyspy.

– Może. – Kobziarz zerknął na pogorzelisko. – Chyba nie powinniśmy ryzykować zejścia; ktoś może obserwować to miejsce. – Obrócił się do mnie. – Jest tam ktoś żywy? – spytał.

Pokręciłam głową. Z doliny nie docierały do mnie żadne emanacje, tylko dym.

– Nikogo nie wyczuwam – odparłam. – Ale to nie oznacza, że ich zabito. Mogli zostać porwani.

Tyle że od czasu odkrycia zbiorników ta myśl wcale nie stanowiła pocieszenia.

– Musimy ruszać dalej – postanowił Kobziarz. – Znaleźć schronienie. Ale sytuacja przypomina coraz bardziej to, czego się obawiałem. Siatka mogła zostać rozpruta.

Dwa dni później w zasięgu wzroku pojawiło się Wyndham. Zdałam sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie widziałam go z zewnątrz. Przywieziono mnie tam w nocy, w kapturze na głowie, a moje późniejsze wspomnienia związane były z murami obronnymi fortecy, górującymi nad miastem. Teraz jednak, gdy zbliżaliśmy się ze wschodu, słońce zaczęło się wznosić przed nami, ukazując miasto, którego budynki lgnęły do zbocza niczym ostrzygi do skały, aż do podnóża twierdzy. Spod fortecy wypływała rzeka, która wiła się następnie na północ. Zaledwie dzień drogi stąd, wzdłuż jej nurtu, leżały silosy. A jeszcze dalej znajdowała się wioska, w której spędziłam dzieciństwo, a w niej mieszkała moja matka. Nasza matka. Po południowej stronie góry natomiast, ukryta obecnie przed naszym wzrokiem, płynęła druga rzeka, o której nie potrafiłam myśleć bez poczucia wdzięczności: ta, wzdłuż której podążaliśmy z Kimą przez pierwsze dni ucieczki, a także przez kolejne miesiące.

Zoe spojrzała na szczyt miasta.

– Forteca jest pełna żołnierzy, a wasza trójka znajduje się na samym czubku ich listy osób poszukiwanych. W samym mieście też się pewnie od nich roi.

– A o tobie wiedzą? – spytałam.

Wzruszyła ramionami.

– To zależy od tego, jak głęboko udało im się spenetrować naszą siatkę od ataku na Wyspę. Staraliśmy się, jak mogliśmy, zachować dyskrecję, ale nie da się robić tego, co ja robiłam od dawna, i nie zwrócić na siebie uwagi choćby kilku osób. Przez wiele lat eskortowałam uchodźców do punktów zbiórki, pomagałam przeprowadzać misje ratunkowe, spotykałam się z umyślnymi i sama ich wysyłałam. Zważywszy na to, ilu zakładników wzięła Rada, prawdopodobne jest, że któryś coś sypnął. Mogą nie wiedzieć, że jestem bliźniaczką Kobziarza, ale domyślałam się, że mają jakieś pojęcie na temat tego, kim jestem i czym się zajmuję.

– Nie będą się spodziewali, że pojawimy się akurat tutaj – zauważył Kobziarz.

– Nie lekceważ Spowiedniczki – ostrzegłam. – Ale zgadzam się: wiedzą, że jeszcze niedawno znajdowaliśmy się na Wyspie. Nie oczekują raczej, że tu wrócimy, i to tak szybko.

Przez większą część dnia odpoczywaliśmy w niewielkim zagajniku, a po południu ruszyliśmy dalej, unikając dróg. Zanim do doliny zaczął się wlewać mrok,

zdążyliśmy okrążyć północną część miasta i dotrzeć do rzeki pod moim przewodnictwem.

– Jak sądzisz, jaka to odległość? – spytał Kobziarz.

– Jakiś dzień drogi – odparłam. – Z naszej wioski szło się do silosów pół dnia, a do Wyndham kolejny dzień, czyli wystarczająco długo, żeby nigdy się tam nie wybierać.

Musiało być parę godzin po północy, gdy – w miejscu gdzie rzeka wypływała z wąwozu – minęliśmy mały, senny posterunek. Była to tylko stajnia i pojedynczy długi barak, na którym zatknięto zwisający smętnie w bezwietrznym nocnym powietrzu proporzec Alf. Kiedy byłam dzieckiem, nie stacjonowali tu żadni żołnierze.

– W środku jest miejsce co najmniej dla pięćdziesięciu chłopca – oznajmił Kobziarz. – Ostatnio pojawia się coraz więcej tego typu posterunków.

Godzinę później, kiedy się wspięliśmy na usianą kamieniami ścianę wąwozu, naszym oczom ukazały się trzy silosy. Krągłe, o spłaszczonych dachach, olbrzymie – zasłaniały błyszczące za nimi gwiazdy. Nadal były pozbawione okien, tak jak zapamiętałam, jednak obecnie łączyły je ze sobą chodniki umocowane niemal na samej górze. W miejscu gdzie kiedyś widniały otwarte drzwi, widać było teraz drzwi zamknięte, zainstalowane u podstawy każdego z silosów: podłużne kawałki ciemnego metalu kontrastujące z wyblakłym betonem samych budynków.

– Pochodzą sprzed Wybuchu? – spytał Kima.

Skinęłam głową.

– Drzwi są nowe, przejścia na szczycie też. Ale poza tym wyglądają tak samo jak wtedy, gdy tu przychodziłam.

– Dlaczego nikt ich nie pilnuje? – spytała Zoe cichym głosem.

– Z tego samego powodu, dla którego ukryte są tutaj, wiele kilometrów od Wyndham – odparłam. – Alfy nie chcą, żeby ktokolwiek się o nich dowiedział. Do tego silosy stanowią tabu, więc nie trzeba się martwić o to, że pojawią się tu przypadkowi wędrowcy. W pobliżu znajdują się baraki wojskowe, ale ten projekt to konik Zacha i Spowiedniczki. A oni nie ufają nikomu.

– Nawet jeśli nie musimy się przejmować strażą, to co z drzwiami? – spytał Kima.

Zoe uśmiechnęła się szeroko.

– Opowiadałam wam przecież, jak radziliśmy sobie z Kobziarzem w dzieciństwie – przypomniała. – Już jako dziesięciolatka nauczyłam się korzystać z wytrycha. Mogę nas wpuścić do środka.

– Możesz wpuścić mnie i Kimę – powiedziałam – ale wy tam nie wejdziecie.

Zoe przewróciła oczami.

– Najpierw nie chciałaś mieć nic wspólnego z ruchem oporu, a teraz chcesz odgrywać męczennicę? – spytała.

– Nie mam takiego zamiaru – odparłam. – Gdyby tak było, nie ciągnęłabym ze sobą Kimy. Nie będzie żadnej walki. To maszyna, a nie baza wojskowa. Mówiłam już, że Zach cierpi na zbyt wielką paranoję, by wpuszczać tutaj żołnierzy.

Kobziarz pokręcił głową.

– Nie jest przecież głupi. Nie powinnaś wchodzić tam sama.

– Nie będę sama, idzie ze mną Kima – przypomniałam. – Tak będzie najlepiej: szybko i dyskretnie. Będę wiedziała, dokąd się udać i co zrobić.

– Ma to pewien sens – przyznała Zoe, zwracając się do Kobziarza. – Sam pomyśl: jeśli zostaną zlikwidowani, będziemy mogli kontynuować naszą działalność.

– Miło, że się o nas martwisz – mruknął Kima.

– Zoe ma rację – powiedziałam. – Od ataku na Wyspę ruch oporu rozłazi się w szwach. Uchodźców ścigają łowcy nagród i żołnierze; sieć kryjówek się wali. To, co zamierzamy zrobić z Kimą, ma znaczenie. Ale są też inne rzeczy do zrobienia. Musicie z Zoe wrócić do gry.

Kobziarz przyjrzał mi się uważnie.

– Nie musisz pokutować za to, co wydarzyło się na Wyspie – zapewnił.

– Po prostu wpuście nas do środka.

– A co potem?

– Po wyjściu stamtąd będziemy musieli czmychnąć, jak najdalej się da. I to szybko, zanim nastanie świt. Dalibyście radę cofnąć się do posterunku Rady i niezauważenie przechwycić kilka koni?

Zoe skinęła głową.

– Możemy wrócić w ciągu godziny i spotkać się z wami w gardzieli wąwozu, tam jest gdzie się schronić. Ale nie będziemy mogli czekać bez końca, baraki znajdują się zbyt blisko. Jeśli zabierzemy konie, żołnierze uderzą na alarm, kiedy tylko się zbudzą. Jak nie wróćcie do świtu, będziemy zmuszeni odjechać.

– Jakaś ty sentymentalna – skomentował Kima.

– To działa w dwie strony – dodał Kobziarz. – Jeżeli się nie zjawimy, ruszajcie dalej sami. Idźcie na wschód. Nawet na Pustkowie, jeśli to będzie konieczne.

Wyraziłam zgodę mruknięciem, zaciskając paski plecaka na ramionach. Kobziarz upewnił się, że nadal mam przy pasie jego nóż. Dłoń Kimy również podążyła ku ostrzu zatkniętemu za własnym pasem. Ostrożnie ruszyliśmy ku silosom. Ostatnie pięćdziesiąt metrów przebyliśmy bez jakiegokolwiek osłony; nie rosły tu nawet rzadkie krzaczki, które wypełniały większą część wąwozu. Mimo że w silosach nie było okien, z których można by nas obserwować, nieodłącznie towarzyszyło mi poczucie inwigilacji – uporczywość poszukującej mnie Spowiedniczki.

Poprowadziłam nas do drzwi największego silosu. W nabijanej ćwiekami stali brakowało klamki, widniał w niej tylko zamek. Kobziarz przyłożył ucho do drzwi, odczekał kilka chwil, a następnie skinął głową do Zoe. Dziewczyna uklękła, wyciągnęła spomiędzy swych noży niewielki metalowy przyrząd i przez kilka chwil majstrowała nim w zamku. Zamknęła oczy, a z kącika jej ust wysunął się czubek języka. Dłoń Zoe poruszała się szybkimi, szarpanymi ruchami. Przypominało to śpiącego Kime, którego ciało na zmianę drgało i zamierało w bezruchu. Dwie sekundy później zamek ustąpił z cieszącym ucho kliknięciem.

Zoe wstała. Wymieniliśmy spojrzenia w mroku.

– Gardziel wąwozu, przed świtem – powiedział Kobziarz, muskając dłonią moje ramię.

– Przed świtem – powtórzyłam, jakbym recytowała zaklęcie.

Bliźnięta zatopiły się w nocy, a ja obróciłam się ku otwartym drzwiom.

Rozdział trzydziesty

Pamiętałam, jak zaskoczył mnie hałas w sali ze zbiornikami. W silosie było tak samo, tylko głośniejsze. Wewnątrz znajdowało się jedno wielkie pomieszczenie, a przy jednej ze ścian spiralne schody prowadziły na położoną pod samym dachem platformę. Pod ścianami ustawiony był rząd maszyn o grubości półtora metra. Z początku myślałam, że są ich tam setki. Potem odchyliłam głowę do tyłu i dostrzegłam, że ciągną się aż do sufitu, więc musiały ich być tysiące. Na obrzeżach podłogi mruczały duże czarne skrzynie, a każda z nich wypluwała z siebie setki przewodów, które oblepiały zastawione maszynami ściany niczym pajęczyny. Z sufitu zwisały elektryczne lampy, ale do położonej kilkadziesiąt metrów niżej podłogi, na której staliśmy, docierało niewiele światła. A to, które docierało, malowało na niej złożone wzory, przedzierając się przez kable krzyżujące się pośród pustej przestrzeni. Po chłodzie panującym na zewnątrz upał we wnętrzu silosu wydawał się przytłaczająco statyczny. Gdy musnęłam ręką jedną z maszyn, poczułam, że metalowa obudowa jest gorąca.

Kima trzymał już w ręku nóż.

– To co, po prostu zaczniemy przecinać kable? – spytał.

– Nie. – Rozejrzałam się dookoła. – To znaczy nie zaszkodziłoby je przeciąć, ale to pewnie nie wystarczy. Tego typu usterki będą w stanie naprawić. Musimy się dostać do serca systemu.

– To od czego chcesz zacząć?

Kima obrócił się wolno wokół własnej osi, odchylając głowę do tyłu, żeby przyjrzeć się ogromnej masie metalu, na której tu i ówdzie migały jakieś światełka. Ja jednak stałam bez ruchu ze wzrokiem wbitym w najwyższy punkt pomieszczenia: platformę położoną na szczycie schodów. Odchodziło od niej tak wiele przewodów, że związane je razem, tworząc coś na kształt muskularnych konarów.

Kima podążył oczami za moim wzrokiem ku stromym schodom, po czym westchnął.

– Czy chociaż raz nie mogłoby być łatwo? – spytał ze smutnym uśmiechem.

– Ale na dole też możemy coś zniszczyć. – Zamachnął się nożem na pobliski kabel, a następnie odskoczył i wypuścił z ręki ostrze, gdy posypały się błękitne iskry. – Według ciebie miało nam to nie zaszkodzić? – spytał z wyrzutem.

– Mówiłam ogólnie. – Spojrzałam nerwowym wzrokiem na swój nóż. – Może je po prostu wyszarpnjemy?

– Nie – odparł Kima, podnosząc nóż. – Wystraszyłem się, ale nic mi nie jest. W ten sposób możemy więcej zdziałać.

To rzekłszy, przepołowił rozciągający się nad nim kabel. Rozcięte końce odskoczyły na boki ze wściekłym sykiem.

Pospiesznie zaczęliśmy okrążyć rozległą przestrzeń, tnąc i wyciągając przewody z gniazdek. Za każdym razem, gdy szarpałam za jakiś kabel i czułam, jak zaczyna ustępować, przypominała mi się rurka, którą nieopacznie usunęłam po odnalezieniu Kimy.

On tymczasem podważał nożem obudowę jednego z urządzeń. Blacha z brzękiem upadła na betonową podłogę. W jej wnętrzu znajdowała się miniaturowa wersja pomieszczenia: podzespoły połączone drucikami w układ, który z początku sprawiał chaotyczne wrażenie, lecz tak naprawdę został precyzyjnie zaaranżowany. Gdy wspólnie zaczęliśmy go niszczyć przy użyciu noży i dłoni, maszyna zaprotestowała, dymiąc. Światelka u jej podstawy zamigotały, po czym nagle zgasły.

Gdy mimo szczęku metalu i pryskających iskier nikt się nie pojawił, nabraliśmy śmiałości. Kima trzymał w dłoni wąski kawałek metalu przypominający łom, którym zamierzał się na panele kontrolne kolejnych maszyn. Dźwięk naszych kroków potęgowało teraz stłuczone szkło. Chociaż drapało mnie w gardle od dymu, z zaskoczeniem stwierdziłam, że rozdieranie obudów maszyn oraz wyrywanie ze środka ich delikatnych wnętrzości sprawia mi ogromną przyjemność.

Kiedy zrobiliśmy rundkę wokół pomieszczenia, zaczęliśmy się wspinać po spiralnych schodach, przecinając po drodze kable biegnące wzdłuż ściany w zasięgu naszych rąk. Cięższe przewody uderzały z satysfakcjonującym szczękiem o maszyny stojące po drugiej stronie. Na tej wysokości dym buchający z parteru rzedł, chociaż nadal przysłał znajdującą się coraz niżej pod nami podłogę i sprawiał, że oddech rzeźił mi w gardle.

Zbliżaliśmy się już do szczytu, gdy nagle przystanęłam i wyciągnęłam do tyłu rękę, żeby zatrzymać Kimę. Zmrużyłam oczy, a potem je zamknęłam. Nad nami majaczyła platforma, wysunięta ze ściany na dobrych kilka metrów, zajmująca jedną trzecią powierzchni sufitu. U jej podstawy gromadziły się wszystkie kable znajdujące się w pomieszczeniu. Przyjrzałam się miejscu tuż przy ścianie, w którym schody wnikały w podłogę platformy. Od spodu widziałam jedynie kwadratowy otwór oświetlony przez umieszczone powyżej lampy.

– Ktoś tam jest – powiedziałam.

– Skoro do tej pory nas nie powstrzymali, raczej nie zależy im na walce – stwierdził Kima.

Pokręciłam głową.

– To nie zawsze jest takie proste.

Zauważyłam, że szepczemy, i uznałam to za niedorzeczne, zważywszy na kakofonię, jaką wywołaliśmy przez ostatnie dziesięć minut.

– Ciężko powiedzieć, kto tam siedzi – wyznałam. – Od tak długiego czasu czuję ją niezmiernie wyraźnie, a to miejsce i tak cuchnie i nią, i Zachem. Myślę

jednak, że to może być ona.

– Spowiedniczka?

Skinęłam głową.

– I co teraz? – spytał Kima.

Stał o jeden schodek niżej ode mnie. Jego dłoń przesunęła się po poręczy i ścisnęła moją.

– Wydaje mi się, że musimy tam wejść i stawić jej czoła, doprowadzić sprawę do końca.

– Nigdy nie sądziłem, że zatęsknię za Kobziarzem i Zoe, ale czy nie powinniśmy wrócić tu z nimi?

Pokręciłam głową.

– Cass, jestem przekonany, że walczysz jak dzika kotka, ale nie sądzisz, że łatwiej byłoby „doprowadzić sprawę do końca”, gdyby towarzyszyli nam rebelianci mordujący jednym rzutem noża?

– Nie – odparłam. – Ściągnęliśmy im na głowy wystarczająco dużo nieszczęść. Nie możemy ich wystawiać na takie niebezpieczeństwo. Od nich zależy istnienie ruchu oporu. W każdym razie domeną Spowiedniczki są gierki umysłowe; nie sądzę, żeby dała radę nam obojgu. Przez „doprowadzenie sprawy do końca” nie miałam na myśli rozlewu krwi, tylko... – Zamilkłam, zastanawiając się, jak mu to wyjaśnić. – Chodziło mi o to, że wszystko zaczęło się od nas. Przez cały czas czułam, jak mnie tropi. Czułam ją wyraźniej niż Zacha. Nie możemy bez końca przed nią uciekać. To ona jest jądrem tego wszystkiego. – Zatoczyłam ręką łuk obejmujący pomieszczenie pełne maszyn. – Musimy się z nią zmierzyć, żeby położyć temu kres.

Wsunęłam nóż w wiszącą u pasa pochwę.

Kima nie schował swojego ostrza, lecz stanął obok mnie. Spiralne schodki były tak wąskie, że byliśmy ściśnięci i z trudem utrzymywaliśmy równowagę, ale cieszyłam się z jego obecności u swego boku, gdy wchodziliśmy po ostatnich stopniach prowadzących na platformę.

Przy ścianie, tuż obok zamkniętych stalowych drzwi, znajdował się ogromny panel kontrolny, przed którym w fotelu na kółkach siedziała Spowiedniczka. Miała zamknięte oczy, ale widziałam, jak poruszają się szybko pod drgającymi powiekami, podczas gdy dłonie kobiety wędrowały po konsoli, tu wciskając guzik, tam obracając pokrętkę. Czoło Spowiedniczki spinała metalowa opaska, stalowa aureola połączona pojedynczym przewodem z główną konsolą.

– To ona? – spytał szeptem Kima.

Kiwnęłam głową.

Spowiedniczka bez pośpiechu obróciła się z fotelem, żeby na nas spojrzeć.

– Zastanawiałam się, kiedy znowu cię zobaczę – oznajmiła.

Już otwierałam usta, żeby jej odpowiedzieć, ale dostrzegłam, że ona wcale

nie patrzy na mnie. Wstała, nie spuszczać wzroku z Kimy, zdjęła z głowy metalową opaskę, zmrużyła oczy, a następnie powoli ułożyła usta w uśmiech.

– Spodziewaliśmy się, że mogą być straty, jednak dziwnie się na to patrzy własnymi oczami. Jest gorzej, niż oczekiwałam. Ty niczego nie pamiętasz, prawda? Niewiarygodne.

– Co wiesz o Kimie? – spytałam, a mój głos odbił się echem od sufitu silosu.

– Kima? To tak cię teraz wołają? – Stała dwa, trzy kroki od niego. – Ja też kiedyś nosiłam inne imię. To było tak dawno temu, że już ledwo pamiętam. Widzisz? Jesteśmy do siebie bardzo podobni.

– W niczym go nie przypominasz! – krzyknęłam.

Rzuciłam się do przodu, wyrwałam jej opaskę z rąk, po czym oderwałam ją od kabla i cisnęłam z platformy. Hałas miał w sobie coś nieprzyzwoitego. Ustrojstwo uderzyło o przeciwległą ścianę pomieszczenia, od której odbiło się i z brzękiem upadło na podłogę.

Spowiedniczka nie ruszyła się z miejsca, uniosła tylko dłonie i wzruszyła ramionami.

– Wyładuj się, jeśli masz ochotę. Odciełam wysokie napięcie, gdy zaczęliście dokazywać na dole. Przerywaliście podłączone do prądu kable rękami i nożami, więc macie szczęście, że sami nie pozbawiliście siebie życia. Obecnie korzystam z generatorów pomocniczych.

Jej słowa nic nam nie mówiły, ta jednak zignorowała nasze zakłopotane miny.

– Dają wystarczające napięcie, żeby zająć was pokazem fajerwerków. A mnie pozwoliły zawiadomić twojego brata przez interkom o powrocie jego marnotrawnej siostry. – Spowiedniczka zerknęła z platformy na szczątki dymiące poniżej. – Tak przy okazji, większość z tych zniszczeń jest powierzchowna. Naturalnie komputery są bardzo cenne, ale najważniejsze operacje przebiegają tu. – Postukała się palcem w głowę, a następnie spojrzała na mnie. – Ale ty o tym przecież dobrze wiesz.

– Nie musisz nas dodatkowo zachęcać do zabicia cię – warknął Kima.

Zaśmiała się.

– Możesz mi wierzyć, że wcale tego nie chcecie.

Machnęłam ręką w kierunku konsoli i zgromadzonych w dole maszyn.

– Jak możesz to robić swoim ludziom? – spytałam.

– Nie mniej dziwny jest udział Alfego w ruchu oporu Omeg.

– Niczego ci na ich temat nie powiemy – oświadczył Kima.

– A, chodzi ci o waszą koleżankę Zoe, bliźniaczkę Kobziarza. Wiemy o niej wszystko. I jestem przekonana, że miejsce pobytu i jej, i jego będzie jedną z rzeczy, o które już wkrótce zapytają was śledczy. Ale nie o nią mi chodziło.

Wymieniliśmy z Kimą stropione spojrzenia.

– A co do „moich ludzi” – mówiła dalej Spowiedniczka – kto jak kto, lecz ty powinnaś wiedzieć, że bycie wizjonerem wcale nie jest takie proste. Omegi pałają do nas niechęcią, bo nie jesteśmy zdeformowani tak jak one. Natomiast Alfy się nas boją: przypominamy je, ale jesteśmy lepsi. Nie możemy znaleźć sobie miejsca.

– Ja znalazłam – odparłam.

– Ciekawe gdzie? U boku rodziców, którzy nie mogli się doczekać, aż się ciebie pozbędą? A może w tej ponurej osadzie, gdzie ledwo wiązałaś koniec z końcem, po tym jak rodzina wykopała cię z domu? Czy chodzi ci o Wyspę? Chociaż gdybyś rzeczywiście tam pasowała, raczej nie zostawiłabyś ich, kiedy szli na rzeź.

– Jej miejsce jest przy mnie – oświadczył Kima. – Oraz przy Kobziarzu i Zoe.

Spowiedniczka parsknęła śmiechem.

– Jak uroczo. Ale ty nie do końca do nich pasujesz, co, Cass? Jesteś warta o wiele więcej niż którekolwiek z nich. Kobziarz musiał uprzytomnić sobie, jaka jesteś cenna, bo w przeciwnym wypadku z miejsca by cię zabił, żeby pozbyć się Zacha. – Lekko przechyliła głowę na bok i wbiła we mnie wzrok. – Chociaż zaczynam się zastanawiać, czy cię przypadkiem nie przeceniałam. Czy wszyscy cię nie przecenialiśmy. Nie ulega wątpliwości, że miałaś swoje momenty. Zgaduję, że to twoją zasługą była ewakuacja większości mieszkańców z Wyspy; pożar w Nowym Hobarcie pewnie też. Zaskakuje mnie jednak twoja wybiórcza ślepotą. Wygląda na to, że do tej pory nie udało ci się okiełznać własnych zdolności. – Przynęła się bliżej nas, ale jak zawsze to jej mentalna obecność stanowiła największe zagrożenie. Chłodna kalkulacja widoczna w oczach; sondowanie umysłu wywołujące grymas na mojej twarzy. – Rozczarowujesz, Cass. Tak jak te maszyny. Okazuje się, że nie spełniają wszystkich oczekiwań. Są świetne, jeśli chodzi o przechowywanie informacji. Zamieściliśmy w nich wszystkie dane. – Machnęła ręką w kierunku stosów urządzeń pod nami. – Szkoda, że nie widziałaś komnaty archiwum w Wyndham, zanim przenieśliśmy je z Zachem do tych tu komputerów. Co prawda, zawierały wszystkie informacje, ale ciężko się z nich korzystało. Teraz jednak, gdy muszę szybko coś wyszukać, idzie mi jak po maśle. Pomyśl o tysiącach urzędników, których musielibyśmy zatrudniać, urzędników grzebiących w milionach akt, starających się nie pogubić w podstawowych danych. Komputery pozwalają natomiast na syntezę informacji w obrębie jednego systemu. Przypomina to żywy organizm. Mogę się z nim połączyć, wdać w interakcję, korzystać z danych tak płynnie, jakbym sama o nich myślała. Gdybyśmy pozostali przy papierowej dokumentacji, nigdy nie udałooby nam się dokonać tego, czego dokonaliśmy.

– Cóż by to była za niepowetowana strata – mruknął Kima, lecz Spowiedniczka kompletnie go zignorowała.

– Jednak komputery są, jak by to ująć, ograniczone. W przypadku złożonych procesów takich jak prognoza czy dedukcja nie dorównują ludzkiemu mózgowi. Pewnego dnia może się to zmienić, a może tak właśnie było przed Wybuchem. Aczkolwiek wątpię, czy będą w stanie przyćmić umiejętności wizjonera. W każdym razie nie uwierzylibyście, co udawało im się wówczas osiągnąć.

– Jestem pewna, że wszyscy widzieli, co udało im się osiągnąć – wtrąciłam. Spowiedniczka wydawała się nie zarejestrować także tej uwagi.

– Przed Wybuchem wszystkie te dane, cała ta potęga, istniałyby w obrębie pojedynczego urządzenia, nieprzekraczającego rozmiarem jednego z tych generatorów. Jeszcze daleko nam do tego, a konieczność zachowania dyskrecji podwójnie utrudnia sprawę. Ludzie wciąż nie są gotowi na przyjęcie potencjalnych korzyści. Może to nasza wina, bo zbyt długo i zbyt zapalczywie wpajaliśmy im lęk przed tabu. Na razie więc pracujemy z tym, co mamy do dyspozycji. Po cichu. A gdy pojawiają się naprawdę skomplikowane operacje, wchodzę do gry ja. – Zamilkła na chwilę. – Z twoich usług też moglibyśmy skorzystać, gdybyś tylko zgodziła się ze mną współpracować – mówiła dalej. – Mogłaś stać się tego częścią. Już teraz, mając dostęp do całego morza informacji, sama jestem w stanie zrobić prawie wszystko. O wiele więcej niż to, co udało mi się osiągnąć na Wyspie. Pomyśl tylko. Jakiś Omega ze wschodu podżega ludzi do walki, buntuje się przeciwko dziesięćcinie narzuconej przez Radę i tworzy sobie gwardię złożoną z bojowników o wolność. Możemy namierzyć jego bliźniaczkę posługującą się innym imieniem i pracującą na południowym wybrzeżu w niecałe pół godziny, a pół dnia później poderznąć jej gardło. Jakiś Alfa z Wyndham kandyduje w wyborach przeciwko twemu bratu. Zdziwiłabyś się, jak szybko postanowi przejść na emeryturę i wyprowadzić się do swojej wiejskiej posiadłości, gdy uwięzimy jego bliźniaczkę. Co więcej, możemy przewidywać powstanie punktów zapalnych. Znamy algorytmy, dzięki którym monitorujemy wszystko dzień po dniu w sposób wcześniej dla nas nieosiągalny. Możemy sprawdzić, w których miastach wskaźnik rejestracji jest niski albo pobór dziesięćciny przebiega nieregularnie, i zmieść je całe z powierzchni ziemi, zanim wybuchnie powstanie. Zach skupił całą swoją uwagę na zbiornikach, ale bez tego ich funkcjonowanie nie byłoby możliwe.

– Czemu zatem w ogóle się nie chronicie? – spytałam. – Jakim cudem udało nam się tu wejść jak do siebie?

– Nie zależy nam na pobudzaniu ludzkiej ciekawości – wyjaśniła Spowiedniczka. – Radni i żołnierze też boją się tabu. Nikt nie ma ochoty słuchać o istnieniu tej instalacji. Coś tam wiedzą, ale na pewno nie wszystko. – Wskazała na podłogę komory. – Generatory w tym i pozostałych silosach dostarczają elektryczności połowie Wyndham. Większość budynków Rady jest już podłączona, w tej czy innej formie, a radni wiedzą o istnieniu zbiorników. Tyle że to hipokryci: z radością przystają na zamykanie w nich swoich bliźniaków w zamian za światło

elektryczne w kwaterach, ale nie ośmielają się publicznie naruszyć tabu. Brakuje im odwagi. Nie dostrzegają potencjalnych korzyści płynących z wykonania owego kroku. Twoim bratem i mną kieruje jednak pewna wizja. Planujemy doprowadzić sytuację do logicznej konkluzji. Dlatego właśnie utrzymujemy ten projekt w tajemnicy: bo jest nasz. Gdybyśmy obstawili silosy strażnikami, wszyscy chcieliby wiedzieć dlaczego.

– Doprowadzić sytuację do logicznej konkluzji – powtórzyłam. – Masz na myśli zamknięcie nas wszystkich w zbiornikach? Żebyś wraz ze swymi koleżkami Alfami mogła udawać, że nigdy nie istnieliśmy?

– Ależ ona melodramatyczna, co? – odezwała się Spowiedniczka do Kimy. – Przecież to o wiele bardziej skomplikowane. Pomyśl o samej logistyce: trzeba by sobie poradzić z milionami Omeg. Nawet jeśli wziąć pod uwagę wyniki naszych ostatnich eksperymentów z grupowymi zbiornikami, konieczna byłaby gruntowna rozbudowa infrastruktury. Tego nie da się zrobić z dnia na dzień, bez względu na to, co marzy się Zachowi. Dlatego właśnie skupiliśmy się na stworzeniu bazy danych oraz zamykaniu w zbiornikach osób o wartości strategicznej, starannie wyselekcjonowanych. Oraz, rzecz jasna, mało wartościowych osobników znajdujących się na przeciwnym krańcu spektrum, na etapie eksperymentalnym. Przygotowanie pierwszych zbiorników do użycia zajęło nam trzy lata ciężkiej pracy. We wczesnej fazie odnotowaliśmy spore straty.

– Odnotowaliście spore straty?! – powtórzył Kima, przesuając się ku niej z nożem w rękę.

– Ona ma bliźniaka, Kima – szepnęłam, chwytając go za tył koszuli.

– Tak jak wszyscy ludzie, których zabiła. System to ona. Pozbywając się jej, wyłączymy go. Pomyśl o tym, co moglibyśmy osiągnąć. Po to tu w końcu przyszliśmy.

– Nie – odparłam. – Idąc tu, nie wiedzieliśmy, że system to konkretna osoba.

– Ciężko ją uznać za osobę.

– Tak myślą o nas Alfy – zauważyłam. – Nie możemy się zachowywać tak samo.

– Właśnie że musimy.

Rzucił się do przodu. Bez zastanowienia skoczyłam za nim. Słyszałam własne rozszalałe tętno, którego dźwięk konkurował z łoskotem, jaki wywołał Kima, powalając Spowiedniczkę na podłogę. Przycisnął ją kolanem do podłogi, lecz ona chwyciła go obiema rękami za nadgarstek i zaczęła go wykręcać, żeby obrócić nóż ku właścicielowi. Jednoręki Kima nie miał szans z tak silną przeciwniczką, musiał więc przetoczyć się na bok, by uniknąć ostrza, a wtedy kobieta usiadła na nim okrakiem. Rozejrzałam się. Nóż wiszący u mojego pasa był zbyt śmiertelnościami narzędziem. Alternatywą dla niego na platformie ze szkła i stali było krzesło, które pod wpływem ich walki utkwilo w konsoli. Stęknęłam,

unosząc je, a następnie zamachnęłam się nim i uderzyłam w głowę Spowiedniczki.

Z początku myślałam, że przez przypadek trafiłam też Kimę. Spowiedniczka bezwładnie opadła na bok, a jej głowa odbiła się od podłogi. Chłopak zrobił dokładnie to samo: jego barki osunęły się na ziemię, a zęby szczęknęły o siebie, kiedy uderzył potylicą o metalową powierzchnię. Coś tu jednak nie pasowało. Przecież krzesło nawet go nie musnęło. Widziałam, jak zaczepia o głowę Spowiedniczki w drodze ku odległemu krańcowi platformy, gdzie spoczęło na boku z kółkami wirującymi w górze.

W ciszy, która zapadła, gdy Kima i Spowiedniczka jednocześnie stracili przytomność, zdałam sobie sprawę z tego, co mi wcześniej umykało. Świadomość ta nabrała nagle ostrości niczym jego twarz wynurzająca się z toni zbiornika kilka miesięcy wcześniej. Zastanawiałam się, czy – tak jak wtedy gdy matka ostrzegła mnie przed Przechowalnią – wiedziałam o wszystkim od samego początku.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Spowiedniczka pierwsza odzyskała przytomność. Zamrugała kilkakrotnie, potrząsnęła głową i się skrzywiła. Gdy na dobre otworzyła oczy, jej wzrok nie powędrował ku mnie, chociaż nad nią stałam, lecz ku Kimie, który nie doszedł jeszcze do siebie.

– Przez cały ten czas czułam, jak mnie szukasz – powiedziałam. – Odkąd uciekłam.

– Odkąd on uciekł – poprawiła mnie Spowiedniczka.

– Przez cały ten czas sądziłam, że to mnie tropisz. Ale nadal nie rozumiem, jak to możliwe. Nie możecie oboje być Omegami.

– Musieliśmy amputować mu ramię. Napiętnowanie nie wystarczyło – wyjaśniła, siadając. – Pomysł z obcięciem ręki wyszedł od Zacha. Ludzie sprzeciwiliby się wsadzeniu Alf do zbiorników, nawet ci, którzy pracowali przy tym projekcie. A nie mogliśmy pozwolić, żeby dało się go ze mną powiązać. Ryzyko byłoby zbyt duże. Musieliśmy więc nadać mu wygląd Omegi. Zanik pamięci jest dodatkową zaletą, chociaż w tym przypadku nie mogę przypisać sobie zasługi. Nie przewidzieliśmy tego. Nigdy wcześniej nie wybudzono nikogo ze stanu zawieszenia, więc skutki nie były nam znane.

– A tobie było wszystko jedno, co się z nim stanie.

– Zależało mi na tym, żeby nie umarł. – Kobieta przytknęła palce do bocznej strony głowy, a następnie z odrazą spojrzała na krew rozmazaną na dłoni. – Teraz już wiesz, dlaczego się nie bałam, że mnie tu znajdziecie. Wiedziałam, że zostaniecie razem. Wiedziałam, że gdy się do niego zbliżysz, nie będziesz mogła mnie skrzywdzić. Zbagatelizowałam jednak wpływ, jaki wywarł na niego pobyt w zbiorniku. Wyczuwałam, że doznał pewnych uszkodzeń, ale nie że kompletnie o wszystkim zapomniał. Ciebie z kolei przeceniłam. Zakładałam, że wszystko rozpracujesz.

– Byłam zaślepiona.

Ponownie przyciskając palce do opuchniętej skroni, Spowiedniczka się skrzywiła.

– Ja też. Powinnam była od razu ci powiedzieć. Działał pochopnie. – Obróciła się do zamroczonego Kimy poruszającego się na podłodze. – Zmienił się. Tchórz, którego kiedyś znałam, nigdy nie dopuściłby się takiej napaści.

– Wcale go nie znasz – zaprotestowałam. – Może i jest twoim bliźniakiem, ale w niczym cię nie przypomina.

– Możliwe. Podobnie jak ty nie przypominasz Zacha. Zarówno on, jak i ja zostaliśmy obarczeni bliźniakami pozbawionymi ambicji.

Uklękłam obok Kimy i uniosłam mu głowę, aby wsunąć pod nią rękę i ostrożnie ułożyć ją na swoich kolanach. Zacisnął mocno powieki, a potem rozwarł

je, krzywiąc się w reakcji na światło.

– Ona? – spytał. – To niemożliwe.

Pokręciłam głową.

– Kima, oni obcięli ci rękę, żeby cię zamaskować. Strasznie mi przykro.

Ponownie zamknął oczy, tym razem na długo. Jego wargi kilkakrotnie zaczynały się poruszać, jakby miał zamiar coś powiedzieć. Gdy znowu otworzył powieki, spojrzał prosto na mnie.

– Naprawdę? – spytał.

Skinęłam głową. Nastąpiła dłuższa cisza.

– Chyba nie mogę ci już wypominać kiepskiego brata – mruknął, spoglądając spode łba na podnoszącą się na nogi Spowiedniczkę. – Wygląda na to, że nam obojgu nie udało się rodzeństwo.

Wpatrywał się w nią z zaciętkością, której nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Jakby chciał dostrzec siebie samego w jej twarzy. Jakby z jej bladej skóry mógł wyczytać wszystkie sekrety swej utraconej przeszłości.

Jej oczy – zazwyczaj nieprzejednane – przyglądały mu się z ciekawością.

– Nawet teraz niczego nie pamiętasz? – spytała.

Pokręcił głową.

– A co? Chcesz powspominać wspólne dzieciństwo?

– Wcale nie było wspólne – odparła. – Odesłano mnie w wieku ośmiu lat, kiedy już dłużej nie potrafiłam kryć się z wizjami. Ale tobie to oczywiście nie wystarczyło. Ani to.

Przesunęła ręką po piętynie na czole.

– Nie było ci dość tego, że wypalono mi piętno i zmuszono mnie do życia na skraju nędzy w osadzie, podczas gdy ty przejąłeś farmę po rodzicach i opływałeś w dostatki. Jeśli chodzi o nienawiść, jaką do mnie odczuwałeś, nigdy nie było ci dość. Tak więc trzy lata temu chciałeś się upewnić, że już nie stanowię dla ciebie zagrożenia. Skontaktowałeś się z miejscowym radnym, którego poprosiłeś o pomoc w namierzeniu mnie. Powiedziałeś, że doszły ci słuchy, iż zamożna osoba może za opłatą poprosić o „zainstalowanie” bliźniaka w Przechowalni.

Kobziarz wspominał o tym na Wyspie. Nie mogłam sobie jednak wyobrazić, że Kima byłby do tego zdolny. Mogłam się pogodzić z tym, że jest Alfą. Ale podłej, okrutnej osoby opisanej przez Spowiedniczkę nie umiałam w nim dojrzeć.

– To nie byłem ja! – krzyknął, siadając. – Nawet nie wiem, kim wtedy byłem! Nie mam żadnych wspomnień przez to, co mi zrobiliście.

Nigdy wcześniej nie widziałam, jak płacze, ale teraz łzy ciekły mu strumieniami po brudnych policzkach.

– Nie mówię już nawet o ręce – powiedział, unosząc kikut zastępujący mu ramię. – Chodzi o wszystko inne. Wszystko mi odebrałaś.

– Ja ci wszystko odebrałam? – Jej śmiech nasuwał na myśl skojarzenia

z zakrzywionym ostrzem. – A co ze mną, ósmiolatką skazaną na wygnanie?! Nigdy się o mnie nie troszczyłeś. Zrobiłbyś mi to, co ja zrobiłam tobie.

Na tym właśnie polegała jej nienawiść, która ścigała nas od momentu ucieczki: ze mną nie miała nic wspólnego.

– Wiedziałam, że w końcu będziesz chciał mnie dopaść – powiedziała Spowiedniczka. – Ktoś tak nikczemny jak ty nigdy nie przebaczyłby mi tych pierwszych ośmiu lat mojego życia. – Jej głos nadal był cichy, ale oczy się zwężyły, a szczęki napięły tak mocno, że słowa nie łączyły się ze sobą. – Musiałam znaleźć sposób, żeby się bronić. To jeden z powodów, dla których odszukałam Zacha i zaczęłam dla niego pracować. Może właśnie dlatego tak dobrze nam się współpracuje: on też nosi w sobie żal związany z późnym rozdzieleniem. Zawsze wiedziałam, co go motywuje, bo te same lęki i podłość dostrzegałam w tobie, chociaż nigdy nie dorównywałeś mi ani ambicją, ani intelektem.

Zastanawiałam się, czy ona tak właśnie postrzega świat. Czyżby nie dzieliła ludzi na Alfę i Omegę, tylko na osoby ambitne stojące do walki z tymi, którzy nie potrafią dorównać im bezwzględnością?

– Nie mogę się z tobą sprzeczać na temat przeszłości. – Głos Kimy zrobił się tak niski, że ledwo go słyszałam. Każde słowo spadało w głąb znajdującej się pod nami komory silosu niczym kamień rzucony do studni. – Nic mi po niej nie zostało. Przepadła. Przez ciebie.

– Nie – odparła kobieta, kręcąc głową. – Przez ciebie. To ty uczyniłeś mnie tym, kim jestem.

– Nie znasz Kimy – wtrąciłam.

– To mój bliźniak. Znam go lepiej, niż ty kiedykolwiek go poznasz.

Już miałam coś odpowiedzieć, ale on mnie uprzedził:

– Cass ma rację. Nie znasz mnie. Nie mamy o czym rozmawiać.

To rzekłszy, obrócił się do mnie.

Stała między nami a schodami. Połączyło nas pełne nieufności milczenie. Spojrzałam na stalowe drzwi w ścianie, lecz wiedziałam, że do niczego nam się nie przydadzą, jeszcze zanim Spowiedniczka oznajmiła:

– Nie zaprzataj sobie nimi głowy, są zamknięte. – Nadal intensywnie skupiała się na swoim bracie. – Kiedy siedziałeś w zbiorniku, czasem przychodziłam na ciebie popatrzeć. Ten widok napawał mnie spokojem. Przypominało to hodowanie żaby.

– To chore – stwierdziłam, przypominając sobie Kimę unoszącego się w gęstym płynie oraz niemą grozę wypełniającą zautomatyzowane pomieszczenie.

– On zrobiłby ze mną dokładnie to samo – przypomniała Spowiedniczka. – Chciał zapłacić za wtrącenie mnie do celi. – Znowu obróciła się do Kimy. – Gdy ci się przyglądałam, sprawiałeś wrażenie bardziej żywego niż inni. Czasami mogłam przysiąc, że też na mnie patrzysz. Technicy to potwierdzali: dawałeś oznaki

potencjalnej świadomości. Naturalnie nie wiedzieli, dlaczego tak się dzieje, bo nie zdawali sobie sprawy, że w przeciwieństwie do pozostałych nie jesteś Omegą.

Starłam się ją zignorować i skupić na Kimie.

– To, co mówi na temat twojej przeszłości... – zaczęłam, pochylając się nad nim. – Wiem, że taki nie jesteś. Wiem, że jesteś całkiem inną osobą.

– Wybacz – wydusił.

– Nie – odparłam, kręcąc głową. – Nie mów tak. Wcale taki nie jesteś.

Pamiętałam jeszcze, co powiedział kilka nocy wcześniej: „Co, jeśli przypomnę sobie, kim jestem, ale nie będę chciał być tym kimś?”.

Oczywiście domyślił się, co chodziło mi po głowie.

– Nie wiedziałem – zaprzeczył gwałtownie. – Ale od pobytu w zakazanym mieście, kiedy zobaczyłem kable, zaczęły mi się przypominać różne rzeczy. Nic konkretnego, nic związanego z nią ani byciem Alfą. Było to raczej uczucie przebywania w cudzej skórze należącej do osoby, która mi się nie podobała. Sądziłem, że brak pamięci to kiepska sprawa, to jednak było jeszcze gorsze. Człowieka, którego wyczuwałem, przepełniała odraza. I strach. – Spuścił wzrok, po czym raz jeszcze powtórzył: – Wybacz.

– Wcale taki nie jesteś. – Mówiłam wystarczająco głośno, by usłyszała mnie Spowiedniczka. Chciałam, żeby wiedziała. – Nie mam ci czego wybaczać. Znam cię. – Przesunęłam opuszką palca po niedomkniętym okręgu jego piętna. – To, że jesteś Alfą, niczego nie zmienia. – Ponownie ściszyłam głos, starając się wytworzyć między nami atmosferę intymności, mimo obecności obserwującej nas baczenie Spowiedniczki. – Chociaż zaczynałam już podejrzewać, że też masz w sobie coś z wizjonera.

Pokręcił głową.

– Gdyby tak było, mógłbym to wszystko przewidzieć – odparł.

Uświadomiłam sobie, że przez cały czas coś przeczuwałam. Tyle że byłam zbyt głupia i zapatrzona w siebie, aby zrozumieć, o co chodzi.

– Może i nie przewidziałeś tego. Ale były inne rzeczy, różne drobiazgi. Zawsze wiesz, o czym myślę i co czuję. Wchodzisz mi w słowo i kończysz zdania za mnie.

– Wydaje mi się, że istnieje na to inne określenie – oznajmił Kima z krzywym uśmiechem, który tak dobrze znałam.

– Wasza eskapada niniejszym dobiega końca – odezwała się Spowiedniczka. – Teraz musimy chwilę poczekać. Nie możecie ze mną walczyć.

Podniosła z podłogi nóż, który wypadł wcześniej z dłoni Kimy. Nie ruszyłam się z miejsca, gdy podeszła do mnie z ostrzem wyciągniętym przed siebie. Przesunęła nim wzdłuż mojej szyi, a potem zatrzymała się w zagłębieniu między obojczykami. Przypomniały mi się liczne noce, gdy tuliliśmy się do siebie z Kimą, a on wciskał nos w ten sam punkt, w którym obecnie spoczywał czubek

noża.

– Drzwi są zamknięte, a Zach jest już blisko, bo pracował właśnie w pobliskim ośrodku. Żołnierze dotrą tutaj tuż za nim. To on zadecyduje, co z wami zrobić, ale wyobrażam sobie, że oboje znajdziecie się w zbiornikach.

– Ja tam nie wracam. – Kima chwiejnie podniósł się na nogi.

– Nie wsadzą was do nich od razu, zwłaszcza ciebie – poinformowała Spowiedniczka. – Gdy już skończymy was przesłuchiwać, będziemy chcieli poddać cię testom. Stanowisz bowiem nie lada zagadkę medyczną. Nigdy wcześniej nie zamknęliśmy w zbiorniku żadnej Alfy. Nigdy też nikogo nie wybudziliśmy, i to jeszcze po tak długim czasie. Wszyscy dostają bilet w jedną stronę. Kiedy jednak zaspokoimy naszą ciekawość, wrócisz tam, gdzie twoje miejsce.

Nóż wcisnął się odrobinę głębiej. Nie czułam bólu, tylko ciepło krwi, która wyciekła mi z rany i popłynęła wąską strużką między piersiami.

– Jak on ma naprawdę na imię? – spytałam.

Spowiedniczka chciała odpowiedzieć, lecz Kima jej przeszkodził.

– To nieistotne – stwierdził.

– Nie ciekawi cię to? Ani trochę?

Nóż przy moim gardle uniemożliwiał mi obrócenie głowy, ale przekręciłam gałki oczne jak najbardziej na prawo, żeby spojrzeć na Kimę.

– Ciekawiło – odparł. – Kilka miesięcy temu dałbym wszystko, byle tylko się dowiedzieć, kim jestem. Ale teraz to już bez znaczenia.

Zaczął znikać z mojego pola widzenia, przesuwał się ku schodom położonym na końcu platformy.

– Już wiem, kim jestem – dodał.

Spowiedniczka przesunęła się za mnie, przez cały czas trzymając mi nóż na gardle.

– Jeszcze jeden krok w kierunku schodów i ją zabiję – zagroziła.

– Wiem – przytaknął Kima, podchodząc jeszcze bliżej krawędzi.

Spowiedniczka napięła ramię, którym oplatała mi szyję.

– Tego się nie spodziewałam. A w moich ustach takie słowa wiele znaczą – stwierdziła.

Przód mojej koszuli nasiąkł krwią.

– A ty, Cass? – spytała. – Podejrzewałaś, że mógłby cię zdradzić w ten sposób?

Spojrzałam Kimie prosto w oczy. Nagle dotarło do mnie, co ma w planie; byłam tego równie pewna co wcześniej, gdy zdałam sobie sprawę z jego więzi ze Spowiedniczką.

– Nie rób tego – poprosiłam.

Kiedy zrobił krok do tyłu, wbiłam wzrok w jego oczy. Ledwo dostrzegłam nieznaczne wzruszenie ramion, gdy przeskakiwał ponad niską barierką. Poleciał do

tyłu, a ja bałam się mrugnąć lub odwrócić wzrok, jakby moje spojrzenie było liną, która mogła powstrzymać go przed upadkiem. Spowiedniczka wrzasnęła, ja jednak nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Nie wiedziałam nawet, kiedy udało mi się dopaść barierki, żeby śledzić jego lot do samego końca, do momentu gdy mój wzrok rozprysł się o podłogę silosu.

Kiedy ponownie otworzyłam oczy, leżałam skulona na podłodze, czując chłód metalu na policzku. Jakiś metr dalej nieruchoma twarz Spowiedniczki wpatrywała się we mnie niewidzącym wzrokiem.

Rozdział trzydziesty drugi

Zach pojawił się kilka sekund albo kilka minut później. Usłyszałam jego głos, lecz nie z dołu, tylko z sąsiedniego silosu; potem dźwięk biegnących stóp, zgrzyt klucza w zamku w metalowych drzwiach. Nie widzieliśmy się od tak dawna, że jego obecność powinna była mnie wystraszyć, ale tak nigdy się nie działo. To jego nieobecność zawsze wydawała mi się dziwna.

Wyglądał inaczej: był starszy, chudszy, a jego oczy gorączkowo rozbiegały się na wszystkie strony. Najpierw spojrzął ponad barierką na podłogę, gdzie leżał Kima. Potem podszedł do mnie i się pochylił. Zerkał to na mnie, to na Spowiedniczkę. Jego dłonie i wargi nawet na chwilę nie przestawały się poruszać, a kościste palce drgały, jakby rozwiązywał w myśli jakieś skomplikowane działanie matematyczne. Od czasu do czasu jego dłoń unosiła się do mojego gardła, a palce naciskały na miejsce, gdzie wcześniej ukłuł mnie nóż.

Nie poruszałam się. Punkt, w którym moja twarz opierała się o metal, zaczynał się powoli nagrzewać. Leżałam w bezruchu, podobnie jak ciało Spowiedniczki. Przypomniałam sobie moment, kiedy po raz pierwszy ujrzałam Kimę, jego twarz wynurzającą się zza szklanej ściany zbiornika. Gdybym teraz choć drgnęła, przełamując symetrię, jaka wytworzyła się między mną a jego bliźniaczką, oddaliłabym się od tamtej chwili. Przeniosłabym się do świata, w którym jego już nie ma.

– Wstawaj. – Głos Zacha nadal brzmiał tak samo, chociaż odbijał się od zaokrąglonych ścian komory dziwnym echem.

– Nie – odparłam, zamykając oczy.

Gdzieś pod nami otworzyły się drzwi silosu; rozległy się krzyki i hałas kroków.

– To bez wątpienia twoi ludzie – stwierdziłam. – Mogą mnie stąd wywlec, jeśli to konieczne, ale ja się stąd nie ruszam.

– Są coraz bliżej, kretynko. Musisz stąd iść.

Podniosłam na niego wzrok.

– Co ty wygadujesz? – spytałam zaskoczona.

– Jeśli się dowiedzą, że jesteś w to zamieszana, będzie po mnie. Nawet gdybym osobiście zamknął cię w celi, dotarliby do ciebie albo wyeliminowali mnie bezpośrednio. Wszystko zepsułaś. Ona była naszym największym skarbem. – Wskazał na ciało Spowiedniczki. – Jeśli powiążą jej śmierć ze mną, to będzie koniec nas obojga.

– Dla mnie to już nieistotne.

– Nie rozumiesz. – Dobiegający z dołu tumult przybrał na sile, żołnierze byli już na schodach. – Jeśli znikniesz, będę mógł zwalić winę na niego. Zduszę problem w zarodku, powiem, że za wszystko odpowiada jej oszałały z chęci zemsty

bliźniak. Ostatni raz widziano was razem na Wyspie. Ale musisz już iść.

Przez chwilę grzebał przy pasie, po czym wyciągnął skórzaną pętelkę, na którą nawleczono pęk kluczy.

– Weź je. Wyjdź tędy, którędy ja wszedłem. Duży klucz otwiera drzwi wychodzące na chodnik między silosami. Potem mniejszym kluczem otworzysz czerwone drzwi prowadzące do mojego gabinetu w sąsiednim silosie. Zejdź na sam dół i użyj tego samego klucza do otwarcia drzwi wejściowych. Nikt ich nie pilnuje. Za kilka minut już cię tu nie będzie. Nigdy nie dowiedzą się o twojej obecności.

Usiadłam i spojrzałam na niego.

– Mógłbyś pójść ze mną. Uciec od tego wszystkiego.

– Czemu? – Nie byłam pewna, czy pyta, dlaczego mu to proponuję, czy też dlaczego miałyby przyjąć ową propozycję. Nim jednak zdążyłam odpowiedzieć, pokręcił głową. – Nie mogę. To zaszło za daleko. Są rzeczy, którymi muszę się zająć.

Ręka trzęsała mu się obecnie tak mocno, że upuścił wyciągnięte w moim kierunku klucze. Patrzyłam, jak spadają na podłogę pomiędzy mną a zwłokami Spowiedniczki. Gdzieś z dołu dobiegł kolejny okrzyk; odgłos kroków na stalowych schodach coraz bardziej się zbliżał. Wszystko wydawało się dziać niezwykle wolno, jakby upadek Kimy raz na zawsze wytrącił czas z posad.

– Błagam. – Wypowiedziana na wydechu prośba bardziej przypominała przypadkowy dźwięk niż słowo.

Podniosłam klucze i spojrzałam mu w oczy.

– Nie robię tego dla ciebie – zaznaczyłam.

– Szybciej! – krzyknął wystarczająco głośno, żeby usłyszeli go żołnierze na schodach, ale tak naprawdę zwracał się do mnie.

Wstałam. Wiedziałam, że jeśli spojrzę w dół i ujrzę ciało Kimy, nie będę w stanie oderwać od niego wzroku. Zaczęłam więc uciekać, w równej mierze przed widokiem zwłok poskręcanych na podłodze silosu i przed pokrzykującymi żołnierzami zbliżającymi się do szczytu schodów.

Zamknawszy za sobą drzwi, podążyłam trasą opisaną przez Zacha: wąskim stalowym chodnikiem łączącym silosy; przez czerwone drzwi; przez jego kwaterę zajmującą górną część silosu, po pluszowych dywanach, których wystawność dziwnie kontrastowała z industrialną surowością ścian. Potem w dół, spiralnymi schodami przypominającymi te z sąsiedniego silosu, z tym że ta komora była pustą betonową tubą oświetloną przez rozmieszczone tu i ówdzie lampy elektryczne. Na końcu znajdowały się drzwi, którymi wyszłam w noc. Jakies trzydzieści metrów na lewo, w miejscu gdzie większy silos wznosił się w ciemności, słychać było głosy, a nawet znajome mi rżenie koni. Zastaniał mnie jednak budynek, z którego się przed chwilą wynurzyłam. Zamknęłam za sobą drzwi, z pewnym niedowierzaniem patrząc, jak moja ręka przekręca klucz w zamku: jakim cudem nadal potrafiłam

funkcjonować po tym, co właśnie się stało? Gdy ruszyłam wąwozem, oddalając się od skupiska silosów, zaskoczył mnie odgłos własnego oddechu oraz chrzęst kroków na żwirze. Jakim cudem moje ciało nadal potrafiło wytwarzać tak trywialne dźwięki?

Kiedy usłyszałam konnych zbliżających się do mnie pędem od tyłu, przyspieszyłam – moje ciało reagowało, nawet gdy otępiały umysł nie był już w stanie. Od umówionego miejsca w dalszym ciągu dzieliło mnie półtora kilometra. Nawet gdyby udało mi się tam dotrzeć, nie mogłam ryzykować, że doprowadzę żołnierzy do Kobziarza i Zoe. Zeskoczyłam ze ścieżki do zarośniętego jeżynami rowu, a następnie wdrapałam się na drugą stronę, żeby skryć się w wysokiej trawie. Jeźdźcy jednak przeskoczyli rów za mną. Zanim zdążyłam się rozejrzeć za inną kryjówką, byli już przy mnie. Chwilę później, tak jak wiele lat przedtem, ktoś mnie chwycił i przerzucił przez siodło.

– Gdy zabieraliśmy konie, w barakach rozległ się alarm – zawołała Zoe, mocno mnie przytrzymując. – Przyjechaliśmy tutaj tuż przed nimi, ale chyba nas nie widzieli. Gdzie Kima?

To nie szok ani ulga odebrały mi głos, tylko dźwięk jego imienia. Nic nie odrzekłam.

Nie widziałam Zoe, czułam jedynie, jak pochyła się nad moimi plecami. Ledwo byłam w stanie dojrzeć Kobziarza, którego czarny rumak wyłonił się z ciemności obok nas, kiedy lekko zwolniłyśmy. Zoe pomogła mi usiąść prosto. Moje ciało podporządkowało się jej, przerzucając jedną z nóg ponad końskim karkiem.

– Udało się? – spytał Kobziarz. – Pozbyliście się maszyny?

– Już po niej – odparłam. – To koniec.

– Ale co z Kimą? – Poczuałam oddech Zoe na karku.

Wymieniłam spojrzenia z Kobziarzem i pokręciłam głową.

Nie wahał się ani chwili.

– Jedziemy – powiedział do Zoe.

Zamknęłam oczy i poczułam, że moje ciało osuwa się do tyłu i poddaje pędowi jazdy. Gnający w złożonym rytmie koń niósł mnie w siną dal po powierzchni świata rozbitego już po raz drugi.

Rozdział trzydziesty trzeci

Przez długi czas nie byłam w stanie nic powiedzieć. Zupełnie jakbym zostawiła wszystkie znane mi słowa na podłodze silosu. To, co się tam wydarzyło, zniszczyło mój język. Nawet gdy Zoe mną potrząsała, a Kobziarz ochlapywał mi twarz wodą i próbował skłonić mnie do mówienia, nie potrafiłam wydusić z siebie ani sylaby.

Jechaliśmy przez trzy dni i noce, zatrzymując się na nie dłużej niż pół godziny, raz czy dwa razy dziennie. Konie były przemęczone i chwiały się na nogach. Na ich wargach gromadziła się piana przypominająca mydliny zbierające się na brudnej wodzie.

Na trzeci dzień krajobraz zaczął się zmieniać. Jeszcze nigdy nie byłam tak daleko na wschodzie – zbliżaliśmy się do Pustkowi. Powierzchnia ziemi została zdarta. Brakowało drzew, gleby. Wszystko pokrywały krzemienista skała, o którą zgrzytały, ślizgając się, końskie kopyta, oraz wydmy usypane z szarego popiołu, nieustannie przesuwane przez gorący wiatr. Ów świat pozbawiono kolorów; otoczenie utrzymane było w odcieniach czerni i szarości. Jedyne źródła barw stanowiły nasze ubrania i skóry, ale popielny wicher wkrótce i je miał osmolić. Czarny pył zbierał się wokół oczu koni, obrysowując ich wargi i nozdrza ciemną obwódką. Wodę dało się znaleźć jedynie w płytkich oleistych jeziorkach, których powierzchnię pokrywała gładka warstwa popiołu. Na brzegach tych stawów rosły kępki szarawej trawy, tak rzadkie, że nasze dwa konie przy każdym postoju wyskubywały je do cna. Co do naszego pożywienia, Zoe i Kobziarzowi nawet nie chciało się polować, bo nie występowały tu żadne zwierzęta.

Do czarnej rzeki dotarliśmy w samą porę. Konie już się zataczały, a my czuliśmy się pijani ze zmęczenia. Zoe i Kobziarz wspólnie musieli pomóc mi zejść na ziemię. Rzeka płynęła leniwie, ale otaczająca ją płytka dolina zwiastowała lekką zmianę scenerii: na brzegu rosły trawa, krzaki, stały nawet dwa wychudzone drzewa.

– Jest pitna – zapewnił mnie Kobziarz, gdy pochyliliśmy się nad mętną wodą. – Tylko zamknij oczy i staraj się zignorować smak popiołu.

Na tamtym etapie byłam już jednak skłonna wypić wszystko. Zoe wróciła z godzinnego polowania z kościstą jaszczurką, a niedługo potem bez wahania wyciągaliśmy z ogniska kawałki bladego, niedopieczonego mięsa.

Tamtego wieczoru, gdy zrobiło się już ciemno, zaczęłam odzyskiwać mowę – z początku opieszale, a potem gorączkowo. Być może był to efekt posiłku i wody albo łagodnego blasku ognia. Opowiedziałam im, co się wydarzyło; co zrobił dla mnie Kima. Zdradziłam też plan Zacha, zgodnie z którym postanowił on obarczyć Kimę winą za zniszczenie maszyn oraz udawać, że mnie tam nie było.

– To tłumaczy, dlaczego nas nie ścigano, przynajmniej nie od razu –

powiedziałam. – Ale zabraliście dwa konie. Nawet jeśli z początku wierzyli Zachowi, do tej pory domyślili się już, że Kima nie był sam.

Zoe pokręciła głową.

– Niekoniecznie. Otworzyliśmy stajnię i wypuściliśmy tak wiele koni, jak się dało – prawie wszystkie. To musiało opóźnić żołnierzy, kiedy zaczęto bić na alarm. Pojawiliśmy się za silosami, zanim dotarli tam pierwsi z nich. Nikt nas nie widział.

– A skoro tyle koni zaginęło, nie będą w stanie stwierdzić, czy skradziono więcej niż jednego – dodał Kobziarz. – Jeśli Zach będzie obstawał przy swojej wersji, innym nie uda się jej podważyć.

– Przy stajni nie było strażników? – spytałam.

Kobziarz kiwnął głową, lecz nie spojrział mi w oczy.

– Tylko dwóch – odparł.

Z ulgą przyjął brak dalszych pytań z mojej strony, ale Zoe wtrąciła:

– Nie zostawiliśmy żadnych noży w ciałach, jeśli tym się martwisz. Ani niczego, co mogłoby nas z nimi powiązać.

Kobziarz pokręcił głową, patrząc na swoją siostrę, aż wreszcie zrozumiała.

– Nigdy nie dostrzegłem żadnej blizny w miejscu brakującej ręki Kimy – zauważył. – Nie było jej widać? Nawet... z bliska?

Nagle zaczął intensywnie wpatrywać się w ogień.

– Nie – potwierdziłam.

Przypomniało mi się, jak całowałam kikut zastępujący Kimie ramię – skóra była tam jędrna, a pod wargami czułam zarys mięśni i kości. Jeśli miał tam jakąś bliznę, musiała być idealnie ukryta; może gdzieś pod pachą. Nie potrafiłam pogodzić skrupulatnej, czulej wręcz uwagi, jakiej wymagało tak perfekcyjne wygojenie rany, z brutalnością konieczną do odcięcia ręki i wsadzenia jej właściciela do zbiornika.

– Bez wątplenia to zasługa jakiejś kolejnej sekretnej technologii – stwierdził Kobziarz. – Kto wie, jak wielkie postępy poczynili w dziedzinie medycyny, skoro są w stanie utrzymywać ludzi przy życiu w zbiornikach.

Zoe splunęła w ogień, który odpowiedział jej sykiem.

– Pomyślcie tylko, co byliby w stanie zrobić dla Omeg, dla ludzi chorych czy rannych, gdyby tylko zechcieli wykorzystywać te odkrycia w bardziej zacny sposób.

Kobziarz pokiwał głową.

– Bez względu na to, jak bezbłędnie udało im się zszyć ranę, Spowiedniczka musiała wszystko czuć. Nie ominął jej ból.

– To by jej nie zniechęciło – oznajmiłam. – Była twardsza, niż moglibyście sobie wyobrazić.

Nie podobało mi się mówienie o Spowiedniczce w czasie przeszłym. Wystarczyło bowiem jedno słowo – „był” – i po Kimie nie zostawał żaden ślad.

– Czy tak daleko na wschodzie są jeszcze jakieś kryjówki? – spytałam.

Zoe parsknęła śmiechem.

– Kryjówki? – powtórzyła. – Nie ma tu żadnych domów, nie mówiąc o kryjówkach. Ta dolina to ostatni szaniec życia przed Pustkowiami, Cass. Niczego tutaj nie ma.

Nawet mi to odpowiadało. Przez prawie tydzień obozowaliśmy na brzegu czarnej rzeki. Było tu wystarczająco dużo trawy dla koni, a Zoe i Kobziarzowi udawało się nas wykarmić, choć dieta ograniczała się głównie do jaszczurczego mięsa o szarej barwie i oleistym posmaku. A gdy nie polowali, omawiali plany. Pochyleni nad wodą prowadzili długie, wyczerpujące rozmowy dotyczące Wyspy, stworzenia nowego azylu, odbudowania ruchu oporu. Kreślili mapy w popiele i sumowali liczbę kryjówek, sprzymierzeńców, broni, okrętów.

Nie mieszałam się do tego. Opadła mnie pewna ociężałość. Czułam się w równym stopniu ospała co zawałona popiołem rzeka, w którą wpatrywałam się całymi dniami. Zoe i Kobziarz rozumieli, że lepiej będzie zostawić mnie w spokoju. Samowystarczalność i samodzielność charakteryzujące ich bliźniactwo sprawiały, że czułam się samotna, nawet w te chłodne noce, gdy spaliśmy przytuleni, aby było nam cieplej.

Zrelacjonowałam im wszystko, co się wydarzyło, z wyjątkiem rzeczy, które Spowiedniczka wyjawiała mi na temat przeszłości Kimy. Ledwo mogłam o tym myśleć, a co dopiero wypowiedzieć to na głos. Po tym, czego Kima dokonał w silosie, Kobziarz i Zoe w końcu przestali się wyrażać o nim z lekceważeniem. Nie mogłam się zdobyć na to, by przekazać im opowieść Spowiedniczki i raz jeszcze narazić go na ich surową ocenę. Co więcej, gdybym wyznała im wszystko, stałoby się to faktem, do którego musiałabym się odnieść. Już raz straciłam Kimę w silosie. Nie mogłam pozwolić, by rewelacje ujawnione przez Spowiedniczkę odebrały mi go ponownie. Informacje dotyczące dawnego Kimy stanowiły zdradliwą rafę i wiedziałam, że nie udałoby mi się jej pokonać. Omijałam więc słowa wizjonerki, nie dopuszczając ich do świadomości.

Zamiast tego, gdy Kobziarz i Zoe pogrążeni byli w rozmowie, każdego dnia rozmyślałam o Wyspie i o tym, co się na niej wydarzyło. Pamiętałam, jak Alice na krótko przed śmiercią stwierdziła, że nawet jeśli Wyspa stanowi tylko ideę, to tyle może wystarczyć. Myślałam też o dwóch statkach, które nadal przemierzały morze na zachodzie w poszukiwaniu Zamorza. Oraz o obietnicy złożonej Lewisowi, zgodnie z którą miałam pomóc ludziom pływającym w zbiornikach. Raz za razem wspominałam to, co powiedział Zach w silosie: „Są rzeczy, którymi muszę się zająć”.

Głównie jednak zastanawiałam się nad tym, co Kima powiedział do mnie na

Wyspie, a potem w łodzi: że moja siła tkwi w pewnym rodzaju słabości. Że patrzę na świat inaczej niż inni, bo nie postrzegam Alf i Omeg jako rywali. Rozmyślałam nad ceną, jaką musiał zapłacić za mój odmienny punkt widzenia, i zastanawiałam się, czy coś ją kiedyś usprawiedliwi. I czy nadal będę potrafiła patrzeć w ten sposób na świat po tym, czego dopuścili się Zach ze Spowiedniczką. Kima był jedyną osobą, która zaczynała rozumieć, jakimi uczuciami darzę swojego bliźniaka. Ale jego połamane ciało na podłodze silosu wszystko zmieniło.

Rana w mojej szyi nie chciała się goić. Pod koniec tygodnia wdało się zakażenie i z każdym uderzeniem serca zaczerwieniony punkt pulsował ostrym bólem. Kobziarz zniknął na godzinę, a potem powrócił z kępką szaroburego mchu, który przeżuł na pastę. Uklęknąwszy przede mną, wcisnął papkę o intensywnym zapachu w zagłębienie, w którym rozdzielona skóra nie chciała się połączyć.

Zoe przyglądała się nam z drugiej strony ogniska.

– Szkoda zachodu – powiedziała do brata. – Nie zagoi się, dopóki ona nie przestanie tam grzebać.

Nie zdawałam sobie sprawy, że to zauważyła, ale tak właśnie było. Za każdym razem gdy sądziłam, iż nikt mnie nie obserwuje, nie mogłam się powstrzymać od przesuwania palcami po ranie. Skubałam pokryte strupem krawędzie, wywołując znajomy ból. Był to ostatni ślad po Spowiedniczce i nie mogłam się go pozbyć.

Kobziarz przyciągnął do siebie moją prawą dłoń, a następnie zaczął obracać ją we wszystkie strony. Była brudna – tak jak reszta naszych ciał – a pod dwoma paznokciami widać było zaschniętą krew pochodzącą z rozdrapywanej rany.

Myślałam, że mnie skrzyczy, ale tylko głośno westchnął.

– Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby wdało się zakażenie. Ani miejsce, ani pora nie są na to najlepsze.

Co prawda tego nie powiedział, wiedziałam jednak, co ma na myśli: „Zbyt wielu ludzi zginęło, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo”. Jakbym sama bez przerwy o nich nie rozmyślała. Nie tylko o Kimie, lecz także o martwych mieszkańcach Wyspy. Przelana przez nich krew ciążyła mi do tego stopnia, że miałam wrażenie, iż moje żyły są przeciążone. Od przyjazdu nad rzekę prawie się nie ruszałam.

Kobziarz wziął do ręki zwilżoną szmatę, którą wcześniej przetarł mi szyję. Delikatnie oczyścił mi dłonie.

– Powiedz jej – odezwała się Zoe zza jego pleców.

Skinął głową, nie odwracając się do niej, ale nim przemówił, przez chwilę milczał.

– Jedziemy dalej – rzekł w końcu.

Nic nie odpowiedziałam. Obecnie nawet słowa wydawały mi się zbyt ciężkie. Gdy już coś mówiłam, prawie się spodziewałam, że zaczną spadać mi na stopy i gromadzić się w popiele.

– Jeśli mamy powstrzymać Zacha, nie wolno nam dłużej zwlekać – wyjaśnił Kobziarz. – Zniszczenie maszyn w silosie stanowiło duży krok naprzód. Będą próbowali je odbudować, ale z tego, co zdradziła ci Spowiedniczka, to ona była kluczem do całego systemu. A także głównym elementem ich działalności. To Spowiedniczka poprowadziła ich na Wyspę. Pozbycie się jej to najdotkliwszy cios, jaki można było zadać Radzie.

– To zasługa Kimy, a nie moja – zaznaczyłam.

Kobziarz skinął głową.

– To było wielkie osiągnięcie. Rada będzie wstrząśnięta utratą i jej, i tamtych urzędów. Sam fakt, że Zach się przestraszył i chciał zatuszować twój udział, by chronić własną skórę, wskazuje na to, jak wielka jest to dla nich tragedia.

– Ale to nie wystarczy – odezwała się Zoe. – Musimy zrobić coś jeszcze, zanim się otrząsną.

– Zoe ma rację – przytaknął Kobziarz. – Powinniśmy ruszyć na zachód i dołączyć do ruchu oporu...

– Tego, co z niego zostało – wtrąciła jego siostra.

– Musimy działać – mówił dalej Kobziarz. – Wiąże się z tym ryzyko, ale nie możemy się tu dłużej ukrywać. Zgromadzenie Omeg zbierze się ponownie i spróbujemy ustalić, co zostało po ataku na Wyspę.

Milczałam.

– Nie możemy cię zmusić, żebyś nam towarzyszyła – powiedział.

Zoe drgnęła zniecierpliwiona. Widoczne za nią słońce zaczęło się obniżać. Obłoki popiołu sprawiały, że zachód słońca przypominał błysk światła w zamglonym lustrze. Był jednocześnie piękny i straszny. Szkoda, że Kima nie mógł go zobaczyć.

Spojrzałam na Kobziarza.

– Powinniśmy wyjechać jeszcze dziś wieczór – zasugerowałam. – Musimy wrócić na wybrzeże, poszukać wieści o zaginionych statkach.

– To nie może być nasz priorytet – sprzeciwiła się Zoe. – Nie wiemy nawet, czy cokolwiek z nich zostało. Nawet w tej chwili płoną kryjówki, a ludzi wsadza się do zbiorników.

– Wiem – odparłam. – I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wesprzeć ruch oporu w próbach oswobodzenia ich. Ale jeśli mamy odpowiedzieć ciosem na cios i wznowić działalność, musimy dać ludziom jakąś nadzieję. Alternatywę. Musimy być w stanie zaoferować im coś więcej niż to.

Wskazałam na zwęgloną dolinę.

– Wyczułaś coś? – spytał Kobziarz. – Miałaś wizję dotyczącą Zamorza?

Pokręciłam głową.

– Nie chodzi o wizjonerstwo. Nie mogę niczego zagwarantować. Zamorze w dalszym ciągu jest tylko ideą. Ale jakiś czas temu Wyspa też nią była. A potem

ktoś ją stworzył.

Zoe zaczęła grzebać nożem pod paznokciami. Tymczasem Kobziarz nadal klęczał przede mną, trzymając twarz tuż przy mojej.

– Wiesz przecież, że staram się wierzyć w Zamorze – powiedział. – To ja wysłałem tam statki. Ale to głównie kwestia wiary, rozumiesz, prawda?

Przypomniało mi się, jak Kima zawierzył mi, gdy prowadziłam nas ku Wyspie, zanim się okazało, że ona naprawdę istnieje. I jak rzucił się z platformy, wierząc, że ocalenie mnie może być coś warte.

– A co, jeśli statki nigdy nie wrócą? – pytał dalej Kobziarz. – Co, jeśli nigdy nie odnajdziemy Zamorza?

Wstałam.

– Wtedy będziemy musieli je sobie stworzyć – odparłam.

Wyruszyliśmy przed północą. Znajdowaliśmy się tak blisko Pustkowi, że mrok wydawał się przedłużeniem czerni, która już wcześniej okryła krajobraz. Po apatii zeszłego tygodnia miło było znowu się poruszać. Czułam ciepło pleców siedzącej przede mną Zoe oraz słyszałam przed nami konia Kobziarza, choć nie mogłam go dostrzec. Znowu kierowaliśmy się na zachód, w kierunku Wyspy, gdzie krew nadal oblepiała kamienie bruku pośród pustych uliczek. Zbliżaliśmy się również do Wyndham, gdzie czekał Zach. Oraz do obojętnego morza, po którym w dalszym ciągu żeglowały dwa okręty w poszukiwaniu miejsca, które mogło nie istnieć.

Podziękowania

Z wielką radością chciałabym podziękować czytelnikom, których rady i entuzjazm pomogły mi stworzyć tę powieść. Za bezcenne wskazówki dziękuję zatem: Andrew Northowi, Sally, Alanowi i Peterowi Haigom, Clarze Haig-White, Sharyn Pearce oraz Lucy Carson. Bardzo przydatne okazały się również wnikliwe uwagi moich redaktorów: Emmy Coode i Natashy Bardon z wydawnictwa Harper Voyager (Wielka Brytania) oraz Emilii Pisani i Adama Wilsona z Gallery Books (USA).

Szczególne podziękowania kieruję też pod adresem mojej wspaniałej agentki Juliet Mushens – żarliwej zwolenniczki i uważnej czytelniczki. Dziękuję także Sashy Raskin za umiejętną promocję mojej książki w Stanach Zjednoczonych oraz Richowi Greenowi za wykazany polot przy negocjowaniu warunków sprzedaży praw do ekranizacji.

Jestem również niezmiernie wdzięczna za przyznanie mi w 2010 roku stypendium Hawthornden Castle, podczas którego pracowałam nad niniejszą powieścią. Udało mi się też otrzymać dofinansowanie od Wydziału Nauk Humanistycznych oraz Wydziału Literatury Angielskiej uniwersytetu w Chester, dzięki któremu mogłam wygospodarować czas na pisanie w zaciszu cudownej Biblioteki Gladstone'a.

Przekład: Marcin Sieduszewski

Redakcja: Julia Celer

Korekta: Anna Jagiełło, Ilona Siwak

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcie wykorzystane na okładce: © Francesco Ormando/Arcangel Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3263-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal
Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, blue, sans-serif font. The letter "v" is lowercase and has a white outline, while the rest of the letters are solid blue.

